

**Dmochowska Emma**  
**DWÓR W HALINISZKACH**

Nad Wiecznym Miastem powoli zachodziło słońce. Po niebie nie błądziła ani jedna chmurka. Było ono ogromne, szafirowe, nieruchome jak szklana kopuła. Powietrze drgało rozpalone. Od dalekich bagien za Tybrem niosły się czasem wilgotne tchnienia. Pył, wznoszący się tu i ówdzie z ulic, złocił się w powietrzu. Pod bramą San Paolo, której średniowieczne baszty i mury, zrudziałe latami, ostro rysowały się na błękitie nieba, było gwarno. Ku miastu wracały powozy odwożące turystów, wyjeżdżały dwukołowe wózki, ciągnięte przez muły, na których gromadami zasiadali wieśniacy. Kilku cyklistów przemykało ostrożnie pośród tłumu. Strażacy w popielatych mundurach wiedli głośnie rozmowy. Opodal szara i ciężka piramida Cestiusza,

zieleniejąca u dołu plamami pleśni, wznosiła się na tle drzew protestanckiego cmentarza. Był to zakątek świeży i cichy jak oaza. Pod wiecznie bujną zielonością zapadały się powoli w ziemię groby zmarłych tu cudzoziemców. Na grobach tych bujnie rosła trawa i rozkwitały chwasty, wabiąc ku sobie pszczoły i inne owady.

Panna Teresa Leonia Halicka szła do miasta. Wracała z bazyliki Świętego Pawła za murami – i czuła się już mocno zmęczona całodziennym chodzeniem. Bo też była to prawdziwa pielgrzymka – wotum uczynione na uproszenie łask Boskich i światła Ducha Świętego. Od tak dawna szukała drogi, a wszystkie były jakby zamknięte przed nią. Od tak dawna łaknęła światła, a w duszy jej była ciemność, chwiejność, dziwny jakiś zamęt. Mówiła do Boga: – Mów, Panie! Rzeknij słowo, a wszystko uczynię wedle Twojej woli. Ale dokoła panowało milczenie, słyszała tylko głos własnej duszy, niepewny i drżący. Wiedziała, że musi iść, że furta klasztorna na nią czeka, że przysięga uczyniona w latach młodości obowiązuje ją nadal, Czuła, że nie jest już z tego świata. Była gotowa iść. Lecz dokąd? Dokąd?

Przeszła pod ciemnym sklepieniem bramy. Po tamtej stronie słońce jeszcze jaśniej świeciło nie zasłonięte przydrożnym murem i przed oczami roztaczała się rozległa przestrzeń. Ulice były już wytyczone, ale jeszcze nie zabudowane, na wprost wznosiło się zielone wzgórze Awentynu, uwieńczone kościółkiem Maltańskim.

Zwróciła się na lewo i szeroką, pustą ulicą szła ku rzece, widniejącej za kamiennym ocembrowaniem. Dokoła było cicho. Myślami wróciła znów do wspomnień, do chwili najważniejszej w jej życiu.

Tak, było to kilka lat temu. Była młodziutką, dojrzewającą dziewczyną, gdy zaczęła ją dręczyć choroba dziwna, nieokreślona. Przykuta do łóżka, w strasznych cierpieniach traciła powoli władzę we wszystkich członkach, traciła mowę i słuch, i tylko jej wielkie oczy, nabrzmiące i przerażone, świadczyły, że wciąż jeszcze żyje. Ale i w oczach zaczynało się mącić i co dzień mniej

widziała, co dzień ogarniała ją większa ciemność. Aż wreszcie przysła taka noc, że zwątpiono, czy będzie żyć. Przywołany ojciec Maks stanął nad nią wymawiając słowa absencji, ale ona go już nie widziała. Matka i kilkoro przyjaciół klęczała dokoła, czekając ostatniego tchnienia. Szmer litanii za konających rozlegał się w smutnym pokoju. Gromnica, którą dano jej do ręki, paliła się żółtym płomieniem. Ona zaś zapadała wciąż głębiej i głębiej w noc jakąś bezbrzeżną, w przepaść, w pustkę... Aż nagle poczuła, że musi powstać, że coś ją podnosi, rzuca na kolana i ręce składa do modlitwy. I zrobiła się jasność wokół niej, jasność cudowna, niebiańska, i spłynęła z góry Madonna z promienistą aureolą nad czołem. Rozkrzyżowawszy złożone na piersiach ręce wyciągnęła je do niej i rzekła słodkim głosem: — Pójdź za mną. Rozsunawszy fałdy szaty ukazała jej serce krwawe, siedmiu mieczami przeszyte. A potem wszystko znikło i Teresa Leonia poczuła, że spada gdzieś całym swym ciężarem, że czyjeś ręce ją chwytają, że na skronie leją jej wodę. Więcej nie zapamiętała. Ale gdy nazajutrz przysła do siebie, przyczyna choroby była usunięta, organizm rozpoczął normalne funkcjonowanie. Życie jej zostało ocalone.

Podniosła głowę i rozejrzała się wokół siebie. Była już na placyku przed kościołem Santa Maria in Cosmedin, którego szerniała wieżyczka przecinała niebo wąską linią. Za sobą zostawiła zielony Awentyn. Opodal ładna świątynia Słońca, jak cacko delikatne i wątle, wznosiła swe kolumnienki leciuchne i daszek na nich oparty. Po lewej stronie Tyber ujęty w kamień szumił żółtymi wodami. Podeszła do brzegu. Była znużona chodzeniem, całodziennym postem, upałem, wrażeniami, jakich doznawała w tej pielgrzymce do siedmiu bazylik. Rada była spocząć na chwilę. A przy tym taki urok szedł od tego świętego miasta, od ruin, które widniały przed nią! Tyber płynął leniwie u jej stóp, tocząc mętne wody, zmęczone tylu wiekami wędrówki. Były ciężkie i ciemne, jakby kryły w swej głębi jakieś tajemnice i zbrodnie. Lecz dalej, ku zachodowi, w promieniach słonecznych przybierały barwy jaśniejsze,

białomleczne i żółtawe, rozlewały się szeroko okrążając wysepkę Świętego Bartłomieja z jej czerwonym szpitalem Bonifratrów i poprzecinane ciemnymi liniami mostów szły pod słońce odbijając przybrzeżne domy i kościelne wieże, za którymi leżał Transtever z ciasnymi uliczkami i wąskimi domkami. W oddali wznosiły się zieleniejące wzgórza. A nad całym tym skupiskiem domów, kościołów, dachów, wieżyczek i murów królowała na niebie kopuła bazyliki Świętego Piotra.

Słońce coraz szybciej chowało się gdzieś za Monte Mario i na ziemi zaczynał panować zmrok fioletowy i chłodny. Ale szczyty wież, z górującą nad nimi jasną, zwycięską kopułą bazyliki, ciągle złociły się nad Wiecznym Miastem.

— Tu es Petrus — szepnęła Teresa Leonia i z dumą patrzyła przed siebie. Tak, Rzym cały — to miasto o wielkich losach — był to proch i marność, pyłek nikczemny pod stopami tej świątyni. Nie Rzym tylko — świat cały czymże był wobec tej największej potęgi, tej najświętszej władzy, co od tej kopuły szła przez wieki całe, zwycięska, niezwalczona, wieczna — co brała swój początek u tronu samego Boga, a słowem Chrystusa zatwierdzona, objęła całą kulę ziemską i przyświecała jej, jak pochodnia wiodąca ku niebu...

— Tu es Petrus — powtórzyła i czuła, jak jej serce wzbiera miłością i przywiązaniem, jak wchodzi w nie moc niezwyciężona, a zarazem i wielka duma, że ona — słabe dziewczę — została wybrana przez Pana i powołana ku wielkiemu celowi. Wybrana! Tak, od chwili, gdy nad jej łóżem zajaśniała słodka twarz Madonny, gdy usłyszała słowa: — Pójdź za mną! — życie jej przestało do niej należeć. Czuła i rozumiała, iż jest powołana do spełnienia jakiegoś dzieła — i żyła, czekając znaku.

Pierwszą jej czynnością, po dźwignięciu się z choroby, było złożyć przysięgę i ofiarować Bogu swe serce czyste, żadną ziemską miłością nie skalane, ciało dziewicze, myśli i wolę, i całą swą istotę. Była zbyt młoda i jeszcze zbyt osłabiona, aby jakiegokolwiek zgromadzenie zakonne mogło ją

przyjąć. Musiała czekać i przysposabiać się do życia, które miało się stać jej udziałem. Czekala więc, a tymczasem poznawała reguły różnych zakonów i w obcowaniu z mniszkami, w częstych rekolekcjach, odbywanych w rozmaitych klasztorach, starała się poznać, gdzie wola Boska chce ją mieć.

Tak minęło lat kilka — a wybór ciągle nie zapadał. Miała już lat dwadzieścia parę — dłużej zwlekać nie mogła. Głos wewnętrzny powtarzał jej wciąż: — Idź!, a nie wiedziała dokąd. Więc za radą ojca Maksa udała się na pielgrzymkę do siedmiu bazylik — i teraz, gdy wszystkie siedem obeszała, wracała do Świętego Piotra dla odprawienia końcowych modlitw. — Może tam, u grobu Apostołów, znajdę światło! — westchnęła. Podniosła głowę i ruszyła dalej.

Szarzało już, ale Tyber, płynący od zachodu, niósł z sobą fale barw jasnych i niebo nad nim było u góry zielone, a złote u spodu. Tylko kopuła ze złocistej zaczęła zmieniać się na lazurową i, jak zawieszona w niebie, zdawała się garnąć pod siebie całe miasto.

Teresa Leonia szła brzegiem rzeki. Choć zmęczona, przyśpieszyła kroku, aby za dnia móc jeszcze ukończyć pielgrzymkę. Idąc, znów rozmyślała. Przypominała sobie jedno po drugim zgromadzenia, które poznała. Więc pierwotne, ostre reguły benedyktynek, cysterek, klarysek, karmelitanek Świętej Teresy, wielkich pokutnic oddanych umartwieniu ciała, ubóstwu i kontemplacji — prawdziwe to były ofiary na ołtarzach Pańskich, baranki niewinne, przelewające dobrowolnie krew swą na odkupienie ludzkich grzechów, na przebłaganie gniewu Bożego. Ale ani jej zdrowie, ani usposobienie nie pozwalały się jej ku nim skierować — ascetyzm jej nie pociągał. Następnie reguły czynne, działające, biorące udział w życiu nieszczęśliwej ludzkości — franciszkanki, oddane maluczkim i ubogim, siostrzyczki ubogich, których szare habity znane były dobrze poddaszom i suterenom, Siostry Świętego Józefa, utrzymujące ochronki, bohaterskie Siostry Miłosierdzia, istna armia idąca wszędzie, gdzie grozi

niebezpieczeństwo — i wszystkie inne zgromadzenia misyjne, które szły na koniec świata lub przenikały najniższe warstwy społeczne, głosząc naukę chrześcijańską i walcząc ze złym duchem. Były to święte dusze — pracowite, odważne, korne i cierpliwe — godne najwyższego uznania. Ale, widziane z bliska, jakże były ordynarne, pozbawione wszelkiej osobistej inicjatywy, ślepe narzędzia w ręku przełożonych, prozaicznie wykonujące pospolite czynności! Bez wychowania, bez polotu! Nie, wśród takich nie mogłaby wytrzymać. Był jeszcze cały szereg zakonów nowszych, liczących się bardziej ze współczesnymi warunkami — wizytki, sercanki, niepokalanki, nazaretanki, urszulanki, Zgromadzenie Sióstr de Sta Maria Reparatrice, Zgromadzenie des Dames de la Retraite i wiele, wiele innych jeszcze — zakony przeważnie dla osób „z towarzystwa”, dla zamożnych i wykwintnych dam, które, pomimo najgłębszej pokory, nie mogły być narażone na brutalne zetknięcia z rzeczywistością, a uprawiały pobożność w przystępniejszej formie, i taką, która licowała z ich subtelną i wyrafinowaną naturą.

W ich progi nieraz już wstępowała. Próbowała nowicjatu w SacreCocur; odprawiła u nazaretanek rekolekcje; zwiedziła kilka domów wizytek; wreszcie prawie się już dała uwieść urokowi przepięknych Sióstr Reparatrices, których poetyczne nabożeństwa, w kaplicy przybranej liliami, zawsze nadzwyczaj silnie na nią działały.

Wszystkiego tego już próbowała — i wszędzie doznała zawodu. Z bijącym sercem wchodziła w progi każdego nowego klasztoru, mówiąc sobie: — Tu znajdę odpoczynek i światło, a wychodziła z zawodem, z jakimś dziwnym niesmakiem. — Nie, i to nie dla mnie — powtarzała sobie, i szukała dalej. Bo wszędzie widziała jakieś braki, jakieś „ale”, coś mąciło tę harmonię, którą sobie wymarzyła. I niepokój ogarniał ją coraz dotkliwszy i boleśniejszy, bo sumienie odzywało się ostrzegając, że czas upływa, a przysięga pozostaje nie wykonana. — Boże, wybaw mnie, ratuj, wskaż drogę! — szepnęła.

Rozejrzała się wokół siebie. Wychodziła już z wąskiej uliczki na plac Św. Piotra. Zatrzymała się. Tyle razy widziała ten plac i kościół, a nigdy nie mogła na niego spoglądać bez zachwytu, zawsze, gdy wstępowała na schody krużganka, przeppełniało ją uczucie dumy. Czuła się pewniejsza, śmielsza w tym wspaniałym otoczeniu, wśród tej kolumnady, co dwoma ramionami sięgała w świat, jakby go chciała objąć i rzucić do stóp ołtarza. — I teraz otucha zaczęła znowu wstępować w jej serce. Weszła do kościoła w przekonaniu, że tu ją czeka pożądana łaska.

W olbrzymiej świątyni panował już zmrok, kontury rozplływały się i ginęły w półtonach. Pod sklepieniem zalegały cienie. Gdzieś wysoko ponad głowami rozety, kasetony, barwne marmury i postacie aniołów, a niżej kolosalne figury świętych, mozaiki jaskrawe, złocenia i rzeźbione kapitele zlewały się w monotonną szarość. Oko nie dosięgało już granic tej szarości i oprzeć się nie mogło na żadnym określonym kształcie. Czuło się tylko dokoła olbrzymią przestrzeń, jakieś obszary bezgraniczne, jakieś kształty nadludzkiej miary, potęgę i wielkość wlaną w mury i w kamienie. Wśród tego ogromu spowitego w mroki paliły się z dala żółta łuna lampki u grobu apostołów.

Gdy się znalazła w świątyni, Teresa Leonia poczuła się tak słaba, że musiała oprzeć się o ścianę, aby nie upaść. Chwilę stała z przymkniętymi oczami, w chłodzie marmurów, przejęta dreszczem oczekiwania — samotna w zapadającym zmroku. Kościół był pusty. Tylko gdzieś przemykała w oddali ku zakrystii postać posługacza w długiej sutannie albo jakiś spóźniony turysta dążył ku wyjściu. W głębi, przed posągami św. Piotra oświetlonym płomykiem lampy, modliło się kilkoro ludzi. Czarna postać świętego siedziała na tronie, z nimbem wokół głowy, sztywna, wyprostowana i sroga, dzierżąc w ręku klucze od Królestwa Niebieskiego.

Chłód, pustka i smutek wiały z tych olbrzymich murów nie ożywionych teraz barwnym rysunkiem mozaik ani grupami świętych, ani ruchliwym i głośnym zazwyczaj tłumem cudzoziemców. Smutek ten przenikał i Teresę

Leonie i serce jej się ścisnęło, jakby w przeczuciu czegoś tajemniczego, co się miało stać za chwilę, czegoś nieznanego, co szło ku niej z tej ciemności.

Gdy Teresa Leonia wróciła wreszcie do domu, pani Alina Halicka zerwała się z krzesła i zawołała: — Ach, mój Boże, taka byłam niespokojna... Je craignais quelque accident... Musisz być głodna i zmęczona? Już po siódmej. — Ale spojrzawszy w twarz córki zrozumiała, że zaszło coś niezwykłego i zamilkła, patrząc na nią pytającymi oczami.

Teresa Leonia zdjęła kapelusz i powoli osunęła się na krzesło. Była blada, ciemne obwódki podkręzały jej błyszczące oczy.

— I cóż? — spytała wreszcie matka.

Ona zwróciła twarz ku matce i rzekła stanowczym, spokojnym głosem:

— Bóg objawił mi swą wolę. Zakładam nowy zakon, zakon Sióstr Bolejących, na pamiątkę siedmiu mieczów, które przeszły serce Matki Najświętszej.

— Zakładasz nowy zakon — wyszeptała pani Alina w osłupieniu — nowy... un ordre nouveau ale jak? Jakże to zrobisz?

— Nie wiem, nic nie wiem jeszcze. Ale to pewne, że Bóg tego chce — i tak będzie. Dotąd błądziłam w niepewności i w trwodze, bo nie widziałam drogi przed sobą. Ale dziś, gdy tylko weszłam do Świętego Piotra, uczułam, że zbliża się chwila objawienia. Straciłam przytomność... i ukazała mi się znowu Madonna, tak samo jak wtedy, i tak samo pokazała mi swoje serce.

Usłyszałam głos, który mówił wyraźnie: — Założysz nowy zakon, zakon Sióstr Bolejących.

Zamilkła, wyczerpana i bezsilna, lecz po chwili podniosła się i prędko, gorączkowo, zaczęła mówić: — O, teraz, gdy już wiem, co mam robić, nic już mnie nie wstrzyma, nic nie zatrwoży. Dość tych namysłów, dość zwlekania! Pójdę prosto przed siebie za tym głosem, który mnie woła i nikt nie ma prawa stawać mi w poprzek drogi. Niech się nikt nie waży! Niech nie próbuje, bo wszystkich złamię, zdepcę, zwyciężę! Ostatnią kroplę krwi oddam, ostatnie



tchnienie, ale dzieło dokonać się musi, dzieło wielkie, święte, które mi sam Bóg w ręce włożył. Nic mnie nie zniechęci, nic nie zrazi, czuję się tak silna, tak potężna! To musi być wielki zakon, prawdziwy filar Kościoła, gwiazda na niebie katolickim, tarcza przeciwko niewierzącym, dom Boży pełen cnót i światła, i mądrości, przybytek doskonałości i wiary niepokalanej... Zakon Sióstr Bolejących prawdziwie nad grzechami świata, i nad losem naszym. Będzie to obrona dla tych, co się doń schronią..., przytułek, port bezpieczny... O, ja czuję dobrze, jaki on być musi, jakim Bóg chce go mieć... Widzę, widzę teraz, co jest do zrobienia — i już nic w świecie mnie nie powstrzyma, nie wróci z drogi, nic mnie...

W tej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi. — Entrez! — zawołała pani Alina i do pokoju wszedł monsinior Żurowski.

Był to jeszcze młody, wysoki mężczyzna, o kształtach wyraźnie zaokrąglonych i bladej, niezdrowej twarzy, którą oświecała para mądrych oczu i rozjaśniał uśmiech pogodny, pełen finezji. Ubrany był w czarną sutannę, doskonale skrojoną, ożywioną fioletowymi guziczkami.

— Przepraszam, że może o niewłaściwej porze przybywam — zaczął od drzwi, ale pani Alina rada była jego przybyciu i nie dała mu skończyć. Ale cóż znowu! w samą porę przychodzi. Owszem, nigdy nie był tak pożądanym jak właśnie teraz, gdy tak ważne zmiany, tak nadzwyczajne objawienia... Tylko, że Therese Leonie taka wyczerpana tymi wrażeniami — ces saintes emotions — że doprawdy...

Lecz zwróciwszy się do niej, pani Halicka urwała w pół zdania, widząc wyraz niezadowolenia na jej twarzy. Monsinior zrozumiał, że panna nie była rada z gadulstwa matki, więc chcąc dyskretnie się znaleźć i rzecz odwrócić na inne tory, zaczął:

— Ja właśnie przyszedłem w ważnej sprawie i chciałem się z paniami jak najprędzej podzielić wiadomościami...

Położył kapelusz na konsoli i usiadł przy stole. Panie też zajęły miejsca. Pani Alina, trochę speszona chłodnym zachowaniem córki, spuściła głowę i bawiła się złotą obręczą, którą nosiła na ręku. Wszyscy troje czuli jakieś skrepowanie, coś, co ich wzajemnie onieśmiało. Ksiądz wyjął z kieszeni list ze stemplem austriackim i położywszy na kopercie swe białe, bardzo ładne ręce, zwrócił się do Teresy Leonii:

— Rzec dotyczy powołania do stanu duchownego, o którym rozmawialiśmy. Kiedyś radziła się mnie pani w tym względzie i ja rekomendowałem Zgromadzenie Niepokalanek w Galicji, tak miłe dla naszych polskich serc! Otóż, pisze mi teraz przełożona...

— Przepraszam — rzekła spokojnym głosem Teresa Leonia — ale dziś nie obchodzą mnie już wcale dawne projekty. Zakładam sama nowy zakon, zakon Sióstr Bolejących. Taki rozkaz otrzymałam od samego Boga.

Zdumienie odmalowało się na twarzy księdza Zurowskiego, wyrwał mu się krótki okrzyk:

— A?!

Po czym nastąpiło milczenie.

Teresa Leonia oparła zmęczoną głowę o poręcz fotela i siedziała nieruchoma, zimna, z zaciśniętymi ustami, gotowa — w razie ataku — do zaciętej obrony.

Pani Alina coraz bardziej nerwowym ruchem okręcała obręcz dokoła dłoni. Na usta cisnęły jej się tysiące słów, ale nie śmiała się odezwać. A ksiądz, w pierwszej chwili zdziwiony, powrócił do zupełnej swobody, nawet leciuchny uśmiech podniósł kąciki jego ust. Siedział nieruchomy, jakby czekając wyjaśnienia. Wreszcie Teresa Leonia odezwała się:

— Niech mama opowie..., ja nie mogę...

Pani Alina poruszyła się żywo. O, tak, ona opowie wszystko. Gdzieżby jej, biednej, wyczerpanej myśleć o mówieniu. Ona taka wyczerpana, na wpół

żywa. I powstrzymywane dotąd słowa popłynęły potokiem, a opowiadanie było barwne i przejmujące.

Monsinior słuchał uważnie, pochylony trochę do przodu. Na starannie wygolonej twarzy nie można było odczytać śladu żadnej myśli. Lekki uśmieszek znikł, a jego usta przybrały zwykły, łagodny, lecz stanowczy wyraz. Gdy pani Alina skończyła mówić, powoli podniósł głowę, a wyjęty list włożył na powrót do kieszeni.

— Skoro tak — rzekł — nie pozostaje mi nic innego, jak przeprosić raz jeszcze za niewłaściwość mych odwiedzin i pożegnać szanowne panie, życząc im wszelakich łask Boskich.

Tu zrobił ruch, jakby chciał powstać.

Zawód odbił się na twarzy pani Aliny. Czyżby o tak ważkim projekcie nie miał nic do powiedzenia? Wyciągnęła ku niemu rękę.

— O monsiniore — zawołała — zostań jeszcze z nami! W chwili tak ważnej potrzebna nam opieka i rada, oui, quelques bons conseils— ludzi świątobliwych i Bogu oddanych.

— Tak — rzekła Teresa Leonia. — Proszę o pomoc. Bóg mi objawił swą wolę i pewnie światła swego nie odmówi, ale i ludzka rada potrzebna.

Monsinior Żurowski usiadł więc i znowu przez chwilę panowało milczenie. Wszyscy troje czuli, że między nimi stanęło coś, co im odbiera swobodę wyjawienia prawdy.

Pierwsza odezwała się Teresa Leonia:

— Proszę powiedzieć mi szczerze, co monsinior myśli o tym, jakie jest jego zdanie?

— Mogę być zupełnie szczerzy?

— Najzupełniej.

— Otóż, jeśli tak, to naprzód zadam pytanie: jaki ma być specjalny cel owych Sióstr Bolejących?

— Jaki cel? Chwała Boga i Kościoła. Zresztą, bliższe szczegóły określimy później. Przede wszystkim ma to być polski zakon, na dowód, że duch katolicki nie zaginął wśród naszego narodu, że jesteśmy zawsze przywiązani do tronu papieskiego...

— O, proszę pani, w to nikt nie wątpi! To jest prawda, której dowodzić nie potrzeba. Ale czy ten zakon będzie należał do kontemplacyjnych, czy też do czynnych?

— Nie wiem jeszcze. Trudno tak... od razu... Powiadam monsiniorowi, że szczegóły określimy później.

Znowu leciuchny uśmiech pojawił się na twarzy księdza, ale rzeki poważnie:

— Widzę, że plan nowego zakonu nie jest jeszcze wyraźny...

— Bo jakżeby... tak zaraz... — wtrąciła pani Alina.

— A zatem skorzystam z pozwolenia i powiem szczerze swoje zdanie. Chwilę siedział ze spuszczonej oczami, jakby skupiając myśli, wreszcie zaczął mówić:

— Bóg w swej mądrości niezbadanej dla dobra dusz ludzkich i dla chwały Kościoła swojego od dawna świętych swoich pobudzał do fundowania zakonów. Ale każdy nowy zakon był zawsze umotywowany jakąś nową potrzebą, powstawał nie wskutek osobistych zachceń tego lub owego, a wskutek jakiegoś ogólnego stanu ludzkości lub jakiegoś niebezpieczeństwa. Z czasem, gdy się zmieniały warunki, upadały też i niektóre zakony, co dowodzi, że odpowiadały one potrzebom realnym świata, a nie były tworem indywidualnej fantazji lub ambicji. Dziś rzeczy tak stoją, że na każdym prawie polu działalności duchowej albo społecznej stoi zakon specjalnie tej działalności poświęcony. Braków doprawdy nie widzę w tej wewnętrznej organizacji naszego Kościoła. Jest on dobrze obsługiwany przez cnotliwe, karne i czynne legie zakonników. Przy tym w tej tak mądrej ekonomii jest miejsce dla wszystkich. Wszelkie odcienie charakteru, wszelkie usposobienia,

każdy stan duszy może sobie w istniejących dziś zakonach znaleźć odpowiednie miejsce. W pełnym rozwoju są zakony ascetyczne, są łagodniejsze reguły oddane pracy umysłowej, pedagogicznej, filantropijnej, są wreszcie całe zastępy misjonarzy oddane szerzeniu wiary świętej. Jest w czym wybierać. I nie myślę, aby dusza szukająca Boga i życia doskonałego nie mogła wśród istniejących reguł znaleźć takiej, która odpowiadałaby jej usposobieniu. Po cóż więc tworzyć nowe dzieła, których żadna nowa przyczyna — o ile wiem — nie powołuje do życia? Czy nie lepiej dołożyć starań, aby utrzymać to, co już istnieje, niż rozpraszać je w produkowaniu rzeczy nowych, ale czy koniecznie potrzebnych?

— My nigdy dość zakonów mieć nie możemy — rzekła Teresa Leonia.

— Przede wszystkim powinniśmy pracować na miejscu, u siebie, w kraju.

— A wola Boska? A rozkaz tak wyraźnie dany mi z nieba? Monsinior uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie jestem kierownikiem sumienia pani — odrzekł — więc trudno mi osądzić, czy te objawienia i te rozkazy pochodzą rzeczywiście z nieba, czy są tworem wyobraźni. Wyobraźnia, tak zwana dziś autosugestia, nieraz płata nam figle.

— Więc monsinior wyobraża sobie! — zawołała pani Alina.

— Ja, szanowna pani, nic sobie nie wyobrażam, bo nic nie wiem. To są kwestie trudne do zbadania. Nie odważyłbym się wypowiadać swojego zdania bez długiego namysłu. Ale... jesteśmy wszyscy ludźmi, a zatem podlegamy omyłkom, błędom, fałszywej nieraz ambicji. A wróg naszego zbawienia czuwa i nie traci żadnej sposobności, aby nas wyprowadzić na manowce.

— O, monsiniore! — wybuchnęła znowu pani Alina. — Jakże można! Takie czyste, wzniosłe intencje..., chcieć rzucać na nie cień... une insinuation si blessante! Przecież Therese Leonie od najmłodszych lat...

— Niech mnie mama nie broni — przerwała panna Halicka powstając.

— Monsinior mi nie wierzy, na to nie ma rady. Wiem, że jestem istotą grzeszną i omylną, ale wiem również, że Bóg wybrał mnie na fundatorkę nowego zakonu i nic już nie może mnie zachwiać w tym przekonaniu. A ludzka krytyka! Niestety, jestem na nią przygotowana.

— Panie nie chcą mnie zrozumieć. Nie krytykuję, a jeszcze mniej wątpię w szczerłość pani, ale ostrzegam. W sprawach nadprzyrodzonych nigdy nie można być dość ostrożnym. A teraz — dodał wstając i biorąc kapelusz

— muszę panie pożegnać. Żałuję najmocniej, jeśli to, co powiedziałem, sprawiło im przykrość.

Po wyjściu monsiniora Żurowskiego nastąpiła cisza. Teresa Leonia siedziała zagłębiona w fotelu. Po jej twarzy przebiegały to gniewne chmury, to odbłyśki zapachu. Pani Halicka zajęła się przyrządzaniem herbaty. Zamyślona także, dzwoniła łyżeczkami, ustawiała talerzyki z ciastem i zimnym mięsem, nie zauważając, że woda kipi i wylewa się z imbryczka.

— Mamo, woda już kipi — rzekła Teresa Leonia.

— Ah, mon Dieu, c'est vrai I wylało się... Taka jestem tym wszystkim zaabsorbowana... — I zaczęła gwałtownie gasić ogień.

— Ten nowy zakon — mój Boże! A ten Giacomo nieznośny, nie przyniósł śmietanki, choć mu dwa razy przypominałam.

— Jeśli dla mnie, to nie trzeba, mammo.

— Musisz być głodna, śniadanie jadłaś tak wcześnie. Weź przynajmniej szynki. Monsinior myśli, że to wszystko imaginacja. Mój Boże, jak to ludzie sądzą niesprawiedliwie! Ty... taka rozsądna, spokojna... gdzieżbyś sobie takie rzeczy wyobrażała!

— Mogę się mylić nieraz, to pewne. Ale tym razem nie mylę się.

— Pewnie, że nic. Ach, co ja robię! Od tych wszystkich wrażeń w głowie mi się już kręci i drugi raz wrzucam cukier do herbaty. Bo wiesz, powiem ci, co mi na myśl przychodzi.

Pani Alina odsunęła filiżankę, i złożwszy ręce na stole, patrzyła w twarz córki.

— Mam projekt, ciekawam, co powiesz. *II y va de ma vie*. Widzisz, dzisiaj ja także przez cały dzień modliłam się za ciebie, moje dziecko najdroższe, i za siebie... Wiesz dobrze, jakie ciężkie było moje życie, smutne, samotne... A cóż dopiero będzie, gdy ciebie utracę. I prosiłam Boga, aby mnie natchnął dobrą myślą. Otóż, jak wróciłaś z tym postanowieniem, od razu poczułam w sobie głos Boży, pomyślałam: pójdę i ja, wstąpię do tego nowego zakonu...

— Mama do zakonu?!...

— Tylko nie dziw się i nie zaprzeczaj tak od razu — prosiła pani Alina składając ręce — przecież nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Czemuż bym nie mogła pójść?

— Ale to będzie zakon zupełnie na serio.

— Tak, dobrze. Czy myślisz, że nie byłabym zdolna...? Starzeję się, poważnieję z każdym dniem.

— Pewnie, owszem. Ale nigdy nie myślałam, aby mama...

— Widzisz, ja sama nie wiem, skąd mi to przyszło na myśl. Ale, ostatecznie, dlaczegoż by nie? Przecież nie byłabym ci chyba przeszkodą?

— O, nie. W niczym.

— A widzisz. A mnie by tam było najlepiej. Nie uwierzysz, jak mnie już życie zmęczyło. *Je suis lasse*. Tak pragnę cichego zakątka klasztornego. Nie odmawiaj mi tego.

— Ależ, moja mamo, dla mnie to byłoby najlepiej. Nawet ze względów finansowych wstąpienie razem z mamą będzie bardzo korzystne.

— A prawda, masz rację. Możemy obie wnieść swoje fundusze, zawsze będzie ich więcej. Tylko, cóż ja pocznę z Zosią?

— Z Zosią? — powtórzyła Teresa Leonia.

— I z tym nieszczęsnym Białym Dworem! Zamilkły i zamyślane wróciły do herbaty.

— Zosia powinna wyjść za męża, jak najprędzej — rzekła po chwili Teresa Leonia. — Z Białym Dworem trzeba koniecznie coś zrobić — wydzierżawić, sprzedać, odstąpić stryjowi Józefowi, cokolwiek bądź, byle nasze części jak najprędzej spieniężyć i mieć wszystko w ręku.

— Tak, ale nim to wszystko się zrobi! — westchnęła pani Alina i posmarowała sobie bułeczkę. A Teresa Leonia rzekła:

— Ojciec Maks poradzi.

— Tak, ojciec Maks! Mówił, że przyjdzie dziś wieczorem.

Jakoż około dziewiątej ojciec Maks, przezwany przez swe penitentki il padre nero, zasiadł w jednym z foteli pod lampą i słuchał opowiadania pani Aliny. Tym razem panie nie mogły się uskarżać na chłodne przyjęcie wielkiej nowiny. Czarne oczy ojca Maksa pały blaskiem, na jego wąskich ustach pojawiały się uśmiechy rozanielone, a ręce wznosiły się ku niebu z zachwytem.

— Vous etes benie, mon enfant — vous etes predestinee— powtarzał głosem drżącym ze wzruszenia. A gdy się dowiedział, że i matka zamierza wziąć udział w budowie wielkiego dzieła, radość jego i entuzjazm nie miały granic. Mówił o potędze natchnienia Bożego, wobec którego wszelkie dążenia i cele są niczym. Mówił o duszach wybranych, które poświęceniem i ofiarą zbawiają świat i prowadzą wciąż dalej dzieło odkupienia. Mówił i miłości Bożej, która wszystko zniesie, wszystko przetrwa i w końcu zwycięży.

Potem mówiono już wspólnie o rozmaitych zakonach, o potrzebach współczesnych, o grożących Kościołowi niebezpieczeństwach, o środkach i drogach do prędkiego osiągnięcia celu. Zarysy nowego zakonu Sióstr Bolejących zaczęły przybierać coraz wyraźniejsze kształty. A kiedy już późnym wieczorem ii padre nero wychodził od pań Halickich, zostawiał je pełne ufności w przyszłość i we własne siły, pełne nadziei w powodzenie



zamierzonego przedsięwzięcia. A sam ojciec Maks czuł się dumny, że wykształcił takie wzniosłe dusze i powtarzał zachwycony: *Quelles saintes femmes! quelles saintes femmes!*

## CZEŚĆ PIERWSZA

### I

Słońce weszło nad jeziorem. Mgły poranne uleciały w górę i rozwiały się. Zapowiadał się prawdziwie letni, skwarny dzień. Parę białych chmurków płynęło jeszcze tu i ówdzie, ale wietrzyk je rozpędzał, biegly więc skryć się za lasami. Czyste i szafirowe niebo objęło wieś litewską, oparło się z jednej strony na sosnowej ścianie lasu, z drugiej na pagórkach zieleniejących w dali i słało jej swe promienie, swą jasność, swe ciepłe podmuchy.

Dwór w Haliniszkach stał biały i jaśniejący w słońcu, oblany wodami jeziora, w których odbijał się razem z zabudowaniami folwarcznymi, starymi drzewami ogrodu, ze strzelającymi wysoko topolami. Życie powoli zaczynało się budzić. Z folwarku wyjechały w pole skrzypiące wozy, parobcy i najemne robotnice wychodzili gromadami gwarząc głośno. Koło obór i stajen uwijać się zaczęli fornale i pastusi. Gruby głos ekonoma dźwięczał donośnie. W domu otworzyły się drzwi od kredensu i wyjrzał stary lokaj, a potem chłopiec z dzbanem wybiegł po wodę. Koło garderoby słyhać było krzątanię, wreszcie sama pani marszałkowa wyszła na swą codzienną gospodarską wędrówkę.

Wyszła i zatrzymała się na ganku. Była mała i bardzo zgarbiona. Ubrana w czarną, kamlotową suknię i w czepeczek tiulowy bez żadnej ozdoby. Spod niego wysuwały się dwa pasma siwych, gładko przyczesanych włosów, które opasywały zmarszczkami poorane czoło i chudą żółkłą twarz o dużym orlim nosie, szarych, poważnych, rozumnych i spokojnych oczach surowo patrzących spod gęstych brwi. Podniosła twarz ku niebu, popatrzyła chwilę w jego gorący szafir, który się nad nią roztaczał, i szepnęła:

— Dziękować Bogu, będzie już ładna pogoda, żyto zwieziemy. — I powoli, stukając laską o stopnie, zaczęła zstępować z ganeczka. — Barometr od wczoraj poszedł w górę — dodała po chwili. Powolnym krokiem skierowała się ku folwarkowi. Niedaleko domu, zaraz za oficyną kuchenną, stały

zabudowania gospodarskie: obory, chlewy, ptaszniki, piekarnia, mieszkania ochmistrzyni, dziewczek i parobków, ale pani marszałkowa umyślnie wybierała zawsze drogę dłuższą, naokoło klombów. Idąc odmawiała pacierze. I teraz zawróciła ku krzakom jaśminowym i zaczęła półgłosem:

— Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki, bądź pochwalon...

Ale tu pieśń została przerwana. Na dębie, wznoszącym się pośród klombu, zrobiło się wielkie zamieszanie, słychać było łopot skrzydeł i klekot, szum i piski młodych bocianiątek, a z dala ukazał się w powietrzu bocian z rozpostartymi skrzydłami, niosący w dziobie jakąś grubą zdobycz. Pani marszałkowa stanęła i podniosła głowę.

— Ot, już wraca do dzieci. A jakie one już duże! Wkrótce wylecą z gniazda. Najwyraźniej widzę, jest ich czworo, a dziewczynki sprzeczały się, że tylko troje.

Na drzewie przez chwilę trwała kłótnia, odzywały się głosy i szumiały skrzydła, aż wreszcie się uciszyło i staruszka poszła dalej, rozpoczynając na nowo:

— ...Tobie śpiewa żywioł wszelki, bądź pochwalon, Boże wielki! A człowiek, który bez miary, obsypany Twymi dary...

Szła teraz obok rabatek kwiatowych, gdzie, skropione rosą poranku, podnosiły główki jaskrawe petunie, lewkonie, groszek pachnący i ciemne bratki, a rezeda bujnie rozsyłała dokoła przenikliwą woń. Gdzieniedzie wyrastały ciemne krzaki georginii i wznosiły się wysoko cienkie i sztywne malwy, błyszcząc delikatnymi, niby z papieru wykrojonymi, kwiatami.

— ...Obsypany Twymi dary, coś go stworzył i ocalił, jakże by Ciebie nie chwalił...

Od kwiatów wionęło słodkim zapachem. Parę pszczoł przyleciało z brzęczeniem i usiadło na kielichach. Staruszka zatrzymała się znowu, obie

ręce oparła na lasce i przyglądała się jaskrawym barwom kwiatów, ale nie przerywała modlitwy:

— Ledwie oczy przetrzeć zdołam, już do mego Pana wołam, do mego Boga na niebie i szukam Go...

— A pójdziesz! — zawołała nagle, gdy wielka wyżlica, biała w żółte plamy, wyskoczyła z bocznej ścieżki i pędziła prosto przed siebie poszczekując radośnie na widok pani.

— A pójdziesz! — powtórzyła.

Ale Dianka wiedziała bardzo dobrze, że na staruszkę skakać nie można, więc tylko przypadła jej do nóg kręcąc ogonem, skomląc radośnie i ocierając grzbiet o jej czarną suknię.

— ...I szukam Go koło siebie. Wielu snem śmierci pomarli, co się wczora spać pokładli...

Westchnienie wyrwało się z piersi staruszki.

Oj, niedługo tu już, niedługo na tym świecie przebywać! Siedemdziesiąt lat to nie żarty. Już i nogi nie służą, i sił z każdym dniem ubywa, i pamięć słabnie. Koniec się zbliża.

— ...My się jeszcze obudzili...

Wkrótce przyjdzie taki dzień, że się nie obudzi, że spocznie na wieki na cmentarzu parafialnym, w cieniu kamiennego krzyża, który już tylu bliskich osłania. Bo i czas po temu, oj, czas wielki!

— ...My się jeszcze obudzili, byśmy Cię, Boże, chwalili. Amen.

— Niechaj pani obaczy, jakiego szczupaka dał Bóg dziś złapać — odezwał się tuż obok męski głos.

Z przeciwnej strony nadchodził wysoki mężczyzna w długich butach niosąc spory ceberek z wodą. Zdjął czapkę, zaświecił w słońcu łysiną, i mówił dalej:

— Poszedłja dziś skoro świt buczę wytrząsać. W pierwszym — same raki siedzą, w drugi płotek nalazło — paskudztwo! Wziął to, nazad w jezioro

wrzucił. A w trzecim — patrzę, cości dużego siedzi. Aż ot — ten szelma był wlaższy. Ha, zdrowy szczupak!

Pani marszałkowa pochyliła się nad ceberkiem.

— Piękna sztuka! — rzekła. — I w samą porę, toż dziś pani Antoniowa przyjeżdża.

— Aha, wiem. Ja zaraz i pomyślał, że damy jutro na obiad. A czy z niego lepiej marynatę zrobić, czy tak, do jakiego sosu?

— To zobaczymy, pomyślimy, jak dogodzić. Nie wiadomo, jaka tam za granicą moda.

— Pójdęz ja teraz, do lodowni jego zaniosę. A czy u pani klucze? Pani marszałkowa wyjęła z kieszeni wielki pęk kluczy.

— A powiedz, Aleksandrze, niech Werusia wcześniej ogień zapali w kawiarni i niech śmietankę sparzy.

— A dobrze, powiem.

Rozeszli się. Józef pobrzękując kluczami ruszył ku dworowi. Dianka pobiegła za nim. Pani marszałkowa okrążyła kuchenną oficynę i znalazła się na folwarku. Pół wieku już minęło, jak codziennie swój gospodarski spacer odbywała. Przed pięćdziesięciu laty jako piętnastoletnią dziewczynę przywiózł ją tu, do tych samych Haliniszek mąż, oddał jej wielki pęk kluczy i rzekł:

— Anuleczko, królowo moja, w ręce twoje składam moje bogactwa. Rządź, rozkazuj, panią tu jesteś, a my wszyscy twoi słudzy.

I wzięła wtedy klucze w dziecinne jeszcze rączki, i dotąd je dźwiga w zestarzałej dłoni. Panią była w tym domu, ale też — jak to sama często lubiła powtarzać — i sługą wszystkich sług swoich. I nie było człeka w całym ludnym dworze, żeby nie miał do niej spraw i interesów; nie było biedy, nie było frasunku, których by dzielić z nimi nie musiała. Czy kto zachorował, czy były niesnaski w rodzinie, czy piorun chatę spalił lub zaraza bydło wygubiła, czy nie wiedziano, jak dzieckiem pokierować, czy potrzebowano rady lub zasiłku — szło się wprost do pani marszałkowej. Ona zawsze była w domu, zawsze

„na służbie”. O każdej porze dnia przyjmowała, wstając od rozpoczętego listu, nie kończąc szklanki herbaty, przerywając rozmowę — wychodziła do przedpokoju i słuchała.

Nikt, choćby najbiedniejszy, nie bywał od jej drzwi odtrącony, nikt nie odchodził od nich bez pomocy lub pociechy. Była surowa, ale sprawiedliwa, a sąd jej uważany był w okolicy za najwyższą instancję, od której już nie śniło się nikomu szukać apelacji. Pierwszy mąż głowę skłaniał przed jej zdaniem:

— Anuleczko, pani moja, co rzekłaś, to święte — mówił. — Salomonem jesteś, jak mi Bóg miły.

Na to jej poważna twarz rozjaśniała się uśmiechem i groziła mu palcem, mówiąc:

— Oj, ty, ty, pochlebco!

Wyszła, mając lat piętnaście, za pięknego Stefana Halickiego, którego wykształcenie, uroda, fortuna, stosunki, a nade wszystko wdzięk w obejściu i dar ujmowania sobie ludzi czyniły pierwszą partią w powiecie. Wyszła z gorącej miłości i oddała mu się całą duszą, dumna, że jest żoną człowieka, który w całym kraju znany był ze swych cnót obywatelskich, z popularności, z gotowości do służby publicznej. Widziała w nim wielkiego człowieka i, szanując tę wielkość, poświęciła się jej pielęgnowaniu.

Mąż jeździł z zebrania na zebranie, a ona siedziała w domu, chowała dzieci, doglądała gospodarstwa, dbała o dobrobyt i powoli brała w swe ręce zarządzanie całym domem. On romantyk, poeta, filozof, rad był pozbyć się nieznośnej troski o byt, wstrętną mu życiową prozę odsunąć daleko od siebie. Więc coraz chętniej powierzał jej gospodarstwo i interesy i mieszać się nie chciał do niczego, oddany innym sprawom. A ona, skrętna i pracowita, zapobiegliwa i roztropna, silną dłonią dzierżyła swe berło. Fortuna rosła, pieniądze się pomnażały, dostatek i obfitość panowały w Haliniskach. Dbając o przyszłość synów dokupiła parę pobliskich wiosek, potem otrzymane w spadku poleskie dobra, Olanowicze, ogromne, ale zniszczone doszczętnie,

uporządkowała i oczyściła z długów. Nawet wtedy, gdy pan Stefan, obrany marszałkiem, przeniósł się do Wilna i zaczął tam prowadzić dom otwarty, zyskując sobie coraz większą popularność i coraz liczniejsze zastępy przyjaciół, pieniędzy starczało na jego wystawne życie, nigdy nie odczuł materialnych braków.

— Gdyby nie ty, królowo moja — powtarzał nieraz — z torbami bym poszedł, jak mi Bóg miły, z torbami.

Toteż i jej znaczenie rosło i powaga w rodzinie stawała się tak wielka, że nie ustępowała w niczym mężowskiej. Dla synów każde jej słowo było rozkazem i świętością. Rośli w karności, w czci dla rodziców, prowadzeni surową, ale kochającą dłonią. Było ich pięciu: Juliusz, Stefan, Józef, Antoni i Adam, jak pięć klejnotów w koronie. Józef ożenił się i objął w posiadanie odległe Olanowicze. Marszałek z czasem wrócił do rodziny, zestarzały i złamany, szczęśliwy już tylko, że ma kąt własny, z jedynym pragnieniem: spokoju. Wdowa po Antonim, której charakter wiecznie żądny wrażeń narażał często na przykrości całą rodzinę, wyjechała za granicę ze starszą córeczką, zostawiając młodszą Zosię pod opieką dziadków i oddając Adamowi w zarząd mężowski majątek, śliczny Biały Dwór. Adam też pomyślał o ożenku. Wybrał na żonę kobietę młodą i piękną i pokochał ją gorąco. Ale szczęście mu nie dopisało, narzeczona umarła niedługo przed ślubem, a on już na zawsze pozostał samotny. Nie oddalał się odtąd z Haliniszek. Zajął się pilnie gospodarstwem, pomagał matce, zarządzał Białym Dworem, pracował i krzątał się, nie myśląc więcej o własnym szczęściu.

I życie szło naprzód zwykłą koleją. Starzy coraz bardziej chylili się ku mogile, młodzi rośli hartowani przez życie. Rozkwitały uczucia nowe, męźniały serca, dłonie wyciągały się do pracy, umysły zwracały się ku skarbowi nauki. Życie, prawie wstrzymane przez chwilę, znowu zaczynało tętnić.

W Haliniszkach, pod opieką babuni, rosły dwie młode gałązki i rozwijały się prześlicznie: Zosia — zdrowa, pełna sił i wesołości — była promieniem słonecznym w rodzinie, i Ania — sierota, którą marszałkowa przygarnęła i wychowała, a która dziś płaciła za doznane dobrodziejstwa miłością, wdzięcznością, poświęceniem. Była córką pięknej Celiny Halickiej, stryjecznej siostry tutejszych Halickich, która w młodości zakochała się w jakimś pięknym oficerze i wbrew woli całej rodziny wyszła za niego. Była to ciemna historia — gdzie, jak i z czego żyli, nikt nie wiedział, dość, że po kilku latach smutnej włóczęgi Celina wróciła do kraju jako wdowa, z malutką córeczką, bez środków do życia i z początkiem suchot. Nie śmiejąc się pokazać rodzinie, osiadła w Warszawie, próbując zarabiać na swe utrzymanie. Ale szczęśliwy traf zrządził, że pan Adam przypadkowo ją spotkał, a widząc, w jakim jest położeniu, zabrał i przywiózł do Haliniszek. Wprawdzie pani marszałkowa skrzywiła się dość ostro na jej widok, bowiem w legalność ślubu Celiny nie wierzyła nigdy, i wszelkie jej życiowe przejścia traktowała zawsze pogardliwie jako skandal rodzinny. Ale teraz Celina była taka zabiedzona, a przy tym tak chora, że trzeba było zapomnieć o wstydzie, jaki przyniosła rodzinie. Została więc. Cicha, blada, złamana, dogorywała w kąciuku, aż na koniec zgasła, nie robiąc nikomu kłopotu i poszła odpocząć w rodzinnym grobie po swym burzliwym i gorzkim istnieniu. Nazwiska mężowskiego na kamieniu nagrobnym nie wyryto.

Pozostała po niej sześciolatnia Ania wyglądała tak, jakby też niedługo zamierzała na tym Bożym świecie przebywać. Jej drobna twarzyczka świeciła tylko dziwnym i trochę gorączkowym ogniem olbrzymich, czarnych oczu. Jej zapadłe piersi, drobne rączki, jej krótki oddech, jej nerwowość, wrażliwość, jakaś przedwczesna uczuciowość — to wszystko nie dawało nadziei na przyszłość.

— I co my z nią zrobimy? — spytał pan Adam matki, gdy wieczorem, po pogrzebie Celiny, mała, zmęczona płaczem, zasnęła na jego kolanach.



— A cóż, kochanie moje, wychowamy — odparła pani marszałkowa.

I wychowali. Odtąd obce dziecko, zrazu nieufnie powitane, wcieliło się w ten dom. Zapomniano ojej niepewnym pochodzeniu, o przeszłości. Mała wkrótce też sama o tym zapomniała. Znalazła rodzinę, dom i najczulszą opiekę. Znalazła babunię, u której za parawanem spała w łóżeczku, a która jej czasem robiła sanki z kart albo latawce z długimi ogonami, a wkrótce też brała na kolana i w wielkiej gazecie pokazywała litery. Znalazła stryja, którego miała prawo ciągnąć za wąsy i rozwiązywać mu krawat. Miała swoją Franusię, swojego pieska Amisia na dziedzińcu i wózek mały, a z czasem i ogródek swój dostała, a w nim własne rzodkiewki, ogórki i trochę kwiatów. Wreszcie i siostrę dał jej los, zsyłając do Haliniszek Zosię. I odtąd dziewczynki nie rozstawały się wcale.

Zosia, młodsza o rok od Ani, była wyższa, silniejsza, żywa i ruchliwa jak chłopiec. Ale za to Ania, pilna w naukach, rozmiłowana w czytaniu, imponowała Zosi i rozbudzała w niej ambicję. Z latami zdrowie Ani poprawiło się cokolwiek, tylko ani gwałtownych ruchów, ani zmęczenia, ani silniejszych wrażeń nie mogła znosić bezkarnie.

Bujna młodość Zosi i wdzięczne serce Ani opromieniały stary dom i ogrzewały skołatanych życiem jego mieszkańców. Marszałek nie mógł się obejść bez rannych odwiedzin obu wnuczek, które codziennie musiały go bawić podczas picia kawy. Pan Adam na ich widok rozjaśniał chmurną zwykle twarz. Babunia wodziła wzrokiem pełnym zachwyty za Zosią, a nad Anią kiwała smutno głową, martwiąc się jej złym zdrowiem. Nawet stary służący Grzegorz i panna Borsakówna apteczkowa wstrzymywali się od gderania na panienki. Były one ukochanymi dziećmi całego dworu, młodymi gałązkami, które strzaskany pień zdobiły świeżością i zielenią.

Gdy pani marszałkowa weszła na dziedziniec folwarczny, zbliżyła się jedna z gospodyń i pocałowałwszy ją w rękę, mówiła długo o jakimś własnym interesie. Obok zaś stał już stary owczarz, przybyły także z prośbą do pani.

Załatwiwszy się z nimi, poszła dalej. Na folwarku było już spokojnie. Parobcy i robotnicy dawno wyszli w pole, bydło przed świtem wypędzono na pastwisko. Pani marszałkowa zajrzała do kurnika, kazała wypędzić młode indyki i pochwaliła, że się dobrze chowają; weszła do chlewu i wyznaczyła parę sztuk na podkarmienie, spytała o ranny udój i o tę krowę, co to wczorajszego dnia zakulała wracając z pastwiska. A że cielętom niosły właśnie dziewczki jadło, więc zaszła do ich zagrody i, oparta na kijku, patrzyła z przyjemnością na ich ładne, białe łebki, zanurzone w korytach, na ich uszy odstające, którymi co chwila potrząsały odpędzając muchy, na tłuste ich ciała, pokryte płową sierścią.

— Jak wylizane — rzekła ochmistrzyni — a strach, jakie żarłoczne, co im nic dać, zawsze mało.

— Dziękować Bogu, tegoroczne udały się — odparła pani i zwróciła się ku wyjściu.

Z piekarni doleciał zapach świeżego chleba, więc zatrzymała się jeszcze i spytała, z jakiej ilości rozczyniono, a ochmistrzyni skorzystała ze sposobności i rozpoczęła długą skargę na pisarza, że niegodną mąkę daje, same plewy, i to nic dowoża, a potem łaje się, że chleb kiepski, tak że ona z tej przyczyny i zdrowie straciła, i przez to ludzkie gadanie dłużej nie może wytrzymać, ale pani marszałkowa przerwała:

— Daj pokój, Marcinowo, już ja znam twoje skargi. Pisarz daje, co kazano, a ty masz niespokojny charakter.

I zawróciła ku dworowi. Ochmistrzyni została na drodze z rozpoczętym opowiadaniem i otwartymi ustami.

Widząc przechodzącą staruszkę, kilkoro dzieci, które dotąd siedziały na ganku od piekarni, puściło się pędem za nią. Były bose, z rozwianymi

lnianymi czuprynymi, młodsze w koszulach tylko, a starszych parę w spodenkach i w ojcowskich czapkach. Za nimi szła siedmioletnia może dziewczynka niosąc na ręku duże dziecko i uginając się pod jego ciężarem. Spieszyła się bardzo, aby nie zostać w tyle. Dzieci zabiegły drogę pani i stanęły nieruchomo zbite w gromadę. Nic nie mówiły, tylko oczy ich, błękitne jak niezapominajki, patrzyły pytająco, jakby na coś czekały. Pani musiała dobrze znać te obyczaje, bo stanęła, chwilę także na nie patrzyła, a potem zaczęła szukać czegoś w kieszeni. Powoli wyjmowała z niej po kawałku cukru i podawała dzieciom, a one przytykały brudne buzie do jej ręki i prędko niosły cukier do ust.

— A cóż matka, chodzi już? — spytała dużego, pyzatego chłopaka.

— Jeszcze nie chodzi. Wczoraj z nogą było lepiej, ale dziś znowu haniebnie boli.

— Przyjdź do dworu po południu, to panienka znowu maści przyprawi. Zwróciła się teraz do starszej dziewczynki, dźwigającej dziecko:

— A czemuż to jego nosisz? Czy to on chodzić nie umie?

— Kiedy płacze.

— Popłacze i przestanie. Nie wolno go nosić. No, masz. Czemuż wczoraj nie przyszłaś do panienki?

Dziewczynka spuściła głowę zawstydzona, bo musiała mieć grzech na sumieniu.

— Przyjdźże dzisiaj, taka duża, a jeszcze czytać nie umie! Fe!

Pani marszałkowa ruszyła w swoją stronę, a kilka kroków za nią szły i dzieci. Co dzień tak było i co dzień, po otrzymaniu przysmaku, odprowadzały ją aż pod kuchnię. Dalej, do pałacu, wolno było chodzić tylko w niedzielę na pacierze i to tylko starszym. Koło oficyny zatrzymał marszałkowa nadchodzący pan Adam.

— Dzień dobry mamci — rzekł schylając się do ręki staruszki, a ona pogładziła go po głowie. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu i okazałej

tiszy. Miał opaloną twarz i nierówne, twarde wąsiska opuszczone w dół melancholijnie. W ogóle wyraz jego twarzy, pomimo okrągłości i jaskrawej cery, był smutny, fraszobliwy, przygnębiony, jakby martwy. Tylko szare oczy, do oczu matki podobne, patrzyły rozumnie.

— Jakże ty, kochanie moje, ze zdrowiem? — spytała matka. Marszałkowa mówiła głośno i wyraźnie, a on ucho przechylał i oczami

starał się zgadywać słowa. Słuch miał tępy od dzieciństwa, a teraz, po różnych przejściach, nieszczęściach i chorobach, które przeżył, pogorszył się jeszcze i ciężko było z nim rozmawiać. Był to najmłodszy z pięciu synów marszałkostwa i może najukochańszy, chociaż pani marszałkowa nigdy się do tego nie przyznawała. Ale gdy patrzyła na niego, oczy jej wilgotniały z rozrzewnienia, uśmiech ukazywał się na zapadłych ustach i wyglądał zmarszczki. Czasem wzdychała ciężko i głową kiwała nad jego dola.

— Jakże ty, kochanie moje, ze zdrowiem! — powtórzyła głośnie.

— A nic, mamciu. Dobrze. To głupstwo! Ale ładną pogodę mamy na koniec.

— Chwała Bogu.

— Będziemy mogli żyto zwozić nareszcie.

Chwilę milczeli oboje, patrząc na zalane słońcem podwórze, na dom bielejący w głębi, na zieleń i kwiaty i na błyszczącą taflę jeziora, które leżało tam w dali błękitne i przezrocze.

— Pięknie dziś! — rzekła pani marszałkowa.

— Pięknie, mamciu. Nie ma nic na świecie nad nasze Haliniszki. Uśmiechnęła się do syna i zauważyła:

— A ot, Antoniowej nie w guście. Woli zagranicę. On zasepił się, ściągnął brwi i rzekł krótko:

— Bo głupia.

I znowu stali milcząc obok siebie, a oczy ich z lubością oglądały otaczające przedmioty.

— A wysłałeś konie?

— A jakże, wyszły rankiem. Faeton i bryka.

— Zobaczmy, jakie to te nowe projekty Antoniowej. Może tu osiadzie?

Ale on, choć słyszał, tylko ręką machnął lekceważąco, jakby o takich rzeczach i mówić nie było warto, a spostrzegłszy opodal łowczego, ku niemu się zwrócił. Pani marszałkowa też skierowała się w swoją stronę, ku lodowni, spiżarni i apteczce, gdzie Aleksander z rondlami czekał na wydanie obiadu, a rudy Żydek na opłacenie mięsa, i gdzie ten i ów zaczął krążyć z różnymi interesami. Jeden przyszedł po pieniądze na pensję, drugiemu wypadło dać lekarstwo, ten przyniósł jaja i kurczęta do sprzedania, tamten prosił o przyjęcie dziewczynki na służbę, leśniczy przyniósł parę sztuk zwierzyny, a prosił o sok dla chorej żony, ekonomowa z drugiego folwarku przysyłała ogórki, a ekonom skarżył się na pachciarza; ogrodnikowa przychodziła pytać, ile truskawek zebrać na konfitury, a przy tym donosiła, że chłopaki ze wsi plądrowali w nocy po ogrodzie, wkradłszy się przez dziurę w płocie. Nagle przybiegł chłopak kredensowy z oznajmieniem, że Marcela kuchenna wylała sobie na nogę cały garnek gorącego mleka, a teraz jęczy i krzyczy wniebogłoso.

Pani marszałkowa od jednego do drugiego szła spokojnie, miarowym krokiem. Tu weszła do garderoby i wydała jakiś rozkaz, tu wróciła do biurka i zapisała coś do księgi, z apteczki coś wydała, tego wysłuchiwała, tamtemu zrobiła wymówkę, temu wypłaciła należność. To się schyliła do szafki z lekarstwami, to wyciągnęła z szuflady rejestry gospodarskie, obrachowała coś, uporządkowała to i owo. I jak czółenko w krosnach, tak krążyła tam i na powrót, od swego gabinetu do przedpokoju, od garderoby do spiżarki, nie spiesząc się ani niecierpliwiąc, zawsze ta sama, spokojna i drugim na usługi oddana.

I tak było co dzień, przez długie lata.

## II

Panienki jeszcze spały. W ich pokoiku, na górze, cicho było zupełnie, przez nie zasłonięte okna dzień wpadał swobodnie. Nawet przez dzikie wino, które dom pokrywało, wdarł się promień słoneczny i kładł drgające blaski na bielonych ścianach i na podłodze. A panny wciąż spały.

Zosia, biała i pełna, leżała w gęstwinie swych złotych włosów, wyciągnięta na stale za krótkim łóżku. Głowę, wspartą na ramieniu, odrzuciła w tył, zsunęła na bok kapeę, którą była okryta, i bosc jej stopy wyglądały spod długiej koszuli. Spała twardo, nieruchoma jak posąg złożony na puszystym sienniku i jak posąg biała w swych płóciennych draperiach, bezdusna i nieświadoma. Tylko fałdy na jej piersiach podnosiły się równo, tylko włosy jej rozsypane na poduszce falowały i lśniły, a przez jej młode i zdrowe ciało przepływała fala gorącej krwi, która różowiła jej okrągłe policzki i wydęte podczas snu usteczka.

Pod przeciwległą ścianą stało drugie żelazne łóżeczko. Na nim, wtulona w poduszki, czerniała chuda i drobna twarz Ani. Jej ciemne rzęsy rzucały cień na policzki, na ustach pojawił się wyraz cierpienia, chorobliwe jakieś skrzywienie, które mógł rozwiać uśmiech, a które uwydatniało się teraz boleśnie na tej tak młodej jeszcze twarzy. Przez rozchylone nieco usta przedzierał się nierówny, przyspieszony oddech. Czasem lekkie drżenie przebiegało po całym ciele Ani, poruszała się niespokojnie i westchnienie jej się wyrywało, jakby skarga.

Promień słońca, wdarłszy się przez liście dzikiego wina, błdził po pokoju, rozświecał kąty, dobywał blaski ze zwierciadła, ze srebrnych lichtarzy, wreszcie położył się wielką smugą na łóżku Zosi. Naprzód polechtał jej stopy, potem ozłocił fałdy jej koszuli, okrągłą linią światła zarysował jej biodra, wspiął się ku szyi, która odbiła się różowym blaskiem od białości płótna, rozsypał tysiące iskier w jej warkoczu i zaczął całować jej usta. Zosia poruszyła

się leniwie, odwróciła do ściany i próbowała zasnąć. Chwilę leżała spokojnie i już, już zapadała w twardy, młodzieńczy sen, gdy nagle zerwała się.

— Wszak to dziś mama przyjeżdża! — zawołała. — Ach, Boże, a ja śpię sobie, jak gdyby nigdy nic. Aniu, wstawajmy!

Na drugim łóżku, pod kołdrą, poruszyła się wątła postać.

— Co? Co się stało? Ach, to ty...

— Mama dziś przyjeżdża — powtórzyła Zosia.

— Zaraz, zaraz, poczekaj... Ja tak chcę spać...

— Ej, nie można, trzeba wstawać. Tyle jeszcze roboty!

Ale Ania nie słyszała. Znowu oczy zamknęła i głowę oparła o poduszki. Zosia przeciągnęła się, ziewnęła szeroko i usiadła na łóżku.

— Ciekawa jestem, jaka dziś pogoda — szepnęła.

Podniosła się żywo i bosy pobiegła ku oknu. Otworzyła je szeroko i słońce całym potokiem wlało się do białego pokoiku, a z nim tchnienie letniego dnia, zapachy pól i rozgrzanej ziemi, odgłosy ludzi, szczekanie psa w oddali.

— Ach, jak ładnie — myślała Zosia i wzrok jej pobiegł w dal... — Dobrze być w domu! Jakie śliczne to jezioro w słońcu! Ciepło! Miło! Dobrze będzie wykapać się dzisiaj. Ale tymczasem nie o kąpeli i nie o rozrywkach, ale o robocie wypada pomyśleć. Mama ma przyjechać nad wieczorem i babunia kazała przygotować jej pokoje. A te właśnie wyklejano nowym obiciem i wszystko się zabrudziło, więc trzeba będzie na nowo zapastować i wyfroterować posadzki, zawiesić świeże firanki, bo przecież musi być elegancko na przyjazd mamy i Tereni, za granicą przywykły do pięknego mieszkania i do wygod. I kwiatów trzeba narwać i porobić bukiety. O, teraz właśnie kwitną niezapominajki, a mama je tak lubi! Tam, za Pasznią, na łące, jest ich mnóstwo. Gdyby tak jeszcze przed obiadem zdążyć i pojechać z Anią! Więc nie trzeba tracić czasu.

Zosia jednak nie odchodziła od okna i patrzyła przed siebie zamyślona. Więc to dziś miała przyjechać mama, ta mama taka śliczna i pobożna, i doskonała, i Terenia, Terenia, którą wszyscy tak szanowali jak świętą. I doprawdy musiała być trochę świętą, jeśli od najmłodszych lat myślała tylko o zakonie. Już trzy lata, jak ich nie widziała. Wtedy była jeszcze dzieckiem, mój Boże, dzieckiem w krótkiej sukience. Więc ocenić ani zrozumieć nie mogła mamy i Tereni. Ale teraz ma lat osiemnaście, skończyła wychowanie, była przez cały rok w Warszawie. Teraz to zupełnie co innego, teraz potrafi pojąć te natury tak wzniosłe, tak wyjątkowe, te dusze tak święte. To są pobożne i gorliwe katoliczki, i chociaż z daleka, ale bardzo kochają swój kraj i wszystko, co polskie. Więc cóż łatwiejszego, jak się porozumieć i połączyć wszystkie myśli i dążenia.

— Teraz już pewnie będę zawsze razem z mamą. Terenia może wstąpi do klasztoru, ale my pewnie tu zostaniemy, może w Białym Dworze. I pewnie kiedyś pojedę gdzieś za granicę, do Włoch. O, gdyby tak pojechać do Włoch! Zobaczyć Rzym i Koloseum, i te wszystkie ruiny, i miejsca święte, i samego papieża! Boże, jak to musi być przyjemnie. Ale jeśli nie za granicę, to może i tak gdzie pojedę, na karnawał do Warszawy, bo i mama o tym w listach wspomina i stryjcio ciągle powtarza, że pannę trzeba pobawić trochę i świat jej pokazać, i za męża wydać. Już to na zamążpójście dość będzie jeszcze czasu, ale pobawić się byłoby bardzo przyjemnie. Bywać na balach, mieć suknie jedwabne, czesać się modnie, jeździć kareta z wizytami i tańcować, tańcować, tańcować! A potem, kiedyś, wyjść za męża. Ale to jeszcze nieprędko, tak, może za pięć lat, ale nie prędzej. I to tylko z miłości, bo inaczej — za nic w świecie.

— Ale tak czy inaczej, jak to będzie miło być już ciągle z mamą. Wszystkie panienki w Warszawie miały swoje mamy, a tylko ona i Ania nie miały. No, Ania, to nic dziwnego, bo sierota, biedna Ania! Ale jak się naprawdę ma mamę, to już trzeba być razem. Dobrze, że już teraz będą razem.



I Zosia przeciągnęła się w słońcu, ziewnęła raz jeszcze i zaczęła się ubierać. Ania też się nareszcie obudziła, ale leżała cicho patrząc na krzątającą się Zosię.

— Aniu, wiesz — rzekła Zosia, stając przed nią z wysoko podniesionymi rękami, gdyż upinała sobie włosy do mycia — wiesz, zaraz po śniadaniu założymy kuce i pojedziemy do Paszni po niezapominajki dla mamy.

— Dobrze.

— A ty dzisiaj będziesz zdrowa?

— O tak. Nic mnie nie boli.

— Siądziesz sobie spokojnie w sadzie, pod tą dużą gruszą, możesz nawet wziąć książkę, a ja pobiegnę na łąkę, tam, wiesz, gdzie olchy, tam ich pełno rośnie. A tymczasem trzeba jeszcze pokoje urządzić, bo pewnie ta wrona — Julka — palcem nie kiwnie bez nas.

— Mówiła wczoraj, że wszystkiego dopilnuje.

— Et, już jej dopilnowanie! A teraz, Aniu, nie patrz w moją stronę, bo będę się myć.

Rozmowa się urwała, ale za to w jednym końcu pokoju rozległo się zawzięte pluskanie, mydlenie, szorowanie szczoteczką, potem chwila ciszy i znowu energiczne wycieranie się ręcznikiem.

Tymczasem Ania podniosła się na łóżku i zabrała się do wielkiej i męczącej czynności ubierania się. A widocznie czynność ta była dla niej ciężka, bo co chwila musiała odpoczywać. Pomimo że jej zdrowie znacznie się poprawiło, sił ciągle jej brakowało i każdy ruch ją męczył. Była „niedołęgą”, jak sama mówiła, a wątłość ta raziła tym bardziej że obok rozkwitała jak kwiat w słońcu hoża i silna postać Zosi.

Zosia skończyła swe ablucje i różowa od chłodnego dotknięcia wody, z mokrymi jeszcze kosmykami włosów nad czołem, stanęła przed lustrem i zabierała się do czesania.

— Już babunia siedzi przy herbacie — rzekła — bo widziałam, jak nieśli masło z lodowni. A dziś świeże sucharki pieką...

— Wszak miałaś upiec sama na przyjazd cioci?

— Tak, ale cóż, kiedy nie miałam czasu. Przecież wczoraj przez cały dzień smażyłam agrest i wiśnie. Ale wiesz, Aniu, co ci powiem — tu Zosia z grzebieniem w ręku zwróciła się do Ani — pamiętasz naszą przysięgę, że będziemy pożyteczne? Otóż największym pożytkiem teraz byłoby osiąść w Białym Dworze i tam coś robić wkoło siebie, tak jak babunia w Haliniszkach. Bo jednak to grzech tak opuścić ten nasz Biały Dwór!

— Skąd ci to przyszło na myśl?

— To, widzisz, tak było: wczoraj przyjechała stamtąd Bartłojowa i zaczęłam z nią rozmawiać i pytać o wszystko i o tę Katarzynę, co to jej się niedawno urodziło dziecko. Otóż wiesz — dziecko urodziło się bardzo słabe i nikogo rozsądnego przy tym nie było, więc zanim się wybrali z nim do kościoła, dziecko umarło. I wiesz, Aniu, bez chrztu umarło.

— Ach, mój Boże! Czemuż go nie ochrzcił ktokolwiek?

— Czemu, właśnie dlatego, że tam nie ma nikogo takiego, coby myślał.

Oni tam wszyscy żyją bardzo źle. A jak napadłam na Bartłojową, że ona powinna by takich rzeczy pilnować, powiedziała mi na to: ajej, panienko, tam taki „drenny” naród, oni i Boga nie znają, i do kościoła nie chodzą, a z dzieci we dworze to żadne nie umie pacierzy.

Zosia zamilkła. I stały naprzeciw siebie obie dziewczynki ze zgorszeniem na twarzach. Wreszcie Ania zaczęła:

— Może by teraz ciocia...

— I ja tak myślę — dokończyła Zosia — i to by było najlepiej. Przecie można wyjechać czasem na krótko czy do Warszawy, czy za granicę — ja bym nawet bardzo chciała, szczególnie do Rzymu, ale mieszkać trzeba w Białym Dworze. I tak naprawdę, to doskonale można by tam się urządzić, dom trochę zrujnowany, ale to łatwo można naprawić.

— Ale czy ty myślisz, że twoja mama chciałaby tu zostać? — spytała Ania niedowierzająco.

— Czy ja wiem! Chociaż... może... Pisze, że ma jakieś nowe projekty, a zresztą i pieniędzy za mało na te ciągłe jazdy. Stryj mówił...

— Zobaczymy.

— Zobaczymy.

I Ania westchnęła, a Zosia usłyszała smutną nutę w jej głosie i zawołała:

— Tylko ty się nie smuć, mój Niuczku drogi! Bo co by się stało, my zawsze będziemy razem. Rozumiesz, robaczku, rozumiesz?

I obejmowała ją ramieniem, i pochylała nad nią głowę, macierzyńskim trochę ruchem gładząc jej włosy. Ale Ania uśmiechnęła się i odparła:

— Dajże pokój, ja się nie smucę. Ale to, co mówisz, że zawsze będziemy razem, to tylko ładne marzenie, a naprawdę będzie zupełnie inaczej. Ty pójdziesz gdzieś w świat i pewnie zaraz wyjdiesz za mąż, a ja...

— Ach, kiedy to będzie! Ja teraz nie chcę wychodzić za mąż. Kiedyś może, ale nie teraz. A może zostanę starą panną. Kto wie?

Zaśmiały się obie.

— Starą panną! Ty!

I Ania patrzyła z uwielbieniem na Zosię. Dla niej nie było piękniejszej, lepszej, doskonalszej na świecie. Pewna była, że równego ideału dotąd natura nie wydała — i w myśli jej nigdy nie powstało porównywać się do niej, a tym bardziej być o nią zazdrosną.

— Ciebie zaraz ktoś porwie — rzekła.

— I mnie, i ciebie, i każdą. Wiadoma rzecz: każda wrona znaleźć musi swojego gawrona — zaśmiała się wesoło Zosia.

— Nie, ja nie. Nigdy...

— Ale dlaczego?

— Dla wielu różnych powodów, a między innymi i dlatego, że jak się jest biedną, brzydką i wiecznie cherlającą, to lepiej o zamążpójściu nie myśleć.

— Ot, Aniu, gadasz! A ja ci mówię, że masz cudne oczy i jesteś bardzo interesująca. I gdybym ja była chłopcem...

Miała ochotę coś dalej mówić, ale w tej chwili doleciał z podwórza stary, piskliwy głos, a także tak głośne szczekanie i ujadanie psów, że Zosia pobiegła do okna, aby zobaczyć, co się dzieje.

— Aniu, zobacz! Toż Kostucha, naprawdę Kostucha, a mówili, że ona umarła, ach, jak to dobrze! Poczciwa moja — kochana...

— Prawda, Kostucha. A ja za nią już dziesięć razy zmówiłam Wieczne Odpoczywanie.

— O, to jej się przyda na drugi raz. Ale musiała chorować, bo widzisz, jak się postarzała, i torbę już ledwie dźwiga. Ach, jaka jestem rada! Zaraz lecę ją przywitać! A te psiska jakby jej nie znały, szczekają jak na obcą żebraczkę.

— Cicho, pieski! — Zosia wychyliła się przez okno — a do nogi, leżeć mi zaraz, nie znacie Kostuchy, czy co! — Jak się masz Kostucho! To ty nie umarłaś? — krzyczała dalej przez okno kończąc zapinać stanik — dawno nie byłaś...

Jakieś niewyraźne mruczenie doszło z podwórza i Zosia odbiegła od okna.

— Aniu, pożycz mi kilka groszy, bo ja nie mam, a przecie trzeba jej coś zanieść.

I wzięwszy miedziaki, wybiegła z pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Ale zatrzymał ją głos Ani:

— Zosiu, Zosiu, a pacierze? Zapomniałaś?

— Ach, prawda, zapomniałam. Ot, głowa! — I wróciwszy pośpiesznie, uklękła przy łóżku i półgłosem zaczęła: Ojcze nasz, któryś jest w niebie. Oczy przymykała, marszczyła brwi i ręce mocno ścisnęła, aby skupić uwagę i myśli. Ale zanadto było słońca dokoła i zapachów, i szmerów w powietrzu, i krew

młoda zanadto jakoś kipiała, i życie wołało, a myśli, jak gromada motyli, fruwały po świecie. I nie szła modlitwa, i nie mogło się serce oderwać od tej ziemi, gdzie mu tak dobrze było. Więc tylko usta trzepały jedną po drugiej codzienne modlitwy, a myśli były daleko, daleko...

...Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen. Boże, bądź miłościwi Boże, bądź miłościwi Boże, bądź miłościwi Trzy razy uderzyła się w piersi, przeżegnała się prędko i wstała.

— No, skończyłam. A Kostucha pewnie już poszła.

Ale nie. Żebraczka stała jeszcze przed gankiem, więc Zosia uspokojona pobiegła na dół. Ania zaś kończyła ubieranie, a potem również uklękła przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Ale jej nie przeszkadzały odgłosy z podwórza ani myśli nie rwały się na zewnątrz. Z głową opartą na splecionych dłoniach modliła się długo i z całej duszy, a słowa wyuczonych pacierzy przeplatała westchnieniami i prośbami, których w żadnej książce nie wyczytała.

Tymczasem Zosia już się rozgadała z Kostuchą, dowiedziała się szczegółów jej choroby i wyprosiła dla niej u panny Borsakówny kieliszek wina. Spotkawszy się ze stryjem Adamem, uwiesiła mu się na ramieniu i z nim razem weszła do stołowego pokoju.

Pani marszałkowa siedziała przy samowarze, popijając herbatę, a stary Grzegorz stał za jej krzesłem i opowiadał o wszystkim, co się wydarzyło. To był odwieczny jego przywilej, zdobyty kilkudziesięcioletnią służbą u marszałka i wiernym przywiązaniem. Co rano powtarzała się ta pogawędka, zaczynająca się od stereotypowych słów:

— A cóż tam, Grzegorzu, słyhać?

— A nic, jaśnie pani. Tak żeby co słyhać było, to nic można powiedzieć, może jak dla kogo, ale, że ja plotek nie ciekawy... Za tą służbą człowiek czasu nic ma ni zjeść, ni wyspać się — a to jeszcze plotki zbieraj!

Następowała chwila milczenia, po czym Grzegorz zaczynał:

— A jaśnie pani wic, że stary Kwaksza umierający, testament, mówili, pisze. On kiedyś na służbie nieźle sobie zarobił... ma teraz co rozpisywać...

— I tak dalej szły opowiadania. Pani marszałkowa słuchała, niewiele do nich wagi przywiązując.

— At, plotkarz stary! — mówiła o Grzegorzu. Ale jednak do tych plotek jego tak przywykła przez tyle lat, że może nawet bawiły ją trochę.

Po ukazaniu się pana Adama i Zosi Grzegorz znikł zaraz. Zosia, po przywitaniu się z babunią, zabrała się do gotowania kawy. Był to jej stały obowiązek. Marszałek innej kawy pić nie chciał, tylko zrobioną i przyniesioną przez Zosię. Toteż, co dzień z rana musiała mu Zosia zanosić śniadanie do kancelarii i bawić go, zanim się posilił. Ustawiała więc porządnie na tacy garnuszek prażonej śmietanki, filiżankę, nasmarowaną masłem bułeczkę i dwa sucharki, zwykłą codzienną porcję, i szła pod drzwi kancelarii.

— Dzień dobry dziadziuniowi — wołała. — Czy można wejść?

— Dzień dobry, promyczku, chodź, chodź! — odzywał się z wnętrza głos stary. Marszałek przed obiadem nie wychodził z kancelarii. Szlafrokował sobie, jak mówił. Szlafrokowanie to jednak było bardzo eleganckie

— ogolony od rana, umyty, wyperfumowany, przechadzał się po pokoju w jedwabnym kitlu i w czapeczce na głowie, przeglądał ogromne stosy gazet, palił cygara, czytał i odpoczywał. Odpoczywał po całym życiu, po trudach i nadziejach, zawodach i bólach. I niczego już nie pragnął, niczego się nie spodziewał, o niczym nie marzył, tylko o odpoczynku. Chciał zapomnieć. Za młodu poświęcił wszystko, nie żałował siebie, ale teraz, w złamanym starcu egoizm wziął górę, i choć na dnie duszy pozostała krwawa rana, on bał się wszystkiego, co mogłoby tę ranę podrażnić.

— Dujcie mi pokój — mówił czasem, gdy ktoś zaczynał mu opowiadać jakiś ciekawy fakt, „de publicis” — i słyszeć nie chcę, i widzieć nie chcę. Ja swoje zrobiłem. Po co wy mi to opowiadacie! Ja nic nie chcę wiedzieć — nic, nic. Ja już leżę w grobie, rozumiecie, w grobie. Swoje zrobiłem.

Czasami jednak, gdy jakiś smutny fakt doszedł przypadkiem do jego uszu, wpadał w rozpacz. Rany serca otwierały mu się z szalonym bólem i z całą młodzieńcza, siłą. cierpiał i miotał się, i zaciskał pięści... Takie napady były straszne... Więc, jak przy chorym, wystrzegano się poruszania kwestii poważnych, a mówiono o fraszkach codziennych, żartowano, zabawiano go opowiadaniem. Najmilsze były mu panienki. Odpoczywał przy nich naprawdę.

— Ja zawsze lubiłem panienki — mówił podkręcając wąsa — i panienki mnie lubiły. Jak mi Bóg miły, nie przechwalam się, Anuleczko, pani moja, nie gniewaj się i nie bądź zazdrosna — dodawał zwracając się do żony — wszakże wiesz dobrze, żeś ty mi była pierwsza przez całe życie, nie pierwsza nawet — jedyna!

I pani marszałkowa uśmiechała się trochę łzawo do starego małżonka, a czasem gładziła go po twarzy.

Obie dziewczyny musiały mu więc dotrzymywać towarzystwa, zabawiać go, czytać mu czasem, grać z nim w domino lub w warcaby. A chociaż nie zawsze to je bawiło, nie uchylały się od tych obowiązków, bo bardzo kochały swojego dziadunia i, nauczone od dzieciństwa, uważały go zawsze za wielkiego człowieka.

Tego ranka jednak Zosia, wchodząc z tacą w rękach do pokoju dziadunia, rzekła od razu:

— A wie dziadunio, że ja dziś niedługo posiedzę. Proszę prędko zabierać się do śniadania, bo ja nie mam czasu.

— O, patrzcie państwo! A gdzież to, promyczku, wybierasz się, co? Zosia postawiła tacę na stolyczku pod oknem i objęła staruszkę za szyję.

— Wybieram się w świat — mówiła i przyłgnęła różową buzią do jego twarzy — daleko, daleko — i znowu go pocałowała — niech dziaduś zgadnie dokąd?

— A nie zgadnę.

— To ja powiem. Naprzód, po śniadaniu, pójdę do błękitnego pokoju i będę czyścić, szorować, zamiatać, bo dziś mama przyjeżdża i trzeba, żeby tam było pięknie. A potem pojedziemy z Anią do Paszni i tam nazbieram na łące niezapominajek i porobię bukiety.

— Fiu, fiu, jaka z ciebie gospodyni!

— A tak, dziaduniu. Ja strasznie lubię gospodarować. Ale teraz niech dziaduś siada, o, tu, pod oknem, i niech prędiutko pije kawę, a ja dziadunia zabawię.

I Zosia prowadziła staruszkę do stolika, nalewała kawę do filiżanki, sypała cukier, dolewała śmietanki i, usiadłszy przy nim, patrzyła, jak dziaduś śniadanie spożywał, a tymczasem bawiła go gawędą. On odpowiadał, uśmiechał się do niej, przekomarza! się z nią, gdy nadeszła Ania i też się do rozmowy wmieszała. Siedziały razem na małej kanapce i obejmowały się ramionami. Złota czupryna Zosi mieszała się z ciemnymi włosami Ani, obie twarze, jak dwa różne kwiaty, pochylały się ku dziaduniowej, obie się uśmiechały, biło od nich ciepło wiosny i budzącego się życia.

— No, dziadunio już skończył, więc pójdziemy sobie — rzekła Zosia wstając.

— Poczekajcie jeszcze, niech cygaro zapalę.

— A prawda, cygaro! Gdzież są zapalki, popielniczka?

Przebiegła przez pokój szukając, ale Ania już miała zapalki i podawała dziaduniowi cygaro.

— O, teraz dziaduś ma wszystko, proszę sobie siedzieć tu wygodnie i palić, a my pójdziemy.

— Już?

— Już trzeba. A może okno otworzyć?

— Otwórzcie.

— I gazetę podać?

— Podajcie.



- To już wszystko...
- A pocałować?
- O, tak! Trzeba dziadunia pocałować.

I obie razem zarzuciły mu ramiona na szyję i całowały jego pomarszczoną twarz. A staruszek mrugał oczami z zadowoleniem, bo mu dobrze było w ich objęciach.

Gdy panienki wróciły do jadalnego pokoju, zastały tam pana Adama i pana Szrotta kończących śniadanie.

Pan Napoleon TulimaSzrott był to tłuściutki człowieczek lat około czterdziestu, niezmiernie ruchliwy i gadatliwy. Niegdyś pan niezłej szlacheckiej fortunki, dzisiaj metr muzyki, jak to każdemu, zaraz po przedstawieniu się, lubił meldować. Do Haliniszek przybył przed dwoma laty, a że właśnie wówczas rada rodzinna, złożona z marszałka, pana Adama i pani marszałkowej, dostrzegła u Zosi wielki talent do muzyki, więc zatrzymano go dla niej na rok. Ale rok minął, dziewczynki oddano do Warszawy dla dokończenia wychowania, a pan Szrott został. Dwieście rubli rocznej pensji za naukę muzyki też zostały, chociaż lekcje odbywały się tylko podczas lata, i to coraz rzadziej.

— Odliczać mu przecie nie będziemy — zdecydował pan Adam. — Biedny człowiek, niech sobie siedzi.

Siedział więc i coraz bardziej wrastał w grunt Haliniszek, ale i wymagania jego wzrastały z każdym dniem. Już innych papierosów nie mógł palić, jak tylko najlepsze, wino pił co dzień i to dobre, nie byle jaką lurę. W jedzeniu przy marszałkowej nie śmiał wybrzydzać, ale gdy jej nie było przy stole, zaczynał opowiadać o kucharzach, jakich dawniej miał u siebie, i z pogardą patrzył na podawane potrawy, co mu jednak nie przeszkadzało zajadać je z apetytem. Pannie Borsakównie robił wymówki, że mu nie dość cienkie daje prześcieradła, a gdy raz odważyła się posłać mu perkalową poszewkę, zrobił jej prawdziwą scenę. Podobało mu się bardzo krótkie futerko

pana Adama, a że nic miał swego, zdjął je z wieszaka, przymierzył, uznał, że nieźle wygląda i odtąd stale je nosił. Pan Adam, zrazu trochę zdziwiony, nie protestował jednak, ręką machnął i zaśmiał się. Mimo to jednak pan Szrott umiał zachować pewną miarę, tak że na otwartą wymówkę nie naraził się nigdy. Nawet, ze względu na tę przeszłość, o której tak pięknie mówił, szanowano go i starano się mu dogodzić. Marszałka bawiła jego błaga i chociaż mówił o nim:

— Ot, łgarz, jak mi Bóg miły! — lubił go szczerze.

— A wie pan — rzekła Zosia, podając mu rękę — że dziś nie będzie lekcji. Nie mam czasu, muszę przygotować wszystko dla mamy.

— Ależ, panno Zofio, doprawdy, tak nie można. Przecież darmo jeść chleba nie będę.

— Cóż ja zrobię, kiedy nie mam czasu. Przecież to wakacje.

I usiadłszy obok babuni, Zosia wypijała co prędzej herbatę i zjadała bułki, a zarazem mówiła o niezapominajkach i o spacerze, i o pokoju mamy, i o frankach. Marszałkowa słuchała z zaciekawieniem, czasem spytała o coś, zrobiła uwagę.

A tymczasem pan Adam, po przywitaniu się z Anią, wziął obie jej ręce w swoje i uważnie na nią patrzył.

— No cóż, jakże spałaś?

— Dobrze, stryjciu.

— A nie kasłałaś?

— Tylko trochę.

— A głowa nie boli?

— Nie, stryjciu.

— Bierzesz proszki?

— Biore, stryjciu.

— No, pamiętaj, żebyś mi dziś pięknie wyglądała, ciocia Antoniowa przyjeżdża, żebyś nam nie zrobiła wstydu przed nią.

Ania uśmiechnęła się.

— Dobrze stryjciu. Wieczorem uróżuję sobie twarz, żeby stryjowi dogodzić.

Tu wdał się w rozmowę pan Szrott.

— A czemu nie! Toż ja, panie, znałem za dawnych czasów księżnę Andrzejową z Kołynicz. Błada była z natury, ot, tak trochę podobna do panny Anny, to z rana, póki nie ubrana, nic, ale do obiadu, panie, regularnie co dzień uróżuje sobie twarz, i taka ładna, że padam do nóg! Więc mówię do niej: czemu księżna od rana nie chce...

Ale tu Zosia przerwała opowiadanie pana Szrotta:

— Stryjciu, a stryj chciałby pojechać do Włoch?

— Nie.

— O, czemu nie? Tam tak ślicznie! A ja bym chciała...

— Winszuję.

— I jeśli mama kiedy znowu pojedzie, to poproszę, aby i mnie zabrała.

— I cóż tam we Włoszech zobaczysz?

— Wszystkov i papieża, i Rzym, i Forum, no i wszystko.

— I wyjdiesz za mąż za jakiegoś Włocha.

— O, to to nie! Nigdy za żadnego obcego nie pójdę.

— Obcego! — zaśmiał się pan Szrott. — Cha, cha, paradne, obcego, cha, cha, cha, to dobre, panie!

— A pewnie, nigdy bym nic poszła. Ale tylko tak pojechać, zobaczyć, to bym chciała — nic na długo.

— At, nie potrzeba — rzekł pan Adam dopijajcie kawę i zapalając papierosa — siedź, grzybic, póki cię nie zdybie tu jaki chłopiec.

— Ej, stryjciu, kiedy ja nie chcę żadnego chłopca, stryjcio zawsze z tymi chłopcami...

Stryj zaśmiał się głośno, a pan Szrott mu zawtórował. Wtem weszła pokojowa Werusia i, stanąwszy przy drzwiach, oznajmiła: — Jakaści baba jest

przyszedłszy z Czykiszek i chce panią widzieć. — Marszałkowa natychmiast wstała i powolnym krokiem ruszyła ku wyjściu. Zosia zerwała się:

- Babuniu, więc możemy pojechać do Paszni?
- Czymże wy, kochanie moje, myślicie jechać?
- Kucami, babuniu, i kałamaszką.
- A czy to Ani nie zmęczy?
- Nie, babuniu — rzekła Ania — mnie dziś zupełnie dobrze.
- A pokoje dla mamy i dla Tereni gotowe?
- Zaraz wszystko tam zrobię.
- No to jedźcie. Tylko uważajcie na moście, jakoby dziurawy.
- Ja wiem, babuniu, nic straszego. Wczoraj przejeżdżałyśmy.

### III

Panienki wyjechały wkrótce po śniadaniu. W taki upał nie można było zbyt pędzić kuców, a należało w porę wrócić na obiad, babunia bowiem nie cierpiała spóźniania się.

Tak zwana kałamaszka był to wygodny wózek resorowy, umyślnie sporządzony przez pana Adama, aby Ania mogła, nie męcząc się, używać przejażdżek. Kuce spokojne były jak baranki, tak że nie mogło być mowy o żadnym niebezpieczeństwie. Zresztą Zosia nie takimi kucami powoziła, od dzieciństwa miała pasję do koni, a że była na przyjacielskiej stopie ze wszystkimi stangretami, więc nieraz już na koźle od faetonu siadywała i powoziła całą czwórką. A do konnej jazdy też się jej serce rwało. Ale o tym i wspominać nie warto przed babunią, która powiada, że kobieta na koniu tak wygląda, jak pies na płocie. Dosiadała, co prawda, czasem konia i hasała, siedząc choćby na męskim siodle, ale to było pół przyjemności. No, ale z babunią nie było rady.

Panienki jechały słoneczną drogą przez dworskie pola, gdzie po jednej stronie dojrzewiał jęczmień wąsaty, a po drugiej żyto zżęte stało w snopach. Właśnie korzystając z ładnej pogody składano je na wozy i zwożono do gumien, więc ruch panował wielki — na żółtym ściernisku jaśniały spódnice perkalowe i białe koszule, skrzypiały wozy, krzyczeli stojący na nich parobcy, konie skubały wyrastającą spośród słomy trawę, ekonom podjeżdżał to tu, to tam na swojej siwej szkapie, popędzając i strofując, a ponad tym wszystkim płynęła przez pola pieśń smętna, przeciągła.

Gdy panienki przejeżdżały obok pracującej gromady, wychylały się i wołały do ludzi: „Boże dopomóż!” A oni podnosili czapki, kobiety kiwały głowami okręconymi w chustki i odpowiadali: „Bóg zapłać!”, i stali przez chwilę, patrząc za oddalającym się wózkiem, i znowu spocone karki pochylały się ku ziemi, a ręce czarne i zgrubiałe zagłębiały się między snopy. Gdzieś wysoko na niebie świergotały skowronki.

Za polami haliniskimi był lasek, gdzie wśród białawych pni i zieloności brzoź czerniały z rzadka sosny. Ziemia była pokryta wrzosem, a gdzieniegdzie strzelały w górę ku słońcu białe, anemiczne rumianki, i delikatne dzwonki liliowe. Dzikie krzaki malin rozrzucały wysoko swe girlandy, a słońce przyćmione przesiewało przez gałęzie jakby deszcz złoty, mieniący się i ruchomy. Panował tam cień i chłód.

Więc Zosia zwolniła kucom biegu, a sama opuściła lejce na kolana i wyciągnęła się.

— Ach, dobrze na świecie! — rzekła. — Taki śliczny dzień, tak ładnie, tak wesoło! Zobacz, Aniu, nawet muchy są w dobrym humorze, widzisz, jak się lam kręcą i tańczą w słońcu. Tylko szkoda, żeśmy nie wzięły ogórków, pić się chce.

— Szkoda, ale pewnie znajdziemy coś do picia w Paszni. Stary Nikodem miewa doskonały kwas brzożowy.

— Może się coś znajdzie. — Zosia westchnęła. — Ale wiesz, Aniu, że mi się jakoś dziwnie robi, gdy pomyślę, że dziś mama przyjedzie... i Terenia...

— Przecież — zaczęła Ania — rada jesteś?

— O, naturalnie! Bardzo rada. Ale zawsze... to tak... jakoś... I co będzie dalej? Mama przyjeżdża z jakimiś projektami, bo w listach ciągle o tym pisze, jakby nas chciała na coś przygotować. Co to za projekty?

Zosia zamyśliła się. Kuce szły wolno, machając ogonami i opędzając się od much.

— Zdaje mi się — rzekła Ania — że Terenia już wstępuje do klasztoru, a ciocia gdzieś z tobą zamieszka.

— Może — odparła Zosia i znowu zamilkły.

Niepewność jutra mąciła im chwilę obecną, i wносиła w ich jednostajne dotąd życie jakiś zamęt, wahanie się i niesmak, ale i ciekawości trochę.

— Najlepiej w Białym Dworze! — nareszcie rzekła Zosia, kończąc swe długie rozmyślenia.

Ale Ania tymczasem myślała o czym innym i tak daleko odbiegła myślami od poprzedniej rozmowy, że już się połapać nie mogła.

— Co — rzekła jak zbudzona ze snu — co najlepiej? Zosia roześmiała się.

— Gdzie ty byłaś? Budzę cię! Powiedz, o czym myślałaś, co?

— Myślałam... że może... że ona ma rację.

— Kto ma rację? W czym?

— Terenia.

Zosia spojrzała pytająco.

— Nie dziw się, ale może lepiej, naprawdę i szczęśliwiej, wyrzec się od razu wszystkiego, nie chcieć niczego dla siebie, zapomnieć o sobie, a oddać się Bogu zupełnie, zupełnie! Poświęcić wszystko, a w zamian mieć spokój, szczęście i tę błogość niewysłowioną, której święci doznają.

Na bladą twarz Ani wystąpił rumieniec i oczy jej zaświeciły, gdy to mówiła, i wzrok wznosiła przed siebie, ku ciemnemu szafirowi nieba, przebijającemu przez koronkę liści.

— Bo my szukamy szczęścia na tym świecie, a tu nie ma szczęścia, nie ma radości! Po cóż mamy się szamotać i rwać się na próżno do tego, czego nigdy nie możemy osiągnąć. Więc lepiej, lepiej raz sobie powiedzieć: nic nie chcę, niczego się nie spodziewam, niczego nie czekam tu na ziemi. I nie przywiązywać się do niczego, zrobić ofiarę zupełną i żyć tylko dla tamtego świata... i może utonąć w miłości Bożej...

— Ale, Aniu, to lepiej od razu pójść do klasztoru.

— Do klasztoru? Może...

Zamilkły znowu i myślały. Ania z oczami zwróconymi ku niebu, Zosia ze spuszczonej głową. Słońce świeciło złotymi plamami, muszki brzęczały w powietrzu, kuce stapały powoli. Pachniały trawy i zioła, i sosnowa żywica — świat się uśmiechał, owiany lipcowym żarem, tylko one siedziały zamyślane i

poważne. Słowa Ani wywołały świat inny jakiś, zaziemski, nieznany, wzbudziły jakiś smutek, jakąś wielką tęsknotę, jakąś grozę.

Tu nic ma szczęścia, nie ma radości. Tylko tam... Gdzie? Za żelazną kratą klasztoru, czy w cichym grobie, czy w krainie duchów — w mistycznej krainie miłości nadludzkiej?

I pomimo słońca i upału, jakiś powiew z owej krainy zdawał się przelatywać nad ich głowami i ogarniała je trwoga.

Zosia zaczęła nieśmiało:

— Aniu złota, ja wiem, dlaczego ty tak mówisz, ale wierz mi... — tu zawahała się chwilę — wierz mi, on nie jest wart tego...

Ania spłonęła gwałtownym rumieńcem, spuściła głowę i przez chwilę milczała, a potem cichutko zaczęła mówić:

— Ja to wiem sama, wiem i wyrzuciłam go z mojego serca od dawna. Tak, prawdę ci mówię świętą, nie kocham go już, ani trochę nie kocham. Tylko mi go żal! Ach Zosiu, jaki żal!

Głos jej się załamał i serce widać mocniej zabiło, bo położyła obie ręce na piersiach.

— Nikt z was nie wie, jaki on jest naprawdę, ile w nim skarbów... co to za serce, co za zdolności... Jaki by on mógł być, gdyby...

— Gdyby nie był próżny jak bańka mydlana, zarozumiała, gdyby nie hulał, nie tracił wszystkich zdolności swoich i pieniędzy, i zdrowia na głupstwa. Przecież, Aniu droga, wszyscy kochaliśmy go i chcieliśmy wierzyć w te jego wielkie plany, ale cóż! Wariat jest, blagier, narwaniec, a teraz to nawet gorzej. Przecież ta jego sprawa z Tomkiem — to wprost nieuczciwość.

— Wiem — szepnęła Ania — wiem i szczerze ci powiadam, dziś już go nie kocham. Ale pozostał żal... ach, Zosiu, jaki żal okropny. Więc cóż dziwnego, że szukam u Boga ratunku i dla niego, i dla siebie. Bo już nikt inny poratować mnie nie może — prawda? Cóż dziwnego, że po takim zawodzie myślę o tym, aby gdzieś się schronić, gdziebym mogła za niego się modlić i



pokutować. Bo na świecie nie ma szczęścia, ach, nie ma. Same tylko zawody, i walki, i cierpienia...

Zosia oburzyła się:

— Mój Niuczku drogi — rzekła — czytasz i czytasz jakieś święte rzeczy i trochę zaczynasz wariować. Przecie Pan Bóg wcale nie jest taki zły i okrutny, jak mówisz, i nawet na tym świecie daje nam mnóstwo chwil przyjemnych i za cierpienia nieraz potem wynagradza szczęściem. A ty chcesz wmówić i we mnie, i w siebie, że w tym życiu są tylko nieszczęścia. No. powiedz, czy pomimo tego nieszczęsnego Wacia, nie czujesz się czasami szczęśliwa?

I tak prosząco popatrzyła na nią, że Ania zaczęła się tłumaczyć. Ależ nic, przecie nieszczęśliwa nie jest wcale i tylko Bogu powinna dziękować za to wszystko, co jej dał. Nie o sobie tylko mówiła, ale tak, w ogóle — czy nie lepiej zawczasu wyrzec się szczęścia i tych ludzkich przywiązań, i tej miłości do człowieka, zrobić z siebie ofiarę Bogu i żyć na tym świecie jakby na popasie tylko.

— Ale dlaczego, Aniu, dlaczego? Czemu mamy wyrzekać się tego, w czym nic złego nie ma? Przecież sam Pan Bóg nam dał te uczucia i to serce...

— Ale to serce nam tylko boleść sprawia.

— Wcale nie. Nic miłszego, jak kogoś bardzo kochać. Dziękuję za takie życie bez żadnego przywiązania.

— Boga kochać trzeba i wszystkich bliźnich, ale nie przywiązywać się nad miarę do nikogo, bo to najczęściej zawodzi.

— Jak to? I nigdy się nie zakochać? Ależ, moja Aniu, to i babunia mówi, i wszyscy, że pierwszym celem kobiety jest wyjść za mąż, a nie kochając się, nie można iść za mąż, więc każda powinna się zakochać. To nie dowód, że czasem się nie uda i że jest zawód. I sam Pan bóg tak chce, bo stworzył Adama i Ewę, a tak, to by stworzył tylko jednego Adama albo jedną Ewę. A ja strasznie nie lubię, jak ty zaczynasz mówić takie rzeczy, bo mi zaraz się wydaje, że tobie źle na świecie.

— Nie, Zosiu, mnie nie jest źle. A jeśli czasem myślę o wstąpieniu do klasztoru...

— Więc ty na serio myślisz wstąpić do klasztoru?

I Zosia spojrzała prosto w oczy Ani, a la się zaczerwieniła jeszcze mocniej i odrzekła:

— Chcesz, abym była szczerą? Więc powiem. Jeszcze nie myślę o tym, ale może... może to jedyna dla mnie droga. Widzisz, chcę być użyteczna i dobra i chcę żyć dla ludzi, dla kraju, a nie egoistycznie. Wszak pamiętasz, obie to postanowiłyśmy, i ja mam wstręt do tych, co tylko myślą o sobie. Był czas, że marzyłam oczym innym, ale widzisz, jak to się kończą marzenia... A powiedz sama, co ja mogę zrobić dobrego na świecie z takim zdrowiem jak moje? Zawsze będę dla kogoś ciężarem. Nie mogę ani zapracować na siebie, ani nic porządnie zrobić. A tam modlić się zawsze bym mogła. I widzisz, ja więcej niż kto inny muszę się modlić, bo mam własną duszę do zbawienia, tak jak każdy człowiek, i o nim muszę myśleć... Tak mi ciągle coś mówi, że za te chwile szczęścia i nadziei, które mi on dał, teraz należy się ode mnie Bogu ofiara — za tę jego biedną duszę...

Ania urwała i siedziała ze spuszczonej oczami.

A Zosia wybuchnęła:

— Zwariowałaś Aniu! Pan Bóg miałby chcieć od ciebie ofiary całego życia za niego?! Dajże spokój, sensu nie ma! Cóż ty jesteś winna, że on noszedł na złą drogę? Twój wpływ na niego był dobry i póki ciebie kochał i słuchał, to zdawało się, że wyjdzie na porządnego człowieka. Zresztą, chcesz, to możesz modlić się za niego, ale dla niego iść do klasztoru i pokutować! Cóż mu to pomoże? I wiesz, co ja myślę, i pewnie babunia to samo by powiedziała, że już jeżeli chcesz ofiarować się za niego, to lepiej swoje dobre uczynki ofiarowywać, niż iść do klasztoru i tylko modlić się. A dobrych uczynków możesz tu robić, ile chcesz.

Zosia zamilkła, bo już wyczerpała wszystkie swoje argumenty, więc zacięła konie i kałamaszka zaczęła żywiej się toczyć. Ania zdawała się rozmyślać głęboko, aż wreszcie rzekła:

— Może masz słusność. Przecież nic jeszcze nie postanawiam, żadnych poważnych zamiarów nic mam, mówię tylko tak sobie, więc nie martw się, Dudusiu, i nie rób takiej smutnej miny, bo będę miała wyrzuty sumienia.

Zosia położyła lejce na kolanach i zarzuciła ręce na szyję Ani:

— Moja ty złota, mój Niuczku, ani myśl o takich rzeczach! Ty wiesz, że ja bym nie mogła żyć bez ciebie. Panu Bogu wszędzie można służyć, a u nas bardziej niż gdzie indziej. A jeśli chcesz koniecznie się poświęcać, to dla mnie się poświęć i bądź zawsze ze mną, dobrze? Patrzyła w jej oczy, jasną swą twarzą ku jej twarzy zbliżając. — Powiedz, już nie będziesz myślała o tym? Mów, nie będziesz"

— Ach, ty dzieciaku, nie będę, nie będę.

— No, pamiętaj. A teraz jazda! Hej, koniki! Hej!

I Zosia wzięła znowu do rąk lejce, potrząsała nimi i trzaskała z biczem, a kuce, czując bliski wypoczynek, rwały żwawo naprzód.

Pasznia był to zaścianek należący do Haliniszek, wydzierżawiony starym Borejkom, odwiecznym sługom Halickich. Dziś jednak nic było w domu nikogo — co żyło, pracowało w polu, więc postawiono kuce przy płocie.

Ania z książką w ręku wyciągnęła się pod gruszą w ogrodzie, Zosia zaś wydobyła spod siedzenia kałamaszki koszyk na kwiaty i ruszyła na łąkę. Łąka leżała zaraz za sadem, a przez nią przepływał strumień ocieniony olchami. Tam to, nad jego brzegiem, rosły niezabudki. Zosia puściła się ku nim wydeptaną ścieżyną, a z obu stron otoczyły ją trawy pachnące. Łąka, nie koszona jeszcze w tym roku, rozkwitała bujnie różnobarwnym kwieciami. Chyliły białe główki stokrocie o żółtym oku, kołysały się goździki jak

szkarłatne gwiazdki, liliowe dzwonki i koralowy szczaw, a nisko, wśród trawy, koniczyna różowa i ciemna brunetka mieszały swe przenikliwe wonie.

Słońce świeciło. Niebo roztaczało nie zachmurzone koło, w powietrzu przezroczystym i ciepłym kręciły się i brzęczały muszki. Panowała południowa cisza — ludzie byli gdzieś w polu, chaty, tu i ówdzie rozsiane na widnokręgu, stały puste i zamknięte. Psy nawet drzemały i żadne odgłosy, prócz śpiewu skowronków i strzykania koników polnych, nie mąciły upalnego dnia.

Z dala, rozsypane na wzgórzu, widniało parafialne miasteczko — Białogóra — z, wieżyczkami kościoła strzelającymi w niebo, a tu bliżej, na prawo, rzędy topoli włoskich świadczyły o bliskości dworu. Zosia spojrzała w tę stronę:

— Ciekawam, kiedy to Mela wybierze się do nas? Tak dawno nie była! Już i chłopcy pewnie przyjechali.

I szła dalej, machając koszykiem, szczęśliwa swą młodością, słońcem, co tak cudnie świeciło, życiem, co się do niej uśmiechało, i tymi blaskami, które ją zewsząd otaczały. Wreszcie dotarła do strumienia. Tam aż błękitniej Wyło od niezapominajek. Rosły kępami, pochylone nad wodą, zerkając niebieskimi oczkami spośród gęstwiny traw, więc Zosia uradowana rzuciła się ku nim i rwać je poczęła całą garścią. Przez liście olszyny słońce kładło jasne plamy na jej sukienkę, na złoty warkocz, na wpół już rozpleciony, na duży kapelusz, który osłaniał jej twarz. Lekkie babki wodne, jak z gazy utkane, przemykały koło niej i muskały jej włosy, komary brzęcząc latały nad nią, ona je odpędzała wielkim pękiem kwiatów, i dalej biegła po nową niezapominajkę. Pomimo cienia i wilgoci gorąco jej się zrobiło, krople polu wystąpiły na czoło, a nieznośne włosy, stale się rozpadające, grzały kark i plecy i okrywały ją jak płaszczem, więc niecierpliwym ruchem zrzuciła kapelusz na trawę i wyprostowała się. Nagle krzyknęła i skoczyła w bok. Kwiaty wypuszczone z rąk rozsypały się wieńcem u jej nóg, i stała przestraszona a zarazem uśmiechnięta.

O kilka kroków przed nią, oparty o pień olchowy, ze strzelbą na ramieniu, stał młodzieniec. Musiał tam być już od kilku chwil, bo teraz z uśmiechem patrzył na nią i zdjęwszy czapkę zaczynał się tłumaczyć:

— Przepraszam, pani się przestraszyła, przepraszam bardzo.

— O, bo jakże, tak niespodziewanie... I, widzi pan, wszystkie moje kwiaty poleciały. — Zaczęła się śmiać. — Ach, jakie to zabawne! Pan pod tym drzewem, jakby duch jaki... Dawno pan tu stoi?

— Od kilku minut. Wracani spod Muszyny, z polowania, zobaczyłem panią na łące, więc stanąłem i patrzyłem.

I widać było, że to patrzenie sprawiało mu wielką rozkosz, bo i teraz nic mógł jeszcze oczu od niej oderwać, wzrokiem obejmował jej postać, przyglądał się twarzy, rozwianym włosom, niebieskim oczom, które patrzyły na niego. I na twarzy występował mu rumieniec, a usta lekko drżały pod ciemnymi węsami. A ona ciągle się śmiała.

— To ochota, stanąć pod drzewem i straszyć! E, pan taki duży i wąsy już ma, a zawsze taki sam. Pamiętasz, pamięta pan — poprawiła się — tę mysz, którąśmy wpuścili pannie Borsakównie do szufladki? A okulary panny Berty?

— A awanturę na siwej klaczy? Zaśmiali się oboje.

— Ach, Boże, to już tak dawno było! — rzekła Zosia. — No, ale co ja teraz zrobię z tymi kwiatami?! Cała moja praca przepadła. Ot, nieznośny pan Jerzy!

— Pozbieram je dla pani.

— Pozbieramy razem. Ale, prawda, jeszcześmy się nie przywitani nawet. Dzień dobry panu.

— Dzień dobry pani.

I ponad wieńcem rozsypanych niezabudek podali sobie ręce. On zatrzymał przez chwilę dłoń jej w swojej, a potem nagle złożył na niej pocałunek. Ona nie stropiła się tym wcale i mówiła:

— Ale pan się zmienił przez dwa lata, bo to już dwa lata, jakeśmy się nie widzieli. Ogromnie. Pan teraz to już prawie mężczyzna. I takie wąsy — fiu, fiu. To już nie dawny Jerzyk.

— O, panno Zofio, ja zawsze ten sam. Tylko moje wąsy zmieniły się, ale ja nic a nic.

— Doprawdy? — Zajrzała w jego ciemne oczy, które błysnęły pod jej wejrzeniem. — Oj, ja w to nie bardzo wierzę.

— Chyba pani sądzi po sobie — odparł trochę smutnie.

— A pewnie. Cóż pan myśli! Ja teraz już jestem dorosłą panną, mam osiemnaście lat i pięć miesięcy i noszę zupełnie długie suknie. Tylko tu w trawie nie widać, ale zobaczy pan, zupełnie długie.

— A jednak wygląda pani na dawną Zosię, ot, taka sobie jeszcze mała dziewczynka... co jeszcze pisze: j'aimc, tu aimes, ii aime'...

— Ale, co pan mówi! Pan naumyślnie...

— Nie, doprawdy, wcale mi pani nie imponuje, pomimo osiemnastu lat i pięciu miesięcy.

— No, bo teraz mam warkocz spuszczoney i jestem rozczochrana, ale jak mnie pan zobaczy uczesaną do góry, z ufryzowaną grzywką i w modnej sukni, to pan będzie musiał przyznać, że jestem prawdziwą panną. Ale co będzie z kwiatami? Trzeba je pozbierać.

— Zbierajmy więc.

Schylili się oboje i milczeli przez chwilę. Pierwsza zaczęła Zosia:

— Kiedy pan przyjechał?

— Tu, do Bijuciszek, przedwczoraj wieczór, ale w Wilnie jestem już od dwóch tygodni. A panie?

— O, my już wróciłyśmy od miesiąca. Mama dziś przyjeżdża.

— A!

— I właśnie dlatego przyjechałyśmy do Paszni po niezapominajki, bo w Haliniszkach ich nie ma, a mama najlepiej je lubi ze wszystkich kwiatów.

— Z kimże pani przyjechała?

— Z Anią, ona siedzi pod gruszą i czyta. No, zdaje się, że już wszystkie zebrane. Chodźmy.

Wstali i zaczęli układać kwiaty w koszyku.

— Niech pan weźmie mój kapelusz, tam leży, na trawie. Ja poniosę koszyk.

I Zosia z kwiecistym koszem na ramionach ruszyła przez łąkę, a za nią podążył młodzieniec.

Był to wysoki, zgrabny chłopiec lat dwudziestu paru, prześlicznie zbudowany, szeroki w ramionach, wąski w biodrach, silny, muskularny, istny atleta. Twarz jego nie była piękna, uderzała jednak dziwnym wyrazem smutku w oczach i łagodnością ust. Usta, pełne i czerwone, ruchliwe niezmiernie, to składały się w bolesnym skrzywieniu, to drżały jakby nie nasyconym pragnieniem lub gryzącą ironią, to znów zaciskały się uporczywie. Gdy uśmiech je rozsuwał, uśmiech wesoły, dziecinny prawie, ukazywały się spod warg zęby duże, białe, zdrowe i błyszczące niby klejnoty. Uderzało w tej twarzy także czoło dumne, wyniosłe, zakończone równą linią brwi, uparte czoło człowieka, który niełatwo zmienia swe zamiary i uczucia, który trudno się zapala, ale płonie długo.

— A pan zdał egzaminy? — spytała Zosia, zwracając ku niemu głowę.

— Część zdałem, ale jeszcze pozostają ostatnie i rozprawa na jesieni.

— O, to pan już w tym roku skończy?

— A tak, jeżeli się uda.

— Ach, uda się! Panu zawsze się udaje. To jak pan przyjedzie na Boże Narodzenie, to już pan będzie „skończony” człowiek.

— Ja nie przyjadę na Boże Narodzenie.

— Czemu?

— Bo jak tylko skończę, pojedę na Syberię.

— Na Syberię?! — Zosia zatrzymała się na ścieżce i podniosła na niego oczy podobne do niezapominajek. — Czy pan zamierza kogoś okraść albo zamordować?

Zaśmiali się.

— Nie mordować, ale robić pieniądze. Mam obiecane tam miejsce.

— Ale czemuż aż tak daleko? To okropne!

— Jużci nie dla przyjemności tam pojedę — odparł Jerzy i zamilkli oboje. Słońce zalewało świat potokami ciepła i jasności, wszelkie stworzenie radowało się życiem, wesele rozlewało się dokoła, a oni szli w milczeniu, bo wśród tych słonecznych blasków stanęła przed nimi wizja śnieżnej krainy, stepów nieskończonych i smutnych, i jakby mroźne tchnienie wionęło na nich z daleka.

— Ja, gdybym była mężczyzną — rzekła wreszcie Zosia — to bym wolała mieć mniej wśród swoich, niż tam gdzieś jechać w te dzikie kraje, choćby za nie wiem jakie sumy.

On nie chciał jej tłumaczyć, że gdyby był sam na świecie i nie miał na sumieniu rodzicielskich zobowiązań, to i on by wolał zadowolić się byle czym wśród swoich. Po cóż jednak mówić o takich rzeczach, więc odparł niedbale:

— Szkoda, że pani nie jest mężczyzną!

— A pewnie, że szkoda! Przynajmniej babunia pozwoliłaby mi konno jeździć i chodzić na polowanie. A pan, czy przynajmniej zabił dziś cokolwiek?

— Zabiłem dwie kaczki — odrzekł pokazując wiszące przy torbie ptaki.  
— Ale bez psa trudno wypłoszyć.

— A gdzież Turek się podział?

— Biedny Turek już taki stary, że w piętękę goni, ale Jaś ma obiecane wyżła z Ucian, może z nim będzie lepiej.

— Pan i bez psa zabił dwie sztuki — zauważyła Zosia.



— Tak, ale zobaczy pani, jeśli ten wyżeł będzie dobry, to co dzień po kilka kaczek będę przynosił. W tym roku sporo ich jest. Na Białce, to raz za razem zrywa się stadko.

— Boże, i czemu ja nie jestem chłopcem! — zawołała Zosia. — Chodzilibyśmy razem na polowanie i strzelali na potęgę.

Ania powitała Jerzego przyjaznym okrzykiem i uśmiechem. Taki to był dobry znajomy i towarzysz lat dziecińczych. I znowu podziwiano jego wasy, 'mówiono o egzaminach, pytano o Suniżyckich, o Edzia, Emila i Jasia, którzy też na wakacje już zjechali.

A tymczasem wieść o przyjeździe panienek doszła na pole do Borejkwocj, która pośpieszyła na ich przyjęcie. Nie słuchając wymówek, przyniosła pod gruszę dzbanek mleka, szklanki i talerz ze świeżymi kromkami chleba. I przepraszając, dygając i śmiejąc się głupkowato, zapraszała do jedzenia, więc rozłożono się na trawie pod starymi drzewami i zajadano ze smakiem. Ale rozmowa, zrazu ożywiona, rwała się jakoś. Tylko Zosia, roztrzepana jak zawsze, na nic nie zważała zajadając chleb razowy i pijąc mleko. Mówiła o tym, że wielkich pałaców nie cierpi, że wolałaby mieszkać w małym domku chociażby tu, w Paszni. Tak tu ładnie, wesoło i przytulnie w tych małych dworkach. Te pałace, jak na przykład w Olanowiczach, są zimne i antypatyczne. Odnaleźć się wśród nich nie można, tyle tam przestrzeni.

Nagle Jerzy się odezwał ironicznie:

— Mój Boże, i wierzyć tu kobietom! Zachwycają się małymi dworkami: ach, takie to ładne, takie poetyczne, chatka nad strumykiem, poziomki, mleko! A proszę zobaczyć, czego takiej damie potrzeba: parkietów, draperii, mebli atłasowych, sprężynowych materacy, marmurowych łazienek, sukni co najmniej od Hersego, ekwipaży, kucharza i pasztetów...

I panna Zofia będzie taka sama.

— Dyr, dyr, dyr! — przedrzeźniała go Zosia. — Cóż to za gderanie! A jaki pan złośliwy! Zupełnie jak osa. Fe, jak ja tego nie lubię. I to wszystko nieprawda, bo wcale tak nie jest.

— Zosiu — gromiła z cicha Ania —już lepiej jedźmy, bo zaczynacie się kłócić.

— Bo jakże! Pan nie wie i gdera. Ja, po pierwsze, nie miałam ani jednej sukni od Hersego i śpię zawsze na sienniku, i jeżdżę kałamaszką, i kąpię się w jeziorze, i najlepiej lubię nie pasztety, a kartofle i...

— Teraz tak, ale jak pani za mąż pójdzie, zaraz będą wymagania, fochy, ceregiele...

— Wcale nie. Zawsze będę wolała mały domek niż te ogromne pałacyska. „Chałupeczka niska, ojciec matkę ściska. I my tak będziemy, gdy się pobierzemy" — zaśpiewała wstając.

— Zosiu! — błagalnym szeptem prosiła Ania.

Ale Zosia, rozweselona, już nikogo nie słuchała. W podskokach biegła do kuców, chwytając Wilczka i całowała jego mokry pyszczek, wpadła wreszcie do wózka, śmiejąc się i wesoła. I gdy Jerzy stojąc opodal zdejmował czapkę na pożegnanie, ona wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— A pan to taki nieznośny i gderacz, i zrzęda, i nudziarz, jak i był. Ale proszę koniecznie przyjechać w niedzielę, bo płakać będę.

Zacięła konie i ruszyła.

#### IV

Jerzy Lipowski był jedynym synem dość zamożnych niegdyś obywateli. W dzieciństwie bawił się w obszernych pokojach dworu, który był jego własnością, biegał po swoim ogrodzie, jeździł swoim wozikiem i swymi konikami. Ale były to czasy tak dawne, tak zapomniane i pogrzebane, że wydawały się snem jakimś fantastycznym. Jego dalsze życie w niczym nie przypominało lat dzieciństwa. Fundusze rodziców gdzieś się zapodziały, tak że śladu po nich nie zostało, a raczej został dług – niewielki, zaledwie kilka tysięcy wynoszący, ale zaciągnięty u takich ludzi, dla których te pieniądze stanowiły cały majątek – zaciągnięty w dobrej wierze, iż szczęśliwa gwiazda zaświecić przecież musi i że wszystko, co do grosza, zostanie zwrócone. I gdy mały, ośmioletni Jerzyk, po stracie obojga rodziców, został sam na świecie, jako jedyne dziedzictwo niósł z sobą zobowiązania ojcowskie, zażalenie pokrzywdzonych i słowa matki: „Oddasz im to, jak wyrośniesz, synku”.

Może dlatego, że rósł z tym ciężarem na duszy, oczy jego były tak smutne. Może dlatego czoło jego było tak uparte, że zamierzał ciężar ten podźwignąć i zrzucić, tylko usta miały wyraz tak łagodny i miękki, iż podobne były do kwiatowego kielicha.

Jerzego wychowała ciotka, panna Paulina Narguttówna. Była to daleka kuzynka jego matki, panna samotna i biedna, która lekcjami zarabiała na swe utrzymanie. Mieszkała gdzieś w salce wysoko, nosiła zawsze tę samą czarną sukienkę z pocerowanymi łokciami i biegała od rana do wieczora z jednego końca miasta na drugi. Zarabiała nieźle, bo była zdolna i sumienna. Marzyła więc sobie, iż odkładając co roku po paruset rubli, zbierze mały kapitalik i na starość kupi sobie za miastem domek z ogródkiem, gdzie będzie u siebie i nareszcie odpocznie. Ale gdy pani Lipowska umarła, a mały Jerzyk został sam, marzenia panny Pauliny rozwiały się. Zabrała dziecko do siebie i już nie mogła odkładać paruset rubli. Jeśli wszakże to wyrzeczenie wiele ją kosztowało, nikt się tego nie domyślił, a najmniej ze wszystkich dziecko, które

znalazło w ciotce czulszą od najczulszych matkę. Jeśli i była ofiara, to się prędko sowicie opłacała, bo serce samotnej panny znalazło w dziecku skarb prawdziwy — zaspokojenie drzemiących gdzieś na dnie instynktów macierzyńskich. Salka jej, dotąd zimna i pusta, zajaśniała młodością, rozbrzmiała śmiechem, stawała się teraz huczna i wesola, bo obecność Jerzyka ściągała towarzyszy i przyjaciół, a ciotka sama stawała się przy nim dzieckiem i drugi raz życie swe przeżywała na nowo. Gdy wstąpił do gimnazjum, jeszcze szerzej otworzyły się drzwi i ramiona ciotki na przyjęcie kolegów, bo jej serce pokochało i tamtych. I rada była coraz to liczniejsze ich gromady ściągać do siebie, słuchać ich gawęd, patrzeć na ich zabawy, częstować herbatą i karmić przysmakami. A gdy przyszły lata młodzieńcze, pełne wahań, ciekawości i zapałów, lubiła ciotka siadywać z robótką w rękę, w okularach na nosie i wielkimi ściegami cerując podarte koszule lub poszewki słuchać rozpraw, zachwyty, słów oburzenia lub projektów na przyszłość. I nieraz pocziwe jej słowo rzucone wśród gromady prostowało pojęcia i kierowało myśli na dobrą drogę. Niekiedy, gdy był czas wolny, czytano wspólnie z chłopcami to, co inaczej może nie wpadłoby nigdy w ich ręce, a lektury chwalcące bohaterskie czyny zostawiały w niejednej duszy ślady, których już żadne wichry i śniegi zasypać nie były zdolne.

W tym otoczeniu panna Paulina zestarzała się nie czując ciężaru swych lat, zajęta dzieckiem, nie mająca czasu pielęgnować swych reumatyzmów ani pamiętać krzywd doznanych od losu. Serce jej, które zrazu ukochało tylko to jedno dziecko, dziś zapalało się do wszystkiego, co piękne, szlachetne i młode.

Z dziecka miała prawdziwą pociechę. Było dobre, zdolne, pracowite i karne, kochające głęboko, pełne subtelnych i szlachetnych uczuć. Trochę może uparte i zbyt nieśmiałe, czy też dumne, gdyż nieraz wolało cierpieć, rezygnować, milczeć, niż o cokolwiek prosić i uchylić karku. W jego duszy rosło coraz bardziej drażniące wspomnienie ojcowskich długów i słów matki: „Oddasz im to, jak urośniesz”. Pamiętał dobrze bolesną scenę, gdy owa

wierzycielka, Pawiowa, dawna ochmistrzyni w domu jego rodziców, przyszła chorej matce wymawiać swą krzywdę, a matka zwróci.; długu nie mogła, bo sama była bez grosza. On wtedy już, małym będąc, postanowił dług ten spłacić, a postanowienie to z każdym rokiem się wzmacniało i niecierpliwie wyczekiwał chwili, gdy, wolny i nikomu nic nie winien, będzie mógł śmiało spojrzeć każdemu w oczy. I gdy po ukończeniu gimnazjalnych nauk przyszła pora wybraniu sobie fachu, wybrał nic to, co mu się może bardziej podobało, ale to, co dawało pewność prędkiego i opłacalnego zajęcia. Wstąpił do wyższej szkoły agronomicznoleśniczej i gotów był po jej ukończeniu wziąć pierwszą nadarżającą się posadę, pojechać na kraj świata, pracować, oszczędzać i nie wracać, aż zrzuci ten ciężar, co mu pierś przygniatał.

Nie lubi! mówić z. nikim o tych sprawach i jednej tylko ciotce wyłożył swój plan. A gdy ona, przerażona myślą utracenia go na wiele lat. spróbowała zaoponować, Jerzy tak wymownie i boleśnie spojrział na nią, że słowa jej na ustach zamarły.

On sam zrazu odważnie i utnie patrzył w przyszłość i szedł w życie śmiało, aż przyszła miłość i nowy ciężar złożył;! mu na burki.

Wakacje spędzał zwykle w domu wujostwa Suniżyckich, z których synami, Edziem i Emilem., przyjaźnił się w szkole. Było to blisko Haliniszek. Oba domy łączyło nawet pokrewieństwo, a dzieci znały się, przyjaźniły i uważały niemal za członków jednej rodziny. Mela Suniżycka była rówieśnicą Zosi i Ani, a synowie państwa Józefóstwa Halickich, którzy zwykle święta spędzali w Haliniszkach, nie mogąc jeździć aż na Polesie do rodziców, byli kolegami z Wilna Suniżyckich i Jerzego. Każdy więc projekt: majówka, grzybobranie, teatr amatorski lub żywe obrazy, układała zawsze cała kompania. Zdarzało się też nieraz i dłużej razem przebywać, a to z powodu lekcji tańców udzielanych przez sprowauzonego na lato metra, to z racji grasującej jakiejś epidemii, to wreszcie, aby przygotować jakąś wspólną zabawę. Toteż wszystkie najlepsze dziecinne wspomnienia Jerzego łączyły się

z Haliniszkami, a złota główka Zosi wyglądała z każdego kąta jego pamięci, i uśmiech jej był częścią każdej promiennej w życiu chwili. I sam nie wiedział, kiedy ją zaczął kochać. Musiało to być bardzo dawno, gdy była jeszcze małą dziewczynką, w wiecznie za krótkiej sukience, którą huśtał na żerdzi od płot u albo zrywał jej gruszki z wysokich drzew sadu. albo woził czółnem na drugą stronę jeziora po wodne lilie o wielkich, błyszczących liściach. Zosia była żywym, samowolnym dzieckiem, które sprawiało kłopot bonom i opiekunkom, więc jemu. jako rozsądniejszemu od innych, oddawano ją pod opiekę podczas wycieczek i spacerów; prowadził ją za rękę przez lasy i przez łąki, i jakoś umiał ją skłonić do posłuszeństwa.

A gdy potem zaczęła rwać się do koni, on jeden umiał jej strzemiona w męskim siodle tak przekładać, że siadała „po damsku” i w wielkim sekrecie przed babunią hasała gdzieś za folwarkiem.

Ona go także bardzo lubiła, na równi z Edziem i z Julkiem, z Waciem, i z Emilem; nazywała go po imieniu i starała się odkryć jakieś łączące ich pokrewieństwo. Ale przez długi czas więcej ją obchodziły młode źrebaki i szczenięta Pianki, wreszcie kury i kaczki na folwarku niżli wszyscy chłopcy na świecie.

Aż nagle zbudziło się w niej coś. co i jego oświeciło. Miała wtedy lat czternaście, gdy podczas pewnych świął wielkanocnych przyjechał z wizytą do Haliniszek młodzieniec z sąsiedztwa. Tomek Hurwicz, piękny chłopiec, z górną wargą pokrytą już ciemnym meszkiem i zabójczymi oczami. Wprawdzie tymi oczami ani patrzył na Zosię, traktując ją jak smarkatą, a zerkał na ładną mademoiselle Hugenie a gdy jej nie było, na pokojówkę Werusię. Ale na Zosi zrobił jednak takie wrażenie, że zjawiała się przy stole z gładko zaczesanymi włosami, czego nigdy dotąd nie robiła, z niebieską kokardą u kołnierzyka i z zasznurowanymi ustami, które tylko z rzadka cedziły jakieś rozumne zdanie. Przy tym rzucała takie spojrzenia spod długich rzęs i miała takie rumieńce, że Jerzy siedział jak na szpilkach. Obiad wydał mu się wiecznością, drżał cały i

czuł nieprzepartą chęć zrobienia awantury temu ładnemu chłopcu, któremu dość było się zjawić, aby wywołać takie wrażenie, aby zwrócić na siebie te oczy, jej oczy! Gdy wreszcie mógł się wymknąć i uciec od towarzystwa, schował się co prędzej za zielemciające wierzby nad brzegiem jeziora i tam, w samotności, leżąc z głową opartą na skrzyżowanych rękach, przeżył jedną z najcięższych i najbardziej pamiętnych godzin w życiu. Naprzód miotał nim tylko gniew i pogarda dla tamtego.

— Głupiec, lalka malowana — powtarzał — idiota! Czy on co umie! I sześciu klas nie skończył. Konno jeździć nawet nie potrafi. Ręce jak u panienki. I dwóch pudów nie podniesie... komar!

Patrzył na swoje ręce, żylaste i tęgie, macał ramię, które pomimo lat dziewiętnastu miało twardość stali i muskulaturę atlety, i myślał:

— Ja bym go zgniótł na miazgę... o, tak bym go zgniótł... tak bym...

I ogarniała go tak wściekła nienawiść, że zaciskał pięści, jakby naprawdę miał w ręku nieprzyjaciela, aż mu się paznokcie wpijały w dłonie i gryzł wargi do krwi. A potem przyszło pytanie:

— Ale za co? — i odpowiedź gniewna:

— Bo go nie cierpię, nie znoszę, nienawidzę... Ale za co? Po co on tu przyjechał? Popsuł nam święta... Nie popsuł wcale, wszyscy z niego radzi, panienki się nim zachwycają... A właśnie, panienki! Zosia nawet włożyła kokardę i robi taką minę romansową. Dla niego! Dla niego! A dla mnie co? Teraz, kiedy on jest, to na mnie nawet i nie spojrzy, tylko wpatruje się w tego bałwana. A ja? Dobry jestem, jak trzeba jeździć konno albo huścić się, a tak, to nie. Poczekaj, nigdy już tobie nie będę strzemion urządził — zobaczysz! Ot, żebym tak się utopił w tej chwili, żebym umarł tu przed nią, to by jej było na pewno wszystko jedno, zupełnie wszystko jedno. Więc po co żyć? Po co?

I taka bezbrzeżna rozpacz go porwała, taki ból i żałość nad sobą, że zdawało mu się, iż serce mu pęknie i będzie koniec nędzy... — Niech umrę, niech umrę — szeptał — nie chcę żyć, bo nie mam nikogo, nikogo na całym

świecie. Ciotka? E, co tam ciotka! Nikogo nie mam, nikt mnie nie kocha, nikt o mnie nie dba. — I łzy jak iskry gorące poczęły mu spływać z oczu.

— Na całym świecie nie mam nikogo — szeptał — kto by mnie kochał choć trochę. I znowu łzy sypały się gradem. Szlochał jak małe dziecko, on, dziesiętnastoletni chłopiec, który by się ze wstydu spalił, gdyby ktoś ujrzał choć jedną łzę w jego oku. Nie zdawał sobie nawet sprawy, za czym tak tęskni i płacze, ale czuł się tak bardzo samotny i opuszczony. Dusza rwała się w nim całą siłą ku innej jakiejś pokrewnej i bliskiej duszy, ku jakimś ramionom, które by go objęły i przytuliły.

Aż nagle z głębi ogrodu dobrze mu znany głos zaczął wołać: — Jerzy! Jerzy! — Struchlał. Czego ona chciała od niego? Uciekać nie było sposobu, bo by go zaraz dostrzegła, więc postanowił leżeć cichutko w wierzbinnie i nie odpowiadać. Może go nie znajdzie i zostawi w spokoju. Wcisnął głowę w dłoń i leżał nieruchomo, ale głos odezwał się już bliżej: — Jerzy! Jerzy!

— Gotowa mnie doprawdy odszukać — pomyślał ze strachem i co powie, gdy mnie zobaczy! — Ale już poruszyć się nie mógł i leżał jak martwy drząc, że lada chwila zostanie odkryty. Szybkie kroki zaszeleściły w trawie tuż obok niego i głos Zosi zawołał mu nad głową— Jerzy! Czemu nie odpowiadasz? Krzyczę, wołam, a ty udajesz, że nie słyszysz. — Uklękła przy nim na trawie, a on się nie ruszał.

— No, co tobie? — mówiła. — Przyrzekłeś ze mną zagrać w krokieta. Czyś ty chory?

— Graj z Hurwiczem w krokieta — odburknął nie podnosząc głowy.

— Z Hurwiczem? Kiedy on już pojechał.

— Pojechał?

— Tylko co wyjechał. No, chodź, zagrajmy w krokieta. Czemuś taki zły i nie patrzysz na mnie?

I starała się odjąć mu ręce od twarzy i zajrzeć w jego oczy. Ale on otrząsnął . się, odwrócił głowę i rzekł:



— Daj mi spokój, dobrze?

Lecz ona naprawdę była zaniepokojona, zapomniała nawet o krokiecie i tylko chciała się dowiedzieć, co miał na sercu, więc nie dawała się odpędzić, ale porwawszy jego ręce, ciągnęła je do siebie i twarz zbliżała się do jego twarzy, pytając: — Ale co tobie jest, powiedz, co tobie jest? — Aż i jego dłonie opadły i ujrzała oczy zapłakane i jeszcze nie obeschłe łzy na policzkach.

— Jerzy, ty płakałeś?... — szepnęła.

— Nie nudź, zęby mnie bolą — odparł i odwrócił się od niej gniewnie.

— O, to nieprawda — rzekła i zamyśliła się.

Poczuła tu coś tragicznego, jakąś grozę i tajemnicę, więc zamilkła i siedziała cicho z oczami wpatrzonymi w pluskające fale jeziora.

Po chwili żal mu się zrobiło, że był dla niej tak niegrzeczny i rzekł, nie podnosząc głowy:

— Idź, a ja zaraz przyjdę i zagramy.

— Kiedy ja nie chcę już grać w krokieta — rzekła smutnie i położyła mu rękę na ramieniu, chcąc go pocieszyć.

Nastąpiła cisza. On leżał wciąż z twarzą ukrytą w trawie, złamany i wyczerpany tą godziną męki. Już nie czuł bólu, tylko straszne zmęczenie i pragnął zapomnieć, nie myśleć wcale, zdrętwieć. Potem już niczego nie pragnął. Powoli wstępował w niego spokój dobroczynny i zdawało mu się, że z tej rączki, która spoczywała wciąż na jego ramieniu, sączy się słodycz, rozlewa się po nim, i przenika go całego na wskroś. Nienawiść, pogarda, zazdrość, które nim miotały przed chwilą, wypełzły z serca i skryły się gdzieś w cieniu, tęsknota i żalność cichły, usypiały, a rozchodziło się po nim jakieś ciepło miłe, jakby od niej płynące. I zaczęło mu być dobrze, tak dobrze, że nie śmiał się poruszyć, ani myśleć nawet, aby nie przerwać tej ciszy, która zapanowała w jego duszy. Leżał więc nieruchomy.

A ona, czując już instynktem kobiecym, że jest mu pociechą w tej chwili dziwnego smutku, siedziała cicho, bez słów, tylko ręką na ramieniu opartą dawała znak współczucia i zachęty.

Słońce przez zieleniejące gałęzie wierzbiny oświecało tę parę milczącą i nieruchomą, fale jeziora biegingy ze szmerem do ich stóp.

I wtedy Jerzy zrozumiał, że ją kocha. Ale nie przewidział jeszcze ogromu troski, jaką ta świadomość ze sobą niosła. Chwila obecna była dla niego szczęściem i upojeniem, i najwyższą rozkoszą, a o przyszłości nie myślał. Leżał u jej stóp, czuł na sobie jej rękę i serce jego wzbierało błogością.

Dopiero gdy po wakacjach znalazł się w Wilnie, zrozumiał, że los, dorzucając mu do innych trosk jeszcze miłość do Zosi, obchodził się z nim z wyrafinowaną ironią. Toteż ogarnęło go oburzenie i wstyd przed samym sobą i postanowił wyleczyć się z tej „głupoty”.

Wychowany w czystym i biednym otoczeniu, nie miał dotąd wielkich względów dla spraw sercowych i lekceważył je sobie najzupełniej. Jego dziewiętnastoletnia, męska ambicja nie przyznawała kobiecie zbyt wielkiej roli w życiu. Miłość była dobrą zabawką dla paniczów, ale dla ludzi dojrzałych były ważniejsze rzeczy na świecie, a tym bardziej dla niego, który na swych młodych barkach dźwigał już takie ciężary!

Wyjechał więc na studia z mocnym postanowieniem poprawy. I naprawdę, pierwszy rok w szerokim świecie tyle mu przyniósł wrażeń i nowych myśli, takie przed nim odsłonił widoki, że postać dziewczynki ze złotym warkoczem gdzieś się zapodziała i znikła. A gdy czasami wspomnienie o niej, wywołane przypadkowo, stawało przed nim, uśmiechał się sam do siebie z pobłażaniem i dziwił się, jak mógł niegdyś przeżywać dramat z tego powodu.

Latem ujrzał ją, przywitał obojętnie i przez kilka dni był zupełnie spokojny. Ale czar działał i gdy odjechał, znowu obraz jej zabrał ze sobą i odtąd on już go nie opuścił.

Pracował, uczył się, rozprawiał z kolegami, hulał nawet i pił czasem, gdy jaki grosz się znalazł, a ona była wszędzie obecna i szła za nim przez życie jak cień, jak własna dusza. I wszędzie widział jej oczy jak chabry i złote słońce jej włosów.

Gniewał się o to, wstydził się swej słabości i gwałtem chciał zapomnieć. Byłby wolał do zbrodni się przyznać niż do tej niedorzecznej i dziecinnej miłości; kłąją, wyśmiewał; to rzucał się w rozpustne objęcia, to zamęczał się pracą, to zwracał się ku społecznym kwestiom, to starał się odurzyć lekkimi miłostkami, nic wszakże nie pomagało. Postać wygnana nikła na czas jakiś, a potem wracała zniecka i pochylała się nad nim, jak złoty motyl kuszący i nieuchwytny.

Po pewnych wakacjach, gdy szesnastoletnia już wówczas Zosia jeszcze bardziej go odurzyła, postanowił nie wracać w te strony i nie widzieć jej wcale, aż się zupełnie wyleczy. Czuł bowiem, że nie ma prawa marnować siebie dla jakichś płonnych uczuć i wzruszeń i że jego męska duma nie pozwala mu hodować w sobie tej miłości, której nigdy promyk nadziei przyświecać nie może. Więc na następne lato postarał się o zajęcie w czasie wakacji i nie przyjechał wcale, chociaż serce bolało go nie tylko nad sobą, ale nad biedną, ukochaną ciotką, wyglądającą zawsze z upragnieniem przybycia „dziecka”.

I tak minęły dwa lata od ostatniego spotkania młodych. On wyrósł na mężczyznę, ona była dorosłą panną. Uczucia Jerzego nie zmieniły się, ale uspokoiły się trochę. Gdy jednak teraz ujrzał ją z daleka nad strumieniem, w migotliwym półcieniu olszyny, serce zabiło mu znów gwałtownie, i nie myśląc o niczym, rzucił się ku niej, stanął i patrzył.

A gdy go pożegnała wesołym: „proszę koniecznie przyjechać w niedzielę, bo płakać będę”, stał długo nieruchomy i znowu patrzył za oddalającym się wózkiem, za jej warkoczem i kapeluszem słomkowym, wreszcie za obłoczkiem kurzu, który się nad drogą unosił. Gdy znikło to wszystko — zawrócił i poszedł drogą ku Bijuciszkom.

Szedł schylony z czapką nasuniętą na oczy.

— Nie dla mnie — powtarzał, a przed oczami stawała mu jej postać i szła z nim razem przez zalaną słońcem drogę. — A myślałem, że się wyleczyłem, tak dawno już jej nie wspominałem. Ale dziś, gdy ją zobaczyłem tam, w olszynie, z tymi włosami rozwianymi, nie mogłem wytrzymać. Jaka cudna dziewczyna! — Przymykał oczy i przywoływał jej obraz, lubował się nim, przypominał sobie każdy jej ruch, każdą zmianę w twarzy, każdą nutę jej głosu, słyszał śmiech, czuł zapach zdrowia i czystości od niej bijący. I po chwili mówił sobie, że ją wkrótce — za rok, za dwa — zabierze ktoś inny, jakiś młokos bogaty. Zabierze jak swoją, a ona mu odda serce, to poczciwe serce, proste i kochające, odda mu ciało swe, odda młodość i myśli wszystkie, i życie całe. I że na to nie ma rady żadnej, że patrzeć na to będzie musiał z założonymi rękami, bo głową muru nie przebije, gwiazdy z nieba nie dostanie, partią odpowiednią dla niej nie będzie nigdy, choćby nie wiem jak pracował. A nawet, że śmiesznie jest — wprost komicznie — chociażby w myśli siebie przy niej stawiać. Że tacy jak on — skazańcy — nie mają praw już nie tylko do ładnych i bogatych panien z dobrego domu, ale do żadnej własnej, swojej kobiety. Że dom i żona to zbytek dostępny tylko dla tych, którzy mają o co ręce zaczepić, a przynajmniej nie mają starej, zapracowanej ciotki, ani długów ojcowskich do spłacenia. Że tacy jak on są po prostu szaleni, gdy podnoszą oczy ku dziewczętom pięknym i czystym, bo dla nich są dziewczyny z ulicy i szansonistki — i tam, w ich gronie, mają szukać zaspokojenia głodu sercowego, który ich szarpie.

— Tamte dla mnie, tamte — powtarzał.

— A od tej wara nawet myślom moim. — Ogarniało go znowu zniechęcenie do życia, obawa i zmęczenie, uczucie dobrze mu znane z dawnych lat. A że były one nienowe, więc umiał z nimi walczyć, umiał szukać na nie ratunku w przywiązaniu do ciotki, w poczuciu obowiązku, a przede wszystkim w swej męskiej dumie. — Przecież nikt o tym nie wie — pocieszał

się — i nikt nie może się dowiedzieć. Wszak tyle mam panowania nad sobą, aby się nie zdradzić i nie być śmiesznym. Odjadę wkrótce na drugi koniec świata, ona pójdzie za mąż i sprawa będzie skończona.

Pod wieczór przyjechały panie Halickie. Już od paru godzin Zosia biegała od okna do okna, niecierpliwiła się i czyniła różne złowrogie przypuszczenia. Zadręczała Werusie wymyślając coraz to nowe urządzenia w pokoju matki. Niezapominajki ułożone na talerzach z wigotną ziemią przestawiała ciągle z miejsca na miejsce, a pannie Borsakównie póty dokuczała o czysty obrus do wieczerzy, aż otrzymała, czego chciała, pomimo że to była dopiero środa i dawniejszy powinien był służyć aż do niedzieli. W całym domu słyhać było jej krzątanie się i niepokój, aż marszałkowa, zawoławszy ją do swego pokoju, kazała usiąść przy sobie.

— Kochanie moje, i cóż pomoże takie latanie? — rzekła.

— Ach, babuniu, kiedy ja nie mogę — i, schowawszy głowę na kolanach staruszki, zaczęła powtarzać:

— Co to będzie, babuniu, co to będzie!

Marszałkowa zrozumiała snadź, co się trzepotało w sercu dziewczyny, jakie niepokoje i przeczucia nieuchwytnie nią miotają, może sama doznawała również pewnej obawy przed tym jutrem, które musiało być inne od dzisiaj. Położyła więc rękę zestarzałą na jasnej głowie Zosi i rzekła:

— Będzie, co Bóg da, kochanie moje, a wszystko, co da, przyjmujemy wdzięcznie.

— Tak, babuniu, ale...

Turkot przerwał jej mowę. Tym razem był to turkot prawdziwy — i ze wszystkich kątów zaczęli się wysuwać domownicy na powitanie gości. Zosia była pierwsza u szklanych drzwi ganku, drżąc z niecierpliwości. Ale gdy powóz zajechał, napadła na nią dziwna jakaś nieśmiałość — i stała za babunią, trzymając się jej sukni, nieruchoma, zaczerwieniona, ze łzami w oczach, nie wiedząc, jak się przywitać.

Aż pani Alina otworzyła ramiona i objęła córkę całując ją i powtarzając głosem wzruszonym:

— Moja Zosieńka, moja kochana córeczka, nareszcie, nareszcie jesteśmy razem.

I odsunawszy się trochę, patrzyła na nią rozrzewniona.

— Ależ wyrosłaś, wypiękniałaś — mówiła. — Już panienka z ciebie! Ani przypuszczałam, że mam już taką dużą córkę.

— Vois done Therese Leonie, co za śliczną masz siostrę.

I zwróciwszy się znowu do pani marszałkowej, do rąk jej się schyliła.

— Kochanej mamie tyle zawdzięczam i doprawdy, nie wiem, jak dziękować za opiekę nad Zosią. A jakże zdrowie? Kaszel? Już tak tęskniłam do powrotu, tak marzyłam o tej chwili! Liczyłam dni i godziny, kiedy kochaną mamę i ojca, i Zosię, i wszystkich bliskich, ukochanych, znowu zobaczę... Na koniec Pan Bóg pozwolił, jesteśmy razem.

Marszałkowa nie odpowiadała, spokojnie czekając końca przemowy. Poglądziła synową po czole i uśmiechnęła się do niej. Marszałek zachwycił się jej wyglądem:

— Jak róża wyglądasz — mówił. — Młodniejesz z każdym rokiem. Ot, zagranica... włoskie niebo...

— Ale i ojciec poprawił się od mojej bytności.

— At, co tam o mnie gadać! Grat stary. Mnie już nie ma, ja już nie z tego świata. Jestem już od dawna mort et enterre".

Wtem nadeszła Ania i posypały się nowe uściśnienia, zapytania, uwagi. Aż wreszcie panie, zdjawszy okrycia i kapelusze, zostały zaprowadzone do salonu i posadzone oficjalnie na kanapie.

Siedząc naprzeciw matki i siostry, Zosia pilnie się w nie wpatrywała. Te kobiety, najbliższe na świecie, wydawały się jednak w tym domowym otoczeniu jakby z innej sfery. Było coś nieswojego w ich powierzchowności, w

ich ubraniu, w ich wyrażaniu się, nawet w akcencie ich polskiej mowy, która była jednak poprawna i płynna.

Pani Antoniowa była niegdyś bardzo ładna, a i dziś jeszcze, pomimo zbliżającej się pięćdziesiątki, cera jej była świeża i rumiana, niebieskie oczy świeciły jasno, zmarszczek prawie nie miała. Tylko figura, niegdyś wysmukła, zaokrągliła się i włosy, dawniej jasne jak len, świeciły dziś srebrnymi pasmami. Ale doskonale skrojony zakieciak maskował niedostatki figury, a włosy, chociaż gładziutko uczesane nad czołem, były z tyłu spięte w tak zgrabny węzeł, że stanowiły jeszcze niemałą ozdobę. Ubrana była zupełnie czarno, w lekką, angielskiego kroju suknię — i tylko biały kołnierzyk i mankieciki ozdabiały strój poważny, żałobny prawie, ale niezmiernie wykwinny. Wykwintna też i prawdziwie piękna była ręka, co się wysuwała spod białego mankietu, niezmiernie starannie utrzymana, o długich palcach, zakończonych paznokciami różowymi jak listki kwiatu, a świecącymi jak drogie kamienie, o arystokratycznym kształcie, miękka i biała; błyszczała kilku pierścionkami brylantowymi, a spod mankietu, na złotej obręczy, wyglądał czasami i rzucał ogień wielki rubin. Był to zresztą jedyny klejnot, jaki miała na sobie. Siedząca obok niej Teresa Leonia, wielki z matka stanowiła kontrast. Pomimo lat zaledwie dwudziestu wyglądała poważniej, rozsądniej, spokojniej od pięknej jeszcze i ożywionej pani Antoniowej. Była nieładna, bardzo drobna i szczupła, ale posiadała te same co matka cechy dystynkcji i wykwinu. A w jej surowo zamkniętych ustach, w jej prosto patrzących oczach i na czole wydatnym, nisko zarosłym płowymi włosami, malowała się stanowczość, silna wola — upór może nawet. Mówiła mało, głosem przyciszonym, ale dobitnie i zwięźle, bez żadnych gestów zbytecznych, ręce trzymając złożone na kolanach. Czasem spuszczała oczy i przez chwilę zdawała się skupiać w jakiejś wewnętrznej myśli — jakby w swym sercu szukała czegoś lub kogoś. Ale to trwało króciutko — zaraz podnosiła głowę i uśmiechem lub spojrzeniem brała znowu udział w rozmowie.

Pani Alina pytała o krewnych, o znajomych. Widać było, że starała się zająć tym, co się przez ostatnie dwa lata tu działo.

— A kochana mama często ma wiadomości od Józefostwa?

— Onedgaj pisał Józef. On regularnie co dwa tygodnie pisuje. Wielką mają stratę — w fabryce, w tartaku. Pękł kocioł i cała maszyna na nic.

— Jakże ich synowie?

— Wiesz przecie, że Julek ożenił się? Bardzo zdaje się, porządną osobę wziął z Korony, Bujelewska. Byli tu podczas Wielkiej Nocy. I niebiedna — jedynaczka, więc z czasem i majątek na nią spadnie. Józefowie bardzo radzi.

— Kobietka jak cukierek — wtrącił marszałek.

— A Andzia? — spytała pani Alina. — Szczęśliwa? Gdzież oni są teraz?

— Szczęśliwa. Dobrego ma człowieka. Tylko daleko bardzo, gdzieś aż za Moskwą. Kolej tam budują.

— Tak daleko! Czemuż on tu gdzieś bliżej nie weźmie sobie miejsca? Andzi smutno musi być daleko od swoich, może i od kościoła.

— Towarzystwo ma tam jakieś wśród inżynierów — rzekł marszałek.

— Gdzie to teraz nie ma naszych! Rozlecieliśmy się po świecie jak stado wróbli.

— Jak była panną, to się nabawiła dosyć, kochanie moje. Józefowa co roku gdzieś z nią, bywało, wyjeżdżała na karnawał. Miała i konkurentów kilku, mogła wybierać.

— Ale ona też zupełnie zadowolona ze swojego losu — odezwała się Ania

— pisała do mnie niedawno, bo my pisujemy czasami do siebie, że me przypuszczała nawet, że tak będzie szczęśliwa. Tęskni czasem, ale tylko wtedy, gdy męża nie ma w domu. A jak wróci, czuje się potrzebna i tęsknić przestaje.

— Tak być powinno — rzekła babunia. — Raz za męża poszłaś, to cała do męża należysz i do dzieci, a tęsknić do swoich nie ma czego.



— Ale, babuniu! — zaczęła Zosia. — Swoi zawsze najbliżsi...  
Zaczerwieniła się i urwała, bo przyszło jej na myśl, że najbliżsi bywają

czasem tak dalecy i obcy! A stryj zaczął żartować:

— At, zobaczysz, przyjdzie „miesiąclizun”, to ani się obejrzysz za swoimi. Zjawi się chłopiec i poprosi ładnie, to i polecisz za nim, choć na koniec świata.

— Co stryjcio mówi!... Stryj zawsze...

Ale stryj zaśmiał się głośno. Babunia uśmiechała się, kiwając głową. Na ustach pani Aliny ukazał się wyraz niesmaku, jakiś grymas niezadowolenia z pospolitości żartów stryjowskich. Teresa Leonia zaś spuściła oczy i chwilę pozostała w skupieniu, oderwana od rzeczywistości, nieobecna, daleka od wszystkiego, co ją otaczało.

Po chwili ozwała się pani Alina:

— Byleby iść za głosem Bożym i wedle Jego natchnienia postępować! On do każdego z nas przemawia *II frappe a tous les coeurs*. Chodzi tylko o to, aby głos ten usłyszeć i pójść za nim.

Zamilkła i czas jakiś trwała cisza. Marszałek pokiwał głową z uznaniem dla jej słów. Pan Adam zapalił papierosa i otoczył się kłębem dymu. Zosia kręciła w palcach wstążkę od warkocza i myślała: — Jak ta mama ładnie mówi, tak jakoś inaczej od nas wszystkich. Już to pewnie Ania i ja wydajemy się jej bardzo proste i niewykształcone.

Pani Alina poprawiła na rękę złotą obręcz z rubinem, spojrzała na paznokcie, a dostrzegłszy na jednym skazę, leciutko rękawiczką zaczęła ją szlifować. Marszałkowa zaś rzekła, wracając myślą do Józefostwa:

— Ot, biedę mają z Olesiem. Nie chce się uczyć. I w tym roku zerwał się z zakładu — nie zdał egzaminów — i cały rok stracony.

— To ten łotr Wacio ma na niego najgorszy wpływ.

— Wacio? A cóż on?

— Ach, lepiej o nim nie wspominać — odparła marszałkowa i westchnęła. — To szubrawiec. Wstyd dla całej rodziny.

— Zgubiony człowiek! — dodał pan Adam.

Zosia spod oka spojrzała na Anię. Siedziała spokojnie ze złożonymi na kolanach rękami, tylko bladość ogromna pokrywała jej twarz i powieki drgały nerwowo.

— Biedactwo — pomyślała Zosia. — Ona go jednak bardzo kochała.

— Próbowali z nim na różne sposoby — rzekła po chwili marszałkowa

— i w domu trzymali, i dawali zajęcia różne. Cóż, kiedy nie chce żadnej pracy. Tylko hulać i hulać.

— Gdzie się nie poruszy, długów narobi, awantur, Bóg wie co!

— Gdzież on jest teraz?

— Zdaje się, że gdzieś za granicą, ale nikt dobrze nie wie.

— Już to w naszym rodzie — rzekł marszałek — to tak: jak Halicki porządny, to porządny. Ale jak uda się łotr albo niedołęga — to kłaniam się uniżenie!

Podano wieczerzę i towarzystwo przeszło do jadalnego pokoju.

W sali czekał już rządca, pan Huniewicz, młody chłopak, opalony i piegowaty, z ogromnymi czerwonymi rękami, które wysuwały się spod przykrótkich rękawów płóciennego surducika.

Pan Adam przyjaźnie wziął go pod ramię i przedstawił wchodzącym paniom. Te skłoniły głowy, on mocno szurnął nogami i wszyscy usiedli do stołu.

— A kochana mama nie je? — spytała pani Antoniowa, widząc, że Grzegorz od niej samej zaczyna podawanie półmiska.

— Nie, kochanie moje. Wieczerzy już nie jem od lat kilku. Staremu im mniej, tym lepiej. Pan Bóg wie, co robi, bo jak zaczyna człowiekowi jedzenie szkodzić, to mu zęby odbiera. Ja i podczas obiadu to tyle, że pokosztuję mięsa, a tak, zupy zjem — i dosyć.

I pani marszałkowa naląła sobie herbaty ze stojącego obok samowara. Pan Adam rozpoczął z Huniewiczem jakąś gospodarską rozmowę.

Zosia nie mogła jeszcze otrząsnąć się ze swego onieśmienia. Chciała przemówić do siedzącej obok Teresy Leonii, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Wreszcie, zdobywając się na odwagę, wykrztusiła pytanie:

— Pewnie bardzo rada jesteś z powrotu do domu?

Mówiąc to czuła, że pytanie jest niedorzeczne i że Terenia szczerze na nie nie odpowie. Ale ona zwróciła ku Zosi swój jasny, trochę przymglony wzrok i odparła cichym, ale wyraźnym głosem:

— Jestem rada, gdyż pewnie będzie to mój ostatni tu pobyt.

— Ostatni?...

— Tak. Wiesz przecie, że wstępuję do zakonu.

Do zakonu! Tak, wiedziała o tym od dawna, ale zdawało jej się, że to rzecz daleka — mglisty projekt. Nie, to była prawda — i nic się nie zmieniło w jej zamiarach. Wstępowała do zakonu.

Zosia spuściła głowę nad talerzem, a i Teresa Leonia nie miała widać ochoty przedłużyć tej rozmowy, bo rzekła:

— O tym pomówimy obszerniej.

— Boże! — myślała Zosia. — To jednak okropne! Dobrowolnie wyrzec się wszystkiego, co się kocha. Jak ona może! 'Wstępuje do klasztoru — i ostatni raz tu przyjeżdża. Już nigdy nie zobaczy Haliniszek i Białego Dworu, nie uklęknie w naszym parafialnym kościele, nie usłyszy naszych śpiewów i naszej mowy, nigdy już nie zasiądzie do rodzinnego stołu i nie zakosztuje tego ciemnego chleba. Nigdy już nie spojrzy w twarz ukochanej babuni, nie poczuje jej ręki na swej głowie.

Zosia objęła wzrokiem drobną postać marszałkowej. Siedziała przy samowarze przed całą baterią szklanek i filiżanek, trochę przysłonięta parą, która unosiła się nad jej głową, surowa, pełna powagi i jakiegoś nieziemskiego spokoju. Wszyscy wokoło ruszali się, mówili, jedli, a ona jedna siedziała

milcząca, nieruchoma, jak obraz domowego bóstwa, które w sobie skupiało ducha całej rodziny, które trwało wiecznie, niezmiennie wśród zmian wszelkich, zawsze obecne, zawsze dobroczynne, zawsze ożywiające. I nagle zdało się Zosi, że wszystko wokół jest niestałe i znikome, zmienne jak fale na jeziorze. Tylko ta babunia ukochana, ze swą poważną twarzą matki i pani, zmienić się nie może, musi trwać wiecznie. Ona uosabia duszę tego domu. — Jak ona może dobrowolnie pozbawiać się takiej babuni! — rzekła sobie w duchu, znowu zwracając myśl ku siostrze. W tej chwili przypomniała sobie poranną rozmowę z Anią i ogarnął ją niepokój. — Co ona myśli? Czy takie obcowanie z Terenią nie wpłynie źle na nią, nie zachęci jej? Przecież i ona także mówiła o porzuceniu wszystkiego. I z obawą spojrzała w jej stronę, ale twarz Ani była zupełnie spokojna i zdawało się, że słucha uważnie rozmowy pani Antoniowej z marszałkiem i z panem Adamem. Opowiadała ona głośno, tak, żeby i pan Adam mógł usłyszeć, o plantacjach eukaliptusów pod Rzymem. Ojcowie trapiści osiedli tam w najbardziej niezdrowej okolicy, na bagnistym gruncie, gdzie panowała dawniej nieubłagana malaria, i zasadzili gaje eukaliptusów. Drzewo to strzeże od febry, więc z jego liści wyrabiają pyszne likiery i sprzedają. Doskonałe są, nadzwyczaj smaczne i doprawdy, to jedyne lekarstwo na febrę.

— Lepsze od naszego wiśniaku? — spytał pan Adam. Pani Antoniowa uśmiechnęła się pobłaźliwie:

— Tu wcale nie umieją robić likierów — odparła.

— Przebacz, bratowo, ale nie uwierzę. Mój wiśniak, jak się uda którego roku, to takiego i w Paryżu, i u swoich trapistów nawet nie znajdziesz.

Pani Antoniowa nie zaprzeczyła. Grzecznie wycofała się z dyskusji, a pan Adam mówił dalej:

— Bo ja mam sekret. Nauczył mnie tego stary proboszcz Borysowicki, pamięta ojciec? Lubił mnie bardzo, więc raz mówi do mnie: Zapisałbym tobie

cokolwiek, ale niewiele mam, a i to do synowca przejdzie i na kleryków. Więc tobie powierzę sekret, jak sprawiedliwy wiśniak robić...

Wtem weszła do pokoju Werusia, trochę zalękniona, że przed zagranicznymi paniami wypada jej stanąć, i prędko zatrzepała:

— Jakiś człowiek jest do pani przyszedłszy, i gospodyni czeka. Pani marszałkowa wstała natychmiast i poszła, a tymczasem skończono drugą potrawę i Zosia zabrała się do nalewania herbaty.

Rozmowa ciągnęła się leniwie, zahaczając o bieżące sprawy. Ania starała się cicię zabawiać. Pan Adam znowu zwrócił się do Huniewicza z jakimś zapytaniem — i znowu omawiano kwestie gospodarcze.

Chwilową dywersję zrobiło wejście pana Napoleona Szrotta, który się rzucił do ucałowania rąk pani Antoniowej, a zarazem tłumaczył opóźnienie swe przeróżnymi powodami, opowiadał o przejażdżce do Białogóry, zachwycił się ślicznym wyglądem przybyłych, a wreszcie usiadł na swoim miejscu i szeroko się rozparł. Skrzywił się z niezadowoleniem na pieczone, które już ostygło i odsunął salaterkę z sałatą, mrużąc:

— Mogliby pamiętać, że nie jem ze śmietaną.

Ale w tejże chwili rozjaśnił twarz i uśmiechnął się, bo pani Alina spytała go o żonę.

— Żyje od biedy, żyje — odparł. — At, nieszczęśliwa kobieta! — dodał, nabierając na talerz porcję wzgardzonej przed chwilą sałaty. — Biedne to, sterane życiem, a ciche, a potulne, a słodkie — powiadam państwu, wyjątkowa kobieta! szczerze mówię, wyjątkowa!

Nikt nie zaprzeczał ani nie potakiwał. Więc pan Szrott, okrawując skrzydełko od kurczęcia, mówił dalej.

— Bo czy to inna zniosłaby spokojnie taką przemianę losu? Z dostatków, z wygod — szczerze mówię, pańskich — z własnego domu, teraz zeszła na nędzarke — nie przesadzam, na nędzarke.

— Wszak mieszka u krewnych?

— Tak, u krewnych. Ale czy to miło tak sięść choćby krewnym na karku, z dziećmi — sama chora, osłabiona, czy to miło? A ona nic — ani się poskarży — ani się skrzywi — wyjątkowa kobieta.

Umilkł. Pani Antoniowa ze współczuciem westchnęła. A pan Adam, który nadśluchiwał i domyślał się, o czym była mowa, machnął ręką w milczeniu i zapalił papierosa.

Znowu rozmowa się urwała. Czuli wszyscy, że jakoś nie idzie. W półcieniu wielkiej sali paliły się żółte płomyki świec. Mrok i nuda zdawały się wyglądać z każdego kąta. Ania, najwrażliwsza ze wszystkich, czuła już bolesne strzykania w skroniach. Zosia wpadała w coraz gorszą nieśmiałość.

Nagle pan Huniewicz przypomniał coś sobie.

— Aha — rzekł — zapomniałem państwu powiedzieć, toż Tomek Hurwicz Granulizki sprzedał.

Wszyscy się poruszyli.

— Co pan mówisz! — zawołał pan Adam.

— A tak — sprzedał. Dziś widziałem ekonoma stamtąd — starego Jaksztę — mówił, że wczoraj w Wilnie odbyła się licytacja — kupił jakiś mularz czy kowal.

Wtem z przeciwnej strony stołu, gdzie siedział marszałek, ozwał się jęk tak bolesny, tak rozpaczliwy, że oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Staruszek rękami chwycił się za głowę, i powtarzał jedno tylko: Ach, Boże! ach, Boże! A potem zerwał się, rzucił na stół serwetę — i wyszedł z pokoju. Pozostali spojrzeli po sobie.

— Ojciec tak zawsze... jak coś posłyszysz — tłumaczył pan Adam zdziwionej bratowej.

— Więc ta sprzedaż tak go wzruszyła? Vraiment?

— A tak — on nie może przywyknąć...

Pani Alina nie rozumiała, ale uważała za stosowne zamilknąć. I przez chwilę trwała cisza, i troska osiadła na wszystkich czołach. Ale wiedzieli, że w

takich razach należy marszałka zostawić samego — więc się nikt nie ruszył — i pan Huniewicz dalej mówił:

— Licytację zaczęli od osiemdziesięciu tysięcy, ale podpędzili do stu pięciu. I z tego jemu — Hurwiczowi — nic się nie dostanie, wszystko wierzyciele zabiorą. Jakoby chwalił się, że całego funduszu ma teraz rubel i dwadzieścia kopiejek.

Pan Adam rzekł:

— No, prędko się załatwił! A taki piękny majątek! Marszałkowa, która wróciła na swe miejsce, zmartwiła się też tą wiadomością.

— To błazen! — rzekła z oburzeniem. — A pamiętam, ojciec jego, sędzia, porządny był człowiek, pracowity, akuratny, skąpy nawet. Dobrze, że tego nie dożył.

— Ależ to szkoda, taki majątek! — westchnął pan Adam.

Pan Szrott, smarując bułkę grubą warstwą masła, westchnął i rzekł:

— Oj, młodzież terażniejsza ani zasad, ani hartu, ani szlachetności uczuć... Tylko używanie i używanie! O, za moich czasów nie tak bywało! Nam przyświecała idea — my gotowi byliśmy wszystko poświęcić na ołtarzu idei. Nas nie oskarży historia o sobkostwo, o egoizm...

— Dzisiejszą młodzież — zaczęła pani Alina — to trochę tłumaczy, że wychowanie, jakie otrzymuje, jest zupełnie bezwyznaniowe. Dawniej były szkoły zakonne — uczono religii, wszczepiano zasady, des principes religieux, a teraz szkoły takie okropne!

Po wieczery posiedzenie w salonie było niezbyt ożywione. Marszałek, już spokojny, grał przy bocznym stoliku w szachy z panem Szrottem. Pan Adam wyciągnął z szuflady talię kart i zaczął kłaść pasjansa. A obok siedząca pani marszałkowa, chociaż jednym uchem słuchała rozmowy i odpowiadała na pytania synowej, wciąż zwracała się do syna z uwagami:

— A czy nie lepiej tę dyskę położyć tu, na treflowej newce, jak myślisz? Oj, kochanie moje, jeszcze z tym waletem lepiej poczekać! Ot i as — no, teraz już wyjdzie...

Ania i Zosia zajęte były robótkami.

Wreszcie wybiła godzina dziesiąta i pani marszałkowa wstała, mówiąc:

— Pora już wam iść spać po podróży. Zosiu, odprowadzisz. Powiedziano sobie dobranoc, a pan Adam, całując rękę bratowej, rzekł:

— Pomówimy jutro o interesach.

— I owszem — odparła pani Antoniowa — i my mamy wiele do powiedzenia. Są rzeczy... zaszły różne takie rzeczy... że musimy serio o nich pomówić...

Pan Adam zrobił na wpół zaciekawioną, na wpół usłużną minę, ale rzekł tylko:

— Służę bratowej.

Tego wieczoru obie panienki długo nie mogły zasnąć.

Ania, otulona kołdrą, rozmyślała, czyby nie dobrze było poszukać rady w swej wewnętrznej rozterce u tych świętych dusz — zwłaszcza u Teresy Leonii.

Zosia leżała zapatrzona w gwiazdy, co przez okno świeciły, i myślała, że jednak w życiu bywają dziwne komplikacje i że czasem radości od smutku rozróżnić nie można.



## VI

Tak zwany pokój babuni była to komnata duża, słoneczna, aumeblowana nadzwyczaj skromnie.

Tam zawsze podawano poobiednią herbatę. Tace z imbrykami stawiano na okrągłym stole przed kanapą. Przy nim zasiadały panienki; niby to były zajęte robótką, ale ciągle ją przerywały, aby się odciąć stryjowi, albo żeby sięgnąć do „talerzyka”. Talerzyk ów był zawsze pełny doskonałych domowych przysmaków. Były tam pierniki z żytniej mąki i pierniczki z kordymonią, makaroniki i orzechy w cukrze smażone i tłuczeńce doskonałe, i makowniki, i skórki pomarańczowe, chleb marcowy, ser jabłeczny i marmoladki, śliwki suszone z kminkiem i pyszne, nad wszystko ulubione, cukierki śmietankowe.

Zwykle po półgodzinnym posiedzeniu pan Adam wracał do swego gospodarstwa, marszałek szedł na poobiednią drzemkę do swej kancelarii, panienki wracały do różnych swych zajęć, a babunia wkładała okulary i zabierała się do czytania gazet i miesięczników. Cisza zalegała dom cały, tylko zegar w stołowym pokoju wybijał godziny i papier szeleścił w rękach babuni.

Ale dziś jakieś skrępowanie czuć było w towarzystwie — coś, co zapowiadało poważną, a może i niemiłą rozmowę. Wisiała w powietrzu jakaś zmora, którą wszyscy czuć musieli, bo twarze były nieśmiałe i jakby znudzone. Po odejściu marszałka i panienek pan Adam wyjął z kieszeni paczkę papierów i zwrócił się do pani Aliny:

— Trzeba nam z bratową pogadać o interesach. Ona poruszyła się żywo na kanapie.

— I owszem — rzekła — i owszem. I ja też chciałam z mamą pomówić i z Adasiem o bardzo ważnych rzeczach. Ach, tak — bardzo ważnych. Chodzi tu o całą przyszłość naszą — córek moich... i moją.

Pani marszałkowa zwróciła oczy ku synowej z wyrazem ciekawości, a zarazem i pewnej obawy.

Pan Adam rękę założył za ucho i pochylił się naprzód, aby ani słówka nie uronić, ale i na jego twarzy malowała się jakaś niepewność czy troska.

— Jeżeli tak — rzekł — to rachunki z Białego Dworu mogą poczekać. Niech bratowa naprzód powie, co ma do powiedzenia.

Pani Antoniowa spojrzała na Teresę Leonie, która siedziała nieruchoma, jakby chcąc od niej zaczerpnąć odwagi, i zaczęła mówić:

— Nie pisałam wyraźnie o naszym postanowieniu, bo o tych rzeczach zawsze lepiej pomówić de vive voix, wszystko wypowiedzieć... Zresztą, pewna jestem, że kochana mama, taka wierząca, taka religijna...

Tu schyliła się do rąk pani marszałkowej.

— Więc cóż, kochanie moje? — spytała staruszka.

— Pewna jestem, że kochana mama nas zrozumie i nawet może pochwali. I Adaś także, chociaż mężczyzna, ale ma dość głębokie religijne uczucia, aby nas zrozumieć. Wszak prawda?

— Ale o cóż chodzi? — spytał pan Adam.

— Zaraz... zaraz. Jestem pewna, że jak tylko kochana mama i Adaś mnie wysłuchają, to pochwalą i dopomogą do spełnienia wielkiego dzieła, które Pan Bóg nam powierzył — do spełnienia ofiary, której od nas wymaga. Tak, bo to jest ofiara... un sacrifice immense!

Zamilkła na chwilę i poprawiła zsuwającą się złotą obręcz z rubinem, spojrzała na błyszczące paznokcie i dalej mówiła:

— Nasz święty Kościół katolicki znajduje się tera w nadzwyczajnie ciężkich czasach, ze wszystkich stron, i wewnątrz, i zewnątrz, szarpany jest przez nieprzyjaciół i przez własne swe dzieci. Niewiara, socjalizm, masonerią, materializm, wolnomyślność, mon Dieu, que saisje! Tylu strasznych wrogów powstaje przeciwko tej świętej matce naszej! Otóż dzisiaj obowiązkiem wszystkich wiernych jest więcej niż kiedykolwiek garnąć się pod skrzydła Ojca Świętego, bronić go od napaści, życie swe poświęcać za niego i wszelkich sił używać, aby rozpowszechnić miłość dla Kościoła i dla tej stolicy Piotrowej,

naszej wspólnej matki i opiekunki. N'est ce pas? — to nasz pierwszy obowiązek. Każdy katolik tak czuć powinien.

Pani Alina odetchnęła i spojrzała na marszałkową i na pana Adama. Oni siedzieli milcząc, słuchali bardzo uważnie, ale na ich twarzach nie malowało się jeszcze ani uniesienie, ani przekonanie. Więc mówiła dalej, starając się dobitniej jeszcze i silniej przemówić do ich uczuć:

— My szczególnie, Polacy, jesteśmy dłużnikami stolicy świętej. Nikt tyle co my nie winien jej wdzięczności i czci. Czymże byliśmy, dopóki nas nie przygarnęła? Kto z nas zrobił wielki naród, słynący niegdyś w świecie całym? Kto nas oświecił? Z czyjej łaski kwitły niegdyś w Polsce nauki, przemysł, bogactwa?... I tylu mieliśmy świętych, i tylu królów mądrych, i taką czystą, taką piękną historię! Kościół katolicki zrobił z nas tę sławną i groźną dla niewiernych siłę. Jemu wdzięczność wieczną winniśmy.

Pan Adam poruszył się na fotelu i rzekł:

— Dobrze, to historyczna teoria. Bardzo pięknie. O cóż chodzi w praktyce?

Pani Alina spuściła oczy, jakby się skupiała w sobie, i odrzekła głosem cichym, lecz stanowczym:

— Postanowiliśmy obie z z Therese Leonie fundować zakon polski, który by walczył wszędzie i zawsze za Kościół święty i dawał mu świadectwo wierności narodu naszego.

Umilkła. I nastąpiła cisza.

Pani marszałkową i pan Adam spojrzeli po sobie, ale nie rzekli ani słowa. Wyraźna troska wystąpiła na ich czoła i głowy pochyliły się niżej. Pan Adam leciuchno przebierał palcami po stole. Teresa Leonia siedziała wciąż nieruchoma i milcząca.

Wreszcie pani Antoniowa znowu głos zabrała:

— Powinnam jaśniej wytłumaczyć się przed kochaną mamą i przed Adasiem. Proszę nie myśleć, że postanowienie to zrobiliśmy lekkomyślnie.

Nie, w tym wyraźny jest palec Boży. Długo i ja badałam swoje serce, w modlitwie i w sakramentach szukałam światła, radziłam się ludzi świętych i mądrych, walczyłam z sobą, nie mogłam się zdobyć na takie poświęcenie. Miłość kraju, rodziny, nawyknienia całego życia wstrzymywały mnie. Długo myślałam, że się ludzę, że Bóg takiej ofiary ode mnie nie wymaga... Ale wreszcie przekonałam się, że On tego chce... Tu ozwał się spokojny i wyraźny głos Teresy Leonii:

— Tak. Bóg nas wybrał do spełnienia tego dzieła. Wyraźnie tego od nas żąda, wskazuje nam drogę, którą iść mamy. Więc nie będziemy się opierały Jego świętej woli.

— A po czymże bratowa i Terenia poznajecie, że w tym postanowieniu jest wola Boska? — spytał pan Adam.

— Po czym? O, Bóg ma tysiączne sposoby przemawiania do duszy, która Mu się oddaje z ufnością! — zawołała pani Antoniowa.

— Ja miałam wyraźne objawienie — rzekła Teresa Leonia.

— Objawienie?!

— Kochanie moje — rzekła marszałkowa surowo — czy nie wyobrażasz sobie? Ostrożnie z tym, co się tyczy Boga. On byle komu nie zsyła objawień.

Na twarz Teresy Leonii wystąpił gwałtowny rumieniec. Brwi jej zsunęły się gniewnie i jakieś ostre słowo zadrzało na jej ustach, ale powstrzymała się, spuściła oczy i po chwili rzekła:

— Wiem, że niegodna jestem łask Bożych, że jestem grzeszną i marną istotą, ale Bogu podoba się czasem wybrać słabe narzędzie dla dokonania wielkich dzieł swoich — i tym razem nie mylę się, Bóg mnie przeznacza na założycielkę nowego zakonu.

Nastąpiła cisza. Pan Adam pocierał swe stroskane czoło. Pani marszałkowa zapatrzyła się w dal widoczną przez okno — i westchnęła. Matka z córką znowu zamieniły spojrzenia i pani Alina zaczęła:

— Było to tak: Therese Leonie od czasu tej strasznej choroby, kiedy tak cudownie Matka Najświętsza przysłała jej na ratunek, postanowiła poświęcić się Bogu. Ja, ma się rozumieć, cierpiałam nad tym w głębi serca, bo jakież matka by nie cierpiała, ale ani jednym słowem nie starałam się odwieść jej od tego. Milczałam i oddawałam Bogu w ofierze to najmilsze dziecko. Wtedy jeszcze dopełnić przysięgi nie mogła, z powodu zbyt młodych lat, więc tymczasem studiowała reguły zakonów istniejących, aby się na którykolwiek z nich zdecydować. Ale, dziwna rzecz, w każdym znajdowało się coś takiego, co nie przypadło do jej usposobienia. Więc wahała się ciągle i nie wiedziała, co począć, i była tym udręczona bardzo, bo czuła w duszy głos Pana wołający ją do siebie, a ona jeszcze się ociągała. Za poradą więc naszego spowiednika, kochanego ojca Maksa, postanowiła odbyć pielgrzymkę do siedmiu bazylik rzymskich. Jednego dnia, to było właśnie tej wiosny, wyszła od Świętego Piotra. Szła od jednej bazyliki do drugiej, coraz bardziej zmęczona, ale z coraz większą otuchą i wiarą, że Bóg nam wskaże drogę. Aż wróciwszy do Św. Piotra pod wieczór — panował już tam zmrok zupełny — zrobiło się jej tak słabo, że nie mogła utrzymać się na nogach. Uklękła przez Piętą Michała Anioła, tą cudowną Piętą, i pogrzyżyła się w modlitwie. A wtedy ujrzała najwyraźniej Pannę Najświętszą z sercem przebitym siedmiu mieczami, i usłyszała słowa: „Funduj zakon nowy na pamiątkę tych siedmiu mieczów”.

— A w jakim języku były wypowiedziane te słowa? — spytał drwiąco pan Adam.

Ale nikt nie odpowiedział na żart tak ordynarny i niesmaczny. Teresa Leonia siedziała nieporuszona, z twarzą rozjaśnioną wspomnieniem tej chwili, a pani Alina, po przerwie, mówiła dalej:

— Wróciła już dorożką do domu, bo nie miała sił iść dalej. Ja zaś przez cały ten dzień modliłam się także, i czułam, że i na mnie zstępuje łaska — że Bóg i mnie wzywa do połączenia się z nim przez śluby zakonne. Wyraźnie

słyszałam głos mówiący: „Idź i ty!” Więc gdy Teresa Leonia wróciła, ja powiedziałam zaraz: I ja z tobą!

— Oto jest cała historia nasza — dodała pani Alina. — I doprawdy, któż może zaprzeczyć, że jest tu palec Boży?

— Kto by śmiał wątpić? — rzekła Teresa Leonia, podnosząc głowę ruchem pełnym stanowczości i energii.

— Więc postanowienie nasze zapadło. Dla większej jeszcze pewności prosiłyśmy o radę ojca Maksa i on w zupełności nas pochwała, ce cher pere! Przyrzekł zająć się wszelkimi formalnościami — a ojciec Stanisław Huniewicz układa regułę dla nas. Przed naszym wyjazdem już odbyliśmy kilka posiedzeń — i długie były rozprawy. I zakon nasz ma nosić nazwę Zgromadzenia Sióstr Matki Boskiej Bolejącej, ponieważ taka, z sercem przebitym, raczyła ukazać się Teresie.

Pani Antoniowa skończyła i spuściła oczy — a marszałkowa westchnęła głęboko i ciężko, i rzekła powoli:

— Kochanie moje, czy ty zastanowiłaś się nad tym, co robisz? Że Terenia chce wstąpić do klasztoru, to cóż robić? Swobodna jest — już w tym wieku, że może sobą rozporządzać — jeśli po namyśle widzi, że ma do tego skłonność, że nie pożałuje kiedyś młodości i życia — to niech idzie. Może w tym wola Boska! Ale ty, kochanie moje, nie masz prawa sobą rozporządzać, ot, tak — jak przyjdzie ochota. Masz obowiązki, masz majątek mężowski — masz drugą córkę. Cóż będzie z Zosią?

— Ona chyba do waszego klasztoru nie wstąpi — wtrącił pan Adam. Pani Antoniowa zawahała się.

— Z Zosią? — rzekła. — Ale Zosi tu doskonale, dzięki kochanej mamie... Zresztą ma osiemnaście lat, jest ładna, miła, pewnie wkrótce za mąż pójdzie.

— Pójdzie czy nie pójdzie, to Bogu wiadomo. Ale Zosia ma matkę i ma do niej prawo. Dlaczegoż ją skazywać na takie sieroctwo? Czemuż Zosia nie ma być przy tobie, kochanie moje, zanim wyjdzie za mąż?

— Przy mnie?... Zapewne... przy mnie... Owszem, kochana mamo, niczego bym tak nie pragnęła, jak mieć przy sobie to dziecko drogie, *cette chere petite*. Dotąd okoliczności zmuszały mnie do rozstania, ale to było bardzo i bardzo *a contrecoeur*.

Pani Alina westchnęła i spojrzała na swoje paznokcie.

— Właśnie chciałam od dawna i tak tęskniłam do tej chwili, aby z kochaną mamą i Adasiem naradzić się, aby usłyszeć ich zdanie — Bóg nie tylko wymaga ode mnie ofiary życia całego, ale jeszcze każe walczyć z takimi trudnościami, nasuwa mi różne przeszkody, *des difficultes sans nombre*. Więc w takiej chwili potrzebuję poparcia bliskich osób. Proszę, radźcie mi, co mam robić?

Patrzyła pytająco na staruszkę i na pana Adama, którego twarz pokrywała się coraz gęstsza chmurą.

— Chcesz bratowa posłyszeć moje zdanie? — rzekł nareszcie poważnie. — Powiem to, co i mama. Terenia jest swobodna i ma prawo sobą rozporządzać. Szkoda, że dziewczyna młoda, zdrowa, dobrze, przypuszczam, wychowana z zasadami, z chęcią do dobrego, wreszcie z jakim takim funduszem porzuca kraj i obowiązki, jakie jej sam Pan Bóg tu naznaczył, wprawdzie nie przez jakieś objawienia, ale z natury rzeczy, i zamyka się gdzieś wśród obcych w klasztorze. No, ale każdy szuka szczęścia po swojemu. Mnie by się zdawało, że i Panu Bogu lepiej służy kobieta, gdy nie szuka objawionych powołań gdzieś za górami, a wyjdzie sobie za mąż, po prostu, ma dzieci, dom, rodzinę, gospodarstwo — pracuje dla swoich i na własnej ziemi...

— Przepraszam stryja — przerwała Teresa Leonia — ale ja za mąż nie pójdę, ani domu, ani dzieci, ani gospodarstwa mieć nie chcę — więc i wspominać nawet o tym nie warto.

— Nie, to nie. Gwałtem nie narzucam moich przekonań. Powtarzam, że wolna jesteś i możesz robić, co chcesz, bez niczyjej krzywdy.

Przez usta Tereni przemknął ironiczny uśmiech, ale nie rzekła nic.

— Całkiem inna rzecz z bratową. Kto ma córkę, młodą dziewczynę potrzebującą opieki, ten nie ma prawa jej porzucać dla jakichś urojonych celów. Zosią trzeba się zająć — my tu z mamą tego zrobić nie możemy.

— A przy tym jest jeszcze jedna ważna kwestia. Wstępując do istniejącego zakonu wnosi się pewną sumę, kilka czy kilkanaście tysięcy, i rzecz skończona. Ale fundować zakon — to zupełnie inna sprawa. Trzeba mieć środki na utrzymanie nie tylko siebie, ale i wielu innych, i to przez nieokreślony czas. To rzecz kosztowna, zabawka dobra dla bogatych ludzi, ale nie dla zwyczajnej sobie szlachty i tam, gdzie już na majątku ciężą bardzo dotkliwe długi. Ciekawym, skąd bratowa myślisz wziąć fundusze na te wszystkie fundacje?

— Właśnie, mój stryju — odparła Teresa Leonia porozumiewając się wzrokiem z matką — właśnie to jest kwestia, nad którą wspólnie zastanowić się musimy. Obliczałyśmy w Rzymie koszty całego urządzenia i one tak się przedstawiają: kupienie niewielkiego na początek domku, wraz z koniecznymi przeróbkami, około trzydziestu tysięcy rubli. Inne koszty, których zawsze trochę być musi, około dziesięciu tysięcy. Tak, że mieć musimy koniecznie zaraz przynajmniej czterdzieści tysięcy rubli.

— Mam przecie dom w Wilnie, kupiony na moje imię przez śp. Antosia — wtrąciła pani Antoniowa.

— Dom zrujnowany, stary, daj Boże, żeby dali dwadzieścia tysięcy. Ale to wszystko początek, jak mówi Terenia, a dalej co, z czego żyć?

— Tu właśnie chodzi nam o radę kochanego stryja. Biały Dwór przynosi wprawdzie jakiś dochód, ale tak niewielki, że już teraz, nam we dwie, trudno było sobie poradzić nieraz — a naturalnie, utrzymanie całego zgromadzenia będzie kasztowniejsze od utrzymania dwóch osób skromnie



żyjących. Więc gdyby to, co się mamie i mnie należy z Białego Dworu, nasze prawne części

— mieć w kapitale, toby procent był znacznie większy od dzisiejszego dochodu.

— I właśnie — wtrąciła pani Antoniowa — chciałam bardzo podczas naszej tu bytności sprawy te uregulować. Ty wiesz najlepiej, kochany Adasiu, jak to zrobić i jak rzecz całą ułożyć. Zosia zapewne wyjdzie za mąż, więc nawet dla jej losu lepiej byłoby wiedzieć, ile mieć będzie. A nam z Therese Leonie tym bardziej to potrzebne. Gdyby można było prędko dział przeprowadzić i wziąć to, co nam wypadnie...

Pan Adam poruszył się niecierpliwie.

— Więc wam się zdaje — wybuchnął — że dział przeprowadzić w takich zawikłanych interesach jak białodworskie, zrealizować więcej dwóch trzecich majątku, to sobie ot taka łatwa rzecz jak papierosa zapalić. Co wam jest? Przyjechały, rozporządziły się, żeby pieniądze były, wpakowały do kieszeni — i skończona sprawa. Toż samo ocenienie takiego majątku zajmie już parę miesięcy. A skądże tam wziąć pieniędzy? W banku już od dawna założone, nic nie ma do sprzedania — a jeśliby i znalazło się co w lesie, to na to długo trzeba czekać. Ot, babskie rachunki!

Pan Adam z irytacją wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. Ale pani Antoniowa łagodnie mówiła dalej:

— Toteż kochany Adasiu, przychodziła nam na myśl pewna kombinacja...

Tu pani Alina spojrzała na córkę, a ta rzekła kończąc zdanie matki:

— Że może stryj Józef, który ma trzech synów, zechciałby nabyć od nas Białą Dwór, a wtedy cała suma podzieliłaby się na trzy części i byłoby dobrze.

Pani marszałkowa, słuchająca dotąd w milczeniu, podniosła twarz, na której rysował się teraz wyraz niezwykłej surowości.

— Wszystko to, co chcecie zrobić — rzekła — jest głupie i złe. A pan Adam dodał:

— Józef Białego Dworu nie kupi, naprzód dlatego, że pieniędzy nie ma. Długą chwilę trwała cisza. Z podwórza dochodziły śpiewy wróbli na dachu, jakieś głosy oddalone, na oknie, w słońcu, brzęczały muchy. Osoby siedzące wokół dużego stołu, na którym błyszczały szklanki i łyżeczki i porzucona leżała robota Zosi, miały wyraz zamyślenia i niesmaku na twarzach. Pani Alina bawiła się pierścionkami, ale silne wypieki na policzkach świadczyły o wewnętrznym wzburzeniu. Pan Adam, chodząc po pokoju, wypuszczał wielkie kłęby dymu z ust i targał swoje jasne wąsy. Marszałkowa zaś, z głową podniesioną, siedziała nieruchoma, surowa i spokojna. Siwe jej oczy, spod brwi krzaczastych, patrzyły prosto przed siebie, w jakąś dal niewidzialną, na czole wśród tyłu zmarszczek żłobiła się jeszcze jedna głęboka bruzda. W tym domu, którego przez tyle lat była panią, zaczynały dziać się rzeczy niebywałe dotąd, jakieś nowe potęgi powstawały przeciw jej władzy. Więc podnosiła głowę i wyteżała wzrok, aby dostrzec je i, jeśli czas jeszcze, przed nimi się uchronić.

Pierwszy pan Adam zaczął mówić. Starał się być spokojny i powolnym głosem przedstawiał całą niepraktyczność, całą niemożliwość tych zamkirów. Mówił o mnóstwie istniejących zakonów, które powinny zadowolić wszelkie duchowe wymagania, mówił o Zosi, której się należy opieka matki, mówił o interesach majątkowych, już mocno skomplikowanych i w niedobrym stanie, o Białym Dworze, który potrzebuje też starań i doglądania. Wreszcie wspomniał o położeniu tych okolic, gdzie każdy chcący pracować dla Boga i dobra ogólnego znajdzie aż nadto wiele do roboty. Gdzież korzystniej i pożyteczniej wspomagać można religię, jak nie tam właśnie, gdzie lud jest nieoświecony, gdzie dzieci nie umieją pacierza, gdzie moralność upada, gdzie wzrasta zło i nędza, gdzie najgorsze działają wpływy? Kto chce walczyć za Kościół, to nie fundować zakony, nie pomnażać tego nieskończonego

mnóstwa duchowieństwa, skupionego w Rzymie, ale właśnie te chrześcijańskie zasady, których Kościół uczy, rozsiewać i rozpowszechniać powinien wśród swoich. Bo ci swoi zawsze mają pierwsze prawa i pierwsze miejsce zająć powinni. Sam Bóg, dając nam ojczyznę, chciał, abyśmy dla niej pracowali, a nie szukali jakichś wielkich zadań gdzieś za górami.

— Ale, kochany Adasiu — przerwała pani Alina — nie chcesz zrozumieć, że właśnie praca dla swoich jest pierwszym zadaniem naszego zgromadzenia. Przecie to będzie zgromadzenie polskie, une congrégation exclusivement polonaise.

— A cóż mi po tej polskości, która odrywa od rodziny, z kraju wywozi osoby tu potrzebne, tu może i bardziej pożyteczne.

— Bóg, mój stryju, nie zna tak ciasnych granic — odezwała się Teresa Leonia. — Te ludzkie obliczenia i rozróżniania nie mają przed Nim żadnego znaczenia. I z daleka można być pożytecznym. Czyż modlitwy nic nie znaczą?

— Modlitwy! — rzekł pan Adam wstając. — Najmilszą Bogu modlitwą jest spełnienie obowiązku. Ach, nie ma co gadać! Obłąkane jesteście, czy co u licha — dodał machnąwszy ręką i skierował się ku drzwiom.

Ale pani Alina powstała także i zawołała:

— Kochany Adasiu, nie skończyliśmy jeszcze. Cóż będzie?

— A cóż ma być? I mama, i ja powiedzieliśmy oboje, co myślimy o tych waszych projektach. A co zrobicie — to już nie w naszej mocy.

— Ale je suis vraiment desolee, mnie jest ogromnie przykro myśleć, że kochana mama i Adaś nie pochwalają nas. Myślałam, że w rodzinie znajdę uznanie. Ach, jeszcze i tej ofiary wymaga Bóg ode mnie!

— Kochanie moje — rzekła marszałkowa — dość tej rozmowy. My, jak widzę, ciebie gadaniem nie przekonamy. A nie możemy pochwalić. Więc po co tu dłużej mówić? Zastanów się i pomyśl jeszcze — nic nie nagli. Może przekonasz się, że obowiązek gdzie indziej ciebie powołuje.

— Przecież nie mogę zmienić postanowienia i sprzeciwić się woli Bożej.

Ale na to nie było odpowiedzi i skończyła się rozmowa.

Pani Antoniowa i Teresa Leonia przeszły do siebie i zamknąwszy drzwi, spojrzały sobie w oczy. Obie miały twarze zarumienione, ale Teresa Leonia była zupełnie spokojna. Pani Alina wybuchnęła:

— Więc na pierwszym kroku trafiamy na opór. Wprawdzie nie spodziewałam się po nich zachwytów, przeczuwałam trochę niezadowolenia, ale tak wyraźnego potępienia — nie — nigdy! Boże, jak oni nic nie rozumieją! Obracają się w ciasnym kółku swoich zaściankowych interesów i stosunków — a poza tym nic. Nie są w stanie pojąć żadnej wzniosłej idei, żadnego poświęcenia. Nigdy chyba głosu Bożego nie słyszeli w duszy! Dla nich utrzymanie funduszu, wzbogacenie się — to cel życia!

— Moja mamó, czy mogło być inaczej? Kimże oni są tutaj? Poczciwymi ludźmi, zapewne, ale niczym więcej.

— Mój Boże, tak nie rozumieć nas! Tak obojętnie słuchać! Ja, gdy myślę o tych łaskach, które Bóg na nas zesłał, o tych znakach widomych Jego woli, to jeszcze mi serce bije ze wzruszenia. A i mama, i Adaś mieli takie miny, jakbym opowiadała bajkę, jak gdybym była niespełna rozumu.

— Bo dla świata, dla pospolitych dusz — ten świat wyższy, duchowy, ten nasz świat, nie istnieje. Oni nas mają za wariatki.

— Tak — to pewne.

I Teresa Leonia weszła do swego pokoju i uklękąwszy przed rozstawionymi na stolyczku obrazami zaczęła się modlić.

Tymczasem pani Antoniowa stała w zamyśleniu pod oknem. Tak, słusznie Therese Leonie rzekła, każde wielkie dzieło było z początku wyśmiane. Przecież sam Chrystus powiedział: Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości... I tak być musiało, bo tłum, dusze pospolite i ziemskie nie lubią wyższości. Ale trzeba swoje robić, nie oglądając się na nikogo — a Bóg dopomoże.

Robić swoje — zapewne. Jej postanowieniem nie zachwieją słowa tych ludzi tutejszych, dobrych, poczciwych ludzi, ależ tak ograniczonych! Niech się dziwią, niech potępiają i gorszą się nawet, ona wszystko zniesie, przetrwa. Założy ten zakon nowy.

— I ty idź także — Bóg usunie wszelkie trudności i przeszkody. Byle teraz wytrwać i nie dać się zastraszyć! Zresztą, jakież to są te przeszkody? Brak pieniędzy? Ależ na taki cel muszą się pieniądze znaleźć i znajdą się w ten lub w inny sposób.

Zaczęła obliczać. Zakładając zakon, konieczne jest mieć naprzód wygodne pomieszczenie, dom własny, choćby z małym ogródkiem i z kaplicą. Ale domy w Rzymie są teraz tak niedrogie z racji krachu budowlanego, że za jakieś sto tysięcy franków można by coś odpowiedniego nabyć. Mając już własny kąt, dość byłoby mieć zapewnionych kilkanaście tysięcy franków rocznie, bo w miarę przybywania członków zgromadzenia, przybywałyby i fundusze. Darmo przyjmowano by tylko w razach wyjątkowych. Chodzi więc przede wszystkim o zdobycie tego funduszu na początek. Teresa Leonia liczy, że potrzeba czterdziestu tysięcy rubli, ale może by i trzydzieści wystarczyło. Jeśli to prawda, że z Białego Dworu nic mieć nie można, chociaż spróbować jeszcze trzeba dział przeprowadzić i swoje części wycofać; ten Adaś zawsze widzi wszystko w tak czarnych kolorach! Jemu się zdaje, że wszyscy są zrujnowani! Ale w każdym razie jest jeszcze dom w Wilnie, kupiony na jej imię przez męża. Jakoby są na nim jakieś długi, ale o być musi coś niewielkiego. W każdym razie, to trzeba sprzedać i nie może być, aby dom w Wilnie nie mógł wystarczyć na dom w Rzymie, gdzie teraz wszystko tak tanie. Byleby to zdobyć, to i reszta jakoś się załatwi.

O, brak środków nie powinien stać na przeszkodzie wielkiemu dziełu. Bóg opiekuje się tą sprawą i na wszystko znajdzie radę.

A Zosia? Zosię trzeba jak najprędzej wydać za mąż. To wszystko ułatwi. Dla niej samej będzie to najlepiej. A przynajmniej miałyby one obie ręce

rozwiązane. Taka opieka nad panną już dorosłą to rzecz strasznie kłopotliwa. Gdybyż ją tu chciano zatrzymać! Ale trudno tego wymagać. Dopóki była dzieckiem, to jeszcze było możliwe, ale teraz, niepodobna. Nie ma innej rady, jak wyszukać dla niej męża co prędzej.

Pani Alina usiadła na sofce i zaczęła sobie przypominać wszystkich młodych ludzi, o jakich tylko zasłyszała w okolicy. Suniżyccy, za młodzi — żaden z nich jeszcze nie skończył nauk. Robicki, jakoby porządny, ale rodzina... taka sobie. Dwaj Luniewicz, może i poczciwi chłopcy, ale tout ce qu'il y a de plus commun. Chański?... No, a gdyby Chański? Cóż to szkodzi, że podstarzały? Bogaty, z arystokratycznej rodziny, stosunki ma najlepsze, wykształcony, człowiek europejski. Doprawdy, niezła myśl! Gdyby tylko zechciał!

A przypuszczając nawet, że z Chańskim się nie uda (ii faut toujours avoir deux cordes a son arc) to, w najgorszym razie, można by Zosię zabrać na zimę do Rzymu. Tam może się także coś znaleźć. I kochani Suniżyccy, i hrabina Tur, i ten nieoceniony ojciec Maks dopomogą widząc, że chodzi o rzeczy tak ważne. Kto wie, może tam jeszcze łatwiej coś się znajdzie! Fama litewskich obszarów, szlacheckich fortun — to, owo, z daleka może więcej mieć atrakcji.

Pani Antoniowa puściła wodze marzeniom. Dla jakiegoś podrójnowanego patrycjusza rzymskiego taka Zosia mogłaby być dobrą partią. Amerykanek coraz większy brak. Zresztą i ona sama, z tym warkoczem, podobać się może bardzo. A jaka by to była rozkosz wydać ją tam, do Rzymu! Mieć tam na miejscu córkę, księżnę taką a taką, bywającą w Watykanie, zajmującą podczas uroczystości kościelnych miejsce na trybunie, wśród najpierwszej w świecie arystokracji.

I przymknąwszy oczy, pani Alina widziała już siebie w surowym, ale wykwiśniętym urządzonej parlatorium swego zgromadzenia; miała już na sobie czarną szatę zakonną i welon czarny spadał na jej ramiona. Wspaniały

ekwipaż zajeżdżał przed drzwi, wygalonowany lokaj otwierał drzwiczki powozu i Zosia, szeleszcząc jedwabiami, pytała u furtianki o la Merę Supérieure. Za nią wchodził jej mąż, księżę taki a taki — a za nimi kroczyły i inne postacie, z wielkich rodów pochodzące, wykwintne, rasowe, liczące wśród antenatów nie tylko kardynałów, ale nawet i papieży może.

Tak, to było piękne marzenie. I pani Alina, siedząc na sofce z przechyloną w tył głową i z przymkniętymi oczami, przenosiła się myślą w tę przyszłość wyśnioną tak dalece, że straciła zupełnie świadomość rzeczywistości.

Nie dosłyszała pukania do drzwi i dopiero, gdy się te otworzyły i głowa Zosi zajrzała do pokoju, drgnęła i poruszyła się.

— Myślałam, że mama zasnęła może — rzekła przyszła księżna rzymska wchodząc — tak tu cicho! Już po szóstej — miałyśmy pojechać na spacer. Czy mama pojedzie?

Pani Antoniowa wstała z kanapy.

— Na spacer! Wiesz, Zosieńko, dziś tak jestem zmęczona, że wolałabym to odłożyć na inny dzień.

— Dobrze. To ja stryjciowi powiem, aby na nas nie czekał. I Zosia wybiegła szukać stryja.

A pani Alina podeszła do zwierciadła, poprawiła włosy, upudrowała twarz zgrzaną, i rzekła do siebie półgłosem: — Trzeba jednak najpierw spróbować z Chańskim.

Potem usiadła przy biurku i wzięwszy arkusz pachnącego listowego papieru ze złożonym monogramem i hrabiowską koroną napisała nagłówek: „Mon Pere”.

## VII

Nazajutrz rano, zaraz po śniadaniu, faeton zaprzężony w czwórkę siwków zajechał pod ganek. Pani Antoniowa widząc to, westchnęła z cicha, robiąc w duszy ofiarę Bogu z tej nudnej wycieczki do Białego Dworu, od której nie mogła się wykręcić. Miała jechać z panem Adamem dla obejrzenia gospodarstwa i w duchu myślała sobie, że to zupełnie niepotrzebna fatyga, bo jej nie o gospodarstwo chodziło, lecz o pieniądze. Wypiła jednak prędko kawę i poszła do swego pokoju po płaszczyk i kapelusz.

Teresa Leonia rzekła:

— Ja nie pojedę do Białego Dworu — może więc kto na moje miejsce...

— Jak to nie pojedziesz? — zawołała Zosia. — Tyle lat nie byłaś...

— Nie, nie pojedę. Cóż bym tam robiła? Tracić cały dzień!

— Ależ zobaczyć...

— Nic tam nie ma ciekawego, wolę zostać.

Zosia chciała jeszcze protestować, ale powstrzymała się, zamilkła i pomyślała:

— Ja doprawdy nic już nie rozumiem. A głośno rzekła:

— Ja w każdym razie pojedę na koźle obok Wincentego, przyrzekł, że mi da powozić.

— Kiedy ty, kochanie moje, przestaniesz już z tymi końmi? — odezwała się pani marszałkowa. — Czysty z ciebie chłopiec!

— Ach, babuńciu, kiedy ja tak strasznie lubię konie! No, więcej lubię konie, jak... jak cokolwiek bądź.

Marszałkowa uśmiechnęła się. I wkrótce potem faeton wyruszył z bramy. W głębi siedzieli tylko pani Antoniowa i pan Adam, bo więcej amatorów nie znalazło się. Dla Ani była to wycieczka zbyt męcząca. A na koźle, obok starego stangreta, siedziała Zosia, promieniejąca radością, bo wyprosiła sobie lejce i bat i powoziła całą czwórką.



Dzień był jasny, ciepły, ale nie upalny. Wietrzyk przeciągał po polach marszcząc kosmaty jęczmień i srebrnozielony owies. Od koniczyny wiało miodowym zapachem. W dali, na rżyskach, pasły się krowy.

— Moja Zosieńko, czy ty się tam nie opalisz siedząc na takim słońcu? — przerwała milczenie pani Alina.

— O nie, mamó. Mój kapelusz ogromny — doskonale tutaj.

Pan Adam nie zdawał się być skłonny do rozmowy. Siedział z papierosem w zębach zagłębiony w kątku i wodził po świecie zamyślonym wzrokiem. Aż się dziwiła jego towarzyska, że tak trudno wciągnąć go do rozmowy. Po paru nieudanych próbach sama również zamilkła.

Jechali więc nic nie mówiąc, każde zatopione w swoich myślach. Za to Zosia z Wincentym ciągle gawędziła. Od koni, ich narowów, zalet i wad, od zachwyków nad tegorocznymi źrebiętami, od utyskiwań na „panicza”, że tak mało owsa każe dawać, przeszli na inne stworzenia, na cielęta i „parsiuiki”, a wreszcie i na dzieci Wincentego. Było ich ośmioro, a więc i temat był bogaty. Zosia zapytała o Wikcie, która niedawno poszła za mąż za kowala z Białogóry, i usłyszała długie opowiadanie o jej gospodarstwie, narzekania na teściową złą jak piekło i na chciwego szwagra. Potem mówiono o Ewce, co się u szwaczki w Wilnie uczyła, i o Jusciuku, co z łaski starej pani poszedł do lakiernika na wyterminowanie, i za rok już będzie czeladnikiem. O młodszych Wincenty z lekceważeniem powiadał, że jeszcze „nieciekawe”, a gdy o córkach zawyrokował, że to „czerepy, nie dzieci, bo z synów tylko człowiek ma pociechę”, Zosia tak się oburzyła, i tak końmi targnęła, że te o mało faetonu nie wrzuciły do rowu. Więc Wincenty odebrał lejce, żeby panienka pojazdu nie wywróciła, zwłaszcza, że leżała przed nimi góra stroma i kręta.

Zwolniono więc kroku — i konie powoli, opędzając się od much ogonami, wstępować zaczęły pod górę. Powóz włókł się ciężko, potrącając o kamienie. Panowała w powietrzu uroczysta cisza letniego południa, nawet ptaki milczały. Tylko w rowie, z głębi traw i kwiatów, odzywało się strzykanie

koników polnych; Białe powoiki otwierały kielichy do słońca i słały wokoło migdałową woń.

Wjechało wreszcie na górę. Wtedy pan Adam wychylił się z powozu, wskazał szerokim ruchem na kraj leżący u ich stóp, i rzekł:

— Ot, panie, widok! Choćbyś bratowa całe te swoje Włochy objechała wzdłuż i wszerz, nic równego nie zobaczysz.

Pani Alina uśmiechnęła się pobłaźliwie i odparła:

— Prawda, że tu bardzo ładnie! — i wychyliła się także, aby się lepiej przyjrzeć widokowi, znanemu niegdyś dobrze, a dziś zapomnianemu.

U podnóża góry ciągnęła się dolina, na której szeroko i dziwacznie, łamiąc się w zagięcia i wykręty różne, rozlewały się srebrne wody jeziora. Wśród zielonych i złotych pól, wśród gajów i sadów, leżała cicho wielka, szklana szyba, zaledwie marszcząc się gdzieniegdzie drobną łuską, w której łamały się i iskrzyły promienie słońca, jak rozsypane na niebieskie morze brylanty. Niebo przeglądało się w zwierciadle wód, zabarwiając je swym gorącym szafirem. Rozsypane tu i ówdzie, kryły się zabudowania o strzechach słomianych, niskie i pokorne pod koroną drzew owocowych, biegły drogi, jak wstążki rzucone. Dalej na wprost widniały smukłe topole j białe ściany Białego Dworu. Rzeczka połyskująca wśród zieleni oblewała jego mury. Na prawo Bijuciszki podnosiły w niebo swoje wieżyczki i gloriety. Pasznia kryła się wśród olszowego gaju. A tu zaraz na lewo, nad samym brzegiem jeziora, widniał jak na dłoni, kościół białogórski. Był to gmach murowany, świecący z dala czerwonym dachem i wysoką dzwonnica. Postawiony na wyniosłym brzegu jeziora, królował jak twierdza nad całą okolicą. Miasteczko, rozsypane na pochyłości, tuliło się do jego stóp, sady i ogrody słały się kobiercem zielonym i puszystym, wsie, zaścianki i dwory otaczały go wiankiem, wody jeziora niosły jego obraz na swej fali, a on stał biały i jaśniejący w słońcu, wysoko w niebo wskazując ostrzem wieżyczki, jak palcem zwróconym w górę. I czuć było, że jest panem tej krainy, a zarazem i stróżem...

— Rzeczywiście, bardzo ładnie — powtórzyła pani Alina po chwili.

— Ach, mamó! — odezwała się Zosia z kozła. — Nigdy nic piękniejszego nie widziałam! Pewnie są we Włoszech prześliczne widoki, ale takiego jeziora nie ma.

— Jeszcze niewiele w życiu widziałaś, moje dziecko.

Tymczasem przejechali główną ulicą miasteczka, odprowadzani ciekawym wzrokiem Żydów i Żydziątek. I znowu rozłożyły się przed nimi szerokie pola. Powóz okrążał teraz jezioro i skręcał ku widniejącym z dala topolom białodworskim. Wreszcie zбочzył z głównej drogi na prawo, gdzie krzyż na murowanej podstawie stał na rozstaju, i wjechał w to, co niegdyś było aleją prowadzącą do dworu. Niegdyś! Bo dziś sterczało tylko gdzieniegdzie na wpół wyschnięte drzewo. Proga była nierówna, pełna wybojów, zarosła trawą, prócz wąskiego szlaku dla jednokonnych wózków i wydeptanej ścieżyny dla pieszych. Zabudowania folwarczne, widniejące wśród drzew, przedstawiały się nieźle — drewniane o murowanych słupach, kryte gontem malowanym na czerwono, miały wygląd okazały i mówiły o zamożności. Ale za to widok dworskiego podwórza był naprawdę smutny. Bramy od dawna już nie było, tylko słupy po niej zostały, szczerbate, poobijane z tynku, zarosłe u góry mchem i nieśmiertelnikami. Na gazonie pieniły się chwasty; wysoko wznosiły głowy wysmukłe pokrzywy, a psie rumianki znaczyły drogę brudnobiałymi plamami. Drzewa rozrosły się bujnie, nie krzywdzone przez nikogo; szczególnie rozpanoszyły się krzewy splątane, zbite w gęstwinę, bezładne i dzikie. A staroświecki dom, murowany, z przybudowaną drewnianą wieżyczką, która miała mu nadawać pozór elegancji i cywilizacji, tonął w cieniu, skrzywiony, martwy jakiś i bezduszny w tej pustce, z zamkniętymi okiennicami i starannie zaryglowanymi drzwiami.

— Ach, cóż to za okropna rudera! — zawołała pani Alina wysiadając przy bramie, bo na podwórze nie było już drogi. — I ten park, jakże się rozrósł nieładnie! Przecież tu dawniej było wcale przyzwoicie.

— Ale mammo! Nikt się tym teraz nie zajmuje — rzekła Zosia zeskakując z kozła — a szkoda, bo to mogłoby być takie ładne!

— Chyba trudno tu coś poradzić — dom jest zupełnie en ruines.

— Stary dom jeszcze dobry — rzekł pan Adam, powoli idąc za paniami — mury grube, zdrowe. Ale ta ot, wieżyczka, to już na nic, niebezpiecznie nawet, bo może się zawalić. Myślałem kazać rozebrać tymi czasy...

— Ach, stryjciu!...

— A cóż robić, reperować — koszt. I dla kogo? Tu westchnął, a pani Alina spytała:

— Czy kto mieszka w domu?

— Póki żył stary Mateusz, on tu mieszkał i pilnował. A jak umarł, zaryglowaliśmy drzwi i okna, i tak stoi. Nie ma dochodów na opłacenie stróża i naprawienie domu, kiedy wszystko, co do grosza, wybieracie naprzód.

Na twarzy Zosi osiadł smutek. Patrzeć nie mogła bez żalu na te stare, poważne mury, co się chyliły do upadku.

— Przecie tak łatwo byłoby to naprawić, urządzić, i mogłoby tu być miło i ładnie.

Stary dom jakby z wyrzutem patrzył na nią oczami zamkniętych okiennic i zdawał się niechętnie zginać ku ziemi.

— O, gdyby to ożywić, uchronić, upiększyć i rozweselić!

Po drugiej stronie widok był jeszcze bardziej opłakany. Niegdyś były tam umiejętnie przez warszawskiego ogrodnika zakreślone tarasy, otoczone murkami, na których w odstępach wznosiły się urny pełne kwiatów. Schody prowadziły coraz niżej, aż ku łączce zarosłej klombami drzew i przeciętej wijącą się rzeczką Białka. Stamtąd rozciągał się śliczny widok na pola, gaje i pagórki, na jezioro białogórskie, miasteczko i kościół.

Park był założony kosztem wielkim i staraniem przez pana Antoniego, który chciał młodej żonie przygotować miłe gniazdko, otoczyć pięknem i poezją.

Dziś śladu tych starań nie było już prawie. Ruina i ruina wiała z każdego kąta. Tarasy zarosły, kamienne ogrodzenia legły w gruzach, weranda w ziemię zapadła, a na ścianach domu woda, ściekając bez rynien, tworzyła wielkie plamy zielonej pleśni. Tylko świat Boży, zawsze równie piękny, roztaczał dokoła swoje wdzięki. I z dala, na górze, niewzruszony stał kościół biały, kierując wzrok ku niebu szczytem swej dzwonnicy.

— Ach, jak tu smutno! — szepnęła Zosia.

Podeszła do rozsypującej się kolumny, na której stała jeszcze urna z odbitymi ozdobami i zwieszały się obfite sploty chmielu — chmielu zwycięskiego, co tu wszędzie rozrastał się swobodnie, snuł swe kosmate ramiona, owijał krzewy, płoty i gruzy, wspinał się na wysokie drzewa dusząc je w swych węzowych zwojach, czołgał się po ziemi, mienił się bladożółtym kwieciem i brudną zielonością.

— Ach, jak tu smutno! — powtórzyła Zosia, wodząc oczami po tej ruinie, skąd ludzka ręka dawno się usunęła, a został tylko czasniszczyciel. — I dlaczego tak? Czemu mama nie pozostała tu po śmierci ojca, zamiast jeździć za granicę? Gdyby tu ktokolwiek mieszkał, nie przysłoby do tego. A ta ruina domu i ogrodu to tylko część tego zła, które się tu dzieje.

I wspomniała na to dziecko Katarzyny, co niedawno umarło bez chrztu, bo nie było komu dopilnować, i na opowiadanie Bartłomieja, że tu nikt pacierza nie umie i że „naród drenny”, i że do kościoła rzadko chodzą, chociaż tak blisko. I jakieś poczucie odpowiedzialności za te dusze zaczęło do jej duszy wstępować. Wszakże i ona była tu panią i do niej, i do jej starań Biały Dwór miał prawa. Czy to, co się tu działo, nie obciążało i jej sumienia? U babuni, w Haliniszkach, było inaczej.

— Chodźmy już stąd—odezwał się głos pani Aliny—aż przykro patrzeć na takie spustoszenie. A kiedyś tak tu było ładnie! — dodała z wymówką w głosie.

Pan Adam uśmiechnął się gorzko, ale nie odrzekł nic i zawrócili oboje ku bramie.

Pani Alina wysoko podniosła suknię, aby się nie zabrudzić, jedwabne podszewki zaś wydały przy tym przyjemny szelest.

Zosia stała jeszcze nieporuszona. Pierwszy raz w życiu poczuła w sercu chłód wobec matki. Słowa rzucone przez nią na odejście brzmiały jej w uszach niemile.

— Więc czyjaż w tym wina, że tu jest opuszczenie i ruina — myślała. — Nie trzeba było siedzieć na drugim końcu świata dla swojej przyjemności i wszystkich pieniędzy wydawać. Stryj i tak dość robi gospodarując tu i doglądając interesów. Na utrzymanie domu i ogrodu wykładać nie może, bo mama zabiera wszystkie dochody. Nikt inny, tylko mama winna. I źle robi, źle, źle!

Ale babunia mówiła, że dzieci rodziców sądzić nie powinny, nawet kiedy ci źle postępują. Więc odwróciła myśl od tej kwestii bolącej i pobiegła za starszymi.

Ci właśnie stali przy bramie, gdzie ich zatrzymał jakiś starzec w koszuli i spodniach płóciennych, z bosymi nogami i czapką w rękę. Mówił głośno, jękliwie do pana Adama, podnosząc ku niemu twarz opaloną, bruzdami pooraną, o wyblakłych oczach, z których ściekały dwie łzy. Skarżył się: ekonom miał do niego złość, i gdzie tylko mógł, to go krzywdził, kręcił w wypłacie dni roboczych, i syna parobka onegdaj zbił za cudzą winę, i krowy jego nie puszczał na rżysko, a teraz świnię w szkodzie zajął i drugi dzień trzyma i nie karmi, chociaż on gotów sztraf— dwa złote — zapłacić, ale on bez rubla i gadać nie chce. Mówił to wszystko starzec głosem podniesionym, a łzy ściekały mu jedna za drugą po twarzy. Dłonią je ocierał. Pan Adam słuchał cierpliwie, zbytnio się nie rozczulając. Wreszcie rzekł:

— Przyniesź dwa złote, to świnię każę zaraz wypuścić, a o krowach pogadamy.

A gdy chłop niezupełnie zadowolony ucałował jego rękę i odszedł, pan Adam zauważył:

— Wart Pac pałaca, a pałac Paca. Bartłomiej drze z nich skórę, to prawda — nieraz skrzywdzi. Ależ i ten, pierwszy złodziej we wsi.

— Ale, stryjcium — zawołała Zosia—jeśli Bartłomiej ich krzywdzi, to po cóż go trzymać?

— Bo jeszcze lepszy jest od innego. Przynajmniej kraść nie daje. Toż by roznieśli wszystko, żeby im tylko pozwolić.

— Ej, stryjcio zawsze źle myśli o tych biednych ludziach — a ja jestem pewna...

— Ty, dzieciaku, co ty wiesz?! Dotknij się sama — to zobaczysz, jacy oni mili, ci kochani nasi chłopkowie.

Zosia zasepiła się.

— Mili czy nie mili — rzekła — złodzieje czy nie, to inna kwestia. A dwór ich nie powinien krzywdzić.

— Racja. Mówisz jak Salomon. Ale na to jedyna rada: samemu siedzieć i takiego Bartłomieja pilnować.

Milczenie zapanowało. Na to Zosia nie miała odpowiedzi. — Siedzieć i pilnować — powtórzyła sobie — tak, to jedyna rada i obowiązek.

Po spożyciu przekąski przygotowanej w mieszkaniu Bartłomiejów, pan Adam wyprowadził bratową na gospodarską wędrówkę. A Zosia, zwoławszy kilkoro dworskich dzieci, przystąpiła do egzaminu. Chciała bowiem przekonać się sama o ile skargi Bartłomiejowej były słuszne. Rezultat wypadł smutny. Dzieci nie umiały nic prawie, prócz przekręconych słów pacierza — o czytaniu tylko parę z nich miało niejaki wyobrażenie, dwoje starszych zaś, liczących już dwanaście przeszło lat, nie było dotąd u spowiedzi.

— Już i proboszcz jak był, przyjechawszy po kolędzie, to wstydił i swarzył się — a taki nic nie poradzisz — prawila Bartłomiejowa, obecna przy tym — ja panience mówiła, że tu takie drenne ludzie, że nie daj Boże!

— Cóż robią ich matki? — spytała Zosia. — Twoja mama — zwróciła się do dużego chłopaka o rezydentnej minie — gdzie jest, coź robi?

— Mama? — odparł. — Mama chodzi na robotę do dworu.

— Co dzień chodzi?

— Kiedy to chodzi — a kiedy nie chodzi.

— A tatko?

— Tatko? Tatko we dworze przy koniach.

— A ty coź robisz przez cały dzień?

— Ja? Ja gęsi pasę.

— Wieleż was dzieci w chacie?

— Dzieci? Ja i Marylka, i Józiuk, i Adamuk, i najstarszy Ignalek.

— A on — Ignalek — umie czytać?

— Ignalek? A jej, on cała zima był w Białogórze, w uczyłiszczu. On takie piękne książki ma...

Zosia nie pytała dalej. Zwróciła się do najstarszej z dziewczynek:

— A twoja mama co robi?

— Przy piekarni.

— A tatko gdzie?

Dziewczyna zawahała się chwilę i rzekła:

— Nie ma tatki. — A wśród innych dzieci powstał szmer i chichotanie.

Bartłomiejowa uznała za potrzebne wmieszać się.

— To córka tej Katarzyny — co to... panienska wie...

— Której dziecko niedawno umarło?

— Aha!

— A, wiem. Po takiej matce, która dziecku dała umrzeć bez chrztu, niewiele można było się spodziewać.

Więc Zosia nie pytała dalej i przystąpiła do rozdawania pierników i cukierków, które z sobą przywiozła. Dzieci brały przysmaki, ale nie wiedziały, że trzeba za nie podziękować. Dzikimi oczami patrzyły na panienskę, osowiałe i



onieśmiałone, a wyprawione wreszcie, zaraz za drzwiami rozpoczęły bójkę odbierając sobie wzajemnie to, co otrzymały.

Pod smutnym więc wrażeniem wyjechała Zosia z Białego Dworu. Odwiedziny rodzinnego gniazda zbudziły cały szereg myśli poważnych i przygnębiających. Żle było! Trzoda nie miała pasterza, brygada nie miała dowódcy, dom był bez ogniska, bez ciepła, bez światła. Więc owce błądziły po manowcach, żołnierze rzucali broń, panował tam chłód, ciemnota, wyzysk i cierpienie — wiały wiatry obce i nieprzyjazne. Czyja była w tym wina, że dzieci rosły bez Boga i że elementarz był dla nich martwą księgą? Czy tych rodziców, których też nikt nie uczył? Czy tych oświeconych i wykształconych i tak pięknie mówiących państwa, którzy woleli pod niebem włoskim szukać wzniosłych i estetycznych wrażeń?

I znowu z umyśle Zosi zbudziła się po raz drugi dnia tego krytyka matki. Ona winna — na jej sumieniu ciąży to, co się tu dzieje. I choć przypomniawszy sobie przestrogę babuni, aby rodziców nie sądzić, głos jakiś wciąż powtarzał jej do ucha: winna! winna!

Słońce zapadało powoli za ciemną ścianę lasów uciańskich. Konie szły rażno w chłodniejącym już wietrzyku. Ale Zosia nie napierała się już lejc i bata. Siedziała zamyślona głęboko. W głębi powozu pan Adam z panią Aliną prowadzili żywą rozmowę. Co chwila cyfry, obliczenia wciskały się pomiędzy zdania pana Adama, a pani Alina przerywała ich nudne szeregi pytaniami: — Ale ogółem ile to będzie! Na ileż możemy liczyć? — Na co pan Adam spokojnie odpowiadał: — Niech bratowa zaczeka, zaraz zliczę. W ostateczności jednak rezultat liczenia musiał być niezadowolający, gdyż oboje zamilkli i wpadli w zadumę.

Zbliżano się do Białogóry. Stąd nie widać było miasteczka. Tylko kościół promienny, w blaskach zachodu, stał na urwistym wzgórzu. Jezioro było ciche, nie zmaćcone najmniejszą zmarszczką, i odbicie kościoła leżało na nim ogromne, wydłużone, żyjące leciuchnym drganiem. A na szczycie

dzwonnicy, jak gwiazda ogromna i gorejąca, błyszczał złoty krzyż wysoko na niebie. Powoli słońce zachodziło za lasy i różowe blaski znikwały, a cień szedł od dołu coraz wyżej i wyżej, zagarniając w swą niebieskawą szatę ściany, dach i dzwonnice. Wreszcie wszystko utonęło w mroku, tylko krzyż skrzył się jeszcze i gorzał na niebie jak pochodnia ognista.

Wtedy odezwał się z wieży dzwon. Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi...

I przez drzemiące już pola i łąki, ponad spracowanymi głowami ludzi, ponad dachami słomianymi, przez wody i lasy, przez sady i ścieżki, i podwórka, przez powietrze mgliste wieczoru, szedł Anioł Pański, zwiastując wieść dobrą i skrzydłami swymi otulał do snu litewską krainę.

Gdy wreszcie powóz zatrzymał się przed gankiem w Haliniszkach, pierwsza Ania wybiegła na spotkanie powracających.

— Zosiu, wiesz — wołała — mam wielką nowinę dla ciebie. — Będiesz taka rada, taka rada!

W jednej chwili zamyślenie Zosi gdzieś się rozwiało.

— Co, co? — pytała, zeskakując z wysokiego kozła. — Co takiego?

— Poczekaj, opowiem porządnie. Ani ci się śni, jaka przyjemność. Okazało się, że podczas nieobecności Zosi przyjechali z Bijuciszek pani

Suniżycka z Edziem dla pomówienia o wielkim pikniku tańczącym, który zamierzają urządzić w sąsiedztwie. Na to trzeba zgody kilku domów, pomocy stryja i aprobaty babuni, więc dziś jeszcze nic nie uradzono, ale za parę dni przyjadą tu znowu i coś się ułoży.

— Ale babunia się zgodziła? — spytała Zosia.

— Zgodziła się i jeśli tylko to się ułoży, będziesz z pewnością.

— Ach, Boże, co za szczęście!

I już wszelkie smutne wrażenia, i myśli poważne, i wyrzuty sumienia rozwiały się, a została radość i ciekawość i wyczekiwanie. Więc Zosia w podskokach pobiegła do pana Adama prosić o pomoc, potem do dziadunia,

aby się wiadomością podzielić, babuni już ręce całowała dziękując za pozwolenie, pytała o szczegóły, nie czekała odpowiedzi i tak dużo gadała i ruszała się, że na koniec marszałkowa rzekła:

— Kochanie moje, poza tobą nikogo nie słychać.

Gdy wreszcie znalazła się w łóżku po długiej pogawędce z Anią, i sen zaczął jej sklejać powieki, unosiły się nad nią obrazy ruiny białodworskiej i oświetlonych sal balowych i na dnie myśli rozweselonej zabawą odzywała się cichutko — troska.

Tymczasem pani Alina późno w noc prowadziła rozmowę z Teresą Leonią. Zdawała jej sprawę ze wszystkiego, co przez dzień cały widziała.

— O prędkim dziale i wycofaniu naszych części nie możemy myśleć teraz — mówiła. — Adam jest temu przeciwny i będzie utrudniał. On chce Biały Dwór wydzierżawić, więc tylko to możemy mieć, co dzierżawca zapłaci — i to po opłaceniu procentów.

— Więc o skapitalizowaniu naszych części nie może być mowy?

— Ani słuchać o tym nie chce. Dziś napomykałam znowu, że może by dało się część przynajmniej sprzedać, ale on mnie zakrzyczał, mówił, że to wprost nieuczciwość o tym myśleć. Ja nie wiem, dlaczego on się tak gniewa?

— A gdyby, pominąwszy go, poradzić się u prawnika? — rzekła Teresa Leonia.

Obie zamyśliły się i kombinowały coś sobie długo. A wreszcie Terenia rzekła:

— Jednak, gdyby Zosia wyszła za mąż, to by dział trzeba było zrobić. Żaden mąż nie zgodzi się na taką z nami wspólność.

— Prawda. Wtedy i Adam postarałby się o to.

— Trzeba ją wydać jak najprędzej.

— Trzeba. Ale za kogo?

— Niech mama jedzie z nią na ten piknik i zorientuje się. Może ktoś się znajdzie, o kim nawet nie wiemy.

— I owszem. Pojadę. Czegóż się nie robi dla dziecka i dla takiego celu!  
Pani Alina westchnęła. A Teresa Leonia rzekła:

— Teraz ja mamie też coś powiem. Zdaje się, że mamy kandydatkę do naszego zakonu.

— Kandydatkę? Doprawdy?

— Dziś długo rozmawiałam z Anią. Zwierzyła mi się z różnych przejść swoich — przeżyła smutne chwile — zwykłe skutki tego, co one zowią miłością. Dziś, o ile się zdaje, wyleczyła się z tego zupełnie i pragnie przede wszystkim poświęcić się Bogu. To jest czysta i wzniosła dusza.

— I chce wstąpić do naszego zgromadzenia? To dobrze, niech jedzie z nami...

— Nie. Po cóż ma jechać, kiedy jeszcze zgromadzenie nie jest zatwierdzone i nawet jeszcze właściwie nie istnieje. Przysporzyłaby nam tylko kosztów. Niech zostanie, powiada, że tu czuje się potrzebna, a jak pierwsze trudności będą przełamane i zakon będzie istniał naprawdę, wtedy ją weźmiemy.

— Masz rację. Tak najlepiej. Kochana Ania! Ja zawsze mówiłam, że to jest une ame d'elite.

— Tylko niech mama z nikim, nawet z nią, o tym nie mówi. Ona nie chce, aby się to rozgłaszało przed czasem.

— Nie, nie. Nikomu nie powiem. Ale Bóg nami widocznie się opiekuje!  
Byleby teraz z Zosią coś ułożyć i mieć pieniądze!

— Bóg da, że może na tym balu...

— Może, trzeba pojechać. — I znowu westchnęła pani Alina i panie rozeszły się każda do siebie. Ale westchnienie to nie było niechętnie ani smutne — myśl o balu nie była jej bynajmniej wstrętne. Przeciwnie, w jednostajności i nudzie wiejskiej bal ten przychodził w samą porę. Niegdyś pani Alina bywała dużo i lubiła się bawić aż nadto, a że zawsze była żądna nowości i wrażeń, więc zaspokojenia tej żądzy szukała tak w salonowych

sukcesach, jak i w innych gwałtownych i nieraz niebezpiecznych wzruszeniach. Nawet po owdowieniu, bawiąc za granicą, zawsze umiała się otoczyć towarzystwem wesołym, a nawet i kilku dyskretnymi wielbicielami.

Dopiero od czasu, gdy Teresa Leonia oddała się życiu duchowemu i na wpół klasztornemu, matka musiała hamować swe towarzyskie instynkty i stosować się po trosze do usposobienia córki. Rzuciła się więc na pociechę w sprawy filantropijne, zapisała się na członka do mnóstwa ochronek, przytułków, szpitali i żłobków, i zasiadając na sesjach, kwestując po kościołach, urządzając bazary, przedstawienia amatorskie, loterie i wenty, zapełniała sobie czas i myśl, wiecznie spragnioną pokarmu. Potem projekt nowego zgromadzenia pochłonął ją zupełnie. Narady z ojcem Maksem i z ojcem Stanisławem Huniewiczem, starania, plany, projekty różne nie dawały jej ani chwili wytchnienia. Jeśli gdzieś nie spieszyła i skądś nie wracała, to z pewnością do kogoś pisała, coś rachowała, przeglądała jakieś księgi, robiła jakieś wyciągi, rysowała wreszcie wzory habitów lub komponowała plan przyszłego domu. Tu zmieniało się położenie, przybywała troska nowa, ale nie ciężka, w postaci córki na wydaniu i drzemiące instynkty swatostwa odzywały się już w duszy pani Aliny, roiły się tam marzenia różne, ukazywały się męskie figury, postać Chańskiego przesunęła się przed oczami. I pani Alina, szepnąwszy raz jeszcze:

— I czegoż się nie robi dla dziecka i dla wielkiego celu — zagłębiła głowę w haftowany jasiek — i usnęła.

## VIII

Była to niedziela i wybierano się do kościoła. Pani marszałkowa sumiennie przestrzegała bywania na mszy. Sama prawie zawsze jeździła. I dzisiaj, gdy po śniadaniu zatoczył się wielki kocz staroświecki z Wincentym przybranym od święta w granatowy płaszcz z peleryną, pierwsza wyszła na ganek gotowa do drogi. Miała na sobie morową mantylę i kapelusz z fioletowymi wstążkami, a w rękach trzymała ogromną księgę o złożonych klamrach, futerał z okularami i woreczek napełniony drobną monetą dla żebraków. Stała zgarbiona i czekała cierpliwie na tamte panie. Wreszcie i one się zjawily. Pani Alina w czerni, wykwintna i dystyngowana, Terenia z gęstą woalką na twarzy i z różańcem owiniętym koło ręki, a Zosia ostatnia, śpiesząca się, zhasana, cała rumiana, z blaskami w oczach i uśmiechami na ustach.

— Ach, przepraszam, spóźniłam się, ale nie mogłam znaleźć rękawiczek.

— Na ciebie, kochanie moje, wszyscy czekać muszą — rzekła surowo babunia.

Zosia spłonęła jeszcze gorętszym rumieńcem i już cichutko zajęła miejsce na przednim siedzeniu. Na kozłach, wyświeżona, szeleszcząca mocno wykrochmaloną spódnicą, rozsiadła się Werusia, której również należało dać skorzystać ze sposobności. Pan Adam wcześniej wyjechał „linijką”.

Ruszono. Marszałek stał na ganku, patrząc za odjeżdżającym koczem, który statecznie, poważnie posuwał się naprzód, a przy nim Ania, która najczęściej zostawała w domu, unikając zmęczenia, i odprawiała niedzielne pacierze ze służbą i z dworskimi dziećmi.

Po drodze mnóstwo spotykano ludzi śpieszących ku Białogórze. Szli mężczyźni ubrani w wysokie buty, w spodnie płócienne i w szare samodziłowe kurtki, lamowane czarną taśmą. Wszyscy prawie mieli, pomimo gorąca, szyje okręcone jaskrawymi szalikami, młodzi tylko nosili

krawaty. Spod czapek widniały jasne włosy krótko ostrzyżone i twarze ściągłe, opalone na kolor mahoni, od których odbijały jasną plamą lniane wąsy i oczy błękitne jak niezapominajki. Małomówni, szli najczęściej jeden za drugim w milczeniu, z oczami utkwionymi w ziemię lub poważnie spoglądającymi na okolicę. Kobiety szły boso niosąc w ręku trzewiki, za nimi biegły dzieci, czepiając się spódnic. Mężatki miały na głowie czepki białe wyrurkowane i strojne w tanie kwiatuszki, a po wierzchu zawiązane chustki. Druga chustka duża złożona w klinek, okrywała im plecy, zwieszając się z przodu długimi końcami. W blaskach słońca gromadki te świeciły jak wiązanki kwiatów jaskrawością chust i białością koronek. Posuwały się naprzód śmiało depcząc kamienistą drogę. Z dalszych wsi jechali parafianie wózkami. Malutkie to były wózki, w małe koniki zaprzężone, nałożone sianem i zasłane dywanikami. Szły długim sznurem jedne za drugimi, pilnując wyżłobionej koleiny i nie wysuwając się naprzód. Koniki biegły żywo, nie kierowane prawie wcale przez pana, który bokiem siedząc na przodku palił fajkę i spluwał przed siebie, tylko dla parady trzymając w ręku lejce. Na widok kocza haliniskiego ludzie podnosili głowy patrząc ciekawie, jak ich wymijał, a niejeden zdjął czapkę przed starszą panią, bo znali ją wszyscy.

Gdy powóz zatrzymał się przed bramą, Teresa Leonia przechyliła się przez portierę, próbując otworzyć, ale klamka była nadwerżona i jakoś nie szło. Lecz w tej chwili jakaś męska ręka ujęła ją, drzwiczki się otworzyły i Jerzy Lipowski z kapeluszem w ręku stanął gotów do pomocy przy wysiadaniu.

— Ach, to pan! — zawołała Zosia. — Jak to dobrze! Ja mam coś panu do powiedzenia!

Starsze panie poruszyły się. Terenia pierwsza wysiadła, a Zosia musiała stać i czekać na swą kolej. Tymczasem mrugała na Jerzego i dawała mu różne znaki, a on w nią wpatrzony ledwie słyszał, jak go pani marszałkowa przedstawiała synowej i nie uważał na grzeczne słowa tejże do niego

zwrócone. Wreszcie panie weszły na dziedziniec kościelny, a Zosia przypadła do niego:

— Panie Jerzy, będzie piknik?

— Nie wiem jeszcze. Mamy różne trudności

— Ach, mój Boże, jakież to mogą być trudności? To okropnie, jeśli nie będzie...

I Zosia była bliska płaczu.

— Niech pani jeszcze nie desperuje. Przypuszczam, że jakoś sklei się.

— Mój panie Jerzy, mój drogi, niech pan tak zrobi, żeby był. Ja tak chcę tańcować!

On objął ją całą wzrokiem, iskry mu się zapaliły w ciemnych oczach, ale zaraz przykrył je powiekami, i żartując odparł:

— Życzenie pani jest dla mnie rozkazem, ale tu chodzi o pana Chańskiego. Proszę do niego się umizgnąć, aby dał swoje salony, to już reszta się zrobi.

— Do pana Chańskiego umizgnąć się? Fe, za nic w świecie!

— A widzi pani. Nawet dla dobra ogółu pani tego nie chce zrobić. Co za egoizm!

— Nie egoizm, ale nie mogę. Ach, mój panie, czy mnie zaproszą?

— O, nie wiem!... Takie małe dziewczynki, to jakoś... na balu... Zosia zaperzyła się.

— To już... bardzo niemądre żarty! Tu wcale nie ma z czego się śmiać. Proszę nie zapominać, że mam osiemnaście lat skończonych. I jeżeli mnie nie poproszą, no, to ja... już nie wiem, co zrobię!

On zaśmiał się. Przypomniała mu się dawna dziewczynka, drażliwa i wybuchająca gniewem.

— Ale zaproszą — rzekł — zaproszą. Niechże pani będzie spokojna.

— Na pewno? Niech pan powie, na pewno?



Trzymała go za rękę i podniosła ku niemu twarz swą promienną i śmiejącą się w aureoli złotych włosów. A on wzrok topił w jej błękitnych oczach, umyślnie zwlekając z odpowiedzią, i brwi marszczył, siląc się na wyraz obojętny i poważny, gdy mu usta drgały i krew nabiegała do skroni.

— Czy mam pani przysiąc na wszystkie moce piekielne, że zaproszą?

— E, tak znowu to nie. Po co tu moce piekielne... Tylko ja tych żartów nie znoszę. Ale jak pan mówi, że tak, to już uwierzę.

I Zosia wyjęła rękę z jego dłoni i pobiegła za tamtymi. Jerzy zaś zwrócił się także ku kościołowi i szedł patrząc za śpieszącą się dziewczyną. Widział jej nóżki stąpające prędko pod jasną spódniczką, widział chwiejący się na plecach gruby warkocz, niebieską wstążką związany, i kawałek szyi wysuwającej się spod kołnierzyka, i mały kapelusik słomkowy. Brwi jego zsuwały się coraz bardziej, a gdy znikła w drzwiach kościelnych, on odszedł w głąb cmentarza.

Msza już była zaczęta. Ołtarz jaśniał w głębi żółtymi płomykami świec, organy huczały, a przez trzy okna z góry wpadały wielkie snopy słonecznych promieni i kładły się trzema wyraźnymi płachtami na zbitej masie głów, zabarwiając jaskrawo chustki kobiet, szaliki mężczyzn i złocąc głowy dziewcząt i dzieci. Poza owymi strugami światła panował półcień i tłum stojący i klęczący wydawał się jedną szarą, bezbarwną masą, stłoczoną, ściśniętą w czterech ścianach świątyni, prawie bez ruchu i bez głosu. Ginęły w tym półcieniu oddzielne postacie, zlewały się z sobą, łączyły, tworząc jedno wielkie ciało spracowane i cierpiące, jedną wielką duszę korzącą się i błagalną, jedną myśl, co tam gdzieś wysoko, w nieznannej a jasnej krainie, szukała sobie wypoczynienia, jedno serce, co się w milczeniu zrywało ku niebu.

Od ołtarza wznosił się głos księdza donośny i gruby, a organy odpowiadały. Lud klęczał i oczy w górę wznosił ku postaciom świętych na obrazach, ku dwom aniołom ze złoconego gipsu, które unosiły pod sklepieniem ciężkie swe kształty, ku tęczowym blaskom w szkiełkach pajaków,

ku wielkiemu krzyżowi z ciemnego drewna, na którym rozpięty wisiał Zbawiciel. A w gorącym, coraz bardziej dusznym powietrzu twarze bladły, czoła okrywały się potem, oczy mgłą zachodziły, przelatowały jakieś tchnienia z innego świata i napełniały dusze błogością i słodyczą. Po wielu twarzach spływały powoli łzy nie otarte, stygnące na policzkach. Niektórzy, nisko schyleni do ziemi, z czołem prawie opartym o podłogę, szeptali pacierze lub bili się w piersi. Tu i ówdzie wyrwało się westchnienie.

Gdy panie Halickie dostały się do swojej ławki, marszałkowa zajęła zwykle miejsce, a przy niej uklękła Zosia. Pan Adam już się tam znajdował. Pani Alina i Terenia, poszeleściwszy sukniami i różańcami, pochyliły głowy na złożone ręce i zatopiły się w modlitwie.

Zosia wyszukała w swej książeczce Mszę Niedzielną i zaczęła czytać. Z początku to i owo jej przeszkadzało, myśl o pikniku nie dawała spokoju. Czy uda się namówić tego nieznośnego Chańskiego? A kto tam będzie? A jaką ona suknię włoży? Przeszłoroczna różowa była już całkiem nieświeża.

Ale w tej chwili wszyscy powstali. Chłopiec w komży i czerwonej pelerynie przeniósł mszał z lewej strony na prawą i ksiądz zaczął śpiewać ewangelię. Zosia myślą wróciła do swej książki i już uważnie czytała:

„Oto Słowo Twoje, Panie nasz Wszechmogący, ogłoszone ustami kapłana, brzmi w ustach zgromadzonego ludu, a serce moje wznosi się ku Tobie z błagalną modlitwą, abyś raczył...”

Ale właśnie naprzeciwko drzwi od zakrystii cicho się otworzyły i kilku młodych panów weszło do kościoła. Byli to dwaj Suniżyccy, Edzio i Jaś, Jerzy Lipowski i jeszcze jeden nieznamy młodzienc. Zosia oczy ku nim podniosła, spotkała utkwiony w siebie wzrok Jerzego, ale tego nie zauważyła — tylko nieznamy ją zajął. Kto by to był? Pewnie dobry tancerz. Prędko jednak spuściła oczy i z wyrzutem sumienia wróciła do swej książeczki. Ale w przelocie" spostrzegła podniesione rondo i bukiet żółtych kwiatów na głowie panny Rokickiej, okolicznej piękności.

— Mój Boże — pomyślała — czego już ona nie wkłada na tę swoją głowę!

Nie mogła jednak wytrzymać, aby drugi raz nie rzucić na nią okiem i dokładnie nie obejrzeć nadzwyczajnego kapelusza, co tam się piętrzył tak dumnie.

Ale wszyscy już klękali znowu. I wkrótce dwaj chłopcy służący do mszy z całej siły zadzwonili. Żaden z nich pierwszy nie chciał skończyć, więc dzwonili nadzwyczaj długo. A tymczasem po całym kościele rozległo się szuranie nogami, bo lud klękał na Ofiarowanie. I Zosia pochyliła głowę. W książce zaczynała się modlitwa od słów:

„O, nigdy niedocieczony rozumem człowieka Stwórcu wszechświata, który nie gardzisz najlichszą modlitwą wnoszoną do Ciebie, racz przyjąć...”

Ale ona już nie czytała. Z przymkniętymi oczami, odpędzając wszelkie myśli uboczne, wznosiła serce do Boga i razem z tym kielichem z ołtarza oddawała Mu je całkowicie. Kapelusz panny Rokickiej, nieznajomy tancerz, piknik nawet — wszystko gdzieś się rozwiało, znikło... i modlić się zaczęła całą duszą, prosząc o opiekę i błogosławieństwo dla siebie i dla swoich, o łaski wszelkie, i żeby babunia była zawsze zdrowa i żyła długo, długo i dziadunio takż. I żeby Ania wyleczyła się i żeby wszystkim było dobrze, i stryjowi, i mamie, i Tereni, i wszystkim. I żeby krajowi całemu Bóg zesłał dobro wszelkie, i spokój, i dobre urodzaje, i żeby ludzie nie chorowali, i byli dobrzy i szczęśliwi wszyscy. A gdy na Podniesienie odezwały się znowu dzwonki i organy umilkły, zrobiła się wielka cisza, a jej serce rozplynęło się w miłości i w uroczystym dziękczynieniu, i zdawało się jej, że weszły w nie te wszystkie błagania i prośby, co naokół drgały i że pierś jej rozszerza się uczuciami tych tysięcy, a serce, jak czara po brzegi pełna, wznosi się wysoko do Boga. I powtarzać zaczęła: — Nad nimi, nad nimi ulituj się, Boże!

Msza skończyła się wśród ciszy. Tylko podczas ostatniej ewangelii zrobił się ruch koło drzwi, bo niektórzy wychodzić zaczęli, a inni znów skupili

się bliżej ołtarza, na którego stopniach ukląkł proboszcz, zakrystian i chłopcy służący do mszy, i zaintonowano Święty Boże!

Po pierwszej zwrotce, odśpiewanej drżącym głosem starego księdza, nagle przemówił lud. Było to zrazu coś, jakby ciemna chmura, jakby grzmot oddalony, który rośnie, rośnie i zbliża się, aby wybuchnąć nad głowami wołaniem olbrzymim: Święty, Nieśmiertelny! głosem, podobnym do tysiąca trąb, złocistym i jasnym dźwiękiem, hukiem rozsadzającym i mury kościelne, i piersi ludzkie, aby potem powoli opadać, zniżać się i kończyć prawie szeptem: Zmiłuj się nad nami!

I znów nastąpiła chwila ciszy. Od ołtarza podniósł się stary głos:

— Święty Boże, święty Mocny, święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!

I znowu buchnęła pieśń jak płomień, rosła aż ponad niebo i opadła gorącym tchnieniem na ziemię.

I szła tak dalej — to drżąca w ustach staruszka przed ołtarzem, to potężna i wspaniała, rwąc się falą z ust ludu. To wzlatując wysoko, śmiało dzwoniła u tronu Pańskiego, to brzmiała przed Nim w suplikacji i błaganiu, to rozlewała się potokiem na głowy ludzkie pogrążone w żałości i skardze.

Lud mówił do swego Boga.

Po skończonym nabożeństwie odwiecznym zwyczajem szła pani marszałkowa na groby rodzinne. I teraz skierowały się cztery panie ku oddalonemu końcowi cmentarza, gdzie za żelazną kratą wznosił się krzyż kamienny, pod którego cieniem spali w grobach członkowie rodziny Halickich. Było ich tam wielu. Na czterech rogach zasadzone modrzewie rzucały koronkowy cień na kamienne płyty — tylko gdzieś błyszcząły złote napisy i żółte nieśmiertelniki w wiankach. Spokojny to był kątek, zacieniony i chłodny, i gwar świąteczny niewyraźnie tu dochodził.

Marszałkowa otworzyła furtę i stanęła oparta na kiju. Spokojna i surowa, patrzyła, na leżące przed nią mogiły. Tam, pośrodku, spoczywali

rodzice, a obok puste miejsca czekały na nich oboje. Tuż blisko wielki biały kamień nosił tylko napis: Juliusz Halicki, —. Był to najstarszy z jej synów, pierwszy, oczekiwany..., upragniony! Poczęty z najgorętszej miłości, wykołyszany marzeniami — ukochany nad wszystko. Piękny, zdolny, o szlachetnym sercu. Wcześniej go śmierć zabrała, śmierć piękna, ale jakże okrutna! Dalej leżał Antoni. Za nim skromny krzyż z napisem, wzniesiony na pamiątkę Stefana, którego ciało pozostało gdzieś na obczyźnie, ale którego duch pewnie tu nieraz przebywał.

A tam, w rogu, pod samym murem, widniał napis króciutki: Celina. I nazwiska nawet nie położono na tym kamieniu, co pokrywał szczątki tej nieszczęśliwej kobiety i był ostatnim aktem jej romansu. Ale kwiatów było jednak najwięcej na tym grobie — kwitły bratki i lewkonie, i lilie białe wysoko wznosiły swe kielichy.

A za tymi, w drugim rzędzie, leżały inne jeszcze kamienie, omszone już i nie świecące złotem liter. Nad tymi, co tam spali, już żadne serca nie bolały.

Marszałkowa stała nieruchoma, mała i zgarbiona nad grobami ukochanych. Oczy jej przenosiły się z jednego na drugi, powolnie, miłośnicie błędząc po tej ziemi, do której sama też wkrótce położyć się miała. Ale ciągle, co chwila, oczy te wracały ku wielkiej, białej płycie i spoczywały na imieniu syna: Juliusz Halicki, —. Tyle lat minęło od owej chwili — a ból był zawsze ten sam. I poprzez darń mogilną widziała nieruchome ciało i piękną, martwą głowę. I dwie łzy zbierały się znowu powoli w oczach staruszki, spływały po wyżłobionych w twarzy bruzdach i spadały na złożone ręce.

Pani marszałkowa powoli odwróciła się od grobów, przymknęła furtkę i zgarbiona, postukując laską, poszła ku kościelnej bramie.

Tegoż dnia, pod wieczór, Zosia czytała głośno jakąś powieść dla rozerwania Ani, cierpiącej od rana na migrenę, gdy z daleka dał się słyszeć turkot. Ktoś jechał aleją ku dworowi. Zosia położyła książkę.

— Czy słyszysz, Aniu? — spytała. Ania nadstawiła ucho.

— Ktoś jedzie — rzekła.

— Jedzie, najwyraźniej słyszę. O, przez most przejechali. Może z Bijuciszek... Polecę na górę zobaczyć.

I w jednej chwili książka znalazła się pod stołem, a Zosia, skacząc po trzy schody na raz, pędziła na górę. Tam, z okna swego pokoiku, wyjrzała. Przez wysadzoną topolami ulicę posuwała się, błyskając w zachodzącym słońcu stalowymi okuciami, bryczka zaprzęzona w dwa tłuste bułanki. W głębi powiewała jakaś peleryna szaraczkowa.

— Mój Boże, któż to taki?! Chyba tylko proboszcz! — myślała Zosia, wychylając się przez okno i wytyżając wzrok.

— Tak, na pewno on. A ich ani widać!

Tak, był to proboszcz — i Zosia, choć go lubiła bardzo, patrzyła teraz z urazą na jego bułanki i bryczkę toczącą się żwawo po drodze. Widziała jego pelerynę, którą wiatr rozwiewał, czerwoną twarz pod szerokim rondem kapelusza, i dwie ręce oparte na parasolu. Słyszała szczekanie Dianki i Rozboja i turkot bryczki po żwirze przed gankiem, otwieranie i zamykanie drzwi, głosy w przedpokoju, gruby śmiech proboszcza, wreszcie kroki oddalające się ku salonowi. Bryczka odjeżdżała wolno ku stajniom i bułanki spocone machały ogonami.

— Nieznośny ten proboszcz! — szepnęła Zosia, odchodząc od okna zawiedziona w swych oczekiwaniach. — Potrzebna nam bardzo jego wizyta. I postanowiła nie schodzić wcale do salonu. Ale z dołu, z sieni, odezwał się głos Ani:

— Zosiu, Zosiu! — wołała. — Chodź prędko! Ksiądz proboszcz przyjechał.

— Przecie słyszę — odparła, przechylając się przez balaski, wielka rzecz!

— Ale chodźże prędko.

— Czegóż ja tam pójdę? — spytała zaczynając schodzić na dół. Ania stała u początku schodów z tajemniczym uśmiechem na ustach.

— Idź do salonu, posłyszysz coś ciekawego.

— Co, może o pikniku?

— A widzisz, a nie chciałaś zejść.

Ale Zosia już jednym susem była w salonie. Całowała proboszcza w rękę i wołała:

— A co, proboszczu, będzie bal? — I czerwona, uśmiechnięta, z niepewnością w oczach, ale tryskająca skwapliwością i weselem, stała przed nim, trochę zawstydzona własną odwagą, ale przede wszystkim ciekawa odpowiedzi.

Proboszcz wybuchnął głośnym śmiechem:

— Cha, cha, cha! Patrzajcie państwo, panie dobrodzieju, jaka niecierpliwa! A to dopiero balu zachciało się, ot, jak!

I trzymając jej rękę, patrzył na nią i śmiał się wciąż długo, serdecznie. A jej twarz, uszy, szyję oblewał coraz ognistszy rumieniec. Spuszczała oczy i wstyd jej było, że się tak wyrwała — jak Filip z konopi.

— Ot, panie dobrodzieju, w gorącej wodzie kąpana! Ledwie to od ziemi odrosło, a już balów jej potrzeba, ot, jak!

— A bo ja chcę tańczyć... — zaczęła Zosia.

— Tańczyć? A bardzo się chce..., co, bardzo? Oj, ty dzieciaku..., dzieciaku! — Puścił jej rękę, ale wskazał krzesło, aby przy nim usiadła i rzekł:

— Tańczyć chce się? No, to posłuchaj.

I zwracając się do całego towarzystwa, dalej ciągnął przerwane wejściem Zosi opowiadanie:

— Tak, panie dobrodzieju, my na niego: a nie można, a trzeba, a nie wykręcisz się, kochanieńki. Dasz, dasz swój pałac, choćbyś nie chciał. Co to, młodzi zebrali się, chcą potańcować, chcą sobie zabawić się po bożemu — a to dla tego egoisty wszystko ma przepadać? Zaczął on trochę mięknać. Mówi: u

mnie nic nie ma, ani szkła, ani porcelany, co jest, to antyki, piękne rzeczy — pobijecie mi, zniszczycie. A na to Jerzy Lipowski: Cóż to pan myślisz, że dzikich ludzi pospraszamy! A zresztą jfc, mówi, na siebie biore

— przywieziemy co potrzeba, ani jednego kieliszka nie poruszymy. Tak Chański powiada: U mnie takie piękne meble, same arcydzieła połamiecie na nic. A Lipowski mówi: W sali balowej i tak nic nie stoi, w stołowym zwyczajne krzesła, a że w salonie panie posiedzą na tych arcydziełach, to im nic się nie stanie. Tak on znowu: Moja służba stara, do niczego, nic w porę nie będzie zrobione. A Lipowski: My gospodarze, i służbę swoją przywieziemy. No, tak i zdał się, już nie było co gadać — Lipowski miał na wszystko gotową odpowiedź. Uparł się, i poty nudził, aż na swoim postawił.

— Więc będzie bal w Ucianach! — spytała pani Alina.

— A w Ucianach. Tylkoż wy, dzieciaczki — tu zwrócił się do panienek — pamiętajcie, pięknie podziękujcie Chańskiemu, bo to dla niego ofiara. Co to dla takiego wygodnisiar nie spać, nie mieć swojej gazety do poduszki, a swoich pantofli, a swojej lemoniady. Ot, czyste utrapienie!

Lecz Zosia zawołała:

— To dziwny człowiek! Ja bym chciała, żeby co dzień był bal w Haliniszkach!

Proboszcz znowu zaśmiał się głośno, aż mu pełna twarz pokraśniała, i zaczął Zosię drażnić:

— Ta zaledwie od ziemi odrosła, a już gwałtu chce balów, jeszcze w krótkiej sukience chodzi...

— Wcale nie w krótkiej, księżo proboszczu. Proszę zobaczyć! I zerwawszy się z krzesła przed nim stanęła.

Proboszcz przekomarzał się z nią i aż trzął się ze śmiechu. Babunię przekonywał, że ją trzeba zostawić w domu, że dzieciom najlepiej, gdy siedzą za piecem, a ona, rozweselona i szczęśliwa, odcinała mu się dzielnie. Aż i inni śmiać się zaczęli, a marszałek rzekł:



— Co wy tam teraz umiecie zrobić! Urządzą tam skakaninę jakąś, bez ładu i składu, tandetę, partactwo. Wytańczą się, wytrzęsą i powiedziec gotowi, że była świetna zabawa. Spytajcie się mnie, jak pikniki urządzać. Anuleczko, pani moja, czy pamiętasz ten piknik, który kiedyś urządzałem w Wilnie podczas świętojerskiego jarmarku? O, to była zabawa.

I marszałek ożywiony dawnym wspomnieniem zaczął opowiadać:

— Tak, była to feta wspaniała, elegancja szła w parze z przepychem. Był to bal kostiumowy, ale kostiumy były dozwolone tylko historyczne, z różnych wieków, z różnych stanów. Więc były i kontusze, i krakowskie sukmany, i średniowieczne, obcisłe stroje hiszpańskie z czasów Wazów i francuskie późniejsze, pyszne! A co tam były za klejnoty! Pamiętasz, Anuleczko, nie chciałaś sprawić sobie kostiumu, to ja ci za to kupiłem tę sztukę grodenaplu lawendowego. A cukiernika tośmy sprowadzali z Warszawy. Prawda, że takich tortów i cukrów nie zdarzyło mi się widzieć dotąd! Dla każdej wchodzącej damy był przygotowany bukiet z wierszami na jej cześć. To była feta.

Marszałek westchnął na wspomnienie minionej świetności, a pani marszałkowa uśmiechnęła się i rzekła:

— My za tę fetę z własnej szkatuły dopłaciliśmy półtora tysiąca rubli rachunków rozmaitych.

— A, prawda — zaśmiał się staruszek. — Jak przyszło do rachunków, to naznaczonej składki nie wystarczyło. A trudnoż było od wszystkich zbierać znowu po kilka rubli. Trzeba było zapłacić. Więc ja do mojej dobrodziki: Anuleczko, królowo, ratuj! No, wzięła z szuflady i dała. Ależ burę dostałem! Oj, oj!

Marszałek robił pokorną minę, a marszałkowa kiwała głową i śmiała się:

— Oj, ty kochanie moje, nieraz tak z tobą bywało.

Tymczasem pani Antoniowa, która była wyszła przed chwilą, wróciła do salonu z małą paczką w rękach. Był to prezent z Rzymu dla proboszcza —

posązek Św. Piotra z brązu, kopia sławnego posągu znajdującego się w bazylice.

Zaczęły się objaśnienia, opowiadania.

Proboszcz słuchał uważnie szczegółów, ale widać było, że się nimi zbyt nie przejmował. Spytał jednak:

— A jakże papież się ma?

Pani Antoniowa z przyjemnością rozpowiadać zaczęła:

— Dzięki Bogu, zdrowie Jego Świątobliwości jest zadziwiająco dobre: w tak późnym wieku, przy takiej pracy Jego Świątobliwość jest jeszcze pełen sił umysłowych, pamięci takiej, że najmłodszych zawstydza. Tak, w tym jest znak widomy opieki Boskiej nad Kościołem Świętym. Obdarzył Bóg swego namiestnika niezwykłą inteligencją i niezmordowaną pracowitością. Ojciec święty całymi nocami pracuje, a już o szóstej rano odprawia Mszę świętą. Pomimo częstych napadów kaszlu, które go bardzo a bardzo męczą, nigdy trybu życia nie zmienia i trzeba już ciężkiej choroby, aby się zgodził przeleżeć dzień lub dwa. A cóż za oszczędności w wydatkach! Tam, gdzie chodzi o chwałę Kościoła, Ojciec święty i milionów nie żałuje. Ale dla siebie, mój Boże, aż wstyd powiedzieć, przeznaczył sześć franków dziennie na stół i to mu wystarcza. Prawda, że takie małe potrzeby — duchem prawie tylko żyje. I patrząc na niego widać, że to ciało wątłe, słabe, zniszczone jest tylko powłoką tej wielkiej duszy, co mu przegląda z czarnych oczu, pomimo wieku tak ognistych jeszcze.

— A często go pani widuje? — spytał ksiądz.

— Nikt Jego Świątobliwości często nie może widywać — odrzekła. — Od czasu jak jest więźniem w Watykanie, publicznie, to jest w kościele Św. Piotra lub w kaplicy Sykstyńskiej, pokazuje się tylko kilka razy do roku w wyjątkowych uroczystościach i to trzeba mieć kartę wstępu. My jednak miałyśmy tej zimy szczęście być przyjęte przez Ojca świętego na audiencji.

Tu pani Alina urwała i spuściła oczy, a twarz jej rozjaśniła się na wspomnienie szczęścia, którego dostąpiła.

Ksiądz zaś przypomniał coś sobie i spytał:

— A panna Teresa gdzie? Coś nie widać... Nastąpiła chwila ciszy.

Wszystkie oczy zwróciły się ku pani Antoniowej.

Ona jakby wahała się z odpowiedzią, wreszcie odchrząknęła i rzekła:

— Moja córka pędzi życie odosobniony. Tu nawet mało się udziela.

Przygotowuje się do zmiany stanu...

— Cóż, za mąż idzie? — spytał proboszcz.

— O, nie, wstępuje do zakonu. Proboszcz się zadziwił.

— Do zakonu! Patrzajcie państwo, panie dobrodzieju! A ja ciągle czekam ze stulą — myślę: pora by ślub dać. Ot, jak, do zakonu! No, no — nie spodziewałem się...

— Szkoda dziewczyny — zauważył marszałek.

Pani Antoniowa poruszyła się żywo, ale nie rzekła nic. A proboszcz, rozchyliwszy sutannę, wsadził pierwsze palce obu rąk sobie pod pachy, a pozostałymi z lekka bębnił po piersiach. Oczy jego błękitne, łagodne, jak oczy dziecka, wybiegły dalekim spojrzeniem poza otaczających, poza mury domu, gdzieś wysoko, w szafirowe niebo — i zaczął mówić powoli:

— Szkoda, nie szkoda! Na nasz ludzki rozum, to zdaje się lepiej: niech idzie za mąż, niech gniazdko uściele, niech dziatki rodzi, niech domem rządzi. Tak zdaje się lepiej. A taki, jak Pan Jezus zawoła do siebie i powie: Chodź, to nie ma co, i tu już żaden rozum nie pomoże. Rzucaj wszystko i idź!... O, zazdrosny On, panie dobrodzieju. Jak sobie kogo upodoba, to nie ma rady! Ot, żeby mnie zapytali, powiedziałbym: niech idzie za mąż panna Teresa, najlepiej zrobi. A Pan Jezus inaczej sobie obmyślił — i taki po swojemu. Wykręcaj się jak chcesz, a nic nie pomoże. Z Bogiem nie wojować.

Chwilę zamyślił się i bębnił palcami po kamizeli, a dziecinne jego oczy zachodziły wilgocią, jakby zbierały się w nich łzy, około pełnych ust rozsiadał się półuśmiech błogi. I westchnął głośno:

— Ach, ach, panie dobrodzieju! Czy to człowiek wie, co go czeka! Ot, prawdziwie, człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Czy to ja, młodym będąc, myślałem kiedy, że skończę na probostwie? Gdyby mi kto powiedział, to bym go miał za kpa. W wojsku służyłem — i szlify, epolety, wojenka, a piękne panny były mi w głowie... A ot, Pan Jezus zawołał. Wykręcałem się, panie dobrodzieju — długo. A taki musiałem kapitulować.

Tu zwrócił się do pani Aliny:

— To naprawdę wstępuje panna Teresa? No, patrzajcie państwo! I gdzież to, w Krakowie?

Pani Alina stropiła się znowu:

— Nie, jeszcze nie wiemy..., pewności nie ma, prawdopodobnie w Rzymie. Zobaczymy, jak się ułoży.

Marszałkowa od dawna milcząca śledziła wyraz twarzy synowej. A teraz, widząc jej pomieszenie, rzekła dobitnym głosem:

— Antoniowa z Terenią myślą nowy zakon fundować.

Pani Alina zaczerwieniła się i pośpieszyła z tłumaczeniami o wyraźnej woli Boskiej.

Zosia spojrzała zadziwiona na matkę, a proboszcz, wzięwszy tę wiadomość za żart lub nieporozumienie jakies, wybuchnął znowu głośnym śmiechem:

— Cha, cha, nowy zakon! Mało tego jeszcze! Cha, cha, cha, i pani Antoniowa zakonnicą, a to paradne! Komedia, co? Patrzcie państwo, panie dobrodzieju, któż to wymyślił?

I śmiał się dalej, nie widząc zagniewanej twarzy pani Aliny, coraz bardziej zdziwionych spojrzeń Zosi i złośliwego uśmiechu marszałka.

— Niech się proboszcz tak nie śmieje, to rzecz zupełnie prawdziwa — rzekła wreszcie pani Antoniowa siląc się na spokój, chociaż głos jej drżał z rozdrażnienia.

— Prawdziwa? A paniż moja kochana, nigdy temu nie uwierzę. I do czegoż ten nowy zakon? Mało to ich jest na świecie? Na wszelkie gusta się znajdzie... A żeby pani miała do klasztoru wstępować!... Pani!... Cha, cha. toż chyba skończenie świata, panie dobrodzieju! Toż ja panią znam nie od dzisiaj — no, i wszystkiemu prędzej uwierzę.

— Ależ, księżę proboszczu! Jakże można przeczyć...

— Daj pani pokój! Czyja ludzi nie znam? Ot, panna Teresa, nie mówię... Może..., może... Ale pani! Cha, cha...

Pani Alina odwróciła głowę niezadowolona bardzo. Ale na jej szczęście przykra rozmowa została przerwana wejściem pana Adama ze Szrottem. Proboszcz wstał z fotela i zaczęli się witać. Całowali się w oba policzki, głośno, serdecznie. A zaraz potem pan Adam rzekł:

— Cóż, zagramy?

— Ot, panie dobrodzieju, gracz zajadły! I tchnąć nie da, zaraz do stolika.

— Bo proboszcz aż drżysz z niecierpliwości, żeby prędzej do preferansa. Jak przyjdzie niedziela, to już od samego rana — i przede mszą i podczas mszy o partyjce myślisz...

— A nieprawda! Ot, kochanieńki, przepraszając kłamiesz. Żebym ja... podczas mszy... To ty sam...

— Kiedyż to wszyscy wiedzą — żartował pan Adam — że proboszczowej tylko karty w głowie i jak kogo na koniach oszukać. Ot, i mnie oszukałeś proboszcz na tej siwej, co to przehandlowaliśmy za ogierka. A czy to tak godzi się duchownej osobie? Toż ona dychawiczna.

— Kłamiesz, kochanieńki. U mnie ona dychawiczna nie była, to już wyją tutaj zaziębiliście, czy co? A zresztą, gdzież miałeś oczy, panie

dobrodzieju? Cha, cha, trzeba było obejrzyć, trzeba było patrzeć. Ja na ogierku nie oszukałem się. Cha, cha, cha.

Śmiał się proboszcz głośno, aż mu się trząsał wielki brzuch i oczki mrużyły się. Bo nie było dla niego większej przyjemności, jak przekomarzać się z panem Adamem o konie, którymi wiecznie handlowali z sobą. A znawstwo w tym kierunku było jego słabą stroną. Wiedzieli o tym wszyscy...

Toteż marszałek dodał:

— A te bułanki terazniejsze proboszcza to licha warte.

— Co, moje bułanki licha warte! — zawołał ksiądz zrywając się. — Moje bułanki? Najlepsze konie w całej parafii.

— Licha, nie licha—rzekł pan Adam—ale nie dałbym za parę więcej jak osiemdziesiąt rubli.

— Osiemdziesiąt rubli, osiemdziesiąt rubli za takie konie, panie dobrodzieju?!

— Jakie tam konie?! Prawy — to spieczony, a i lewy — nic szczególnego. Tyle, że proboszcz pchasz w nie owsa bez miary — więc wypasione.

Proboszcz zaczął się gniewać naprawdę.

— Nie słuchaj, panie Adamie. Co masz takie brednie prawić — że i szkoda śliny — to lepiej siadajmy do preferansa.

— A to najlepiej — odezwał się pan Szrott — i może dziś z kurą zagramy?

— Z kurą? Patrzajcie państwo, panie dobrodzieju, jaki pan znalazł się! Z kurą, jeszcze czego! A niech Pan Bóg broni, na takie ciężkie czasy! Nie potrzeba. Bez kury i po setnej.

Ruszyli ku drzwiom werandy.

— Po setnej? To już nie ma interesu.

— Tobie, kochanieńki, panie dobrodzieju, szulerka chyba w głowie? Zrujnowałeś się raz, chcesz drugi raz się zrujnować.

Ustawiono zielony stół. Zjawił się na czwartego pan Huniewicz — i zaczęła się gra. Zrobiła się względna cisza przerywana tylko wykrzyknikami: Trefle! piki! kara! kiery! albo przyśpiewywaniem proboszcza, który gdy się bardzo zamyślał nad jaką kartą, nucił sobie pod nosem: „Zginęli Grecy, zginęli Rzymianie. I my zginiemy, wierni chrześcijanie” albo „Kiepsko u Witebsku — a u Olszy jeszcze horszy”. Czasem powstawała sprzeczka i słychać było głos pana Szrotta, wołający:

— Przepraszam, ale to trzeba nie mieć żadnej idei, żadnego pojęcia...

— O, patrzajcie państwo, panie dobrodzieju — to niby moja wina?!  
Czemuż sam nie wyszedłeś w kiery?

— Jakże miałem wychodzić w kiery, kiedy proboszcz najwyraźniej pokazywał mi swój kolor?

— Jaki kolor? Co gadasz, panie dobrodzieju?

— No, trefle.

— Dajże pokój. Ani ja pokazywałem, ani co. Sam napierałeś się kierów.

— Przepraszam, ale z proboszczem grać nie można.

Cichło jednak wkrótce. Znowu z szelestem kart wypadały sakramentalne słowa: Siedem pików... osiem karo... lub nucenie proboszcza: „Z wysokiego łóżka spadła poduszka — stąd się taki morał wywodzi, że kawa cukrem się słodzi”.

## IX

Nazajutrz rano, po naradzie z Teresą Leonią, pani Antoniowa zawołała Zosię do swego pokoju i wyjawiała jej swój zamiar fundowania nowego zakonu Sióstr Matki Boskiej Bolejącej. Zosia, pomimo że się spodziewała jakiegoś wyjaśnienia, zadziwiła się.

— Fundować zakon, mamó?! Ja myślałam, że to tylko święci albo wielcy ludzie fundują zakony.

— Moja Zosieńko, wszyscyśmy powołani do świętości. A zresztą, Bóg wybiera do swoich celów często najlichsze narzędzia.

— No tak, ale zawsze... I po co ten nowy zakon?

Pani Antoniowa rozpoczęła opowiadanie o celach i potrzebach Sióstr Bolejących. Mówiła o powołaniu Teresy Leonii od dawna już odczuwanym i o własnych swych aspiracjach do ciszy klasztornej życia, o chęci oddania się zupełnie Bogu i o zapadłym ich wspólnym postanowieniu.

— Ale... jakże będzie? — zaczęła Zosia, której nagle zrobiło się bardzo smutno. — Mama pójdzie do klasztoru i Terenia także. A ja? Cóż będzie ze mną?

I ogarnęło ją uczucie strasznej samotności. Łzy naszły jej do oczu i zaczęły płynąć po twarzy.

— Ależ, Zosieńko... moja Zosieńko — uspokajała ją matka — wszak to wola Boża.

Ale ją teraz gniew porwał i nie mogąc się powstrzymać wybuchnęła:

— Bo mama mnie nie lubi, ani trochę nie lubi! Mama nigdy nie lubiła mnie i nie myślała o mnie. Nigdy, nigdy! Mama wolała siedzieć za granicą z Terenią, niż być ze mną. J ja jestem bardzo nieszczęśliwa. Wszystkie dzieci mają matki, a ja nigdy mamy nie widzę, zawsze jestem sama... I ja wiem, że mama mnie nie lubi...

— Ależ, Zosiu — starała się przerwać matka — co ty mówisz!



— A tak, a tak! Czy mama kiedy dbała o mnie? Wszystko mamie jedno, co się ze mną dzieje. I teraz ja myślałam, że już będziemy razem mieszkać — czy w Białym Dworze, czy gdziekolwiek — to mama teraz z tym klasztorem...

Zosia była cała czerwona od powstrzymywanych łez i od żalu i wzruszenia, które ją ogarniało. Stała na środku pokoju zaperzona i gniewna. A pani Alina nie wiedziała, co powiedzieć, aby ją uspokoić. Trwożliwa z natury, scen i wymówek nie cierpiała i teraz trochę obawy czuła przed tą gwałtowną dziewczyną, która tak śmiało rzucała jej w oczy wyrzuty.

— Ależ, moja Zosieńko, ależ, moje dziecko, uspokój się — mówiła. Ale Zosia nie słuchała — coraz bardziej unosiła ją żałość i oburzenie, coraz gorętsze słowa wyrywały jej się z ust drżących od wstrzymywanego płaczu.

— Każda matka dba o swoje dzieci, tylko mama nie dba o mnie, mama zostawiła mnie na łasce babuni, jakby sierotę... A teraz mama znowu pojedzie zakładać jakieś klasztory, a ja... cóż będzie ze mną?

— Ależ, moja Zosieńko, kiedy nie pozwalasz powiedzieć... Przecie Bóg...

— Bóg na to nic nie poradzi, że mama o mnie nie dba.

— ...Przecie Bóg nami wszystkimi się opiekuje i...

W tej chwili otworzyły się drzwi i Teresa Leonia stanęła w progu. Był taki spokój i stanowczość, i siła w jej oczach, była w niej taka niczym nie zachwiana pewność, takie poczucie nieomyślności, że pani Alina i Zosia uspokoiły się zaraz. Ona utkwiała swe daleko patrzące oczy w siostrę i rzekła cicho a wyraźnie:

— Sprzeciwiasz się rozkazowi Boskiemu. Dla nędznych, egoistycznych pobudek stajesz w poprzek woli Boskiej. Chyba nie pojmujesz, co robisz?

Zosia zmieszała się, siostra zawsze jej imponowała.

— Bóg rozkazał nam fundować zakon, który by walczył za Kościół święty, za ginące w grzechu dusze ludzkie. Dzieło to jest wielkie, święte. Czymże wobec tego, powiedz, czymże jesteś ty, abyś miała, dla swej

przyjemności czy wygody, głos przeciw nam podnosić? Powiedz sama, czy wobec takiego celu możemy myśleć o twoich zachciankach, o twoich

— zresztą bardzo pocziwych — uczuciach? Powiedz, co ważniejszego? Bóg i Jego rozkaz czy też twoja przyjemność?

Zosia milczała. Stojąc ze spuszczoną głową skubała wstążkę od warkocza i myślała: — A może... może one mają słuszość... Czymże jestem ja w porównaniu z Bogiem — ale jednak...

—Zresztą — zaczęła znowu Teresa Leonia i wzięła ja za rękę — przecież ciebie nie opuszczamy. Mama troszczy się o ciebie i myśli o twoim losie. Co Bóg da, nie wiemy. Zapewne ześle ci zamążpójście odpowiednie, ale do tego czasu będziesz z nami, i do Rzymu możesz razem pojechać.

Pani Alina i Teresa Leonia spojrzały po sobie i porozumiały się oczami.

— Zapewne pojedziesz z nami do Rzymu — rzekła pani Alina.

— Zakon jeszcze nie założony, więc tymczasem możemy zająć się tobą.

— I zobaczysz, jak ci tam będzie przyjemnie.

Ale w obecnej chwili przyjemności rzymskie Zosi nie wzruszały. Stała wciąż nieruchoma i myślała: — Może one mają słuszość — Bóg może wymaga czasem zaparcia się, poświęcenia.

Jakby odpowiadając na tę myśl, Terenia znowu zaczęła:

— Ale gdybyś nawet miała przecierpieć i stracić coś na tym osobiście, czyż nie czujesz się na siłach zrobić tego dla Boga? Czyż głos Jego, żądający może i od ciebie ofiary, odbije się bez echa od twego serca? Będziesz stawiała wolę swoją i własny interes ponad wolę Jego i interes Kościoła?

Zosia nizej jeszcze spuściła głowę. Głos wyraźny i stanowczy Teresy Leonii przejmował ją dziwną jakąś obawą.

— Bóg ciebie nie wzywa do zakonnego życia — mówiła ona dalej — nie żąda od ciebie zaparcia się ziemskiego szczęścia, ale żąda, abyś mu nie stawała na drodze, gdy wolę swą objawia, abyś nam nie była kulą u nogi, przeszkodą w wykonaniu naszej ofiary. Owszem, żąda On od ciebie

współdziałania, chce, abyśmy w tobie znalazły pomoc, pociechę, a nie utrudnienie. Czyż nie czujesz tego? Czyż nie słyszysz głosu Jego w swej duszy?

Zosia nie słyszała Jego głosu, ale czuła, że oburzenie jej rozplywa się, gniew topnieje, a wola mięknie i poddaje się. W oczach kręciły się łzy, ale były to łzy jakieś łagodne.

Wyczytała Teresa Leonia tę zmianę w jej twarzy i rzekła:

— Przyrzeknij, że nam trudności nie będziesz stawiała, że owszem, czym tylko zdołasz, przyczyniać się będziesz do wielkiego dzieła.

A Zosia, zupełnie już pokonana, odpowiedziała:

— Przyrzekam.

— Bóg ci to wynagrodzi — rzekła Teresa — i wyszła z pokoju.

Pani Alina wzięła córkę w objęcia. Wzruszona była jej smutkiem, łzami i obietnicą od niej otrzymaną. Więc chciała ją pocieszyć. Posadziła przy sobie na sofce, uspokajała, ścisłała i starała się projekty swe w jak najmiłszym świetle przedstawić. Nie, nie rozstaną się teraz jeszcze. Przeciwnie, razem będą ciągle, dopóki Zosia nie wyjdzie za mąż albo dopóki Pan Bóg tymi rzeczami nie pokieruje. Przecie nic nie nagli, Bóg widzi te trudności, więc tak wszystko ułoży, aby było dobrze. A mówić, że jest nielubiana, nie godzi się, bo od takich słów macierzyńskie serce boli strasznie, tym bardziej że to fałsz. Kochana jest bardzo, bardzo, zawsze jest i będzie najmiłszą córeczką, drogim dzieckiem. I zresztą, po cóż te żale? Teraz będą razem, potem znajdzie się dobry mąż i wszystko będzie dobrze. A kiedyś, kiedyś W przyszłości, może Bóg pozwoli im wszystkim powrócić do ojczyzny...

Pani Alina umilkła. A Zosia spytała, wycierając oczy:

— Więc w Białym Dworze nigdy już nie zamieszkamy?

Ale pani Alina śmiejąc się zaczęła mówić, że nie można razem wszystkiego chcieć — i Białego Dworu, i Rzymu, że trzeba czegoś się wyrzec, a przedkładać większe dobro nad mniejsze. A widząc, że oczy Zosi znowu napęłniły się łzami, rzekła:

— A ty, moja córeczko, nie płacz i nie smuć się, bo mi tym jeszcze bardziej utrudniasz ofiarę i rozdzierasz serce. Powinniśmy z radością przyjmować rozkazy Boskie i nie sprzeciwiać się nawet myślą Jego świętej woli.

I białą ręką, strojną w pierścienie, gładziła pani Antoniowa spuszczoną główkę Zosi. Ale ta zdawała się pieścić tych nie czuć i myślała, że jednak dziwne są na świecie sprzeczności. Co jest złe w oczach babuni, dla mamy jest święte i dobre. I komu wierzyć? Dotąd wierzyła, że wypełnienie obowiązków najbliższych, codziennych, jest pierwszym zadaniem człowieka. A teraz odkrywały się przed nią nieznanne jakieś światy, do których odwoływani byli ludzie od tych najbliższych obowiązków i szli mówiąc, że Bóg ich tam powołuje. Może tak było w istocie... Tymczasem przyrzekła, że przeciw matce i siostrze nic mówić ani robić nie będzie, więc dotrzymać musi przyrzeczenia i nie będzie im kulą u nogi. Ale to wszystko dziwne... dziwne!

I w głębi jej serca powstawała i rosła fala goryczy. Nie, matka jej nie lubiła widać, jeśli tak spokojnie mówiła o rozstaniu, o takim zupełnym rozstaniu, gdzie już nic, nic nie ma wspólnego, o takiej wiecznej rozłące, o takim rozdziale myśli i celów, i dróg... Mówiła o tym spokojnie, z przyjemnością nawet, jak obca już sercem istota, która tylko przez grzeczność zgodziła się chwilę jeszcze tu przebyć, ale już cała należała do jakiegoś tam innego świata, obcego, dalekiego... do innych ludzi, do innych krain.

Ale właśnie pani Alina zaczęła mówić o Rzymie i Zosia zwróciła ku niej myśli. Włochy, Rzym wszakże to był cel jej marzeń.

Pani Alina mówiła, że tak będzie najlepiej: przebędą rok w Rzymie, Zosia dokończy tam wychowania, będzie mogła widzieć najpiękniejsze w świecie zbiory, muzea, galerie, kształcić się, uczyć, doznawać wrażeń podniosłych na całe życie, uświęcać duszę u źródła wszelkich łask, a przy tym poznać trochę towarzystwa, bywać w kółku ludzi najwykwintniejszych, wśród

najwyższej arystokracji, nie tylko rodowej, ale umysłowej i moralnej, a przy sposobności pobawić się nawet trochę. Czyż to nie nęcące?

Zosi żal topniał powoli. Do Włoch, jaki czar miały już te słowa nawet. Włochy, z tym niebem pogodnym, z tymi gajami pomarańczowych drzew, z tymi ruinami, które oplatały bluszcze. Włochy, z tą swoją poezją, z tym mnóstwem legend, z tymi setkami lat historii. Włochy, z których szło na świat cały wszystko, co wielkie i piękne. Być we Włoszech! Widzieć Rzym! Co to za cudny sen! A ten sen mógł się zamienić w rzeczywistość.

Sama już nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy smucić, czy gniewać się na matkę za projekty zakonne, czy wdzięczną być za obiecaną podróż?

Ale w ustach pani Aliny ten klasztor odsuwał się na coraz dalszy plan, stawał się zamiarem mglistym, dalekim, niepewnym prawie, a wyjazd do Rzymu przybierał postać realną, nastąpić miał już wkrótce, za parę miesięcy. Więc Zosia coraz uważniej słuchała, a wreszcie i pytać zaczęła, i powoli zapaliła się do tego wyjazdu. Rozstały się w najlepszej zgodzie.

— To takie młode jeszcze — mówiła pani Alina do Teresy Leonii — że można ją byle czym załagodzić. Dobrześ zrobiła, ThérèseLéonie, przyrzekając wziąć ją na zimę do Rzymu.

— Tak. Ale swoją drogą bierzemy na siebie kłopot niemały. I gdyby dało się tymczasem tu coś znaleźć...

— O, gdyby!...

Zosi, gdy wyszła wreszcie z pokoju matki, świat wydawał się inny niż był przed paru godzinami. Haliniszki zmalowały jakoś w jej oczach. Mój Boże, czymże były takie Haliniszki w porównaniu z Rzymem! A ona może za kilka miesięcy chodzić będzie po Rzymie, deptać będzie tę samą ziemię, którą deptał niegdyś Cezar i Grakchowie, i tylu wielkich ludzi, i sam Święty Piotr! Stać będzie na Forum, gdzie prawdziwi Rzymianie się przechadzali, i w Koloseum, gdzie ginęli męczennicy. Zobaczy największy na świecie kościół, ten cud świata. A potem pewnie i samego papieża zobaczy, a już kardynałów i

biskupów — to całe mnóstwo. A może i w Wenecji będą i gondolą po cudnych lagunach się przejedzie! I zobaczy morze — prawdziwe morze z falami ogromnymi. Boże, czy to wszystko prawda?

W głowie jej się kręciło. Dusiło ją od nadmiaru wrażeń...

— Gdzie Ania — pomyślała — muszę jej powiedzieć...

Ale na zegarze była dopiero dwunasta, a o tej porze Ania była zajęta i na żadne przerwy nie zgadzała się nigdy. Więc Zosia usiadła do fortepianu, jak zwykle o tej godzinie, i rozwinąwszy Gradus ad Parnassum Clementiego, zaczęła bębnić po klawiaturze. Nigdy Clementi nie miał u niej łaski, zawsze naznaczoną na ten dzień etiudę zbywała jak najprędzej, a brała się do swoich sztuk ulubionych: do sonat Beethovena, do Pastorałi Scarlattiego i do wesołych, ślicznych Tańców węgierskich Brahmsa.

Ale dziś jej nic nie mogło dogodzić ani uspokoić. Nie, musiała się wygadać. Przecie tak, z tą nową myślą o Rzymie, siedzieć nie mogła spokojnie i wygrywać sobie. Może Ania zechce choć przez chwilkę jej posłuchać. Więc urwała w samym środku jakiegoś andanta, zerwała się ze stołka i pobiegła do kawiarni.

Kawiarnia był to wielki pokój, do którego zstępowało się z sienrpo paru schodkach. Przeznaczony był do wszelakich gospodarskich zajęć, ale panna Borsakówna wolała w swojej garderobie się krzątać, więc zwykle pusto tam było. Okna wychodziły na ogród i były do połowy okratowane. Na środku stał olbrzymi stół, a na nim rozsypane suszyły się różne ziołka: mięta, rumianek, kwiat lipowy, piołun, bez lekarski, kwiat nasturcji itp., i wydawały z siebie słodką, stęchlą woń. W głębi piec z zielonych kafli i komin nakryty kapturem zajmowały cały kąt. Przez otwarte okna wpadały teraz szerokie strugi słoneczne i leciał zapach dojrzewających owoców. Muchy wirowały i słońcu i siadały na schnących ziołach.

Pod jednym z okien, przy stoliku, siedziała Ania, a wkoło gromadka dzieci. Każde miało przed sobą rozłożony elementarz i trzymając patyk w

brunatnej rączce, wodziło po nim wskazując litery. Wszystkie razem głośno i dobitnie czytały:

— Chata, a chałupa to jedno. Chudy jak chart...

— Co to jest chart? — przerwała Ania.

Dzieci podniosły główki, nastąpiło milczenie. Marylka zerknęła na Franka i zaczęła chichotać, a mała Wikcia pomyślała trochę i odezwała się cieniutkim głosem:

— Chart — to taki ciucia.

Tamte głośniej się roześmiały, ale Ania pogładziła dziewczynkę po głowie i rzekła:

— Bardzo dobrze. A gdzie Wikcia charta widziała?

— O, tu na obrazku — i mała wysunęła paluszek wskazując wyrysowanego psa.

— Ot, jaki u jego ogon zakręcony — zauważył pyzaty Wincuk.

— Jaki u niego, nie u jego — poprawiła Ania i dodała — chart to taki pies duży, chudy, z długim ogonem zakręconym. Służy on do polowania na zające. On bardzo prędko biega, więc jak go wypuszczą na zająca, to biegnie za nim, dopędza i biednego zajączka dusi. No, czytajcie dalej.

Znowu główki pochyliły się nad elementarzami i rozległy się cienkie głosiki:

— Chorych poją herbatą...

— I ja piłam herbatę, jak mnie brzuszek bolał — zauważyła Wikcia, ale nikt nie odpowiedział i dzieci czytały dalej stukając patykami po książkach:

— Z tej chałupy bucha paskudny zapach.

Tu Franek parsknął śmiechem i schował twarz w książkę, a Ania oburzyła się:

— Co to jest, proszę nie śmiać się, kiedy nie ma z czego. Franka zawsze jakieś głupstwa się trzymają. A Marylka niech siedzi spokojnie i nogami nie bryka pod krzesłem. No, dalej.

— Bo chyba tam gospodyni ladaco. Topola usycha. Po lasach i łąkach pastuchy pasą. Filip...

Nagle jakaś niecierpliwa ręka targnęła drzwiami i złota głowa Zosi wsunęła się do pokoju. Wszystkie dzieci oczy oderwały od książki.

— Aniu — zawołała Zosia — ja muszę tobie coś powiedzieć. Czy ty prędko skończysz?

— Ależ, Zosiu, jeszcze nie ma pierwszej!

— Ach, kiedy ja nie mogę...

I Zosia weszła do pokoju. Dzieciom uśmiechnęła się nadzieja prędkiego końca lekcji, więc śledziły ciekawie twarze obu panienek, które zaczęły mówić po francusku. Ale Ania nie ustąpiła. I tak dość już często zdarzały się przerwy, dzieci w ten sposób nigdy niczego się nie nauczą. Zosia poczeka, nic się jej nie stanie.

I nie było rady. Zosia, czując, że nie jest w stanie wygrywać sonaty, wołała zostać w kawiarni i słuchać lekcji.

— No, dobrze już, poczekam. Cichutko sobie posiedzę. Przysiadła na niskiej ławeczce przy piecu, a lekcja postępowała dalej. Po czytaniu przyszła kolej na katechizm.

— Ile jest grzechów głównych? — spytała Ania.

Dzieci jednym tchem wyliczyły siedem grzechów głównych.

— No, a cóż to jest na przykład — gniew?

Marylka spojrzała na Franka, który nic nie odpowiadał, i zaczęła pod stołem wyrzucać nogami. Mała Wikcia skubała swe paluszki i nie miała nic do powiedzenia. Tylko Wincuk widocznie się namyślał i buzię wydymał.

— Cóż to jest gniew? — powtórzyła Ania, zwracając się wprost do niego.

— To jak kto kogo poszturcha — odparł prędko i zwiesił głowę. Wybuch śmiechu spod pieca nie dał Ani wypowiedzieć pochwały, którą miała na ustach, i Zosia przyskoczyła do stolika:



— Dobrze, dobrze! Jak kto kogo poszturcha, doskonale powiedział! Ot, tęgi z ciebie chłopak — dodała biorąc go pod brodę — dam ci za to piernika.

— Zosiu, nie, przeszkadzaj.

— Nie, nie, już cicho siedzę.

A wtem wzbiły się razem dwa głosy Franka i Marylki, opowiadające jakąś historię bójki na folwarku.

— Tak on Andrukowi jak dał — mówił prędko Franek, powstrzymując śmiech i zadyszając się zarazem — tak Andruk i powalił się na ziemię. A dziewczki podeszli do jego...

— Nie dziewczki — przerwała Marylka — sam komisarz, co przyjechał był tylko co na siwej, jak wziął bizuna...

— Da nieprawda! — zakrzyczał Franek.

— Dzieci, co to jest — zwróciła się do nich Ania. — Cicho bądźcie! I po jakiemu wy mówicie? Marylko, czy mówi się był przyjechał?

— Przyjechał — szepnęła Marylka i dodała — a bo on nie tak mówi.

— Ty sama — zaczął Franek. Ale Ania surowym spojrzeniem przerwała dyskusję i sama głos zabrała. Mówiła, jak to brzydko, kiedy dzieci zajmują się plotkami i rozprowadaniem, co kto złego zrobił, że nie powinny wcale zajmować się tym, co robią starsi, a pilnować tylko siebie. — „Nie suń nosa do cudzego prosa”, to jest bardzo mądre przysłowie, i żebyście je zapamiętały, napiszecie mi to każde po trzy razy w swoim zeszycie. Ale tylko ładnie, starannie i czyściutko, żeby nie było ani jednego kleksa. A teraz, Wincuk niech powie bajeczkę o koniku polnym i mrówce.

Wincuk powoli, z namysłem, wypowiedział wiersze, wyraźnie i głośno, z widocznym zrozumieniem. Zosia była zachwycona.

— Jak on doskonale mówi! A powiedz, kto był rozumniejszy: konik polny czy mrówka?

— Wiadomo, mrówka.

— Dlaczego?

Dzieci zaśmiały się.

— Bo ona nazbierała sobie i ma. A tamten...

— A konik polny tylko tańcował, prawda? — rzekła Ania. — Ale ja znam takich ludzi, którzy także chcieliby przez cały dzień tylko skakać, biegać, bawić się. A do pracy zapędzić, ani rusz! A wy takich ludzi znacie?

Dzieci spojrzwały po sobie. Franek spuścił głowę, a Marylka siedziała cała czerwona i oczy wytrzeszczała na panienkę.

— Znacie takich ludzi, próżniaków, leniuchów, co?

— Znamy — szepnęli razem Franek z Marylką.

Więc Ania, powstrzymując się od śmiechu, powiedziała jeszcze kilka słów niezbędnej nauki moralnej i lekcja była skończona.

— Ach dobrze — zawołała Zosia — że już skończyłaś! Ty nie wiesz, ja tyle mam ci do powiedzenia, już nie mogę wytrzymać. Usiądź tu przy piecu i posłuchaj.

Obie dziewczyny usiadły na niskiej ławeczce. Zosia objęła Anię ramieniem, przytuliła się do niej i tak trzymając ją bliźutko prawie szeptem opowiadała wszystko. Mówiła o postanowieniu matki i o Tereni, i o przyszłym zakonie, i o projekcie wyjechania na całą zimę do Rzymu, i śmiała się, i smuciła się, i chwilami gniew wzbierał na matkę, że ma jakieś swe własne drogi i swój własny świat, i że ją uważa za ciężar tylko, i przypominała sobie obietnicę swą, że im nie będzie ciężarem i zaporą. Czasem zapalała się, mówiąc o Rzymie, to znów żartowała sobie, że mama chce się jej pozbyć i wydać za mąż za pierwszego lepszego. Ania milczała, czasem tylko wtrącając słówko, ale oczy jej przepaściste i marzące płonęły coraz goręcej, na dnie ich zapalały się złote iskry, a czasem powlekały się mgłą, jak woda jeziora, gdy po nim przeleci wicher: Ale Zosia przypominała sobie, że rozstać się muszą i rozczuliła się na tę myśl. I porwawszy Anię w objęcia zaczęła ją ścisnąć i całować z takim uniesieniem, jak gdyby już nadeszła chwila owego rozstania.

— Nie, nie pojedę, ja bez ciebie nie wytrzymam, ty mój Niuczku drogi. Jakże ja bez ciebie będę...

— Ależ Zosiu, to nie na wieki. A cóż zrobisz, jak mnie zupełnie nie będzie?

— Jak to nie będzie?

— Przecież wiesz... i ja też... tam pójdę...

— Co, do klasztoru? Boże, i ty do klasztoru! Wszakże o tym nie myślisz naprawdę? Aniu, nie?... To nie naprawdę?

Ania milczała, więc Zosia zsunęła się z ławki i klęcząc przed nią starała się zajrzeć w jej oczy.

— Mów, Aniu, mów...

Ania podniosła oczy, spojrzała na nią, a potem wzrok jej wzbił się w górę, poleciał w przestrzeń, do nieba błękitnego, co tam przez otwarte okno jaśniało, za obłoki, za chmurki białe—wysoko, wysoko. Zosia patrzyła w te oczy czarne, z których wlatywała dusza, i ból i strach ją przejmował, cześć jakaś, jak przed czymś niezrozumiałym, ale wzniosłym i nieziemskim — i już bezwiednie tylko powtarzała:

— Mów, Aniu, mów...

Usta Ani złożyły się do uśmiechu, ale oczu nie odwracała od wysokich błękitów nieba, ręce złożone oparła na piersiach:

— Coś mnie tak ciągnie, coś mnie tak woła — rzekła. — I w dzień, i w nocy słyszę jakby głos mówiący: idź, idź.

Więc Zosia nie wytrzymała dłużej. Wrażenia dnia tego już wezbrały w niej i wybuchnęła głośnym płaczem. Już tam, w pokoju matki, łzy się jej kręciły, ale teraz było to bardziej z głębi serca, gwałtowniej i boleśniej. O, jakże była nieszczęśliwa! I mama, i Terenia, i ta jej najukochańsza, wszyscy, wszyscy ją opuszczali. Nikt jej nie kochał i ona była sama jedna prawdziwa sierota na świecie. I co jej z tego, że, pojedzie do Rzymu! I co z tego, że zobaczy Forum i Św. Piotra kościół i samego papieża, kiedy jest nieszczęśliwa

i nikt jej nie lubi ani trochę. Łzy gradem się lały mocząc suknię Ani, na której kolanach głowę swą kryła, łkania wyrywały się z piersi razem z mnóstwem urywanych słów, gniewnych i rozżalonych. Ania przerażona otulała ją ramieniem i starała się uspokoić. Gładziła rozwichrzone włosy, pieściła i całowała — nic nie pomagało.

Wtem w drzwiach stanął stary Grzegorz:

— Ci to panienki nie słyszeli, że goście są przyjechawszy? Panicze i panienka z Bijuciszek. Już kiedy przyjechawszy!

Zosia zerwała się na równe nogi.

— Ach, Boże, a my nie słyszałyśmy nic! To pewnie o piknik. A jakże ja tak pójdę?

— Czekaj, przyniosę ci wody. — I Ania pośpieszyła do sąsiedniej garderoby po wodę. A tymczasem Zosia wycierała oczy, chłodziła twarz przed oknem. I już znikwały ślady łez, uśmiechy ukazywały się koło ust, i gdy Ania wróciła z wodą, śmiała się już na dobre i wołała:

— Jaka ja rada jestem, że przyjechali! To pewnie już z zaproszeniem. Ot, będziemy tańcować.

Zmoczoną chustkę przykładła do oczu i wciąż pytała:

— Nie widać, że płakałam? Już nie widać?

— Nie, nie widać. Tylko włosy masz rozrzucone.

— Ach, u mnie zawsze rozrzucone! To nic. Chodźmy już. Taka rada jestem!...

## X

Sprawa pikniku była zdecydowana. Chański uległ przemocy i dał swój pałac, ale pod warunkiem, że o niczym wiedzieć nie będzie. Żadnych trosk gospodarskich ani odpowiedzialności nie brał na siebie i przyrzekał tylko, że

o godzinie dziewiątej wznaczony dzień przywdzieje frak i stanie u drzwi dla przyjęcia gości. Było to już wiele. Resztą musieli już zająć się sami organizatorowie zabawy. Pani Suniżycka w pierwszym zapale oświadczyła, że wszystko bierze na siebie, wszystkiego dostarczy, wszystkim zarządzi, i już się o to postara, aby bal odbył się pięknie, elegancko i comme il faut. Po ściślejszym jednak obrachunku okazało się, iż na owe spodziewane siedemdziesiąt osób Bijuciszki nie posiadają dostatecznych zapasów porcelany, srebra, bielizny stołowej i że należy udać się o pomoc do Haliniszek. Zresztą chodziło o namówienie pana Adama, aby pojechał gości zapraszać — miało to dodać powagi całej imprezie.

Więc młodzież wyruszyła do Haliniszek z ogromnymi rejestrami wszystkich potrzebnych rzeczy — i gdy Ania z Zosią weszły do salonu, zastały chłopców w ożywionej z marszałkową naradzie, a Melę w drugim końcu pokoju przymilającą się do pana Adama, który roli gospodarza balowego przyjąć się wzdragał.

— Także, znaleźliście sobie baletmistrza — mówił—ja na balu! Kto wie co! Młody byłem i nie tańcowałem, a tu pod starość będę wam bale urządzał.

— Ależ wujaszku — mówiła Mela — trzeba się poświęcić czasem!

— To już za wielkie poświęcenie

— Wielkie poświęcenie pojechać do kilku domów... Ja bym dla wujaszka i w ogień skoczyła...

— Tere, fere — gadanie!

— Zosiu, Aniu! Chodźcie na ratunek. Nie poradzę sobie sama z tym nieznośnym wujaszkiem.

I pan Adam został ze wszech stron otoczony przez panienki, które ciągnęły go za rękawy, wspinały mu się do ucha, namawiały i krzyczały — tak, że wreszcie odurzony zgodził się na wszystko.

— Byle się odczepić! — rzekł, opędzając się im jeszcze.

— A fe, stryjciu! Jaki niegrzeczny! My przecie damy — zawołała Zosia.

— Jakie tam damy! Muchy uprzykrzone...

— Wszystko jedno — byle swego dopiąć.

Śmiali się wszyscy i mówili wszyscy razem — pytania, odpowiedzi, uwagi, żarty krzyżowały się. Zosia płonęła oczekiwaniem, ciekawością, radością na myśl zabawy, pierwszego balu. Jerzy zbliżył się do niej.

— I cóż? — zapytał.

— Ach, bardzo rada jestem — bardzo! Bardzo! Będzie strasznie wesoło. Byle bym tylko nie siedziała w kącie.

— Postaramy się o to.

— O, dziękuję. Niech pan pamięta. Ale naprawdę — to pan wszystko zrobił. Proboszcz opowiadał, jak pan się kłócił z panem Chańskim. Nie wiedziałam, że pan tak lubi tańcować.

Jerzy uśmiechnął się trochę smutnie.

— O, tak — rzekł ironicznie — ja namiętnie lubię tańcować.

Zosia nie zauważyła jego dziwnego wyrazu, bo w tej chwili Edzio zaczął głośno dowodzić, że trzeba dać jak najtańszą kolację, gdyż taka jest urnowa, że co ze składki zostanie, to odda się na wpisowe dla biednych studentów. Inne głosy zaoponowały i żywo dyskutując towarzystwo całe przeszło na obiad do jadalnej sali.

Przy stole rozmowa się ożywiła. Zjawił się pan Szrott i zaczął się rozpytywać o jakieś wyżyły świeżo do Bijuciszek przywiezione. Jaś chwalił je niezmiernie i opisywał ich zalety, a Jerzy drwił sobie z ich, powiadając, że węchu nie mają, z czego wywiązała się bardzo gorąca sprzeczka. Stąd przeszli do strzelb i nabożów, i już wybrnąć z nich nie mogli.

Aż pan Napoleon Szrott wystąpił z efektowną wiadomością, jakoby najpewniejszą, że państwo B. z Wilna, ogólnie tu znani, idą do rozwodu.

— Co, to młode małżeństwo? — zdziwił się marszałek. Niedawno przecież tu byli, wydawali się tacy zakochani...

— Mówią ludzie, że ona temu winna. Coś pod tym się ukrywa. — I pan Szrott zaczął opowiadać z dwuznacznym uśmiechem jakąś skandaliczną historię.

— Dałbyś pan pokój z takimi plotkami — zgromiła go pani marszałkowa. — Porządna może kobieta, a jak wezmą na języki, to naprawdę do złego doprowadzą.

Raptem Mela zabrała głos.

— A ja znajduję — rzekła — że oni dobrze robią. Rozwód to może jedyny ratunek. Co za racja cierpieć i znosić, kiedy można się rozstać i obojgu będzie lepiej. Owszem, bardzo rozumnie robią.

— Kochanie moje, a przysięga? — rzekła babunia surowo.

Ale Mela nie zważała już na nic. Kwestia praw kobiety była jej ulubionym konikiem, więc zatrzepała żywo, machając białymi rączkami:

— A ja znajduję, że małżeństwo takie jak jest dzisiaj, to najokropniejsze poniżenie dla kobiety. Niewola! Barbarzyństwo! Mężczyznom wszystko wolno, wszystko przed nimi stoi otworem. A te biedne żony muszą ciągle w domu siedzieć, dzieci hodować, chodzić z kluczami — i jeszcze gadają im wечно o głupiej wierności!

Uśmiechy ukazały się na twarzach mężczyzn. Ale znano już do dawna Meli „bziczka” i nie walczo z nią poważnie. Tylko pani Antoniowa, tłumiąc swe oburzenie, spytała:

— Czyżbyś, kochana Melciu, była... emancypantką?

— Ależ, moja ciociu, naturalnie! Każdy, kto nie jest kretynem, kto choć trochę myśli i czuje, musi pragnąć zburzenia tych wszystkich przestarzałych

pojęć i niby moralnych zasad. To się wie! A już kobieta, która by chciała dalej gnić w dzisiejszym upośledzeniu — to przyznam się...

— Oj, zada nam wszystkim od idiotów i kretynów — szepnął Emil. Ale Mela galopowała coraz dalej i nie widziała już wesołości na twarzach

chłopców ani pobłażliwego kiwania głową babuni, ani spuszczonego oczu Teresy Leonii, ani zgorszenia pani Aliny. Ta jednak próbowała jeszcze zaoponować:

— Ależ Melciu, przeznaczenie kobiety jest jej przez samego Boga wskazane i Kościół wyraźnie określa...

— E, co mi tam Kościół! To wszystko są jakieś przedpotopowe teorie, dziś tylko dewotki zwracają na nie uwagę. A kobiety inteligentne, idące z duchem czasu, kpią sobie z tego. Tak, nie ma głupich! Dość już było tej cnoty, tej uległości i tej wierności, minęły czasy patriarchów.

— Ależ i mężczyźni na wierność przysięgają — zauważył Jerzy.

— Przysięgają i nigdy nie dotrzymują.

— Bo duch skory, ale ciało mdłe — rzekł marszałek. I dodał biorąc za rękę siedzącą obok żonę: — Mais on revient toujours a ses premiers amours, nieprawdaż, Anuleczko? — I schylał głowę nisko, i w oczy jej zaglądał.

Ona uśmiechnęła się do niego. A uśmiech ten rozjaśnił jej surową twarz, bił jasnością z szarych oczu i rozlewał się dokoła falą miłości i przebaczenia.

Tymczasem Emil drażnił siostrę.

— Dziwne są te kobiety — chcą równości, a przecie, jako wiecznie małe, słabe istoty, nie rozwinięte dostatecznie potrzebują...

Mela rzuciła się gniewnie.

— Ja wcale nie jestem istota słaba.

— Jak to nie? I fizycznie, i umysłowo słabe jesteście. Ja, jako medyk...

— Emilu! Daj mi pokój! Ja wiem, że mam rację i nikt mnie nie przekona.



— O, to babski argument!

— Przekona cię ten, w którym się zakochasz — rzekł Jerzy poważnie.

— O niedoczekanie! Ja tego głupstwa nie zrobię.

— Oj, nie zaręczaj! Przepowiadam ci, że teraz na pikniku zjawi się jakiś nieznany królewicz — przyjdzie, spojrzy i zwycięży. I panna Mela, jak niepyszna, złoży przed nim rączki i rzeknie: Panie mój i władco! — Jeszcze tańcować będziemy na twoim weselu.

— O, nigdy, nigdy! Nie pójdę nigdy za mąż.

— Więc zostaniesz starą panną?

— A cóż w tym złego? Będę przynajmniej wolna.

— O, Melu!... zaprotestowała Zosia.

— A pewnie. Wolę być starą panną niż mieć jakiegoś nieznośnego męża przez całe życie.

— A ja nie — rzekła Zosia bardzo stanowczo. I miała coś dalej mówić, ale nagle urwała, spuściła głowę i zaczerwieniła się po uszy.

Po obiedzie i po krótkim posiedzeniu w pokoju babuni Zosia zaproponowała przechadzkę po ogrodzie.

— Chodźmy do wiśniaku — zaprojektowano — doskonale są teraz wiśnie. — I młodzież tam się skierowała.

Po chwili wielki kapelusz Zosi, napełniony wiśniami, leżał na trawie, a dokoła rozsiedli się wszyscy i zajadali żwawo.

— O, już nasze haliniskie wiśnie sławne na całą okolicę. I babunia nigdy tych drzew nie wydzierzawia, więc możemy jeść od rana do wieczora.

— Dobra to rzecz. Tylko nie lubię wybierać z nich pestek do smażenia — rzekła Mela — to takie marudztwo!

— Jak wyjdiesz za mąż, to każesz mężowi to robić — rzekł Jerzy. Mela odcięła mu się ostro. I znowu zamilkli. Kilka pszczoł z brzęczeniem latało nad nimi, a w górze kłóciły się i hałasowały ptaki.

— Te psotniki wszystkie wiśnie pozjadają! — zawołał Jaś.

I porwawszy gałąź, rzucił ją do góry. Zatrzepotało, zaświergotało, zaszumiało i wielkie stado ptasząt frunęło w powietrze. Z krzykiem i piskiem usiadły na pobliskich drzewach, i kręcąc główkami, coś gadały do siebie.

— Ot, żebym tak miał pistolet — rzekł Jaś, kładąc się znowu jak długi na trawie — to bym wszystkie powystrzelał.

— O, biedne drozdy, szkoda ich! — ujęła się Ania za ptakami.

— Tego paskudztwa zawsze będzie dosyć. A wie Ania, ja w tym roku, zaraz powiem, zabiłem już... I Jaś podparłszy się na łokciach zaczął prawić Ani o swych myśliwskich przygodach.

Mela z Edziem i Emilem znowu rozpoczęli jakąś naradę balowogospodarczą wciąż sięgając po wiśnie do kapelusza i pestki rzucając poza siebie. Zosia nie wtrącała się do rozmowy, a nawet nie słuchała jej. Dzisiejsze poranne wiadomości, takie ważne i doniosłe, wracały jej na myśl i wobec nich wszystko, nawet piknik, malało i gasło.

Jerzy patrzył. Przed nim pod wielką gruszą siedziały na trawie trzy panienki. I ładnie im tam było, na tle starego ogrodu, gdzie złociły się gruszki na gałęziach i wiśnie się czerwieniły. Siedziały obok siebie, jak trzy królewny z bajki, w zaczarowanym ogrodzie, czekając przeznaczenia.

I podobne były do siebie przez swą młodość, przez tę czystość, co z ich oczu wyglądała, i przez ten znak zapytania, co im tkwił w duszach. A jednak, jak różne! Ania wątła i bezcielesna, żyjąca płomieniem, co gorzał w głębi, jakimś niedościgłym marzeniem, mistycznym życiem nadziemskim, uśmiechała się trochę zmęczonym i zagadkowym uśmiechem, a z oczu jej przeglądała dusza. Mela swój zadarty i ciekawy nosek obracała na wszystkie strony, jakby wietrząc coraz to coś nowego, a czoło marszczyła i brwi ściągała, i ładne swe dziecinne usteczka to wydymała, to składała w podkówkę, to rozsuwała w uśmiechu, dołki sobie głębiąc na twarzy, ruchem głowy odrzucała wciąż spadającą na czoło grzywkę i rączkami bezustannie machała, a z każdego jej ruchu, ze spojrzenia, z uśmiechu tryskało życie kipiące, ogniste.

Przy niej, wyciągnięta na trawie i na łokciu wsparta, Zosia jaśniała jak duży kwiat wśród zieleni, białością i różem cery i złocistą koroną włosów. Oczy jej przymykały się na wpół przed blaskiem nieba i wydawały się spod frędzli rzęs głębsze i ciemniejsze, a spojrzenie ich trochę przymglone miało miękkość aksamitu i wprost pieściło. Usta pełne i czerwone miały połysk i dojrzałość tych wisien, co tam u nóg jej leżały rozsypane, a i tę słodycz mieć musiały. I z jej pięknych kształtów, bujnych a gibkich, z jej rozrzuconych loków, co jak żywe mieniły się w słońcu mnóstwem barw i odcieni, z jej piersi dziewiczej kryjącej się skromnie pod fałdami bluzki, z jej białości i z tych róż rozsypanych na policzkach — szło wołanie jakieś nieświadome i tajemnicze: miłości! miłości!

A liście jabłoni i grusz drżały nad nimi, rzucając cienie ruchome i blade i czasem promień słońca przez nie wystrzelił i musnął włosy lub popieścił twarz. Trawy i owoce wydawały woń słodką, woń rozkwitu i dojrzałości. Brzęczały pszczoły i ćwierkały wróble. W głębi, jak zwierciadlana tafla, leżało w słońcu ciche jezioro.

Trzej chłopcy opowiadali coś z ożywieniem przerywając sobie w pół słowa. Emil zapalił papierosa i wypuszczał z ust kłęby sinawego dymu, który unosił się chwilę nad głowami i ginął w przestrzeni.

A Jerzy wciąż patrzył przed siebie milcząc. Słyszał słowa urywane, ale treść pozostawała mu obca. Było mu smutno, ale zarazem błogo. Zdawało mu się, że jego dusza, w formie jakiejś przezroczej mgły, wychodzi z niego i kładzie się do stóp tej dziewczyny złotowłosej, i że rośnie, rośnie i całą ogarnia, otacza, chłonie i łączy się z nią w wielkim wołaniu: miłości! miłości!

A tylko jego ciało siedzi tu, o jabłoń oparte, nieruchome, bezmyślne. I ten stary ogród, z siedzącymi w nim trzema dziewczycami, wydał mu się teraz miejscem nie istniejącym w rzeczywistości, ale tylko w jakimś bajecznym świecie, w jakiejś innej, lepszej egzystencji, i wiedział, że mu tam w tamtym świecie wolno siedzieć w starym ogrodzie i patrzeć na trzy siedzące w trawie

dziewczęta i kłaść przed tą złotowłosą swą duszę w postaci lekkiej mgły, ogarniać ją i łączyć się z nią w wielkim wołaniu: miłości! miłości!

Że w tym bajecznym świecie ona, czekając przeznaczenia, jego oczekuje, jego pragnie, ku niemu się nachyla, jak róża ku motylowi, który jest jej kochankiem.

I nagle z głębin niezbadanych jego mózgu powstały słowa: „Śmierć i żona od Boga przeznaczona”. Śmierć i żona! Jakie zestawienie...

Śmierć i żona! Dźwięczały mu w uszach te sylaby, jak uporczywe muchy nie wiadomo skąd się pojawiające. Słyszał je wszędzie... brzmiały w powietrzu... Śmierć i żona... od Boga przeznaczona...

Naraz zrobił się ruch. Towarzystwo podnosiło się z trawy.

— Zjedliśmy już wszystkie wiśnie—mówiła Mela. — Nie mamy po co tu siedzieć dłużej.

— Przejdźmy się nad jeziorem — rzekła Ania — a potem wrócimy na werandę.

— Wkrótce będzie pora jechać — dodał Emil.

Ruszyli. I Jerzy wstał leniwie, marzenia i widzenia pierzchły, a przy nim stanęła Zosia i mówiła:

— Co panu jest dzisiaj, panie Jerzy? Mina nieszczęśliwa aż strach! Milczenie grobowe. Pan się nudzi z nami, co?

O, gdzież był ów ogród zaczarowany i ta królewna złotowłosa, którą mu tam wolno było pragnieniem swym ogarniać, i która się ku niemu skłaniała, jak róża ku motylowi! Teraz stała przed nim panna z dobrego domu, wykwiwna i posażna, której myślą nawet tknąć nie miał prawa. Więc odparł żartobliwie:

— Skądże to raptem u panny Zofii tyle łaski, żeby aż na moją minę zwracać uwagę? Cóż to za atak dobroci?

— A skąd to u pana tyle złośliwości, żeby mnie złem za daferę płacić? Ja się troszczę o niego, jak o kogo dobrego, a on mi tu mówi impertynencje. O, bardzo ładnie! Gniewam się na pana.

I odwróciła głowę niby z gniewem, ale śmiała się i spod spuszczonej powiek patrzyła na niego. A była taka śliczna w tej chwili, taka figlarna i ponętna, że jego odstąpiła całkiem przytomność i rzekł próbując jeszcze żartować:

— Proszę mi spojrzeć w oczy. Czy pani się gniewa naprawdę?

— A cóż pan myśli! naprawdę.

I podniosła na niego oczy, w których błyszczał śmiech. A on porwał jej obie ręce i patrzył na nią. Zrazu udawała, że się gniewa, potem zaczęła się śmiać powtarzając: — Niech pan mnie puści! No..., proszę puścić... — I kręciła się, i tupiała jak dziecko nogami. Ale on nie puszczał i wpijał w nią wzrok coraz ostrzej, coraz namiętniej... Aż i u niej śmiech urwał się na ustach, a na twarz zaczął występować rumieniec i oblewał jej policzki, czoło, uszy — stała z oczami utkwionymi w jego oczach, zawstydzona, oniemiała. On czuł, że tego za wiele, ale tak mu było rozkosznie trzymać te dwie rączki w swych dłoniach i oczy wpijać w jej oczy, i czuć się w tej chwili panem jej rumieńców i wzruszeń, i czuć, że ta krew gorąca, co ją oblewa, jest na jego rozkaz wywołana... Puścił ją wreszcie, a ona, zamiast wyrwać się i biec za tamtymi, szła obok niego milcząc, niespokojna jakaś i zdziwiona.

Jemu zaś nagle wstyd się zrobiło samego siebie i szedł również milczący, ze spuszczoną na piersi głową.

— Idiota jestem! — powtarzał sobie. — Głupiec! Baba! Kompromituję się jak błazen!

A tymczasem na ścieżce ukazał się pan Adam.

— A ja was szukam — rzekł trzebaż coś ułożyć. Jeżeli chcecie, abym jechał zapraszać, to chyba tak zrobimy: niech jeden z was zostanie tu na noc, a jutro ruszymy do sąsiadów.

— Ja nie mogę — rzekł Edzio. — Jutro z Melą jedziemy do Wilna. Trzeba muzykę zamówić — to i owo kupić.

— Ja też nie mogę za nic — rzekł Emil.

— To ty zostań, Jerzy.

— Ja? Kiedy ja miałem jutro...

— Nic nie miałeś... Trzeba, żeby który z was został. Sam nie pojedę przecie.

— Niech Jerzy zostanie, to najlepiej.

— Niech i tak będzie. Zostanę. — I mówiąc to Jerzy uczuł wielką radość, a zarazem rzekł sobie w duchu: Jestem idiota!

Na tym więc stanęło. Mela z braćmi wyjechali po wczesnej wieczerzy, a on pozostał. Wieczór zszedł cicho pod światłem lampy. Dienne sprawy były ukończone, ostatnie rozporządzenia wydane i marszałkowa zasiadła w rogu kanapy. Przy niej pan Adam rozłożył na stole pasjansa. Pan Szrott z marszałkiem grali w szachy przy małym stoliczku, a panie przyniosły robótki ręczne. Ale Jerzy poprosił Zosię, aby zagrała i ona chętnie się zgodziła. Przeszli więc oboje do saloniku, gdzie stał fortepian, i ona grać zaczęła. Nie była to muzyka artystyczna, ale jednak coś więcej nad zwykle panięńskie brzdąkanie. Jerzy, wglębiony w fotel, słuchał z rozkoszą. Widział ręce przesuwające się po klawiaturze i postać jej całą lekko pochyloną naprzód. Grała sonatę Beethovena, a muzyka ta, zdrowa i silna, znać stosowna była do jej własnego usposobienia i przemawiała głęboko do jego duszy. Czuł się prawie szczęśliwy słuchając jej i patrząc na Zosię.

W niewielkim pokoiku cicho było i przytulnie, a przez okno leciały zapachy lewkonii i rezedy. Noc letnia niosła upajające powiewy, jakieś dreszcze i szmery wstrząsały powietrzem, wiatr wydymał firankę i muskał skronie Jerzego. A nutki biegingy jedna za drugą, wiążąc się w smutne zawodzenia, albo w żartobliwą sprzeczkę, lub w poważne i silne akcenty.

Było mu dobrze. Tak dobrze, że zaczął sam z siebie drwić. — Głupcze ty jeden — mówił do siebie — wlałeś w cudzą skorupę i cieszysz się. Czy tu twoje miejsce? w dostatnim obywatelskim domu, u boku pięknej damy, z miną amoroso. Tobie zgiąć kark i pod jarzmem chodzić, zakasać rękawy i pracować — ruble ciulać, a nie wyciągać się wygodnie w fotelu słuchając muzyki. Tobie, gdy zechcesz rozrywki, to w knajpie siedzieć, dziewczki uliczne ścisnąć, a nie podnosić oczu na skromną i czystą pannę... Nie dla ciebie ona, idioto, nie dla ciebie, głupcze! — A im bardziej drwił z siebie, im głębiej wbijał sobie strzałę w serce, tym gwałtowniejszym protestem serce to się wzdrygało. Nie, nie chciało ono rozrywek brudnych ani taniej miłości, wstrętem wzbierało na wspomnienie tamtych, ich bezwstydných twarzy, ich cynicznych słów... I ze zgrozą powtarzał sobie: — Do nich należę, do nich powrócę prędzej czy później, tam jest mój świat, tam jestem na swoim miejscu. Nie tu! Nie tu! — I zdawało mu się, że jakaś nieprzeparta siła, fatum nieubłagane ciągnie go tam w dół. A on przeciwko prądowi opiera się jeszcze i woła: — Nie, nie chcę! — I wszystkimi władzami swymi, całą istotą, całą duszą rwie się ku tej atmosferze jasnej i czystej, ku temu kręgowi światła, jaki dokoła siebie roztacza duch cnotliwej kobiety, ku temu ognisku rodzinnemu, gdzie ona panuje i święte odprawia obrzędy. — Ach, mieć dom własny i własną ukochaną kobietę, to już wszystko inne na świecie musi wydawać się lekkim i łatwym! — myślał Jerzy, patrząc na złotą głowę Zosi. A wtem, znowu, jak przedtem w ogrodzie, w głębokości jego mózgu powstały słowa: Śmierć i żona od Boga przeznaczona....od Boga przeznaczona...?

— A pan pamięta Pastorałe Scarlattiego? — spytała Zosia skończywszy sonatę. — Kiedyś, dawniej, grałam to panu, ale bardzo źle. Zagrać teraz?

— Owszem, proszę.

I znowu pobiegły nutki jak perełki w przestrzeń, zabrzmiały fujarki, zaśpiewali pasterze i w słońcu, na łące, rozpoczęły się tany.

Jerzy uspokoił się i słuchał już tylko melodii płynącej spod jej palców, patrzył na połyskujący w świetle warkocz, wciągał z rozkoszą powietrze nasycone zapachami kwiatów i wilgocią wieczoru. Było mu dobrze, cicho i słodko.

— Dosyć już — przerwała Ania wsuwając głowę przez drzwi — babunia dobranoc mówi.

Jakoż marszałek i marszałkowa szli już do siebie i reszta towarzystwa rozchodziła się także po swoich pokojach.

— Za parę dni jedziemy do Wilna — rzekła pani Alina do Jerzego. — Może ma pan jakie polecenie do ciotki? Mam zamiar ją odwiedzić. Ale, a propos, gdzie mieszka teraz?

— O, zawsze w tym samym mieszkaniu, na Skopówce, dom Pilikowicza.

— Dobranoc.

— Dobranoc — mówiono sobie wzajemnie — i każdy szedł w swoją stronę, panienki na górę, pani Antoniowa i Teresa Leonia do swoich pokojów, a pan Adam z Jerzym do oficyny.

A stary Grzegorz gasił lampy, zamykał na klucz drzwi od ganku i po chwili dom cały pogrążył się w ciemnościach. Tylko nad nim szumiały topole, przelatywały ptaki nocne — i gwiazdy mrugały.



## XI

Panie Halickie zamieszkały, przybywifey do Wilna, w hotelu Wigury. Był to odwieczny zajazd, dziś zwany hotelem, posiadający cechy odległej starożytności: ogromną bramę wjazdową, Żyda faktora i Żydówkę faktorkę, wielkie stajnie dla przybyłych koni, samowar podawany na stołku pod piecem, dziewczkę do posługi, rozkochaną, a często i bosą, i gospodynię dobroduszną i uśmiechniętą, u której można było za dwa złote dostać obiad wyśmienity. Mieszkańcy Haliniszek zawsze tam się lokowali podczas pobytu w Wilnie. Pan Adam lubił porządki, czy też nieporządki Wigury, i zawsze uszczęśliwiał panią Wigurzynę twierdząc, że w całej Europie nie znaleźć podobnego hotelu. Zosi i Ani ani się śniło, że gdzie indziej mogło być wygodniej. Tylko pani Alina nie zachwycała się bynajmniej tą affreuse auberge, a na faktorów, na służbę i na samowar pod piecem patrzyła wprost pogardliwie. A przed położeniem się do łóżka ze świecą w ręku starannie oglądała ściany i wszelkie szpary, mówiąc że w tym okropnym kraju on ne sait jamais...

Noc jednak przeszła spokojnie. Nazajutrz od wczesnego ranka Teresa Leonia wyszła do kościoła, a do pani Antoniowej przyszedł rządca jej domu, Pietkiewicz. Nastąpiła długa narada przy rannej herbacie przerywana często ukazywaniem się Gołdy faktorki, która zaglądała wciąż do pokoju i pytała:

— Jaśnie pani, może korunki... wstążeczki, hafty potrzeba?... a może kaloszy?... Perkaliki mam piękne, ostatni fason... Dla jaśnie panienki kupić trzeba... Nu, proszę dać zarobić... Odekołon mam prawdziwy...

Pomimo odradzań pana Adama, dom pani Aliny został przeznaczony do sprzedaży jak najprędzej...

— Moja to własność, więc nikt nie ma prawa się wtrącać — mówiła do siebie pani Alina i postanowiła nic nikomu nie mówiąc, działać na własną rękę. Pietkiewiczowi poleciła, aby szukał kupca i pomówił z faktorami.

Przy tej sposobności dowiedziała się niemiłej nowiny, że dom mocno jest już zrujnowany. Dwa lata temu potrzebował już gruntownego odnowienia, ale pieniędzy nie było, a raczej pieniądze były gdzie indziej potrzebne, więc załatano byle jak, i tak zostało. Toteż porządniejsi lokatorzy wyprowadzili się zupełnie i wypadło ceny mieszkań obniżyć. Teraz i za tę cenę nikt brać nie chce i dwa największe mieszkania stoją od św. Jerzego pustkami.

Pani Antoniowa z niezadowoleniem słuchała raportu swego plenipotenty. A gdy skończył, rzekła trochę kwaśno:

— Tym bardziej śpieszyć należy ze sprzedażą, bo widzę, że wkrótce same tylko koszta przynosić mi będzie to nieznośne domisko.

Pan Pietkiewicz wprawdzie przekładał, że pora do sprzedaży jest całkiem niestosowna, że lepiej by było przed wiosną szukać kupca, że teraz latem żadnych interesów nie można prowadzić, ale pani Antoniowa przerwała oświadczeniem, że woli tanio sprzedać, byleby się raz pozbyć tego kłopotu, a mieć pieniądze. I stanęło na tym, że tegoż wieczora przyjdzie Pietkiewicz z faktorem Guldenem i że pomówią razem o interesie.

— No, przecież wyszedł ten diabeł nieznośny! — westchnęła pani Alina po zniknięciu Pietkiewicza. — Możemy wyjść. Zosiu, mon enfant, prędko, bierzmy kapelusze, może jeszcze trafimy na mszę do Ostrej Bramy.

Ale okazało się, że jest już dobrze po jedenastej, więc o mszy nie można było myśleć — i obie panie ruszyły po sprawunki.

Zosia, w wybornym humorze, gawędziła nieustannie nie zważając na zasepienie matki. Wszystko ją bawiło.

Wybrana suknia miała być cudna! — wprost marzenie! Biała, leciuchna jak pajęczyna i na jedwabnej, szeleszczącej podszewce. Nigdy w życiu nic równie pięknego nie widziała!

Gdy wróciła do hotelu na obiad, nie mogła wstrzymać się od wylania swych zachwyty przed Terenią. Ta słuchała uprzejmie, ale widać było z jej oczu zapatrzonych w dal, że suknia, pantofelki, materiały i mody nic a nic ją

nie obchodzą. Myśl jej gonila gdzieś w zaświaty i tylko przez grzeczność mówiła:

— Bardzo ładnie! To będzie z pewnością ładnie.

Zgodziła się jednak najchętniej pójść z Zosią po obiedzie do miary, bo pani Alina czuła się zmęczona chodzeniem po tych okropnych trotuarach i chciała trochę wypocząć. O szóstej miały się zejść u panny Narguttówny.

— Ja tam chyba nie zajdę — rzekła Teresa Leonia. Zosię odprowadzę, a sama tu wrócę.

— Ach, Therese Leonie, czyby nie było lepiej, abyś też z nią pomówiła o naszym...

— Nie. Po cóż? Mama przecie wie, co powiedzieć. Ja wcale tam nie jestem potrzebna — odparła Teresa Leonia. I wyszły.

Panna Paulina Narguttówna zajmowała od lat dwudziestu mieszkanie w jednym ze staruch domków na Skopówce. Był to dom dwupiętrowy, wąski od frontu, pomalowany na różowy kolor, z żółtymi gzymsami u okien. Przez ciemną bramę wchodziło się na podwórko, pośrodku którego była pompa, a obok suchotniczy kasztan. Do wyższych pięter prowadziły galerie drewniane, biegnące wokoło ścian, i zewnętrzne schody. Na tych galeriach każdy z mieszkańców urządzał sobie letnie posiedzenia, nawet gospodarskie czynności tam załatwiał, więc stały tam krzesła i małe stoliczki, wazony z pokojowymi roślinami, deski do prasowania, balie i ceberki — nawet na rozciągniętych od słupa do słupa sznurach suszyła się bielizna, rzucając śnieżne plamy w mrok podwórkowy. Pod pompą kwakały kaczki, szukające trochę wilgoci, parę psów i kilkoro dzieci bawiło się hałaśliwie. Z otwartych okien dochodziły najrozmaitsze odgłosy — turkotała maszyna do szycia, gwizdał szpak starego kawalera z frontowego mieszkania, ze strasznie rozbitego fortepianu płynęły gamy, ktoś gdzieś siekał mięso na kotlety. W górze, jak oprawione w ramę zrudziałych dachówek, gdzieniegdzie kominem przecięte, leżało niebo szafirowe, głębokie.

— Znasz dobrze pannę Narguttównę? — spytała Teresa Leonia, wchodząc na podwórze.

— O, tak, zawsze jak jesteśmy w Wilnie, to ją odwiedzamy. Nawet babunia była kiedyś u niej. I ona przyjeżdżała do Haliniszek, jak Jerzy i my chorowaliśmy na koklusz. Ale to już dawno.

— A trafisz do jej mieszkania, to cię tu zostawię? Mamę pewnie już zastaniesz.

Gdy Zosia zadzwoniła do drzwi panny Pauliny, z głębi mieszkania doszedł ją stuk odsuwanych krzeseł, potem dziecinne głosy i tupotanie nóg po podłodze. Drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki, chudy gimnazjalista.

— Panna Narguttówna jest w domu? — spytała Zosia.

— Nie ma. Ale zaraz przyjdzie.

I nie czekając dłużej, zawrócił do pokoju na prawo, zostawiając Zosię własnej zaradności. Co tu robić, myślała, gdzie ja teraz mamę znajdę!

Z pokoju na prawo doszedł ją głos dziecinny: Homo, hominis, homini, hominum...

— Hominem — poprawił gimnazjalista.

— Aha — hominem, homo, homine.

— Tam ktoś lekcję odprawia — pomyślała — a ja? Czy mam czekać? Może mama tu była i poszła? — Ale w tej chwili z lewej strony drzwi się otworzyły, wyjrzała z nich niemłoda kobieta, Zosia zbliżyła się do niej.

— Proszę pani, czy przychodziła tu przed chwilą jedna pani w czarnej sukni, miałyśmy się spotkać...

— Co? Czego? — spytała kobieta nadstawiając ucho. Zosia zaczęła głośniej:

— Nic nie słyszę, moja pani — odparła stara niecierpliwie — jakaś pani? Żadnej pani tu nie było, a zresztą czy ja wiem, panna Narguttówna zeszła tylko na chwilę na dół do chorego, zaraz powróci. Niech pani siada i czeka.

Zosia postanowiła poczekać.

Wesoło było i jasno w pokoju, do którego weszła. Otwarte okna wpuszczały masę światła i powietrza, bo wychodziły one ponad dachami innych domów na jakieś obszerne podwórze, na plac katedralny i na Górę Zamkową. Wielki szmat nieba przez nie zaglądał. Duży pokój, oklejony jasnym obiciem, zawieszony był sztychami, fotografiami, widokami z różnych stron kraju. Meble były stare i zniszczone, ale tak starannie wytrzepane i tak jakoś mile ustawione, że wyglądały zachęcająco i gościnnie. Pełno książek leżało na stołach, na półkach, a z każdego kąta wyglądały wielkie pęki świeżych kwiatów, przeważnie polnych i zieloności. Firanka przedzielała pokój na dwie części.

— Panna Narguttówna zaraz przyjdzie — powtórzyła pani i wróciła do swej roboty pod oknem. A Zosia usiadła i czekała.

Zza sionki dochodziły głosy dzieci, deklinujące w dalszym ciągu jakieś łacińskie wyrazy. Potem krzesła się poruszyły, jakiś ruch zrobił się koło drzwi, śmiechy urywane. Do sionki ktoś wchodził, zaszeleściły jedwabie, drzwi otworzono i zamknięto. Jakiś głos kobiety odezwał się:

— Wypił pan mleko, panie Bronku? O tam, na szafce, stoi w dzbaneczku. Jakaś niewyraźna odpowiedź, potem brzęk szklanki o spodek, aż wreszcie drzwi się otworzyły i weszła pani Alina, a za nią niewielka, drobna, stara panna. Włosy miała już zupełnie siwe i gładziutko nad czołem zaczesane, ale twarz zdobił jeszcze rumieniec i blask czarnych oczu tak jasny i wesoły, że nadawał jej cechę młodości. I dziwne było to połączenie siwizny i zmarszczek ze świeżością i rumieńcami prawie dziecięcymi, z wyrazem niewinności bijącym z tych wielkich oczu i z żywością ruchów, która ją czyniła podobną do ptaszka. Ubrana bardzo skromnie, w ciemną suknię i biały kołnierzyk, jaśniała pogodą i dobrocią, weselem jakimś wewnętrznym i dziewiczą czystością pod koroną białych włosów.

— O, Zosia! — Zawołała od wejścia. — Kochana! Jakże? Czy dawno już tu? — Przywitały się i panna Paulina przedstawiła towarzyszkę spod okna,

niejaką panią Łowiczową, która okazała się głuchą zupełnie, schorowaną i nieszczęśliwą wdową, przybyłą chwilowo do Wilna dla interesów majątkowych.

— Strasznie biedna! — szepnęła panna Paulina — nikogo nie ma na świecie. A musi się jeszcze procesować z siostrą. Tu przyjechała, a że teraz pokoik Jerzyka wolny, więc zamieszkała u nas chwilowo... Wkrótce pojedzie.

— A ty, kochana Paulinko, zawsze w tym samym mieszkaniu? — spytała pani Alina, aby rozpocząć rozmowę.

— Ja, a jakże... Już nawet i nie wyobrażam sobie, abym mogła gdzie indziej... Jerzyk ciągle projektuje, że kiedyś będzie miał swój dom i weźmie mnie do siebie. Ale kiedy to będzie!

Tu westchnęła, oczy jej zaszyły mgłą, jakby łzami, ale zaraz roześmiała się i dodała:

— Tymczasem tu mnie bardzo dobrze, znają mnie wszyscy w całym domu i ja ich wszystkich znam, i dobrze, jak wśród swoich.

— Taki ładny widok! — rzekła Zosia, spoglądając przez okno.

Ale panna Paulina zakrzętnęła się za firanką, zastukały talerze i wybiegła mówiąc:

— Zostańcie, panie kochane, na herbacie. Dobrze? Zaraz będzie... Ot, tak dobrze. Proszę zdjąć kapelusze i rozgościć się, a ja zaraz...

Znikła za drzwiami, a pani Antoniowa rada była z tego zaproszenia, bo były sprawy, o których chciała dłużej pomówić z panną Paulina. Tymczasem spróbowała zawiązać rozmowę z panią Łowiczową, ale gdy to okazało się rzeczą niemożliwą, zamilkła i czekała. Zosia oglądała obrazy na ścianach i książki rozrzucone po stołach. Były one najrozmaitszej treści.

Widać było, że najróżnorodniejsze prądy i myśli przepływały przez to mieszkanko, co się otwierało szeroko ku słońcu i podmuchom zewnętrznym.

— Ot, i herbata gotowa będzie w tej chwileczce — rzekła panna Paulina, wbiegając znowu do pokoju. — Tylko nakryję stół... — To mówiąc, przysuwała

stolik do kanapy, ustawiała talerzyki, przynosiła cukier, bułki w koszyku, ser i masło, i wielki spodek konfitur, krzątała się leciutko, fruując z kąta w kąt.

— Zaraz wszystko będzie. Tak się cieszę, że panie kochane dłużej zatrzymam i o Jerzyka rozpytam...

W chwilę potem siedziały już we cztery za stołem popijając herbatę. Rozmowa się ożywiła. Panna Paulina ciekawa była wszystkiego. Słuchała z zajęciem opowiadania o pikniku, o Bijuciszkach i Haliniszkach, nawet o toaletę Zosi pytała szczegółowo, cieszyła się, że tańcować będą.

— A Jerzyk? Jakże, rad? Cieszy się z zabawy?

— Jerzyk to teraz prawdziwy pan Jerzy — rzekła Zosia. — Już i mówić inaczej nie wypada.

— A jakże. Tak, tak, już on dla całego świata mężczyzna dorosły, ale dla mnie, to zawsze Jerzyk.

I znowu czarne oczy pokryły się mgłą, a na twarzy jej przemknął uśmiech rozczulenia.

— A twoja starsza? — spytała. — Terenia ma na imię, tak? Gdzie ona?

— Teresa Leonia — tak. Ona jest obecnie tu w Wilnie. Przyjechała z nami chcąc skorzystać z okazji i przystąpić do sakramentów świętych. Ale, kochana Paulinko, a propos. Chcę właśnie pomówić z tobą o... jednej ważnej sprawie...

— Pomówić... dobrze, kochana! Cóż takiego? Słucham... Ale wprzód należy wam jeszcze herbaty.

— Ja! Ja należy! — zawołała Zosia, i pobiegła ze szklankami do kuchenki, gdzie stał samowar.

A tymczasem panna Paulina nachyliła się do pani Antoniowej:

— Bardzo wyładniała twoja Zosia — rzekła. — Cóż to za śliczna figura! Jakie oczy, prawdziwe niezapominajki! A włosy!...

— Tak, rzeczywiście — sama to przyznaję — przystojna jest. A co najważniejsze, to że dotąd bardzo mało myśli o swej powierzchowności.

— Bo dobrze wychowana. Ach, cóż to za rozumna kobieta — ta kochana pani marszałkowa! Jak ona umie wszystkiemu podołać... To wzór dla wszystkich! A jakże...

Tu Zosia powróciła z herbatą, a pani Łowiczowa wstała i rzekła:

— Dobranoc. Pójdę już do siebie. Ale niechże pani nie zapomni przepisać mi tę prośbę, będzie mi jutro potrzebna.

— Przepiszę dziś jeszcze — jakże! Przepiszę z pewnością. Dobranoc.

— Dobranoc.

Wyszła pani Łowiczowa, a Zosia rzekła:

— Ona nie bardzo miła, ta pani.

— Tak, trochę kapryśna. Ale cóż to dziwnego? Taka nieszczęśliwa! Samotna, męża straciła, dzieci nie ma. A teraz ten proces... Biedna bardzo, bo jeszcze i szczęścia nie ma do ludzi, nikt jej nie lubi. Nawet na mnie napadają, że ją przyjąłem... Ale cóż by ona zrobiła? Nie ma za co mieszkać w hotelu i płacić.

Zamilkła. I przez chwilę była cisza. Szarzało już na niebie i powoli mrok przenikał powietrze, pochłaniał jasność, osypywał świat szarym popiołem i zasnuwał ziemię i niebo szarą krepą widzom. Przez otwarte okna powietrze wpadało chłodniejsze.

Panna Paulina przerwała milczenie:

— Ach, tak się cieszę, że was widzę! Nie wiesz, Alinko kochana, jaką mi przyjemność sprawia każde spotkanie z ludźmi, których znałam dawniej. A nasza znajomość taka dawna!

Uniesiona wspomnieniami mówiła o wspólnych znajomych i o czasach, gdy serca łączyły się zapalem i ramię przyciskało się do ramienia i ogniem płonęły głowy, a każdy gotów był na wszystko. Czasy te minęły — i dzięki Bogu, że minęły — ale ten, kto je przeżył, nie zapomni o nich nigdy. A ci ludzie! Tylko takie chwile mogą takich ludzi rodzić. Leliwa, Konrad, Muciański, panna Fabianna, Paweł i Antoni Dubowscy — i tylu, tylu innych!



Co się też dzieje z tymi, którzy jeszcze żyją? A wiesz — rzekła — siostra Leliwy, Marylka, mieszka tu. Czasem zachodzę do niej. Biedna, sparaliżowana, w bardzo smutnej pozycji...

Pani Alina nie odpowiedziała nic.

Znowu nastąpiło milczenie. Już półcień ogarnął cały pokój, sprzęty zwały się w nieokreślone kontury. Tylko dwa kwadraty okien jaśniały białawym światłem i płynął z nich orzeźwiający chłód. Na dzwonnicy katedralnej wybiły jakieś kwadranse.

Pani Alina poruszyła się.

— Ah, mon Dieu, my tu gwarzymy sobie, a o interesie moim zapomniałam. Późno już i wkrótce wracać trzeba.

— Słucham, mów kochana — odparła panna Paulina odrywając wzrok od dalekiej przestrzeni powietrznej poza oknem.—Ale może lampę zapalić?

— Nie... nie! Tak lepiej.

Interes był taki: chodziło o zwerbowanie amatek do nowego zakonu. Aby rozpocząć swe istnienie, musiały one przecie ukazać się w liczniejszym gronie, a dotąd były tylko dwie, matka z córką i jeszcze jedna panna Malkiewiczówna, od dawna przebywająca w Rzymie. Ale panna Narguttówna jeszcze nic nie wiedziała o tym zakonie, więc musiała pani Alina opowiedzieć od początku jego historię. Panna Paulina słuchała uważnie, nie przerywając ani jednym słowem.

— Otóż — mówiła na zakończenie pani Antoniowa — chodzi nam bardzo o to, aby wstępowały do nas Polki wykształcone, z dobrych domów, mające stosunki, des ames distinguees enfin — to by prędzej nabywało nasze zgromadzenie rozgłosu, a przez to samo stałoby się pożyteczniejsze Kościołowi. Myślałyśmy, że nam w tym zechcesz dopomóc. Tu w Wilnie tyle jest osób bez celu spędzających życie, oddanych co prawda pobożności, ale to pobożności... takiej... comment vous le diraije?... parafialnej, pospolitej, une petite pieté de bonnes femmes. Gdyby takie poznały nasz zakon, to by z

pewnością uczyły ku niemu pociąg. Zrozumiałyby, że dopiero tam, w Rzymie, u samego źródła duchowego życia posiadają w pełni łaski i słodycze, których Bóg udziela swoim wybranym, że tam odetchną całą pierśią tą świętą atmosferą, że się staną podporą Kościoła świętego i że własną duszę tam najłatwiej uświęcą i udoskonalą, a same używać będą szczęścia. Gdyby więc podsunąć tę myśl tym, co tu siedzą beczynn timer, gdyby je namawiać... Ty, kochana Paulinko, masz tu takie liczne stosunki, że pewnie mogłabyś nam być bardzo użyteczna.

Pani Antoniowa urwała i przez chwilę zdawała się czekać odpowiedzi, ale gdy ta nie nadchodziła, znowu mówić zaczęła, nachylając się ku starej pannie:

— A może byś i sama do nas się przyłączyła, kochana Paulinko? Przecież niegdyś myślałaś o poświęceniu się życiu duchowemu— nieprawdaż? Może teraz ta chwila nadeszła? Nasz zakon właśnie potrzebuje takich jak ty, wykształconych, dzielnych, poświęcających się...

— Ach, kochana! Co ty mówisz... Jakaż ja wykształcona albo dzielna! Ot, stary grat, nic więcej! Aleja myślę nad tym, co opowiadałaś. I widzisz..., tak... tu panna Paulina zatrzymała się, jakby szukając słów — widzisz, powiem szczerze, życie zakonne, piękna rzecz, pewnie... Ja sama kiedyś, rzeczywiście, myślałam.

Zatrzymała się trochę onieśmielona tym, że musi sprzeciwiać się miłym gościom i że nie może zgodzić się z nimi, ale czuła, że musi mówić dalej:

— Wiesz, przepraszam, kochana, ale powiem wszystko szczerze, a jakże: więc, jeśli mnie kto spyta o radę, zawsze odpowiem: zostań! Tak, życie zakonne piękna rzecz i ja też Pana Jezusa kocham z całego serca, ale jednak, gdy posłyszę, że ktoś pojechał sobie za granicę i tam wstępuje do zakonu, to mi zawsze przykro. Któż nam tu broni służyć Panu Jezusowi, a przynajmniej wśród swoich, dla swoich, co? A wyjechać to tak, jakbyś uciekał. Mówisz, że tu

dużo bez zajęcia. Ach, nie! Każdy ma co robić, aż nadto, aż nadto. Byleby tylko chciał...

— Tu, kochana Paulinko, nie ma warunków umożliwiających życie zakonne, więc dusze powołane przez Pana muszą szukać właściwego dla siebie miejsca. Gdzież właściwsze, jak w Rzymie?

— Nie, widać, że już ja tego nie zrozumieję, za głupia jestem na to. Niech tam inni robią, jak im się zdaje, a jakże! A ja przy swoim zostanę i powiem szczerze, nie gniewaj się kochana, że nie będę namawiać nikogo. Nie! Ot, gdyby u nas, chociażby takie szarytki... to i owszem. Ale gdzieś w Rzymie! Nie, kochana, nie mogę.

Pani Alina nic nie odpowiedziała i siedziały znowu wszystkie trzy w milczeniu.

— Jaka ona miła — myślała Zosia. — I według mnie, to ona ma rację. Jaka tam będzie korzyść z tego mamy zakonu, to jeszcze nie wiadomo, a zawsze to rzecz niepewna, tu zaś wytknięte obowiązki.

Przesunął jej się przed oczami zrujnowany Biały Dwór i dzieci zdziczałe, nie umiejące pacierza, i wyzysk robotników, widziała znowu twarz staruszka pod bramą i te dwie łzy spadające mu z oczu na siwą brodę.

Ale pani Antoniowa wstała i zaczęła się żegnać. Ton jej był chłodniejszy trochę, ale zawsze grzeczny. Mówiła, że dłużej zabawić nie może, bo czekać na nią miał rządca z kupcem na dom, że już późno i iść musi.

— Dziękuję, że byłaś kochana. I nie gniewaj się, aleja stara i głupia, więc może nie rozumiem, a jakże! A wam życzę wszystkiego najlepszego — mówiła panna Paulina i ze świecą w ręku przeprowadzała je na ciemną galerię i świeciła jeszcze, gdy na dół schodziły po stromych schodach.

Pani Alina była jednak nierada ze swej wizyty. Przez całą drogę nie mówiła nic, ale, znalazłszy się z Teresą Leonią sam na sam, opowiedziała jej wszystko i zakończyła uwagą, że ta biedna Paulinka strasznie się postarzała pod każdym względem.

— Elle a baisse sous tous les rapports — zawyrokowała. — Dziś jest to egoistka, zacna osoba, zapewne, ale nic więcej, liczyć na nią nie możemy.

Nie było czasu na dłuższą analizę charakteru panny Narguttówny, bo oznajmiono, iż Pietkiewicz z kupcem Guldenem czekają.

Zosia tego wieczoru, pomimo całodziennego zmęczenia, długo zasnąć nie mogła. Położyła się wcześniej, ale leżała z otwartymi oczami, patrząc na pokój oświetlony płonąca na ulicy latarnią, słuchając głosu matki i Pietkiewicza i chrapliwej mowy Guldena albo turkotu z rzadka przejeżdżającego powozu i myśląc... myśląc... Przez ostatnich kilka dni ile wrażeń, ile zmian, ile pojęć nowych! Tu piknik, suknia balowa, tu panna Narguttówna, taka dobra, wesoła i jeszcze młoda, pomimo swych siwych włosów i taka jakaś pociągająca! Tam znowu ta biedna Ania, która z powodu nieszczęśliwej miłości chce wstąpić do klasztoru. A mama ze swoim zakonem i podróż do Rzymu. Boże, od tego wszystkiego jakże łatwo dostać pomieszania zmysłów.

— Trzeba się nad jednym porządnie zastanowić — rzekła sobie Zosia i wyciągnawszy się na wznak założyła ręce pod głowę, utkwiała oczy w jasną kratę na suficie i postanowiła nie myśleć o pikniku, ale tylko o Rzymie. Lecz w tejże chwili doszły ją z drugiego pokoju słowa matki:

— Na dwadzieścia osiem tysięcy zgadzam się, ale pod warunkiem, że będą mi wypłacone zaraz i że wszelkie koszta należą do kupującego.

— A ja pani dobrodziejce — odpowiadał przez nos Gulden — dam teraz dziesięć tysięcy, drugie dziesięć na Nowy Rok, a osiem na wiosnę. I koszta po połowie.

— Nie, panie Gulden, to niemożliwe.

— Nu, i ja nie mogę inaczej. Na moje sumienie! I tak ja mam wielki ryzyk. Nastąpiło jakieś suwanie krzesłami, szuranie nóg, zamykanie drzwi i już tylko dwa głosy przyciszone rozmawiały dalej.

— Mama jednak za tanio ceni swój dom — pomyślała Zosia. — Stryjcio mówił, że ojciec zapłacił trzydzieści tysięcy, a przecież teraz wszystko droższe, ale widać, że potrzebują prędko pieniędzy na wyjazd do Rzymu, a ja wiem, że teraz z Białego Dworu aż do jesieni nic nie można dostać. I tak stryjcio nieraz mówił, że dochodów nie wystarcza. Z czegoż one ten nowy klasztor zbudują?

I widmo tego nowego klasztoru stało przed nią — mury ogromne, zamczysta brama, a wewnątrz sale sklepione, korytarze, chór, kaplica z gotyckimi oknami. A wśród tych murów posepnych mama w czarnym welonie, w czarnej szacie zakonnej, z rękami złożonymi pobożnie...

A dlaczego proboszcz tak się śmiał, gdy o tym posłyszał? On sam ksiądz, a nie wierzył, i śmiał się tak szczerze, tak jak gdyby chodziło o jakąś Zosię albo Melę — babunia też ma minę niezadowoloną, ile razy wspomni się o Rzymie lub klasztorze. Bo i naprawdę, po co to mamie? Tak by dobrze było osiąść sobie w Białym Dworze i gospodarować, a przynajmniej nikogo by nie krzywdzono i dziećmi można by się zająć, i przyjemniej byłoby niż wечно jeździć i być daleko. Może mama rozmyśli się jeszcze i da pokój temu klasztorowi. Taki miły ten Biały Dwór! Taki ładny w tym wianku starych drzew, z tym cudnym widokiem na kościół i miasteczko! I tak tam wesoło — mnóstwo sąsiedztwa naokoło — Suniżyccy i Robiccy, i Chański, i Różyńscy... Ciekawość, jakie też toalety Robickie sobie zrobią na bal. Ach, Boże, ten bal, żeby to się prędzej doczekać, a to jeszcze całych siedem dni! Ta biedna Ania ani myśleć nie może o żadnej zabawie. Biedactwo kochane! Czy też ona jeszcze kocha tego Wacia? Powiada, że nie, ale naprawdę, jeszcze go nie może zapomnieć. Jednak... dziwna to rzecz, ta miłość... ktoś całe życie był obcy, nieznan, a raptem, jak się go pokocha, to i życie już niemiłe bez niego. Dziwne to, a jednak — widać, że bardzo przyjemne. Tylko Mela się oburza — nie wiem dlaczego. A babunia mówi, że jak kto spełnia swe przeznaczenie, to i jest szczęśliwy. Może... ale jak to wiedzieć, gdzie jest przeznaczenie?

Mamy przeznaczenie, zdawałoby się, siedzieć w Białym Dworze, a jednak jedzie do Rzymu i zakłada nowy zakon, i wtedy będzie szczęśliwa, gdy to zrobi, tak przynajmniej jej się wydaje...

— A moje przeznaczenie? — dumiała Zosia, śledząc za jakimiś światełkami, które po ścianach migwały. — Jakie ono jest? Gdzie mnie los rzuci? Komu ja się dostanę? — Myśli zaczęły się plątać w jej zmęczonej głowie, jakieś postacie nieznane pojawiały się przed nią. — Mąż, jak to zabawnie mieć męża! Ale i straszno, żeby na kilka dni, to jeszcze, ale na całe życie... — Sen ogarniał ją. Zbudziła się jeszcze, gdy pani Alina cicho drzwi uchyliła i weszła ze świecą do pokoju.

— Ach, to mama — rzekła.

— Nie śpisz jeszcze, Zosieńko, tak późno! Świecę zasłoniła troskliwie i uklękła do pacierzy.

— Śpij, Zosieńko, już po północy.

— Dobranoc mamie.

I Zosia odwróciła się do ściany i wkrótce zasnęła.

A pani Antoniowa klęczała przy łóżku i odmawiała wieczorne pacierze. Ale wciąż świeckie myśli przelatywały jej przez głowę jak muchy uprzykrzone. Odpędzała je, a one wracały. Wreszcie ogarnęły ją ze wszech stron, więc poddała się im i zaczęła liczyć.

— tysięcy rubli to będzie na franki... zaraz... Dwa razy będzie, a trochę więcej jak, no przypuśćmy, to razem. Tak — tysięcy franków. To strasznie mało! Czy za to można kupić dom? Ale cóż robić, kiedy więcej nie dają. Przecie czekać nie możemy. Byleby wypłacili zaraz, to bym się zgodziła.

I znowu zwróciła się do Boga.

— Najśłodszy Jezu — szeptała po francusku — wejrzyj na tę, którą sobie obrałeś na służę i oblubienicę. Wezwałeś mnie, oto jestem. Na słodki dźwięk Twego głosu wszystko porzuciłam i oto, Panie, gotowam na wszystko dla Ciebie. Znoszę niechęć ludzką, upokorzenie i drwiny, jestem nie

zrozumiana i wyśmiana przez ludzi, nie mam znikąd poparcia i pokrzepienia. Ale nic to, Panie, wiem, żeś Ty mnie sam zawołał, więc niczym dla mnie sąd ludzki, idę ślepo przed siebie, słuchając jedynie Twego głosu. Ale Ty, ukochany mej duszy, potężny jesteś i nic się Tobie nie oprze. Więc daj mi środki na wykonanie Twojej woli.

Po długiej modlitwie pani Antoniowa wstała z klęczek spokojniejsza i jakaś zrezygnowana.

— Będzie, co Bóg da — rzekła do siebie, zaczynając się rozbierać. — Ja robię swoje, a niech Jezus najśłodszy tym kieruje. Zobaczymy, co mi jutro powie Gulden.

Nazajutrz jednak interesy nie polepszyły się wcale. Gulden nie zmiękł ani trochę. Przeciwnie, stawiał coraz gorsze warunki. Pani Antoniowa nie wiedziała, co robić, aż Teresa Leonia wdała się w tę sprawę i zawyrokowała, że trzeba czekać.

— Taka sprzedaż nie da nam możliwości kupienia nawet małego domu w Rzymie — rzekła — więc lepiej poczekajmy jeszcze.

Na tym stanęło i panie Halickie opuściły Wilno, nierade z bezowocnej podróży, ale zawsze ufne w opiekę Boską nad wybranymi duszami.

## XII

Dwór w Ucianach był to gmach piętrowy, okazały, ale zwykle pusty. Pan Chański spędzał trzy czwarte roku za granicą, a gdy był w domu, mieszkał na dole, w małym apartamencie, gdzie miał swe ulubione obrazy, swoje książki, swoją łazienkę i sofę do odpoczynku, a przede wszystkim spokój absolutny, gdyż okna apartamentu wychodziły na ogród cienisty, dokąd nie dolatywały żadne ludzkie głosy, a służba miała przykazane, aby żadnych interesantów nie wpuszczała. O gospodarstwie i majątkowych sprawach nie wolno mu było wspominać, a z rządcą swym widywał się tylko wtedy, gdy wyjeżdżał i potrzebował pieniędzy. A i wtedy o żadnych interesach nie dawał sobie mówić: — Rób pan, co chcesz — mawiał — wydzierżawiaj, sprzedawaj, kupuj, tylko mnie tym głowy nie zawracaj. Przecie masz pan plenipotencję. Po to pana trzymam, abym o takich rzeczach nie potrzebował myśleć. Toteż gospodarstwo szło jak najgorzej w Ucianach i wiadome było w całej okolicy, że nigdy tam żadna robota w porę nie była zrobiona, że żyto mokło w snopach na polu całymi tygodniami, że z lasów wykradano drwa, ile tylko sąsiednim wsiom było potrzeba, że siana i słomy co roku brakowało na wyżywienie inwentarza, i że w gorzelni był stały deces od początku do końca kampanii. Śmiano się z Chańskiego i mówiono mu czasem: Mógłbyś mieć cztery razy większy dochód, gdybyś zechciał choć parę razy do roku wglądnać w interesy. A on odpowiadał najspokojniej: — Na co mi to potrzebne? I tak mam dosyć. — Ależ ciebie okradają. — A cóż mnie to może obchodzić! Ja i wiedzieć o tym nie chcę. Dzięki olbrzymiemu funduszowi, a stosunkowo skromnym wymaganiom miał rzeczywiście dosyć. I jakoś tam było. Życie spędzał wyciągnięty na sofie z książką w ręku lub w galeriach przed obrazami i rzeźbami. Obdarzony pamięcią i zdolnościami, nabył wskutek tego czytania i wiadomości bez liku. Ale korzyści z tego nie było żadnej, bo o żadnej pracy w jakimkolwiek bądź kierunku nawet mówić sobie nie dawał. Sam siebie doskonale oceniał i nazywał, żartując, pleśnią, co na wszelkich



starożytnościach osiada. Towarzystwo lubił i za granicą otaczał się chętnie artystami, literatami wszelkich barw i szkół. Ale wiejskich swoich sąsiadów nazywał barbarzyńcami, okazami kamiennej epoki, i starał się jak najrzadziej ich widywać.

Było to więc prawdziwe poświęcenie z jego strony, że się zgodził na urządzenie u siebie pikniku. Wprawdzie wymówił sobie, że sam o niczym wiedzieć nie będzie i że żywa dusza nie zajrzy do jego pokojów, ale świadomość tego, co się tam robi, denerwowała go. Wisiała nad nim jak zmora myśl: trzeba wstać, ogolić się, naciągnąć frak — i całą noc patrzeć na tę hecę, gadać z tymi ludźmi, słuchać ich gadania.

— O Boże! — westchnął dźwigając się i dzwoniąc na służącego. — Cóżem tak złego uczynił, abyś mnie tak okrutnie karał! — Zabrał się jednak do toalety.

Na gospodynię zabawy sama się ofiarowała pani Suniżycka. Była to rola jak dla niej stworzona. Jej się zawsze marzyły fety, salony, piękne stroje, towarzyski gwar — ale niestety, życie dało jej bardzo ograniczone środki, kłopoty wiejskie, liczną rodzinę i męża niedołęgę. I nieraz dobrze musiała mózgiem kręcić, aby związać końce skromnego budżetu. O prowadzeniu domu *comme il faut* i myśleć było trudno. A w dzieciach nie miała pomocy — o szyk, o dystynkcję, o stosunki nie dbało z nich żadne. Mela nawet czasem wygłaszała takie zdania, jak gdyby całkiem nie była „urodzona”. Jej dzikie pojęcia o godności kobiety, o niewoli małżeńskiej, o jakichś celach w życiu, jej dążenie do czegoś innego niż to, co było dotąd, jej stanowcza niechęć należenia do rzędu panien na wydaniu — to wszystko dawało serio do myślenia biednej pani Suniżyckiej. To nie były żarty!

Dziś jednak wyjątkowo Mela była giętka jak trzcina. Wesoła, prosta, bez żadnych idei, bez emancypacji, bez wielkich słów, pomagała urządzać bal z takim oddaniem i zapałem, jak gdyby to nie ona sama przed dwoma dniami drwiła z tego jarmarku na panny. Zupełnie inna Mela!

Więc pani Suniżycka była w doskonałym humorze, gdy ubrana w suknię zesztukowaną z dwóch materiałów, które ani barwami, ani gatunkiem do siebie nie pasowały, z pękiem piór w ufryzowanej głowie, ściśnięta, wysznurowana i modna do niemożliwości, stanęła w pierwszym salonie dla przyjęcia nadjeżdżających gości. Nie czuła zmęczenia po całodziennym tupaniu, pozbyła się wszelkich niepokojów gospodarskich, nie czuła już nawet, że nowe pantofle za ciasne i że ją odciski bołą. Żyła cała szczęściem chwili obecnej. Oto w wytwornych salonach przyjmuje gości, którzy napływają wciąż gromadą, a goście to strojni, wyfrakowani, panie w jedwabiach i koronkach, a takie comme ii faut! A za nią stoi Mela, taka ładniutka w swej różowej toalecie i też dzisiaj zupełnie comme ii faut i uśmiecha się do rozmawiającego z nią kawalera.

— A, kochana pani, chere madame! — woła pani Suniżycka w radości serca do wchodzącej pani Robickiej.

— I córeczki także!

— A, kochana doktorowa — wykrzykuje znowu — i doktor, także dawno nie widziani!

Mela wygląda dziś rzeczywiście jak cukierek, cała różowa, uśmiechnięta, z chmurą wijących się loczków nad czołem, błyskająca zalotnie oczkami na obok stojącego młodzieńca. W ręku trzymała wachlarz z piór zasypanych blaszkami i co chwila, powiewając nim, rozrzucała dokoła snopy iskierek. Oczka jej też jak iskiereki błyszcząły i, zwracając się ku oczom towarzysza, w nich także zapalały płomyki. On stał nad nią, poprawny, w doskonale skrojonym garniturze i wciąż jej coś szeptał, o coś pytał zbliżając twarz do jej różowego uszka. Pytania były nic nie znaczące, nie usprawiedliwiające bynajmniej tajemniczego szeptu, ale jemu widać robiło przyjemność zbliżenie się do niej, więc przyciszonym głosem pytał:

— A ta wysoka panna w pincenez?

— To hrabianka Luboniecka. Bardzo sympatyczna, chociaż hrabianka.

— A ta brunetką przy niej?

— To jej przyjaciółka od serca, doktorowa Jankowska, one zawsze razem.

— Taaak?

— To pana dziwi, że hrabianka z doktorową w przyjaźni? Ale ta Luboniecka wcale nie taka gęś, jak one wszystkie. Dziewczyna zupełnie trzeźwa, społeczna, żadnych nie ma przesądów arystokratycznych...

— Mnie, proszę pani, to zupełnie wszystko jedno. Niech się przyjaźnią, jeśli im z tym dobrze. A ta dama z dramatyczną twarzą, któż to jest?

Wchodziła do salonu młoda kobieta w białej powłóczystej sukni i w gronostajowej okrywce. Czarne jak noc włosy były upięte nisko na szyi w ogromny węzeł, a nad czołem zwichrzona grzywka łączyła się prawie z brwiami również czarnymi. Za nią postępował mąż, tak w nią zapatrzony, że aż zapominał przywitać się ze znajomymi.

— A, kochana pani Romana! — zawołała pani Suniżycka. — Słyszałam, że pani była cierpiąca, i obawialiśmy się, że dziś...

— O, tak, trochę — odezwała się kontraltem przybyła. — Ale to już minęło, a mąż mój tak nastawał, abym przyjechała...

— To i dobrze, doskonale! Będzie z pewnością wesoło...

— Chciałem, aby się Roma zabawiła trochę — rzekł obejmując ją rozkochanymi oczami mąż. — W jej wieku trzeba czasem...

— Ależ naturalnie! Trzeba korzystać z okazji.

— To są państwo Porażewscy — szeptała Mela do swego towarzysza. — On bardzo rozumny człowiek, kiedy jest sam, ale przy niej gubi się kompletnie — i to z miłości! Czyż nie mam racji mówiąc, że ta miłość to bardzo niemądra zabawka? Nieprawdaż, panie Adolfie?

Spojrzała bardzo figlarnie w oczy pana Adolfa i spotkała jego powłóczyste wejrzenie, ale gdy on nic nie odpowiedział, za trzepała dalej:

— Ten pan, jak jest przy żonie, to nic nie widzi, nic nie słyszy i nic nie rozumie — tylko w nią ma wlepione oczy i trwa w nieustającej adoracji. A ona przyjmuje hołdy i tylko dziwi się, że nie wszyscy są nią zajęci. Więc jeśli pan nie chce uchodzić za barbarzyńcę i za idiotę, w jej przekonaniu, to proszę zaraz jej się przedstawić.

— Dziękuję za łaskę. Wolę uchodzić za barbarzyńcę i za idiotę, a zostać tu, przy pani.

Mela rzuciła mu spojrzenie i uśmiech i zaczęła się wachlować.

— Jaki pani ma ładny wachlarz!—zauważył pan Adolf— taki wesoły. Teraz modne są malutkie, malowane, Louis XVI, ale ja wolę te wielkie, puszyste.

— A jak doskonale wachluje! Proszę spróbować.

— Kiedy mnie nie jest wcale gorąco. Jeszcze bym się napił czego ciepłego.

— O, to czemu pan herbaty nie wypije? Wincenty! — zawołała na lokaja z tacą. I wzięwszy filiżankę, sama wrzuciła cukier i podała, mówiąc:

— Proszę sobie nie wyobrazać, że usługuję panu z dobroci. Ani trochę! To tylko przez egoizm — chcę, aby pan nabrał sił przed tańcami, bo mamy zamiar tańczyć do białego dnia.

— Oj, oj! — westchnął pan Adolf zasiadając w fotelu. A Mela zwróciła się do przechodzącego Edzia i spytała:

— Czy nie przyjechali jeszcze z Haliniszek?

— Nie, jeszcze ich nie ma. Strasznie się spóźniają, moglibyśmy zacząć.

— Tak, szkoda czasu. Już prawie wszyscy są.

— Pani Wika i Sienickie przebierają się na dole. Jak tylko przyjdą, to zaczniemy. — I pobiegł dalej.

Ale właśnie w tej chwili w drzwiach coś zaszeleściło i weszła pani Antoniowa, poważna i dystygowana, w swych czarnych jedwabkach,

prowadzona przez Chańskiego, a za nimi Zosia z Jerzym. Pani Suniżycka żywo ku nim podbiegła powiewając kitą piór na głowie:

— A, kochana Alinka! Jakżeśmy się dawno nie widziały! I Zosia, chere petite!...

— No, nareszcie wyguzdraliście się — mówiła Mela biorąc Zosię pod rękę. — Czemuż tak późno?

— Ach, wiesz... mnóstwo nieszczęść... Mój stanik był za ciasny — i rękawiczka pękła, i...

— Poznajesz dawnego znajomego? — rzekła Mela.

— Pan Adolf, jak przyjemnie! Przecież się znamy z Warszawy. Przywitali się bardzo serdecznie i Zosia zwróciła się do Meli. Przerazonymi trochę oczami patrzyła dokoła, mrugała powiekami i mocno ścisnęła wachlarz w obu rękach, na ustach jej jednak błędził uśmiech.

Nagle coś sobie przypomniała i nachyliła się do Meli:

— Moja Melciu, powiedz, czy ja nie jestem zanadto wygorsowana? Mela objęła ją wzrokiem.

— Ależ nie, gdzie tam, nic nie widać!

— Bo to tak okropnie, i wszyscy patrzą. Szkoda, że zdjęłam okrywkę.

— Przecież w okrywce nie możesz być cały wieczór.

— Nie, ale zawsze... jakoś...

— Pozwoli pani herbaty? — spytał Jerzy, przysuwając się z filiżanką.

— Ach, nie, dziękuję.

— Cóż to za mina zrozpaczona? Czy pani żałuje, że przyjechała?

— Nie, nie żałuję. Tylko tak dużo osób i jakoś straszno... Jerzy objął ją wejrzeniem od stóp do głów.

Śliczna była w tym białym tiulowym obłoku, w koronie swych złotych włosów, z rumieńcem na twarzy i z ciekawością w oczach, trochę drżąca, onieśmielona, pełna ciekawości i zapału. Z wyciętego stanika wyrastały ramiona pokryte atlasową skórą, o ciepłym kolorycie, wznosiła się szyja

okrągła, pełna, giętka, nie ozdobiona żadnym klejnotem. A z niej całej szła woń młodości i rozkwitającego życia, było ciepło zdrowego życia i nieświadomy jeszcze siebie urok dziewiczy i czar niewieści pełen obietnic i ponęt.

Patrzył na nią, jakby w tej tak znanej mu postaci dostrzegł coś nowego. Bo też nowa była dla niego ta Zosia, nie miły dzieciak już, nie dziewczyna wiejska, którą znał dotąd, nie ideał dobra i piękna, wzniesiony w głębi, na ołtarzu jego serca, ale kobieta – uosobienie czaru, rozkoszy, miłości.

I ona podniosła na niego oczy i zaczęła go oglądać.

— Jak panu ładnie w balowym ubraniu! — rzekła po chwili.

Tak, ładnie mu było w strojnym ubiorze, w śnieżnym plastronie koszuli, od którego odbijała smagła cera i ciemne włosy. Wydawał się jeszcze wyższy niż zwykle, smuklejszy i bardziej wykwintny. Tylko ramiona szerokie i silny kark, jakby stworzone do dźwigania ciężarów, rysowały się wyraźniej pod cienkim sukniem, tylko oczy głębokie, aksamitne, patrzyły zawsze tęskno spod czoła upartego i usta składały się w miękkie, niepewne kontury, jakby wciąż drżało na nich jakieś nie wypowiedziane słowo.

— Bardzo panu ładnie — powtórzyła Zosia.

Stali obok siebie patrząc sobie w oczy, z uśmiechami na ustach.

Ona, ośmielona już trochę, zaczęła żartować mówiąc, że dawny rozkochany Jerzyk zmienił się teraz na takiego sztywnego pana, że ani poznać.

On również, podrażniony jej obecnością, bliskością tej dziewczyny umiłowanej, lgnął do niej oczami, ale prostował się, przybierał trochę sztywną pozę, pomimo ognia, co się wewnątrz rozpalał, starał się żartować z nią swobodnie i mówił:

— Teraz widzę, że pani jest naprawdę dorosłą panną. Dopóki warkocz wisiał na plecach, to jakoś nie wierzyłem, ale jak pani sobie zakręciła taki pyszny węzeł na głowie, to już nie ma rady, muszę wierzyć.

— A widzi pan, mówiłam. Przecież skończyłam osiemnaście lat na wiosnę, więc jestem prawdziwą panną...

— Na wydaniu...

— Nie na wydaniu, bo jeszcze nie wyjdę za mąż, aż najprędzej za... pięć lat.

— Za pięć lat! Cóż to za termin?

— Nie żaden termin, ale chcę użyć swobody. Ot, lepiej proszę mi powiedzieć, kim są te trzy panie, co teraz wchodzą?

Wchodziły do salonu matka i dwie córki, wszystkie trzy wysokie, sztywne i nadzwyczaj strojne. Były to panie Sienickie z odległych stron przybyłe chwilowo do kuzynki swej, pani Wiki Rodwiczowej, i zaproszone na piknik jako panny bogate, z wielkiego świata, partie znakomite.

Nie znały tu prawie nikogo, a jednak, gdy weszły, zaraz otoczono je, przedstawiano się, proszono o tańce, próbowano zabawić rozmową. One przyjmowały te objawy uprzejmości jako należne hołdy, uśmiechały się zimno i niedbale rzucały półsłówka.

Nie były ładne, ale bogate toalety, oryginalne uczesania i światowe ułożenie, szyk i pewność siebie imponowały, zwłaszcza w tym wiejskim kółku, wśród poczciwych, wiejskich postaci. Bo pomimo fraków i wygorsowanych sukien, pomimo nastroju świątecznego i elegancji, starającej się jak najdobitniej wyrazić — wsią czuć było całe towarzystwo.

Starsi mężczyźni mieli opalone twarze, a czoła nad nimi białe, ręce czerwone, o krótkich paznokciach, które nie wiedziały, gdzie się podziać przy frakowym garniturze i bezradnie wisały wzdłuż ciała.

Panie ściśnięte w umyślnie na ten cel przerobionych stanikach trzymały przed sobą ręce w białe rękawiczki obciągnięte i wachlarze tchnące naftaliną i usilnie udawały światowość i ożywienie. Włosy nie znające żelazka były dziś dokładnie nakarbowane, a twarze nosiły wyraz trochę niepewny i

onieśmielony, ale zarazem uroczysty, choć onieśmielenie trwało krótko i zniknęło na widok znajomych twarzy, a zastępowała je dobroduszość.

Tworzyły się kółka w trzech salonach przylegających do balowej sali. Roznoszono herbatę, więc panie zbliżały się do stolików, przysuwały się do siebie i zaczynała się rozmowa od uwag i spostrzeżeń, a przechodziła z wolna na powszednie sprawy.

— Ale te Sienickie... — mówiła pani Robicka do pani Leniewiczowej — tyle o nich mówili! Nagadali, że takie a takie... A one — ani piękne, ani co. Spójrz pani, jaka niezgrabna ta blondynka. — I pani Robicka od niezgrabnej Sienickiej oczy zwracała ku własnej córce swej Kostuni, której figura uchodziła za nieporównaną.

Pani Leniewiczowa myśl jej wyraziła w słowach:

— Pani Kostunia o wiele zgrabniejsza — rzekła. Nie miała ona jeszcze dorosłych córek.

— Mnie jako matce mówić tego nie wypada, ale już to każdy przyznać musi, że moja Kostunia...

— Tylko że tamte mają suknie piękne, uczesane tak modnie...

— Przyznam się pani kochanej, że ja dla młodej panienki nie lubię złotego koloru.

— E, co tam, moja pani! Już one pewnie według ostatniej mody. Takie bogate!...

— Bogate? At, rozmaicie o tym mówią... — I obie panie zajęły się obliczaniem funduszków Sienickich. A tymczasem do ich stolika zbliżyła się młoda kobieta, fertyczna i ładniutka w skromnej białej sukni i rzekła:

— Dzień dobry pani — dzień dobry cioci! Tak się panie zagawędziły, że już mnie nie chcą przywitać.

— A, pani Różyńska!

— Jak się masz, dziecko! To przyjechaliście? A myślałam, że nie będziesz?



— Tak, proszę cioci, miałam nie być, bo mi się dzieciaki pochorowały i lękałam się, ale, Bogu dzięki, przeszło. Już Maniusia zupełnie zdrowa, a i Loluś wstaje, więc Bronek namówił mnie — i oto jestem.

I młoda pani Różyńska z uśmiechem rozglądała się po salonie i kiwnięciem ładnej główki odpowiadała na ukłony. A spostrzegłszy Porązewską w drugim pokoju, ku niej się skierowała.

— Ot, moja pani — warszawianka! — zauważyła pani Leniewiczowa — a jak zżyła się z nami! Ani pamiętasz nawet, że nie tutejsza.

— E, pani kochana, to narzekanie na Królestwo, to, przyznam się pani, niemądre — odparła pani Robicka. — Ja byłam w Warszawie nie raz, moja Kostunia tam pensję kończyła, a nigdy nie miałam żadnej przykrości. Jak kto śmieszny, to jego wszędzie wyśmieją, ale żeby oni mieli dla Litwinów jakieś lekceważenie!...

— Taki jednak... — zaczęła pani Leniewiczowa.

W drugim salonie panny głośną prowadziły rozmowę przeplataną śmiechem. Nie siedziały one po kanapach, pod blaskiem lamp stały grupami wśród salonu, jak bukiety różnobarwnych kwiatów, ruchliwe, strojne, pachnące, a dokoła kręciła się młodzież, jak czarne owady szukające miodu. Mela, niby domowa, przechodziła od jednych do drugich, dbała o ożywienie i wesołość ogólną. Nawet do Sienickich przemówiła parę słów, ale gdy otrzymała w zamian wycedzoną przez zęby i zaledwie grzeczną odpowiedź, odwróciła się obrażona.

— Wstrętne te Sienickie — rzekła do Zosi. — Nosy do góry zadzierają, jakby nam łaskę robiły. Po co żeście je zapraszali? — spytała, zwracając się do Jerzego.

Ale on nie słyszał, bo właśnie rozmyślał nad tym, że teraz najważniejsza chwila zamówić Zosię do jakiegoś tańca.

— Poproszę ją o mazura — mówił do siebie.

Ale nieśmiałość jakaś dziwna ogarniała go. Nie miał odwagi. — A może ona będzie wolała z kim innym — myślał. — Może mi przyrzeknie, a potem pożałuje...

— Przedstaw mnie pan, proszę — odezwał się przy nim głos męski. Hrabia Luboniecki stał, trochę naprzód pochylony w ukłon, przed Zosią.

— Pani pierwszy raz na balu? — spytał, po dokonanej ceremonii przedstawienia.

— Pierwszy raz. A skąd pan wie? Alboż tak dziko wyglądam?

— Pani wygląda jak pączek róży, gdy po raz pierwszy wychyli z listków swą główkę. Porównanie stare, ale dobre. Tańczy pani pierwszego kontredansa? — dorzucił słysząc dochodzące z sali balowej dźwięki muzyki.

— Nie.

— Mogę pani służyć?

Zosia kiwnęła główką, a Jerzy zacisnął zęby. Hrabia odszedł, a w tej chwili jeden z młodych Leniewiczów przypadł do Zosi.

— Panno Zofio, czy pani tańczy pierwszego?

— Tańczę.

— To ci pech dopiero! Ani jednej damy! A drugiego?

— Tańczę.

— Gwałtu? A kotyliona?

— Kotyliona nie.

— To proszę do kotyliona.

— Dobrze.

— Ale na pewno? Bez żadnych wykrętów? Jerzy, ty świadkiem.

— Nie, nie, proszę być spokojnym!

— No, to lecę szukać damy do pierwszego. Pobiegł dalej. A Jerzy myślał:

— Głupiec jestem. I tak mi wszystkie tańce sprzątną, a ja pozwalam. No, już teraz poproszę o mazura, może jeszcze nie tańczy.

I już się zwracał do niej z prośbą na ustach i czuł, że mu serce mocniej uderzało, tak pragnął tego mazura. A tymczasem ona spytała:

— Kim jest ten pan, którego mi pan przedstawił, nie dosłyszałam nazwiska?

— To hrabia Luboniecki.

— A, brat tej hrabianki, którą Mela tak chwali. Pewnie i on przyjemny. Rada jestem, że z nim tańczę, ale o czym my mówić będziemy?!

Wtem wpadł między nich Edzio zdyszany mówiąc:

— Trzeba już zaczynać, niepodobna czekać dłużej, ta Rodwiczowa tak się guzdrze.

— Zaczynajmy bez niej.

— Tak, każ grać. Wezmę do pierwszego tura jedną z Sienickich, a ty proś Porązewską.

Ruch robił się w salonach. Kierowano się ku balowej sali. Tam grano już walca. Przy drzwiach skupiła się gromadka. Jerzy czuł, że ostatnia sposobność uchodzi.

— Pani... — zaczął.

I urwał, nie wiedząc co zrobić z tym drzeniem, które go ogarnęło i nic dawało słowa przemówić.

Ale nagle Zosia podniosła na niego oczy, trochę zdziwiona dźwiękiem jego głosu.

— Co panu? — spytała nie rozumiejąc.

— Głupiec jestem — powtórzył sobie w duszy i patrzył na nią, ale nie mówił nic. A ona jakby zrozumiała nareszcie, o co mu chodzi, zaczęła się śmiać i kręcąc główką mówiła:

— A ja myślałam, że po starej przyjaźni pan poprosi mnie choć o jeden taniec. Czekam i czekam, a tu nic...

— Pani... ja chciałem.

— No i co?

— Ale może pani woli z kim innym?

— A co panu do tego, z kim ja wolę? Jak się czegoś chce, to się prosi i już. Widać, że pan nie chce.

— Panno Zofio!

— No więc cóż?

— Więc proszę...

— No, przecie! Dobrze, tylko przypomnę sobie. I Zosia na palcach liczyć zaczęła.

— Pierwszego kontredansa tańczę z tym hrabią, drugiego z panem Adolfem Zawidowskim, to nasz znajomy z Warszawy, kotyliona ze Stasiem Leniewiczem. No, to jeszcze jest mazur. Chce pan mazura ze mną?

W oczach Jerzego błysnęła radość, czuł, że mu się usta rozsuwają same uśmiechem szczęścia, ale wyprostował się jeszcze sztywniej i rzekł chłodno:

— Proszę. A ona dodała:

— No, do bardzo dobrze. Już mam wszystkie tańce zapewnione, teraz będę spokojna. A stryjcio ciągle przepowiadał, że siedzieć będę pod piecem. Tylko niech pan, broń Boże, nie zapomni, mój panie Jerzy!

W sali balowej zaczynały się tańce. Muzykanci ukryci na balkonie wygrywali jakiegoś straussowskiego walca i powoli łączyły się pary, oddzielały się od tłumu i wypływały na oświetloną przestrzeń. Spódniczki unosiły się leciuchno, trzepocąc jak wielkie motyle, figury objęte męskimi ramionami wirowały w takt muzyki, głowy przechylały się w tył i płynęły pary sennym trochę ruchem bez szmeru po gładkiej posadzce. Pod jedną ścianą siedziały długim rzędem tancerki, jak rzucona różnobarwna wstęga mieniły się ich sukienki na białym tle obicia. Naprzeciwko, w gromadzie, stali panowie. Była to czarna, zbita masa, która jak plama odcinała się wyraźnie od jasnego otoczenia. Nad wszystkimi górował Jerzy swą ciemną głową.

Tańce szły zrazu leniwie. Z dwóch przeciwległych końców patrzono na siebie z pewną nieufnością, jakby obserwując się wzajemnie. Edzio miotał się,

przebiegając salę od kąta do kąta, tu przedstawiając jakiegoś nieznanego, tu porywając z krzesła pannę, tam wołając do gromady mężczyzn:

— Panowie, nie próżnujcie, ruszcie się przecie!

Był już zgrzany mocno, pomimo chłodnej dokoła temperatury. Emil pomagał mu dzielnie, z poważną miną okręcał po kolei wszystkie panny jedną po drugiej. Za nim Jerzy równie sumiennie spełniał swój obowiązek gospodarski.

Nagle z drugiego pokoju dobiegły wybuchy śmiechu. Głosy zmieszane zdawały się klócić i spierać o coś, czy o kogoś, a szczebiot jakiś górował nad nimi. Zaszumiały jedwabie i w szalonym pędzie wleciała do sali nowa para. On z rozwianą czupryną, z latającymi połami fraka, kręcił się, wirował, rzucał się z rozmachem unosząc prawie z ziemi tancerkę, która uwieszona na jego ramieniu, z odrzuconą głową, nie dotykała prawie ziemi i drobnymi nóżkami starała się z nim zrównać, przy czym wciąż się śmiała.

— Rodwiczowa, pani Wika! — szeptano wokoło. Narwana zawsze... Wiesznie z tym swoim malarzem!... To nawet nieprzyzwoicie...

Zgorszone oczy starszych pań odprowadzały tańczącą parę, usta składały się w oburzony grymas, głowy ku sobie się skłaniały i coś sobie szeptano do ucha. Panny kierowały ku nim zdziwiony wzrok, a pod wąsami mężczyzn ukazywały się uśmiechy. Ustępowano im z drogi, inne pary stawały zdumione, wszystkie oczy śledziły ich ciekawie, a ona wciąż się śmiała. Wreszcie malarz Żurko posadził ją pod ścianą i sam znikł za jakąś portierą, a ona zerwała się zaraz i zaczęła się witać ze starszymi paniami.

— O, przepraszam, najmocniej przepraszam za moje entree — tak bez ceremonii. Czy panie bardzo zgorszone? Proszę się nie gniewać na mnie, miałam zamiar być dzisiaj zupełnie przyzwoitą... ale ten wiariat... ach, Boże, już taki mój los, że zawsze muszę zrobić głupstwo... — Mówiła trochę dziecinnym głosem wydymając usta i przymilała się do pań, jakby jej chodziło o ich przejednanie, ale zarazem rzucała spojrzenie ku drzwiom, gdzie stało

kilku panów, jej przyboczna gwardia, i posyłała im uśmiechy. Usiadła wreszcie koło tych drzwi i już, ani patrząc więcej na panie, ze swoją gwardią zaczęła rozmawiać i chichotać. Była to kobieta średniego wzrostu, szczupła, ale nie chuda. Twarz jej, nadzwyczaj biała, nie miała na sobie ani śladu rumieńca, tylko usta znaczyły się krwawą plamą i oczy piwne ze złotymi odbłyсками, podkrążone głęboko, paliły się trochę sztucznym ogniem. Ruda barwa włosów jeszcze bardziej uwydatniała bladość jej cery podobnej do płątka narcyza. Stanik opadał jej z ramion odsłaniając zuchwale szyję i pierś olśniewającej białości, a pośród zwichrzonych włosów lśniły rozrzucone brylanty. Było coś oryginalnego w całej jej postaci, coś, co przypominało zarazem motyla i jaszczurkę. Była w niej subtelność, wykwent, finezja doprowadzona do absurdu prawie, sztuczność w każdym słowie, jakby nic w niej nie szło z naturalnego popędu, a wszystko było robione, wyuczone i nabyte. Nawet śmiech, ten śmiech czysty, dźwięczny, który odsłaniał cudne ząbki i podnosił kąty jej czerwonych ust, a powieki zmrużał — nawet ten śmiech dźwięczał fałszywie. A jednak, to się właśnie podobało. Ta jakaś zagadka w niej ukryta, te nagłe zmiany wyrazu, które pozwalały snuć tysiące przypuszczeń, ta dwoistość jej duszy, właśnie to zaciekawiało i miało dla wielu niezwykle urok. I nikt, ani pani Porażewska ze swą niezaprzeczenie piękną twarzą, ani Sienickie ze swym wielkoświatowym szykiem, ani ładna pani Różyńska, ani świeżutkie Ławryniewiczówny, ani Mefe ze swym dziecinnym buziakiem, ani Zosia — nikt tak nit' nęcił, nie pociągał i nie zaciekawiał, jak pani Wika. Otoczona czarną ścianą fraków nie dbała o resztę świata, rzucała półsłówka, spojrzenia, uśmiechy, błyskała ogniem brylantów i tajemniczych oczu, flirtowała na zabój podniecona zgorzeniem, jakie czuła wkoło — i śmiała się, śmiała bez końca.

Walc konał powoli. Jeszcze dwie pary kręciły się leniwie. Wreszcie jęknęły ostatnie nuty i muzyka zamilkła. A po chwila ozwała się krótka, wesola pobudka do kontredansa i znowu ucichła. Ruch zrobił się na sali.

Panny wstawały z krzesel, wychodziły po kilka do innych salonów, zaglądały do zwierciadeł. Panowie biegali, przysuwali sobie krzesła, związywali je chustkami. Zamawiano sobie vis a vis. Powstała gdzieś w kącie sprzeczka. Edzio biegł bardzo zajęty. Wreszcie stanęły wszystkie pary i rozpoczął się kontredans.

Pod światłem padającym z pajaków i kinkietów posuwały się jasne i czarne postacie, łączyły się, rozłączały, zbijały w gromadę, rozchodziły w różne strony. Zrobiło się gorąco i gwarno. Szum zmieszanych głosów, dźwięki muzyki, stąpania i szelest sukien napępiały powietrze wrzawą i wesołością. Po cichych nutach walca, tego wyrazu sentymentalnej zmysłowości, kontredans odzywał się pełniejszym i głośnym akordem, łączył towarzystwo w jedną gromadę, zbliżał wszystkich ku sobie, ożywiał wspólną wesołością. Twarze były rozjaśnione, a ręce, łącząc się w figurach, ścisły się życzliwie. Sala zadrgała życiem, ruchem i ochotą. Bawiono się już na dobre.

Zosia prowadziła ze swoim hrabią bardzo wesołą rozmowę. Jakoś tak poszło od razu i szło wcale gładko. On o coś zapytał, ona odpowiedziała i zrobiła jakąś uwagę; potem on tę jej uwagę pochwalił, a ona już nie potrzebowała odpowiadać, bo wstali i przetańczyli pierwszą figurę. A gdy usiedli znowu, ona postanowiła zacząć rozmowę i o coś koniecznie zapytać, ale zanim się namyśliła, on rzekł:

— Jaki śliczny bukiet bzu ma pani u stanika!

Więc ona odparła, że bardzo lubi bez, szczególnie białe, ale że ten jest sztuczny. A on przyznał się, że też bardzo lubi bez i kwiaty w ogóle, ale tylko wtedy, gdy je widzi na staniku ładnej panny. Zosia zaśmiała się i odparła, że to nie jest prawdziwe amatorstwo.

— Owszem, najprawdziwsze — odrzekł hrabia — ale do ładnych panien. — Tu Zosi wydało się, że rozmowa staje się zbyt ryzykowna, tym bardziej że hrabia tak jakoś patrzył na nią... i że trzeba temat zmienić, ale na szczęście tu właśnie nastąpiła przerwa, bo wypadło przetańczyć drugą figurę.

Potem Zosia namyśliwszy się dobrze zapytała, czy on lubi konie? I okazało się, że przedmiot to był niewyczerpany do rozmowy, bo wystarczył aż do końca kontredansa, po czym rozeszli się zupełnie z siebie zadowoleni.

— Nie takie to trudne, jak się zdaje — pomyślała Zosia. I dopędziwszy wychodzącą z sali Melę, zawołała:

— Ach, Melciu, jak ja się bawię doskonale!

— Z kimże tańczyłaś? — spytała ją matka zatrzymując dla poprawienia kokardki u paska.

— Z hrabią Lubonieckim, mammo.

Pani Alina uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— I jakże, moja Zosieńko? Jakże poszła rozmowa?

— O, doskonale, moja mammo. On bardzo przyjemny i ciągle coś mówił i ja także.

Matka skończyła poprawiać kokardkę, przyglądała rozwichrzone trochę włosy, a Zosia dodała:

— Wie mama, bardzo mi się podoba ten hrabia.

— O, tak... Bardzo sympatyczny... Mój Boże! Kto wie? A może...

— myślała pani Alina, patrząc za odchodzącą Zosią. — Chociaż wolałabym Chańskiego. O, idzie właśnie... muszę go trochę wybadać...

Przez pokój przechodził Chański. Młody był jeszcze, ale nadmiernie otyły i ociężały. Delikatne jego rysy roztapiały się w niezdrowej, białawej tłuści, która go zewsząd ogarniała. Tylko oczy bystro patrzyły zza szkieł i usta miały wyraz dobroci i łagodności.

— Panie Dominiku! — zawołała na niego pani Antoniowa. — Niechże pan tu ze mną usiądzie. Mam wielką ochotę pogawędzić z panem. Tak dawno, jakeśmy się widzieli.

Chański zbliżył się do sofki.



— A tak, dawno. Już od dwóch lat nie byłem w Rzymie. Prawda, czas leci! Ale pani pozwoli, każe podać nam herbaty. Tak mi się pić chce! Pewnie i pani także?

Wrócił po chwili, a gdy mu przyniesiono herbatę, usiadł wygodnie w fotelu obok pani Antoniowej, zwiesił głowę na piersi i westchnął.

— Ciężko żyć na świecie — nieprawdaż, pani? — rzekł.

— Dziś zwłaszcza, gdy panu cały dom przewrócili do góry nogami

— uśmiechnęła się pani Alina.

— Ach, pani — zawołał z boleścią i machnął ręką dodając:

— Już o tym nie mówmy lepiej.

— Tak, mówmy o czym innym. Cóż u pana słyhać? Co pan porabia?

— Ależ, kochana pani! Cóż to za pytanie? Czyż ja kiedy co robię?

— Wiem, wiem. Ale jakież pańskie projekta? Przyjedzie pan w tym roku do Rzymu?

— Czy ja wiem! A pani?

— Ja — naturalnie. Tu zabawię tylko, dopóki się nie załatwię jakoś z interesami. Pan przecie wie o naszych zamiarach?

— Słyszałem, ale czy to na serio?

— Najzupełniej serio. Bóg nie żartuje, kochany panie Dominiku, i gdy kogo powołuje do siebie, to nie wolno się ociągać. Zresztą, nasza sprawa jest zupełnie postanowiona, oui, completement resolue i tam w Rzymie robi się już starania o zatwierdzenie naszego zakonu przez Ojca Świętego. Miałam wczoraj list od ojca Maksa.

— II padre nero — wtrącił Chański. Pani Antoniowa uśmiechała się.

— Kochany ojciec, zajmuje się nami tak gorliwie. W nim jednym mamy poparcie i zachętę.

— Cóż dziwnego, czuje, że przy tym i jemu trochę honoru dostanie się...

Ale pani Alina nie dosłyszała. Myśl jej poleciała daleko, pod włoskie niebo i przed jej oczami stanął ksiądz o czarnych oczach „ii padre nero” jej ojciec duchowy, kierownik, pocieszyciel... I usta jej zaszeptały bezwiednie:

— O, le saint homme! Quelle ame! quel coeur! quelle intelligence!

A Chański sięgnął po cukier i zaczął mieszać herbatę dzwoniąc łyżeczką. Przez salon przechodziły wciąż gromadki młodzieży, dążąc na galerię oświetloną czerwoną lampą, gdzie wieczorny chłód odświeżał zgrzane czoła. Panienki sprzeczały się z kawalerami. Nikły w półcieniu wśród palm i krzewów. Gwar podnosił się z każdego kąta, wesołość biła z każdej twarzy. Nawet ściany zdawały się już rozgrzane i nie raziły przykrą białością. Pani Suniżycka przesuwiała się z pokoju do pokoju, powiewając pióropuszem, szczęśliwa i dumna z zabawy. Z oddalonej sali dochodziły głosy mężczyzn grających tam w szrubę. A wśród gwaru, szeptów, stuków, stąpań i zmieszanych głosów unosił się co chwila w powietrzu śmiech pani Wiki i dzwonił długo, przeciągle.

— Co to za dziwna powierzchowność tej kobiety! — rzekł Chański jakby do siebie.

— Czyja? Rodwiczowej? — spytała pani Alina zstępując ze świata wyobraźni i wspomnień. — Tak, oryginalna jest bardzo. Cest une petite elourdie..., ale to, au fond, dobra kobieta.

— Dobra kobieta? Czy panią miłość chrześcijańska nie zaślepia?

— Nie, kochany panie, croyezmoi. Znam ją dobrze. Tak często spotykamy się we Włoszech! I wiem, że pomimo tych pozorów ces allures un peu... un peu... comment dire... un peu risquées, jest ona naprawdę bardzo pobożna, najlepszych zasad, przywiązana do rodziny, do męża...

— Do męża!! Chyba pani nie wie...

— Tak, to dziwne, on taki prostak. A jednak ona go bardzo kocha. No, naturalnie, nie może być między nimi nic wspólnego aucune communaute de sentiments, ale kocha go...

— A innych jeszcze więcej.

— Fe, panie Dominiku! Jaki pan złośliwy! I co pan cierpi do tej biednej Rodwiczowej?

— Ja do Rodwiczowej? Bóg widzi, że ani do niej, ani do nikogo nic nie cierpię. I ona, i świat cały są mi zanadto obojętne, abym miał coś do nich cierpieć. A cóż mnie to wszystko może obchodzić?

I Chański powiedziawszy to wypił herbatę i wyciągnął się jeszcze wygodniej w fotelu.

— Czy pan jest desperat, czy złamane ma pan serce, czy co? To nienaturalne, żeby pana tak nic nie obchodziło...

— Nie jestem desperatem, a serce mam nie złamane, a otłuszczone. A że nic mnie nie obchodzi, to dlatego, że się lenię. No, pani nie ma pojęcia, jak ja się lenię nawet jeść i pić, nawet żyć. Tak bym spał i spał bez końca albo bym czytał leżąc na sofie.

— A to dlatego, że pan nie ma żadnych bliskich serc, żadnego przywiązania, żadnych obowiązków... Pan powinien by się ożenić, od razu byłoby inaczej — dodała pani Alina dyplomatycznie, bawiąc się pierścionkami.

— Ja ożenić się! Kochana pani, życie mi niemiłe, to prawda, ale jednak nie do tego stopnia, abym je miał sobie zatruwać umyślnie.

— Mais, cher monsieur, to byłoby szczęście dla pana. Czyż pan się nigdy nie kochał?

— Owszem, kochałem się. I to w pani. A tak — dodał, śmiejąc się — tak, tak, w pani, i pani dobrze wie o tym...

— Ależ nie wiem. Jestem starsza od pana.

— Mnie to nie przeszkadzało wcale. Pani była wysmukła, eteryczna, miała pani jasne włosy spadające w lokach po obu stronach twarzy, nosiła pani białe suknie muślinowe i wielkie kapelusze z florenckiej słomy, lubiła

pani otaczać się kwiatami i z twarzą natchnioną mówić o męczeństwie, o bohaterstwie, o ofierze życia... Pamięta pani?...

— Ach, to było w Białym Dworze, a potem w Wilnie, w pierwszych latach po moim zamążpójściu. Pamiętam...

— Ja miałem lat osiemnaście i serce jeszcze nie otłuszczone, więc zakochałem się w pani.

Pani Antoniowa uśmiechnęła się.

— Dawne czasy! — westchnęła i bawiła się złotą obręczą, która zsuwała się jej na rękę.

— A potem, gdyśmy się częściej zaczęli widywać, to proszę przyznać, że i pani trochę starań dokładała, aby mi w głowie przewrócić do reszty.

— Ja?

— A tak, pani. Nie zawsze klasztor nęcił ku sobie, nie była pani jeszcze wtedy święta, o, ani trochę! A moja miłość była niegorszą zabawką od wielu innych. No, czyż tak nie było?

— Ale nie, nie! Vous inventez des histoires. Ja ani się domyślałam.

— O kochana pani, to nieprawda. Kokietowała mnie pani porządnie. A ja się kochałem po uszy, pamięta pani? Ale proszę nie myśleć, że mam o to pretensję, broń Boże! Owszem, rad byłbym, aby się i dziś kto znalazł... Mois ii n'y a pas de danger — dodał trochę smutnie.

Więc pani Alina zaczęła mówić, że nie o kokietowaniu, ale o ożenieniu powinien by pomyśleć, nie jest jeszcze za stary na to i pewnie by się znalazła niejedna, która by się zgodziła życie mu poświęcić...

— Jak to miło być przedmiotem takiego poświęcenia! — zauważył pan Chański kończąc herbatę.

...I wtedy by zaznał rodzinnego szczęścia i opuściłaby go ta wieczna nuda i melancholia. Potem mówiła o pannach w okolicy. Tyle ich jest i miłych, i dobrych, i ładnych — jest w czym wybierać.

— A najładniejsza jest córka pani.

— Zosia! — Błysk radości rozjaśnił twarz pani Antoniowej i cichutko westchnęła do Boga. A głośno rzekła: — Zosia nie ma pretensji do piękności, ale to dobre dziecko. Et celui qui la choisira, fera un bon choix — dodała znacząco.

— Właśnie dlatego powinna ona sama wybierać i przebierać, i nie iść, aż się zakocha. Taka panna może sobie pozwolić na ten zbytek: małżeństwo z miłości.

— Ach, cher monsieur! Miłość często zawodzi. Bezpieczniej tego nie szukać w małżeństwie.

— Ładne zasady! — mruknął Chański, a w duszy rzekł do siebie:

— Ta stara wariatka gotowa byłaby wlepić mi tego dzieciaka, gdybym tylko zechciał. No, macierzyńska miłość!

Z sali balowej znowu odezwała się muzyka i zaczęto znowu tam się skupiać. Tańczyła pani Wika zwieszona na ramieniu Nicpohorskiego, z głową odrzuconą, z na wpół rozchyłonymi ustami, teraz już milcząca, jakby rozmarzona i senna. Mela przelatywała z rąk do rąk, jak różowy kwiatek kolejno przypinany do każdego fraka. Zawidowski stał za jej krzesłem, niedostępny, i gdy wracała na miejsce, znowu szeptał jej coś do ucha.

Piękna pani Porażewska oszczędzała sił i nie tańczyła wcale. Pani Różyńska porwała swego Bronka i bardzo po parafiańsku zmusiła go do przetańczenia paru tur.

Chociaż towarzystwo nie było zbyt liczne, zarysowywały się jednak wyraźnie kółka. Arystokrację tworzyły Sienickie, Grzałkowscy, pani Wika ze swoim dworem i po części Lubonieccy, pomimo poży na popularność. Suniżyccy, państwo Różyńscy, Haliccy i Porażewscy była to klasa przejściowa — średnia. A już Robocka, Leniewiczowie, Ławryniewiczowa z córkami, Janowscy i wielu innych — był to motłoszek salonowy, ludek, szara garstka, traktowana grzecznie, ale trochę z wysoka. Ci jednak najlepiej się bawili i najwięcej wesołości przynosili z sobą. Ich śmiech szczery i donośny rozlegał

się co chwila, ich ruchy były zamaszyste, ich twarze rozjaśnione. Ta młodzież brała się do panien z zapalem, a panny całą duszą uśmiechały się do swoich tancerzy. Chociaż czuli na sobie niekiedy trochę drwiące spojrzenia pani Wiki i jej gwardii, nie zwracali na to uwagi.

A tymczasem jeden z jej najgorętszych wielbicieli, Niepohorski, schylając się nad nią tak nisko, że prawie muskały mu twarz jej rude włosy, mówił, wskazując towarzystwo:

— Bydełko boże, co? Jak pani może tu żyć między nimi? Ale — jakże włosy pani cudnie pachną — mam ochotę twarz w nie zanurzyć.

— O, bardzo proszę! Zepsuje mi pan koafiurę!

— Czy tylko dlatego?

— Chociażby — to dość ważna przyczyna. A ostatecznie, żyjąc wśród bydełka, muszę być takąż pocziwą krową, jak o, te wszystkie.

Zaśmieli się.

— I dlatego wara mi od pani włosów. Dobrze, dobrze — już będę siedział spokojnie, żeby krówek nie skandalizować. Ale wachać mogę? Ach, jak pachną. — I Niepohorski wciągał odurzające zapachy, którymi pani Wika przesiąkła, i mówił:

— Pani ma rację, że siedzi ciągle za granicą. Takie kobiety jak pani tu żyć nie mogą, bo nie mają odpowiedniego dla siebie tła. Pani w tej sukni, z tymi włosami, na tle bielonych ścian w dworku albo pola zasadzonego kartoflami — no, do czego to podobne? Karykatura, co? A pani na Jettee w Nizy albo w weneckiej gondoli, albo na Pincio w pięknym powozie, to rozumiem! I pani sama to czuje.

— I dlatego też staram się być jak najmniej tu, a jak najwięcej tam. Z początku mąż krzywił się trochę, i chciał we mnie wmówić, że dobra żona powinna siedzieć w domu i gospodarstwa pilnować, ale potrafiłam mu to wyperswadować. Wytlumaczyłam, że to dobre dla innych — o, dla takich

krówek. Teraz już jest wytresowany i wierzy w to sam, że taka istota jak ja nie może mieszkać w kraju i wdzięczny mi jest za każdy miesiąc tu przebyty.

— Oj, te kobiety!

— No, mój drogi panie — tylkoż nie narzekajcie na kobiety! Gdybym była inna, taka jak, na przykład, Leniewiczowa, podobałabym się panu, co?

Pani Wika śmiała się, Niepohorski schylał się do jej ucha i szeptał coś długo. Siedzące obok panie zamieniały zgorszone spojrzenia. A dokoła rosło ożywienie. Gwarno było i huk rozmów zagłuszał nawet czasem muzykę.

Zosia bawiła się doskonale. Nieśmiałość i zalęknienie opuściły ją zupełnie. Zarumieniona, z roztrzepaną grzywką nad czołem, z iskierkami w błękitnych oczach, latała jak biały motyl wkoło sali, przechodząc z rąk do rąk i śmiejąc się do każdego. Drugi kontredans przeszedł najpomyślniej. Pan Zawidowski był jeszcze przyjemniejszy od hrabiego. Zresztą, był to jakiś kuzyn ciotki z Warszawy, a więc dawny znajomy. Było o czym mówić — i wszystko poszło jak po maśle.

— Nigdy nie przypuszczałam, że to takie łatwe — myślała sobie Zosia. — niewielka to sztuka być światową damą.

Po dłuższej przerwie, podczas której pochłonięto przy bufecie paręset kanapek i wypróżniono całą baterię karafek z zimnymi napojami, odezwała się pobudka do mazura. Zrobił się ruch, bieganina, nawoływanie — szukano dam — suwano krzesłami. Aż wreszcie huknęła komenda: wszystkie pary! I w dali zakotłowało się.

Jerzy dotąd nie tańczył prawie wcale. Pierwsze tury walca, jako jeden z gospodarzy, musiał wykręcić, ale potem stał przy drzwiach i patrzył. Młodzieży było dosyć, więc na zapytanie: czemu nie tańczysz, śmiało mógł odpowiadać: damy nie mam. Czekał mazura. Czasem mówił sobie zimno i pogardliwie:

— Jestem głupcem ostatecznym, półgłówkiem, maniakiem. — Pomimo to śledził tańce niecierpliwie i oczami wodził za Zosią przez cały wieczór. A

podczas przerwy wybrał dwa krzesła zasunięte w głąb framugi pod oknem, związał je chustką i poszedł szukać swej damy.

— Będę ją miał dla siebie, wyłącznie dla siebie — myślał i czuł koło serca błogość taką, że aż w ból przechodziła. A gdy wreszcie znalazł się w swej framudze sam na sam z nią wśród tłumu, gwaru, wrzawy rozmów i dźwięków muzyki, gdy ujrzał ją siedzącą przy nim, skromną, dziewiczą w swej białej sukience, poczuł się tak bezgranicznie szczęśliwy, że znowu słowa nie mógł przemówić i tylko patrzył na nią, napawał się rozkoszą obecnej chwili i pił słodycz jej wejrzenia, uśmiechu, głosu. Wiedział, że mówić wypada i że trzeba ją bawić rozmową, ale nie mógł. Ogarniało go jakieś czarowne odrętwienie, odbierało mu mowę, plątało myśli, mąciło wzrok. Siedział nieruchomy, milczący i tylko mówiły żarzące się jego oczy. A z całej istoty szła wielka fala miłości i obejmowała ją, oddzielała od reszty świata, porywała z sobą i niosła w jakąś inną krainę... Wszystko inne zapadło się gdzieś w ciemną otchłań, a on z nią leciał... leciał gdzieś w dal...

— Piąta szóstka! — krzyknął mu nad uchem głos Robickiego. A Zosia zerwała się, mówiąc:

— To my! — więc wziął jej rękę i pobiegli w takt muzyki po błyszczącej posadzce. Stan dziwnej nieprzytomności minął i ujrzał się w sali oświeconej i pełnej wesołości, widział mknące pary i siedzące pod ścianami panie i panów, słyszał różnego mazura i sam z wielką werwą i z życiem sunął przed siebie przytupując i bijąc hołubce. Okręciwszy Zosię, poszedł na rozkaz wodzireja szukać sobie damy do figury i z panią Różyńską stanął znów pośrodku. Zosia prowadziła już także kogoś i znowu wykrecono jakąś skomplikowaną figurę i znowu znaleźli się we dwoje na swoim miejscu, ale on już zupełnie odzyskał przytomność i rozpoczął rozmowę zapytaniem:

— Cóż, jakże? Wesoło?



Ona zaś z zapalem, wznosząc ku niemu niebieskie oczy, zaczęła mówić, że nie wyobrażała sobie, aby to było tak przyjemnie, tak wesoło! O, chciałyby, żeby ten bal nigdy się nie skończył.

— Pani tak mówi, bo to pierwszy bal. A potem, jak pani pojedzie gdzie na karnawał, to zacznie wybredzać i krzywić się na takie wiejskie zabawy.

— A nie, nigdy nie będę wybredzała! Nigdzie lepiej być nie może, bo tu wszystko śliczne. A zresztą, ja nie pojedę wcale na żaden karnawał, bo mama zabiera mnie z sobą do Rzymu.

— Do Rzymu?

— A tak. Pan nie wie? Pojedziemy w tym roku do Rzymu na całą zimę. Ja uczyć się będę jeszcze włoskiego, muzyki i różnych rzeczy, i zwiedzać będę galerie i muzea, i wszystko. A mama będzie zakładała nowy zakon, razem z Terenią.

— Jaki zakon? Co pani opowiada? Nic nie rozumiem.

— No, zakon. Taki klasztor, polski zakon, który będzie walczył za Kościół rzymskokatolicki. Mama i Terenia wstąpią potem do zakonu, jak on już będzie. Ale pierwszej trzeba dostać pozwolenie od papieża.

— Ale na cóż to?

— Jak to? Przecież wszystkie zakony są na coś potrzebne. A ten będzie walczył za Kościół, ale ja to panu kiedyś wytłumaczę, bo teraz i sama niedobrze rozumiem. Mama mi tłumaczyła, ale ja wtedy byłam taka zasmucona i tak chciałam płakać, że niedobrze słuchałam.

— Więc panią to smuci?

— To, że mama wstępuje do klasztoru? Bardzo mnie to smuci. I twarz jej, taka jasna przed chwilą, spoważniała.

— Bo, wie pan, ja zupełnie o czym innym marzyłam... Przecie panu mogę to powiedzieć, ja zawsze marzyłam o tym, że mama wróci i Terenia także, i że zamieszkamy razem w Białym Dworze. Ja tak lubię Biały Dwór! I tak by nam było dobrze tam razem! I przynajmniej byłabym użyteczna.

— Pani tak chce być użyteczna?

— Tak. I chcę, i muszę. Bo, wie pan, ja i Ania zrobiłyśmy postanowienie, prawie jakby przysięgę, bo to było w kościele, że nie będziemy egoistkami, ale że przez całe życie pracować będziemy dla społeczeństwa. A teraz —dodała Zosia po chwili —ja nie wiem, jak to będzie, bo cóż ja mogę zrobić dla społeczeństwa siedząc w Rzymie?

Milczała chwilę i zaśmiała się:

— Ale po co ja takie rzeczy panu opowiadam! Pan pewnie powie, że to są pensjonarskie mrzonki, bo jak taka dziewczyna jak ja może coś zrobić dla społeczeństwa!

— Nie, tego nie powiem — rzekł Jerzy poważnie.

— A ja miałam już cały plan gotowy, gdybyśmy zamieszkały w Białym Dworze, i babunia mówiła, że dobry. Mnóstwo rzeczy bym robiła... a teraz...

— Przecież pani w Rzymie nie zostanie na wieki.

— Nie, ale w Białym Dworze nie osiadziemy. Już ja nie wiem, jak będzie. Ten mamy projekt wszystko popsuł...

Zosia zapomniała na chwilę o wrzącej dokoła zabawie i zamyśliła się, ale nadeszła znowu ich kolej i musieli wstać i tańczyć, więc poważne myśli rozleciały się i pomknęły w oświetloną przestrzeń.

Mazur panował. Nie było to już upojenie walca, ani towarzyskie gwarzenie wesołego kontredansa. Rażne, męskie akordy, budzące do czynu, do zuchwałości, do hulaszczey swobody, rwały się i dźwięczały, ale wnet ginęły i rozpływały się w cichych dźwiękach, w zachwyconym szepcie, w akcentach czułych i rzewnych. Buta i porywczosć, hardosć i duma gięły się i korzyły, i zmieniały się w zalotne słówka, i sypały jak perełki do drobnych stóp niewieścich. Wyburzyła namiętnosć ozwała się gwałtowną nutą, ale wnet milkła, a natomiast szła wesoła gawęda, przekomarzanie się, półsłówka i półwestchnienia. I sunęły pary po sali, dama zawsze pierwsza, na przedzie, wiodła rej w tańcu, trochę ku mężczyźnie pochylona, trzymając za rękę z

daleka, a jednak wciąż prowadząc za sobą, ponętna a niedostępna, dająca się tylko na krótką chwilę porwać w ramiona i wykręcić w szalonym młyńcu — i znów pomykając na przeciwną stronę, i znów kryjąc się przed nim, i uciekając od niego. Ożywienie wzrastało. Upajały się głowy, spojrzenia stawały się rozmarzone. Wysuwające się z kątów pary miały rumieńce na twarzach i oczy błyszczące, a czasem na czołach osiadały im jakieś myśli poważne, wywołane poufną rozmową we dwoje. A głos Robickiego wciąż grzmiał komendą:

— Kółeczko! Koszyczek! Chainé!... Z życiem! Z życiem, panowie! Gdy znowu Zosia z Jerzym wrócili na miejsca, ona rzekła:

— Ale niech pan nie mówi nikomu o tym, co ja panu powiedziałam. Będą śmiać się...

— Nie, nikomu nie powiem, to zostanie między nami. Przyjemnie mu było wymawiać te słowa: między nami. Zdawało się, że jakaś nić tajemnicza zawiązuje się rzeczywiście między nimi.

— I niech pan sam także nie śmieje się ze mnie.

— Ja? Nie. Owszem, chciałbym sam móc złożyć taką przysięgę.

W jego aksamitnych oczach zapaliły się iskry i usta mu drżały trochę, gdy powtórzył: chciałbym... O, tak, dusza mu się rwała do tego, aby tu, w jej ręce, złożyć przysięgę, że zostanie, że pracować będzie, że każdą myśl, każdy trud, każdy czyn swoim poświęci. Przysięgę wykonałby święcie. Przez chwilę przemknął mu w myśli obrazek marzenie: on z nią, ręka w rękę, serce przy sercu, idą przez życie drogą stromą i ciężką, ale umiłowaną, idą razem, oparci o siebie, złączeni w jedną działającą i tworzącą istotę — razem cierpią, razem się trują i razem spoglądają w przyszłość, gdzie błyska może promyk nadziei... Obrazek marzenie przesunął się i znikł, a natomiast stanął obrazek rzeczywistość: starzejąca się ciotka, wyczerpana pracą dla niego, blada córka Pawiowej, siedząca nad igłą — i słowa matki: oddasz im to, jak wyrośniesz. A przede wszystkim cięższa od wszelkich długów i bardziej mu utrudniająca

życie — ta miłość jego, głupia, beznadziejna miłość, która mu odbiera siły, zatruwa młodość — i zrobić z niego może niedołęgę, niezdolnego do żadnego czynu. Praca! Użyteczność! Cele społeczne! Niech o nich myślą ci, którzy nie mają nieszczęśliwej miłości w sercu i ojcowskich długów do spłacenia. Pierwszy jest obowiązek porządnego człowieka, a potem już niech idą obywatelskie czyny, ludzkość, patriotyzm, społeczeństwo. Móc się im oddać — to także jest czasem zbyt niedostępny. On i na to nie może sobie pozwolić — ma własne rozbijało uczucia do poskromienia, ma do ocalenia swą męską godność, ma długi — ma starą ciotkę, więc co mu pozostaje? Uciec jak najdalej i robić pieniądze.

A może kiedyś...

Zosia jednak czekała odpowiedzi.

— Chciałby pan? Więc czemu? — Podniosła głowę i zajrzała mu w oczy, ale aż się przeraziła, takie te oczy były smutne.

— Więc czemu? — powtórzyła ciszej.

Lecz już kobiecym instynktem odczuła jego ból, jego gryzącą troskę, beznadziejność wobec tego życia, które przed nim stawało groźne i ponure. I już kobiecym sercem współczuła mu, stawała u jego boku, pochylała się nad tą duszą cierpiącą, brała ją w swe dłonie i chciała przytulić, ogrzać i ukoić. Nęciła ją tajemnica tej biednej duszy, tak dumnie ukrywana, którą ona wyczuła w tej chwili i bezwiednie skłaniała się ku niemu jako pocieszycielka, siostra, obrońca. On to rozumiał, jakaś słodycz niezmierna rozlała się w jego sercu. Ale wnet przeraził się, byleby się nie zdradzić! Wszystko lepiej, niżli się zdradzić! Więc podniósł dumnie głowę i przybrał obojętną twarz.

Milczeli tak długo. Mazur huczał, pary przelatowały im przed oczami, a na nich ciążyła jakaś chmura, aż Zosia rzekła powoli, uroczyście:

— A ja panu mówię, że wszystko będzie dobrze.

— Wszystko będzie dobrze — powtórzył sobie Jerzy i czuł ze zdziwieniem, że wierzy w te słowa.

Więc po chwili mówić zaczęli o rzeczach obojętnych, po dawnemu, po przyjacielsku. Wymieniali uwagi, żartowali z siebie i z innych, wspominali dziecinne lata i było im dobrze razem. Tak dobrze, że zapomnieli

o rzeczywistości, o mijających godzinach i gdy wreszcie mazur się skończył

i dano hasło do kolacji, obojgu z ust wyrwał się okrzyk:

— Już? Tak prędko!...

### XIII

Pani Alina nie była zadowolona z pikniku. Zobaczyła całe miejscowe towarzystwo w komplecie, osądziła, iż jest ono bardzo ordynarne i przekonała się, że tu partii dla Zosi nie znajdzie.

Młodzież była to przeważnie studenteria na wakacjach, a kilku starszych i solidniejszych wcale nie myślało się żenić. Chański ramionami wzruszał i drwił sobie z wszelkich insynuacji; Niepohorski, dobra partia, był uznanym i nieodstępnym adoratorem pani Wiki; o malarzu Żurce nie było co mówić; Zawidowski może i wart zastanowienia, był zdaje się pod urokiem tej emancypantki, Meli; tylko hrabia Luboniecki... Dla niego może by i nie szkoda się pofatygować, bo i hrabia, i człowiek niezły, i pewne zasady najlepsze, i rói, i stosunki, a chociaż zachwiany mocno fundusz, ale zawsze pański fundusz i śliczna rezydencja pod Wilnem. Ale cóż, kiedy te hrabiowskie upodobania to zmienne jak marcowa pogoda. Dziś podoba się jedna, jutro już zapomni i za drugą goni. Że Zosia zrobiła na nim wrażenie, to pewne, ale na to jeszcze wcale liczyć nie trzeba, bo może to wszystko było tak sobie, a od podobania się do ożenienia nadzwyczaj daleka droga, a przy tym z Zosią bieda. Ona ma takie jakieś ordynarne gusta, które ją ciągną zawsze do tego, co jest mniej dystygowane. Na przykład, woli tańczyć z jakimś tam Leniewiczem albo z Jerzym Lipowskim niż z kimś poważniejszym, przedstawiającym coś na świecie. Gdyby chciała i postarała się choć trochę, mogłaby mieć powodzenie. I nawet je ma, ale w kółku studenckim. No i naturalnie, że tamci, solidni, widząc ją otoczoną takimi młodzikami podsunąć się nawet nie mają ochoty, bo przecież z nimi rywalizować nie będą.

O, nic dla panny niebezpieczniejszego, jak ten rodzaj powodzenia. Chwilowo to ją zadowala i nie stara się o względy innych, ale z czasem ta jej pozycja ustala się tak dalece, że nikomu na myśl nie przyjdzie o taką się postarać. Te wesołe, sympatyczne, podobające się i otoczone młodzieżą panny najtrudniej znajdują mężów.

Uwagi te i obszerne spostrzeżenia rozwijała pani Alina przed Teresą Leonią, gdy nazajutrz pod wieczór wyszły razem do ogrodu. I obie doszły do wniosku, że tu nic się nie znajdzie, i nie ma innej rady, jak Zosię zabrać do Rzymu. Wydać ją za mąż trzeba koniecznie i to im prędzej, tym lepiej. Wobec tych wielkich zadań, które na nie czekały, obecność w rodzinie panny na wydaniu była wprost niemożliwa, a ponieważ w Haliniszkach dłużej po dawnemu nie mogła zostawać, więc innej nie było rady, jak zabrać ją ze sobą, i tam, o ile można najprędzej, wydać. Naturalnie, wielkie to jest poświęcenie zajmować się sprawami światowymi, gdy całą myśl chciałoby się zwrócić w inną stronę, ale widać, że tak Pan Bóg chce i trzeba spełnić Jego świętą wolę. Szkoda też i pieniędzy na te fraszki, wtedy gdy tak potrzebne gdzie indziej, i gdy ich tak brakuje, ale i tu trzeba mieć nadzieję, że jakoś rzeczy się ułożą.

Na pikniku pani Alina zapoznała się bliżej ze starszą panną Grzałkowską, która sama zaczęła się rozpytywać o nowy zakon, i bardzo się nim zainteresowała. A że zna mnóstwo osób i obraca się w rozmaitych kółkach, więc pewnie zdoła dla Sióstr Bolejących pozyskać niejedną duszę.

— Daj Boże! — rzekła Teresa Leonia. — W każdym razie wątpić ani przez chwilę nie mamy prawa, bo wiemy, że Bóg nami się opiekuje i tak czy inaczej dojdziemy do celu. A co do Zosi, to tak będzie, najlepiej, gdy pojedzie z nami i tam jak najprędzej wyjdzie za mąż.

— Lękam się tylko, aby ona nie zechciała przebierać i czekać jakiejś nadzwyczajnej miłości. Te młode panny mają często na tym punkcie przewrócone pojęcia.

— O, na to nie pozwolimy — rzekła spokojnie Teresa Leonia. Tymczasem Zosia z Anią siedziały na niskim stołeczku u nóg babuni

i Zosia po raz dziesiąty opowiadała wszystko od początku. Babunia słuchała uważnie, a Ania co chwila przerywała opowiadania pytaniami:

— A jak Mela była ubrana? Jak wyglądał Żurko, malarz? A pani Wika, czy naprawdę taka ładna? A o czym Jerzy z Zosią rozmawiał podczas mazura?

A hrabia o czym? A Sienickie, czy miłe? A kto był najładniejszy z pań, a z panów?

— O, z panów, to nikogo nie było bardzo ładnego. Niepohorski przystojny i Staś Leniewicz także — kuzyn Robickich ładny, ale tak sobie, i ten malarz, jakiś oryginalny, ale niebrzydki. No i pan Różyński miły i śliczny.

— A hrabia?

— Nie, hrabia brzydki zupełnie, mały... w pincenez.

— I któż ci się najbardziej podobał, kochanie moje? — spytała marszałkowa.

— Mnie, babuniu? Ach, oni wszyscy bardzo mi się podobali! To znaczy ci, z którymi tańczyłam. Hrabia bardzo przyjemny i pan Zawidowski także, a Stasia Leniewiczza i Jerzego to ja zawsze bardzo lubiłam. I wszyscy inni także bardzo grzeczni i przyjemni.

— To jeszcze w nikim nie zakochałaś się, kochanie moje? — zażartowała babunia.

Zosia zaśmiała się.

— O, nie babuniu, ja nieprędka jeszcze się zakocham.

— I pewnie. Masz dość czasu jeszcze przed sobą.

— Tylko że mama i Terenia chciałyby, abym jak najprędzej wyszła za mąż, ja to wiem. Ale ja nie chcę i nie pójdę, aż mi się ktoś bardzo spodoba, ale to bardzo, bardzo. Prawda, babuniu?

— Tak, kochanie moje. Przyjdzie chwila, że powiesz sobie: ten albo żaden, to wtedy idź. Ale tak, przez wyrozumowanie, to grzech.

— Grzech, babuniu?

— A grzech, kochanie moje, względem siebie samej i względem niego, bo nie szukasz przeznaczenia i woli Bożej, ale jakichś tam postronnych względów i wygód, i jemu nie dajesz tego, do czego on ma prawo: serca całego.



— Jednak małżeństwo, babuniu, to rzecz straszna — rzekła po chwili Zosia.

— Straszna dla takiej, która w nim spodziewa się znaleźć rozkosze, a nie spełnienie obowiązku. A kto szuka naprzód woli Bożej, temu Bóg dopomaga i daje szczęście.

Zosia zamyśliła się. Patrzyła na ciemny profil babuni zarysowany na tle okna i myślała:

— A babunia, czy zawsze była szczęśliwa? Może... dziadunio taki dobry! Szukała woli Bożej, a Bóg za to dał szczęście... I głośno rzekła:

— Dobrze, że to jeszcze nieprędko będzie. Marszałkowa uśmiechnęła się.

— Nie ma, kochanie moje, do czego się spieszyć — rzekła gładząc jasną głowę wnuczki.

Wielka przyjemność już minęła. Białą sukienkę Zosi spakowano do kufra, obok rękawiczek i lakierowanych pantofli, i życie w Haliniszkach wróciło do normalnego trybu. Zosia wspominała wciąż jeszcze pyszną zabawę, ale nie przeszkadzało to jej w codziennych zajęciach. Gospodarowała pod okiem babuni, brała lekcje muzyki od pana Szrotta, a z matką rozpoczęła czytanie dzieł o Rzymie, aby się trochę przygotować do swej podróży.

Jerzy został odwołany do Wilna i musiał wyjechać nagle, nie żegnając się nawet z nikim. Wyjazd ten był spowodowany nadarzającym mu się korzystnym zajęciem. Chodziło o przygotowanie do egzaminu jednego chłopaka, za co miano mu dobrze zapłacić, więc gdy wyczytał tę propozycję w liście od ciotki — pomimo jej rady, aby jeszcze użył wakacji — zerwał się i tegoż dnia do Wilna podążył.

Chwila wyjazdu była dla niego ciężka, ale gdy się przemógł i wyjechał, poczuł jakby ulgę w sercu. Przebywając w sąsiedztwie Haliniszek, zapraszany tam często wraz z Suniżyckimi, w ciągłej bliskości Zosi, którą kochał, a której posiąść nie mógł nigdy, czuł się rozdrażniony, nieszczęśliwy i coraz bardziej

pograżał się w smutnych rozmyślaniach i przeczuciach. Widział swe życie, jakby wielką, mętną, ołowianą rzekę, która leniwe fale toczyła powoli, z wysileniem, ku morzu. A nad tą rzeką nie świeciło słońce ani jej brzegów nie pokrywała zieloność. Szła fala za falą automatycznym ruchem rzeczy martwej i ginęła w otchłani morskiej, i śladu po sobie nie zostawiała żadnego.

— To jest życie moje — myślał Jerzy. — Dzień za dniem płynie bez słońca, bez szczęścia, bez nadziei i tak będzie do końca, aż się wyleją wszystkie fale do morza wieczności i zakopią mnie gdzieś do ziemi, i nie zostanie po mnie nic... nic... Po co ta cała komedia? Po co z takim trudem wydobywamy się na świat, aby pożyć trochę, przemęczyć się lat kilkadziesiąt — i zgnieć. Po co to wszystko? I pomyśleć o tych miliardach ludzi, którzy na tej kuli naszej wysilają się, aby żyć, pracują, krzątają się, zameńczają, aby jak najdłużej utrzymać się na powierzchni i wszyscy kończą tak samo, między czterema deskami trumny. I tak jest od lat, ciągle to samo da capo, da capo. I każdy, kto się urodzi, rozpoczyna na nowo tę głupią farsę... I komu to wszystko potrzebne?

Gdy jednak się znalazł w Wilnie, we dwoje z ciotką, zrobiło mu się lepiej. Rozpoczął lekcje ze swoim uczniem i sam do nauki wziął się pilnie, starając się myśleć jedynie o egzaminach. Wprawdzie jasna twarz dziewczęcia towarzyszyła mu stale, niezapominajki jej oczu wyglądały zewsząd ku niemu, ale czuł się rzeświejszy, spokojniejszy i mógł oddać się nauce. A pod wieczór szedł sobie na odpoczynek gdzieś daleko za miasto, napawał się powietrzem i cudnymi widokami i wracał zgłodniały do domu.

Wilno do połowy sierpnia było puste. Dopiero gdy uczniowie zaczęli się zjeżdżać do szkół, zaludniło się trochę. Jaś Suniżycki przyjechał również, pełen obrzydzenia i pogardy dla swego gimnazjum i westchnień, aby już raz tę katorgę skończyć i być kimś, a nie „guzikiem”, jak go panny nazywały. Opowiadał bez końca o Bijuciszkach, Ucianach, Białogórze i Haliniszkach, tak że Jerzego zaczęła znowu dręczyć tęsknota. Potem przejazdem wpadli Edzio i

Emil po drodze do swych wyższych zakładów. Potem inni jeszcze przemykali, aż wreszcie i Jerzy skończył swoje zajęcia z chłopcem, zapłatę otrzymał i zaczął także wybierać się w drogę.

— Czy nie myślisz wpaść jeszcze do Bijuciszek na pożegnanie? — spytała ciotka.

— E, nie, nie potrzeba — odpowiedział zimno.

Panna Paulina spojrzała na niego uważnie swymi młodymi, żywymi oczami, które umiały do dna duszy jego dotrzeć, ale nic nie odpowiedziała i zakrzętnęła się około przygotowania bielizny na dzień wyjazdu.

Ale nazajutrz zaszedł fakt, który zmienił postanowienie Jerzego. Otrzymał list od dobrego znajomego, właściciela olbrzymich obszarów na Syberii, którego synów przygotowywał kiedyś do szkół i z którym odtąd miał dość bliskie stosunki. Zdarzało mu się parokrotnie mówić z nim o swych dalszych planach. Teraz znajomy ów proponował mu we własnych dobrach na Syberii miejsce od Nowego Roku z pensją rubli rocznie, mieszkaniem i opałem. Na podróż i pierwsze potrzeby wydzielano mu osobno pewną sumę. Chodziło o zaprowadzenie w tych syberyjskich puszczech leśnej gospodarki, o zbudowanie tartaku, smołami, dziegciami itd.

— Co myślisz o tym ciotuś? — spytał Jerzy podsuwając list pannie Paulinie.

Ta wzięła do ręki papier i czytała mozolnie obce pismo. Czytała tak długo, że wreszcie łzy zaczęły napływać do jej oczu i zasłaniały jej litery i mgła zakryła cały świat. Ale łzom nie pozwalała wytrysnąć, bo wiedziała, że będą one kroplami gorzkości w jego czarze, a i tak już czara ta nie była miodem nalana, więc siedziała nieruchoma, pochylona nad papierem, za mglistą przesłoną łez — i słyszała niespokojne kroki Jerzego wzdłuż i wszerz pokoju. Lękała się spojrzeć na niego.

Milczenie trwało bardzo długo. On zdecydowany był od razu. Wiedział, że jechać tam musi — przecież od tak dawna świadomość ta nie odstępowała

go ani na chwilę! Pojedzie — przez kilka lat żyć będzie byle jak i za byle co, a długi spłaci, z serca zrzuci kamień — i wtedy powróci. I tak będzie najlepiej. Dwa tysiące pięćset! Toż to suma niemała — i tu w kraju trzeba by latami czekać na coś podobnego. Więc jechać — jechać stanowczo, a im dalej, tym lepiej. Może tam, wśród pustyni bezgranicznej, wśród lasów dziewiczych i dusza znajdzie spokój, i serce uwolni się z nieszczęsnych więzów. Tylko ciotki było mu żal — żal tego starego zacnego serca, które mu się tak zupełnie oddało, żal tego domu, który był jego domem, i w którym nigdy nie poczuł sieroctwa...

Ukląkł przy niej, objął ją i głowę położył na jej kolanach. Jak wtedy, gdy był mały i miał zmartwienie jakieś, a duma nie pozwalała mu się skarżyć, kładł cicho głowę na kolanach ciotki i klęczał tak, milczący, a ciotka wiedziała, że pytać nie trzeba, tak i teraz długo milczeli razem, łącząc się we wspólnej myśli we wspólnym cierpieniu. Gdy wreszcie Jerzy zaczął jej ręce całować, a ona już miała oczy suche i rzekła tylko:

— Jedź, a jakże..., kiedy trzeba, to trzeba.

Przed wyjazdem ostatecznym i na lata całe, bo po zdaniu egzaminów już tu wracać nie warto było — wypadało pożegnać się przynajmniej z Suniżyckimi, więc Jerzy w parę dni potem zabrał się z wracającym bijucińskim pisarzem i wyruszył na ostatnią w tamte strony wędrowkę.

Jesień już była. Lasy mieniły się rdzawymi barwami, a klony przy drogach stały całe w złocie i jarzębina rozwieszała na niebie pęki swych koralii. Na rżyskach pasły się trzody i bieleły stada owiec. Jadąc czuł Jerzy, że mu ten kraj, to rodzinne niebo, te widoki rozległe droższymi są nad wszystko w świecie. I nigdy tak wyraźnie nie słyszał głosu tej ziemi, która mówiła mu cichą mową. Nigdy jeszcze, tak jak w tej chwili odlotu, nie czuł się jej synem, ulepionym z jej gliny, wykarmionym jej chlebem, jej czystą rosą i jej płodami, wykołysanym szumem jej lasów, ożywionym jej bujnymi wiatrami — zrosłym z nią wszystkimi fibrami swej duszy.

A jednak, zegnał ją na długie, długie lata...

W Bijuciszkach było pusto po wyjeździe chłopców. Pani Suniżycka i Mela ogromnie się ucieszyły z jego przybycia, a gdy się dowiedziały się o jego wyjeździe na Syberię, wpadły obie w najczulsze dla niego usposobienie i pieściły go na wyprzódki, jak Mela mówiła, na zapas. Znosiły mu doskonale przysmaki, bawiły go opowiadając nowinki i ploteczki sąsiedzkie, nie odstępowały prawie wcale. Ale on, choć mu dobrze było z nimi, milczący był, jakiś roztargniony i niechętnie mówił o sobie. Obie panie odczuły prędko jego wewnętrzną melancholie i nie dokuczały mu pytaniami, a owszem, starały się go rozerwać. Meli przychodziło to zaradnością, bo sama była jakaś zadumana, trochę smutna, trochę rozmarzona. Lecz pan Suniżycki nie wdawał się w te wszystkie finezje, a że z racji podagry był w złym humorze, nie krępował się bynajmniej i roztaczał przed Jerzym własne swe nieskończone żale i gorzkie narzekania na zły los, na ludzi, na ciężkie czasy, ślepotę fortuny i na niemożliwość gospodarowania w tym kraju.

Jerzy nie odpowiadał już na takie argumenty. Myślał tylko, że los jest dziwnie niesprawiedliwy dając skarby tym, którzy z nich nie umieją zrobić żadnego użytku.

Gdybym posiadał choć czwartą część Bijuciszek, wzdychał chodząc po pustych teraz polach ze strzelbą na ramieniu, jakież inne byłoby moje życie! Ile jest szczęścia w posiadaniu choć małej części tej świętej ziemi naszej, ten tylko rozumie, kto patrzy na nią z bliska, obcuje z nią, trzyma ją prawie w objęciach, a wie, że nigdy jej nie posiadzie.

Na drugi dzień po jego przyjeździe Mela zaproponowała przejażdżkę konno. Miała nowego konia pod siodło, wyhandlowanego od Niepohorskiego przez ojca za parę podjezdzków, i chciała się nim popisać.

— Pojedziemy przez Białogórę — rzekła wsiadając — to może wpadniemy do proboszcza. Przecie trzeba, żebyś się z nim pożegnał.

— A dobrze, bo wiesz, że pojutrze wracać muszę.

— Jak to, tak prędko! Ja myślałam, że z tydzień zabawisz.

— Nie, muszę. Czas już.

— Ale, to trzeba, żebyś i do Haliniszek pojechał pożegnać się. Zosia i tak już zła na ciebie, żeś nie był na św. Annę.

— Zła na mnie! Cóż jej na tym zależało...

I Jerzy pochylił się nad końskim karkiem, i zaczął trzęsę poprawiać. Czuł, że ma jakiś wymuszony uśmiech na twarzy i to go gniewało, tym bardziej że Mela nie spuszczała z niego oka jakby badając.

Wreszcie rzekła:

— Widać, że jej na tym zależało, bo mówiła po kilka razy, że nie przypuszczała, abyś wyjechał bez pożegnania i że to bardzo niegrzecznie, a więc teraz trzeba być. Pojedziemy jutro zaraz po obiedzie. Zresztą, ja chcę im pokazać mojego Bohuna.

Jerzy nie miał zamiaru być w Haliniszkach, ale gdy Mela projekt zrobiła, a nazajutrz kazała konie osiodłać i sama ukazała się na ganku w amazonce, gotowa do drogi, on poczuł jakieś radosne trzepotanie w sercu i zrozumiał, że odjechać bez ujrzenia jej choć raz jeszcze byłoby próżnym i zbytecznym okrucieństwem.

— Niech ją zobaczę jeszcze raz taką, jaka dziś jest przed wejściem na wielki świat! Potem ona się zmieni i nie będzie tą samą Zosią. Zakocha się, wyjdzie za mąż i będzie po wszystkim.

Lękał się tylko, aby rozmowa o jego wyjeździe nie zatrąła mu ostatnich chwil. Chciał je spędzić promiennie, bez tego widma zimnego, co by musiało rzucić cień dookoła. Nie chciał widzieć chmury na jej czole ani smutku w jej oczach, nie chciał też sam się narażać na niebezpieczeństwo serdecznych pożegnań, więc rzekł do Meli:

— Wiesz co, nie mówmy o tym miejscu na Syberii i o tym, że zupełnie wyjeżdżam. Będą się rozpytywać i robić uwagi. Na co mi to? Lepiej niech się potem dowiedzą, jeśli to ich obchodzi.

— Jak chcesz — rzekła Mela. — Może i lepiej.

W Haliniszkach panienki siedziały na ganku zajęte gospodarską robotą: drylowaniem berberysu na konfitury; ręce ich były całe różowe od ściekającego soku. Wielki kosz do połowy już opróżniony stał przed nimi, a każda trzymała na kolanach salaterkę z obranymi już jagodami. Na fotelu, w głębi, dziadunio palił cygaro, zasłonięty ogromnym arkuszem papieru. A słońce przedzierało się przez liście dzikiego wina, czerwonego już od jesiennych nocy, i rzucało wielkie złote plamy na pochylone nad robotą głowy.

Zosia na widok nadjeżdżających zerwała się z radosnym krzykiem:

— Ach, Mela! I Jerzy! Co za szczęście! I jaki śliczny koń, zobacz, Aniu. Nie, nie mogę panu podać ręki, bo jestem cała w soku. Jak to dobrze, żeście przyjechali! Siadajcie, my zaraz skończymy.

Zjawił się chłopiec, który konie zabrał, i towarzystwo umieściło się na ganku, koło kosza z berberysem. Marszałek przysunął się z fotelem, rad z gości, a Ania rzekła:

— Nie możemy przerywać naszej roboty, bo babunia kazała skończyć dzisiaj, ale to nic nie szkodzi, rozmawiać i tak możemy.

— Ja wam pomogę — zawołała Mela zrzucając rękawiczki.

I robotą w jej białych rączkach poszła żwawo, a i języczki nie ustawały ani na chwilę. Mówiono o sąsiadach, o nowinkach wileńskich, o książkach przeczytanych, o polityce nawet. Wspominano pilnik i niedawne imieniny babuni, na które nikt nie przybył, prócz proboszcza, a wreszcie zwrócono się ku przyszłości.

— Co będzie od dzisiaj za rok? — spytała nagle Mela.

I wszystkie twarze spoważniały. Marszałek westchnął głęboko i zwiesił głowę na piersi. Za rok! Czy będzie on jeszcze wśród żyjących, czy może już żółty piasek cmentarny zakryje przed nim świat, ten marny świat, a jednak ukochany? Oczy jego popatrzyły w dal, ogarnęły czułym wzrokiem to

otoczenie takie ulubione i błdziły po drzewach ogrodu, po zabudowaniach gospodarskich i po ciągnących się po niebieskawą dal poletkach.

Ania znad gałązek berberysu też podniosła oczy, w których zapaliły się ognie. Przez te dwa okienka wyjrzała jej dusza stęskniona, rwąca się ku niebu, palająca zaziemską miłością — usta jej rozchyliły się półuśmiechem, zadrżały żądzą, a w myśli powtórzyła:

— Idę, Panie Jezu, idę — może za rok — może już będę Twoja...

— Za rok! — pomyślała Mela i spłonęła jak wiśnia. Ej, czy mi się nie wydaje? Może to wszystko sen... — I jeszcze szybciej drylowała czerwone jagody, które jak krople krwi padały przed nią do talerza.

— Za rok! — I Jerzy oparł głowę na rękę i zasłonił sobie oczy. On czuł i wiedział, że za rok źle mu będzie. Oddalenie, ciężka praca, niepewność jutra i samotność! Oto, co go czeka. Nie zasiądzie już wśród swoich pod litewskim niebem, w tych promieniach słońca jesiennego, co kładły dokoła czerwone i złote blaski, i grzały nie tylko ciała, ale i serca. Nie będzie karmił wzroku tymi widokami, z którymi od dzieciństwa zżyły się jego oczy. Nie odetchnie tym powietrzem rodzinnym, które mu niosło zapachy łąk i borów. I nie spoczną jego oczy na złotej główce dziewczyny, która mu była droższa nad wszystkie skarby świata, i nie dotknie jej ręki. Za rok ona może tę rękę złoży w innej dłoni i pójdzie z innym w życie, które się przed nią roztoczy szeroką drogą. A on?...

A Zosia tymczasem myślała:

— Za rok już będę z powrotem w domu i wszystko będzie jak teraz. Byleby babunia, dziadunio i Ania byli zdrowi! Opowiadać im będę o całej podróży, o Rzymie i o wszystkim, i będzie znowu nam dobrze. Chociaż... tak przecie nie może być przez całe życie, coś musi się zmienić... — I nagle ta oczekiwana zmiana ją zasmuciła, myśl jej zatrzymała się stropiona przed tą wielką zagadką, która stawała przed nią; przepaść mgłą zasnuta otwierała się u jej stóp, a po tamtej stronie co było? Kto był?



Podniosła głowę i ujrzała smutną rezygnację na twarzy dziadunia, zachwycone oczy Ani wznoszące się ku niebu, tajemniczy uśmiech na ustach Meli i zwieszoną głowę Jerzego.

— Każdy co innego czuje na myśl o przyszłości — pomyślała — ale Jerzemu najgorzej. Biedny on, pewnie pojedzie gdzieś na koniec świata i teraz myśli, że za rok będzie gdzieś daleko, sam bez żadnej bliskiej duszy. Ach, biedny on, biedny!

A wtem on podniósł oczy, spotkały się ich wejrzenia — jego zbolące i smutne — jej pełne współczucia i siostrzanej dobroci. Jego oczy mówiły: pragnę ciebie, pożądam, ale odchodzę bez słowa i bez promyka nadziei.

A ona odpowiadała: powiedz tylko, czego ci trzeba — mam w sercu nieprzebrane skarby — otwórz to serce i czerp zeń do syta.

Milczenie trwało już długą chwilę i tylko słychać było świergot wróbli pod dachem, gdy wreszcie marszałek westchnąwszy rzekł:

— Tout passé, tout casse, tout lasse— tak, tak, moi państwo!

— Są rzeczy, które nie przechodzą — szepnęła Ania.

I jakby wywołana jej słowami na ścieżce wiodącej od folwarku ukazała się marszałkowa.

Szła powoli opierając się na kij, zgarbiona i drobniutka na tle słońcem zalanej przestrzeni, ale posuwała się naprzód miarowo, bez wahania. Nic jej nie złamało, nic jej nie zniechęciło, a chociaż dokoła ludzie i rzeczy mijaly, ona trwała. I dziś tym młodym, którzy na nią z ganku patrzyli owiani smutkiem rzeczy mijających i niepewnych, ukazywała się ta postać babuni już nie jako wątła staruszka, którą lada tchnienie unieść mogło, ale jako wcielenie ich ukochania, ich najgłębszych przywiązań, ich nadziei i wiary — jako znak widomy tego wszystkiego, co pomimo niestałości wszelkich rzeczy ludzkich, pomimo ruin i zniszczenia, wiecznie trwa i trwać musi na wieki.

Babunia szła powoli z kluczami w ręku, a gdy dostrzegła gości na ganku, uśmiechnęła się do nich przyjaźnie. Mela i Jerzy skoczyli na powitanie.

— Anuleczko, pani moja — rzekł marszałek zbliżając się. — A wiesz, nad czym rozmyślaliśmy? Ot, myśleliśmy, co będzie z nami za rok? Powiedzże nam Anuleczko, co będzie? — I wzięwszy żonę za rękę patrzył na nią staruszek na wpół żartobliwie, a na wpół trwożnie.

Ona zaś ogarnęła ich wszystkich spojrzeniem pełnym czułości, a rozumiejąc, że przeleciała nad nimi chmura niepewności, melancholii i trwogi, rzekła spokojnie:

— Ot, kochani moi, macie nad czym rozmyślać! Co będzie za rok? Będzie to, co Pan Bóg da — nic więcej.

I powolnym krokiem podążyła do lodowni, ale za nią została smuga ciszy i ufności, jakaś jasność kładła się na wzburzone przed chwilą dusze, i głowy się podnosiły, i usta zaczynały się uśmiechać.

Panienki skończyły drylowanie berberysu i znikły gdzieś wraz z koszem, talerzami i salaterkami, i Jerzy pozostał przez chwilę sam.

Ale niedługo ukazała się zza oficyny Dianka w podskokach, a za nią wysunęła się postać pana Adama. Wracał z pola, gdzie kopano kartofle, zgrzany był i ochrypnięty od ciągłego nawoływania i krzyku. Ucieszył się na widok Jerzego.

— A toż straciliśmy już nadzieję! Myśleliśmy, że pojechałeś sobie. Dobrze, że się jeszcze widzimy.

Usiadł ciężko na ławce, odsapnął, zapalił papierosa i dodał:

— A mam nawet trochę interesu do ciebie. Ot, tak nie szkodziłoby pogadać, kupić nie kupić, a potargować można. Przyszła mi do głowy jedna kombinacja, ciekawym, co powiesz.

— Słucham.

— Bo to, widzisz — zaczął pan Adam, pochylając się przez stół ku Jerzemu i podnosząc na niego swe wiecznie stroskane oczy — widzisz, co do tej gospodarki w Białym Dworze. Antoniowa wiadomo, baba, a w dodatku dewotka, a Terenia jeszcze gorsza, myślą, że tam skarby nieprzebrane. Dawaj

i dawaj! A teraz jeszcze klasztor jakiś wymyśliły, słyszałeś! Licho wie co. I na to potrzebują bez końca pieniędzy. Dom w Wilnie pojechały teraz sprzedawać. At, powariowały z kretesem! Otóż i z Białym Dworem czyste utrapienie. Niby to ja tam gospodaruję. Ale im ciągle mało i mało. Mówią: żyć nie mamy z czego, więc włączymy w długi i z Białego Dworu ciągniemy, co tylko się da i ciągle źle. Więc ja sobie pomyślałem: wydzierżawię ja ten Biały Dwór — to i sam odpocznę, i przynajmniej dochód będzie wiadomy, określony, może i one się uspokoją, może potrafią zastosować się, i choć dla Zosi uratuje się cokolwiek. Nieprawdaż — co?

— Zapewne. Łatwiej się zastosować do określonego dochodu, ale czy pan znajdzie porządnego dzierżawcę? Niełatwa to rzecz — odparł Jerzy, a w duchu myślał:

— Po co on mi to wszystko opowiada? Co mnie to może obchodzić?!

I już niezbyt uważnie słuchał dalszej mowy pana Adama, tym bardziej że w tej chwili Zosia z Melą ukazały się wśród bzów i szły w głąb ogrodu trzymając się za ręce. Nachylone były ku sobie ich główki i zdawały się coś sobie szeptać do ucha. Na jasnej sukni Zosi i na amazonce Meli słońce kładło poprzez gałęzie drzew czerwone blaski i migały ich postacie to w cieniu, to w jasności i zmniejszały się w oddali, aż gdzieś znikły zupełnie. I wtedy Jerzy usłyszał nad sobą słowa pana Adama:

— Uczciwy jesteś, to wiem. Pracowity, akuraty, a że znasz się na agronomii, to i dla własnej korzyści niszczyć nie będziesz majątku.

— Ja?! — zawołał Jerzy zaczynając rozumieć. Pan Adam zaśmiał się:

— Śpisz, czy co? Toż ja o tobie mówię. Pomyślałem sobie: kończy nauki, co ma się poniewierać gdzieś na służbie, lepiej niech bierze Biały Dwór na jakie dwanaście lat w dzierżawę. Mnie kłopot z głowy spadnie, a on sobie zarobi. Pierwszych kilka lat, ma się rozumieć, zarobku nie będzie, ale przeżyć jakkolwiek, przeżyjesz. A za jakie cztery, pięć lat to i odłożysz cokolwiek i z czasem możesz zrobić niezły interes.

Jerzy utkwiał oczy w twarzy pana Adama. Coś mu w głowie huczało i serce tłukło się w piersiach gwałtownie. Wziąć Biały Dwór i zostać tu blisko wśród swoich, oddychać własnym, rodzinnym powietrzem, pracować na tej swojej ukochanej ziemi i czasem widzieć ją, tę złotą główkę dziewczęcą. Boże, to szczyt marzeń!

Pan Adam tłumaczył tymczasem, że inne dzierżawy wymagają kapitału, inwentarza, itd., inwentarz jest w porządku, weźmie pod rejestrem, a po terminie odda w tej samej cenie, w tej samej ilości. Zasiwy też weźmie, a potem będzie obowiązany oddać, więc tylko trzeba mieć jakie parę tysięcy, aby lato przebyć, robotnika opłacić, to, owo, do jesieni przebiedować. A toż nie wielkie rzeczy. Nawet, gdyby do tego przyszło, to by i pożyczyć warto. I można by się wystarać na niewielki procent.

Jerzy głowę spuścił i słuchał. Tak, można by... Można by zamienić projekt wyjazdu na życie pożyteczne, miłe, szczęśliwe prawie. Można by zamiast tej strasznej tęsknoty wśród obcych tu mieć rodzinę, przyjaciół życzliwych. Można by, gdyby nie długi ojcowskie i gdyby nie ona! Tak, dzieci Pawiowej nie powinny na swą należność czekać ani jednego dnia dłużej niż było to możliwe. Nie godziło się dla osobistych względów ich dobrobytu odkładać na lata. Przyjmując miejsce na Syberii spłaci ich w ciągu lat paru. Tu pozostając może minąć i pięć, i dziesięć lat, zanim taką sumę zdoła odłożyć. A ona, a ta nieszczęśliwa miłość, od której szukał wybawienia? Dla niej to właśnie postanawiał tak niedawno jeszcze odjechać daleko, uciec gdzieś na krańce świata i tam otrząsnąć się, wyleczyć, zapomnieć. Czuł, że ta dziewczyna zajęła w jego życiu zbyt ważne miejsce, że działa na niego zbyt silnie, aby mógł pozostać blisko. Czuł, że pod wpływem tej miłości podsycanej ciągle, a nigdy nie zaspokojonej sam zniedołężnieje, zmarnuje siły i zdolności w próżnym wzdychaniu, że stanie się jak listek miotany każdym powiewem wiatru. Ze wstydem sam przed sobą musiał wyznać, że w jej obecności był do niczego. A czy miał prawo poświęcić godność swoją człowieczą, męską dumę i

najcenniejszą cząstkę swej moralnej istoty dla jakiegoś całkiem niedoścignego ideału, dla jakichś romantycznych upojeń, które nigdy, nigdy przybrać nie mogą realnej treści. Czy w chwilach trzeźwości nie powtarzał sobie tego po tysiąc razy, że tylko w oddaleniu, w ucieczce był dla niego ratunek, że z dala od niej odzyskiwał energię i siłę do życia. Tyle razy przekonał się o tym dowodnie, tyle razy powtarzał sobie, że nie powinien jej widzieć nigdy. A teraz miałby siebie dobrowolnie skazywać na tę stałą i nieprzerwaną, chociaż słodsza nad wszystko męczarnię? Miałby krwi swojej serdecznej dać sączyć się co dzień po kropelce i marnieć bez czci, bez pożytku? Miałby świadomie obrócić się we wzdychającego Adonisa, w złamaną duszę, miałby usychać z miłości beznadziejnej przez całe życie? Nie. Był przecież mężczyzną i swoje ja cenił zbyt wysoko, aby się na to skazywać. Jeśli się zakochał nieszczęśliwie, tym gorzej dla niego, ale nie da temu uczuciu wyłamać się spod swej woli, zapanować nad sobą i zwichnąć swojego życia. Użyje radykalnego środka, wyjedzie na kraj świata i nie podda się.

Wtem wśród drzew zabłysła znowu jasna sukienka i czarna amazonka i panienki wysunęły się na ścieżkę. Szły z wolna, wciąż zajęte rozmową. Mela, niższa i drobna, wznosiła głowę ku Zosi. Ta patrzyła na nią z góry, obejmując ją ramieniem. Obcisła suknia rysowała jej kształty falistą linią i za każdym krokiem rozsypywała się w fałdach koło jej nóg. Grzywka rozrzucona tworzyła jej nad czołem złocistą aureolę. I posuwała się tak naprzód, spokojna, jasna, zwycięska w swej dziewiczej nieświadomości.

A Jerzy patrzył — i ogarniało go drżenie tak silne, że ujął obiema rękami poręczę fotela, aby się nie zdradzić.

Wreszcie doszła do ganku i podniosła oczy. Po raz drugi dzisiaj spojrzenia ich się spotkały, ale tym razem musiały oczy jego być dziwnie wymowne, bo ona się zatrzymała, chwilę stała nieruchoma i nagle, spłonawszy jak róża, twarz zakryła rękami i uciekła.

— Zosiu! Zosiu! — ozwał się za nią głos Meli. — Gdzie lecisz! Poczekaj!

Jerzy przymknął oczy. Nie znana mu dotąd fala rozkoszy w nim wzbierała. Pierś rozszerzała się dumą i upojeniem. Miał przez chwilę niejasne uczucie, że dokonał jakiegoś zwycięstwa, że coś zdobył, coś posiadał, ale zarazem czuł, że jest głupi, śmieszny, dziecinny i czuł, że bronić się musi, więc wyprostował się, przeciągnął ręką po czole i rzekł do siebie:

— Trzeba uciekać.

— No i cóż? — spytał pan Adam, zapaliwszy drugiego papierosa. — Pomyślisz nad tym, co proponuję, co?

— Panie Adamie — rzekł Jerzy — niech pan wierzy, że jestem bardzo wdzięczny, doprawdy, to dowód uznania, na który zdaje się nie zasłużyłem. Interes to byłby też dobry, dziękuję panu bardzo...

— Mniejsza o te grzeczności. Więc zgadzasz się?

— Nie mogę.

— Co?

— Nie mogę.

Na twarzy Jerzego odbiła się taka boleść, gdy to mówił, że pan Adam to zauważył.

— Bój się Boga — rzekł. Co ci jest?

On się przeraził, że da postępowaniem swoim powód do jakichś domysłów, więc odzyskał panowanie nad sobą i rzekł zimno:

— Nic mi nie jest. Żałuję bardzo, że o tej dzierzawie i myśleć nie mogę, ale przyjąłem już miejsce na Syberii, u Mielina. Zresztą i tak bym nie mógł...

Kłamał, gdyż odpowiedzi na Syberię nie wysłał jeszcze i trochę się mieszał, starając się znaleźć przyczyny.

Pan Adam spojrzał pytająco, chciał coś jeszcze powiedzieć ale spotkał się z tak zimnym spojrzeniem Jerzego, że zamilkł.

— Może się czegoś młokos obraził — pomyślał otaczając się kłębamii dymu. — Czyja wiem? Ci ludzie dzisiejsi jacyś dziwni. A szkoda...

Podczas wieczery rozmowa wlokła się leniwie. Wszyscy byli bez humoru. Ryzykowne projekty pani Aliny niepokoiły całą rodzinę. Właśnie czekali jej powrotu z Wilna, dokąd wyjechała przed paru dniami zwabiona wiadomością o nowym kupcu na dom, z mocnym postanowieniem sprzedania za jaką bądź cenę. To uszczuplanie funduszu i tak już nadwreżonego nie mogło obaw nie budzić, więc twarze były zamyślane i zasepione czoła. Rozmowa co chwila się rwała. Wszyscy radzi byli, gdy oznajmiono, że konie podeszły, Mela wstała zaraz mówiąc, że muszą wracać wcześniej, bo Jerzy jutro rano wyjeżdża. A Zosia i Ania zawołały, że ich przeprowadzą do aż mostu w alei, bo taki cudny wieczór, że będzie przyjemnie przejść się, więc chłopiec prowadził konie naprzód, a panny i Jerzy poszli za nimi.

Na zachodzie paliła się jeszcze łuna czerwona, odbijając się w szerokiej szybie jeziora, a wyżej niebo mieniło się różową i seledynową barwą, aż z przeciwnej strony wpadało w szafir głęboki i zimny. Wśród tego szafiru płynął wielki srebrny księżyc. W jego świetle drzewa i krzewy potrząsały bladymi koronkami liści, cienie wydawały się niezgłębione i tajemnicze, zielone blaski leżały na trawnikach, powietrze było przesycone srebrzystym pyłem.

Mela z Anią poszły naprzód, a Zosia zbliżyła się do Jerzego.

— Pan dzisiaj taki smutny! — rzekła nieśmiało. — Czy panu tak ciężko odjeżdżać?

Nie pamiętała już o tym nagłym zawstydzeniu, które ją tam przed gankiem ogarnęło dzisiaj. Przyszło coś raptem i przeszło. Ot, głupstwo, znalazła się jak dziecko, aż śmiesznie, doprawdy. Nie, teraz myślała o nim. Mela jej powiedziała o jego wyjeździe i on tak dziwnie wyglądał przy wieczery, z tymi zaciśniętymi ustami, z tą zmarszczką na czole. Rozmawiał nawet, ale jakoś inaczej, może był chory, może był smutny, żal mu było odjeżdżać? A odjeżdża na tak długo, rusza gdzieś tak daleko i tam będzie sam. Ciotkę porzuca, i przyjaciół, i wszystkich swoich... Biedny on! Serce jej wezbrało współczuciem, więc zbliżyła się jeszcze i powtórzyła:

— Czy panu tak ciężko odjeżdżać?

On, na dźwięk tego głosu, co się do niego odzywał tak miękko, czuł, że przestaje panować nad sobą, że się już nie może zdobyć na zwykły swój ton zimny i spokojny, czuł, że łzy cisną mu się pod powieki i że rad by rozplakać się jak dziecko i w westchnieniu wyrwało mu się ciche wyznanie:

— Ciężko!

Długą chwilę szli oboje w milczeniu oblani księżycowym blaskiem. Aż Zosia rzekła:

— Tak bym chciała, żeby panu było dobrze! Tak bym chciała!... Ale, czy pan już nie wróci po egzaminach?

— Nie, pani. Mam obiecaną posadę i już wprost tam pojedę. Po cóż bym wracał?

— Więc... Bóg wie, kiedy... się zobaczymy?

On nie odrzekł nic, a ją coraz większy smutek ogarniał. Ach, biedny Jerzyk, biedny!

Minęli bramę i szli przez lipową aleję ku mostowi, gdzie czekały konie i Mela z Anią.

Gałęzie огоłocone już z liści tworzyły im nad głowami koronkowe sklepienie, a z pól szerokich i pustych i z bezlistnych drzew, i z łąk pożółkłych, i z nieba błyszczącego już tysiącem gwiazd, szła bezgraniczna melancholia, tęsknota jesieni, ból i zimno konania. I ta tęsknota, i ten ból przenikały ich dusze, mroziły je... Zosia otrząsnęła się.

— Ach, Boże! — westchnęła. — Tak bym chciała panu dopomóc! Ale cóż by tu poradzić?

Zamyśliła się, a potem cichutko wyszeptwała:

— Chce pan, to ja się modlić będę za pana, dobrze? Dobrze? — powtórzyła głośniej, nie otrzymując odpowiedzi i zaglądała w jego oczy. — Co dzień wieczorem zmówię choć jedno Zdrowaś Mario za pana, to z pewnością pomoże. Chce pan, mój panie Jerzy?



On zwrócił na nią smutne oczy i po raz trzeci dnia tego spojrzenia ich się spotkały i zwały. Na księżycowych promieniach poleciały ku sobie ich dusze, uścisnęły się — i zadrżały w uścisku. A na dnie ich źrenic zapłonęły ognie i zamigotały łzy. I serca wezbrały bólem rozstania, i zabiły jakimś dziwnym uczuciem, jakąś słodyczą i błogością bez granic.

— Zosiu! Jerzy! — odezwał się z dala głos Meli. — Czekamy od godziny. Przychodźcież prędzej!

Zosia nagle porwała się i jak przebudzona ze snu zaczęła biec drogą. Marzenie prysło, została rzeczywistość.

— Pani — rzekł za nią Jerzy — pani naprawdę przyrzeka?

— Przyrzekam.

— Co dzień?

— Co dzień wieczorem zmówię za pana Zdrować Mario. Co dzień przez całe życie. Gdybyż to panu pomogło!...

Odwróciła twarz i raz jeszcze spojrzała na niego — prędko, przelotnie — ale była w jej oczach powaga przysięgi, a z ust jej znikł dziecinny uśmiech.

— Przez całe życie... — powtórzył on powoli i nagle zawołał namiętnie:

— O, pamiętaj... pamiętaj!...

— Ależ marudzie — gderala Mela. — Już tak późno! Mama mi teraz nadokucza ze swoim comme il faut. No, do widzenia! Jerzy, może mi pomożesz... — I postawiwszy stopę na jego dłoni wskoczyła na swego Bohuna. — Wiecie — mówiła zbierając fałdy amazonki — on chodzi jak anioł. Jak przyjedziemy kiedy do Bijuciszek, to Zosia spróbuje. Tylko że już Jerzego nie będzie. No, jedźmy już, jedźmy!

— Kiedyż pan do nas powróci? — rzekła Ania podając mu rękę.

— Czy powrócę!... — westchnął.

Na moście zadudniły kopyta końskie — ozwał się głos Meli:

— Do widzenia! Przyjedźcie kiedy...

Konie puściły się cwałem i powoli nikł w ciszy nocnej tętent — i coraz się oddalał.

Chłopiec stajenny zawrócił ku dworowi. Panienki tylko, oparte o poręcz mostu, nie chciały wracać. Cudna noc księżycowa otoczyła je swoim czarem — smutek usypiającej natury przejmował je. Z oczami utkwionymi w dal mglistą i cichą stały milczące.

Nagle Zosia głowę podniosła i rzekła nieśmiało:

— Wiesz, Aniu, powiem ci jedną rzecz, tylko nie mów nikomu. Mnie się zdaje, że Jerzy... mnie...

— I mnie się tak zdaje — rzekła Ania.

— Boże, skądże mu to przyszło do głowy? Ale on był dzisiaj taki jakiś dziwny...

— Dobrze, że już pojechał.

— Czy ja wiem, może i dobrze — ale jemu smutno. Biedny Jerzyk! Na tym skończyła się rozmowa i zwróciły się ku domowi. Zosia nie

przyznała się Ani, iż obiecała mu modlić się co dzień o szczęście dla niego. I to była może pierwsza w życiu tajemnica, jaka między nimi powstała.

Gdy wreszcie wróciły do domu, zastały panią Antoniówą i Terenię, które tylko co przyjechały z Wilna i pośpiesznie zajaadały wieczerzę.

— Wiesz, Zosieńko — zawołała pani Alina do córki — przywozimy dobrą wiadomość. Dom mój sprzedany, za miesiąc wypłacą całą sumę i ruszymy.

— Już za miesiąc!

— Tak, tak moje dziecko. Niedługo już będziemy w ukochanym Rzymie. Dzieło nasze posunie się naprzód. Mając już środki po temu, nasz zakon będzie mógł rozpocząć egzystencję.

— I wotum mojego życia nareszcie zostanie spełnione — szepnęła Teresa Leonia podnosząc oczy, w których zajaśniały dziwne jakieś blaski.

Ania spojrzała na nią. Oczy ich spotkały się i Teresa Leonia wyciągnęła do niej rękę.

— Może i tobie dane będzie połączyć się wkrótce z nami — szepnęła.

Ania skłoniła głowę w odpowiedzi i obejrzała się trwożliwie na Zosię, ale ta nie słyszała zajęta myślami nowymi, które się jej do głowy cisnęły, i rozpytywaniem się u matki. Rzym, wyjazd, była to już bliska rzeczywistość, a nie projekt mglisty i daleki, jak dotąd. Słuchała opowiadania matki, a w uszach dzwoniły jej wyrazy: za miesiąc! za miesiąc! Tego wieczora w pokoiku na górze długo nie mogły zasnąć obie panienki.

Ania leżała nieruchoma, z oczami utkwionymi w gwiazdy mrugające poprze, szyby okien. W jej smutnym sercu była rozterka. Szeplał jej jakiś głos wewnętrzny: idź, zamknij się za klasztorny krata., a znajdziesz spokój i zapomnienie, i błogi stan nieświadomości, półsen mistyczny, w którym już ziemskiego bólu nie będziesz czuła.

A głos sumienia mówił: dobrze, ty się zamkniesz w dalekiej celi, a tu kto zostanie na twoim miejscu? Kto wypełni twoje zadanie? Kto zrobi twoją robotę? Kto cię zastąpi przy babuni, której jesteś coraz bardziej potrzebna? Kto rozweseli dziadunia? Co się stanie z dziećmi, które uczysz, i z chorymi, których pielęgnujesz?

— Ale sam Bóg mnie woła — odpowiadała na to.

— Czy jesteś tego bardzo pewna? — mówiło sumienie. — Czy nie bierzesz zniechęcenia po doznanym zawodzie za wskazówkę woli Bożej? Gdyby Bóg wołał, to by naprzód usunął z drogi wszelkie obowiązki, u dopóki one istnieją, nie urojone, ale realne, prawdziwe, i owszem, mnożą się ciągle, to one powinny stać na pierwszym planie. Czy masz prawo jednym zamachem usunąć je z twojej drogi i nie oglądać się na nic, iść do klasztoru? Czy masz do tego prawo? Czekać trzeba, czekać jeszcze.

Tymczasem Zosia z głową przepełnioną nowymi wiadomościami, po długiej gawędzie, uklękła do pacierza. I powoli myśli jej zaczęły się plątać,

wśród nowych wrażeń zaczęły występować i wypadki dnia dzisiejszego. Jerzy stanął w jej oczach taki smutny dzisiaj, taki przygnębiony i tak upadający pod ciężarem, co go gniótl, że już nic miał sił udawać obojętnego i przywdziewać zwykłej swej maski zimnej i sztywnej. Czyżby on... ją... naprawdę? Ej, może nie, ale w każdym razie, biedny on, biedny! I niech mu Najświętsza Panna dopomoże i opieką swą go otoczy, i płaszczem swym otuli, i pocieszy go, gdy będzie tam daleko, samotny i stęskniony, i kiedyś przyprowadzi go z powrotem szczęśliwie.

I podniósłszy oczy ku słodkiemu obliczu Ostrobramskiej, Zosia zaczęła mówić: Zdrowaś Mario... Święta Mario, Matko Boża. módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

## CZEŚĆ DRUGA

I

ZOSIA DO ANI

Rzym, grudnia

Moja Aniu najdroższa! Tak tęsknię czasami do Ciebie, że wytrzymać nie mogę. Gdybyś była blisko, zadusiłabym Cię uściskami. Ale cóż to dziwnego! Tu nie ma do kogo słowa przemówić, a tyle jest do powiedzenia! A tak, że mam. Mama teraz z tym kupowaniem domu i z urządzaniem się, i z bieganiem po notariuszach i adwokatach taka zajęta, że już na mnie i nie spojrzy. Jak przypomni sobie niekiedy, że żyję, to mówi: ach, moja Zosieńko, proś Boga, aby to się prędzej skończyło, to już zajmę się tobą i zobaczysz, jak będzie przyjemnie. Więc ja proszę Boga, aby już raz było przyjemnie — ale widać, że stąd do Pana Boga dalej, niż na przykład z Haliniszek, bo On nie słyszy — i jakoś wloką się te nudne interesa — i, jak dotąd, wcale nie jest przyjemnie.

A z Terenią też jakoś nie idzie. Wiesz, ona bardzo dobra dla mnie, i z pewnością bardzo święta — ale ja nigdy nie wiem, o czym z nią mówić — i tak myślę, że i ona nie wie, o czym ze mną mówić, więc jak z nią sama zostanę, to zawsze się nudzę okropnie. A już panna Malkiewiczowna — no, to zupełna dewotka. Ty może nie wiesz, kto to jest panna Malkiewiczowna? To jest trzecia aspirantka. Bo widzisz — i mama, i ThereseLeonie, i ona są to aspirantki do tego zakonu, który będzie się fundował. Jeszcze nie mają papieskiego zatwierdzenia, więc żadnych ślubów nie składały — i naprawdę są jeszcze świeckimi osobami. Ale jednak, gdy przychodzi ojciec Maks, to do mamy mówi: ma merę, a do Tereni i do panny Malkiewiczówny: ma soeur. Ale to tylko przez grzeczność, bo nawet jeszcze habitu nie mają. Jak otrzymają pozwolenie od papieża, to zaraz włożą habity z białym woalem — i będą przez czas jakiś w nowicjacie, a potem włożą czarny woal — i już to będzie na

zawsze. Chociaż w razie potrzeby, na przykład jeśli wypadnie jechać gdzieś koleją, to mogą być ubrane tak jak wszyscy, byle czarno. Dotąd są tylko trzy aspirantki, ale mama mówi, że jak będzie zatwierdzony zakon, to zaraz znajdzie się mnóstwo. Daj Boże, bo cóż to za zakon z trzema zakonnicami!

Tymczasem zanim będzie to wszystko, te panie już się zajmują dobrymi uczynkami: chodzą do chorych i do konających i modlą się przy nich; zbierają do siebie biedne dziewczynki, uczą je katechizmu i rozdają dobre książki do czytania, to jest Terenia i panna Malkiewiczówna tym się zajmują, bo mama nie ma czasu. Z tym domem jest ciągły kłopot. Naprzód był jeden do kupienia bardzo wygodny, ale strasznie drogi, więc nie można było. Potem drugi się znalazł doskonały, bo i ładny, i wygodny, i cena przystępna, ale ojciec Maks odkrył, że tuż obok jest loża masońska (nie śmieć się — tu naprawdę pełno jest masonów — to wcale nie bajka), więc także nie można było. Trzeci był daleko od kościoła. Zabawnie to nawet powiedzieć tu w Rzymie, gdzie na każdej ulicy jest po kilka kościołów, a jednak tak się trafiło. No, teraz na koniec znalazł się domek śliczny, wążutki wprawdzie, ale za to trzypiętrowy i z ogródkiem — niedaleko wielkiej bazyliki Santa Maria Maggiore i starego, miłego kościółka Santa Prasseda. Jedno przykre: to, że ulica nazywa się via Mazzini, od tego wiesz, Mazziniego, który walczył za niepodległość Włoch — ale na to nie ma rady. Mama już się zdecydowała i Therese Leonie też oglądała i zgodziła się, i jest nadzieja, że już na Nowy Rok wszystko będzie skończone i zgromadzenie tam będzie mogło się przenieść. A wtedy mama i ja przeprowadzimy się do hotelu i pójdziemy z wizytami do kilku domów znajomych — i ma już być bardzo przyjemnie.

Wzdycham do tej chwili, bo, jak dotąd, strasznie jestem samotna. Wprawdzie mam swoją miss Anger, z którą zwiedzam kościoły, galerie i muzea i która doskonale wszystko wie i lepiej informuje niżli sam Baedeker; wprawdzie widzę mnóstwo rzeczy zadziwiających i ciekawych, ale to tylko do śniadania. Po pierwszej miss Anger rusza sobie do innych ladies, a ja resztę

dnia spędzam w domu, w dość nudny sposób. Mieszkamy teraz bardzo niewygodnie, en pension, na via del Tritoe, mamy trzy pokoiki ciemne i nudne, tak że ciągle jedna drugiej zawadzamy i nie mamy chwili wolnej. Szczególnie drażni mnie głos panny Malkiewiczówny, krzykliwy i sepleniący, a nie milknący ani na jedną minutę. Nie wiem, jak ona sobie poradzi, gdy już będzie ten zakon, bo tam mają być godziny tylko na rozmowę, a resztę czasu trzeba będzie milczeć. Jej to będzie bardzo trudno. Gniewasz się, moja Aniu najmilsza, że nic Ci o Rzymie nie opowiadam. Kiedy, bo widzisz, z tym Rzymem to jest dziwnie. Tyle o nim słyszysz przez całe życie, że jak wreszcie przyjedziesz, to się spodziewasz Bóg wie czego, a tu dworzec taki jak wszędzie, dorożki, welocypedy, ulice wąskie i kręte, pełno zaułków brudnych i ciemnych, ludzie do wszystkich innych podobni, tramwaje, magazyny. Nawet Św. Piotr nie taki, jak myślałaś. A już Forum, o którym wymarzyłaś tyle, to wydaje się wcale nieciekawe. I myślisz sobie: i co tu tak osobliwego, ale już na drugi dzień inne masz oczy, a w tydzień po przyjeździe kochasz się w Rzymie. My I u już od miesiąca jesteśmy, bo przecie wiesz, że Terenia rozchorowała się i przebyłyśmy dwa tygodnie we Florencji; co dzień wychodzę z moją miss i co dzień z większą rozkoszą. Z tych brudnych zaułków, które mnie z początku raziły, powstaje czar jakiś nie do opisania. Ci ludzie, widzę, że są zupełnie inni niż na całym świecie. A to niebo jasne i ta światłość, co się wszędzie rozlewa! I to powietrze, które muska ci twarz jak najmilsza pieszczota! A Forum, ta zaczarowana kraina, gdzie żyjesz jakimś potężnym życiem, gdzie Cezar i Cicero, i Grakchowie przemawiają do ciebie i biorą cię do swego grona. Żyjesz z duchami ich... A Palatyn! Te pałace cesarów, te okropności, które się tam działy... A plac Św. Piotra ze swą kolumnadą! To, mówię Ci, tak ciebie ciągnie, że jak przez trzy dni tam nie pójdziesz, to tęsknisz jak za własnym krajem.

Toteż ganiam moją miss okrutnie. Chciałabym przez cały dzień włóczyć się po mieście i patrzeć. Ona mi tłumaczy każdą rzecz naukowo i historycznie, a ja czasem nawet nic słuchani, tylko patrzę i marzę. Śmiać się

będziesz, Zosia marząca to nowa rzecz, ale nie śmieję się, boja doprawdy miewam tu napady marzeń. Ach, gdybym miała z kim porozmawiać! Ale właśnie tego mi brak. Gdy wracam do domu, zastaję moje panie zajęte to pacierzami, to medytacją, to katechizowaniem dziewczynek, a mama pisze listy albo gdzieś idzie, więc muszę w milczeniu brać się do pisania dzienniczka, bo tego mama wymaga jako dowód, że korzystam z mego pobytu tutaj. A przy tym jest to ćwiczenie stylowe, bo jednego dnia piszę po francusku, a drugiego po angielsku. Jak powrócę do domu, to przeczytasz.

Po śniadaniu schodzę na dół do salonu, gdzie stoi fortepian, i gram. Biorę lekcje muzyki od bardzo miłego staruszka — i to wielka przyjemność. Zobaczysz, jakie zrobię postępy.

Papieża nie widziałam jeszcze. Jakeśmy przyjechały, był chory i wszyscy niezmiernie byli tym zaniepokojeni, ale teraz już mu lepiej i zaczyna dawać audiencje. A za parę tygodni ma przybyć jakoby wielka pielgrzymka z południowych Wioch i z Sycylii i papież, odprawi sam mszę w kościele Św. Piotra. Pewnie będziemy, bo monsignore Żurowski przyrzekł, że nam da dobre bilety.

Nie masz pojęcia, jaki ten monsingore sympatyczny! Taki uprzejmy, wykształcony, światowy! I tak mu ładnie w tej czarnej sutannie z fioletowym pasem! Bardzo miły i mnie ogromnie się podoba, ale mama, nie wiem dlaczego, nie lubi go i Terenia także. Naturalnie, że tego nie mówią i są bardzo grzeczne, ale tak mi się zdaje. Co do mnie, wolę go sto razy od tego przenudnego ojca Stanisława, który na moje nieszczęście przychodzi parę razy w tygodniu i miewa z mamą i Therese Leonie nieskończone konferencje. Bo wiesz, on jest także jakby fundatorem tego zakonu i wszystko robi się z jego rozkazu i pod jego kontrolą. I nawet zdaje się, że on ma dostarczyć trochę pieniędzy na kupno domu. W każdym razie regułę on pisze i dlatego tak często przychodzi. Wtedy mnie wypraszają za drzwi i muszę siedzieć z panną Malkiewiczówną, której nie cierpię.



Ale najmiłszy z nich wszystkich i najłatwiejszy to ojciec Maks, mamy i Tereni spowiednik. To bardzo święty człowiek, a przy tym wcale nie imponujący. Nawet ze mną żartuje i drażni mnie, że pewnie i ja wstąpię do klasztoru. A ja mówię, że nie mam ochoty ani trochę. A on na to mówi, że to dobrze, bo i tak dość świętości na jedną rodzinę, a że mnie trzeba wydać za mąż. Naprawdę to i mama ogromnie chce mnie wydać za mąż prędko i pozbyć się kłopotu, ale nie tak to łatwo. Ja inaczej jak z miłości nie pójdę. A zresztą, tu nikogo nie ma, prócz księży.

Widzisz, jak się rozpisałam. Gdyby mi było wesoło, to bym tak dużo nie pisała, ale dziś gorzej tęsknię do domu niż zwykle. Sama jestem w mieszkaniu, te panie poszły na jakieś wielkie nabożeństwo, a ja wyjść nie mogłam, bo jestem strasznie zakatarzona. Zimno jakoś, więc napaliłam w kominku, przysunęłam biurko i piszę. Ale teraz już ciemno się robi, więc ściskam Cię, moja Aniuś. Babuni, Dziaduniowi, Stryjciowi — wszystkim, wszystkim serdeczności ode mnie. Kiedyż będziemy znowu razem w kochanych Haliniszkach?!

Twoja Zosia

PS. Daj Diance kawałek chleba z masłem i powiedz jej, że to ode mnie. Ona zrozumie.

ZOSIA DO ANI

Rzym, grudnia

Wyobraź sobie, Aniu droga, że jestem tak szczęśliwa, że wytrzymać nie mogę, ale umieram ze śmiechu, gdy pomyślę, dlaczego. Nie, gdyby mi kto powiedział, że mi będzie do szczęścia potrzebny pan Chański, lo bym się obraziła — nieprawdaż? A tu prawdziwa komedia! Skaczę z radości na jego widok.

Ale poczekaj, opowiem od początku. Było to dzisiaj — siedzimy sobie przy śniadaniu razem i robimy jakieś roboty, a panna Malkiewiczówna swoim

przebrzydłym głosem czyta nam jakiś żywot świętej Zyty (która, między nami mówiąc, wcale nas nie zachwyca, bo była sucha jak drewno), aż tu przychodzi Giacomo, najgłupszy lokaj w Europie i coś trajkotać zaczyna po włosku o un signore, a za nim, sapiąc jak miech, wtacza się przez drzwi kto? Pan Chański! Ja zrywam się na równe nogi, przewracam stolik ze świętą Zytą sprzed nosa panny Malkiewiczówny i rzucając się do niego, a mama także bardzo kontenta. Co? Jak? Skąd? A on najspokojniej kłania się i mówi: Dzień dobry. No, wiesz, to „dzień dobry” to było znakomite!

Ach, jak to było przyjemnie! Opowiadał o Haliniszkach i o was wszystkich, i przywiózł listów pełno i Twój pocziwy. Ach, i te rozczulające pierniczki od babuni... Moja złota babunia, płacząc, jak spojrzę na to pudełko, bo i pudełko znajome, wiem, to od tych albertów, które stryj kiedyś przywiózł z Wilna. I sznurek znajomy, toż Twoi chłopcy robią te sznurki na widełkach z nici, które przedzie ślepa Baranianka. Boże, jakie to wszystko kochane!

Pan Chański dość długo siedział i dał się wypytać o wszystko. Nawet wiem, jak Dianka wygląda, ale o Meli to nie bardzo wierzę, pewnie plotki. Przecież ona tak niedawno jeszcze mówiła, że małżeństwo to niewola.

Myślałam, że mama gderać będzie za moją radość i że powie mi coś o przyzwoitości, dystynkcji itd., ale nic, ani słowa nie powiedziała. Widać, że sama bardzo rada. Teraz pan Chański, często będzie przychodził, bo na długo przyjechał. Nie wiem, czy później on mi się wyda taki miły, ale teraz rada jestem. Druga dobra nowina. Od Nowego Roku wyprowadzamy się stąd. Terenia z panną Malkiewiczówną na via Mazzini, do swego domu, a mama i ja do hotelu di Roma. I puścimy się w świat. Mama spędzać będzie ranki w swoim klasztorze, a ja tymczasem grać będę, czytać, spacerować z miss Anger itd., a od śniadania mama już będzie ze mną. Dzięki Bogu, dość już mam tego zakonnego życia.

Ale teraz kończę już. Pan Chański przyjdzie wkrótce i ma nas zabrać na jakąś bardzo ciekawą licytację dzieł sztuki i starożytności. On tam coś będzie kupować, a my zobaczymy mnóstwo ładnych rzeczy.

Ściskam Cię sto razy

Zosia

## II

Wschodzące słońce pierwszymi promieniami uderzyło w kopułę bazyliki Świętego Piotra. Zajaśniał na niej krzyż złoty, zabłysła kula. I powoli wylaniała się ona z opałowego tła nieba, olbrzymia, triumfalna, poważna, sięgająca w górę wysoko, a oparta silnie o ziemię, trzymająca się jej mocno swymi żebrami, panująca nad nią swym ogromem i potęgą. W przeczystym powietrzu porannym rysowały się wyraźnie jej kontury i najdrobniejsze szczegóły. Więc na gładkim jej ciele znaczyły się otwory okien, gzymsy i ozdoby, kolumnienki podtrzymujące dach u szczytu latarni, a gdzie indziej rubinowym ogniem zapłonęła szyba, znacząc się jak klejnot w tej niby papieskiej tiarze, która się unosiła w blaskach słonecznych i spoczywała wszechwładnie nad głową uśpionego Rzymu. Kościół był jeszcze w cieniu, plac i kolumnada tonęły w niewyraźnym mroku, a ona jaśniała coraz żywszym światłem, przybierała barwy niebieskawe i złociste, mieniła się blaskami stali i zdawała się odcięta od ziemi, zawieszona wśród nieba, jak olbrzymi symbol królewskość i potęgi.

Ale powoli ożywiały się posągi u jej stóp. Zbudził się Chrystus i dwunastu apostołów, a słońce zeszło niżej i cały kościół Świętego Piotra stanął w złotych blaskach. Zagrały fontanny; powiewając pióropuszem wód i tęcze rozrzucając dookoła. Plac ten, najpiękniejszy w świecie, zajaśniał świeżością poranka, tylko pod kolumnadą kryły się jeszcze cienie.

I ludzkie postacie zaczęły się wysuwać z zaciemnionych uliczek i zmierzać ku kościołowi. Szły drobne i marne, rozsypane na wielkiej przestrzeni, niedostrzegalne wobec tych ogromów, powoli posuwające się ku kruzgankowi, wstępujące po schodach i niknące. Zrazu szły te postacie pojedynczo lub po kilka za ledwie — ale wkrótce zaczęły się ukazywać całe ich sznury — parami kroczyli uczniowie seminariów, czarni, błękitni, czerwoni, w okrągłych lśniących kapeluszach — szły zakony różne, zakapturzeni mnisi, brodate głowy wysuwające się z brunatnych płaszczy, białe habity — i

zakwefione zakonnice — i znikali w otwartych drzwiach bazyliki. Wtem, z dala, na Zamku św. Anioja, zabrzmiała trąbka, odezwały się bębny i po chwili na plac wysunęła się kolumna narodowego wojska. Szła w milczeniu, miarowym krokiem, pobrzękując szablami, a zbliżywszy się do kościoła zrobiła obrót zwinny i wydłużonym sznurem, jak wstęgą błękitną, opasała go dokoła.

Wreszcie zaturkotały powozy, ale te omijały główne wejście, przejeżdżały z hukiem pod arkadą na lewo i stawały w podwórzu przed bocznymi drzwiami. Wychodziły z nich czarne damy, ciekawie rzucając spojrzenia spod koronkowych woalów, i mężczyźni we frakach — a wszyscy mieli w rękach różowe karty. Czarna fala płynęła wciąż, ruchliwa, rozgorączkiwana — adamaszkowe kotary podnosiły się i spadały u drzwi i tłumy ginęły w kościele. Kilku gwardzistów pałacowych, w galowych strojach z białymi nad głową pióropuszcami, odbierało od wchodzących bilety.

W kościele było już rojno i gwarno. Słońce wpadało wielkimi snopami przez okna kopuły i rozsiewało dokoła światło wesołe i gorące. Kasetony i rozety w sklepieniu złociły się, lśniły na ścianach marmury bladoróżowe, zielone i żółte, w rozmaite splecione kształty; znad kapitelów wyrobionych misternie pochylały się głowy aniołów uśmiechnięte wśród złocistych skrzydeł. Najświętsza Panna z apostołami spoglądała z głębi kopuły na tłumy u swych stóp, czterej Hwangeliści siedzieli zadumani i sztywni, dzierżąc w rękach księgi święte — a nad nimi, wymalowany złotem na błękicie, jakby na niebie, wryty napis: Quia tu es Petrus, super hanc petram aedificabo ecclesiam meam (...) et tibi dabo claves regni caelorum. Nad grobem zaś tego rybaka galilejskiego, któremu dane być miały klucze nieba, i który miał być węgielnym kamieniem tego królewskiego gmachu — paliło się cichym płomykiem osiemdziesiąt dziewięć lampek zdobnych w kwiaty.

W świątyni wrzało. Tłumy cisnęły się w różne strony, szukając dogodnych miejsc. W przestrzeni wydzielonej posiadaczom różowych biletów,

między grobem a wielkim ołtarzem, tak zwaną katedrą w głębi, suwano ławkami, rozpychano się, walczono o miejsca. Mówiono głośno przeróżnymi językami. Powstawały sprzeczki tu i ówdzie, które uspokajać musieli gwardziści lub księża snujący się po kościele. Gwar panował taki, jak zwykle bywa w salach teatralnych przed rozpoczęciem widowiska, bo nikt się nie krępował myślą, że znajduje się w kościele. Angielki, przepasane rzemykiem od lornetki, rozkładały na kolanach serwety i spożywały butersznytę, wydobyte z woreczka. Włoszki krzyczały głośno, nawołując znajomych, rzucając dokoła spojrzenia i zaczepki, śmiejąc się i przedrzeźniając. Mężczyźni ziewali szeroko, niewyspani i śmieszni w galowych ubiorach i lornetowali uparcie wchodzące kobiety. Ogromna moc księży znajdowała się wśród tłumu. Wsią czuć było od nich, zapadłą parafią w jakiejś wioszczynie górskiej, bo dziwnie było to nieoszlifowane, rubaszne, krzykliwe, obrosłe i brudne, poufałe, a zarazem onieśmiałe i dziwnie też odbijało od stołecznego duchowieństwa, które w dobrze skrojonych sutannach i w leciuchnych komeżkach, ogolone i eleganckie snuło się wśród publiczności, czyniąc honory domu. Ich głosy były przyciszone, ruchy spokojne i dystygowane, a ręce, którymi wskazywali miejsca nowo przybywającym, starannie były utrzymane, białe i miękkie.

O ile wśród publiczności wybuchały gwałtowne, starcia, ruch, gwar, śmiechy i wyrzekania, o ile lu zachowywano się hałaśliwie i zamasyście robiono łokciami, o tyle po drugiej stronie balasek otaczających szerokim kołem ołtarz spokojnie było i przestronnie. Cała przestrzeń zachowana dla ceremonii była z obu stron otoczona wysokimi trybunami, z których spuszczały się festony szkarłatnych jedwabi bramowanych złotymi frędzlami. Jedną miało zająć ciało dyplomatyczne, drugą patrycjat rzymski. Poniżej były ławki i fotele dla wyższego duchowieństwa, dla kardynałów i prałatów.

Powoli zapełniały się miejsca. Spokojnie, z dystynkcją wchodzili prałaci w fioletach, w białych komeżkach i w gronostajowych pelerynach, i

kanonicy Św. Piotra w pelerynach z popielic — i zajmowali przeznaczone dla siebie miejsca. W oczekiwaniu przechylali się ku znajomym, podawali sobie ręce, wstawali nawet z krzeseł i rozpoczynali rozmowy. Przesuwały się ku trybunie dyplomatycznej panie w czarnych sukniach, w welonach spinanych brylantami, po drodze witały znajomych skinieniem głowy, za nimi szli posłowie dworów w mundurach wyszywanych, trzymając puszyste kapelusze pod pachą. Kilku mężczyzn we frakach pokazało się wśród prałatów i przyłączyło się do rozmawiających grup. Na trybunie patrycjatu gwarzono wesoło, lornetowano znajomych, zabawiano damy dyskretnie, a że gorąco się wznagało, więc ukazały się wachlarze i powiewać zaczęły. A tu i ówdzie strojni, piękni i grzeczni uwijali się szambelanowie papiescy — camerieri segreti di cappa e spada — w hiszpańskich strojach renesansowych, w aksamitnych płaszczkach, ze szpadą u boku.

Wśród tego wykwintnego otoczenia, spośród wieńca różnobarwnych dygnitarskich szat, ołtarz wzniesiony wysoko nad grobami Apostołów jaśniał płomykami świec, pusty i biały pod niezmierną kopułą.

Czekano. Już i przybywających było coraz mniej. Olbrzymia świątynia, wypełniona ludem, gotowa była na przyjęcie swego kapłana. Nawet względna nastąpiła cisza. Ulokowano się jako tako i czekano. Z góry lały się promienie słońca na głowy ludzkie, gorąco stawało się nieznośne, blask marmurów i złocenia mozaik raziły oczy, na twarzach odbijało się zmęczenie. Msza papieska naznaczona była na dziewiątą, a czekano od wschodu słońca.

Zosia nie czuła jednak zmęczenia. Wzruszona, ciekawa, szczęśliwa, siedziała pomiędzy matką i siostrą naprzeciw ołtarza, w dobrym miejscu, umiejętnie wybranym przez panią Alinę, i patrzyła. Teresa Leonia zagłębiła się w książce do modlitwy, ale pani Alina umiała zrozumieć ciekawość córki i objaśniała półgłosem:

— Widzisz, to ambasador austriacki, a tamci z brodami to są wschodni biskupi, oni mają prawo brody nosić. A ci w hiszpańskich strojach, tacy ładni,

to są szambelani świeccy. Widzisz tam, obok tego wysokiego prałata, stoi hrabia Sużyński.

— Widzę —jaki śliczny! Zwykle to on wcale nie jest ładny...

— O, bo w tym stroju każdemu do twarzy... A tam, na trybunie, markiza Mandzagoza z córką — ta, co się przechyla teraz — to sławna piękność rzymska — a przy niej państwo Goriglioni i hrabia Dusi — i księżę Veletri. A ten pan z białą brodą to hrabia Buongiovanni, brat kardynała. Cały świat czarny!

— Widzi mama — tam, na trybunie dyplomatycznej, siedzi pani Tur.

— A prawda! Ona jest w przyjaźni z Fastenbachami — on jest posłem belgijskim przy stolicy świętej — pewnie z nim przybyła...

Nagle zabrzmiał bęben wojskowy i wojskowa komenda.

— Już? — zawołała zrywając się Zosia.

— Nie, nie — to tylko gwardia.

Ze środkowej nawy szła ku ołtarzowi garstka gwardzistów w prześlicznych mundurach, w błyszczących hełmach na głowach, z wyciągniętą szablą w ręku. Dowodzący nimi pułkownik, piękny mężczyzna o czarnym wąsie, zgrabny i sprężysty w swym obcisłym stroju, wydawał głośno rozkazy. Przy odgłosie bębna wojsko zrobiło obrót wokół ołtarza, przemaszerowało wzdłuż i wszerz i stanęło przy balaskach wyprostowane, sztywne, z obnażonymi szablami. Tylko ogony końskie, spływające z hełmów, chwiały się leciuchno i gdzieś tam zamigotała sprzączka.

— Jacy śliczni! — zawołała Zosia, ale zawstydzila się zaraz, bo stojący opodal młody szambelan w hiszpańskim stroju snadź zrozumiał jej okrzyk, bo głowę ku niej zwrócił i patrzył na nią. I ujrzała twarz bladą o oczach płowych, otoczoną koronkową krezą — twarz jakby wyjętą z obrazów starych mistrzów florenckich — i tak jak one wyblakła i zużyta, ale pełną wdzięku i finezji.

A pani Alina zaczęła mówić o tym, jak to było dawniej, gdy wojsko papieskie było liczniejsze i naprawdę imponujące. Dziś, po utracie Państwa



Kościelnego, musiano ze względów oszczędności zmniejszyć liczbę wojska i gwardię ograniczyć do pięćdziesięciu ludzi. Z taką garstką nie można mieć pojęcia o tym, czym były dawniejsze ceremonie.

Znowu nastąpiła cisza i wyczekiwanie. Czuć było zdenerwowanie, zniecierpliwienie w tłumie, wybuchał czasem okrzyk — i znowu milkło wszystko. I w olbrzymiej świątyni, wśród blasków i barw, ten czarny tłum w dole wydawał się jak zahipnotyzowany. Zegar wydzwaniał kwadranse. Dawno wybiła dziewiąta — dziesiąta już miała uderzyć.

Nagle, gdzieś w głębi, rozległ się grzmot. Wydawał się bardzo daleki, ale, choć przerywany, rósł ciągle i zbliżał się. Tłum się poruszył, jakby wichur przeleciał po głowach, twarze ożywiły się, oczy skierowały się ku głównej nawie. — Il papa! Il papa — szeptały usta, a grzmot rósł wciąż, aż się rozsypał iskierkami oklasków i wylał potokiem głosów ludzkich: "Evviva il papa! Evviva! Evviva!"

A wtem z kopuły wypłynęły dźwięki srebrne i szły po świątyni, witając i ścieląc się pod stopy tego, który przybywał.

Przybywał on płynąc ponad głowami ludzkimi, sunąc w powietrzu powoli, trochę chwiejnym ruchem. Wśród blasków słonecznych, wśród wiejących piór strusich, wśród rozszalałego adoracją tłumu zbliżał się — spokojny, posągowy, drobny i zżółkły, jak starożytna rzeźba ze słoniowej kości oprawna w złoto i klejnoty, zgarbiony pod ciężarem wielkiej tiary, w której ginęła jego głowa, jednostajnym ruchem robiąc na prawo i na lewo znak krzyża, bardziej podobny do figury misternie rzeźbionej, drogocennej i świętej niżli do żywego człowieka.

Przybywał jak tajemnicza relikwia niesiona ludowi ku zbawieniu, jak bóstwo zstępujące z wyżyn na krótką chwilę ku pocieszeniu i uradowaniu serc ludzkich, jak uosobienie władzy i idea królewskość.

A tłum miotał się, klaskał, krzyczał, powiewał chustami, wyciągał ręce. Huk głosów leciał pod kopułę, napełniał ją całą i odbiwszy się o jej najwyższe szczyty, wracał potokiem i rozlewał się po świątyni.

Srebrne trąby zaś wciąż dźwięczały triumfalnym marszem.

Przez chwilę zasłoniły orszak kręte kolumny baldachimu, ale wnet wynurzył się przed ołtarzem. Szedł więc naprzód mazziere niosąc wysoki krzyż złocisty. Za nim, jak wiązanka kwiatów różnobarwnych, wysuwało się duchowieństwo. Fiolet biskupów, owiany koronką alb śnieżnych, ołożony gdzieindziej infułą, łączył się z purpurą kardynałów. Wszędzie błyskały złote smugi, mrgały klejnoty, powiewała pajęczyna koronek. A u stóp sedia gestatoria, zebrani w snop szkarłatny, jakby wieniec róż, szli sediarrii, w malinowy adamaszek odziani, sztywni i poważni. Wielkie białe pióra, na złocistych kijach osadzone, poruszały się bez szmeru.

Rozpoczęła się msza. Wołania ucichły, umilkły trąby, a z wysokiej trybuny ozwała się kapela papieska. Leon XIII wstąpił po stopniach do ołtarza i widać było jego drobną, zgarbioną postać, całą białą i żółtą, w żółtym blasku świateł.

Wśród tłumu wrzała tymczasem głucha walka o miejsca. Wszystkie szyje wyciągały się, zbliżano do oczu teatralne lornetki, szeptano sobie uwagi, pchano się naprzód bez miłosierdzia. Byli tacy, którzy próbowali stawać na ławkach, ale wtedy z dalszych rzędów odzywały się okrzyki: Dżu! dżu!, gniewne nawoływania, a nawet wyciągały się laski i uderzały po plecach i głowach. Więc zstępowano z ławek, odgrzając się i kłócąc w różnych językach. A tłum coraz gwałtowniej parł naprzód. Bliżej! Bliżej! Byle widzieć, byle nasycić oczy ciekawym widowiskiem, byle się napatrzeć, nadziwować, naentuzjasmować do syta. Przebiegały w tej zwartej masie jakby prądy elektryczne, jakieś zachcenia adoracji, bałwochwalstwa, pragnienie tarzania się u stóp, unicestwienia wobec tej wielkości. Nie był to już zimny tłum, czekający i znudzony, wesoły i lekkomyślny. Była to masa gorejąca jakąś

żądzą płomienną, od której zdawały się drzeć marmury i posągi, i mozaiki w kopule przybierać gorętsze barwy. I powietrze całe zdawało się tętnić i falować ognistym oddechem wkoło ołtarza.

A z trybuny leciały śpiewy, jak strzały złote, po kościele. Na ciemnym tle basów szły aksamitne tenory mężnie i spokojnie, a nad nie wystrzelał sopran i leciał wysoko, wysoko, aż pod sklepienie, dzwonił pełnym, okrągłym dźwiękiem w kopule, znów spadał perłami, krył się w zgiełku innych głosów i znów się rwał w przestrzeń, dźwięczał jasną, młodzieńczą nutą. Śpiew to był równy, bezpłciowy, nieosobisty, jakby nie z ludzkich wychodził gardel. Nic ludzie też to śpiewali, to tylko święte słowa liturgii płynąc z wyżyn niebieskich przechodziły przez piersi ludzkie i same na nich grały.

Zosia zamieniła się cała w słuch. Wspięta na palcach, z szyją wyciągniętą, czerwona od gorąca — patrzyła. Śledziła każde poruszenie posługujących przy ołtarzu księży, twarze siedzących w fotelach kardynałów, eleganckie sylwetki szambelanów i szeregi gwardzistów.

Ale nade wszystko starała się dojrzeć i uchwycić wyraz twarzy samego, papieża. To jednak było najtrudniejsze. Odwrócony do ołtarza, zgarbiony, schylony nad księgą, nie podnosił prawie głowy, w skupieniu wielkim odprawiając Ofiarę. Dopiero po skończonej mszy usiadł w fotelu dla wysłuchania śpiewanego *Te Deum*. I wtedy mogła Zosia zobaczyć wyraźnie jego ostry profil, niemal przezroczysty, jego twarz wychudłą i pomarszczoną, więc patrzyła chciwie na tę postać ustrojoną w klejnoty i złoto, siedzącą na tronie w otoczeniu wspaniałym, pod najpiękniejszą w świecie kopułą, w blasku marmurów i mozaik i powtarzała sobie w myśli:

— To jest papież, następca Pana Jezusa na ziemi, obraz Jego, namiestnik.

I przed oczami jej wyobraźni stawała postać Jezusa takiego, jakim lubiła Go widzieć nad jeziorem Tyberiady, podobnym do haliniskiego jeziora; stał On w szacie białej, z rozwianym włosiem i ze słodkim uśmiechem na

twarzy, a do nóg Mu przypadły dzieci, chorzy, biedni i On je wszystkie garnął i pocieszał. O, jakże te dwie postacie były między sobą różne!

— A to jest jego następca — powtarzała i czuła, że pomimo gorącej atmosfery, pomimo zapału, co dokoła panował, na nią wiał od tych świetności, od tego złota i od marmurów chłód jakiś dziwny i przejmował ją smutkiem i niesmakiem. — Przecież tera to co innego — tłumaczyła sobie.

— Papież jest i ziemskim monarchą, a Pan Jezus był tylko biednym synem cieśli... No, tak... to zupełnie co innego..., ale jednak... I nagle stanęła jej w myśli jedna z tych niedziel w białogórskim kościółku — i zdawało się jej, że słyszy lud śpiewający: Święty Boże!, i widzi te poważne, zachwycone twarze. Ach, jakże tam było inaczej! Tu szli dla człowieka, dla widowiska, dla pięknych ceremonii — tam tylko dla swego Boga. Tu była sala teatralna

— tam prawdziwy kościół. Tu, jeśli gdzie na ołtarzu stał krzyż, to taki drobny, mały, nikły, że i dojrzeć go było trudno wśród tylu wspaniałości. Za to groby papieżyw rzucały się w oczy olbrzymimi postaciami, za to rozpierały się wszędzie piękne kobiety uosabiające ich cnoty, ewangelisci utwierdzający ich prawa i aniołowie czuwający nad ich nietykalnością, majaczyły tiary i klucze, a wysoko, na pierwszym miejscu, wśród glorii aniołków, jako najwyższa świętość tej świątyni, widniało krzesło św. Piotra!

I Zosi znowu stanął w oczach kościółek w Białogórze, gdzie obrazy były brzydkie, a ściany tylko bielone, ale gdzie nad ołtarzem wznosił się krzyż z figurą Zbawiciela i zdawał się być rzeczywistym panem i władcą nic tylko miejsca tego, ale i serc ludzkich.

— Jakoś u nas inaczej — westchnęła Zosia.

Tymczasem Te Deum zostało odśpiewane, papież usiadł na swej sedii i tłumy rzuciły się go żegnać. Znow powstał krzyk: vviva ii papa! Hvviva! Znow po świątyni leciał, jak wichur, głos tysięcznych piersi, grzmiał długim, przeciągłym okrzykiem, łamał się i milkł, i znowu się zrywał i namiętnie bił w sklepienia. Zdawało się, że od tego krzyku runąć muszą mury świątyni.

Zosia przelękała i odurzona, obejrzała się wkoło siebie, ale nie dostrzegła już ani matki, ani siostry. Nieznacznie tłum je rozsunał i rozdzielił, a teraz parł naprzód ku ołtarzowi i ją ze sobą unosił.

— Boże, co ja zrobię! — zawołała z rozpaczą i wysunawszy naprzód głowę, chciała rozejrzeć się i odszukać swoich. Ale dokoła widniały tylko czerwone, roznamiętnione twarze, otwarte wołaniem usta, oczy błyszczące, ręce oklaskujące, stado istot rozszalałych, podnieconych, które się miotaly i parły naprzód. Czowała, jak ramiona ludzkie ją gniotły, jak czyjeś łokcie wciskały się w jej ciało, czowała na szyi, na skroniach gorąco i uniesiona falą posuwała się naprzód z obawą i rozpaczą w duszy. Aż zapora jakaś, balaski malinowym adamaszkiem pokryte wstrzymały tłum cały. I Zosia ujrzała przed sobą przestrzeń wysłaną dywanami, wśród której wznosiły się kręte kolumny baldachimu i płonęły jeszcze świece u ołtarza. Biskupi i kardynałowie wstawali z miejsc swoich i, wlokąc barwne szaty za sobą, przechodzili poważnie, kierując się ku wyjściu. Prałaci poprawiali na plecach gronostajowe pelerynki, prostowali się i znowu rozpoczynali z sobą rozmowy. Gwardziści w wojskowym porządku szli w głąb kościoła za papieskim orszakiem. A kilku mężczyzn we frakach, w pozach salonowych, trzymając ręce w kieszeniach od spodni, gawędziło sobie, czekając chwili powrotu. Tłum krzyczał wciąż jeszcze, ale Zosia, mając przed sobą oparcie, zatrzymała się i starała się oprzytomnieć trochę.

— Jak ja teraz mamę odszukam? — myślała zakłopotana i postanowiła stać nieporuszenie na miejscu i śledzić za wychodzącymi.

Powoli głosy oddalały się, grzmot wychodził z odległych stron świątyni, a tłum powracał do równowagi. Kierowano się ku wyjściu, a czarna fala płynąć zaczynała ku drzwiom i ginęła pod karmazynową kotarą.

— Ale mamy nie widać i nie widać — niepokoiła się Zosia wodząc oczami po tłumie. — I co ja pocznę? Czy wracać samej, czy tu czekać?

A koło niej fala wciąż płynęła, czarne fraki mężczyzn, czarne sutanny księży, czarne woale kobiet. Już i w oddzielonej przestrzeni, przed ołtarzem, pusto się robiło. A ona stała, trzymając się balaski, z oczami utkwionymi w tłum, osamotniona i wylękła.

— Czy pani kogo szuka? — odezwał się tuż przy niej głos męski po polsku. Odwróciła się zdziwiona. Za balaskami stał młody cameriere papieski w czarnym hiszpańskim stroju i pochylał ku niej twarz uśmiechniętą. Ujrzała znowu te płowe oczy, które już raz widziała w sobie utkwione i twarz bladą o jasnym wąsie.

Odrzekła:

— Ja mam szukać. W tłumie nas rozdzielono i teraz nie wiem, co robić.

— Panie mają powóz?

— Tak, mamy.

— To najlepiej będzie tam u drzwi się zatrzymać, matka pani także będzie musiała tam przyjść, nie znalazłszy pani w kościele.

— Prawda. To będzie najlepiej.

— Proszę poczekać, przeprowadzę panią.

I nie czekając odpowiedzi młody człowiek obszedł dokoła barierę i torując drogę ku wyjściu poszedł przed Zosią.

Na dworze słońce jaśniało pełnym blaskiem i tysiące iskier leciało od metalowych ozdób na uprzęży, od kół powozowych, od złoconych guzików liberii. Wsiadano do powozów, nawoływano stangretów po imieniu, śmiano się i żartowano. Kilku policjantów utrzymywało porządek. Panie poprawiały woale spadające i rozrzucone włosy, chłodziły rozpalone twarze na świeżym, ożywczym powietrzu.

— Jak się nazywa stangret pani? — spytał cameriere.

— Nazywa się Romeo z via del Tritone, ale ja bez mamy nie pojedę.

— Nie, nie, pewnie matka pani zaraz tu nadejdzie. Stańmy tu na boku i czekajmy.

Stanęli pod drzwiami, a on znowu zaczął:

— Pani niedawno w Rzymie?

— Od miesiąca, ale na takiej uroczystości jestem po raz pierwszy.

— I cóż? Jakże się pani podobało?

— Ach, doprawdy, jeszcze sama nie wiem. Myślałam, że to poważniej wygląda. Tu wszyscy są jakby na zabawie — i tak krzyczą! U nas lepiej się zachowują w kościele.

On uśmiechnął się.

— U nas biorą wszystko poważnie. Słowiańska dusza jest skłonna do mistycyzmu, do melancholii, nie zna tych głośnych porywów. — Po chwili dodał: — Trzeba widzieć Ojca Świętego na codziennej mszy w prywatnej kaplicy, to zupełnie co innego. Jego świętość, jego skupienie oddziałuje ogromnie. Zresztą i ten barokowy kościół Świętego Piotra psuje całe wrażenie, tu nie może być mowy o żadnym nastroju...

— Wszak to jest najpiękniejszy kościół... On uśmiechnął się pobłaźliwie.

— O, któż to pani powiedział?

— Ależ wszyscy. Ja byłam pewna, że to bardzo piękne i że nie można inaczej myśleć.

On zaczął się śmiać.

— O, konwenanse, szablony, formułki! Zaręczam pani, że to, co wszyscy uważają za piękne, jest najczęściej tylko kosztowne, bo piękności prawdziwej tłum nie jest w stanie odczuć, ona jest tylko dla wybranych, dla wtajemniczonych — pour les initiés. I dlatego też o najpiękniejszych rzeczach najmniej mówią, a zachwycają się tym, co bije w oczy i jest łatwo zrozumiałe dla każdego. Na przykład Rafael — okrzyknięto go ósmym cudem świata i ta

sugestia dotąd działa. A czymże on jest? Bezduszny, banalny... A taki mistrz, taki poeta, jak Botticelli, teraz dopiero zaczyna...

Ale w tej chwili odezwał się za nimi uradowany głos pani Aliny:

— Zosiu! Co się z tobą stało?

— Ach, mama! Na koniec.

— Szukaliśmy ciebie po całym kościele.

— A ja nie wiedziałam już, co robić. Byłam w takim strachu...

— Dobrze, żeś tu stanęła.

— To pan mi poradził.

Pani Alina zwróciła się ku młodemu człowiekowi. Ten skłonił się nisko.

— Jak widzę, pan był tak grzeczny, że się zaopiekował moją córką  
rzekła po francusku. — Dziękuję najuprzejmiej. Teraz musimy jechać.



### III

Od Nowego Roku Teresa Leonia z panną Malkiewiczówną przeprowadziły się do własnego domu na via Mazzini i rozpoczęły nowicjat. Pani Alina z Zosią ulokowały się w hotelu di Roma i puściły się w świat.

— Spełnić muszę obowiązek matki — mówiła sobie pani Alina — i ustalić los Zosi. Może Bóg da, że znajdę tu dla niej męża, a potem już, potem poświęcę się zupełnie Bogu.

Więc oddała razem z Zosią kilka wizyt znajomym dawniej domom polskim zamieszkałym w Rzymie i oczekiwała zaproszeń, ale tego roku karnawał w czarnym świecie był dziwnie nieożywiony. Spotykano się kiedy niekiedy na five o'clockach, ale o wieczorach jeszcze nie było mowy. Dom hrabiny Tur, bardzo zazwyczaj otwarty i ożywiony, jeszcze dotąd nie ogłosił swoich „dni”.

Hrabina zrażona przykrościami, jakich zeszłej zimy doznała od „czarnych” za przyjęcie księcia Turynu na jednym ze swoich balów, sama jeszcze nie wiedziała, jak się teraz zachować. I nawet powiadano, że zamierza wyjechać do Nizzy na cały karnawał.

U pani Wolkenstein, której soboty muzykalne miały bardzo dobrą renomę, także w tym roku drzwi były zatarasowane z powodu choroby córki. Cała nadzieja była w Montich, spowinowaconych przez nią z kolonią polską, i w Skoradzkich, którzy mieli córkę na wydaniu i prześliczny apartament w swej willi za Porta Pinciana.

Tymczasem pewnego rana przyszli niespodziewanie państwo Sużyńscy z zaproszeniem do siebie na małą herbatkę. On był dalekim krewnym Halickich, zamieszkałym stale w Rzymie, gdzie piastował niezbyt uciążliwy urząd camerier przy Watykanie. Ona zaś, z rodziny emigrantów osiadłej od dawna w Paryżu, nie umiała prawie po polsku, ale miła, sympatyczna, uważała sobie za punkt honoru przyjmować w swoim domu Polaków przebywających w Rzymie i tworzyć dla nich un centre, un foyer polonais.

W tym foyer polonais nie mówiono wprawdzie inaczej, jak po francusku, przez grzeczność dla pani domu, ale mówiono o kraju, o stosunkach tamtejszych.

Panie Halickie, wchodząc tam o godzinie dziewiątej w dzień naznaczony, zastały już spore grono gości. W obszernym salonie palił się na kominku ogień oświecając czerwonym blaskiem twarz i fioletowy pas monsignore'a Żurowskiego, prowadzącego półgłosem gawędę z dwiema podżyłymi pannami.

W przeciwległym kącie, nad stosami albumów, siedziała młodzież: panna Skoradzka, panna Tola Herd, siostrzenica hrabiny Turowej, dwie panny Iżewskic, przybyłe z Warszawy i kilku młodych ludzi. A pod wielką lampą, osłoniętą koronkowym abażurem, panie i panowie skupieni byli koło stoliczka z maszynką i przyrządem do herbaty, przy którym gospodarowała pani Sużyńska, brzęcząc spodkami i łyżeczkami i nalewając wypieszczoną rączką herbatę do malutkich filizanek.

Wejście pani Aliny z córką wywołało ruch w towarzystwie.

— Tak późno, kuzynko! — zawołał pan Sużyński całując podaną sobie rękę.

Pani Alina coś zaczęła o późnym obiedzie hotelowym i przerwała na widok wysokiego mężczyzny, który się do niej zbliżał.

— A, i profesor tu! Nie wiedziałam...

— Od niedawna. Od paru dni zaledwie. Zwykła praca w archiwum. A pani już swą młodszą córeczkę nam przywiozła?

— Tak, Zosiu — profesor Mężyk.

— Pani też może do zakonu? — spytał brodaty profesor z uśmiechem. Ona się roześmiała.

— O nie, nic! — zawołała żywo i dodała już poważnie: — Nie mam żadnego powołania.

Monsignore Żurowski rzekł żartobliwie:

— O, powołanie się znajdzie, znajdzie, ale nie do duchownego stanu. Pani Sużyńska zbliżyła się do Zosi.

— Zapoznam kuzynkę z młodszym towarzystwem — rzekła biorąc ją pod rękę. — Pan Paliński, artysta muzyk — mówiła przedstawiając panów — a to pan Bruzdziejcz, artystamalarz. Sztuki piękne w komplecie. A to hrabia BarberiniBaraniewski, cameriere di Sua Santita, a to znajome, nieprawdaż? — dodała wskazując na panny.

Zosia spojrzawszy na hrabiego BarberiniBaraniewskiego poznała w nim swego opiekuna od Św. Piotra i zawołała:

— O, ja pana już znam.

— A tak, miałem przyjemność panią ratować — rzekł składając przed nią ukłon.

I zwracając się do towarzystwa opowiedział przygodę w zabawny i oryginalny sposób.

Panny się zaśmiały i mówiono o ceremoniach papieskich.

Potem mówiono, że prawdopodobnie przybędzie z Galicji pielgrzymka polska, do której wszyscy obecni w Rzymie Polacy będą mogli się przyłączyć, na co panny Hżewskie podniosły ładne oczy ku górze z wyrazem zachwytu.

Ale temat został przerwany przez pana Chańskiego, który przed chwilą wszedł był do salonu, a teraz wyciągał się wygodnie w najobszerniejszym fotelu.

— Państwo tu sobie gwarzycie o fatalaszkach, a ja przynoszę wielką nowinę. Proszę sobie wyobrazić, wykopali na Forum pyszną płaskorzeźbę. Byłem tam dziś razem z Rossim. No, cudo, powiadam, rzecz bajeczna! Rossi przypuszcza, że to z początku IV wieku przed Chrystusem.

— I cóż przedstawia? — spytał stając za nim pan Sużyński.

— Co przedstawia? Trudno to jasno określić, zdaje się, że jakąś ofiarę, dwaj młodzieńcy wiodą uwieńczonego byka, a nad nimi leci z trąbką zapewne Sława.

— Przyznam się, że nie cierpię tych starych gratów — rzekła panna Skoradzka, gdy tamci odeszli w drugą stronę pokoju. — Mój ojciec ma do tego pasję i wiecznie różni handlarze nanoszą mu tych rupieci do domu. Mówmy o czym innym.

— Na przykład, gdyby tak jaką wycieczkę ułożyć — wtrącił hrabia Barberini Baraniewski. — Podaję projekt...

— Mój Boże! Hrabia Paulin podaje projekta! — zaśmiała się panna Skoradzka, która pozowała na złośliwą. — Cóż to się stało?

— A, widzi pani, zmieniają się ludzie.

— Obrzydł już panu spokój święty, co? Nirwana dokuczyła? Jeszcze ujrzymy pana w roli dzielnego, energicznego, ruchliwego...

— O, co to, to nie.

— Ależ projekt? Jakiż to projekt? — spytały panny.

— Projekt taki: jutro po śniadaniu bierzemy jeden, dwa, trzy, dziesięć powozów, pakujemy się całą gromadą i ruszamy na przykład do Tre Fontano. Po drodze możemy zwiedzić Św. Pawła albo, jeszcze lepiej, zajechać do Term Karakalli. Pogoda cudna, korzystajmy.

Powstały okrzyki zadowolenia. Panny zgadzały się wszystkie. Mamy też nie miały nic przeciwko temu. Pan Sużyński wprosił się do towarzystwa i nawet profesora zachęcono. Panna Skoradzka skrzywiła się tylko, mówiąc, że to wszystko zna na pamięć.

— A mnie zabierzecie państwo? — spytał pan Chański i jeszcze wygodniej rozpostarł w fotelu swe ogromne ciało.

— I owszem, ale pod warunkiem, że pan ani razu nie wspomni o swoim szezlongu i o swoich książkach.

— Oj, to będzie trudno.

Zrobił się ruch, ustalano godzinę, miejsce zebrania. Pani Tur oświadczyła, że pojedzie także i zaprosiła do swego powozu pana

Odałowskiego, korespondenta kilku pism krajowych, i malarza Bruzdziwicza.

— Pogawędzimy wspólnie o moich przyjęciach na ten rok — rzekła zwracając się do pana Odałowskiego. — Po zeszłorocznym skandalu potrzebuję rady pańskiej, lękam się wszystkiego.

— Ależ pani hrabino! Z największą przyjemnością służyć będę.

— Więc przyjdźcie panowie do mnie na śniadanie. Tymczasem hrabia Barberini Baraniewski zwrócił się do Zosi:

— Pani okolic Rzymu nie zna jeszcze wcale?

— Prawie nie. U Św. Pawła byłam już i w katakumbach, i w Termach także, ale Tre Fontano nie widziałam. Bardzo jestem ciekawa.

— O, sam kościół i klasztor niewarte widzenia, ale trapiści! Oto co jest ciekawego!

— Trapiści?

— Tak. Ich zakon jest w posiadaniu Tre Fontano, oni też przyjmują turystów i oprowadzają ich, więc można im się przypatrzeć. Ach, powiadam pani, to bajeczni ludzie!

— Oni muszą wiecznie milczeć?

— Tak, wiecznie. Ma się rozumieć gdy gości oprowadzają, to mogą mówić. Ale ich życie — to jest coś... coś, no, mówię pani, coś nadzwyczajnego.

— Tak, oni poszczą i wstają w nocy do modlitwy i...

— I żyją w tamtym świecie — literalnie, w innym świecie. Nie, tego rJe można sobie przedstawić. Oni już nie mają ciała, zmysłów, zachceń, pożądań — oni są już czystymi duchami, pływają w morzu rozkoszy, obcują ze świętymi, z aniołami... no, powiadam pani, tak rozmawiają z aniołami, jak ja w tej chwili z panią rozmawiam. Widzą i słyszą to, czego nasze śmiertelne i grzeszne zmysły nie są zdolne widzieć i słyszeć. Tak — bajeczni ludzie.

I mówiąc to hrabia Barberini Baraniewski podnosił do góry swe płowe oczy, które jeszcze bardziej bladły i jakby się rozpląwały w mgle rozkosznej. A

na usta jego wybiegł uśmiech rozmarzony. Zdawało się, że i on w tej chwili widzi jakiś inny świat i słyszy głosy niedosłyszalne dla reszty obecnych.

— Ach, wyzwolić się z tej brudnej cielesnej powłoki! Być czystym duchem — z dala od ziemi, od jej banalności, od jej fałszów... — szeptał.

Zosia przyglądała mu się z zajęciem, trochę zdziwiona i rozbawiona tym mistycznym wybuchem, a panna Skoradzka, która słuchała także, spytała:

— Więc czemu pan nie został trapistą? Byłoby to tak interesujące, a zresztą i bardzo do twarzy w tym białym habicie.

Ale on nie odpowiedział, tylko znowu, zwrócony do Zosi, zaczął opowiadać, jak mu przed kilku laty udało się być na nocnym nabożeństwie u trapistów — była to wyjątkowa łaska — i widział w bladym świetle lamp te twarze nieziemskie, te oczy patrzące gdzieś, gdzieś daleko w zaświaty i słyszał oficjum śpiewane cudnie, czystym gregoriańskim śpiewem... Ach, było to wprost odurzające!

A tak to ładnie opowiadał, że zbliżył się Bruzdiewicz i wyjąwszy z kieszeni kawałek węgla, zaczął na jakiejś okładce szkicować tę scenę.

— Bardzo dobre, bardzo dobre — mówił mrużąc oczy i przechylając głowę na bok. — Pyszne w tonie. Czarne, białe i pomarańczowy promień lampy, tu i ówdzie, na łysej czaszce refleks. Dobre, dobre.

W czasie gwarzenia młodszych nad stosami albumów starsi panowie przy kominku prowadzili rozmowę. Mówiono o polemice, jaka niedawno powstała w pismach polskich między znanym filozofem i przyrodnikiem a znakomitą powieściopisarką, o emigrowaniu z kraju za granicę talentów i w ogóle inteligencji.

— Przy tym u nas któż umie cenić artystę lub pisarza? rzekł malarz Skoradzki. — Pojęcia nie mają o sztuce. Dopiero jak za granicą zdobędzie kto uznanie, to i nasi zaczynają się zachwycać. Moje obrazy nie miały w kraju żadnego powodzenia, aż gdy zacząłem je stąd posyłać.

— Przyznaję, że byłoby może dla kraju z korzyścią, gdyby nasza inteligencja rozproszona po świecie tam się skupiła — rzekł profesor, który lubił zawsze bezpośrednią drogę i był dumny ze swej bezstronności. — To by mogło wytworzyć pewną jasność, od której by się rozchodziły promienie.

— Ale ta inteligencja, czyby sama nie ucierpiała mocno, gdyby się zdecydowała zakopać tam, z dala od cywilizacji wszechludzkiej? — spytał pan Odałowski. — Czyby nie zagasła ta jasność i jeszcze większa byłaby strata dla kraju? Tak przynajmniej roznosimy po świecie naszą sławę, a tam bylibyśmy w warunkach tak okropnych!

— Najlepiej plunąć na wszystko — przerwał Chański rozkładając się w fotelu. — Krzyżyk postawić nad wszelkim patriotyzmem, narodowością, językiem, religią, e tutti frutti i tak się urządzać, jak komu wygodnie.

W jego głosie była wielka ironia, ale twarz była spokojna. Nikt nie wiedział, czy drwi, czy mówi z przekonaniem. Przymknął oczy i na w pół leżąc w fotelu, zamilkł. Inni też milczeli przez chwilę i tylko z przeciwległych kątów salonu dochodziły głosy kobiet, brzęczenie łyżeczek o filiżanki i śmiech Mani Hżewskiej. Monsignore Żurowski siedział nieruchomy z oczami utkwionymi w ogień kominka.

— Miałem stryjecznego brata, który, młodym będąc, był idealistą, zapaleńcem, patriotą, przy tym bardzo wykształcony człowiek, zdolny niezmiernie. Gdy skończył uniwersytet, uśmiechała mu się kariera świetna jako juryście. Miał protekcję, doszedłby prędko do profesury, ale on uważał za swój obowiązek osiąść na wsi, w majątku, więc wrócił, zakopał się gdzieś w mińskiej guberni. I co z tego? Stetryczał, zgorzkniał, zdolności zmarnował, a korzyści krajowi nie przyniósł żadnej.

— Skąd pan wiesz, że nie przyniósł? — spytał Chański, otworzywszy oczy. Monsignore Żurowski pokiwał głową.

— Smutno słuchać — rzekł — gdy panowie mówicie. Więc cóż, składać broń i zmykać? Niech talenty, zdolności, inteligencja, czoło narodu, niech

jadą za granicę, pod włoskie niebo, a tam niech zostaje miernota, szary tłum, czy tak?

Nikt nie odpowiedział, a on po chwili mówił dalej:

— Wprawdzie ja sam tu w Rzymie stale przebywam, ale też i nieraz myślę: czybym nie był pożyteczniejszy i kościołowi, i krajowi własnemu, gdybym tam gdzieś, jako wiejski proboszcz, pracować mógł? Stało się, niech mnie Bóg sędzi, ale każdemu nowo przybywającemu powiem zawsze: źle robisz, źle! To nie wyższe aspiracje twego umysłu ciebie tu gonią, ale małoduszność, egoizm, tchórzostwo, tak, tak... tchórzostwo!

Spokojna zwykle twarz monsignore'a ożywiła się i leciuchny rumieniec zaczął mu występować na policzki, ale, jakby w obawie, że za wiele powiedział, że kogoś z obecnych mógł urazić, zatarł ręce z niepokojem i dodał:

— Naturalnie, są wyjątki, są okoliczności łagodzące. Nie mamy prawa potępiać nikogo. Niech Bóg sędzi ludzkie serca i ludzkie zamiary! Tylko, jako zasada...

— O, zasady! Dobrze o nich monsignore'owi mówić! — rzekł pan Odałowski. — Ale w praktyce...

— A nawet, jeśli chodzi o zasadę — to gdzież tu tak wielkie zło? — spytał malarz Skoradzki. — Czy artysta na przykład maluje w kraju, czy za granicą — to zawsze jest artystą polskim. Przecież nikt z nas nie zapiera się swojej narodowości.

— Owszem, dumni z niej jesteśmy — rzekł pan Odałowski.

Ale w tej chwili przerwana została rozmowa panów, gdyż pani Sużyńska zaczęła prosić Palińskiego o zagranie czegoś malutkiego, choćby mazurka, walczyka. Byłoby to takie szczęście dla całego towarzystwa.

On naprzód trochę się wymawiał, ale wreszcie usiadł do fortepianu i zagrał. Umilkli więc wszyscy i w salonie zrobiło się cicho.

Grał cudnie. I Zosia słuchając odleciała myślą od tego domu rzymskiego, pełnego ludzi obcych, i frunęła daleko, do swoich, pod litewskie



niebo. Zabrzmiała Pastorałka Scarlattiego, a jej stanęła żywo w pamięci ta chwila, gdy to samo grała w Haliniszkach Jerzemu. Mój Boże, jakże to wszystko było dalekie! I Haliniszki, i wszyscy swoi, i ten cichy wieczór letni. A Jerzy, gdzież on był teraz? Aż straszno pomyśleć, zapewne samotny wśród obcych ludzi, może w biedzie, w smutku, w tęsknocie. O, gdybyż to Zdrowaś Mario, które co wieczór odmawia na jego intencję, mogło mu pomóc i pocieszyć go choć trochę!...

I nagle porwała ją szalona tęsknota do swoich, do kraju, do tego wszystkiego, co było takie swoje, takie kochane... I aż łzy w oczach jej się zakręciły.

— Panią muzyka wzrusza? — szepnął jej nad uchem hrabia Barberini Baraniewski, który ją obserwował od dłuższej chwili. I pochylił się nad nią, jakby chciał wywołać jakieś zwierzenie.

— Nie — odparła — dlaczego? — mrugała powiekami i starała się przybrać twarz zwyczajną.

— Widziałem w oczach pani wielkie wzruszenie, smutek prawie.

— E, to nic — zaśmiała się. — Myślałam o domu w tej chwili, i jakoś... Ale to nic...

Hrabia odwrócił się, jakby zawiedziony. Mój Boże, jakaż to była prosta sobie duszyczka! Nie, wcale nie interesująca.

Muzyka zamilkła. Otoczono artystę, dziękując i zachwycając się. Skupiono się wkoło niego, zmuszając do rozmowy, pytając o zamiary koncertowe, o przyszłe plany, wreszcie o królową Małgorzatę, do której wiadano, że był przed paru dniami wezwany.

On opowiadał o niej z zachwytem. Królowa go oczarowała, była taka miła, taka piękna i taka wykształcona, a przy tym taka dobra i tak szlachetnie myśląca.

— Dla takiej kobiety — rzekł profesor Mężyk — rozterka rządu włoskiego z Kościołem musi być straszną męką.

— Ja, choć słyszę zawsze o jej zaletach — odezwała się pani Alina — nie mogę w nie wierzyć. Osoba wierząca prawdziwie nie mogłaby tak żyć w nieprzyjaźni z Kościołem świętym, pod klątwą.

— A cóż ma robić? Wszak nie od niej zależy zmienić bieg historycznych wypadków — ujął się za królową pan Paliński.

— Nie wiem, co ona ma robić, ale trwać w błędzie i gubić duszę swoją na wieki...

Chwilę trwało milczenie, aż ktoś podniósł głos i spytał:

— Ciekawym, jaki to jednak będzie koniec tej walki między rządem włoskim a papieżem?

Rozgorzała dyskusja. Różne były zdania. Jedni twierdzili, że Kościół musi wreszcie wyrzec się władzy doczesnej, że dziś nie jest mu ona konieczna, a bez niej zyskałby jeszcze większą władzę nad duszami i nad umysłami, że wpływ Kościoła na ludzkość wcale się nie zmniejszył od czasu zjednoczenia Włoch, co jest dowodem, że bez tej władzy obejść się może, że nawet bez niej jest potężniejszy.

Ale te zdania były nieliczne. Większość obecnych mówiła, że papież nie może i nie powinien ustąpić ani na jotę praw swoich. Monarchą jest ponad wszystkimi monarchami i musi jako taki posiadać królestwo ziemskie.

Wreszcie zabrał głos monsignore Żurowski:

— Kwestia to jest niezaprzeczenie ciekawa — rzekł — i dla każdego wzruszająca, ale kwestia to już z góry przesądzona. Tu dla katolików nie może być dwóch zdań. Papież musi wrócić w posiadanie swojego królestwa, bo słusznie je posiadał, a niesłusznie zostało mu odjęte. A czy prędzej, czy później to nastąpi — czy w ten lub inny sposób — to jest rzecz małej wagi. Że nastąpi — o tym nie może być wątpliwości. I nawet dla patrzących uważniej na rozwój społeczeństw jasnym jest, że chwila ta zbliża się. Ten tak silny zwrot ku Kościołowi świętemu, jaki zauważyć musimy, jest przepowiednią wielkich na świecie zmian. Nie tylko władza Ojca Świętego nie pozostanie

uszczuplona, ale owszem, rozszerzy się jeszcze, wzmocni się i spotęguje, i cały świat ogarnie.

Głos księdza był niezłomnie pewny, a szeroki gest jego obejmował rzeczywiście świat cały. I dodał jeszcze:

— Bo wszystko przeminie, a słowa Pana naszego nie przeminą.

#### IV

Na Piazza di Spagna panowała cisza. Była to pora południowa, więc po hotelach, w restauracjach, w pensjonatach zjadano śniadanie — a tłum cudzoziemców i gapiów zaludniająca zwykle tę część miasta znikł chwilowo z ulic. Magazyny opustoszały, konie dorożkarskie drzemały w cieniu, stangreci czytali gazety na kozłach i nawet przekupnie, handlujący kwiatami, zdjęli z głów kosze pełne fiołków, hiacyntów i róż herbacianych, i, obsiadłszy fontannę wkoło, gwarzyli lub palili cygara, spluwając wciąż przed siebie. Tylko na schodach prowadzących do kościoła Trinita dei Monti modelki w rzymskich strojach, które pozostały bez zajęcia, kłóciły się między sobą, a kilku chłopaków, leżąc w cieniu balustrady na kamiennych płytach, grało w kości. Cicho było i ciepło. Słońce świeciło jasno na niebie bez chmur. Tylko z niedalekiego Corso dolatywał wieczny turkot powozów, gwar ludzki i krzyki przekupniów.

O wpół do drugiej ozwał się zbliżający turkot i w głębi via Condotti ukazały się dwa powozy. Wjechały na plac, zwróciły się ku schodom i stanęły w cieniu domów.

— Nie widać jeszcze hrabiny — zawołała pani Alina z pierwszego landa do pani Ilżewskiej, siedzącej w drugim.

— Zaczekajmy — odpowiedziała ona.

W tej chwili chłopcy grający dotąd w kości zerwali się i otoczyli powozy.

— Un soldo, signora! — krzyczeli wszyscy, a z drugiej strony porwali się przekupnie z kwiatami znad fontanny i biegli ku stojącym powozom z koszami na głowach, zachwalając róże i fiołki i błyskając czarnymi oczami i białymi zębami w uśmiechu. — Un soldo, signora! — krzyczały dzieci.

— Per la bella signorina! — wołał jakiś czarny przekupień, wtlaczając wiązkę hiacyntów w ręce hrabiego Barberini Baraniewskiego i posyłając wejrzenie pełne znawstwa ku Zosi.

— No, no, lasciate... — broniła się pani Alina.

Ale ktoś powiedział, że dzieci ślicznie tańczą tarantellę, więc w tej chwili znalazł się bębenek i rozpoczął się taniec. A takie ładne były chłopaki w swych spłowiałych aksamitnych kurtkach, a oczy ich tak się śmiały i ruchy ich były tak piękne, że towarzystwo wysiadło z powozów, aby się im lepiej przyjrzeć, i soldy zaczęły się wysypywać z portmonetek. I kwiaciarze, korzystając z dobrego humoru, potrafili wsunąć kilka bukietów panom dla pięknych pań, ani się obejrzano, jak wybiła druga.

— Ale pani Tur nie widać — rzekła pani Iłzewska.

— Jeszcze nie zdarzyło się, aby ona stawiała się w porę — zauważył pan Sużyński. — Ale i Chańskiego nie ma.

— Mówił, że przyjdzie piechotą na plac.

— Oto idzie! — zawołała Zosia.

Szedł pan Chański nie spiesząc się, trochę zasapany — i opędał się laską od napastujących go chłopaków.

— On się trenuje, żeby schudnąć — zaśmiała się Mania Iłzewska.

— Trzeba prawdziwego poświęcenia dla pań — mówił witając się pan Chański — aby dziś jechać — tam w hotelu mam taki szezlong wygodny i takie stosy książek i pism do przejrzenia.

Panny zachichotały.

— Po cóż pan przyjechał do Rzymu! Szezlong i w Ucianach mieć można. Czy warto na drugi koniec Europy przyjechać, aby leżeć cały dzień i pisma przeglądać? Zresztą to żadne poświęcenie dla nas, bo nam i bez pana doskonale, nie jesteśmy wdzięczne — ani trochę.

— Kiedy bo panie tak sypią słówkami, że tchu złapać nie można. Ot, proszę sobie dalej języczki strzępić, a ja tymczasem usiądę, bo nogi bolą.

I pan Chański rozsiadł się w jednym z powozów i wyciągnął nogi.

Tymczasem powstał okrzyk zadowolenia na widok powozu pani Tur, która nadjeżdżała z wielkim machaniem parasolek i kapeluszków na powitanie.

— Cóż za pyszne konie hrabina sobie sprawiła! — zauważył hrabia Sużyński.

— *II me content les yeux de la tete* — odpowiedziała. — Szelma Włoch okpił mnie szkaradnie.

Termy Karakalli sterczały w słońcu nagimi ścianami, na błękitie nieba rysowały się brunatnymi plamami olbrzymich murów bez dachu, odartych z ozdób i z marmurów. Sale ciągnęły się jedna za drugą puste i wielkie, milczące dzisiaj w blaskach słońca, osierocone i martwe. W kątach wały się szczątki dawnych posągów, odłamki marmurów, zrzucone bezładnie i bielejące jak kości na cmentarzu.

— Tu — zabrał głos pan Odałowski zwracając się do pań — było dawniej tepidarium, sala kąpielii z letniej wody — tam na lewo frigidarium z ogromnym basenem wody zimnej, do pływania — a tu, na prawo, widzą panie okrągłą salę, dawniej sklepioną — caldarium — właściwa łaźnia. Tam zaś, przed nami, drugi tejże wielkości perystyl jak ten, którą dyśmy wchodzili. Zapełniony był posągami — tu znaleziono mnóstwo cennych rzeźb i mozaik, dziś przeniesionych do muzeów: gladiatorowie w tateranie, Byk Farnezyjski etc, etc.

Panie szły przez ruiny w milczeniu. Patrzyły w górę na zębate odłamy muru, spoglądały dokoła trochę zaciekawionym, trochę przelękłym wzrokiem. Ogrom tych proporcji przerażał je i onieśmielał.

Mania Iżewska lornetkę kierowała ku zwałonym kupom marmurów, opanowała ją szalona chęć ukradzenia jakiego odłamka.

— Jak myślisz.....szepiała do Zosi — żeby tak co ściągnąć? Nikt nie spostrzeże, co?

I nieznacznie wysuwała rękę ku ziemi, ale wnet cofała się, wstydem przejęta.

Zosia starała się myśli skupić i wywołać przed oczami wyobraźni tych rzymian, którzy się tu niegdyś przechadzali owinięci w białe togi lub walczyli

tam w sali gimnastycznej, albo układali może jakieś rewolucyjne spiski w cieniu tych kolumn. Tu przecie koncentrowało się życie patrycjuszów. Jacy oni byli piękni! Podobni zapewne do tych posągów, których tyle widziała w galeriach watykańskich. Jakie ich życie było rozkoszne i wesołe! Jak inne od naszego! I jak dziwnie, że to wszystko tak zginęło, przeszło, zapadło gdzieś w przeszłość — i z całej tej dawnej chwały pozostały tylko te ruiny... Wszystko mija... przechodzi... ginie... Cóż z nas zostanie? I nagle ogarnęło ją poczucie znikomości i niestałości wszystkiego na tym świecie tak wyraźne, że prawie czuła przez chwilę posuwanie się ziemi, nieba i wszystkiego naokoło ku otchłani jakiejś, która była wiecznością. I czuła, jak sama szła też naprzód, parta jakąś niewidzialną mocą, i życie jej leciało, leciało gdzieś w dal nieznaną...

— Nie ma rady, iść trzeba tam, gdzie popycha przeznaczenie — pomyślała.

A nad nią odezwał się głos hrabiego Paulina, nucący znaną piosnkę Tostiego:

— Rosę ce soir, demain fletrie. Comment vistu, toi qui n'as pas d'amour?

Urwał. I to słowo „amour” zdawało się rozchodzić w powietrzu, drgać w błękicie, czepiać się murów i połamanych posągów i wszystko powlekać barwą świeżą i gorącą.

— Comment vistu, toi qui n'as pas d'amour? Tak, prawda, jakże ona żyła, bez miłości, bez żadnego droższego w sercu obrazu. A pod tym niebem gorącym wszystko mówiło nie tylko o znikomości rzeczy ludzkich, lecz bardziej jeszcze o miłości. Miłością tchnęło słońce palące, potężne, miłością wzdychał wietrzyk, co przynosił gorzkie zapachy bukszpanów i pinii, miłością przesiąkłe były te stare mury, miłością skrzyły się oczy ludzkie. Miłość panowała wszędzie — czepiała się ruin i serc żywych, leciała na promieniach słonecznych i czyhała w głębi niebieskawych cieniów, sączyła się wraz z

zapachami kwiatów, drgała w powietrzu i przenikała wszystko. I bezwiednie serca tu miękły — rozpalala się krew.

Zosia odwróciła głowę. Reszta towarzystwa była daleko, a w olbrzymim frigidarium oni byli sami. Hrabia Paulin patrzył na nią swymi płowymi oczami, które zasnuwały się mgłą.

— Nieprawdaż, pani — zaczął — że wobec tej znikomości wszystkiego, co nas otacza, trzeba się spieszyć z kochaniem? — A gdy ona nie odpowiadała, dodał: — Myśl o śmierci, o niechybnym naszym końcu, dodaje smaku i woni naszym wrażeniom. Gdyby nie było śmierci, zapewne nie byłoby miłości.

Ona nie odrzekła nic, uderzona tą nową myślą. I szli obok siebie w milczeniu, w cieniu olbrzymich murów, zgubieni i samotni w tym ogromie. On patrzył na jej gibką postać, objętą w czarny żakiet, na złoty węzeł włosów pod toczkiem z ciemnych piórek, na cerę zdrową i świeżą, pokrytą jak brzoskwinia leciuchnym puszkim, na to życie młode i bujność, co z niej tryskała.

— Tak, tak — mówił do siebie — typ to jest zdrowej dziewczyny, ale nie mój typ. O, nie! Tu jednak nie chodzi o to. — I głośno rzekł znowu:

— Patrzę na panią i myślę sobie, że pani na tle tych ruin to upostaciowanie wiosny wiecznie trwałej, wiecznie się odradzającego życia, miłości wreszcie, co jak Feniks odradza się z popiołów i trwa, i trwa.

— Czemu to ja mam być tym upostaciowaniem? Czemu nie pan? Pan także młody.

— Młody? Tak, latami mogę być uważany za młodego, ale cóż lata znaczą! Naprawdę jestem stary, stary jak świat, złamany, zmęczony, zamarły... Nigdy młody nie byłem...

— Dlaczego?

— Albo ja wiem dlaczego? Jest coś w tym powietrzu fin de siecle'owym, co nas postarza i niszczy, zjada nas. Jakiś Weltschmerz rozlany wszędzie, coś, co nam od początku zamraża krew w żyłach... Rodzimy się zgniłymi. I trzeba



szukać aż w litewskiej wioszczyźnie, tam gdzieś w dzikich krajach, aby znaleźć taki okaz nieskalanej młodości, zdrowia, czystości, jakim jest pani.

— Czy pani nie kochała się jeszcze nigdy? — spytał po chwili. Zosia zaśmiała się i odparła, zwracając ku niemu głowę:

— Owszem, kochałam się i to nieraz. Kiedyś byłam na wieczorku u ciotki w Wilnie. O, wtedy byłam jeszcze dziewczynką w krótkiej sukni i był tam jeden gimnazjalista, który mi się podobał nadzwyczajnie, tańczył ze mną mazura i zapisał mi swoje nazwisko na wstążce od warkocza. O, chowałam tę wstążkę bardzo długo! A potem w Warszawie — kochałam się w profesorze literatury, ale to trwało krótko. A potem, to już naprawdę zakochałam się w jednym studencie, który razem z nami brał lekcje tańców, i to już trwało przez cały czas lekcji.

— A po skończonych lekcjach?

— Po skończonych lekcjach nie spotykaliśmy się, więc przeszło.

— A potem?

— O, już potem nic. Tyle było ważniejszych rzeczy do zrobienia, że nie miałam czasu myśleć o tym.

Przez chwilę milczeli. On myślał:

— Dusza z jednej bryły zrobiona, wszystko jasne, proste, określone i pospolite. I co ja z taką będę robił?

Zanucił jednak znowu:

— Rose ce soir, demain fletric. Comment vistu, toi qui n'as pas d'amour?

— O, będzie jeszcze dość czasu na to! — odparła. — Babunia mówi... — Przerwała i zaczęła się śmiać. — Ale pan nic nie wie o mojej babuni, a ja tak mówię o niej... babunia, babunia, to najlepsza i najrozumniejsza na całym świecie i już jak co powie, to pewne, że tak jest.

I gdy mówiła o babuni, rozjaśniła się jej twarz, a on patrzył na nią z zainteresowaniem.

— Więc cóż babunia mówi? — spytał.

— Babunia mówi, że z wyjściem za mąż nie trzeba się spieszyć, że taka chwila przyjdzie, gdy człowiek powie sobie: ten albo żaden. A dopóki ta chwila nie przyjdzie, to iść nie trzeba.

— Babunia pani jest może najlepsza i najrozumniejsza na świecie, ale idealistka! Taka chwila nie zawsze w życiu przychodzi. Nie, człowiek to nie jest taka sobie prosta i nieskomplikowana istota, nie zawsze wie, czego chce, a czego nie chce. Dusza nasza to zagadka, labirynt, tajemnica, przepaść. Maeterlinck mówi... Czy pani czytała Maeterlincka?

— Nie.

Wyszli już byli z frigidarium i za resztą towarzystwa dążyli przez perystyl, gdzie stało na podstawach kilka białych posągów zniszczonych i smutnych. Nagle Mania Iłzewska wypadła z jakiegoś kąta i, kryjąc coś pod pelerynką, mówiła do Zosi:

— Udało się, nikt nie widział. Wiesz, ściągnęłam! Śliczny kawałek, każę oszlifować i dam napis. Tylko pamiętaj, nic nie mów.

— Ach, Boże, ja bym się nigdy nie odważyła — rzekła Zosia. Poszły naprzód, a hrabia Barberini Baraniewski myślał:

— Niezaprzeczenie ładna jest i ma to, co ludzie nazywają wdziękiem. Ale cóż to za banalność! Co za pospolitość! Jaka też może być miłość takiej kobiety? Będzie to ta prosta, gruba, powszednia miłość, którą zwykle świat jest przepojony. Będą to te same pieszczoty, te same wzdychania, te same uniesienia, którymi każda pokojówka częstuje swojego strażaka czy kelnera: mój luby, mój skarbie, moje życie, mój jedyny! Będzie tam może i trochę namiętności i dużo poczciwości i wierność niezachwiana, będzie ciało zdrowe, tłuste, białe, i fale złotych włosów, i oczy niebieskie, i różowe usteczka, i naiwność domagająca się oświecenia, i wesołość, i szczebioty, i tak dalej, i tak dalej. To wszystko jest dobre, nawet doskonale dla innych... Ale dla mnie?... Cóż bym z nią robił? Ona należy do rzędu istot prostych, zwykłych, żyjących

na ziemi duszą i ciałem. To jest takie sobie ładne, zdrowe zwierzątko, wypasione i syte, niegłupie, niezłośliwe — owszem, nawet hodowane na moralnej karmie. Waza napełniona po brzegi zasadami, ale ani sensacjami swymi, ani intuicją, ani zmysłami nawet nie wzniesie się nigdy ponad banalność, ponad obrzydły szablon. A ja... ach, nie potrafię żyć z taką!

Zosia z Manią Iłzewską przyłączyły się już do towarzystwa, któremu pan Odałowski znowu coś tłumaczył, a hrabia Paulin mówił dalej do siebie:

— Zresztą, wszystko mi jedno, ta czy inna. Ożenić się muszę, a żadna nie zastąpi mi Wiki. Po co mi ją odbierają? Co to komu szkodziło? Opinia, ani ona, ani ja nie dbaliśmy o opinię i było nam dobrze, o ile może być dobrze podobnym do nas istotom. O, Wika, to było co innego! To nie kawał mięsa biały i różowy, to dusza. W jej żyłach nie krew płynie, a jakaś substancja, szampana i kwiatowych soków, gdzie i kropla trucizny się znajduje. Jej oczy to nie jakieś błękitne krążki na porcelanowym tle, to przepaści bez dna, otchłanie ciemne, w głębi których migocą iskierki. Jej włosy to węże śliskie i zwinne, miedziane i ogniste. A ciało jej! Nie ma ono tej wulgarnej białości, nie jest to wielkie, utoczone, syte ciało zdrowego stworzenia, bez czucia i nerwów. Ona jest subtelna, ciemna, ze złotymi refleksami, zawsze chłodna... Chuda, ale nie koścista. Jej skóra to płatek kwiatu! To blady narcyz, wonny i upajający. Perfumy, którymi się zlewa, przygotowuje sama z różnych esencji, toteż i zapach jej ciała jest zupełnie odrębny, jest w nim jakaś poezja mistyczna i tajemnicza, jest to połączenie czegoś zwierzęcego z wonią kadzideł kościelnych i z aromatem róż herbacianych... Ta perfumuje się pewnie z pierwszego lepszego flakonu, otrzymanego w prezencie na gwiazdkę, a włosy pewnie myje rumiankiem, aby nie ściemniały. O, sancta simplicitas! I co bym z nią robił?

Nie zbliżał się już do towarzystwa, nie miał ochoty do rozmowy. Błądził smutnie wśród ruin, owiany jakąś nieznośną tęsknotą. Wielkie odłamy ścian, rdzawe i spalone w słońcu, wydawały mu się rozpaczliwie smutne, a światłość,

co je zalewała, była tak arogancka, bijąca, natrętna, tak rysowała wyraźnie wszelkie szczyby i szczeliny, tak nielitościwie uwydatniała wszelkie braki... I ten ogrom bezmyślny i pusty drażnił go — i robiło mu się coraz nudniej i smutniej.

— A jednak — myślał — trzeba się będzie zdecydować. Tak dłużej nie mogę żyć. Tylko, co Wika powie?...

Na trzecim piętrze jednego z wysokich domów przy via Veneto, w małym saloniku, siedziała przysunięta do kominka pani Baraniewska. Była to osoba niemłoda już, dość pełnej tuszy, na której bladej twarzy życie wyryło mnóstwo bruzd, tysiące zmarszczek i skrzywień. Oczy jej, jasne niegdyś, dziś były wyblakłe, jakby zmyte przez te łzy, które znać nieraz wylewała. Blond włosy, siwiejące pasmami, miały też pozór spłowiały, martwy, a otaczały twarz pełną, tłustą, bladą i zafrasowaną. Siedziała z robotą w rękę, otulona szalem, jak najbliżej kominka, na którym paliło się trochę węgla i kilka kawałeczków drzewa. Widać, że zimno jej było, bo co chwila owijała się szczelniej szalem i wyciągała ku płomieniom rękę ubraną w napastrzek.

Salonik był skromny, meble stare, dywan w wielu miejscach wystrzępiony i świecący białą nitką osnowy.

Z przeciwnej strony kominka ojciec Stanisław Huniewicz siedział w fotelu, zawsze wyprostowany i surowy. W rękę trzymał numer jakiegoś misjonarskiego pisma. Był on dalekim krewnym Baraniewskich, ale łączył go bliższy od pokrewieństwa stosunek przyjacielski z samotną wdową, która pomimo piętnastu lat spędzonych w Rzymie, dotąd żyć się nie mogła z tutejszym krajem i z tutejszymi ludźmi i pozostała zawsze tu obca. Ojciec Stanisław mieszkał blisko i często wieczorem zachodził na pogawędkę przy kominku. Czuł, że pani Baraniewskiej robi obecnością swą przyjemność i że zapełnia trochę pustkę jej życia. Sam zaś znajdował w jej towarzystwie trochę rozrywki po całodziennej pracy. Najczęściej byli we dwoje tylko, bo Paulin, chociaż mieszkał z matką, mało z nią przebywał. Stosunki światowe,

artystyczne, literackie pochłaniały mu czas, a przynajmniej wieczory wszystkie.

I dziś wiadomo było, że wyjechał w licznym polskim towarzystwie na wycieczkę do Tre Fontano i że zapewne z nim razem obiadować będzie. Nie spodziewano się jego prędkiego powrotu, więc pani Baraniewska i ojciec Stanisław wypili razem herbatę, a teraz siedzieli sobie przy kominku, ona pochylona nad robotą, on nad sprawozdaniem z misji w Afryce, z którego czasem odczytywał jej wyjątki. Rozmowa szła leniwie, przerywana długimi chwilami ciszy, podczas których słychać było syczenie ognia.

Właśnie ojciec Stanisław zagłębił się w opowiadaniu któregoś z ojców o świeżo założonej szkółce dla dzieci murzyńskich, gdy nagle pani Baraniewska spytała:

— Więc mówisz, ojcze kochany, że ona blondynka?

— Kto, ciotko? — ojciec Stanisław podniósł głowę, zmrużył oczy za okularami i starał się przypomnieć sobie, o czym wcześniej była mowa. Małe Murzyniątka i trudności zjednania ich wierze Chrystusowej pochłaniały jego myśli.

A pani Baraniewska powtórzyła:

— Blondynka, mówisz?

— Kto, ciotko?

— Ta, wiesz, Halicka.

— A, Halicka! Blondynka — jasna blondynka.

— To szkoda, Pawełek mówi, że blondynki są mdłe.

— O, zdaje się, że panna Halicka nie jest mdła. Żywa, wesoła, śmieje się ciągle...

I ojciec Stanisław złożył numer gazety, widząc, że się zanosi na dłuższą rozmowę. Murzyniątka wygnał ze swych myśli, a starał się przypomnieć sobie, jak wygląda panna Halicka.

— Oj, to zupełnie nie dla Pawełka — mówiła pani Baraniewska. — On lubi zagadkowe, tajemnicze, tęskne. Nie wiem, jak to będzie. Takie zwykłe panny nie podobały mu się nigdy, nie ma do nich gustu. On zawsze mówi, że dla jego duszy potrzeba...

— Dla jego duszy! Niechże ciotka przynajmniej duszy tu nie miesza — oburzył się ksiądz. — Paulin wcale nie dla duszy szuka towarzystwa kobiet. Co jego stosunek z Rodwiczową ma do duszy!... Najpospolitszy w świecie i podwójnie grzeszny romans, nic więcej. Zameżna kobieta!... Co tu mówić o duszy!

Pani Baraniewska westchnęła.

— Ach, ach, i mnie tak się zdaje. Ale Pawełek mówi...

— Mało ważne, co kto mówi dla wytłumaczenia swoich namiętności. Szczerze ciotce powiem, że ten romans z Rodwiczową jest nad wyraz przykry, kompromitujący nie tylko ją, ale i Paulina — i że wszystko trzeba zrobić, aby temu koniec położyć. Gdyby panna Halicka...

Pani Baraniewska podniosła swoją zafrasowaną twarz.

— Czyż ja, kochany ojczy, tego nie wiem? Ale cóż mam robić? Przekonywałam, prosiłam, gadałam, ile sił starczyło, a Pawełek mówi, że on bez niej żyć nie może. A jak ja mówię, że to grzech, że ona mężatka — to on takie filozofie zaczyna mi wyplatać, że już ja nic nie rozumiem. Ach, ach, ach!... Więc jak tu był mój brat, co to po nim cały fundusz ma spaść na Pawełka, to mówiłam z nim o tym, a on myślał, myślał i potem tak Pawełkowi powiedział: — Jeśli porzucisz to wszystko i zaczniesz coś robić, i ożenisz się porządnie, to nie tylko po mojej śmierci po mnie sukcesję weźmiesz, ale zaraz dam ci jeden majątek; siądz, gospodaruj tam sobie, a mnie płac tylko rentę, i to niewielką, ale na to trzeba, żebyś był kimś i żebyś przestał romansować, a ożenił się i był już solidnym człowiekiem. A nie, to i po mojej śmierci nic nie dostaniesz. — Tak on powiedział.

— A cóż Paulin?

— Pawełek udawał, że niby nie dba, ale ja jego znam i wiem, że on by chciał być bogaty. A wie, że wuj jak powiedział, tak zrobi, więc może...

— Więc może postara się o Halicką? — dokończył ojciec Stanisław i uśmiechnął się, ale wnet zmarszczył brwi i widać było, że coś sobie układał i kombinował w myśli.

Chwilę znowu milczeli. Wdowa złożyła ręce na kolanach i poprawiała szal na plecach. Zimno ją ogarniało coraz bardziej. Ogień na kominku dogasał, a drewek już nic było, tylko węgle żarzyły się jeszcze.

— Szczerze ci powiem, mój kochany ojczy, że jakiś tu koniec być musi. My tak dłużej żyć nie możemy. Wiesz przecie, że w tym krachu budowlanym straciliśmy dużo. Z tego, co zostało, sztukuje się jako tako, ale nic uwierzysz, jak mi ciężko. Trzeba i mieszkanie opłacić, i kucharkę, i trzy osoby wyżywić, a teraz wszystko tak podrożało. Pawełek ma stosunki, potrzebuje i ubrać się, i pokazać się czasem, trudno, jak trzeba, to trzeba. Ciągłe liczyło się na to, że on zacznie choć cokolwiek zarabiać, wszakże mój brat proponował mu nie raz miejsce przy swoich fabrykach, ale on nic chce, ociąga się, siedzi tu nic nie robiąc. Oł, niby coś pisze, jakieś wierszyki, to niby służy przy Watykanie, ale to wszystko tylko pociąga koszta, a nic nie przynosi I teraz doprawdy, jeśli jakiś koniec nie przyjdzie, to... to nie wiem, co będzie...

Spuściła znowu głowę i z jej wyblakłych oczu zaczęły spadać Izy. Cichutko, prędko biegły jedna za drugą w wyżłobionych bruzdach i padały na czarną suknię, wsiąkając w nią zaraz, zawstydzone, ciche.

— Trzeba jednak o tym serio pomówić z Paulinem — rzeki ksiądz. — Niechby się postarał o tę Halicką; że się uda, to pewne, a panna zdaje się dobra. Matka i siostra święte dusze! Tylko — czy nic będzie przeszkadzała Rodwiczowa?

Pani Baraniewska ożywiła się i zaczęła mówić, że na szczęście Rodwiczowa nic może teraz wyjechać z Merami, gdzie jest przy umierającej siostrze; przecież jej nie porzuci, więc gdyby tymczasem namówić Pawełka i

gdyby te panie zechciały! Jak się raz coś zrobi, jak będzie po słowie, to już odrobić nic będzie można, a potem sam Paulin rad będzie, bo pozyska miłą żonę i wygodne życie, gdyż wuj dopomoże wtedy, pozycję będzie miał zapewnioną i będzie nareszcie kimś w świecie. Obywatelem będzie, panem u siebie. Przestanie wycierać cudze kąty i żyć tym włóczęgowskim życiem, dobrym może dla jakichś tam artystów i literatów, ale nie dla porządnych ludzi, nie dla szlachty z dziada pradziada, osiadłej po bożemu na swoich śmieciach. Już to śp. Józef, Boże odpuść, na włóczył się dosyć, ale to było co innego, a przy tym talent prawdziwy. Nie po jej myśli było to ciągnięcie się po Wenecjach i Rzymach, ale póki on żył, to nigdy grosza nie zabrakło. Malował, sprzedawał, a jak miał kapitał, umiał dobrze ulokować i pieniądze zawsze były. A teraz...

— Ale jakże myślisz, mój ojciec kochany, czy oni się zgodzą? .....spytała. Ojciec Stanisław zamyślił się.

— Zgodzą się — rzekł wreszcie. — Chyba, żeby się panie nic podobał...

— O to nie ma obawy, jak zechce, to i spodoba się. Ale matka...

— Matka! I matka, i siostra będą za tym. Im ta panna w domu przeszkadza. Im prędzej wyjdzie za mąż, tym lepiej. Mają one wznioślejsze rzeczy na głowie, niż bawienie panny na wydaniu. Ciotka słyszała przecie, że zakładają one zakon Sióstr Matki Boskiej Bolejącej, zakon, który będzie, da Bóg, chwałą Kościoła świętego. I nawet to małżeństwo z Paulinem może być dla tego zakonu korzystne. Jest on cameriere przy Jego Świątobliwości, ma stosunki w Watykanie, dobrze widziany w czarnym świecie, nieraz może się im przydać. Ksiądz urwał, pomyślał chwilę, a potem dodał:

— Już ja w tym, że nam stawiać przeszkód nie będą.

Wtem drzwi od przedpokoju otworzyły się cicho i wszedł hrabia Paulin Barberini Baraniewski. Niósł w ręku dużą wiązkę bladych róż. Nic nie mówiąc przywitał się z ojcem Stanisławem.



— Wcześniej wracasz — rzekła matka. — A ja myślałam, że tam gdzieś zostaniesz na obiedzie... Pewnie głodny jesteś?

— Nie, głodny nie jestem. Tylko herbaty wypiłbym chętnie. Czy można?

— Ale owszem — zaraz. Świeżej ci zrobię.

Poruszyła się i odłożywszy robotę na bok, zaczęła się krzątać koło stolika z maszynką, a Paulin usiadł na jej miejscu w fotelu i patrzył w milczeniu na żarzące się węgle, a do twarzy przykładając sobie kwiaty i pieścił się z ich płatkami.

Ojciec Stanisław rzekł nagle:

— A wiesz, żeśmy z ciotką mówili o tobie.

— Tak? — spytał Paulin obojętnie, nie odrywając oczu od ognia.

— Mówiliśmy, że zrobiłbyś najrozumniej, gdybyś się postarał o rękę panny Zofii Halickiej — rzekł dobitnie ksiądz.

Łyzeczki zabrzączały niespokojnie przy stoliku z maszynką.

— Tak? — powtórzył Paulin tym samym tonem.

Ksiądz zmarszczył brwi niecierpliwie, ale zapytał spokojnie:

— A ty, cóż o tym myślisz?

— Myślę... myślę też, że zrobiłbym najrozumniej.

Pani Baraniewska z łyżeczką w jednej ręce, a herbatnicą w drugiej, zbliżyła się.

— Więc? — pytał dalej ojciec Stanisław.

— Więc może ojciec raczy oświadczyć się za mnie pani Halickiej — a wtedy zobaczymy.

— Pawełku, moje dziecko!... — zawołała matka i z łyżeczką i z herbatnicą biegła do niego rozpromieniona.

Ale on westchnął i rzekł:

— Niechże się mama nie cieszy. Więcej tu cierpienia niż radości. Oparł głowę na rękę i patrząc w gasnący ogień mówił jakby sam do siebie:

— Ostatecznie, mnie wszystko jedno: Zosia, Kasia, Masia czy Teresia — biała, czarna, chuda czy pełna — cóż mnie to może obchodzić? Małżeństwo w ogóle — z kim by nie było — jest wstrętne. Może dla burżuazyjnych upodobań jakiejś kasty kretynów jest ono odpowiednią formą. Aleja! Kobieta jest przedmiotem w życiu koniecznym — nie przeczę, ale żona!... Żona przestaje być prawdziwą kobietą. Nie jest to już la femme, to uosobienie rozkoszy, poezji, uczuciowości. To jest już tylko ma femme. No, a to zupełnie co innego. Tak, wstrętne to. Ale i rycyna jest wstrętna, a jednak zażywa się ją czasami. Wziął ze stojącego na kominku pudełka papierosa i zapalił.

— Tak, tak — powtórzył. — Wszystko mi jedno. To jedyne wyjście z mego fatalnego położenia. Ożenię się z Halicką, będę jej dzieci hodował, pieniądze liczył i słuchał jej banalnego gaworzenia. Utyję może nawet na tej służbie i będę zupełnie szczęśliwy.

Zaczął się śmiać.

— Ach, cha, cha, ja w roli d'un papa, to jest prawdziwy melodramat, co?

Ojciec Stanisław i pani Baraniewska słuchali z przykrym uczuciem, ale powoli i on uspokoił się, a gdy wypił parę filiżanek herbaty' zaczął wcale rozsądnie mówić... Tak, o zakochaniu i miłości nie mogło tu być mowy, ale ożenić się, sam czuł, że musi. Nie można było nadużywać cierpliwości wuja. A tak dłużej żyć nie mógł, młodość schodziła na oszczędzaniu i prywatkach, kiedy tam u wuja czekały na niego dostatki. Ten obiecany majątek znał dobrze. To była rzecz piękna, doskonale zagospodarowana, która prawie bez kłopotu mogła dać egzystencję zupełnie przyzwoitą. Przy tym i Haliccy byli bogaci. Byłoby nieroztropnie z takiej sposobności nie skorzystać. Ostatecznie świat jest tak głupio administrowany, losy ludzkie są tak ślepe, że i walczyć przeciw nim nie warto. Będzie, co będzie.

O Rodwiczowej nie wspominał, jak gdyby ta przeszkoda nie istniała dla niego wcale. I wreszcie stanęło na tym, że ojciec Huniewicz obiecał w jak

najszybszym czasie prosić panią Halicką w imieniu hrabiego Barberini Baraniewskiego o pozwolenie starania się o rękę jej córki. Nie było obawy najmniejszej odmowy z jej strony, a pozyskanie względów panny zależało od samego Paulina.

Wieczór skończył się wesoło prawie w zimnym i ubogim saloniku i pani Baraniewska z lepszą wiarą w przyszłość udała się na spoczynek.

Ojciec Huniewicz dotrzymał obietnicy. Wybadał panią Alinę, co zresztą było rzeczą nietrudną, gdyż ta w zapale wydania córki za mąż zgodziła się natychmiast na kandydaturę hrabiego Barberini Baraniewskiego.

— Ależ i owszem! — mówiła. — Naturalnie, że się nie zobowiązuję do niczego. Zosi serca krępować nie będę — *jamais de la vie!*. Ale nic nie mam przeciw hrabiemu. Jak najlepszą mam o nim opinię — *un homme charmant*, więc jeśli chce, to będę mu rada, bardzo, bardzo...

I ta radość biła z jej oczu, chociaż starała się ją ukrywać, tym bardziej, że Teresa Leonia dzieliła w zupełności te uczucia.

— Bóg nam zsyła nie tylko ulgę, ale i pomoc — rzekła. — Hrabia Barberini Baraniewski, mający takie stosunki i będący na służbie przy Jego Świątobliwości, może nieraz oddać usługę naszemu zakonowi. I kto wie — dodała po chwili wewnętrznej modlitwy — co się okaże! Lękałyśmy się, że obecność Zosi tu będzie nam przeszkodą, a tymczasem Bóg tak to pokierował, że przez nią pozyskamy ważną pomoc.

Więc obie panie były zadowolone i budowały już wielkie plany na podstawie tego nowego aliansu.

Zosia jednak nie domyślała się niczego, ale bawiła się coraz lepiej. Hrabia Paulin był prawdziwie miły w roli starającego się. Nie narzucał się, nie nadskakiwał, nie przybierał oficjalnej słodko znudzonej miny konkurenta, ale umiał coraz bardziej wejść w jej życie i coraz umiejętniej otoczyć ją siecią swych starań i drobnych atencji, przy tym nie był banalny. Wszystko, co mówił, było dla niej nowe, śmiałe, niezwykle, tak niepodobne do słyszanych

dotychczas rzeczy, takie inne jakieś, może nie lepsze i nie rozumniejsze, ale jakby tchnące tajemniczą wonią zakazanego owocu, zapewne jakąś nieznaną goryczą, jakimś smutkiem, jakąś leciuchną ironią, kroplą łzy i kroplą trucizny. Nawet milczenie jego było odrębne, było to milczenie smutne, marzące, w którym słyhać było mowę duszy. Umiał on paru słowami, spojrzeniem, uśmiechem określić swój stan, wywołać nastrój pokrewny, uchylić, jak sam mówił, zasłonę dzielącą ten świat od tamtego. Umiał analizować, roztrząsać, wysubtelniać każdą myśl, każde uczucie. Powiadał, że nie dość mu piękny kwiat powąchać i podziwiać, że pragnie zagłębić się w nim, listków jego dotknąć i pieścić się z nimi. Serce ludzkie, a najbardziej jego własne, było dla niego takim kwiatem, badał je, rozkładał na części, pieścił się z nim.

— Ja pani pokażę Rzym — rzekł — ale nie ten bedekerowski, inny... mój Rzym.

I odtąd spotykali się na rannych przechadzkach pod okiem miss Anger. Pani Alina im tego nie bronila — i szli razem w różne znane jemu dobrze zakątki. Szli na Awentyn, do starych kościółków Św. Aleksego, Św. Sabiny albo dalej jeszcze do Św. Priski i Saby i stamtąd podziwiali widniejące na Palatynie wspaniałe ruiny pałaców cesarów, nad którymi cyprysy kładły żalobną wstęgę. Przy blasku chwiejnym woskowej świeczki zwiedzali katakumby i podziemia San Clemento, tajemnicze czeluście przesiąknięte modlitwami wierzących i prześladowanych. Szli na Transtewer, w ciasne uliczki, gdzie sprzedawały jarzyny przekupki o oczach ognistych, gdzie z wysokich pięter zwieszały się sznury z suszącą się bielizną, gdzie gromady dzieci obdartych hałasowały w słońcu, a wśród tych brudów i cieni wznosiła się wysoka, cudna wieżyczka kościelna i biła woda w fontannie, a wewnątrz błyszczwały naiwne mozaiki na złotych tłach, dziewice mądre i dziewice głupie, alfa i omega, trzynaście owieczek legendowych. Albo w atrium Domu św. Cecylii stali długo wracając myślą do pierwotnych czasów chrześcijaństwa i rozczulali się widokiem statuy tej męczennicy, leżącej jak kwiat ścięty kosą

barbarzyńcy. Szli też do will podmiejskich, do willi Wołkońskiej, gdzie w cieniu akweduktu brzęczały muchy, pachniały róże, gdzie unosiły się jeszcze duchy poetów, do willi Farnesiny, gdzie roztaczała się przed nimi pod kierunkiem Rafaela malowana legenda miłości Kupidyna i Psyche, gdzie jego własnego pędzla Galatea wychodziła z wód cudna i ponętna, do willi Mattei, owianej goryczą bukszpanów i cieniami pinii, z której widok rozciągał się daleko na ruiny Term i pierwotne kościółki skromniutkie i ciche, do willi Borghese wreszcie, gdzie w galerii obrazów długie spędzali godziny. Szli jeszcze dalej czasami, na Monte Mario, gdzie błądzili wśród ścieżek i wąwozów i gdzie co chwila odsłaniał im się widok wspaniały na Rzym leżący u ich stóp. Szli na via Appia i dumali wśród grobowców rozsianych na pustej i smętnej Kampanii, gdzie wiatr słony leciał od morza i akwedukty ciągnęły się połamaną linią, żółtkłe trawy szeleściły pod ich stopami, a na widnokręgu stały, jak senne zjawisko, niebieskie Góry Albańskie.

Ale najulubiejsza była przechadzka po niektórych kościołach. Paulin lubił nade wszystko pierwotnych mistrzów naiwnych i wierzących. Fra Angelico przykuwał go do siebie na całe godziny. Lubił też wspaniałe stroje i dokładne szczegóły na freskach Pinturicchia i Perugina, spokój niebiański i przeźrocza Lorenza di Credi, siłę Ghirlandaia i pyszny rysunek Luki Signorelli, a nade wszystko kochał się w bladych i wątłych, ale tak poetycznych i namiętnych postaciach Botticellego. Gdy mówił o Botticellim, oczy jego zachodziły mgłą rozkoszy, wznosił wzrok do góry i uśmiechał się do mistycznych madonn, do aniołów w kwiecistych sukienkach i do kobiecych postaci eterycznych i bezcielesnych, a jednak tak drażniących i zmysłowych.

— Tu, w Rzymie, nie można mieć pojęcia o Botticellim — mówił.

— Trzeba jechać do Florencji — tam są jego arcydzieła. Tu on pracował na rozkaz, na obstahmek, tam z duszy i serca. Zresztą Rzym ze swoją wspaniałością całą na zewnątrz, ze swą zmysłowością wesołą i grubą, ze swą ziemskością, nie pasował nigdy do usposobienia wielkiego Sandra. To dusza

mistyczna, rozręskniona, a zmysły przerafinowane, wysubtelnione do maksimum, szukające we wszystkim ultrasensacji, nadsmaku, nadwoni... To umysł, który przeczuł dzisiejszy Weltschmerz i dlatego może dzisiejszym arystokratom inteligencji odpowiada najbardziej.

I przed jego freskami w kaplicy Sykstyńskiej, przed krzakiem ognistym, przed śmiercią synów Aarona i zwłaszcza przed Chrystusem, kuszonym od złego ducha, długie bywały dysputy, bo Zosia wolała olbrzymów Michała Anioła, przy których tamci wyglądali tak wątko, i wskazywała w zachwycie na Proroków i Sybille sklepienia, a on tych olbrzymów nazywał brutalnym uosobieniem siły fizycznej, zwycięstwem ciała i mięśni nad duszą. Szli do apartamentów Borgii i do Aracoeli, i do San Clemente, do Sta Maria del Popolo i do Sta Maria della Minerva i czasem do watykańskiej Pinakoteki, gdzie starzy mistrze, niebiańscy quattrocenti, pokryci kurzem wieków, patrzyli ze ścian swymi naiwnymi postaciami.

Lubili też oboje włóczyć się po kramach antykwarskich i przerzucać stare makaty złociste, miedziane sprzęty o delikatnych rysunkach, ryciny i obrazy ściemniałe od lat, majoliki i fajanse, i meble inkrustowane, i poźółkłe koronki. Tam czasem spotykali Chańskiego, a wtedy zawiązywały się spory, gdyż on miał cześć dla wszystkiego, co było siłą, zdrowiem i życiem, cześć tym większą, że sam, jak powiadał, nie żył, a wegetował tylko.

I Zosi oczy otwierały się powoli na wszystkie piękności i czary rozsypane pod tym niezmałym niebem włoskim, serce jej i umysł coraz żywiej czuły, coraz subtelniej analizowały, coraz jaśniej orientowały się wśród tych odcieni różnych, wśród różnorodności zdań i poglądów, wśród tych duchów, które koło siebie czuła. Coraz większy zapal ją ogarniał, umysł jej kształcił się, smakowiciej odczuwała piękno i oddawała się całą upajającemu działaniu słońca, kwiatów i wiosennych woni. Czar działał, czar klimatu słodkiego, czar cudnej natury, czar rozrzuconych dokoła arcydzieł, czar legend i wspomnień, czar mistycznych kościelnych obrzędów — a nade wszystko czar

hołdów i delikatnych starań, którymi ją otaczał mężczyzna. W tej atmosferze pięknej, namiętnej, a jeszcze tajemniczej ona się prędko rozwijała. Mimowiednie, bez starań, bez wysiłku, chyliła się ku tym promieniom, co zewsząd spływały na nią — i w blasku ich rozkwitała. Jeszcze nie widziała jasno dokoła siebie, ale czuła, że życie gra w niej ze zdwojoną siłą, że każde wrażenie jest teraz wyraźniejsze, że umysł obejmuje więcej i pojmuje lepiej, że nerwy, jak struny trącane umiejętną ręką, drgają i dźwięczą, że serce odczuwa to, co było dlań dawniej martwą literą.

Wprawdzie w wirze nowych wrażeń dawne rozumowania, postanowienia, programy działania, projekty i zamiary usuwały się w głąb, pokrywały się jakby kurzem, rojem nowych myśli, drzemały gdzieś nieporuszone i zapomniane. Zosia, zajęta chwilą obecną, nie biadała już nad upadkiem Białego Dworu, nie wspominała swej przysięgi, nie krytykowała matki, nie łamała sobie głowy nad obowiązkami swymi. To wszystko leżało gdzieś na dnie serca nietknięte, nienaruszone, ale po wierzchu przelewała się fala życia. Nawet listy Ani nie wywoływały takiego jak dawniej echa. Wieczorem, gdy klękała do pacierza i mówiła jak zwykle: „Panie Boże, ofiaruję Tobie ten pacierz na cześć i chwałę Twoją przენajświętszą i na uproszenie zdrowia i szczęścia dla mamy, babuni, dziadunia, Ani i Tereni, wszystkich krewnych i wszystkich bliźnich”... wtedy przez chwilę Haliniszki i wszystko to, co było dotąd jej najwyższym ukochaniem, przesuwało się jej przed oczami, ale to trwało krótko i nikło. Jednemu jednak pozostała niewzruszenie wierna: obietnicy danej Jerzemu na pożegnanie. Codziennie na klęczkach odmawiała za niego Zdrowaś Mario — a wtedy myśl jej biegła daleko, daleko, na syberyjskie stępy — i zwieszała się nad jego samotną głową.

I zewnętrznie też zmieniała się z każdym dnim. Hoża, zdrowa dziewczyna wiejska, naiwna i nieświadoma, znikala coraz bardziej, a wyradzała się inna, bardziej wytworna, bardziej kobieca istota, mająca już poczucie swej siły i uroku. Figura jej wyszczuplała, ruchy stawały się miększe,

wzrok głębszy i bardziej pociągający. I stała się rzecz nie przewidziana przez hrabiego Paulina — w codziennym obcowaniu rozpalala mu się powoli krew do tej dziewczyny, którą niedawno zwał kawałem białego mięsa, bez duszy ani intuicji, która nie była bynajmniej „jego typem”, i zaczynał jej pożądać. Nie była to miłość podobna do tych, które odczuwał już nieraz w życiu — nie było to owo zlanie się dwóch dusz, o którym lubił mówić, nie był to ów rozkoszny stan podrażnienia, w jaki go wprowadzała „boska Wika” — ale coś zupełnie odrębnego. Jakaś woń sielanki, jakieś tchnienie czyste i świeże, a jednak tak gorące, że czuł, jak tajały nigdy nie roztopione lody —jakieś uczucie wiosny i odrodzenia, młodości i zapału — coś nowego zupełnie, śmiesznie nowego w człowieku, który lubił i o sobie powtarzać: „Wszystko już było”. I chociaż myśl o ożenku była mu zawsze przykra i przed matką narzekał wciąż na idiotyczny porządek burżuazyjnego społeczeństwa, i drwił z siebie i z Zosi gorzko — sama jej osoba stawała mu się coraz ponętniejsza.

Zosia przez długi czas nie spostrzegła wcale, iż jest przedmiotem jego poważnych zabiegów. Przyjmowała zupełnie naturalnie jego uprzejmość, rada z towarzystwa miłego. Więc wyciągała go na spacer i na zwiedzania, zapraszała na wieczorną herbatę razem z Chańskim i z Iżewskimi, donosiła o każdym projekcie i znakomicie ułatwiała mu zadanie.

Świat czarny, pod koniec karnawału, rozbawił się trochę. Odbyła się *une petite sauterie* u państwa Montich i dwie soboty muzykalne u pani Wolkenstein, gdzie po śpiewach i popisach fortepianowych tańczono trochę. Wieczorki te eleganckie i kosmopolityczne nie odznaczały się wielką wesołością i Zosia, która się trochę na nich nudziła pomimo powodzenia, zaczęła myśleć, że jednak na pikniku w Ucianach bawiono się lepiej. Zapowiadano wciąż na poniedziałek zapustny wielki bal u hrabiny Tur, gdzie miał być zebrany cały Rzym. Hrabina bowiem nie umiała się ograniczyć do jednego tylko z dwóch światów rzymskich — lubiła mieć u siebie tłok, zapchanie, lubiła mieć wszystkich. Miała tę próżność, aby w salonach swoich



przyjmować wszelkie ciekawe, egzotyczne, nigdzie nie widziane figury — „nowalie”, jak je nazywała, i chełpiła się nimi, jakby własną kreacją.

Tymczasem ograniczano się przeważnie do five o'clocków, dość sztywnych, więc towarzystwo przyjezdne trzymało się ciągle razem. Wycieczki odbywano wspólnie, wyjeżdżano w okolice Rzymu na całe dni, a po późnym obiedzie zbierano się po kolei u jednych, to u drugich w hotelowych salonikach na filiżankę herbaty.

Coraz się powiększało polskie grono turystów i gości. Przybyli z całą rodziną państwo Gorzeńscy z Podola i pan Grzałkowski z dwiema córkami, które objuczone bedekerami, notatkami, lornetkami, planami zaczęły zaraz dokumentne studia nad Rzymem, i bogata panna Łojska ze starą ciotką. Kilku młodych ludzi zjechało z Nizy na zakończenie sezonu i czas spędzali mniej na zwiedzaniu niżli na asystowaniu paniom i na flircie. Gwarno było na wieczornych herbatkach i późno w noc przeciągały się rozmowy.

Zosia bawiła się doskonale. Tyle było rozmaitości, tyle ruchu, wrażeń, przyjemności, nowych ludzi, nowych rzeczy! Przy tym budziła się też w niej powoli świadomość swych wdzięków i siły. Czuła, że jest ładna. Mówiły jej to oczy spotykanych na ulicy mężczyzn, którzy nie żenowali się wcale zaglądać jej pod kapelusz i szeptać prawie do ucha: O! che bella! che sympatica!, ku rozpaczycy i zgorszeniu biednej miss Anger. Mówiły jej to słowa i wejrzenia otaczających ją panów, starszych nawet, takich jak Chański, który się uśmiechał do niej jakoś inaczej niż do wszystkich. Mówiło jej to własne zwierciadło, w które nauczyła się teraz dłużej i uważniej spoglądać, a najbardziej mówiło jej to zachowanie się hrabiego Paulina. Bez słów, bez wyznań, umiał jej tak wiele powiedzieć, że wreszcie zrozumiała.

— Czyżby on o mnie się starał? — rzekła raz do siebie z odrobiną zdumienia i z wielką dumą. — Czyż to być może?! On!

Zdziwiło ją to odkrycie, bo na tyle sobie jeszcze nie ufała, a zarazem ogromnie pochlebilo to jej próżności. On! Wśród wszystkich, których dotąd

poznała, on był najświetniejszy, najbardziej wykształcony, najbardziej oryginalny. Trochę artysta, trochę literat, trochę poeta (napisał dla niej śliczny sonet) i hrabia, i cameriere papieski, i tak doskonale wychowany, i taki interesujący... Ani tu w Rzymie, ani w kraju nigdy jeszcze takiego nie spotkała. Porównywała go z tutejszymi znajomymi – każdy przy nim tracił. A w domu? Ani Suniżyccy, ani Leniewiczze, ani Zawidowski, ani Robicki, ani nawet hrabia Luboniecki nie mogli się z nim równać. I taki człowiek najwyraźniej składał jej hołdy, szukał jej towarzystwa, prosiło jej uśmiechy.

— Ot, konkieta! — pomyślała z dumą. — Nigdy nie spodziewałam się. Muszę napisać do Ani...

I nie czekając dłużej, usiadła do swego biurka, gdzie wznosił się w kryształowym kielichu pyszny bukiet róż, dziś rano ofiarowany jej przez niego i zaczęła:

„Mój Niuczku najmilszy! Dawno już nie pisałam porządnie, ale za to teraz powiem ci jedną rzecz bardzo ciekawą. Wyobraź sobie, że tu jest jeden pan, i to hrabia, Barberini Baraniewski (trochę śmieszny jest ten Barberini obok tego Baraniewskiego, ale tylko Baraniewski nie byłoby sztykownie), który mi ciągle asystuje i tak wygląda, jak gdyby się we mnie kochał. Ja nie wiem, czy to naprawdę, a w każdym razie nic z tego być nie może, bo ja się w nim nie kocham ani tyle. Ale tymczasem to bardzo przyjemnie, bo to mi daje pozycję w towarzystwie. Każdy musi pomyśleć, że taka panna, o którą się stara taki hrabia, to nie byle kto. Nieprawdaż? A przy tym, on jest bardzo miły i wykształcony i wie wszystko o Rzymie i o sztuce, i chodzi razem ze mną i z miss Anger do galerii i wszędzie — i wszystko mi rozpowiada doskonale. Tylko nie zawsze się zgadzamy w gustach, więc wtedy ogromnie dysputujemy. Ale to wszystko bardzo przyjemne. Mam nadzieję, że przecież do niczego nie dojdzie między nami, bo wątpię, aby on chciał się żenić ze mną, więc i oświadczać się nie będzie. To sobie tylko taki — jak mówią Iłzewskie — niewinny flircik. Ja jego ani troszkę nie kocham, ale rada jestem, że on się

kręci koło mnie. Ty pewnie powiesz, Niuczku drogi, że ja jestem niemoralna? Ale wiesz, wszystkie panny takie same. Wszystkie, choć nie kochają się, robią, co mogą, aby panów przyciągnąć. Nawet gorzej ode mnie — wyrabiają miny i uśmiechają się tak jakoś i patrzą głęboko. A ja tego wszystkiego nie robię wcale, tylko pozwalałam sobie uwielbiać. Widzę, jak śmiejesz się ze mnie i myślisz, że już zepsułam się w wielkim świecie i że jestem zarozumiała. Bądź spokojna. To tylko tu tak, a jak wrócę do domu, to będę taka sama jak dawniej. Teraz używam wszelkich przyjemności — ale wiem, że przecie tak zawsze nie może być i że przyjdzie czas na obowiązki, na poważne myśli, a może nawet i na smutki..."

— Czy można wejść? — zapytał u drzwi głos męski.

— Proszę.

Drzwi się uchyliły i ukazał się w nich hrabia Paulin.

— A, to pan — rzekła Zosia podnosząc głowę znad listu. — Ale nie wiem, czy wypada mi przyjąć pana, bo mamy nie ma.

— Wypada — odparł biorąc krzesło i siadając przy niej. — Przychodzę nie z wizytą, ale jako posłaniec dobrych wieści.

— Proszę, to rola, w której dotąd nie widziałam pana!

— Zwykle c'est tout le contraire, chciała pani powiedzieć. Ale przepraszam, że odbiegnę od przedmiotu. Jak pani do twarzy w tej sukni!

— Ach, panie! Słyszałam to sto razy.

— To jeszcze za mało, gdybym był na pani miejscu, stale nosiłbym tę suknię.

— Tak? Spacerowałyby pan zimą po ulicy w takich przeźroczach haftowanych? Prędko by się panu sprzykrzyło.

— Kiedy, bo pani nie wie, jak ten ton pysznie harmonizuje z włosami pani. To tworzy razem doskonały akord, obłok jakiś blady i złotawy, zimny i smaczny. Niechże pani jeszcze przypnie taką różę herbacianą do stanika, o

tak!, cudnie! A w tym złotopłowym obłoku oczy pani i zęby świecą jak drogie kamienie, jak turkusy i perły.

Patrzył na nią z lubością, a ona zaczerwieniła się trochę i chcąc pokryć pomieszczenie rzekła:

— Czy pan skończył, bo byłabym ciekawa tych dobrych wieści tak szumnie zapowiedzianych?

— A, prawda. Otóż wieści są — i dobre, bo panią ucieszą. Primo: bal u hrabiny Tur w poniedziałek zapustny. Przynoszę wzięte u portiera zaproszenie.

Zosia podskoczyła z radości.

— Ach, co za szczęście! Na koniec, na koniec choć raz się wytańczę... Zerwała się z krzesła:

— Ach, jaki pan dobry, że taką wiadomość nam przyniósł! Biegała po pokoju rozpromieniona.

— Hrabina Emma Tur — czytała na kartce brystolu — ma zaszczyt prosić panią Halicką z córką w poniedziałek na wieczór tańczący o godzinie dziesiątej.

— Jakie szczęście! Trzeba Hżewskim powiedzieć. To będziemy się bawili!

— A drugiej wiadomości pani nieciekawa?

— Drugiej? Owszem — słucham. — I znowu usiadła przed biurkiem.

— Druga taka: w pierwszym tygodniu postu przybywa nareszcie polska pielgrzymka i Ojciec Święty odprawi dla niej specjalnie mszę w kaplicy Sykstyńskiej i będzie bardzo piękna ceremonia.

— O, to też dobra wiadomości! Pan nam da bilety?

— Już zamówiłem u monsignore'a.

— No, prawda, że dobre wieści przyniósł nam pan dzisiaj. Dziękuję panu.

Podawała mu rękę i chciała wstać, ale on jej rękę w swojej zatrzymał, a potem powoli podniósł do twarzy i odwróciwszy oparł czoło na jej dłoni. Ona, stropiona, nie rzekła nic, a on zaczął mówić, jakby do siebie, z ukrytą w jej dłoni twarzą:

— Dziwna rzecz, taka mała rączka, a ile w niej się mieści! To świat cały! Z niej płyną łaski i ukojenia, i słodycz... Ona krzepi, ona pociesza... ona rozpala... ona i chłodzi. Małe to, a takie potężne! Ot, teraz schowałem się przed całym światem w tej małej dłoni, w tym listku róży. Jestem jak robaczek, co się zakradł w głąb kwiatu i tam upoił się rozkoszą i zginął... Nie widzę nic, nie słyszę, nie wiem. Idą po mnie prądy magnetyczne, zamykam , oczy, zapadam się w ciemności, ziemia się usuwa spode mnie, lecę gdzieś, w przestrzeń. I tak mi dobrze! O, niechże pani swej ręki nie usuwa! Żałuje pani tej minuty szczęścia dla mnie?... Ach, nic nie mówmy — pomilczmyj trochę razem. Tyle jest rozkoszy we wspólnym milczeniu, gdy usta nieruchome, ale dusze mówią...

— Moja dusza w tej chwili nic nie ma do powiedzenia — chciała rzec Zosia, ale powstrzymała się i siedziała spokojnie, zdziwiona trochę, rozdrażniona, z szaloną ochotą do śmiechu. Nie, stanowczo dobrze jest mieć wielbiciela i hrabia Paulin przyjemny jest bardzo, gdy mówi o sztuce, o Fra Angelico, o Botticellim, gdy wskazuje piękny efekt światła albo mówi o sukniach. Ale jak wpadnie w swoje rozmyślenia na temat duszy, to dziękuję, nie można zrozumieć, czego on chce. O, już te nastroje, weltschmerze, prądy, czucia, przeczucia, odczucia nadludzkie, nadsmaki, nadwonie — to chińszczyzna! I teraz, ot, siedzi z ukrytą w jej ręku twarzą, wyobraża sobie, że leci w jakąś przestrzeń, a pokazuje trochę zbyt śmiało swoją łysawą czaszkę. Mój Boże, jakże komicznie muszą oboje wyglądać!

Na szczęście niema scena została przerwana ponownym pukaniem do drzwi. Mania Hżewska przyszła się dowiedzieć, czy idą dziś razem na Lohengrina. Na widok sam na sam z hrabią Paulinem uśmiechnęła się

znacząco i już nie bawiła długo, ale wtem i pani Alina wróciła, rozpoczęło się opowiadanie o balu u hrabiny Tur, o pielgrzymce polskiej i o wszelkich projektach. Pani Alina jednak, chociaż słuchała uprzejmie, była widocznie roztargniona, miała wypieki na policzkach i chmurę na czole.

— Co się stało, moja mammo? — spytała Zosia, gdy tamci wyszli. — Mama tak jakoś wygląda...

— Ach, moja Zosieńko! Mam tyle zmartwień! Czasem ręce już opadają i gdyby nie ufność w opiekę Boską... I teraz na przykład. Zgłosiła się do nas kandydatka, ta hrabianka, którą widziałas. Młoda, bogata, wykształcona, ze stosunkami. Przyjęłyśmy ją z otwartymi rękami. Pobyła dziesięć dni i występuje. I pewnie prosto stąd pójdzie do nazaretanek albo do niepokalanek, pójdzie i tam wstąpi, a my zostaniemy z niczym. Cest tellement mortifiant! I naturalnie, dopóki nie jesteśmy zatwierdzone, nikt nie chce wstępować, a zatwierdzone być nie możemy, dopóki nas tak mało. Bo właściwie jesteśmy tylko trzy, my i Malkiewiczówna, a nawet ja liczyć się nie mogę, dopóki mam córkę na wydaniu i tyle innych obowiązków. Ach, kiedyż to się skończy!...

Pani Alina wyszła do swego pokoju, a Zosia myślała:

— To prawda, że strasznie im zawadzam. Jestem kulą u nogi mamie i Tereni — sama to czuję. Ale cóż na to poradzić? Iść za męża za pierwszego, który się nadarzy? Za hrabiego Paulina? Mama tego by chciała — on jest przyjemny i jakoby porządny, ale ja go nie kocham — no, nic a nic nie kocham. Jakże tak iść za męża bez miłości?

Zosia zamyśliła się głęboko. Nie od dziś czuła wkoło siebie tajemniczy wpływ, napieranie, posuwanie jej ku temu człowiekowi. Nie mówiono nic wyraźnie, ani jednym słówkiem nie zdradzono się, ale było jakieś knucie, jakaś podziemna koło niej robota.

Teraz po raz pierwszy zdawała sobie jasno sprawę z tego i przypominały jej się różne fakty, które ją utwierdzały w tym przekonaniu. Tak, chcieli ją wydać za niego. Chcieli w ten sposób jak najprędzej się jej

pozbyć. Co mam zrobić? Co mam zrobić? — myślała. — Wrócić do domu, ach, wrócić do kochanych, bezpiecznych Haliniszek! Tam nikomu nie była ciężarem, tam życie szło równo, bez wielkich przyjemności, ale bez żadnych wahań ani niepokojów. I nagle tęsknota wielka porwała ją za domem, za swoimi. Wrócić, ach, wrócić! Uciekać stąd co prędzej! Ale myśląc tak, wiedziała dobrze, że pragnie rzeczy niemożliwej. Jakże wrócić? Z kim? Pod jakim pozorem? Tak nagle wymknąć się i uciekać, kiedy się przyjechało na całą zimę? Mama nigdy się nie zgodzi. Bo naprawdę — o cóż chodzi? Przecie hrabia Paulin nie oświadczył się nawet i może wcale o tym nie myśli. Dość będzie czasu na desperowanie, jak zajdzie katastrofa. Zawczasu krew sobie psuć — nie ma sensu.

Wiec Zosia odzyskała dobry humor — i tylko postanowiła sobie, że odtąd dla hrabiego Paulina będzie zimna jak gład, aby on zrozumiał, i jeśli ma jakie zamiary, aby się ich pozbył w porę.

Z tym postanowieniem, trochę uspokożona, zeszła na obiad.

## VI

Tymczasem hrabia Paulin postanowił raz skończyć tę głupią komedię. Matka zachęcała go do tego, wiedząc od ojca Stanisława, że pani Halicka czeka z coraz większą niecierpliwością wydania Zosi i że chętnie go przyjmie.

Oświadczę się na balu w poniedziałek — rzekł do siebie hrabia Paulin — to będzie całkiem klasycznie. Ale jak się oświadczyć? Co powiedzieć? Proszę panią ojej piękną rączkę albo: o, pani! bądź moją żoną!, albo: luba, kocham cię! Co u licha mówi się pannie w takich okolicznościach?

Z Wiką było łatwiej — tam prosić nie było potrzeba — ja miałem le beau role. Ach, Wika, boska Wika! Co ona zrobi?— I czuł hrabia Paulin, jak na wspomnienie kochanki przechodziły mu po krzyżu dreszcze — po prostu strach go ogarniał, więc odsuwał tę myśl od siebie i zwracał się znowu ku Zosi. — Nic wiem, jak to się robi i przypuszczam, że nawet ich mieszczański świat nie wynalazł dotąd przepisu na to. Liczmy na natchnienie.

Z tą wiarą w natchnienie hrabia Paulin staranniejsz niż zazwyczaj dokończył swej toalety w dzień balu, przypiął do butonierki wiązkę fiołków — i zaraz po dziesiątej znalazł się we wspaniałym pałacu hrabiny. Pałac to był jeden z najpiękniejszych w Rzymie. Budowa jego rozpoczęta w końcu XVI wieku przez książąt Branca del Campo, wedle planów słynnego Giacomo delia Porta, została do końca doprowadzona dopiero w początkach XVII wieku. Przez dwieście lat należał on do jednego z książęcych rodów rzymskich i w murach swoich gpiścił nieraz najznamienitszych mężów stanu, artystów i panujących. Potem wskutek rozrzutności właścicieli, szalonych zbytków i rozpusty przechodzić zaczął z rąk do rąk, aż został nabyty przed paru laty przez hrabinę Tur. Pani ta, rozporządzająca olbrzymim funduszem, a żadna ruchu, zabawy i popularności, szukała od dawna odpowiedniego dla swych celów mieszkania. Palazzo Branca był jakby wyśnionym jej ideałem. Zewnątrz skromny, poważny, wznosił na niskim parterze o kwadratowych okienkach dwa piętra w nieposzlakowanym, florenckim stylu. Ozdób prawie żadnych,



prócz szlachetnego obramowania u okien i bogatego fryzu. W środku fasady balkon występował z pierwszego piętra i opierał się na czterech jońskich kolumnach, tworzących wyjazdową bramę. Wytworne to było, ale skromne. Podwórze za to uderzało bogactwem architektonicznym. Wzdłuż głównego gmachu i dwóch bocznych skrzydeł ciągnęły się na wszystkich piętrach galerie. Przeciwległa wjazdowi ściana składała się z takichże galerii, ale otwartych, gdyż za nimi rozciągał się niewielki ogródek. Porządek dorycki, joński i koryncki wznosiły się kolejno nad sobą. Naprzód męskie, jędrne kolumny doryckie pełne siły i hartu, potem wdzięczne jońskie słupy, przypominające sprężyste młodości, u szczytu korynckie, rozkwitające liśćmi akantu i kwieciami i wieńczące gmach cały girlandą zdobnych kapiteli. Na środku podwórza, w klombie palm i rododendronów, strzelała fontanna i spadała z szumem do starożytnej wazy marmurowej, pokrytej rzeźbami. Elektryczne oświetlenie kładło księżycowe blaski na liście latanii, na rzeźby i marmury, na wielkie cyprusy rosnące w ogrodzie — i nadawało staroświeckiej siedzibie pozór świetny, fantastyczny trochę, pozór zaczarowanego z bajki pałacu.

Bal zapowiadał się wspaniale. Cały Rzym był zaproszony. Niepoprawna hrabina Tur nie mogła się ograniczyć do jednego tylko czarnego lub białego świata.

— Ach, Boże, cóż mi do polityki? — mówiła tym, którzy ją ostrzegali. — Jestem katoliczką gorliwą, życzę Ojcu Świętemu wszystkiego dobrego, ale nie mogę zerwać na przykład z panią Liną Monti, której mąż ma nieszczęście być ministrem finansów. Wszystko jedno, czarno czy białe, byleby dobrze bawiono się u mnie.

Więc pomimo przyjacielskich ostrzeżeń, rozesłała do całego Rzymu karty zapraszające i aż się sama przeraziła w końcu obliczywszy, jakie to tłumy i jakie różnorodne żywioły znajdą się zebrane pod jej dachem.

— Miskulancja, moja droga, miskulancja! — mówiła do siostrzenicy łamiąc ręce z komiczną rozpaczą. — I co z tego wyjdzie! Poduszają się, będą sobie po nogach deptali, a mnie obgadają. O, ja nieszczęśliwa!

Miała jednak, pomimo przeczuwanych trosk, minę rozjaśnioną i uprzejmą, gdy stała u drzwi pierwszego salonu gotowa na przyjęcie swych gości. Piękna jeszcze, w sukni z pąsowego aksamitu i w sławnych swych rubinach, uśmiechała się do każdego wchodzącego tak zachęcająco, tak życzliwie, jakby chciała rozbroić złośliwość ludzką, która nad nią wisiała. I trudno też było oprzeć się jej wielkiemu wdziękowi połączonemu z dobroduszością.

Goście napływali falą. Przez marmurowe schody, ubrane kwiatami, podnosiły się z wolna ku górze strojne postacie kobiet, wlokące za sobą migotliwe treny sukien, sztywne jeszcze, poważne, z obstalowanym uśmiechem na ustach, z główkami na wpół zagłębionymi w puszyste kołnierze narzutek. Szli za nimi mężczyźni czarni i sztywni. W przedpokoju na górze tworzyły się już grupy, wszczynały się rozmowy.

A hrabina Tur wciąż wyciągała ku przychodzącym rękę strojną w pierścienie, wciąż się uśmiechała, szczęśliwa na widok tylu gości, tylu znakomitych osób, tylu pięknych toalet i tej świetności, która ją otaczała.

Bo też zgromadzenie było naprawdę świetne, toalety wspaniałe, kapiące od rodowych, odwiecznych klejnotów, a tytułów, mitr i koron gromadziła się niezliczona moc.

Godne to też było takiego zebrania. Zdawało się, że bogactwo, sztuki piękne, najwyższy wykwint, myśl i praca ludzka podały sobie ręce, aby stworzyć jakiś pałac bajeczny, jakiś dworzec królewski z tysiąca i jednej nocy. Przez galerię oszkloną, której ściany zwierciadlane odbijały raz po raz przestrzeń podwórza zalanego elektrycznym światłem, pod sklepieniem, na którym rzeźbione amorki przerzucały sobie z rąk do rąk girlandy, wśród pęków żywych kwiatów, zewsząd się wychylających, wchodziło się do szeregu

salonów. Ciągnęły się jedne za drugimi wspaniałe sale, obite adamaszkami o spłowiałych barwach, o dyskretnych a soczystych tonach złotych lub bladoróżowych, zastawione meblami kunsztownie wyrabianymi, pełne drobiazgowych artystycznych, starych obrazów, majolikowych waz, rzeźb i brązów, gdzie nowoczesny gust zdołał przeistoczyć w modne intdrieur ten surowy palazzo Branca, w którego kątach unosiły się może jeszcze duchy dawnych jego właścicieli. Wśród przepysznych sprzętów, na tle jedwabistych adamaszków, rozkwitały całe klomby kwiatów, łagodząc zbyt poważne linie olbrzymich komnat i rzucając w nie wesołą, jaskrawą nutę. Kosze róż i hiacyntów wypełniały framugi okien, rogi pokojów były ustrojone w wiązki paproci, kosaćców fioletowych i dziwacznych storczyków, z kielichów kryształowych strzelały do góry śnieżne tuberozy lub tulipany barwne i kołysały się nad głowami siedzących. Nawet pająki jaśniejące setkami świec elektrycznych oplecione były wieńcami kwiecia i zieleni. Surowy pałac o poważnych liniach architektonicznych, budowany dla książąt i patrycjuszów, rozkwitł dziś i zajaśniał na przyjęcie całego Rzymu.

Ale ten cały Rzym zawierał w sobie niewiele już prawdziwie rzymskiego. Była to zbieranina elegancka, strojna, wielojęzyczna, złączona jedną tylko wspólną myślą zabawy, a pochodząca z całej kuli ziemskiej i ze wszystkich sfer cywilizowanego świata. Byli tam rzymianie — stare rody patrycjuszowskie, wierne Stolicy Apostolskiej, nieprzejednane i wrogie nowemu porządkowi rzeczy — były też arystokratyczne rodziny, równie stare i możne, służące dziś królewskiemu rządowi, narodowej sprawie i dumne z dokonanego dzieła zjednoczenia. Byli karierowicze świeżo wzbogaceni, świeżo w urzędy i dostojęstwa wzrosli, od których czuć jeszcze było niedawną biedę i gonitwę za chlebem. Były zrujnowane tytuły, polujące na posagi. Był cały świat literacki i artystyczny — malarze i muzycy, klasycy i secesja, stare i nowe szkoły, prowadzące ze sobą zażartą wojnę, i dziennikarze, panowie opinii, i historycy, i archeologowie, i powieściopisarze — nawet sławny i otoczony

najpiękniejszymi kobietami poeta Rafael d'Angeli, mistrz dekadentów, gwiazda młodego pokolenia, którego wiersze powtarzały na pamięć wszystkie najpiękniejsze usta. Była też cała elegancka kolonia cudzoziemców — a więc przede wszystkim mnóstwo ślicznych Amerykanek w ekscentrycznych i bogatych strojach, i kilka sztywnych Angielek udrapowanych skromnie w białe tiule i koronki, i parę Francuzek noszących z ogromnym wdziękiem staniki, których nie było prawie i wreszcie różne osobistości niewyraźne, pochodzące z jakichś niewiadomych krain: jakiś książę gruziński i kilka Kreolek z Wysp Filipińskich, rodzina Finów, jakaś młoda Japonka, córka posła, syn wzbogaconego na futrach i herbacie Sybiraka, paru Greków i Ormian — jakiś zdetronizowany władca jakiegoś nie znanego nikomu państewka — Norweg, który jeździł do bieguna północnego — podróżnik po Afryce prawie zjedzony przez ludożerców — kilku książąt krwi, działacze polityczni, emigranci, ministrowie i eksministrowie, uczeni, twórcy nowych systemów filozoficznych, francuscy powieściopisarze szukający wszędzie „dokumentów ludzkich” i panie, których mężów nikt nigdy nie oglądał, i wdowy po rozmaitych znakomitościach — i wreszcie cała masa młodzieży niewiadomego pochodzenia, a nawet nie zawsze wiadomego nazwiska.

Była też większa część zamieszkałych i przebywających w Rzymie Polaków. A więc państwo Sużyńscy, państwo Skoradzcy z córką, pan Odałowski, malarz Bruzdiewicz, muzyk Paliński, profesor Mężyk, pani Iłzewska z Manią i Lunią i niedawno przybyła dla swej rozwodowej sprawy piękna złotowłosa pani Erbstein, pan Grzałkowski z dwiema córkami, arystokratyczni państwo Oryżewscy, patrzący z góry na zebraną tu mieszaninę i pani Wolkenstein z córką, i kilku bogatych Żydów spowinowaconych z polskimi rodzinami, pan Chański znudzony i nieszczęśliwy, i wreszcie pani Alina z Zosią.

Zosia przybyła tu zaciekawiona i uradowana, ale zarazem przełękała trochę, bo czuła, że ten bal w niczym przypominać nie może pikniku w

Ucianach, gdzie była wśród swoich, prawie w rodzinnym kole. Tu był tłum, obcy jej, nieznany tłum ludzi, których obyczajów nie znała, języka nawet czasem nie mogła zrozumieć. Gdy weszła z matką do pierwszego salonu, trochę była olśniona potokami światła, gwarem rozmów, które brzęczały jak pszczoły w ulu, i odurzającym zapachem kwiatów, perfum i pudru. Widziała przed sobą wielką, jasną przestrzeń, zasianą płomykami świec, i wielki rój postaci jasnych i czarnych, błyskających oczami i brylantami, poruszających ustrojone głowy, szeleszczących jedwabiami i sypiących iskry z wachlarzy. Z dalszych pokojów dolatywały dźwięki muzyki i, oczywiście, tańce już były tam rozpoczęte. A tu wśród kwiatów zabawiano się rozmową, popijano herbatę z malutkich filiżanek — i flirtowano. Grupy stojące tworzyły się pod białym światłem świec, a po kątach siedziały pary, przysłonięte liśćmi palm i parawanikami ze starych makat.

— Czy pani tańczy?

— Nie.

— To zabieram panią — rzekł hrabia Barberini Baraniewski, który czekał na nią u wejścia, i podał jej ramię, a ona się oparła i poszli razem przez szeregi salonów ku balowej sali, jaśniejącej w głębi.

— Qu'elle est donc cette jolie filie? — pytano patrząc na przechodzącą parę. Nawet poeta Rafael d'Angeli odwrócił znudzone oczy i powiódł za nimi wzrokiem. Znał hrabiego Paulina i postanowił spytać go o interesującą towarzyszkę, a tymczasem rzekł do siedzącej obok damy:

— Czuje pani zapach róży mistycznej? Bo tędy przeszła niewinność...

W sali balowej, udekorowanej wspaniale kolorowymi marmurami i freskami doskonałych mistrzów, pod plafonem, na którym bogowie Olimpu ucztowali wśród obłoków, tańczono. Walc płynął po sali z okrytej roślinami trybuny i pary wirowały lekko w olśniewającej jasności. Powiewały suknie — błyskały brylanty — obnażone ramiona kobiet wykwiwały spośród koronek i atlasów, jak blade kwiaty, pachnące i aksamitne. Światło świec kładło się

białymi refleksami na skórze i złotym proszkiem sypało się na włosy. W rozgrzanej atmosferze unosiły się zapachy przenikliwe i odurzające. Muzyka kołysała jakby do błogiego snu miękkim, pieśczośliwym rytmem.

— Un tour de valse, n'estce pas? — rzekł hrabia Paulin. Zosia położyła mu rękę na ramieniu, on ją objął i puścili się razem. Ona jeszcze onieśmielona tym licznym a obcym otoczeniem, czuła, jak jej się w głowie kręci, jak serce bije — ale czuła też, jak miło jest tańczyć na tej lustrzanej posadzce przy takiej muzyce i z takim tancerzem. Czuła, jak krew rozgrzewa się w żyłach i życie szybciej tętni, i jakieś upojenie ją ogarnia — upojenie ruchem, życiem, jasnością, własną młodością, poczuciem swego wdzięku i czaru i tym otoczeniem czarodziejskim, i tą bliskością wielbiącego mężczyzny. I coraz lżej leciała w oświetloną przestrzeń — coraz równiej, coraz spościej wirowali razem.

Aż nagle posłyszała szeptane jej w ucho słowa: Miła... cudna... kwiecie róży... zmiłuj się nade mną Promieniu słońca, zmiłuj się nade mną!... Zosińko najmiłsza, zmiłuj się nade mną...

Krew jej uderzyła do głowy, ale rzekła zimno:

— Proszę pana, jestem zmęczona.

Przytomność odzyskała zupełnie, nie była już onieśmielona, ale ogarniał ją gniew.

— Chcę usiąść — rzekła i uwolniła się z jego objęcia.

— Tu gorąco, zaprowadzę panią do bufetu — odpowiedział hrabia Paulin zupełnie spokojnie podając jej porzuconą okrywkę.

Zosia spojrzała na niego. Nie było żadnej zmiany w jego twarzy, tylko oczy trochę zamglone, jakby ze zmęczenia lub z gorąca. — Co to jest? — myślała Zosia. — Czy mi się zdawało? — Spojrzała dokoła, jakby szukając ratunku, ale nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy. Tańczono, rozmawiano po kątach, kokietowano za wachlarzami i szedł po jasnej sali, po kwiatkach, po strojnych główkach kobiecych, po nagich freskach i po marmurach jakby

powiew miłosny, jakby rozmarzenie i roznamiętnienie jakieś dziwne, które kładło w oczy połyski i otwierało usta półuśmiechem. Zosia poczuła się obca temu światu, oddalona i samotna.

— Przejdźmy do bufetu — nalegał hrabia Paulin — tam chłodniej. Więc oparła się znowu o jego ramię i on ją poprowadził.

Bufet był ustawiony w galerii otwartej, naprzeciw wjazdowej bramy. Tylko gęste firanki ze wschodnich tkanin, zaciągnięte między kolumnami, chroniły od wieczornego chłodu. U dołu, z jednej strony, było podwórze otoczone portykami, zalane księżycowym światłem lamp, gdzie szemrała spadająca wśród kwiatów fontanna — z drugiej ogród tonął w cieniu i cyprysy stały tajemnicze. W marcowym powietrzu czuć było tchnienie wiosny włoskiej, wilgotnej i gorącej, zapładniającej rośliny, budzącej ze snu kwiaty, dającej przyrodzie pęd nowy ku życiu i rozkoszy.

Hrabia Paulin przyniósł swej towarzysze sorbet ananasowy i oparł się przy niej o balustradę. Chwilę trwało milczenie. W galerii było dość pusto. Po przeciwległej stronie dwie panie i kilku panów piło wino szampańskie i prowadziło głośną rozmowę po angielsku. Z dala dochodziły wciąż dźwięki walca.

Zosia połykała z rozkoszą płyn zamrożony i myślała: — Może najlepiej udawać, że nic nie słyszałam. To już się nie powtórzy. A jak tylko kogoś znajomego spotkam, to się przyczepię, a jego unikać będę. Gdyby to wrócić wcześniej do domu, ale mama nie zechce, właśnie dlatego... — I czuła, że w tej chwili matka jest dla niej równie obca, jak cały ten otaczający ją tłum — i że tu w Rzymie nie ma nikogo... nikogo, kto by ją zechciał ratować. A wtem znowu usłyszała nad sobą przyciszony głos hrabiego Paulina:

— Zosieńko złota, królowo i pani, zmiłuj się nade mną! Teraz nie mogła już nie słyszeć. Zresztą gniew ją porwał. Wstała z krzesła i rzekła:

— Nie rozumiem pana. Cóż to za litania niemądra? Nie jestem ani królową, ani panią — a już Zosieńką dla pana nie będę nigdy. Proszę mnie odprowadzić do mamy.

Ale on nie poruszył się z miejsca, tylko złożył ręce jak do modlitwy i powtórzył cicho:

— Zmiłuj się nade mną!

Ona z gniewu i oburzenia zaczęła się śmiać.

— Doprawdy, pan jest komiczny w tej pozie! Czego pan chce ode mnie? Nie rozumiem tej komedii.

— Czego ja chcę? — powtórzył. — Chcę twojej duszy, chcę twego serca, chcę twoich oczu, twych ust, chcę twoich ramion, chcę ciebie całej! Chcę ciebie — ciebie, Zosieńko, promieniu słońca!

— Ale ja nie chcę — przerwała Zosia zaciskając w ręku wachlarz — i niech mi pan da pokój, bo nic z tego nie będzie.

— Nie chcesz być moja?...

— Nie, nie chcę. I niech pan do mnie nie mówi „ty” i „Zosieńko”, bo wcale nie jestem niczym dla pana, tylko zupełnie... zupełnie obcą panną.

Stała odwrócona od niego, drżąca ze wzruszenia i gniewu, ze ściągniętymi brwiami i rumieńcem na twarzy — i taka była ładna w tej chwili, z takim ogniem, w błękitnych oczach, że hrabia Paulin z lubością na nią patrzył.

— I dlaczego? — spytał z prawdziwym żalem.

— Bo ja pana nie kocham, ani tyle nie kocham. A wyjdę tylko za tego, którego pokocham. Więc nie chcę i słuchać tych wszystkich rzeczy. I proszę mnie odprowadzić do mamy.

On nie ruszał się jednak i patrzył na nią. Nigdy mu się tak ponętna nie wydała. Ubrana w bladoniebieską tiulową suknię, powłóczytą i mocno wygorsowaną, zasianą perełkami szklistymi, które jak krople rosy błyszcząły na niej, w aureoli złotych włosów przypominała postacie jakichś legendowych



świtezianek czy rusalek, które kąpią się w blasku księżyca, sama do księżycowych promieni podobna. U jej białej piersi drżały listki białych goździków, a oczy pociemniałe z gniewu wydawały się prawie czarne. Nie, nigdy tak nęcąca nie była! I nie chciała go, nie chciała mu dać nic — nic z siebie. Mówiła, że go nie kocha ani trochę — ani tyle... Więc ogarnął go żal nad sobą niezmierny. Spuścił głowę i szepnął:

— Gdyby pani wiedziała, jak mi źle...

Ale ona już tego nie słyszała. Z daleka, z drugiego końca galerii, zbliżał się powolnym krokiem Chański, więc ona, rada z jego widoku, dawała mu znaki. A gdy się zbliżył, poskoczyła ku niemu i rękę mu wsunęła pod ramię.

— Gdzie mama? Ja chcę do mamy — mówiła. — Chodźmy, chodźmy! I napędzała, i śpieszyła ku wyjściu, aż Chański zdziwiony zaczął się uśmiechać:

— Oj, pokłóciliście się, jak widzę, z tym poetycznym hrabiątkiem. No, niech pani przyzna, że on pani tendresy prawil — nieprawdaż, a pani mu dała odkosza? Co? Prawda? I dobrze. Nie dla pani ten wyskrobek, panno Zofio — nie dla pani.

Prowadził ją przez szereg salonów, przez tłum twarzy nieznanych, powoli torując drogę. A ona wsparta na jego ramieniu czuła się przy nim bezpieczna — czuła w nim swojską, bliską istotę — jedyną tutaj, która ją ratować chciała. On mówił dalej pół żartem, pół serio:

— Takie panny, jak pani, przynajmniej na to mogą sobie pozwolić, aby iść za mąż z miłości. Jest to wprawdzie zbytek, jak na dzisiejsze ciężkie czasy, ale panią, panno Zofio, stać na to.

— Ja też inaczej nie pójdę.

— Chwali się pani to postanowienie, ale jak mama i siostrunia zaczną namawiać, a il padre nero weźmie w obroty — to co będzie?

— Nie pójdę, choćby nie wiem jak namawiali. Chański spoważniał.

— Niechże mała trzyma się ostro — rzekł pieszczotliwie — bo to nie żarty. A on... ten... ten zdechlaczek... niewart pani. Ja to serio mówię, panno Zofio — niewart — proszę pamiętać.

Tymczasem pani Alina prowadziła bardzo ożywioną i przyjemną rozmowę w kółku dawnych znajomych. Była w doskonałym humorze. Dziś rano owa hrabianka, której odjazd był już oplakany i łzami oblany, wróciła niespodzianie do domu zgromadzenia z zamiarem pozostania, więc radość była stąd wielka. A teraz bal był taki świetny! Zbyt w gruncie serca była pani Alina światowa i towarzyska, aby się nie rozbawić na widok wspaniałego balu, aby się nie przejąć otaczającym ją splendorem i nie ożywić w tym tak wytwornym towarzystwie. Sumienie miała spokojne, bo nie szła dla siebie, ale spełniała obowiązek względem córki, a już raz będąc tutaj, lepiej było bawić się i być wesołą, niżli siedzieć w kącie ze znudzoną miną. Owszem, niech się ludzie przekonają, że prawdziwa cnota i prawdziwa świętość jest łatwa i ujmująca — a bynajmniej nie ostra i nie ponura, jak wielu się zdaje. Przy tym wiedziała, że czarna aksamitna suknia bardzo podnosiła blask jej pięknej jeszcze cery, i że szyja jej, która się wychylała z dyskretnie wyciętego stanika, mogła jeszcze rywalizować z najpiękniejszymi w Rzymie. Rozmawiała też wesoło z kilku panami, których dawniej znała dobrze. A w oddali stojący pan Skoradzki mówił do profesora Mężyka:

— Jaka to jeszcze przystojna kobieta ta Alina Halicka! Szkoda takiej do klasztoru.

— Czy to z tego klasztoru co będzie naprawdę? Tak sobie myślę, że to taka sama zabawka, jak wszystkie inne. Bo to pan wiesz, że ona zawsze... tego..., więc teraz nie może już głów ludziskom zawracać, to zwraca się do Pana Boga. Znana historia!

— Zapewne, gdyby ona była jedna, ale tam córka wszystkim kieruje, a ta na serio bierze się do rzeczy. Już kupiły dom i cały Watykan poruszają o zatwierdzenie papieskie.

— A pani Alina tymczasem pracuje nad pozbyciem się tej drugiej, młodszej.

— A tak, gwałtownie chce ją wydać za mąż. Zdaje się, że ten dudek Baraniewski kręci się koło niej i matka nic nie ma przeciwko leniu.

— Co pan mówisz! Takie zero pod każdym względem! Szkoda byłoby panienki — istny pączek różany.

Na szczęście dla Zosi znalazł się na jej drodze malarz Bruzdziewicz, któremu od dawna była obiecała lansjera. A że hrabia Paulin, po niefortunnej z nią przeprawie, znikł gdzieś i nie pokazywał się wcale, więc reszta wieczoru zeszła dość wesoło.

— Byleby się mama nie dowiedziała — myślała Zosia — bo będzie koniec.

I postanowiła nic nie mówić. Przecież i ten hrabia Paulin nie pójdzie się chwalić, że dostał odkosza — więc będzie cicho. Wkrótce rozbawiona, wśród tańców i bardzo wesołej gawędy, zapomniała o wszystkim.

Bał u hrabiny Tur udał się tym razem znakomicie. Nie zaszła żadna kolizja między dwoma światami, które nieufnie patrzyły na siebie, ale wśród tłumów egzotycznych mogły barw swoich nie afiszować i nie wywieszać sztandarów. Więc pod plafonami starych mistrzów, wśród marmurów, złocień, białych gobelinów i klombów kwiecistych, w powodzi światła — bawiono się. Tańce szły składnie w balowej sali — pary wiązały się i rozsuwały w przeróżne figury — lansjer, walc, kotylion i pasdedeux następowały po sobie przy delikatnych dźwiękach muzyki. W długim szeregu salonów grupami, dwójkami gwarzono, flirtowano.

W bufecie raczono się owocami i chłodnikami — wino lało się szerokim strumieniem. Zewsząd szły wesołe głosy, wzbijał się gwar różnych języków. Fala strojnych kobiet, lśniących bielą ramion, iskrami brylantów, jedwabiem adamaszków i atlasów przelewała się poprzez wspaniałe sale, podobna ruchomej girlandzie przepysznych kwiatów. Coraz silniejsze wonie, coraz

bardziej drażniący aromat bił z tych wyciętych staników, z tych włosów poskręcanych w umiejętnie sploty, z tych kwiatów, które wędły u rozgrzanych piersi. I głowy mężczyzn pochylały się coraz bliżej ku kobiecym główkom, usta szeptały słowa urywane, oczy wypowiadały sobie tajemnicze zaklęcia, ramiona obejmujące w tańcu wysmukłe kibicie opasywały je coraz ciaśniej, ruchy stawały się miększe, bardziej omdlewające. Muzyka dźwięczała wciąż kołyszącym rytmem.

A w powietrzu rozgrzanym, przesyconym wonią ciał i kwiatów leciały prądy drażniące i zmysłowe.

## VII

Zosia nie powiedziała matce ani słowa o zajściu z hrabią Paulinem. Myślała, że milczeniem uda się jeszcze puścić rzecz całą w zapomnienie. Matka nic o tym nic wiedząc, choćby pragnęła ją wydać za niego, namawiać nic może — a tymczasem, może coś się stanic, coś przeszkodzi — może się on rozmyśli — i jakoś utrże się cała sprawa.

Ale nazajutrz po balu u hrabiny Tur, gdy Zosia z miss Anger były w mieście, przyszedł hrabia Paulin i prosił panią Alinę o chwilę rozmowy. I powiedział jej wszystko. Mówił, że choć się czuje ze wszech miar niegodnym tak uroczej dziewczyny, miłość skłania go do proszenia o jej rękę. Że wyznał jej samej swe uczucia, ale ona odrzuciła je, nie dając mu nawet wypowiedzieć wszystkiego, co miał na sercu — i uciekła od niego z miną zagniewaną. Że jednak on przypuszcza i chce mieć nadzieję, iż to był pierwszy wybuch nie przygotowanego umysłu, ale że może po głębszej rozwadze i pod wpływem matki odmowę swą zechce panna Zofia cofnąć o wpływ taki prosi więc usilnie, a wyznanie swe ponawia i oczekiwać będzie wyroku.

Pani Alinie przykro było bardzo dowiedzieć się o tym wszystkim z ust jego. Uczuła żal do Zosi za jej brak zaufania, a zarazem i gniew. Tak to jej troskliwość i zabiegi były ocenione! Ta mała odrzucała zdarzający się jej dobry los, nawet nie racząc się poradzić matki ani spytać o jej zdanie. To już była samowola nie do zniesienia! Szczęście jeszcze, że hrabia Paulin, nie zrażony pierwszym niepowodzeniem, nie liczył się ze słowami tej smarkatej i gotów był czekać, aż ona przyjdzie do rozsądku. Więc pani Alina nie szczędziła mu słów serdecznych i zachęty, swoją własną zgodę dała chętnie i przyrzekła dołożyć wszelkich starań, aby Zosię skłonić do opamiętania. A gdy wyszedł hrabia Paulin, co prędzej ubrała się, wsiadła do dorożki i ruszyła na via Mazzini dla narady z Teresą Leonią.

— Wyobraź sobie, co się stało! — zawołała wchodząc i nie widząc nawet siedzącego w kącie ojca Maksa. — Ta mała, nic mi nie mówiąc, odmówiła hrabiemu. Cette péronnelle!

— Ależ to być nie może — rzekła żywo Teresa Leonia. — Dlaczego?

— Czy ja wiem? Kaprysy, fantazja — dziecinada!...

— Jak to! I nic nie powiedziała?

— Nic. Ani słowa! Dopiero dziś dowiaduję się o tym od niego samego. Przyszedł, bardzo zmartwiony, il est amoureux fou, prosić, abym na nią wpłynęła.

— Więc się nie cofa? — spytał ojciec Maks z kąta.

— Ah, c'est vous, mon pere! Nie, nie cofa się. Na szczęście bardzo zakochany, ale co to za bieda z tą Zosią!

— Jeśli on się nie cofa — rzekła Teresa Leonia spokojnie — to fantazje Zosi dadzą się odmienić. — Chwilę zastanawiała się i rzekła: — Niech mama tu zaczeka, po pacierzach i po salut razem pójdziemy do niej i wtedy być nie może, aby się nie poddała.

I zwracając się do ojca Maksa, dodała:

— A wieczorem, na zakończenie, przyjdzie ojciec nam dopomóc i powiedzieć jej słówko prawdy. Czy dobrze?

— Owszem, chętnie.

— Nie może tak być, aby kaprysy tej dziewczyny stawały nam na przeszkodzie w dokonaniu naszego dzieła. Jej prędkie wyjście za mąż jest rzeczą konieczną dla nas. Dopóki mama mieć będzie przy sobie pannę na wydaniu, nikt nie uwierzy, że nasz zakon jest rzeczą poważną.

— Naturalnie.

— To nas kompromituje. Te bale, te stroje..., dla mamy, jako przyszłej zakonnicy..., do czegoż to podobne!

— Tak, pewnie — rzekła pani Alina tłumacząc się — przecież sama to rozumiem. Bywam z Zosią prawdziwie a contrecœur. Proszę mi wierzyć, drogi ojczy. Ale inaczej niepodobna znaleźć dla niej męża.

— Je le sais, j'en suis sur — mówił ksiądz. — Znam przecie serce pani i wiem, jak jest oderwane od rzeczy światowych. Ale jednak to bywanie szkodzić już nam zaczyna w opinii.

— Przynajmniej teraz, gdy się znalazł dla niej mąż — i to najlepszy, jaki być może — rzekła cichym a stanowczym głosem Teresa Leonia — to nie możemy pozwolić na dzieciństwa i kaprysy.

Gdy to mówiła, usta jej zaciskały się ostro i twarz jej przybierała wyraz niezłomnej energii, tak, że ksiądz rzekł:

— Pamiętaj jednak, ma chere filie, że Kościół święty jest przeciwny zawieraniu małżeństw bez inklinacji wzajemnej. Nie trzeba forsować! Wstręt do przyszłego męża...

— Wstręt, ależ tu o wstręcie nie może być mowy! — zawołała pani Alina. — Przystojny, młody, miły, uprzejmy, dystyngowany mężczyzna, wykształcony jak rzadko kto, maniery najlepsze! Nie mówiąc o moralnej stronie, ale son physique est charmant. Przecież sama nigdy bym jej nie zmuszała przeciw skłonnościom. Ale w jej wieku nie ma się jeszcze żadnych wyraźnych skłonności. To się później wyrabia. Zosia — c'est une page toute blanche.

— Toteż i ja radzić jej będę, ale nie forsować! Nie forsować! Tout doucement — Bóg ją sam oświeci...

— Tym bardziej że jej własne szczęście w tym leży — rzekła Teresa Leonia. — Jeśli ma wyjść za mąż, to gdzież znajdzie co lepszego? Tam, w kraju, trafiłaby znacznie gorzej...

— Tam — przerwała pani Alina — wzięłby ją jakiś szlachciura z zakutą głową, nie widzący nic poza swoją parafią. W każdym razie, doprawdy, nie krzywdzimy jej wydając za hrabiego Barberini Baraniewskiego.

Zosia tymczasem nie przeczuwała bynajmniej burzy, która się nad jej głową zbierała. Nie przypuszczała, aby hrabia Paulin trafił do jej matki ze swymi oświadczeniami po otrzymaniu od niej samej tak stanowczej odmowy. Wróciła dość późno ze spaceru z miss Anger, nie zastawszy matki, ubrała się do obiadu i zasiadła z książką przed kominkiem. Chłodno było tego dnia i po nieprzespanej nocy Zosia czuła się zziębnięta i znużona. Owinęła się więc w szal i starała się czytać uważnie, ale myśli odrywały się co chwila od książki i błądziły po świecie.

— Może źle zrobiłam, że nic nie powiedziałam mamie — myślała. — Nie trzeba mieć tajemnic przed rodzicami. Ale ja wiem, że mama namawiałaby mnie do niego, a ja go nie chcę. Nie, nie chcę. On bardzo przyjemny, nawet go lubię, ale nie na zawsze. Zresztą, jestem pewna, że on by chciał mieszkać w Rzymie albo za granicą, a ja chcę do domu. Ach, do domu, do domu! Do babuni..., do Haliniszek...

I wyciągała ręce w pustą przestrzeń, i przymykała oczy, a pod powiekami zjawiały się obrazy swojskie i ukochane twarze.

— Gdyby oni wiedzieli, w jakich tu jestem opalach! — westchnęła. Zmrok zapadał. Powoli szare cienie wysuwały się z kątów i snuły się pajęczyną po ścianach i sprzętach. Na Corso zapalono elektryczne lampy i wlał się do pokoju blask ich księżycowy. W świetle, pod oknem, ożywił się wielki bukiet róż, otrzymany na wczorajszym balu podczas kotyliona. Listki zajaśniały jak blaszki gładką powierzchnią, a róże zapachniały mocniej.

Z ulicy dochodził nieprzerwany turkot, gwar, nawoływania przekupniów i piskliwe głosy masek. Był to ostatni dzień karnawału i gromady białych postaci włóczyły się po ulicach ze śmiechem, ze śpiewami, z brzękiem tamburynów, zaczepiając przechodniów i rzucając na prawo i na lewo tłustymi dowcipami.

Cały Rzym był na ulicy. Szereg nieskończony eleganckich powozów wracał ze spaceru na Monte Pincio i posuwał się krok za krokiem przez Corso.



Po obu stronach na chodnikach zwarty tłum pieszych przepływał z wolna, stłoczony w ciasnej przestrzeni. Po rogach ulic, przed kawiarniami, stały dziesiątki mężczyzn z rękami w kieszeniach z cygarem w ustach, patrząc na przejeżdżające z wolna powozy, rzucając kobietom w oczy słówka pochlebne, składając nawet czasem dłonie do oklasku, gdy się która czymś wyróżniała od innych.

Ale w hotelu tu blisko była cisza, więc Zosia nie zapalała lampy. Otulona szalem i skulona przy dogasającym ogniu na kominku, myślała: — Przecież tak zawsze żyć niepodobna. Naturalnie, że z czasem musi wyjść za mąż — wszakże sama nic nie miała przeciw temu. Ale wyjść z własnego wyboru, za kogoś kochanego bardzo i z nim razem zamieszkać — gdzieś na wsi, spokojnie i gospodarować u siebie, i być tym, czym jest babunia i czym była przez całe życie.

I widziała siebie panią na wsi, wśród pól i łąk szerokich, wśród gromady ludzi swoich, bliskich krwią i duchem, na czele domu, którego była ciepłem, ozdobą i opiekunką zarazem.

Widziała tego przyszłego męża — jakiś niewyraźny kontur wysokiego, dzielnego mężczyzny, wracającego po pracowitym dniu do domu, do niej... ze słowami miłości na ustach. Czuła rozkosz dzielenia myśli, dzielenia wrażeń, dzielenia pracy. Czuła, że z tym wymarzonym i zawczasu już ukochanym, przeczuwanym i wypieszczonym na dnie serca ona wszędzie i zawsze będzie szczęśliwa.

A dzieci... Dzieci też być muszą, małe, śliczne stworzonka, bawiące się na trawie przed domem.

I coś zadrżało w głębi jej istoty, jakieś ciepło rozlało się w jej sercu... Tak, życie jej takie być musi, tylko w takim znajdzie zadowolenie. Niech nie będzie świetności ani zabaw, ani strojów, to dobre na krótko — ale niech będzie rodzinny dom, obowiązki spełniane we dwoje, wieś i otoczenie swojskie i miłość...

A z hrabią Paulinem nie mogłaby tego mieć, więc dobrze zrobiła odmawiając mu i pewnie babunia tak by powiedziała i nie żałuje tego ani trochę. Tylko mamie może być przykro.

— Ale tak dalece siebie poświęcać nie mam obowiązku — rzekła w końcu.

Poruszyła się. Przez ciemniejące powietrze wpływała do pokoju dziwna tęsknota i smutek. Zosia myślą zwróciła się ku Haliniszkom. Wieczór nadchodzi, ciemno już nad jeziorem. Tam już pewnie babunia siedzi przy samowarze czekając wieczery. Ania czyta dziaduniowi gazety. Strycio w oficynie kończy jakieś rachunki czy dyspozycje i zaraz przyjdzie do domu na herbatę. Pan Szrott może wygrywa sobie na fortepianie. Grzegorz stuka talerzami. Zegar w przedpokoju wybija sekundy i tak cicho, tak miło, bezpiecznie jakoś i pocziwie w tych kochanych Haliniszkach. Ach, wrócić tam, wrócić choć na chwilę!... Rzym jest prześliczny, ale już dosyć, już chce się do domu.

Zadzwoniono na obiad. Pani Alina nie wracała.

— Co się z mamą stało? — myślała Zosia. — Nigdy tak długo nie pozostawała w mieście.

Podeszła do okna i patrzyła.

Na wąskim Corso płonęły elektryczne księżycy zawieszane wysoko. Powozy szły wciąż dwoma sznurami, jedno za drugim, na chodnikach był tłum. Nad nim leciały wołania roznosicieli gazet: „La Tribuna”! „La Tribuna” „Corriera di Sera”! „IL Monitore”, „II Monitore di Roma”! i jakiś kobiecy głos ostro wrzeszczący: „Fiori freschi. Fiori freschi!” Z dala, z bocznych uliczek, dochodziły wesołe okrzyki obrzucających się confetti gromadek i bezustanne brzęczenie bębenków. Krzyki, turkot, głosy ludzkie i stąpania końskich kopyt zlewały się w jeden huk przeciągły.

— Boże, jak oni krzyczą! — westchnęła Zosia.

Czuła się dziś nieswoja, strwożona jakaś i niespokojna. Podkreśliła guzik i światło zabłysło w wiszącej u sufitu lampie, ale w jego blasku salonik hotelowy wydawał się bardziej jeszcze obcy i zimny, więc zgasła je prędko. Stała przy oknie i stała tak znudzona, nie wiedząca, czym się zająć.

Wtem usłyszała stukanie do drzwi. Wszedł poważny i czarny od stóp do głów ojciec Stanisław Huniewicz.

— Dobrze, że panią zastaję — rzekł. — Mówiono mi, że pani Halicka wyszła. Czy tak?

— Tak, wyszła od dawna. Nawet dziwię się, że dotąd.

— Coś musiało ją zatrzymać. Szkoda, miałem do pomówienia o ważnej sprawie. Tymczasem przynoszę paniom bilety na pojutrze.

— Ach! Już?

— Tak. Ojciec Święty zdecydował się wcześniej przyjąć polską pielgrzymkę niż zrazu zamierzał. Potem będą inne uroczystości. Spodziewana jest pielgrzymka z Ameryki, więc lepiej to teraz odbyć. O, to będzie prześliczna ceremonia!

— Bardzo się cieszę...

— Panie są dopuszczone wszystkie trzy do ucałowania stopy Jego Świątobliwości. Jest to wyjątkowa łaska, gdyż takich osób będzie tylko pięćdziesiąt. Nie można męczyć Ojca Świętego, który już i tak ma sam dla nas mszę świętą odprawić i może nawet przemówi do nas, więc liczbę tych osób musiano ograniczyć, ale matka i siostra pani, które dla Stolicy świętej życie swe mają zamiar poświęcić, godne są w zupełności tej łaski.

Zosia słuchała, trzymając w ręku trzy niebieskie biglietti d'admissione.

— Bardzo ojcu dziękuję — rzekła.

— Proszę matce powiedzieć — zaczął ojciec Stanisław — że bardzo żałuję, iż jej nie zastałem. Chciałem ostrzec..., pomówić...

Wstał i zaczął się żegnać, ale jakby wyczekując czegoś jeszcze. Wreszcie utkwiał znad okularów surowy wzrok w twarzy Zosi i dodał:

— Matka pani jest świętą duszą, ale pani jej nie dość ufa. To źle, to bardzo źle.

Wyszedł.

Zosia zdziwiona, nie rozumiejąca jego słów, została znowu sama. Dziwny niepokój ogarnął ją i zaczęła niecierpliwie wyglądać powrotu matki. Drugi dzwonek obiadowy ozwał się, a pani Aliny nie było.

Tymczasem jednak myśli jej zwróciły się w inną stronę. Rada była z zapowiedzianej ceremonii.

Usiadła przy biurku w zamiarze rozpoczęcia listu do Ani, gdy wtem drzwi się otworzyły i weszła matka i Teresa Leonia.

— Ach, moja Zosieńko! — zawołała pani Alina. — Musiałaś być niespokojna i nic nie jadłaś... A ja nie mogłam wrócić wcześniej, bo Teresa Leonia chciała przyjść ze mną. Bo to..., widzisz, jest jedna rzecz...

Zosię widok siostry od razu dotknął niemile. Poczuła, że to jej przybycie do niej się odnosi, więc przywitała się z nią nadzwyczaj zimno i nie rzekła ani słowa.

Teresa Leonia spokojnie zdjęła kapelusz, usiadła i zaczęła swoim cichym, stanowczym głosem:

— Przyjdź tu, Zosiu, i usiądź przy nas. Mama i ja mamy z tobą do pomówienia.

Powoli, niechętnie, czując już wewnątrz niemily jakiś dreszcz, Zosia przysunęła sobie krzesło. W blasku lampy siedziały teraz w trzy: pani Alina, onieśmielona, zdenerwowana, kręciła na rękę złotą obręcz, której rubin rzucał ognie jaskrawe; Teresa Leonia, cała w czerni, wyprostowana i zupełnie spokojna, miała na twarzy zimny wyraz, a jej spuszczone oczy zdawały się wewnątrz siebie zaglądać i szukać światła na dnie serca; naprzeciw Zosia z rozwichrzoną grzywą i rozdętymi nozdrzami, gotowa do obrony. Serce jej tłukło się jakoś niespokojnie w piersiach i końce palców zaciskały się mocno, ale mówiła sobie w myśli:

— Nie dam się! Nie dam się, żeby tam nie wiem co, to nie dam się!

Teresa Leonia zaczęła cichym głosem:

— Czy to prawda, że odmówiłaś hrabiemu BarberiniBaraniewskiemu?

— Prawda — odpowiedziała Zosia i podniosła hardo głowę.

— I nic mi o tym nie powiedziałaś! — westchnęła pani Alina.

— Dlaczego? — zapytała Teresa Leonia.

— Bo go nie kocham i nigdy kochać go nie będę. Przez chwilę panowało milczenie.

Teresa Leonia znowu skupiła się jakby w modlitwie i rzekła:

— To nie jest dostateczna racja. Idzie się za męża nie dla dogodzenia jakiejś tam miłości, ale dla spełnienia chrześcijańskiego powołania, dla założenia rodziny. Małżeństwo nie jest i nie powinno być dogadzaniem sobie i swoim ziemskim upodobaniom. Jest to instytucja poważna, dana nam od Boga i od Kościoła świętego, nie dla naszych grzesznych jakichś przyjemności, ale dla uświętobliwienia się i dla zbawienia duszy. Tak tylko pojęte małżeństwo zasługuje na błogosławieństwo Boskie, takie nie jest grzechem.

— Więc kochać się nie mamy prawa? — rzekła Zosia niecierpliwie.

— Zakochać się — nie. Kochać możesz i powinnaś męża, ale przede wszystkim jako duszę daną ci przez Opatrzność dla wspólnego życia, dla wspólnego zbawienia, niejako człowieka...

— Ach, Tereniu, co ty wygadujesz! Nie wiem, gdzie się nasłuchiwałaś takich rzeczy, ale mnie nie przekonasz. Wiem na pewno, że i Pan Bóg, i Kościół pozwalają się kochać — i to nie tylko w czyjejś tam duszy — ale tak, po prostu — tak jak w powieściach i wszędzie. I nawet jest bardzo źle wychodzić za męża bez miłości — bo jak męża nie kochasz, to potem możesz w drugim się zakochać i cóż wtedy zrobisz? I chcesz mnie uczyć rzeczy, których sama nie rozumiesz — dodała rozdrażniona.

— Tak, to prawda. Dzięki niech będą Panu, nie rozumiem tych rzeczy — rzekła Teresa Leonia i wzniosła w górę oczy z wyrazem zachwytu. A oczy te

mówiły: dzięki Ci, Panie, żeś serce moje zachował od kału i brudu grzechowego, od nędznej miłości człowieka, żeś mnie wyniósł ponad zwykły poziom tego świata i żeś obrał mnie za naczynie łask swoich. Grzeszne żądze, zmysłowe uczucia nie miały nigdy dostępu do duszy mojej, która, jak kryształowa czara, jest Tobą jedynie napełniona, o, Panie!

Ale pani Alina, chcąc obie strony pogodzić, zaczęła mówić. Przyznawała ona, że miłość dla człowieka nie jest grzechem, ale znowu taka gorąca, gwałtowna miłość nie jest wcale koniecznym warunkiem małżeństwa. Dość jest mieć sympatię, szacunek i wspólne zasady, a miłość przyjdzie niezawodnie potem. I bodajże najszczęśliwsze są małżeństwa zawarte rozsądnie, spokojnie, bo potem przynajmniej nie ma zawodów ani wzajemnych zażaleń. Nikt nie spodziewa się, że znajdzie jakieś niezmierzone szczęście, i nie ma pretensji do nikogo. A to szczęście, mój Boże, jakże ono często jest ułudne! Jak się prędko rozwiewa przed rzeczywistością! Jak krótko trwa... Zosia przerwała:

— Ja wolę choć krótko być szczęśliwa, niż przez całe życie mieć ni to, ni owo. Gdybym musiała żyć z kimś niekochanym, to bym go znienawidziła i byłabym zła dla niego i dla wszystkich.

— Dlaczegoż zaraz nienawidzić? Dlaczego ta ostateczność? Powiedz sama, czyż hrabia Paulin zasługuje na nienawiść?

— Nie, wcale nie, teraz... Ale...

— I czyż sama nie masz do niego sympatii?

— Owszem, mam...

— I podzielasz jego zasady, jego przekonania?

— Tego nie wiem wcale. On mówi zawsze o jakichś światłach, kolorytach, barwach, strojach, pomnikach, o kwiatach, o sukniach — wreszcie o nastrojach duszy, ale o jego przekonaniach i o nim samym nic nie wiem.

— Jak to! Nie wiesz, jakim on jest gorliwym katolikiem? — rzekła Teresa Leonia. — Jak służy Stolicy świętej z całym oddaniem się! Nie czytałaś

jego sonetu Reine des Roses albo tej legendy L'Ange du Vatican? A widzisz? Nie zaprzeczysz, że trudno o piękniejsze zasady, o wznioslejsze myśli u młodego człowieka.

— Zwłaszcza teraz, w tym wieku niewiary i przeczenia — dodała pani Alina.

— Może on jest dobrym katolikiem — rzekła Zosia — ale co on robi na świecie? Kim on jest właściwie? Po co on tu siedzi? Czemu nie pracuje tak, jak każdy człowiek powinien pracować?

— Moja Zosiu — rzekła pani Alina — nie mów tak, bo doprawdy śmieszna jesteś. Ty myślisz, że jest tylko jeden rodzaj pracy i że kto nie siedzi w swojej parafii i od rana do wieczora nie chodzi około gospodarstwa — ten nic nie robi. Przecież prócz gospodarstwa jest tysiące innych zajęć — i nie tylko w kraju...

— Wiem. Ale swoją drogą, kim jest hrabia Paulin, tego mi nikt nie wytłumaczy — bo on, zdaje się — jest nikim.

— On jest bardzo wykształconym człowiekiem — o szerokich horyzontach myślowych — rzekła Teresa Leonia.

Dalsza rozmowa została przerwana wejściem ojca Maksa. Zosia na jego widok ucieszyła się, myśląc, że przy nim drażliwy przedmiot rozmowy zostanie zaniechany.

Ale i *padre nero*, po usadowieniu się na kanapie, zwrócił się wprost do niej z zapytaniem:

— Eh bien, mon enfant, comment vont les affaires de ce pauvre comte Paulin?

A więc wiedział już o wszystkim i przyszedł dlatego jedynie, aby ją namawiać. A więc był to spisek, zupełny spisek przeciwko niej.

Zosi krew uderzyła do głowy. Wstała z krzesła i wyprostowana, gniewna, odparła głośno:

— Elles vont aussi mai que possible, mon pere. Je ne l'epouserai jamais, jamais!

Ojciec Maks uśmiechnął się.

— Tiens, tiens! quelle energie! Nous avons donc notre petite volonte? Ale Zosia już go nie słuchała i nie panowała nad sobą. Nie patrząc na niego, oburzona i płaczącym głosem zaczęła mówić, że nie pójdzie za hrabiego Paulina, bo ma swoją wolę i w sprawie małżeństwa nikogo słuchać nie myśli. Nie kocha go i nie chce być jego żoną i nie będzie nią nigdy.

Tym bardziej że teraz dobrze widzi, iż cała ta rzecz została ułożona przez matkę i przez Terenię, aby się jej pozbyć jak najprędzej, aby ją byle komu oddać i mieć rozwiązane ręce. Im wszystko jedno, co z nią będzie potem, czy ona będzie szczęśliwa, czy nie, byle nie mieć kłopotu, byle zrzucić z siebie obowiązki. Ale jeżeli tak, to zaraz napisze do babuni, że tu jej źle, że chce wracać i babunia ja zabierze i zatrzyma w Haliniszkach, gdzie nikt namawiać jej nie będzie do wyjścia za hrabiego Paulina.

Mówiła prędko, głosem podniesionym, bliska płaczu.

Pani Alina, trochę przestraszona, gotowa już była odstąpić od wszelkich namawiań. Ojciec Maks także, widząc jej wzburzenie, nakłaniać jej już nie zamierzał. Tylko twarz Teresy Leonii, jak zawsze spokojna, miała wyraz nieugięty. I gdy Zosia przerwała swą gwałtowną przemowę i w rozdrażnieniu zaczęła chodzić po pokoju, ona, nie ruszając się z miejsca, rzekła powoli:

— A pamiętasz, Zosiu, coś nam jeszcze w Haliniszkach przyrzekła, że nie tylko przeszkadzać nie będziesz, ale owszem, dopomoże nam do fundowania naszego zakonu. Twoje małżeństwo z hrabią Barberini Baraniewskim byłoby nam prawdziwą pomocą... i byłoby... godnym wypełnieniem obietnicy...

— Tereniu! — zawołała Zosia i stanęła przed nią ze ściągniętymi groźnie brwiami.



Oburzenie mowę jej odjęło.

— Więc ty chcesz..., więc ty śmiesz mi proponować, abym ja dla was..., dla tego zakonu... I ja to niby miałam przyrzekać?! Ależ to kłamstwo! Wykręt!... Podły wykręt!

Zatrzymała się i zaczerpnęła powietrza, bo tchu jej brakowało. Nie, słów nie miała na wyrażenie oburzenia, które nią wstrząsało. Na twarz jej wystąpiły rumieńce, a z oczu leciały błyskawice. Nagle uczuła, że dłużej nie wytrzyma, że się rozplacze jak dziecko, a tego nie chciała za nic. Więc obrzuciwszy wszystkich troje spojrzeniem pełnym gniewu i pogardy odwróciła się żywo i wyszła z salonu. Drzwi jej pokoju zamknęły się z trzaskiem i klucz obrócił się w zamku.

W saloniku oświetlonym światłem lampy nastąpiła cisza.

Pani Alina coraz zawzięciej kręciła złotą obręcz na ręku. Stropiona była, niepewna — i wzrokiem badała kolejno twarze córki i ojca Maksa.

Ten ruchem trochę zakłopotanym drapał się w podbródek i poruszał nogą, a wydawał się też niemało zdziwiony i przerażony całą tą sceną.

Tylko na twarzy Teresy Leonii nie ukazała się żadna chmura. Ze spuszczonej oczami, siedziała nieruchoma, zatopiona w modlitwie czy rozmyślaniu, a wyraz nieugiętej woli nie opuszczał jej twarzy.

Ojciec Maks nieśmiało zaczął:

— Ne pensezvous pas, ma chere filie, que vous avez quelque peu outre la chose? Le mariage ne saurait efre impose..

— Soyez tranqulle, mon pefe — odparła ona podnosząc głowę. — Une semaine ne sera pas écoulée, qu'elle y consentira de son propre gre. Je vous en reponds.

Ojciec Maks i pani Alina spojrzeli po sobie. Czy były to ze strony Teresy Leonii próżne słowa? Czy też miała ona, ta dusza wybrana, jasnowidzenie prorocze? Tydzień nie minie, a Zosia zgodzi się na to małżeństwo?

— Daj to, Boże — szepnęła pani Alina. A ojciec Maks, dodał:

— Que Dieu vous entende! car ce serait pour notre oeuvre un grand succès.

I rozeszli się, życząc sobie wzajemnie dobrej nocy.

Tymczasem Zosia leżała na łóżku z twarzą schowaną w poduszce i płakała rzewnymi łzami. Czuła się bardzo, bardzo nieszczęśliwa. Nie chciała iść za hrabiego Paulina, ale gorzej jeszcze bolało ją postępowanie z nią matki i siostry. Tak, one spiskowały, knuły przeciwko niej, chciały ją wydać dla własnej wygody, dla własnych interesów, nie dla jej szczęścia.

I przypomniały jej tę obietnicę daną nieświadomie, bez zastanowienia, bez jasnego pojęcia o jej znaczeniu. Ach, to było podłe! Podłe! Nie, tego po matce nie spodziewała się nigdy. Czyżby jej wcale nie kochała? Ach, Boże, czemu wyjechała z Haliniszek, z tych kochanych, swoich Haliniszek, które były taką spokojną oazą, przystanią bezpieczną i cichą! Czemu babunia zgodziła się ją oddać, wypuścić w ten świat okropny samą jedną? Bo mama i Terenia to nie tylko nie były opiekunki, ale przeciwnie, z ich strony groziło największe niebezpieczeństwo.

— I co teraz będzie? — myślała leżąc w ciemnym pokoju i wpatrując się w oświetlone błękitnym blaskiem okno od ulicy. — I co ja teraz zrobię? Uciekać? Ach, gdybyż uciec do swoich, do babuni! Ale jak? Mama nie wypuści mnie samej. I zresztą, jakże tak? Niepodobna. Napisać do domu?... Może by napisać? Babunia znajdzie jakiś sposób sprowadzenia mnie do siebie. Wprawdzie mamie będzie bardzo przykro, że ja szukam ratunku nie u niej, ale nie trzeba było ze mną tak postępować. Po tym, co zaszło, już nigdy, nigdy nie mogę mieć do nich zaufania, najmniejszego zaufania. Nie wierzę im, choćby nie wiem jak mówiły, że mnie kochają, to ja wcale nie uwierzę.

I Zosia znowu schowała twarz w poduszkę i zalała się łzami. Czuła się tak samotna, tak opuszczona, taka sama na świecie! Wtem usłyszała głos matki pod drzwiami.

— Zosieńko, czy śpisz? Otwórz mi.

Nie, nie otworzy, za nic otworzy. Nie chce ich widzieć, nie chce. — Jeśli mnie nie kochają, to i ja nie chcę ich kochać — szepnęła i leżała cichutko.

— Zosieńko, otwórz mi, ma chere petite. Nie wiesz, jak mnie martwisz takim postępowaniem — ozwała się znowu pani Alina.

Zosia nie ruszyła się wcale.

— Zosiu, czy to wypada tak postępować?

— Gorzej jeszcze postępować będę — szepnęła do siebie Zosia. — Jak dla mnie kto dobry, to i ja dobra, a jak mnie kto oszukuje, to i ja będę zła.

I nie ruszyła się.

Pani Alina powstała chwilę jeszcze przed zamkniętymi drzwiami, a potem odeszła do siebie. Zosia zeskoczyła z łóżka i zaczęła szybko chodzić po pokoju. Ogarniało ją coraz większe rozdrażnienie. Ściany jej pokoiku wydawały się więzieniem. Dusza rwała się do domu! 'Jakiś strach ją ogarniał...

A może oni tu doprawdy zmuszą ją do wszystkiego, co zechcą? Może i wydadzą gwałtem za hrabiego Paulina? Nie cierpiała go w tej chwili... Kto wie, jeśli zaczną męczyć i gryźć, i o obietnicy mówić... gotowa z desperacji przystać na wszystko. Może oni mają tu swoje sposoby? I wracały jej namysł jakieś straszne historie o średniowiecznych prześladowaniach, o morderstwach i truciznie, o jezuitach i inkwizycji. Zdawało się, że z ciemnych; zaułków miasta, które tam pod oknami już spało, wychodzą krwawe duchy prześladowców i prześladowanych.

— Et, dziecinada — rzekła do siebie, ale jednak czuła, że drży. — I cóż mi, mogą zrobić?

Ciemność ją rozstrajała najoczywiściej, więc przekręciła guzik, a gdy zajaśniało światło, od razu zrobiło się jej lżej na duszy.

— Jutro napiszę do babuni o wszystkim, tak będzie najlepiej. A teraz zmówię pacierz. Przecież Pan Bóg jest wszędzie i nie może pozwolić, aby mnie tu skrzywdzili.

Ukłęka więc i zaczęła się modlić. Od dawna już tak się nie modliła. Czula najwyraźniej, że Bóg jej słucha i mówiła do Niego z ufnością małego dziecka. Była pewna, że prośby trafiają do Niego i że On roztacza nad nią Swą opiekę. Przeżegnała się, uspokojona już, gdy nagle przypomniała sobie:

— Ach! Zdrowaś Mario za Jerzego!...

Schyliła głowę na złożone ręce i myśl jej uleciała daleko, daleko na śnieżne stepy, pod mroźne niebo Syberii, i zatrzymała się nad jego samotną głową. Stał jej jak żywy w oczach, widziała go wyraźnie i całą duszą lgnęła i tuliła się do tamtej duszy, cierpiącej, samotnej, stęsknionej...

— Za nami, za nim i za mną — módl się, Mario święta!

## VIII

Nazajutrz wstała Zosia spokojniejsza już i jaśniej widząca stan rzeczy. Nic ustąpi, nie pójdzie za hrabiego Paulina — ale dla matki będzie, o ile możliwości, uprzejma i miła. Do babuni napisze dziś jeszcze i czekać będzie stamtąd postanowienia. Przykro jej było spotkać się z matką przy rannym śniadaniu, toteż marudziła z ubieraniem się i odetchnęła swobodniej, gdy wchodząc do saloniku dowiedziała się od służącej, że pani wyszła wcześniej i wróci dopiero na drugie śniadanie. Wielki Post się rozpoczął, a z nim razem nabożeństw przybyło i aspirantki miały czas bardziej zajęty.

— To i lepiej — pomyślała Zosia i wypiłszy kawę z wielkim apetytem, gdyż wczorajszego dnia była bez obiadu, zasiadła do biurka aby napisać do babuni. Ale zaraz wpadła Mania Iżewska z zapytaniem, czyby nie mogły pójść razem, gdy miss Anger przyjdzie, zobaczyć nowy obraz Skoradzkiego, wystawiony w jego pracowni. Jej matka ma szaloną migrenę i wyjść nie może — a tu spieszyć się trzeba, bo obraz wkrótce wywiozą.

— Dobrze, pójdziemy. Miss Anger miała przyjść przed jedenastą i zabrać mnie na mszę, więc może...

— A to i na mszę możemy pójść razem. Dziś Popielec — wypada się pomodlić. Chociaż doprawdy tak mało nagrzeszyliśmy w tym karnawale, że nie ma za co pokutować. Ty może więcej, wszystkich panów pobałamuciłaś...

— Co ty pleciesz, Maniu!

— O, już tylko skromnej nie udawaj! Więc dobrze, idziemy razem.

Ranek cały zajęło naprzód nabożeństwo, a potem przechadzka do willi Skoradzkich za Porta Pinciana. Tam gospodarz robił honory swojej wspaniałej pracowni. Obraz, przedstawiający jakąś scenę z życia dawnych rzymian, pełen był słońca, marmurów, klejnotów, szat barwnych i pięknych ciał. Głębokiego wrażenia nie robił, ale mile bawił oko.

Kilku starszych malarzy i paru dziennikarzy miejscowych rozsiadło się po miękkich sofach, coraz to oryginalniejszymi frazesami wychwalając talent

mistrza. Kilka pań z cudzoziemskiej kolonii przyglądało się ciekawie nie tyle obrazowi, co szkicom na ścianach, ślicznym draperiom, gratom kosztownym, sprzętom, zbrojom, dywanom, gobelinom, którymi była wypełniona pracownia.

Gdy Zosia i Ilżewskimi i z miss Anger weszła, pan Skoradzki zajął się nimi uprzejmie. Posadził je w dobrym świetle, podał lornetki, tłumaczył każdy szczegół, a potem wyjął z teki szkice dawniejsze, fotografie innych obrazów i mówił dużo o swej sztuce, o swych kompozycjach, o swoich pomysłach, o swych dążnościach, o swych krytykach — i w ogóle o sobie. A że mówił po francusku przez grzeczność dla miss Anger, więc i obce panie i panowie zbliżyli się i utworzyła się koło niego grupa słuchających z uszanowaniem wykładu — raczej autobiografii, wypowiedzianej płynnie, okrągłymi zdaniami, jakby nieraz już powtarzanej lekcji. W mowie swej zahaczał nieraz o młode szkoły, o nowatorów i rewolucjonistów sztuki. Ale traktował ich lekko, drwiąco, bez gniewu nawet tak jak olbrzym, któremu wysilenia karłów nie mogą grozić, który się nawet bawi widokiem ich bezowocnych trudów. Jednak gdy dwóch takich „młodych” weszło właśnie do pracowni i w milczeniu zaczęło się przyglądać obrazowi, a na ich twarzach nie odbiła się ani iskierka zachwyty, Skoradzki zaczął się irytować i głośno rzekł:

— Te wszystkie impresjonizmy, pointilizmy, prerafaelizmy, secesje — te powroty do czasów, kiedy nie umiano malować, te jakieś nastroje, alegorie, znaki zapytania, łamigłówki literackie — to jest po prostu nabieranie publiczności, to błaga, sztuczki. A pomimo wszystko, dobre malarstwo klasyczne i sumienne, oparte na porządnym rysunku i na studiach poważnych, zawsze musi odnieść zwycięstwo.

To mówiąc patrzył z góry na dwóch „młodych”, a ci zmierzli go obojętnym wzrokiem, wzruszyli ramionami nad jego obrazem i bez słowa wyszli z pracowni.

Epizod ten nie uszedł uwagi Mani Iżewskiej, która wciąż trącała Zosię w łokieć i za jej plecami dusiła się od śmiechu. Na szczęście jakieś znajome, gospodarzowi towarzystwo ukazało się w drzwiach, on do niego się zwrócił, a panienki z miss Anger wymknęły się.

— A to zarozumialec! Myślałam, że pęknę ze śmiechu — wołała Mania Iżewska zbiegając ze schodów.

— Ale obraz ładny — zauważyła Lunia.

— Ach! niebieskie z białym.

Wszczęła się dyskusja, do której wmieszała się i miss Anger. Tylko Zosia nie miała ochoty nic mówić. Szła przodem milcząca.

Wracały przez ogrody willi Borghese, które zieleniły się teraz świeżą, soczystą, wiosenną już zielonością. Na trawnikach, po rowach rozkwitały całe kępy białych i liliowych anemonów. Wierzby i łązy rozpinały przezroczyste tiule swych gałązek, delikatnymi jak puch listkami pokryte, a gdziegdzie krzak migdałowy wybujał różowobiałym bukietem. Pinie, wiecznie ciemne, wiecznie poważne, szumiały w górze. Z ziemi rozgrzanej szły zapachy odurzające, wiosenny ferment rodzącej natury, a niebo świeciło najczystszy, głębokim szafirem. W ogrodach było dość pusto. Tylko czasem przez cieniste aleje przeleciała gromadka cyklistów, rozrzucając iskry z kół niklowych, i dzieci bawiły się w piasku.

Zosi nie cieszyła jednak piękność dokoła rozlana — bo gryzł ją wewnątrz niepokój. Wracała do domu, musiała spotkać się z matką... Może znowu znosić wypadnie namowy, przekonywania, żale. O nie, za nic w świecie! Dość już miała tego! Teraz pragnie spokoju, spokoju...

Toteż została bardzo mile zdziwiona, gdy pani Alina po przywitaniu wcale wczorajszej kwestii nie wznowiła i, jak gdyby nigdy nic, zeszła z nią na dół, na śniadanie. — Może już koniec będzie — pomyślała Zosia.

— Czy wiesz, Zosieńko — rzekła pani Alina rozkładając serwetę na kolanach — że dziś rozpoczyna szereg konferencji pobożnych sławny kaznodzieja, dominikanin le pere Landrisac. Cudnie mówi!

Siedziały już w sali restauracyjnej, na dole, przy oddzielnym stoliczku. Sala to była ogromna, długa i wąska, z drewnianą posadzką, gdyż służyła czasem do tańca. Ściany, wykładane kolorowym marmurem, zdobiły posągi białe, kopie z watykańskich galerii. Oświecona była z góry. Dwa długie stoły zajmowały środek, a wokół stały stoliczki okrągłe, za które płacono oddzielnie. Zasiadała przy nich wyższa jakby kategoria gości, śmietanka table d'hôte'u. Zosia bawiła się zawsze widokiem sali — znała twarze wszystkich gości hotelowych, robiła o nich uwagi, przypuszczenia, interesowała się nowo przybyłymi. Niektórzy bliżsi sąsiedzi składali, przechodząc, ukłon ładnej Polce i jej matce. Często pan Chański, który mieszkał w tymże hotelu, przychodził do ich stolika, ale dziś go nie było. Iżewskie jadły nieco dalej i cała rodzina Gorzeńskich rozsiadła się w głębi. Paliński zasiadał z nimi, bo była to bliska znajomość. Ostatnimi czasy dużo przybyło Polaków, zawiązały się nowe znajomości, odświeżyły dawniejsze — pielgrzymka polska niemało też przyczyniła się do tego ruchu.

Siedząc naprzeciw drzwi, Zosia patrzyła na wchodzących. Co chwila drzwi otwierały się cicho i kilka osób przybywało do sali. Panie miały na sobie stroje ranne i spacerowe — ciemne, skromne suknie, bluzki paskiem ściągnięte; wiele przychodziło wprost z miasta w kapeluszach i okrywkach i spieszenie ściągają rękawiczki, dążąc na swoje miejsca.

Panowie z pośpiechem zasiadali do jedzenia, głodni już po rannych wędrówkach. Suwano krzesłami, podnosiła się wrzawa rozmów — zapach sosów rozchodził się w powietrzu, brzęczały widelce na talerzach, a cała zgraja wyfrakowanych lokajów uwijała się z półmiskami w rękę, dzwoniąc sztućcami i kieliszkami. Przy małym stoliczku, na środku sali, sztywny i dystyngowany, jeden z „dyrektorów” hotelu dawał baczenie na wszystko.



— Une bouteille de Chianti, je vous prie — przerwała sobie pani Alina, mówiąc do lokaja, który właśnie podawał jej półmisek. Zaczęła powoli usuwać ości z kawałka smażonej na oliwie ryby i mówiła dalej: — Le pere Landrisac jest dominikaninem, młody jeszcze, nadzwyczaj świątobliwy, oui, ma chere, un saint! Rozpoczyna cały szereg kazań, mówić będzie dwa razy tygodniowo w St.Louis des Francais. Chciałabym, abyś i ty, moja Zosieńko, na nie uczęszczała. Nic piękniejszego, jak taka wymowa! Najlepsze towarzystwo zawsze była na tych konferencjach.

— Ależ i owszem, moja mamó. Nigdy nie słyszałam prawdziwie pięknych kazań.

— Naturalnie, cóż tam w kraju można posłyszeć! Nasi księża wcale nie umieją mówić. Dlatego też trzeba skorzystać.

Weszło do sali dwóch młodych panów i, spostrzegłszy panie Halickie, zbliżyli się do ich stolika.

— Panie dzisiaj nigdzie się nie wybierają? — spytał młodszy.

— Owszem, ale wątpię, aby panowie zechcieli iść z nami — odparła Zosia.

— O! Dlaczego?

— Idziemy na kazanie ojca Landrisaca.

— A, aa...

— A co, widzi pan! — zaśmiała się.

— Tak i cóż my z sobą zrobimy? — spytał drugi litewskim akcentem.

— Może pan choć raz wybierze się do Św. Piotra. Od tygodnia być w Rzymie i nie wybrać się do Św. Piotra — to doprawdy...

— Jaż co dzień wybieram się, ale zawsze cości przeszkodzi. Ot i wczoraj,; miałem już czapkę na głowie, aż tu jak raz przyszli Jachimowicz z Bułowskim i siedliśmy do winta. No, i zagraliśmy się do nocy. A pani, to taki zawsze z ludzi wyśmiewa się...

— Bo i jest za co.

Panowie odeszli w głąb sali — a Zosia zauważyła:

— Po co tacy jeżdżą do Rzymu? Winta można mieć i w domu.

— Taki to jest brak wykształcenia w tych naszych obywatelach — westchnęła pani Alina i zabrała się do sałaty.

— A panie już mają bilety na jutro? — spytał nagle głos tuż obok. Pani Gorzenska stała nad nimi, okrąglą i rumiana, z uśmiechniętą twarzą.

— Bo my jesteśmy w desperacji, mówię pani, w desperacji! Tak chciałam być dopuszczona z moimi dziewczynkami do ucałowania ręki i nogi Ojca Świętego — a tu powiadają, że nie można — że i tak za wiele osób. Niebo i ziemię poruszyłam, do monsignore'a Żurowskiego trzy razy chodziłam, chociaż to tak wysoko, i nic. Ot, desperacja! I powiem prawdę kochanej pani, że to niesprawiedliwie. Cóż by się stało papieżowi od tego, a nam na całe życie pamiątka. My przecie zasługujemy, zdaje się, na względy. Któż więcej od nas robi dla papieża? Takie przywiązanie, taka wierność! A ot, i przystępu nie dają.

— Ależ pani... — zaczęła pani Alina.

— Wiem, wiem, co pani powie, że stary, że zmęczony. Ale niech przyzna, że jednak to krzywda dla nas... niesprawiedliwość... Jacyś Anglicy albo Amerykanie to zaraz są dopuszczeni wszędzie. A my, choć tacy nieszczęśliwi... Powinni by nas tu lepiej traktować... Ale idę już — idę, bo moje dziewczynki tam same zostały.

Odeszła, a Zosia zaśmiała się:

— Pani Gorzenska obrażona na papieża — rzekła.

Ryż z pomidorowym sosem był już zjedzony. Podano chleb z masłem i sery, potem owoce i obie panie wstały.

— Odpoczniemy trochę spokojnie i wcześniej wyjdziemy z domu, aby dobre miejsce znaleźć w kościele — rzekła pani Alina biorąc robótkę i zasiadając w saloniku na górze.

— Teraz mogłabym napisać do babuni — pomyślała Zosia, ale jakoś jej się nie chciało zabrać do przykrego listu.

A w tej chwili weszły obie Grzałkowskie. Były w kapeluszach i w żakietach, z parasolami, bedekerem i lornetkami przewieszonymi przez plecy. Przeprasząc za ciągle narzucanie się wytłumaczyły swą sprawę: czyby jutro nie mogły na nabożeństwo pojechać razem z paniami Halickimi? Ojciec ich był niezdrów i pewnie nie będzie mógł się poruszyć. Lękały się nawet malarii u niego, teraz powietrze takie niezdrowe!

— Już kupiłam butelkę eukaliptyny — rzekła starsza. — Mówią, że to najlepsze lekarstwo.

Pani Alina najchętniej zgodziła się wziąć je z sobą. Wprawdzie miały one tylko różowe bilety, więc w kaplicy rozdzielić się wypadnie, ale pojedą i wrócą razem. Teraz szły do willi Borghese, gdzie jeszcze pozostały im dwie sale do dokładnego obejrzenia.

— Ja tamtą galerię znam już doskonale — pochwaliła się Zosia.

— Ach, moja droga, to oglądanie takie pobieżne, to nas nie zadowala bynajmniej — rzekła Ziuta — my nawet bedekerowi nie wierzymy. Mamy obszernie wypisane notatki, z najlepszych źródeł zaczerpnięte, i z nimi chodzimy wszędzie.

Przy tym pokazywały gruby zeszyt oprawny, zapisany drobnym pismem.

— Ach, Boże, sama to pisałaś?!

— A tak, razem z Manią. Do tej podróży przygotowowałyśmy się długo.

Grzałkowskie wyszły, ale zaraz po nich było parę wizyt. Państwo Oryżewscy z pożegnaniem, bo jutro, po nabożeństwie, mieli już wracać do kraju. Pan Sużyński, panna Łojcka ze starą ciotką, wreszcie pan Odałowski z księdzem Subiniewiczem, przybyłym z dalekich stron dla wzięcia udziału w pielgrzymce polskiej. Pani Alina, rada z gości, ożywiła się, była miła, uprzejma

i rozmowa toczyła się gładko i nieprzerwanie. Zosia także zapomniała chwilowo o swych troskach.

— Estce possible? Za kwadrans czwarta! — zawołała pani Alina, gdy ostatni gość wyszedł z salonu.

— Moja Zosieńko, prędko, wkładajmy kapelusze i ruszajmy! Byleby się nie spóźnić!...

Przed kościołem St.Louis des Francais, na małym placu, stało tak dużo ekwipaży, że przecisnąć się było trudno. A tramwaj, który przejść nie mógł, dzwonił bez miłosierdzia. Ekwipaże były prześliczne, błyszczące wylakierowaną uprzężą i stalowymi okuciami, czyste, wyświeżone. Konie, rosłe i piękne, potrzasały łbami, brzękając przy tym sprzączkami chomąt. Paru żebraków wyciągało chude ręce do wchodzących krzycząc głośno:

— Uno soldo, signore! Uno soldo...

Ciężką zasłonę u drzwi podnosił plecami garbaty człowieczek, a w rękę trzymał kapelusz, do którego zbierał sody za swą fatygę.

Wnętrze kościoła było ciemne, tylko ołtarz w głębi jaśniał kilku żółtymi płomykami świec i przy nim ksiądz w kapie odprawiał wieczorne nabożeństwo. Cała nawa środkowa roiała się od postaci kobiecych. Zajmowały one krzesła ustawione dwoma rzędami wzdłuż filarów, a gdy tam miejsca, zabrakło, przynosiły krzesła z dalszych kątów kościoła i ustawiały je j pomiędzy rzędami, w wąskim przejściu środkowym. Pod amboną zwartą już stanowiły masę. I ciągle przybywały nowe, ciągnąc za sobą słomiane siedzenia, szeleszcząc jedwabiami poduszek, przepraszając po drodze, wsuwając się pomiędzy siedzące, robiąc sobie miejsce zuchwale, byle być bliżej i widzieć, i słyszeć!

Po tym audytorium, które się gotowało do duchowej uczy, przechodziły j dreszcze oczekiwania. W półmroku kościelnym skupiano się i starano się modlić. Talie, ściśnięte w doskonałych gorsetach i opięte w wiedeńskie żakiety, pochylały się na klęcznikach i głowy skłaniały się na

złożone ręce. A głowy to były przeważnie młode i strojne w ufryzowane, czasem i ufarbowane włosy, w kapelusze prześliczne, na których powiewały kity piór i wdzięczyły się kwiaty, w butony brylantowe, rzucające ognie barwne. Leciuchna gaza woalek nadawała twarzom mgliste kontury. Profile odbijały się niewyraźnymi plamami na ciemnym tle. Z tych wytwornych postaci kobiecych wznosiły się zapachy perfum i pudru i łączyły się z zapachem kadzidła, które palono u ołtarza.

Gdzieniedzie, zagubiona wśród fali spódnic i okrywek, wyglądała obnażona głowa mężczyzny. Ale na ogół było ich niewielu. Woleli miejsca zajmować poza filarami, w bocznej nawie, gdzie stali lub siedzieli mniej gęsto zbici. Z boku usiadło kilka zakonnic w białych czepeczkach przykrytych czarnym woalem i, czekając kazania, odmawiało różaniec.

Ambona wznosiła się, pusta jeszcze, pod marmurowym baldachimem.

Panie Halickie zdobyły sobie krzesła, wsunęły się w środek nawy i usiadły. Pani Alina była wzruszona, bo pamiętała rozkoszne emocje, jakich doznawała zeszłej zimy słuchając konferencji ojca Landrisaca i spodziewała się teraz równie wzniosłych wrażeń. Zosia, odmówiwszy krótką modlitwę, rozglądała się po otoczeniu, zaciekawiona tym niezwykle eleganckim zebraniem. Poznawała niektórych znajomych — kilka pań widzianych z daleka na balu u hrabiny Tur — księżnę Buongiovanni, panią Monti, piękną panią Erbsstein, i obok niej tego Szweda, który jeździł do bieguna, obie śliczne siostry O'Rennor, margrabinę Lucca, Amerykankę rodem, której ekscentryczny powozik i parę kuców znał cały Rzym — brzydką i zawsze krzycząco ubraną panią Wolkenstein, która, chociaż dopiero dla drugiego męża przyjęła katolicyzm, była teraz zapaloną dewotką — i wiele innych twarzy znanych z widzenia, ze spotkań po galeriach, w kościołach, na Pincio.

Ale nie było czasu na długie rozglądanie się, bo zrobiła się cisza, potem ruch nagły wśród publiczności, suwanie krzesłami, odwracanie się twarzą do ambony — i w górze, pod baldachimem, ukazał się mnich.

Ukląkł, zwrócony ku ołtarzowi, i zaczął się modlić.

A tymczasem panie posuwały się, szeleściły sukniami, poprawiały się i lokowały wygodnie — składały ręce na kolanach w pozie słuchającej i poważnej. Pióra na kapeluszach fruwały, błyskały tu i ówdzie dzęty okrywek.

Wreszcie mnich powstał, zwrócił się ku publiczności i przeżegnał się szeroko. Chwilę stał z opartymi o pulpity rękami, wzrokiem wodząc po słuchaczach i zaczął:

— Petite, et accipietis; quaerite et invenietis; pulsate, et aperietur vobis. Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzone.

Rzucił zebrany te słowa i zamilkł, jakby zbierając myśli. Oczy przymknął i stał chwilę w sobie skupiony. Wreszcie zaczął znowu:

— Bracia moi! Biorę te słowa Pana naszego za temat i dewizę do szeregu konferencji, które rozpoczynamy.

Szukajcie! Kołaczcie, a znajdziecie, a będzie wam otworzone! Czym jest szukanie i kołatanie? Co znaleźć pragniemy i dokąd wejść? Oto są dwa pytania, nad którymi zastanawiać się będziemy.

Szukajcie! Widzę w tej świątyni liczne i wyborowe zgromadzenie. W jakim celu tu przybyło? W jakim celu ci ludzie poświęcają czas swój i myśl i skazują się na długą godzinę nieruchomości i milczenia, i słuchania mojej biednej wymowy? Co ich do tego skłania? Co ich odrywa od przyjemności życia światowego, od wygod wykwintnego mieszkania, od rodzinnych uciech? Co ich goni? Jaki głos każe im iść? Po co tu przybyli?

Bracia moi, przybywacie tu, do tej kazalnicy, nie dla zaspokojenia próżnej ciekawości, nie dla wzruszeń quasipobożnych, nie dla zmiany wrażeń, ale dlatego że słyszycie głos mówiący w duszy waszej: szukajcie! Głos ten jest tak wyraźny, tak potężny i rozkazujący, że słyszą go dziś i ulegają mu ci nawet, którzy twierdzili niedawno, iż żadne głosy zza świata nie istnieją i że wszelkie o nich wieści są halucynacją chorych umysłów.

Tak, rozkaz Pana naszego: szukajcie! coraz donośniej brzmi na świecie, budząc z apatii, odrywając od służby zaprzysiężonej umysłom, niepokojąc i drażniąc, wlewając wątpliwość w umysły dotąd nie zachwiane, pewnej swego zdania, burząc mozolnie zbudowane teorie naukowe, wciskając się w ciszę szczęśliwych na pozór serc.

I widzimy uczonych, światowe kobiety, młodzieńców, którym życie się, j uśmiecha tysiącem ponęt, literatów okrytych sławą, aferzystów oddanych robieniu grosza, szczęśliwych i smutnych, bogatych i ubogich, wykształconych i nieuków, możnych i prostaczków, garnących się ku światłu spływającemu z nieba.

I widzimy te tłumy różnorodne, spoglądające w górę w oczekiwaniu,] jakiejś wieści dobrej, jakiejś pewności, jakiegoś ukojenia.

— Szukajcie! — rzekł Chrystus. — I bodaj nigdy jeszcze, przez długi szereg wieków, rozkaz Jego nie brzmiał tak donośnie. I wy, moi bracia, przychodząc tu, nie dla czego innego przychodzicie, jak dla szukania. Bo w głębi duszy najszczęśliwszy z was nawet — a któż tu jest, wśród was zupełnie szczęśliwy? — czuje jakąś pustkę, jakąś próżnię... jakieś nienasycone pragnienie. Szukajmy więc razem!

O ile moje nędzne siły mi pozwolą, postaram się w tym szeregu konferencji dopomóc wam do znalezienia tej prawdy, do podniesienia ku , niej waszych serc, do jej ukochania na zawsze. Ten Chrystus, który rzekł: szukajcie, a znajdziecie, będzie waszym przewodnikiem na tej drodze, poprowadzi was stromą, ale bezpieczną ścieżką swej nauki, doprowadzi was i otworzy wam przybytek miłości swej świętej, nad którą nie masz wyższej szczęśliwości na świecie!

Mnich zamilkł znowu i wzniósł oczy ku ołtarzowi. Oczy te były ciemne, podkrążone siną obwódką. Pod zrośniętymi brwiami błyszczały one dziwnym blaskiem. Usta miały zarys energiczny, surowy. Głowa, ogolona z wierzchu, a otoczona tylko dokoła wiankiem czarnych jak noc włosów, wychylała się,

żółtawa i ascetyczna, z białej wełny habitu. Czarny płaszcz drapował jego wyniosłą postać i spadał za nim sztywnymi fałdami. Piękny był nie pięknością rysów, ale jakimś majestatem i powagą posłańca Bożego; świętym ogniem, co wewnątrz się palił i co z ust rwał się płomieniem i rozgrzewał ten tłum słuchający w skupieniu.

Zosia patrzyła i słuchała. Patrzyła na tę białą postać mnicha, oświeconą blaskiem jego oczu i promieniem słońca, który padał z kopuły i ozłacał jakby aureolą jego szlachetną głowę i myślała, że jednak ten człowiek, unoszący się tam w glorii słonecznej, jest inny zupełnie od tego tłumu strojnego, pachnącego najlepszymi perfumami i powiewającego piórami kapeluszy, przywiązanego do ziemi tysiącem przyzwyczajęń, ambicji, wymagań i upodobań, że między nim tam w górze a tą elegancką gromadką jest olbrzymia przepaść. Słuchała i słowa jego głęboko zapadały jej do serca.

Jak ciężkie krople łez gorących wpadały one tak głęboko z bólem prawie. I w miarę jak mówił, serce jej stawało się coraz cięższe, cięższe.

Powoli zapomniała, gdzie się znajduje, nie czuła i nie widziała otaczającego ją tłumu, zlał się dla niej w jedną czarną i niewyraźną masę. Nieruchoma, ze splecionymi na kolanach rękami, z głową ku ambonie wzniesioną, podnosiła serce swoje ku temu zwiastunowi dobrej wieści, ale serce to było ciężkie nieskończenie i opadało wciąż, jak ptak, któremu skrzydła strzaskano.

— Szukajcie — mówił — a znajdziecie! Wszakże i ona szukała, szła niepewna, ręce wyciągała przed siebie i pytała wciąż: gdzie moja droga? Ale dróg było tak dużo i trudno było wybrać. Niegdyś zdawało jej się, że wie już, która jest jej droga i choć jeszcze nią nie szła, to była pewna, iż raz na nią wstąpiwszy, nie zabłądzi i dojdzie do celu. Zdawało się... A teraz?... Teraz wszystko zmaćniało się jakoś dziwnie w jej umyśle i pewności żadnej nie ma, a serce jej ciężkie, ciężkie. Więc szukać na nowo? Szukać tak, jak gdyby nigdy żadnej drogi nie była sobie obrała?



— Co czyni człowiek szukający? — mówił głos z ambony. — Naprzód wstaje, porzuca dotychczasowe zajęcia, myśl odrywa od siebie i od wszelkich swych upodobań lub przywiązań, idzie szukać. Patrzy, słucha, wysila swój umysł w tym jedynym kierunku, przypomina, bada... Nie dba o to, gdzie, w jakich warunkach, w jakim otoczeniu znajdzie tę rzecz poszukiwaną. Byle ją znaleźć, byle ją osiąść! Tak, bracia moi, szuka ten, który znaleźć pragnie. A my, w poszukiwaniu tej Prawdy wiecznej, tej Miłości mistycznej, tego Słońca, ku któremu dążą świadomie lub nieświadomie dusze nasze, jak motyl dąży do płonącej świecy — jakże postępować mamy? Oto naprzód mamy powstać. Powstać z grzechowych zmaz, z ziemskiego brudu, ze zmysłowych więzów i kajdan — powstać i otrząsnąć się z tych drobnych przywiązań, z tych tysiącznych zabiegów, ambicyjek, trosk i próżności — zrzucić z siebie to jarzmo ziemskie, które nas przygniata — powstać i iść! Sercem czystym wnieść się do Boga i rzec:

— Nie dbam, Panie, gdzie znajdę Ciebie, czy wśród rozkoszy, czy wśród łez, czy w ubóstwie i cierpieniu, czy w dostatkach i pomyślności, czy w zapomnieniu, w ciszy i w samotności, czy wśród ludzi i wiru światowego, czy tu blisko, czy gdzieś na krańcach ziemi — bylebym Ciebie posiadał. Panie, niczym mi własne upodobania, nawyknięcia i sympatie, niczym przywiązanie ludzkie i ziemskie, uczucia serca mojego, niczym świat cały — bylebym Ciebie posiadał, Panie! Niczym ból, niczym rozstanie, niczym samotność i tęsknota, bylebym Ciebie posiadał, o Panie!

Mnich zamilkł — i przez chwilę trzymał obie ręce wzniesione do góry, w sposób pełen oczekiwania i prośby. Światło płynące z okna oświecało twarz jego surową a promienną. Odbijał białością na tle ciemniejącego już kościoła — i zdawało się, że unosi się w powietrzu. A w dole, w półcieniu, przechodziły jakby tchnienia jakieś tajemnicze, jakieś mistyczne powiewy i dreszcze...

— A kto z takim oddaniem zwróci serce swe ku Panu, ten nie będzie czekał na próżno. Znajdzie i będzie mu otworzone. A znajdzie stokroć więcej,

niżli się mógł spodziewać — bo ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce ludzkie nie przeczuło rozkoszy, jakie Bóg zgotował tym, którzy Go miłują.

— Bracia moi! Nędzna moja wymowa nie zdoła wam odmalować, czym jest szczęście miłości Bożej; moje niegodne usta nie zdołają was wtajemniczyć w tę szczęśliwość bez granic i miary. Powstańcie i szukajcie! Znajdziecie Światło, które was olśni i ogrzeje strudzone serce wasze — znajdziecie Ciszę tak wielką i Spokój tak błogi, jakiego świat nigdy wam dać nie może — znajdziecie Pocięgę na wszystkie wasze bóle, na wszystkie rany i smutki, którymi karmiło was życie — znajdziecie Miłość prawdziwą, wobec której niczym są wszystkie wasze ziemskie znikome miłości. Bo Pan nasz będzie wam wtedy i Ojcem, i Matką, i Oblubieńcem, i Przyjacielem, — będzie Światłem i Pocięgą waszą i w Nim znajdziecie spokój dla dusz waszych i odpocznienie. Szukajcie Go! On jeden wart miłości, On jeden zrozumie was, nie zawiedzie, pocieszy, ukoji i przygarnie — On jeden będzie wierny i choć niebo i ziemia przeminą, On nie przeminie. Za mały wysiłek, za mały trud On wam odpłaci całym morzem szczęśliwości. Za chwilę walki On wam da wieczność.

Zosia już nie słuchała. Ogarniało ją dziwne uczucie — obezwładnienie, obojętność, znużenie coraz większe — jakby ciało jej martwiało i zamierało powoli. A dusza jej wydzielala się z tej cielesnej powłoki i jak ptak skrzydlaty leciała gdzieś do góry — z tej wielkiej wysokości, z tych wyżyn zawrotnych patrzyła w dół i widziała to życie swoje jak krótką chwilę, jak mgnienie oka, jak kropelkę deszczu, która spada do morza i śladu po niej nie ma. Widziała pragnienia swoje i marzenia, i plany, i zamiary — jak mgielki leciuchne znikające w przestrzeni. Widziała przywiązania swoje jak niteczki pajęcze, wiotkie i nikłe. I widziała ten świat cały, drobiazg w ogromie, rzucony w przestrzeni punkcik ruchomy, a w nim te ludy i te kraje, ziarnica piasku na brzegu nieskończonego morza. I wszystko to, pomimo swych dążeń i

wysiłeków, i walk, ginęło bez śladu, rozwiewało się, nikło... Jedno tylko trwało niewzruszenie — wielkie Światło w górze, do którego zrywała się jej dusza.

W kościele zrobił się ruch. Krzesła odsuwano, pochyłano się na klęcznikach, zagrzały organy, od ołtarza doszła znowu woń kadzideł. Rozległy się śpiewy. Kazanie było skończone. Zaczęto wychodzić — zaszeleściły znowu jedwabie i tłum elegancki powoli płynął ku wyjściu.

— Pójdziemy już, Zosieńko — rzekła pani Alina.

Gdy wyszły na powietrze, w ulice ruchliwe i zatłoczone, zdawało się Zosi, że świat jest inny niż przed paru godzinami — zdawało się, że każda twarz spotkana nosi na sobie piętno znikomości i śmierci.

— Czego oni tak biegną? Czego tak się troszczą? — myślała. — Jedno tylko jest ważne na świecie, a to wszystko zaraz przeminie. — I czuła, że nie warto o nic się troszczyć, o nic walczyć, o nic się starać — tylko wznieść się ponad tę ziemię w tej jasności niebiańskiej. I czuła w duszy zmęczenie wielkie.

— I cóż, Zosieńko? Wszak prawda, że cudnie mówi? — zaczęła pani Alina. — Ogromne wywiera wrażenie taka wymowa. Co to za głos! Jakie ruchy szlachetne! Jakie Wykończenie w każdym frazesie! O, bo też ten ojciec Landrisac, choć młody jeszcze, jest jedną ze świetniejszych gwiazd w Kościele. Cóż, nie żałujesz, że przysłaś?

— O, nie, moja mamó. Bardzo jestem rada.

Ale w sercu nie czuła żadnej radości, tylko znużenie wielkie, tęsknotę i smutek — smutek nieznośny. Pani Alina nie zauważyła tego jednak i mówiła dalej:

— Jaką wielką prawdą były jego słowa! Czymże jest świat wobec miłości Bożej i wobec życia duchowego? Wprawdzie nie wszyscy są powołani do takiego zupełnego wyrzeczenia się świata i oddania się Bogu.— ale ci wybrani, jakże powinni być wdzięczni i dumni.

— Ach — dodała z westchnieniem — kiedyż, Panie, pozwolisz mi oddać się Tobie w zupełności!

— To przymówka do mnie — pomyślała Zosia. — Z mojej racji mama nie może jeszcze wstąpić do tego swojego klasztoru. Gdybym wyszła za grabiego Paulina, to by miała ręce rozwiązane. — Ale tak myśląc nie czuła ani goryczy, ani niechęci żadnej. Była jakaś zubożniała i znużona. I znowu po obiedzie, gdy zostały sam na sam z matką i pani Alina czule i nieśmiało poruszyła tę kwestię mówiąc o wielkich zaletach hrabiego Paulina, o jego zasadach chrześcijańskich, i o jego miłości — wreszcie o szczęściu, które płynie z wypełnienia obowiązków i ze służenia świętej, sprawie, Zosk znowu nie doznała ani niechęci, ani rozdrażnienia. Słuchała w milczeniu, obojętnie — jakby nie o nią chodziło. A gdy się rozeszły do swoich pokojów, aby się wcześniej położyć przed jutrzejszą uroczystością, ona zamiast pisać o ratunek do Haliniszek, jak to zamierzała, zasnęła kamiennym snem.

## IX

Gdy się panie Halickie znalazły na swoich miejscach w kaplicy Sykstyńskiej, pełno już tam było, ale nie ciasno. Światło poranku wlewało się szeroko przez okna w górze i oświecało poważne, czarne zgromadzenie, które rozsiało się na ławkach i pod ścianami. Byli tam mężczyźni w frakach, księża, panie w czarnych welonach, kolegium polskie w czarnych i sutannach z zielonymi pasami, kilka zakonnych habitów. Teresa Leonia panna Malkiewiczówna i owa hrabianka, która po namyśle znowu wróciła do zgromadzenia, siedziały już w jednym z pierwszych rzędów, zatopiona w pobożnym rozmyślanii, i pani Alina z Zosią zajęły obok nich miejsca. Zosia z pewnym zakłopotaniem zwróciła się do siostry na powitanie, ale ta była tak spokojna i naturalna, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. Przy tym była czym innym zaprzątnięta. Przyszły zakon Sióstr Bolejących był w komplecie — a że dotąd zwlekano w Watykanie z daniem aprobaty, że jakieś nieprzyjazne wpływy tamowały im rozwój, że dotychczas jako zakon nie mogły otrzymać upragnionej audiencji u Ojca Świętego — więc postanowiły skorzystać ze sposobności i na dzisiejszej uroczystości wystąpić wspólnie nie jako zwykłe świeckie damy, ale jako kandydatki do stanu zakonnego. Liczyły na jednego z prałatów, monsignore Cechi, który został uproszony o przemówienie przy przedstawieniu paru słów za nimi do Ojca Świętego. Ojciec! Maks i ojciec Stanisław Huniewicz traktowali z nim obszernie w tej sprawie — i obiecał, że to zrobi. Właściwie do tej roli najodpowiedniejszy był monsignore Żurowski, który dziś miał ziomków swoich przedstawiać Jego Świątobliwości, ale jego niechętny stosunek do nowego zakonu nie pozwalał myśleć nawet o proszeniu go o to. W każdym razie przyszłe Siostry Bolejące były dziś w niemałych emocjach, gdyż wiele zależało od tego, jak się uda cała ta prezentacja. Czyż papież, wśród tego natłoku i przy zmęczeniu, zwróci na nie uwagę? Czy przyjmie je życzliwie? Czy monsignore Cechi wywiąże się z zadania i powie wszystko, co potrzeba? Więc pani Alina, chcąc ulżyć sercu, zaraz

zaczęła szeptać na ucho Teresie Leonii swoje obawy i niepokoje. A panna Malkiewiczówna też wmieszała się do rozmowy i we trzy coś długo gadały.

A Zosia tymczasem rozglądała się wokoło. Cała kolonia polska była zebrana: Sużyńscy, Skoradzcy, hrabina Tur z siostrzenicą, Gorzeńscy, Oryżewscy, panna Łojcka ze swoją ciotką, profesor Mężyk, Bruzdziwicz, Paliński, Odałowski, wszyscy młodzi panowie z hotelu, nawet sam Chański, nieszczęśliwy i zasapany. Opodal, przed ołtarzem, ujrzała hrabiego BarberiniBaraniewskiego w stroju szambelana, tak jak go po raz pierwszy ujrzała u Św. Piotra, gdy zaciekawiony jej zachwyta, podniósł na nią swe blade oczy. Ach jak to było dawno, jak dawno! Jak wiele odtąd się zmieniło! Jakim ona gorzkim dzieckiem była jeszcze wtedy! Myślała, że życie można wedle woli układać, a tymczasem... Jakoś wszystko tak dziwnie się płące, zupełnie inaczej, niż się przypuszczało... I za nic, za nic w świecie ręczyć nie można. Z tym samym hrabią Paulinem czy ona wie, jak ....

Powiedziała: nie, a jednak kto wie, co będzie? Wczoraj ojciec Landrisac mówił, że ten, kto szuka prawdziwie, nie dba o to, w jakich warunkach, gdzie i jak znajdzie. Byłe znaleźć prawdę i miłość Chrystusa. To jedno ważne. Więc może... to droga najprostsza? Miłości ludzkiej szukać nie warto, a idąc za niego, ułatwiłaby matce i siostrze utworzenie zakonu, przyczyniłaby się do tej fundacji, która przecież ma na celu chwałę Boga i Kościoła.

Może by to była najprostsza droga, bo te wszystkie marzenia to była dziecinada i wszyscy mówią, że człowiek sam nie kieruje swoim życiem. Spojrzała raz jeszcze na niego.

Rozmawiał z jakimś poważnym prałatem i stał profilem do niej zwrócony. Głowa jego jasna wynurzała się z koronkowej krezy, odbijała bladością od czarnego aksamitu płaszczyka. Ładnie mu było w tym stroju renesansowym i sam wyglądał wytwornie i młodziej niż zwykle, trochę podobny do tych paziów i rycerzy, którzy tam w górze, na obrazach Ghirlandaia, Pinturicchia, Perugina i ukochanego jego Botticellego, stali ze

szpada u boku, patrząc na wielkie wypadki dokonywane przed ich oczami. Była i w jego postaci ta sama harmonia linii, ta sama bladość w kolorycie, ta sama wykwintność, arystokracja i morbidez.

— Nie, nie będę o nim myślała — rzekła sobie Zosia. — Co będzie, to będzie, ale teraz trzeba uważać na wszystko, co się tu dzieje. Taki ważny dzień!

W kaplicy panowała cisza i skupienie. Przybywający przesuwali się cicho na swoje miejsca, szeptano sobie na ucho, twarze były wzruszone i poważne — i wszystkie serca drżały w oczekiwaniu. I znać było zaraz, że to nie ciekawy widowiska tłum, że to nie żadna tłuszcza bałwochwalczej adoracji, gotowa ryczeć i wyć w szaleństwie, i rzucać się pod nogi bożyszcz. Była to gromadka wiernych, która przyszła powitać swego pana, hołd złożyć nie tyle jego osobie, co tej idei, której on był dla nich uosobieniem. Były to dzieci, które przychodziły do ojca, pewne, że znajdą w nim opiekę. Byli to nieszczęśliwi, którzy wśród codziennej męki przywykli wznosić oczy ku Świętej Stolicy i od niej spodziewać się ratunku, dusze wierzące kornie, a kochające głęboko. Byli to ludzie, którzy z krwią rycerskich przodków odziedziczyli, a z mlekiem pobożnych matek wyssali miłość do swojego Kościoła i wierność niewzruszoną, którzy, pomimo życiowych zmian i prądów i burz młodzieńczych, zachowali nietkniętą, nie wiarę może, lecz synowskie przywiązanie; którzy, chociaż nie zawsze hołdujący umysłem, gotowi byli w każdej chwili złożyć hołd krwi i życia tej papieskiej tiarze. Byli to potomkowie tych, którzy się sami zwali przedmurzem chrześcijaństwa.

Widać było na tych pochylonych czołach, w tych brwiach ściągniętych, w bolesnym zamknięciu ust ślady stuletniej walki. Nawet głowy młode i piękne zdawały się owiane melancholią — jakaś myśl poważna patrzyła z najżywszych nawet oczu. A oczy te zachodziły teraz mgłą rozrzewnienia. Pan miał się ukazać swoim wiernym, Ojciec przyjąć miał swoje dzieci, Najwyższy Kapłan, Namiestnik Boski zstępował dla nich wyłącznie z wysokości swego

tronu i tu za nich miał się modlić, za nich odprawiać ofiarę, za nimi wstawiać się do Boga i błagać o miłosierdzie!

Za nimi! Za tymi pokrzywdzonymi, za którymi nikt już się nie ujmował, których wszędzie darzono tylko uśmiechem lekceważenia lub pogardliwym słowem, a częściej jeszcze nienawistnym oszczerstwem, którzy już nigdzie nie mieli przyjaciół życzliwych, których wszyscy i wszystko opuściło. Za nich miał się modlić.

Więc serca wzbierały wdzięcznością i przywiązaniem, bo On był przyjacielem i obrońcą i tu była jedyna ich przystań cicha, dom rodzinny, świątynia i przytułek.

A gdy się ukazał, niesiony na swej sedii, bez wspaniałości i pompy ceremonialnych dni, bez oficjalnych postaci prałatów i kardynałów, bez dyplomatycznego ciała i szpaleru wojsk — ale prosty, skromny, a taki dobrotliwy i bliski, tak błogosławiący z głębi serca, taki ojcowski i łaskawy — to nie wybuchnęły okrzyki ani się nie ozwały klaskania, tylko czoła stroskane niżej się pochyliły, ugięły się kolana, a z oczu zaczęły sączyć się łzy...

Płynęły te łzy po brodatych twarzach mężczyzn i po kobiecych policzkach. Ciche łzy wdzięczności i bólu, i rozczulenia.

I posuwał się Kapłan Najwyższy przez ciche tłumy, które chyliły się przed nim, jak kłosa zboża w łanie. Szedł drogą usłaną sercami najwierniejszych swych dzieci i brał w swe stare, drżące ręce te serca wierne, aby je złożyć na ołtarzu, jako ofiarę godną Pana.

Msza była cicha. Wśród obecnych panowała też cisza. Tylko na trybunie kapela papieska śpiewała i z pieśnią leciała modlitwa do Boga. Nieruchomi, jak obezwładnieni, klęczeli wszyscy — ani kartka nie zaszeleściła, ani nie zadzwoniły paciorki różańca. Tylko oczy mgliste wznosiły się ku ołtarzowi błaganiem bez słów, tylko jedna wspólna wszystkim dusza znękana przemawiała do Boga.



Papież powoli, w skupieniu, odprawiał ofiarę. Zgarbiony i drżący, ruszał się z trudnością, tak już drobny i stary, taki bezcielesny, że zdawało się, iż lampka życia w nim płonąca zagasnąć może. Tylko oczy jego czarne, ogromne, przepyszne oczy młodzieńcze, prawie jakby nie należące do tego zgrzybiałego ciała, patrzyły żywo i świadczyły o siłach, które się jeszcze w nim zachowały, mówiły o duchu potężnym i świeżym, co w tej powłoce marnej zamieszkiwał jeszcze.

Po mszy papieskiej nastąpiła druga dziękczynna, odprawiona przez jednego z prałatów, podczas której papież klęczał rozmodlony, z głową opartą na złożonych dłoniach.

Ta msza trwała krótko.

Zrobił się ruch.

Na najwyższym stopniu ołtarza ustawiono krzesło, na którym zasiadł Leon XIII, a wokoło stanęli asystujący mu prałaci i księża. Monsignore Żurowski, w czarnej sukni z fioletowym pasem, imponujący i dystyngowany, miał mieć dzisiaj zaszczyt przedstawienia Jego Świątobliwości osób dopuszczonych do ucałowania stopy.

Ale tymczasem wyszedł naprzód ksiądz Lubiniewicz, przybyły z dalekich stron, inicjator i duchowy przewodnik pielgrzymki, starzec wysoki i barczysty, o rysach jakby z kamienia ciosanych, prawdziwy typ kapłana żołnierza i rozpoczął łacińską przemowę. Mówił głosem donośnym a dźwięcznym, trochę drżącym ze wzruszenia, bez gestów, bez deklamacji, wylewając u stóp tego tronu czarę łez, rzucając wiązanek uczuć gorących, dając na przyszłość zapewnienie stałości niezłomnej. Mówił w imieniu milionów, a ci obecni wtórowali mu sercem całym. Leon XIII słuchał uważnie, a oczy jego zwracały się od księdza Lubiniewicza ku czarnej za nim gromadzie i spoczywały na niej życzliwie. Wreszcie ksiądz skończył przemowę, a zwróciwszy się do obecnych, zawołał głośno po polsku:

— A teraz, niech wszyscy tu przytomni, w imieniu swoim i dalekich braci, na znak synowskiego przywiązania i czci dla Ojca Świętego, powtórzą trzykrotnie ze mną: „niech żyje!”

I trzykrotny grzmot głosów runął pod sklepienie Sykstyńskiej kaplicy: „Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!” Wyciągnęły się ręce do góry, jakby bronić i ochraniać chciały, po chwili opadły — i znowu cisza zaległa dokoła. A prorocy i sybille Michała Anioła patrzyli z góry na ten lud północy o rycerskich duszach i tkliwych sercach.

Leon XIII wyprostował się na fotelu. Na wąskich, zapadłych jego ustach ukazał się uśmiech łagodny i czarne oczy żywiej zaświeciły. Oparł białe swe ręce o poręcz krzesła i zabrał głos.

Mówił tą piękną, klasyczną łaciną, która zdumiewa uczonych i lingwistów, a mówił płynnie, wyraźnie, bez wahań i głosem tak silnym i młodym, że aż dziwnym w tej wyschłej piersi.

Mówił, że hołd złożony tu przez naród tak zawsze drogi Kościołowi przyjmuje z radością tym większą, iż nie jest to objaw odosobniony

i przemijający—ale jedno z ogniw długiego łańcucha wierności, który łączył Polaków z tą Świętą Stolicą. Tysiąc lat minęło, jak światło prawdziwe zawitało do Polski i odtąd nigdy ona swej matce, Kościołowi, nie sprzeniewierzyła się. Więc też i Kościół, jak matka prawdziwa, żywi dla niej najczulsze uczucia.

— Cenimy was, kochamy — i myślimy wciąż o was. Wasza szczęśliwość leży nam na sercu. Bóg, który w ręce nasze złożył rządy Kościoła swego, nie opuści oddanych sobie. Trwajcie niezłomnie przy wierze waszej, ufajcie nam zawsze. Błogosławię was z głębi serca — was i wszystkich nieobecnych tu braci waszych. Powiedzcie im, że o nich myślę, że pracuję dla ich szczęścia.

Drobna ręka starca wzniosła się nad głowy i szerokim krzyżem błogosławiła chylące się czoła. A oczy jego, jaśniejące jak czarne brylanty, mądre i łaskawe, coraz czulej ogarniały gromadkę wiernych swoich.

Oni mieli twarze wzruszone i oczy łzawe, a serca rozsadzała miłość wielka dla tego starca, który był im królem i ojcem.

— Dla niego żyć! Za niego umierać! — szeptały usta.

— Dla niego żyć i umierać — powtórzyła Zosia.

I czuła, że w tej chwili oddałaby krew, życie, wszystko, co posiadała, za tego, który był żywym wyrazem ukochanej wiary, najbliższych sercu przywiązań.

Zacząły się przedstawiania. Leon XIII postawił nogę na poduszce i każdy zbliżający się klękał, pochylał się i ustami dotykał stopy papieskiej. Monsignore Żurowski mówił nazwisko, z dodaniem paru słów objaśniających, a wtedy papież łaskawie raczył przemówić prawie do każdego, znajdując zawsze jakieś uprzejme słowo i z dziwną lotnością orientując się wśród tego zgromadzenia. Jednym mówił, że się cieszy z tak pięknej pielgrzymki, drugim pytał o ich biskupów i duchowieństwo, tym wspominał znowu o odwadze i cierpliwości, innym powiadał:

— Je sais, je sais. Vous etes mes enfants de predilection.

I wszyscy odchodzili z twarzą jasną i wzruszoną, jakby po dotknięciu przeświętej relikwii.

Panie Halickie i dwie aspirantki zbliżyły się razem — ale ciasno było wszystkim pięciu przed tronem, więc Zosia pozostała z tyłu — i klęcząc onieśmielona i przejęta ważnością chwili, czekała kolei. Wtedy monsignore Cechi nachylił się do ucha papieskiego i rzekł:

— Ces dames ont l'ardent ddsir de fonder un nouvel ordre religieux — un ordre polonais, pour la gloire de Dieu et de son Eglise. Elies n'attendent que l'approbation de Votre Saintete.

Monsignore Żurowski, słysząc to, zrobił ruch gniewny, ale powstrzymał się zaraz — a Leon XIII rzekł: — Ah, vraiment! Vous désirez nous servir? Eh bien, nous verrons, nous verrons.

Teresa Leonia podniosła wtedy głowę i rzekła powoli a wyraźnie:

— Oui, SaintPere, nous faisons le serment de vous consacrer nos coeurs, nos forces, nos vies entieres. Daignez nous donner votre approbation.

To jej przemówienie było dla wszystkich niespodzianką. Monsignore Żurowski zmarszczył brwi niecierpliwie — a w piersiach pani Aliny zabrakło tchu. Ale tyle było ognia w oczach Teresy Leonii, taki zapal bił z jej twarzy, że papież zrozumiał, iż z niepospolitą wolą ma do czynienia.

— Bien — odpowiedział zatapiając w jej twarzy swój mądry i przenikliwy wzrok — nous nous informerons de votre affaire.

Teresa Leonia wstała razem u obu aspirantkami, ale pani Alina, klęcząc jeszcze, wyciągnęła rękę ku Zosi. Ona, coraz bardziej przelękła i zakłopotana, schyliła się do stopy papieskiej, gdy usłyszała pytanie:

— Et vous aussi — petite, vous prenez le voile?

Głos zamarł jej w gardle, krew uderzyła do głośy i z oczami spuszczoneymi wymówiła zawstydzona:

— Non, SaintPere.

Leon XIII uśmiechnął się łaskawie do tej bujnej młodości i rzekł:

— Cest bien — c'est bien!

Audjencja była skończona. Leon XIII zasiadł do sedii i został odniesiony do swych apartamentów poprzez ścieśnione szeregi, błogosławiąc i żegnając po drodze. I przybyli zaczęli zstępować w dół ku kolumnadzie, gdzie czekały powozy.

Hrabia Paulin zbliżył się do Zosi i spytał:

— Pani mnie nie wypędzi, jeśli przyjdę dziś wieczór?

— Ja pana nigdy nie wypędzałam — odparła — ale wolałabym, żeby pan nie przychodził.

— A jeśli ja nie posłucham?

— To... cóż ja na to poradzę.

I Zosia odwróciła się i podążyła za matką. Ale on szedł za nią i szeptał jej do ucha:

— Souvent femme varie, może i pani zmieni się dla mnie do wieczora...

A ją strach zdjął i przyspieszyła kroku.

Gdy się znalazły we dwie w saloniku hotelowym, pani Alina z Teresą Leonią spojrzały sobie w oczy z wyrazem triumfu.

— Ależ postąpiłaś mądrze! — zawołała pani Alina. — To przemówienie to był akt wielkiej dyplomacji. Teraz Ojciec Święty musi nami się zająć.

— Tak, pewnie — odparła Teresa Leonia. — Teraz będzie już pamiętał o naszej egzystencji. Trzeba było skorzystać ze sposobności. Ale teraz...

Urwała i namyślała się chwilę, chodząc po pokoju, aż stanęła i rzekła dobitnie:

— Tym bardziej trzeba, aby Zosia wyszła za hrabiego Barberini Baraniewskiego. On dla nas byłby w Watykanie adwokatem i obrońcą przeciw intrygom niechętnych, on ma stosunki, jest w przyjaźni z monsignorem Cechi, potrafi przez niego i przez innych wpłynąć na Ojca Świętego. Przecie nie dość mu przedstawić naszą regułę — trzeba, aby zechciał ją zatwierdzić, trzeba, aby to zrobił jak najprędzej. A na to musimy mieć kogoś, kto by czuwał i był nam życzliwy.

Stanęła przy oknie i patrzyła w szafirowe niebo rozciągające się nad linią dachów — drgało ono powietrzem ciepłym, przezroczystym, żadna chmurka nie mąciła przezczystej jego barwy.

— Trzeba skłonić ją do tego koniecznie — rzekła wreszcie. — Wszakże to dla jej własnego szczęścia — a dla nas to niezbędne, niezbędne.

— Chyba ty z nią pomówisz — odparła pani Alina — bo ja nie mogę. — I wyraz załężnienia odbił się na jej twarzy.

— Naturalnie. Ja z nią pomówię. — I Teresa Leonia weszła do pokoju Zosi.

Rozmowa trwała długo. Teresa Leonia nie mówiła już siostrze o szczęściu, nie potrącała kwestii sercowych. Przedstawiła jej sprawę jasno: dla założenia ich nowego zakonu konieczne było zdobyć sobie stałe i życzliwe

poparcie przy jego Świątobliwości. Hrabia Barberini Baraniewski, związany takim węzłem, będzie czuf się w obowiązku ich protegować i wspierać, a dokona tego łatwo przez znajomości, które już posiada w Watykanie. Wiele, bardzo wiele od tego zależy. Czyżby ona — Zosia — była tak małoduszna, aby odmówić swego współuczestnictwa w wielkim religijnym dziele? Zwłaszcza że sama nie traci nic, bo człowiek, którego jej proponują, zasługuje najzupełniej na szacunek, na miłość nawet. Kochają.

— Ale ja go nie kocham — szepnęła Zosia.

Teresa Leonia poczuła wahanie i zmęczenie w jej głosie, więc mówiła dalej. Mówiła, że życie jest takie krótkie, a wieczność nieskończona, że więcej szczęścia da poczucie spełnienia wielkiego dzieła niżli wszelkiej miłości. Że ten tylko szczęśliwy być może, kto idzie przez życie ze wzrokiem utkwionym w niebo, kto żyje dla Boga, a nie dla tego nędznego świata — że Bóg wynagradza stokrotnie i zlewa łaski swe na tych, którzy go miłują i Jemu przede wszystkim służą.

Zosia słuchała zamyślona i milcząca. Dokonywał się w niej dziwny przewrót. Po gwałtownym oporze, jaki stawiała przed paru dniami wszelkim namowom, zdawało się, że jej siły wyczerpały się. Nie czuła już dostatecznej energii, aby się oburzać i sprzeciwiać, aby walczyć o swoją swobodę. Jakaś apatia i smutek ją ogarnął. To prawda — życie takie krótkie i tylko przejściem jest do dalszego życia — więc nie warto tak bardzo troszczyć się o to, jak upłynie. Byle cnotliwie! A przyczynić się do wielkiego dzieła — to zasługa pewna i będzie to jej policzone na tamtym świecie. Pewnie by to samo powiedział ojciec Landrisac. On przecie mówił, że powinno być wszystko jedno szukającemu, gdzie i jak znajdzie prawdę. Byle ją posiadł! A dziś jeszcze, u stóp Ojca Świętego, czyż sama nie czuła, że służyć mu powinna? Czyż nie powtarzała: dla niego żyć i umierać. A czymże mu lepiej usłuży? Zresztą, było jej wszystko jedno. — Życie takie krótkie! Niech się stanie, co ma się stać — może to jest wola Boska.

Teresa Leonia umilkła. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. A Zosia siedziała w fotelu, znużona i apatyczna. Czuła, że grunt usuwa się jej spod nóg, że traci równowagę i gdzieś leci — leci w jakąś przepaść nieznaną. Ale już zatrzymać się nie może — nie ma sił, bo strasznie zmęczona i słaba. I dreszcze nią wstrząsać zaczęły.

— Cóż, Zosiu? — spytała Teresa Leonia po długim milczeniu. Zosia wstała, podniosła na nią zmęczone oczy i rzekła:

— Zrobię, co chcecie, ale ja go nie kocham... — I nagle w głowie jej się zakręciło, pokój zaczął wirować jej przed oczami i chwyciła za poręcz fotela, aby nie upaść.

Może ja umieram, przeszło jej przez myśl — i uczuła radość. Ale nie zemdląca nawet — i po chwili usłyszała nad sobą głos Teresy Leonii.

— Bóg ci to wynagrodzi — będziesz szczęśliwa.

Potem drzwi otworzyły się i zamknęły, i była sama. Chciała poruszyć się, zebrać myśli i zdać sobie sprawę z tego, co się stało — ale ciało jej miało wagę ołowiu i dźwignąć się nie mogła. I myśli jej były ołowiane i ciężkie. Więc nie myślała nic — tylko powtórzyła raz jeszcze:

— Róbcie, co chcecie. — I siedziała zdrętwiała, nieruchoma, odurzona — wstrząsana od czasu do czasu dreszczem.

ZOSIA DO ANI

Rzym, marca

Moja Aniu najdroższa, otrzymałam przed paru dniami Twój list, odpowiedź na wiadomość o moich zaręczynach. Ta wiadomość była jakoby

tak pobieżna i nieszczegółowa, że prosisz o długi list i o opowiadanie Ci wszystkiego. Aniu droga, chętnie bym Ci napisała wszystko, ale sama nie wiem, co się ze mną stało od pewnego czasu: ani myśleć porządnie, ani zrozumieć nic nie umiem. I nawet przed sobą nie mogę sobie zdać sprawy z tego, co się dzieje ze mną. Jestem zupełnie ogłupiała — ale nie myśl, aby to było z miłości...

Spróbuję jednak opowiedzieć o tym, co się tu dzieje. Od tych dwóch tygodni jesteśmy w ciągłym ruchu, gorzej niż przedtem, bo przyjechało jeszcze więcej Polaków, cały hotel jest wypełniony — i ciągle to gdzieś idziemy, to się do kogoś spieszymy, to układamy jakiś spacer, to pędzimy do jakiegoś kościoła czy muzeum, to robimy jakąś dalszą wycieczkę, to słuchamy koncertów i kazań, to coś zwiedzamy, to czymś się zachwycamy.

Od dziesiątej rano do późnej nocy jesteśmy na nogach, w towarzystwie. Byłoby to bardzo przyjemne, żeby nie było tak męczące. Ja mam już tego dosyć — chciałabym zatrzymać się i móc pomyśleć trochę — ale nie ma czasu. Nasze towarzystwo składa się z mnóstwa coraz to nowych osób, ale wszyscy tę mają wyrafinowaną grzeczność, że narzeczonych zostawiają ciągle en teteatete. Więc chociaż otoczenie jest liczne, my — to jest hrabia Paulin i ja — mamy aż nadto sposobności poznania się, rozmawiania z sobą. Rozmowy te są zawsze bardzo przyjemne, bo on jest niezmiernie wykształcony, trochę poeta, trochę artysta — widział dużo, czyta wszystko — a przy tym ślicznie mówi i lubi mówić. Nigdy z nim się nie nudzę. O ile zaś poznajemy się w tym rozmowach, to trudno określić. Wiem bardzo dobrze, co on myśli o Dantem i o Byronie, i o Fra Angelico i o Botticellim, wiem, co on odczuwa na widok zachodu słońca w rzymskiej Kampanii — i jakie wrażenie robi na nim morze wzburzone, a jakie spokojne — wiem, jakie lubi barwy i w jakiej sukni najbardziej mu się podobam — wiem nawet, że miłość pojmuje bardzo wzniosie, jako łączność dwóch dusz, lecących razem ku nieskończoności, że duszę ceni przede wszystkim i szuka naprzód duchowej sympatii — że chociaż



posiada gust estetyczny i nie jest mu obojętna piękność — to tylko tak piękność do niego przemawia, która pochodzi ze wzniosłej duszy.

Czy ja mam wzniosłą duszę, powiedz sama? Dotąd zdawało mi się, że moja jest taka sobie prosta, zwyczajna dusza.

Wiem to wszystko.

Ale o nim samym, o jego życiu, o jego przeszłości — wiem bardzo mało.

Nie lubi o tym mówić — a gdy go raz zapytałam, dlaczego — odpowiedział mi bardzo poetycznie: czy wędrowiec, który tak długo tułał się po ciemnym i zimnym lesie, a wreszcie znalazł ognisko jasne i bezpieczne schronienie, lubi wspominać o swej tułaczce i o dawnych ciemnościach? A że to ja mam być owym ogniskiem jasnym, więc mi nie wypada protestować.

Co dziwniejsze to to, że on i mojej przeszłości nie jest ciekawy. Gdy zacznę coś mówić o sobie lub o was, w ogóle o domu, to chociaż zawsze słucha uważnie, widzę, że go to niezbyt obchodzi.

On lubi mówić o uczuciach, o psychologicznych zagadnieniach, a tak umie je analizować, roztrząsać, wysubtelniać, tyle umie robić uwag nowych i ciekawych, że słucha się go z wielką przyjemnością. Ja przynajmniej nigdy nie spotkałam nikogo, kto by tak ładnie o tym mówił.

Co zaś do projektów na przyszłość, o które pytasz, to są one bardzo jeszcze niewyraźne. Wiele zależeć będzie od wuja, który ma tu przyjechać na Wielkanoc. Z tego, co mówi jego matka, wypada, że ten wuj ma zamiar odstąpić hrabiemu Paulinowi za życia jakiś majątek — więc zapewne tam mieszkać będziemy.

Ja zapowiedziałam, że jednego chcę i wymagam — to zamieszkania w kraju, na wsi; jeśli nie w jego majątku, to w Białym Dworze; że to jest warunek, od którego nie odstąpię, bo uważam to za obowiązek i że musi mi to przyrzec. Zauważyłam, że on był trochę zdziwiony i śmiał się, pytając, czy ja posiadam bardzo długą listę obowiązków — ale przyrzekł.

Tymczasem, ponieważ on tu jest potrzebny mamie i Tereni dla posuwania w Watykanie sprawy tego zakonu, więc choćbyśmy wzięli ślub przedtem, to zostaniemy tutaj, dopóki ten zakon już się nie rozwinie.

Z tym ślubem, to jeszcze wszystko jest en l'air. Ja inaczej nie chcę, jak w Haliniszkach, jemu wszystko jedno — a tylko mama sobie ułożyła, że musi odbyć się w Rzymie. W każdym razie o tym nie mówi się jeszcze na serio, dzięki Bogu! Dopiero po Wielkiejnocy i po przyjeździe tego wuja.

Ach, nie masz pojęcia, moja Aniu najmiłsza, jak ja czekam Wielkiejnocy! Bo zaraz potem wracamy do domu. Terenia zostanie tu ze swoimi aspirantkami i pilnować będzie sprawy, a ja z mamą wyruszymy. Liczę dni i godziny... Zdaje mi się, że jakiś kamień spadnie mi z serca, gdy do was powrócę — gdy zrzucę tę skórę panny narzeczonej, będę po prostu Zosią, w moich perkalowych sukienkach i z dawnym warkoczem na plecach.

Twoje ostatnie pytanie zostawiłam na koniec. Czy ja go kocham? Widzę twoją minę przerażoną, gdy ci odpowiem: nie. Ach, moja Aniu droga, cóż ja na to poradzę? Wolałabym i ja kochać go..., próbowałam sobie to wmówić — ale nie! Stanowczo go nie kocham. Powiadają, że to później przychodzi — że zakochania nie potrzeba do małżeństwa. Może... Ale ja myślałam, że to jakoś inaczej... Wiesz — ja bardzo się zmieniłam od czasu, jak tu jestem, i już dałam pokój dzieciнным marzeniom. Miłość spotyka się tylko w powieściach, a w życiu, zdaje się, że prawie nikt nie wychodzi za mąż z miłości. Przynajmniej tu wszyscy tak mówią. A dlaczego ja mu przyrzekłam? Bo mama i Terenia bardzo chcą mnie się pozbyć, a przy tym hrabia Paulin może im dopomóc w tych sprawach zakonu — jemu nic nie można zarzucić, ma mnóstwo zalet i jest bardzo przyjemny. A ponieważ żadnego nie mam powołania do klasztoru, więc raz trzeba pójść za mąż. A siedzieć i czekać tej miłości i ciążyć mamie i Tereni, kiedy zdarza się ktoś — miłość może nigdy nie przyjść... Więc zdecydowałam się. Czasami i ja myślę, że lepiej by było, aby to

wszystko się nie stało. Ale stało się—i teraz słowo dane i za późno rozmyślać już nad tym.

Ach, Aniu, sama mówiłaś niedawno, że szczęścia nie ma na ziemi. Ja wtedy oburzałam się, ale doprawdy, miałaś rację. Tylko że życie takie krótkie — jakoś się je przebędzie.

Nie martw się tylko i nie desperuj nade mną, mój Niuczku najdroższy, i nie sprowadzaj na siebie migreny z mojego powodu. Kto wie, może wszystko to zmieni się jeszcze na dobre!

Nie wiem doprawdy, jakim cudem dali mi napisać taki długi list. Zwykle to co minuta ktoś wpada. Ale już odzywa się pierwszy obiadowy dzwonek, trzeba się ubrać i być gotową. Teraz hrabia Paulin jada z nami prawie codziennie, więc mama pilnuje ogromnie, abym była ładnie ubrana. A on mi zawsze przynosi kwiaty do stanika. Już to jako uprzejmość, to jest nieporównany.

Więc ściskam Cię sto razy i bardzo, bardzo kocham

Zosia

Po napisaniu tego listu Zosia ubrała się w białą wełnianą suknię i wyszła do salonu. Hrabia Paulin czekał już tam na nią z wiązką blad różowych goździków w ręku, a tymczasem opowiadał pani Alinie o jakiejś rozmowie z monsignorem Żurowskim i o dalszych projektach, odnoszących się do sprawy zakonu. Znać było, że to go nudzi niepomnie i że zajmuje się tym tylko z musu. Gdy Zosia weszła, zwrócił się do niej skwapliwie, rad z przerwy.

— Bądź pozdrowiona! — szepnął, podając jej kwiaty. — Pani nie przypuszcza nawet, jak dziś mi źle i smutno.

A widząc, że pani Alina skierowała się do swego pokoju, dodał, biorąc rękę Zosi:

— Ach, tak smutno!

— Dlaczego? Co się stało?

— Nic się jeszcze nie stało, ale coś wisi nade mną... Wiem, widzę czarną chmurę nad sobą.

— Niechże pan nie będzie dzieckiem! Przyjdzie nieszczęście, to dość będzie czasu wtedy na desperację. A może nie przyjdzie wcale i wszystko będzie dobrze.

— O, niechże to pani powtórzy raz jeszcze!

— I wszystko będzie dobrze — powtórzyła Zosia, a jednocześnie westchnienie wyrwało się z jej piersi.

On to zauważył i rzekł:

— A dlaczego to westchnienie?

Ale ona nie odpowiedziała nic i stali oboje w milczeniu. Goździki słały im woń upajającą. On patrzył na nią uważnie, wzrok przesuwając po jej złotych włosach skręconych w węzeł i spiętych szpilkami z białego szytkretu, po jej czole, na którym pomiędzy brwiami zarysowała się od niedawnego czasu malutka, podłużna zmarszczka, na oczy jej spuszczone teraz i nakryte powiekami o długich, fryzowanych rzęsach — na jej policzki leciuchno zabarwione różem, na usta pełne, czerwone, ale zamknięte surowo. Potem wzrok jego prześlizgnął się po jej szyi schowanej w wysokim kołnierzyku i zatrzymał na jej silnych ramionach, na wypukłej piersi, którą opinała gładziutko biała wełna stanika.

— Istna Wenus — myślał. — Zdrowa, silna, krzepka. Stworzona do pospolitej miłości i do rodzenia dzieci.

Wzrok jego skierował się ku jej biodrom zaznaczonym okrągłą linią pod suknią.

— To właśnie żona dla takiego Jachimowicza — myślał dalej — taki to by za nią szalał! Mówiłby do niej „serdeńko” i „koteczko” i co rok byłoby jedno dziecko. A ja w roli d'un papa — umrzeć ze śmiechu!

Głośno zaś rzekł:

— Czy pani wierzy w przeczucia? Ona się zbudziła z zamyślenia.

— Co? Ja w przeczucia? O, nie, nigdy nie miałam przeczuc żadnych.

— A ja dziś czegoś się lękam, mówię pani, wyraźnie się boję. I oczami strwożonymi spojrział w ciemny kąt pokój.

— Jakbym widział, że coś idzie do mnie... nie wiem, co to jest... Niechże mnie pani spróbuje pocieszyć.

— Ach, Boże, jakże ja pana pocieszę? Wszakże pan w Boga wierzy i w to, że nic się nie dzieje bez Jego woli, więc...

— O, niechże mi pani nie mówi takich banalności! — zawołał hrabia Paulin niecierpliwie. — Każda stara ciotka to samo by powiedziała.

— I miałyby rację, cóż innego można powiedzieć?

— Jakaż ona ordynarna! — pomyślał hrabia Paulin i zamilkł.

Idąc na dół za obiema paniami, do tabie d'hôte, porównywał w myśli Zosię z panią Wiką. Niegdyś przyszedł tak samo do niej z wiązką bladnoróżowych goździków i powiedział jej:

— Bądź pozdrowiona!

A ona, zamiast odrzec, tak jak ta głupia „Dzień dobry panu”, położyła twarz na kwiatach i poprzez ich blade płatki patrzyła na niego swymi ciemnozłotymi oczami. Nie widział jej rysów, nie mówiła nic, nie poruszyła się, tylko oczy te jak gwiazdy błyszczały wśród kwiatów, tajemnicze, groźne, aż go dreszcze zaczęły wstrząsać.

Potem on powiedział:

— O, jak mi dziś źle i smutno!

A ona położyła swe zimne ręce na jego głowie i odparła:

— Ja jestem twoim złym duchem, ja jestem twoim smutkiem, Kochaj swój smutek!

Przy tym ręce te były takie aksamitne i świeże, gdy przesuwała mu je po czole. A goździki tak pachniały! Później on ją tak samo spytał, czy wierzy w przeczucia, a ona pochyliła się nad nim i rzekła powoli:

— Wierzę. Pamiętasz, gdyśmy się poznali, powiedziałam ci zaraz, że we śnie cię widziałam i to była prawda. Byłeś mi wyśniony, przeznaczony od początku wieków.

Tak ona mówiła, ta boska Wika... A co ona teraz powie, gdy dowie się...

Hrabia Paulin był roztargniony i niespokojny podczas obiadu. Ale gdy potem znaleźli się znowu sami na górze, w saloniku oświetlonym, ciepłym, gdzie na konsolach rozkwitały hiacynty i kosańce, a przed kominkiem połyskiwał na stoliczku przyrząd do herbaty i zobaczył ją, swoją narzeczoną, jak białymi rękami, na których lśnił zaręczynowy brylant, dotykała filiżanek i imbryków i dzwoniła łyżeczkami, a czerwony blask ognia rzucał na nią drgające i ciepłe refleksy, uczuł, że opuszczają go wszelkie trwogi, że gorąca fala szczęścia po nim się rozlewa i że ta dziewczyna staje mu się naprawdę droga. A widząc, że jest z nią sam na sam, objął ją ramieniem i przyciągnął ku sobie. Ona z lekka cofnęła się, spojrzała przestraszonymi oczami, ale nie rzekła nic. I ramię jego coraz ciaśniej ją otaczało i głowa jego coraz niżej skłaniała się ku jej twarzy. Przymknęła oczy i uczuła na sobie jego usta i musnięcie wąsów. Było w tym dotknięciu coś tak nowego, coś, co tak ją obezwładniało, że nie próbowała się bronić i posłuszna, bierna, dawała się całować. A on szeptał jeszcze słowa piękne i słodkie.

Ale pukanie do drzwi mu przerwało. Zosia jednym susem znalazła się na drugim końcu pokoju. Twarz jej płonęła. Cała rodzina Gorzeńskich przychodziła na filiżankę herbaty. A pani mówiła z uśmiechem:

— Czy tylko nie przeszkadzamy? Bo to zakochanym to najlepiej, kiedy są sami...

Rozsiadła się jednak na kanapie, a panienki kręciły się po pokoju, przerzucały fotografie na stolikach, nuty na fortepianie. Wkrótce nadeszli państwo Sużyńscy i Paliński z Bruzdziwiczem, a Zosia zajęła się herbatą. Śliczna była dzisiaj w tej białej, gładkiej sukience, z tym rumieńcem i zmieszaniem na twarzy, taka gosposia miła nad rzędami filiżanek, brzęcząca

łyżeczkami i uśmiechająca się znad obłoku pary, takie upostaciowanie spokojnego szczęścia domowego i kobiecości. Hrabia Paulin rozchmurzył się zupełnie patrząc na nią. Esteta, którym był w gruncie rzeczy, zachwycił się jej powabem, krew poczęła mu żywiej krążyć i rozpalać się do tej dziewczyny, która już była mu obiecana, i którą przed chwilą tulił do siebie i pił ustami młodość jej, zdrowie i świeżość. Zapomniał o swych przeczuciach, o jej banalności, zapomniał o Wice nawet... Siedząc przy niej nachylał się do jej ucha i coś szeptał, a były to widać słowa gorące, bo na jej twarzy biły coraz żywsze rumieńce. I tworzyli bardzo ładną, zwykłą i typową parę narzeczonych — banalną parę. Zauważyła to nawet pani Gorzeńska ze swej kanapy i szepnęła pani Alinie, a ta z radością spojrzała ku narzeczonym i wzniosłszy oczy w górę, rzekła:

— Bogu niech będą dzięki! Jestem spokojna o szczęście Zosi. Zauważyli to też i młodzi i powoli, manewrując, odsunęli się na drugi

koniec pokoju, zostawiając zakochaną parę sam na sam. Zosia, czując to, mieszała się coraz bardziej, onieśmielona jeszcze wobec obcych tą nową pozycją narzeczonej, a wobec niego tym, co przed chwilą zaszło. Ale on odwrócony plecami do wszystkich, zagradzał jej drogę, zasłaniał sobą i przysuwał się bliżej i ku niej pochylony, mówił z zapałem.

Nagle okrzyk zadziwienia pani Aliny zmusił go do odwrócenia głowy. W środku salonu, oświetlona lejącym się z góry światłem, śmiejąca się, szczebiocząca, stała — pani Wika Rodwiczowa.

Hrabia Paulin pochwycił za poręcz krzesła, bo czuł, że mu się w głowie kręci. Czuł, jak krople potu wystąpiły mu na czoło i serce w piersiach się tłukło. Nie widział, nie słyszał nic i stał jak paralizem tknięty, bez myśli, bez ruchu. Aż zbudził go głos tuż obok.

— Hrabia Barberini Baraniewski. Państwo się przecie znacie? Narzeczony mojej córki...

Pani Wika wyciągała do niego rękę i śmiała się mówiąc:

— Ależ, znamy się! Kiedyś, tu w Rzymie, miałam przyjemność spotykać hrabiego. Narzeczony? O, najlepsze życzenia!

I chłodna jej, drobna rączka ścisnęła dłoń hrabiego Paulina i ten uścisk wywoływał w nim cały rój sensacji i wspomnień, przejmował go do głębi.

Po chwili ona siedziała obok Sużyńskich i Bruzdziwicza i opowiadała, jak tu niespodziewanie się znalazła; jak w Meranie przy chorej siostrze nabawiła się influencji i doktorzy zaraz ją stamtąd wysłali, radząc zmianę miejsca i powietrza. Siostrę zostawiła pod dobrą opieką, a sama przybyła do ukochanego Rzymu, aby trochę wypocząć, gdyż czuła się strasznie wyczerpana.

Mówiła to wszystko prędko, wesołym tonem zwykłego opowiadania, a na twarzy jej nie było bynajmniej śladów choroby. Cera jej, zawsze matowo blada, była może dziś trochę bledsza, a oczy jej świeciły dziwnym, zimnym połyskiem i usta znaczyły się czerwoną, ruchomą plamą i co chwila błyskały w uśmiechu rzędem śnieżnych ząbków, ostrych i drapieźnych, jak zęby młodego pieska. Ciemnorude włosy, w pięknych zwojach fryzowanych, otaczały jej twarz i nisko układały się na karku, spięte brylantową szpilką.

Mówiła dużo, z ożywieniem trochę sztucznym, śmiała się przeciągle, i zdawała się zdenerwowana trochę i podniecona, ale niezwykle wesoła. Czasami wzrok jej spoczywał przez krótką chwilę na parze narzeczonych, którzy już teraz nie siedzieli obok siebie — i wtedy oczy jej stawały się ciemniejsze, prawie zupełnie czarne. Ale wnet wybuchała znowu śmiechem i coś dalej mówiła prędko.

Obecność jej dodała życia całemu zebraniu, które dotąd prowadziło dość ospałą rozmowę. Zapanowało ogólne ożywienie i gdy pani Wika oświadczyła, że chce użyć spacerów, powietrza, ruchu, że jest w werwie — posypały się projekty wycieczek bliższych i dalszych.

Wieczór skończył się wśród ogólnej wesołości. Pierwsza wstała pani Gorzeńska, a za nią poszli Sużyńscy. Pani Wika też zaczęła się żegnać.



— Taka rada jestem, że zastałam tu kochaną panią — mówiła do pani Aliny. — Nie wiedziałam, czy się spotkamy w tym roku. Szczęśliwie się stało, nie będę tak bardzo osamotniona i mąż mój przestanie mi gderać w listach za latanie po świecie, gdy się dowie, że jestem pod skrzydłem pani. Czy mogę napisać, że mnie pani bierze pod opiekę?

— Ależ i owszem! Bardzo mi to pochlebia.

— A więc, będziemy z panną Zofią siostrami przez parę tygodni — rzekła przyciągając Zosię i całując ją. — Zgadza się pani?

Podawała jeszcze rękę hrabiemu Paulinowi i wyszła szeleszcząc jedwabiami, a został po niej dziwny zapach jakichś nadzwyczajnych perfum — i jakby drzenie jej śmiechu w powietrzu.

Wtedy dopiero hrabia Paulin oprzytomniał trochę i odzyskał mowę. Przez cały czas jej obecności czuł drzenie w całym ciele, a w głowie szum. Zdawało mu się, że widzi i słyszy przez sen tylko, co się wkoło niego dzieje. I silił się zrozumieć, oprzytomnić sobie to wszystko, a nie mógł. Teraz odetchnął głęboko. Sam już był w saloniku z obu paniami i usłyszał głos Zosi mówiący:

— Ona bardzo miła, ta pani Wika! Jak ją widziałam po raz pierwszy w Ucianach na balu, to mi się nie podobała, a teraz bardzo mi się podoba.

— Nie pamiętałam, czy się państwo znacie? — rzekła pani Alina do hrabiego Paulina.

A on odpowiedział, siląc się na głos obojętny:

— Poznaliśmy się przed kilku laty. Po chorobie spędziłem zimę w Cannes i ona tam była. A potem tu, w Rzymie, spotykaliśmy się kilka razy.

— Ale zeszłej zimy pan nie bawił w Rzymie?

— Owszem, oprócz kilku miesięcy, które spędziłem w Neapolu i na Sycylii. W ogóle dotąd nigdzie zbyt stałym mieszkańcem nie byłem. Ale już późno — dodał i zaczął się żegnać.

— A więc jutro spotkamy się wszyscy na śniadaniu — przypomniała pani Alina.

— Tak, o wpół do pierwszej.

— I już stamtąd ruszymy — dodała Zosia. — Będzie bardzo przyjemnie.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

Hrabia Paulin wyszedł na korytarz i znowu odetchnął głęboko. Na koniec był sam, mógł zebrać myśli i zrozumieć, co się stało. Przyjechała — wie o wszystkim. Dość ją znał, aby uczuć od razu, że jadąc już wiedziała o wszystkim, i że dlatego tylko przyjechała. A więc czego chciała i co zamierzała? To było pytanie, które przede wszystkim sobie zadał, a nie miał na nie żadnej odpowiedzi. Czy będzie się starała zerwać jego projektowane małżeństwo? Czy robić mu będzie wyrzuty? Czy przygotuje mu scenę jakąś okropną? Czy zechce go skompromitować w oczach narzeczonej? Nie wiedział.

A jemu, co robić wypada? Czy starać się ją przebłagać? Czy wytłumaczyć jej wszystko, i smutny swój stan finansowy, i zamiary wuja, i konieczność prawie tego małżeństwa? Czy szukać z nią porozumienia i starać się o poufną rozmowę? Czy lepiej unikać jej, nie drażnić, wyjechać może? Nie, tego nie mógł zrobić. Czuł, że teraz on jest w jej ręku i że wszystko stanie się tak, jak ona zechce i że on wobec niej ani własnej woli, ani własnego zdania mieć nie może. Czuł jednak również, że z Zosią rzeczy zaszły tak daleko, iż żadnym zmianom ulec już nie powinny. Zrozumie to przecież i ona i podda się losowi. Zresztą, może doprawdy będzie najlepiej wszystko jej wytłumaczyć po przyjacielsku. Może sama się zgodzi na to małżeństwo. Ach, to małżeństwo! Krew ścinała mu się w żyłach, gdy o nim myślał. Gdy przed chwilą widział tę przyszłą żonę swoją taką białą i dziewiczą, taką domową i gospodarną, a tak ponętą, gdy tam siedziała przysłonięta buchającą z maszynki parą, i gdy złożył głowę na jej piersi i poczuł przy sobie to ciało dziewicze i czyste, a pod

ustami swymi miał tę twarz młodą, zdawało mu się, że ją kocha. — Ale tamta weszła, potrząsnęła rudymi włosami, wionęła zapachem indyjskich perfum, błysnęła oczami i białością zębów, zadzwoniła przeciągłym śmiechem i już on był jej sługą, jej niewolnikiem, jej rzeczą, już krew mu się paliła w żyłach, już wilo się w nim coś z bolesnej żądz, już nad obawą przed jej gniewem górę brało pożądanie jej ciała.

— Ale nie, nie poddam się teraz — myślał zstępując ze schodów. — Wszakże cała moja przyszłość, cała egzystencja zależy od tego ożenku. I byłoby nieładnie... doprawdy nieładnie...

Szedł przez korytarz pierwszego piętra, na którym już było cicho. Dla oszczędności pogaszono połowę lamp i panował tam półcień. Tu i ówdzie stały przed drzwiami wystawione do czyszczenia buciki. Cicho było.

Wtem jedne z drzwi uchyliły się przed nim bez szelestu, jasna smuga przecięła mu drogę i kobieca postać w niej stanęła.

— Chodź! — szepnęła.

I wzięwszy go za rękę wprowadziła do wnętrza i zamknęła drzwi za sobą.

## XI

Znalazłszy się w jej mieszkaniu hraba Paulin poczuł dreszcze wstrząsające nim od stóp do głów.

W saloniku niewielkim, oświetlonym płomieniem elektrycznym palącym się w szklanym kielichu, czuć było silną woń tuberoz i goździków. Jakoż całe ich pęki unosiły się z wazonów ustawionych na małych stolikach wśród drobiazgów, książek i fotografii. Wielka latarnia wyrzucała w górę ciemne liście w kształcie wachlarzy, których niebieskawe cienie rysowały się na ścianie, a pod nią stała kanapka, starą materią zarzucona i leżałapyszna tygrysia skóra, błyskająca w cieniu ostrymi kłami. W ogromnym zwierciadle odbijał się przez otwarte drzwi pokój sypialny, z łóżkiem szerokim, z gotownią świecąca mnóstwem flakoników i srebrnych puszek, z niskim szeslongiem, na którym leżały jakieś koronkowe negliże, ze swą tajemniczością i powabem wzbronionego zwykłym śmiertelnikom przybytku.

Hrabia Paulin objął w mgnieniu oka te wszystkie szczegóły tak dobrze mu znane, tak mu żywo przypominające dawniej doznawane rozkosze, ale groza obecnej chwili i obawa przed nią były tak silne, że wszystko inne wydawało mu się snem tylko.

A ona stała spokojna i zimna i patrzyła na niego długo. Nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, bo była odwrócona od światła, ale widział w całej jej postawie, w głowie w przód pochylonej, w załamanych rękach, jakąś boleść — i czuł, że smutek w nim również wzbiera i rośnie. Widział także nad jej głową rudawą aureolę włosów światłem przetykanych i linię jej ramion ginącą wśród masy czarnych koronek, błyszczące na palcach brylanty i czuł, że wzbiera w nim i rośnie pożądanie tej kobiety. Stał przed nią nieruchomy i wstrząsany w duszy najgwałtowniejszymi uczuciami. I nie wiedział nawet, jak długo trwała ta nieruchomość i to milczenie. Aż nagle ona poruszyła się, jej załamane dotąd ręce wyciągnęły się ku niemu i zarzuciła mu na szyję ramiona.

Złączyli się w uścisku.

Zrazu on nie śmiał dotknąć ustami tej głowy, co się do niego tuliła, ale ona objęła go za szyję obiema rękami i twarz jego, czoło i głowę poczęła obsypywać pocałunkami.

— Mój biedny, mój mały! — szeptała łagodnie z tą intonacją pieśzcotliwą, z którą się mówi do dzieci — moje kochanie biedne!

On, w oczekiwaniu wybuchów gniewu, sceny jakiejś okropnej, zrazu zrozumieć nie był w stanie. Ale głos jej był tak miękki, ruchy takie łagodne, że serce zaczęło mu tajać radością i począł całować te ręce, co go tak pieściły i powtarzać tuląc się do niej:

— Wiko moja, Wiko! Wiko jedyna!...

I lzy prawdziwe poczęły zbierać się w jego oczach.

— Voyons, sois donc raisonnable — rzekła ona wreszcie. — Musimy pomówić rozsądnie. Siądź tu przy mnie — dodała wyciągając się na kanapce w cieniu palmy i robiąc mu obok miejsce — ale pierwszej daj mi papierosa.

A gdy on usiadł przy niej i dymek zaczął nad nimi się unosić, objęła go znowu za szyję i powtórzyła:

— Mój ty biedny! Opowiedzże mi wszystko!

On, ośmielony i wdzięczny, zaczął mówić:

— Wiesz, jak moja matka od dawna pragnęła mnie ożenić — teraz pragnienie to wzmogło się jeszcze, stało się to wprost dla niej kwestią życia i śmierci. A przy tym mój wuj też tu przyjechał i namawiał, i stawiał takie różne warunki i obietnice... Tak mnie nudzili, tak dokuczali! A z tamtej strony była też zachęta, matka szczególnie ciągnęła mnie strasznie — o, zuchwale nawet! Wprost narzucała mi Zosię. Między nami z początku zaczęło się od flirtu — ot, tak, pour passer le temps. Ona, taka gąska, parafialna piękność. Ja nie miałem co robić. A potem — no, sam nie wiem, jak do tego doszło, prawie że mi się oświadczyły — i okazało się, że jestem zaręczony i że muszę się żenić. I teraz już klamka zapadła — dodał tonem, który miał być stanowczy. Wiedział

dobrze, że całe to opowiadanie było szeregiem kłamstw i wstyd mu było trochę przed sobą samym. Ale nie mógł z nią mówić o swych sprawach majątkowych. Przecież dotąd uchodził przed nią za zamożnego człowieka! Kwestie pieniężne nie istniały wcale dla niego. Przyznać się do biedy, a co gorsza, do sprzedawania się za pieniądze — nigdy w życiu! Wolał już ujść za niezdarnego, za niedołęgę — to przynajmniej wywoływało u niej ten pieszczotliwy ton i wzbudzić mogło współczucie — rozbrajało choć trochę jej gniew, który zapewne miał lada chwila wybuchnąć. Więc mówił jeszcze o namowach matki, o kokieteriach Zosi, o zabiegach pani Aliny — przedstawiał siebie w roli ofiary, a wspominał jednak co chwila o honorze, który mu dziś nie pozwala już się cofnąć. Czuł sam, że jego wyznanie jest cokolwiek zaplątane, że sprawa nie całkiem wyraźnie się przedstawia. Ale ona zdawała się wszystko przyjmować za dobrą monetę i nie wątpić w jego szczerłość ani na chwilę.

Wprawdzie lękał się spojrzeć jej wprost w oczy i nie mógł zauważyć ich dziwnego blasku ani też trochę ironicznego uśmiechu, co się koło jej ust błąkał. Głos jej był zupełnie spokojny, gdy powtarzała gładząc jego włosy:

— Mój biedny mały! Moje kochanie!...

Wreszcie, gdy skończył i umilkł, ona ujęła głowę jego w obie ręce i złożyła mu na czole serdeczny, macierzyński prawie pocałunek. On zaś wyszeptał wzruszony:

— Więc pozwalasz? Zaśmiała się:

— Ach, ty dzieciaku! Myślałeś, że się będę sprzeciwiała, że przyjechałam robić ci sceny zazdrości, intrygować, zrywać? Dobrą masz o mnie opinię! Ależ... ja tylko dbam o twoje szczęście... Jeśli ci dobrze będzie z tą twoją Zosią — to będę zupełnie zadowolona.

Mówiła to tak naturalnie, a wydawała się tak spokojna, że w umyśle hrabiego Paulina zrodziło się podejrzenie. Spodziewał się wybuchu gniewu i obrażonej miłości własnej, spodziewał się stanąć przed rozdrażnioną mściwą

kochanką, a znajdował łagodną, czułą siostrę, zapominającą o sobie w trosce o jego losy. Czy ona tak się zmieniła, czy też grała komedię? Przecież niedawno jeszcze podczas wspólnej a tajemniczej wycieczki do Neapolu ona mówiła, gdy pływali po błękitnej zatoce:

— Gdybyś kiedy inną pokochał, to bym i ją, i ciebie zabiła, a sama rzuciłabym się tu, do tej wody. Czym jest moje życie bez ciebie?

A teraz? Żadne słowo gwałtowne nie wyrwało się z jej ust, zgadzała się na wszystko, nie wspominała nawet o sobie. Byleby on był szczęśliwy!

Co się z nią stało? Czy nie leżała na dnie tej słodczy jakaś nieznana trucizna? Ale nie. Twarz jej była taka jasna! Cały układ taki prosty, serdeczny. — Może zrozumiała, że inaczej być nie może i pogodziła się z losem — myślał. A tak potrzebował w to wierzyć, że wmawiał sobie, iż tak jest i że mu już od niej nic nie grozi. Przy tym tak mu było z nią dobrze! W zacisznym pokoju, gdzie pachniały tuberozy i unosił się lekki dymek papierosa, na miękkiej kanapce, nad którą chwiały się liście latanii, oparty o nią — siedział nieruchomy. Po trwodze i napięciach całego wieczora, po tych wrażeniach, szarpiących jego nerwy, teraz zaczynało mu być dobrze, ciepło i jakoś miło. Jak po przebytych niebezpieczeństwie, chciał odpocząć i ukoić swe rozdrażnienie. Ona, jakby to odgadując — umilkła i tylko bliżej przytuliła go do siebie, ciaśniej oplotła mu szyję ramieniem. I siedzieli tak w ciszy i powoli wszelkie złe przecucia jego, obawy i niepokoje znikwały, odpływały gdzieś w dal, a wstępowało weń jakieś radosne rozrzewnienie. Ona była przy nim, była mu życzliwą, pobłażającą przyjaciółką, która wszystko rozumiała i tylko starała się go uspokoić i natchnąć dobrą nadzieją. Zaczął więc mówić do niej półgłosem słowami pełnymi wdzięczności i zachwytu. Ona słuchała, uśmiechała się do niego i gładziła jego włosy — a jemu serce tajało i rozpływało się w piersiach. Mówił więc dalej o sobie, o swych uczuciach, bólach, tęsknocie do czegoś niewiadomego i nieuchwytnego, o swej duszy samotnej i błądzącej w przestrzeni, w poszukiwaniu wiecznym, o sercu

nieszczęśliwym, o życiu bezcelowym, o żądach nigdy nie nasyconych, o marzeniach bezpłodnych... Na małym zegarze, stojącym na biurku, wybiła druga. Wika zerwała się.

— Tak późno! — zawołała. — Jakże można tak późno siedzieć! Idźże mi stąd zaraz! Idź! Idź!

Stanąła przed nim w świetle, ale chociaż mówiła idź, obiema rękami opierała się o jego ramiona i przykuwała go do kanapki — pochylała się ku niemu ruchem niewypowiedzianie miękkim, spod na wpół przymkniętych powiek oczy jej błyszczały, a w twarzy, podobnej do płatka narcyza, śmiały się czerwone usta. Była zachęta, nawet wyzwanie w tych ustach — w tych oczach była miłość. On zrozumiał, że może osiąść ją na nowo, przez głowę przemknęła mu myśl: Obie razem! Krew w nim zakipiała, objął jej giętką figurę i chciał ją porwać i przycisnąć do piersi. Ale nagle ona mu się wyrwała z rąk ruchem tak zwinnym i szybkim, jak ruch rozbawionej kotki i stanęła opodal ze śmiechem na ustach.

— A, nie! — rzekła — To, to nie! Jakże... A narzeczona? Śmiała się przeciągle, lecz cicho.

— Nie trzeba się zapominać — dodała znowu tonem macierzyńskim i pieszczotliwym. — My będziemy nadal przyjaciółmi — tylko przyjaciółmi. Pamiętaj o tym, mój biedaku.

Na dobranoc złożyła mu na czole pocałunek siostrzany i klepiąc po ramieniu wysuwała za drzwi. Zostawszy sama, zarzuciła sobie ręce nad głowę i westchnęła głęboko.

— No — rzekła do siebie — pierwsza scena odegrana z powodzeniem.

I wybuchnęła głośnym, nerwowym śmiechem, a z oczu jej polały się łzy...

I zaczęło się odtąd życie jeszcze bardziej gorączkowe. Pani Wika miała dar wprowadzania w ruch całego towarzystwa. Zdawało się, że każda chwila samotności i ciszy jest dla niej męczarnią, tak namiętnie szukała rozrywek i



ludzi. Nigdy nie była zmęczona, zawsze gotowa do wszelkich spacerów, zwiedzań, wycieczek — zawsze na nogach, zawsze pierwsza do każdego projektu. Przy tym miała mnóstwo znajomości, stosunków, a gdy zabrakło dawnych, zawierała nowe na poczekaniu. Znała w Rzymie całą kolonię artystyczną, miała mnóstwo przyjaciół wśród turystów włóczących się po Europie, lubiła wynajdywać rozmaite kurioza, jak: nadzwyczajnych podróżników, zdetronizowanych książąt, misjonarzy, którzy uniknęli barbarzyńskiej śmierci, media spirytystyczne, fundatorów nowych sekt religijnych itd. Lubiła to wszystko, co trąciło czymś niezwykłym i umiała jakoś przyciągać ludzi do siebie.

Wkrótce mały jej salonik hotelowy zaroił się trochę mieszanym, ale interesującym towarzystwem i wieczorne herbaty, które dawała u siebie, bardzo wielkie miały powodzenie. Uprosiwszy panią Halicką o opiekę, wzięła zupełnie serio jej przyzwolenie i mówiła wszędzie, że przybyła z tymi paniami. Prawie ciągle przebywała z nimi — razem odbywały wycieczki, razem spędzały wieczory, razem widziano je wszędzie. Umiała też obie pozyskać zupełnie. Taka była uprzejma, taka wesoła i pełna życia, a przy tym taka wykształcona, odcytana i tak ślicznie mówiąca! A chociaż młoda, ładna i trochę ekscentryczna, jej postępowanie było tak wzorowe teraz, a zasady, które wygłaszała, tak piękne, że wątpić o nich nikomu nie przychodziło na myśl. Ekscentryczność ta nawet dodawała jej wdzięku i przebaczano ją łatwo. Szczególniej Zosia ją polubiła. Po kilku dniach uważały się za dobre, stare znajome. Wprawdzie do żadnych zwierzeń nie doszło, bo i czasu na to nie było, ale stosunek zawiązał się nadzwyczaj bliski.

Pomimo ciągłego ruchu i rozrywek, pomimo wesołego i przyjemnego towarzystwa, Zosię ogarniała coraz większa tęsknota. Jakiś smutek siedział zacząjony na dnie jej serca i w każdej chwili samotnej wypływał na wierzch, jak oliwa na wodzie. Nie miała czasu badać siebie i analizować, a może też nieświadomie czuła, że to badanie jeszcze by gorszy smutek wywołało. Więc

odpędzała złe myśli, sama szukała odurzenia i pocieszała się, że wkrótce to wszystko się skończy, wróci do domu, a tam w ciszy i w swojskim otoczeniu odzyska równowagę. Tam, w domu, pomyśli serio o swym przyszłym życiu i jakiś program sobie wytknie, a gdy przyjedzie tam hrabia Paulin, to będzie mogła bez ciągłych przerw i przeszkód pomówić z nim o wielu ważnych rzeczach i wybadać go w wielu ważnych punktach. Wprawdzie i tu czasem zaczynała rozmowę o tym, co jej leżało na sercu, o kraju, o obowiązkach, o tym, co jest do zrobienia, o życiu wiejskim i jego dobrych i złych stronach. Chciała go wciągnąć w to koło własnych myśli, zainteresować go, wzbudzić w nim zajęcie. Pytała go o wrażenia odniesione z kilkurazowych odwiedzin u wuja, egzaminowała z wiadomości gospodarskich, podsuwała mu projekty i plany przyszłej działalności. Ale czuła, że go to nudzi, że wszelkie realne, życiowe kwestie są mu obce, że choć ze zwykłą lotnością myśli jej sobie przyswaja, a nawet przejmuje się jej uczuciami, to tylko jako esteta, który w tym widzi nowy objaw, charakter, styl, pewne literackie pojęcie, a nie jako człowiek, który to samo odczuwa. I to ją drażniło i zasmucało, ale zawsze skłonna do optymizmu, pocieszała się, wmawiając sobie, że to się zmieni, gdy zamieszkają na wsi i on będzie musiał zająć się na serio i sam przyłożyć rękę do pracy. Wtedy pokocha to wszystko, co ona kochała już tak serdecznie i może być dobrze. Chodziło tylko o to zamieszkanie na wsi, więc przypominała mu jak najczęściej daną obietnicę i chociaż on się marszczył zabawnie mówiąc o gospodarstwie, ona zupełnie poważnie pocieszała go, że się wszystkiego prędko nauczy i że z czasem stanie się wzorowym hreczkosiejem. Raz, gdy mu to powiedziała, on się naprawdę oburzył.

— Ja hreczkosiejem! Za kogo mnie pani bierze? O, widzę, że nigdy, nigdy nie będę zrozumiany!

Miał wyraz prawdziwego bólu i urazy w oczach tak, że aż Zosi przykro się zrobiło i zaczęła się tłumaczyć, mówiąc, że ona to uważa za najlepszy, najszlachetniejszy ze wszystkich zawodów, zwłaszcza dla Polaków i że on

pewnie powie to samo za lat kilka, gdy bliżej pozna swój kraj i do niego się przywiąże.

— Ależ ja jestem bardzo przywiązany do mojego kraju — odparł. — Nie chciałbym nigdy być kim innym niż Polakiem. Dusza słowiańska, ze swoją tajemniczą tęsknotą, z tą głębokością uczuć, z tą naiwną wiarą, z tym trochę mistycznym polotem, a przy tym z tym ogniem, z tą fantazją tak poetyczną ma dla mnie niewymowny czar. Czuję w sobie samym zupełną zgodność

i łączność z duszą mojego narodu. Jestem sam prawdziwym Słowianinem. Proszę mi tego nie mówić, że nie kocham mojego kraju.

I zaczął tłumaczyć, że przecie nie wszystkie miłości są do siebie podobne. Są tacy, którzy ją okazują siedząc na wsi i sadząc buraki i kartofle, drudzy w inny sposób tego samego mogą dowieść. I nie można sądzić świata całego z punktu ciasnego, parafialnego patriotyzmu; dla ducha ludzkiego nie ma przestrzeni ani granic i niepodobna wszystkie dusze właczać w jednostajny szablon, krępować ich rozwój, ich wzniosły polot...

— Ależ — przerwała Zosia — gdy, na przykład, jakieś miasto jest obleżone, to wszyscy mieszkańcy i uczeni, i prości, i biedni, i bogaci idą szzańce sypać. Więc i tu...

— Comparaison n'est pas raison. To zupełnie co innego. I najlepiej niech szary tłum żyje wedle pewnych przepisów, a wyższe organizacje, wytworniejsze indywidua, arystokracja duchowa muszą sobie wyrobić własne formy bytu.

— Ach, Boże! — westchnęła Zosia. — Ja tego nigdy nie zrozumieję! Chyba już jestem taką zakutą parafianką.

A po chwili dodała:

— Ale mieszkać stale będziemy na wsi?

On tym razem nie odpowiedział nic. Gorycz mu wzbierała w sercu, gdy myślał o tym ożenku. Tak, będzie to wieczna walka o tę wieś, o te zasady, którymi ona była naszpikowana. Będzie to usiłowanie każdej chwili, aby z

niego zrobić „obywatela”, filar społeczeństwa, ziemianina, aby go wtłoczyć w te wstrętne formy uświęcone tradycją, a uznane za „porządne” wśród tego otoczenia kretynów, do którego wchodził. Będzie to stałe i nieustanne klucie szpileczkami, ograniczanie, ścieśnianie, zapoznanie zupełne. Tak, nikt tam nie pojmie, nie podzieli jego uczuć, nie uzali się nad jego bólem. Pozostanie obcy wszystkim, a przykuty na wieki.

Były chwile, w których hrabia Paulin żałował szczerze swego postanowienia. A jednak nęciła go jeszcze sama osoba Zosi, pociągała go jej młodość, świeżość, zdrowie, bujność tej natury trochę pierwotnej. I nawet obecność pani Wiki nie mogła od razu zatrzeć tego wrażenia. Nastąpiło w nim dziwne rozdwojenie, jego dawna kochanka wlewała mu w żyły ogień pałacy, targała nim do głębi, narzeczona koła jego nerwy, łagodziła rozdrażnienie i nęciła go, jak nęci podróżnego widok wiszącego na drzewie świeżego i soczystego owocu. Była wprawdzie, jak to sama mówiła, zakutą parafianką, nie rozumiała go, nie umiała wejść we wszystkie jego subtelności, ale taka śliczna była, świeża i miła, taka czystość duszy i ciała szła od niej, że mimo woli miał przy niej wrażenie świeżego podmuchu z łąk i pól, co niósł wesołość i zdrowie. Przemawiała do nieznanym mu tajników jego duszy i tam niespodziewanie na głos jej odzywało się echo. I to dziwne, nieoczekiwane uczucie miało swój wdzięk.

Jednak wobec pani Wiki Zosia z każdym dniem traciła trochę w jego oczach — i to echo przez nią zbudzone coraz słabiej się odzywało. Kochanka brała górę nad narzeczoną. Tym bardziej że ta kochanka umiała nadzwyczaj zręcznie kierować sprawą i trzymając się wciąż na boku, nie narzucając się wcale, umiała zapełnić jego myśl i być mu ciągle obecną. Nie krępowała go bynajmniej, nie odsuwała od Zosi. Owszem, jako dobra przyjaciółka, co chwila przypominała mu jego słodkie obowiązki, umiała im zawsze zastrzec spokojne sam na sam, opiekowała się po macierzyńsku jego miłosnymi sprawami, chwaliła przed nim Zosię, wynosząc te właśnie jej zalety, które,

wiedziała, że mu są antypatyczne, przepowiadała mu szczęście i powodzenie, snuła przed nim ocukrzone obrazki domowego pożycia. Słowem, wlewała mu do serca jedną ręką miód, drugą zaś piołun.

Przy tym nigdy sama nie była tak czarująca, jak teraz właśnie, w tych pięknych, wiosennych dniach. Nigdy dotąd nie widział na jej skórze tak cudnych mlecznych tonów, nigdy oczy jej nie świeciły takimi złotymi blaskami, ani usta nie miały tego półuśmiechu pełnego obietnic, ani ucho w brylant zdobne nie przeświecało tak różową barwą, ani włosy nie wiły się w tak śmiałe zwoje, ani dotknięcie jej ręki nie było tak pieszczotliwie, ani głos jej nie posiadał takich nut głębokich, które obojętnym słowom nadawały znaczenie i wagę. Gdy, siedząc obok Zosi, widział ją wchodzącą do pokoju i idącą ku nim tym omdlewającym trochę i posuwistym krokiem i słyszał szelest jej sukni, i słyszał jej głos, i czuł woń jej perfum egzotycznych, słabo mu się robiło przez chwilę. Musiał przemocą wydobywać przyzwoite słowa z zaciśniętego gardła i z drzeniem w sercu ruszać się, chodzić, mówić i grać komedię obojętności. — Chciał parę razy spróbować jeszcze szczęścia i różne wynajdywał sposoby, aby ją wzruszyć. Starał się zastać ją samą i wtedy mówił jej o swej miłości, ale ona mu odpowiadała, że takich rzeczy nawet słuchać nie powinna, bo teraz jest mu siostrą i przyjaciółką i niczym więcej. Raz usiłował o późnej porze, odprowadzając ją do drzwi mieszkania, zmiękczyć prośbą i wyjednać, aby mu wejść pozwoliła, ale ona oburzyła się i odprawiła go z niczym. Nawet tak daleko cnotę swą posuwała, że zupełnie zabroniła się całować — i tylko wyjątkowo, gdy była dobra, pozwalała mu usiąść przy sobie na małej kanapce pod palmą i głowę złożyć na jej piersi. Wtedy gładziła jego włosy i prawiała mu morały, a on słuchał nieruchomy, z ogniem w żyłach, oddychał jej zapachem, czuł na twarzy ciepło jej ciała i omdlewał z rozkoszy.

Ale tego mu nie wystarczało i coraz wyraźniej czuł, że odzyskać ją musi. Ta żądza wbiła mu się jak ostrze w serce i wszystko inne wobec niej znikło, rozwiało się. I im bardziej była ona nieuchwytna, tym goręcej rozpaliała jego

krę. Im bardziej odsuwała go od siebie, tym usilniej pracował głową, aby wynaleźć sposób jej zdobycia.

Toteż szalona była radość, gdy jednego dnia — w dwa tygodnie mniej więcej po jej przybyciu — otrzymał od niej kartkę.

„Jestem dziś trochę niezdrowa — pisała. — Nie wychodzę z domu i nie przyjmuję nikogo. Przyjdź wieczorem na pogawędkę we dwoje.

W.”

— Nareszcie! — pomyślał.

I przez cały dzień był jak w gorączce. Nie mógł usiedzieć na miejscu, co chwila spoglądał na zegarek i miał tak zmienioną twarz, że aż go matka zaczęła rozpytywać, czy nie jest chory i na wszelki wypadek zmusiła do wypicia kieliszka eukaliptyny, z obawy przez malarię. A w sercu cieszyła się rozumiejąc, że ten niepokój jest zwykłą oznaką zakochania. A w kimże mógłby się kochać teraz, jak nie w narzeczonej?

Hrabia Paulin miał obiadować w hotelu razem z paniami Halickimi. Napisał wcześniej, tłumacząc się, że dziś przyjść nie może, gdyż doczekał się dawno nie widzianego przyjaciela — i list ten posłał razem z wiązką róż dla Zosi.

— Hrabia Paulin pisze, że dziś przyjść nie może — rzekła Zosia do matki zapinając na rękę staroświecką bransoletę z kameą, dar narzeczonego.

— Ach, jaka szkoda! A ja właśnie miałam z nim pomówić o monsignore Cechim. Cóż robić! Pewnie jutro rano przyjdzie... Zresztą, może i lepiej się stało. Jutro odbywamy spowiedź przedrekolekcyjną, użyję spokojnego wieczoru, aby się przygotować.

— A ja napiszę do Ani — rzekła Zosia i zaczęła układać róże w wazonie. — Już przeszło dwa tygodnie, jak ani słówka nie było z domu. Nie wiem, co to jest. Czy, broń Boże, kto nie chory?

Zosia przypięła kilka róż do paska — i panie zeszły we dwie do sali restauracyjnej, dokąd zwykle zaraz po nich przychodziła pani Wika. Jadały

razem przy wspólnym stoliczku. Dziś jednak podano ostrygi, potem zupę, pani Wiki nie było.

— Co się z nią dzieje? — niepokoila się Zosia.

— Może jej kto przeszkodził, może niezdrów — rzekła pani Alina.

— Z rana chodzyliśmy razem aż na Palatyn i była zupełnie zdrów. Podano drugą i trzecią potrawę, ruch w sali wzrastał. Brzęk naczyń, głosy paruset osób, dźwięk sztućców, to wszystko tworzyło razem huk odurzający. Pani Wika nie przychodziła.

— Może doprawdy chora — rzekła Zosia. — Trzeba pójść do niej.

— Dobrze, zajdź do niej samą, a ja wrócę do siebie — muszę skorzystać ze spokojnego wieczoru. Tak mało ich mamy!

Gdy po skończonym obiedzie Zosia weszła na korytarz, w którym mieszkała pani Wika, ujrzała koło drzwi stojącą jej pannę służącą, Ernestynę. Tak wyglądała, jakby czekała na kogoś.

— Madame est chez elle? — spytała Zosia.

— Oh, oui! — rzekła Ernestyna — entrez s'il vous pla't. — I sama otworzyła przed nią cichutko drzwi od saloniku — i znikła.

W saloniku było ciemno, ale z sypialni padała, przez otwarte na rozcież drzwi, wielka struga światła. W stojącym naprzeciw ogromnym zwierciadle odbijała się postać pani Wiki leżącej na szezlongu. Miała na sobie jasnoróżowy szlafroczek z szerokimi rękawami, które zsuwały się odsłaniając białe ramiona. Ręce trzymała skrzyżowane nad głową ruchem leniwym i miękkim, a na nich opierała głowę, otoczoną rozpuszczonymi włosami. Włosy te, ciemnorude, połyskujące, jakby żywe, miały metaliczny jakiś odcień, przypominający węzową skórę i jak węże rozpełzały się wszędzie, płącząc się na poduszkach szezlongu, wśród koronek negliżu, wijąc się po jej szyi i ramionach. A wśród tych węzowych splotów twarz jej, bledsza niż zwykle, miała wyraz zły. Z ust otwartych świeciły zębki ostre, drapieżne w dziwnym jakimś, wyzywającym i bezwstydnym uśmiechu. Było w całej jej postawie, w

jej twarzy coś takiego, że Zosia, spojrzawszy na jej odbicie w zwierciadle, uczuła, że się czerwieni. Stała nieruchoma. Chciała spytać, czy można, ale uczucie jakby wstydu ją ogarnęło.

— Wyjdę cichutko — pomyślała.

Aż wtem doszedł jej uszu głos męski, dobrze znajomy głos hrabiego Paulina. Zmieniony był, chrapliwy jakiś, błagalny, a zarazem gwałtowny.

— Pozwól, zgódź się — mówił. — Czyż nie widzisz, że ja oszaleję, jeśli mnie dłużej będziesz odpychać. Wiko, czy mnie już nie kochasz? A tak niedawno jeszcze..., tak niedawno... Ach, ja nie mogę tak żyć dłużej! Ja ciebie chcę, ja ciebie pożądam... Wiko...

I z głębi pokoju wynurzyła się ku światłu postać hrabiego Paulina, którego Zosia nie widziała zrazu. I stanął w blasku lampy z wyciągniętymi rękami... Zmieniony był strasznie. Oczy zapadłe i sińcami podkrążone mgliste były, kąty ust opadły i dolna warga wysunęła się naprzód brutalnie, zwierzęco, a ręce wyciągały się naprzód jak szpony i drżały.

— Wiko! — powtarzał stłumionym głosem. — Ja ciebie chcę... Jej śmiech zabrzmiał w odpowiedzi.

— A narzeczona? — spytała.

I zdawało się Zosi, że sylaby wychodzą z ust jej z sykiem, z jadem... Przykuta do miejsca, zamierająca z osłupienia, z oczami utkwionymi w zwierciadło, słuchała.

— Nie chcę jej, nie chcę! — zawołał hrabia Paulin. — Nigdy jej nie kochałem, wszak wiesz o tym. Po co mi o niej wspominasz?

— Ależ, mój drogi! Dziecko jesteś. Nie rozumiesz, że my przecież obie nie możemy być twoimi.

— Czemu? Ona wiedzieć nie będzie... A zresztą, niech tam! Wszystko poświęcę, a ciebie mieć muszę. Tyś dla mnie jedyna.

Pani Wika zaśmiała się.

— E, e, gadanie! Szczerze ci mówię, daj mi spokój, a żeń się z tamtą.



Wiesz, że cię Kocham i że niełatwo mi przychodzi cię porzucić, ale z tamtą będziesz szczęśliwszy niż ze mną.

— Szczęśliwszy! — wybuchnął hrabia Paulin. — Jak ty możesz to mówić! Ty jesteś mi rajem, zapomnieniem, upojeniem najwyższym. Ty jedna mnie rozumiesz, ty jedna umiesz czytać w mojej duszy, ty jedna dajesz mi rozkosz zupełną, z tobą tylko mogę się złąć w jedno, zespolić się. Tamta, tamta to wiejska gąska, to materiał na domową kwokę i to jeszcze na najgorszy gatunek kwoki, bo z ideami, z patriotyzmem, z zasadami. Czy ja wiem! Dalej nie widzi jak do parafialnej dzwonnicy, a mnie chce przerabiać na obywatela, na filar społeczeństwa, na ziemianina! Cha, cha, cha! Mnie! Czy ty to rozumiesz? Mnie! A mnie co do ich społeczeństwa, do ich ziemi, do ich obywatelstwa? Ja chcę kochać nie po to, żeby dzieci mnożyć, przyszłych patriotów, ale po to, aby choć na chwilę wznieść się ponad ten podły świat i popłynąć z tą kochaną duszą w niebiosa. Żeby na jej piersi zażyć tych uczuć, których nie da mi żadna idea, żadne patriotyzmy, żadne cele i obowiązki i żeby zatonać, zapomnieć, roztopić się we dwoje. Czy ja to mogę mieć z tamtą?

— Ale będziesz miał dostatek, pieniądze, wygody wszelkie, życie bez materialnych trosk, a to dla ciebie ważne. Będziesz bogaty, a przyznaj się szczerze, wszakże to cię skłoniło do tego małżeństwa?

Chwilę trwało milczenie. On nie odpowiadał.

Zosia, jak w ziemię wryta, stała, patrząc na tych dwoje ludzi. Miała wrażenie, że coś wali się jej na głowę, że gdzieś leci w ciemność.

Pani Wika przeciągnęła się na szezlongu ruchem podobnym do sennej kotki. Fałdy lekkiego negligu rozsunęły się i wśród koronek błysnęła białością szyja, pełna, okrągła, atlasowa.

U ust hrabiego Paulina wyrwał się przytłumiony głos, podobny do ryku zwierzęcia i szedł ku leżącej kobiecie, blady, z zaciśniętymi ustami, z błędnym wzrokiem... i schylał się nad nią i obiema rękami szukał jej ciała.

Wtem odskoczył.

Przed nimi stała Zosia.

Przez chwilę wszyscy troje byli nieruchomi i cisza się zrobiła w pokoju. Aż pani Wika podniosła się na łokciu i spytała ironicznie, wskazując na hrabiego Paulina.

— Cóż? Słyszała pani wszystko? Eh, bien, en voulezvous encore? Krew buchnęła Zosi do twarzy.

— Jesteście podli! — krzyknęła. — Podli! Podli oboje! Nie chcę was znać więcej, nigdy! Nigdy!... Masz — wołała ściągając z palca brylantowy pierścień i rzucając go pod nogi narzeczonemu. — Masz! — i rozpięła bransoletkę z kameą, która się potoczyła po dywanie. — Masz! — i wyrwała ze stanika przypięty pęk róż, jego dar. — Nigdy pana nie kochałam, wiesz o tym dobrze, ale myślałam, że jesteś uczciwy przynajmniej, a teraz... pogardzam, nie cierpię... brzydzę się...

Znikła.

Drzwi od korytarza stuknęły. I znowu zrobiła się cisza.

Hrabia Paulin stał jak gromem rażony, a u nóg jego błyszcząły brylanty pierścionka i leżały rozsypane blade róże. W powietrzu zdawał się dźwięczeć jej krzyk...

Na szezlongu pani Wika leżała nieruchomo. Aż nagle śmiech jej wybuchnął znowu, czysty, srebrny, przeciągły... I tamto echo zranionej dumy dziewczęcej zacierało się i milkło. I ramiona jej rozwarły się szeroko, węże włosów zwichrzyły się i zadrgały, jak żywe, usta jej rozchyliły się i zawołała:

— Chodź! Bądź moim na zawsze!

## XII

Gdy Zosia po tej okropnej nocy wstała nazajutrz rano, czuła się tak zmęczona i zboląa fizycznie, że zdawało się jej, że nigdy nie zdoła ubrać się, chodzić, ruszać się i mówić jak zwykle. Myśl o nadchodzącym dniu przejmowała ją trwogą. Znowu sceny, znowu wymówki, może i gniew matki i Tereni. A ona tak pragnęła spokoju!

Wczoraj wróciwszy do siebie po tym strasznym przejściu, nie widziała matki. Zamknęła się w swoim pokoju i przez połowę nocy siedziała nieruchoma, odurzona tym, co widziała i słyszała. Serce nie bolało jej po stracie narzeczonego, ale czuła się pokrzywdzona, znieważona, wyśmiana przez tych dwoje. Ona im obojgu tak zaufała, a tu nagle...

Przy tym te ich oczy błyszczące, te usta jakoś dziwnie uśmiechnięte, te białe ramiona pani Wiki, ten zapach perfum i tuberoz w jej mieszkaniu..., ten ohydny, zwierzęcy ryk hrabiego Paulina, gdy się na nią rzucał, ten jej śmiech, to wszystko razem zlewało się w jakiś zgrzyt ostry, drażniący, fałszywy, który zdawał się w jej uszach dźwięczeć jeszcze. To wszystko razem — to był brud, to był grzech, to była zgnilizna, do której i ona niechcący się dotknęła i czuła się zbrukana, zeszpecona, zraniona... Mój Boże, tak niedawno jeszcze te usta ją całowały... Wstręt nią wstrząsał na to wspomnienie. Czuła, że coś straciła bezpowrotnie, że z czegoś ją odarli i że dziś nie jest już ta sama, co wczoraj. Była zhańbiona, zbrudzona na zawsze. Nie, nigdy nie zetrze się z niej ten ślad, nigdy się nie otrząśnie z tego wstydu...

Ta krótka chwila była dla niej objawieniem. Więc to była miłość? To?

Widziała znowu tę straszną twarz hrabiego Paulina. O, nie, nie! Wszystko raczej, niż mieć z tym do czynienia!...

— Czemu nie wyszłam zaraz? Czemu nie uciekłam? — myślała. Ale wtedy przychodziło jej na myśl, że dobrze się stało, bo zostałyby żoną tego człowieka, oddałaby mu może serce. A tak przynajmniej była wolna, ach, wolna od niego! I w głębi serca czuła ogromną radość i drżała w oczekiwaniu

tego, co miało nastąpić. Bo i co powiedzieć? Jaką dać rację tego nagłego zerwania? Nigdy, nigdy nie przyzna się do tego, co widziała, na samo wspomnienie rumieńce występowały jej na twarzy. Zresztą matka i wszyscy mieli tak dobre wyobrażenie o pani Wice. Czy sumiennie jest opinię tę zachwiać? A może jej nie uwierzą? I nawet pewnie, że nie uwierzą, pomyślą, że jej się coś przywidziało. A ona wszystkiego powiedzieć nie może... nie, nie może...

Gdy wreszcie, zmęczona okropnie, położyła się do łóżka i po długich godzinach przewracania się i kręcenia zasnęła na koniec, nie był to sen krzepiący i zdrowy. Jakieś strachy ją dręczyły, jakieś twarze pochylały się nad nią i zrywała się co chwila spocona i drżąca. Wstała, nie mogąc dłużej wytrzymać tej męki. Ale czuła się tak słaba i wyczerpana, że ledwie mogła się poruszyć.

— Wyjdę na powietrze, to mi lepiej będzie pomyślała. — Pójdę na mszę, może mnie Pan Bóg natchnie, co mam dalej robić.

Było jeszcze bardzo wcześnie, gdy Zosia wyszła z hotelu. Ulice były puste, okna od magazynów przysłonięte. Zamiatano tu i ówdzie. Na placu di Spagna nie było jeszcze ani przekupniów z kwiatami, ani modelek na schodach, ani nawet zebrzących uliczników. Czasem przejechał wózek dwukołowy, zaprzężony w muła o wielkich uszach, czasem wóz wielki z mięsem. Z jednej z ciasnych uliczek jakiś wieśniak w baraniej kurtce wypędził stado kóz i gnał je dalej przez plac. Zosia wstąpiła na wysokie schody Trinita dei Monti. Kościół, oświecony już wschodzącym słońcem, rzucał długie cienie na drogę. Zamknięty był jeszcze.

Zosia zwróciła się na lewo i poszła drogą ku Monte Pincio. Powietrze było chłodne, ale przeczyste i orzeźwiające. Na liściach i roślinach przydrożnych świeciła rosa i kropelki jej rzucały tu i ówdzie tęczowe smugi. Palmy wyrzucały w górę swe sztywne liście, obok wierzby potrząsały bladozielonymi tiulami i cyprysy stały proste na szafirowym tle nieba.

Zapachy różne drgały w powietrzu, cicho było i samotnie wśród tej zieloności. Tylko z dala, koło sadzawki, paru księży chodziło z brewiarzami w rękę, odmawiając poranne pacierze.

Zosia trochę onieśmielona samotnością, a zarazem rada z ciszy, szła dalej. Minęła taras, skąd się rozciągał sławny widok na Rzym, tyle razy podziwiany w ich zbiorowych wycieczkach i doszła do wgłębienia w murze od strony willi Borghese. Lubiała ten kątek. Tam góra była jakby urwana i mur stromo w dół się spuszczał, jak baszta przy jakiejś fortecy i aż straszno było z jego wierzchołka spojrzeć pod siebie, tak tam było przepaścisto i głęboko. A w dole nie było nic prócz wielkiej masy drzew, prócz morza zieloności, wśród którego czerniły się pinie. Nieraz, podczas rannych spacerów, gdy miss Anger zachęcała ją do podziwiania widoku Rzymu z tarasu — ona wołała stąd patrzeć na ten las zielony, który jej trochę przypominał gaje haliniskie.

I teraz wprost tu podążyła z instynktownym pragnieniem odświeżenia oczu widokiem prostym i swojskim i nie spostrzegła wcale, że na jej widok siedzący na ławce ksiądz podniósł głowę i patrzył na nią ze zdziwieniem. A gdy się zbliżyła do muru, on wstał i podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

— Cóż to panią tak wcześnie tu sprowadza? — spytał. — I samą? Bez mamy?

Ona drgnęła na ten głos, ale, widząc przed sobą monsignore'a Żurowskiego, uśmiechnęła się i podała mu rękę. Zaczynała coś tłumaczyć, ale on przerwał, patrząc na nią badawczo:

— Pani coś jest, panno Zofio? Jakaś przykrość... smutek? Co się stało? A gdy ona tak zagadnięta zniecka spuszczała oczy i czerwieniła się, starając się coś wybąknąć, on dodał:

— Proszę nie udawać, bo ja widzę, że coś jest — coś tam na sercu leży. Wziął ją za rękę i posadził przy sobie na ławce. Mądre jego oczy na wskroś ją przeszywały. Ale dla niej nie było to przykre. Owszem, czuła jakby ulgę, że znalazł się ktoś, kto jej sprzyja w biedzie. Może by mu wszystko opowiedzieć?

Może by on poradził najlepiej? Ksiądz — to będzie wiedział, co robić. Ale jak powiedzieć? — I znowu na wspomnienie wczorajszej sceny gorący rumieniec oblewał jej twarz całą, czoło, szyję i krył się pod wysokim kołnierzem żakietu. Monsignore obserwował ją uważnie i jakby widząc jej myśli, rzekł:

— No, odwagi! Wypowiedzieć swoją biedę komuś, kto ją odczuje i podzieli — to już ulga.

Zosia podniosła na niego oczy.

— Nie wiem, czy mam prawo mówić — rzekła — bo tu chodzi o jedną panią, którą wszyscy uważają za bardzo porządną i tylko ja wiem, że ona nie jest porządna.

— A czy ta pani ma z panią coś wspólnego?

— O, bardzo wiele! — zawołała Zosia. I po chwili dodała:

— Powiem już — tylko bez nazwiska. Ale czy mi monsignore dopomoże potem?

— W czym tylko będę mógł.

Więc ośmielona jego życzliwością zaczęła mówić. A w miarę mówienia jej własne uczucia rozjaśniały się dla niej i wszystko układało się jakoś w jej umyśle.

A ksiądz patrzył na nią i w oczach jego wzbierało współczucie. Zapytał wreszcie łagodnie:

— Moje dziecko, jednego nie pojmuję. Jakim sposobem mogłaś to wszystko widzieć i słyszeć?

— A właśnie, to najdziwniejsze! Tak mi się zdaje — prawie pewna jestem, że jej o to chodziło, abym słyszała. Bo, monsignore, przecież łatwo było przypuścić, że nie widząc jej przy obiedzie, zajdę dowiedzieć się, czy nie chora. Na korytarzu czekała jej panna służąca i sama mnie wpuściła. Gdyby nie można było, to by ta służąca powinna mnie ostrzec. I czemu w salonie było ciemno, tak, że oni mnie dostrzec nie mogli? A w sypialnym pokoju było światło i szeslong, na którym ona leżała, był akurat wysunięty naprzeciw

zwierciadła i tak oświetlony, że wszystko w zwierciadle widziałam. Ona chciała mnie zmusić do zerwania i wiedziała dobrze, że jak to posłyszę i zobaczę, to zerwę. Ona była pewna, że jestem tam za drzwiami i nie zdziwiła się ani trochę, gdy mnie zobaczyła.

— Więc zobaczyli panią?

— Tak — nie mogłam wytrzymać... porwał mnie gniew,..

— I cóż?

— Wpadłam do nich i powiedziałam im, że są podli, że nie chcę ich znać i... i rzuciłam mu pierścionek zaręczynowy i bransoletkę, którą mi dał, i róże rzuciłam na podłogę. I poszłam sobie... Monsignore, przecież ja nie mogę wyjść za niego...

I Zosia poruszona, rozżalona i zdenerwowana ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Wszystkie smutki, krzywdy, zawody, jakich ostatnimi czasy doznała, wszystkie niepokoje i walki, jakie przeżyła, tęsknota za domem rodzinnym, opuszczenie i samotność wśród obcych, a nade wszystko, pomimo obecności matki, poczucie sieroctwa — to wszystko razem składało się na prawdziwy ból serdeczny, na cierpienie tak silne, że i te łzy, płynące obficie przez zaciśnięte palce, nie mogły jej ulżyć.

Monsignore patrzył na nią w milczeniu i pozwalał się jej wypłakać. Rozumiał, że od dawna wstrzymywała się nie tylko od łez, ale i od myśli smutnych, aby nie psuć sobie tego ideału szczęścia, stawianego dla niej przez obce ręce, ale którego, jak deski ratunku, musiała sama się chwytać. Że więc teraz, gdy los tak gwałtownie zdarł jej zasłonę z oczu, czuła się zrozpaczona. Rozumiał także, że to zetknięcie się z brudem, o którym jej się dotąd nie śniło, musiało tę dziewiczą duszę zranić, przerazić i grozą przejąć. Na to nie było rady, tylko czas i oddalenie mogły te rany zagoić. Na szczęście serce jej nie cierpiało, to było jasne.

Ale teraz kwestia pilniejsza, przeprowadzić zerwanie z hrabią Paulinem, zmusić matkę i siostrę do rozsądku, a ją, o ile można najprędzej,

odesłać do kraju. Tam zatrą się wszelkie wrażenia ciężkie, tam przestanie czuć się ciężarem w domu i z czasem znajdzie przeznaczonego sobie przez Boga męża. Czuł monsignore, że ta rola pośrednika między Zosią a matką spada na niego, że musi zaopiekować się tą biedną dziewczyną, którą mu Opatrzność narzuciła i że teraz, wiedząc wszystko, nie może pozostać na boku.

Zresztą i sama Zosia podniosła głowę i patrząc na niego załzawionymi oczami, prosiła:

– Niech monsignore pomówi o tym z mamą i Terenią.

Więc chociaż ta rozmowa była mu nadzwyczaj przykra, chociaż w ogóle stosunek jego do pań Halickich był napięty od czasu, gdy zdanie jego o nowych zakonach takie wzbudziło oburzenie, podjął się tego zadania. I po odprawieniu mszy w kościółku polskim na via Sebastianelli udał się do domu Zgromadzenia Sióstr Bolejących, gdzie obie panie Halickie miały dziś rano spędzić na ćwiczeniach pobożnych. Zosia wróciła do hotelu. W niepokoju, nie mogąc sobie miejsca znaleźć, oczekiwała wyroku. Matki nie było w domu, wyszła nie wiedząc o niczym, przekonana, że Zosia śpi jeszcze i tam gdzieś oddawała się pobożnym praktykom, nie przeczuwając burzy, która się tu rozszalała.

I Zosia rada była, że jej nie widzi i nieskończoną wdzięczność czuła dla monsignore'a Żurowskiego, iż wziął na siebie załatwienie całej tej okropnej sprawy. I jaki on był dobry! Jak serdecznie jej powiedział przy pożegnaniu: „Niechże dziecko nie płacze, nie rozpacza, bo Bóg czuwa i nie da zrobić krzywdy. Trzeba się pomodlić szczerze i uspokoić się. Wszystko będzie dobrze”. Jaki kochany, miły ten monsignore! Łzy napływały do oczu Zosi, gdy o nim myślała. Ale nie chciała się rozczulać ani płakać i w samotności małego mieszkańka starała się czymś zająć. Modliła się trochę, a potem próbowała czytać, porządkowała drobiazgi na stołach, to układała w szufladach swoje rzeczy, ale nic jakoś jej nie szło, wszystko wypadło jej z ręki i umysł oderwać się nie mógł od tego jednego przedmiotu: co powiedzą mama i Terenia? Jak



się to skończy? Więc bezradna, niespokojna kręciła się bez celu po pokoju drżąc i zrywając się za każdym szmerem, co chwila spoglądając na zegarek, to pełna nadziei, że wszystko będzie dobrze, to łamiąc ręce w rozpacz.

— Co się tam dzieje? Co się tam dzieje? — powtarzała, przenosząc się myślą na via Mazzini i widząc w wyobraźni zimną twarz Tereni i gniewne oczy matki.

I sama nie wiedziała, czego się boi, ale strach coraz większy ją ogarniał, krew zamierała jej w sercu i skulona w fotelu, z głową schowaną w dłoniach, lękała się spojrzeć wkoło siebie.

Nagle za drzwiami usłyszała gruby głos męski:

— Tak mówiesz porządnie, ośle jakiś! „lei”, czy nie „ici”? I cichsze tłumaczenie po francusku, że madame est sortie.

— A mademoiselle est? Czy jest? Zosia drgnęła.

— Boże, czyżże mógł to być głos, jak nie stryjcia! Ale skądże tu, w Rzymie? Jakiś Polak, ale nie stryjcio. O, nie! Oni sobie siedzą szczęśliwie w Haliniszkach i ani myślą, że jej tu źle... — I na wspomnienie Haliniszek łzy znowu napłynęły jej do oczu.

Ale sprzeczka za drzwiami trwała dalej. Gruby głos męski miotał po polsku energicznymi wyrazami, aż jakaś silna ręka szarpnęła klamkę, drzwi się otworzyły i stanął w nich pan Adam Halicki.

— Stryjcio! — krzyknęła Zosia i jednym susem była przy nim, otoczona jego ramionami, schowana i przytulona do jego szerokiej piersi. — Stryjcio! Stryjcio! — powtarzała, płacząc i śmiejąc się z razem i obsypując twarz, jego i ręce pocałunkami. — Z Haliniszek! Z domu!... Ach, zabierzcie mnie, zabierzcie do domu... Ja do domu chcę, do babuni... Ja tu nie mogę dłużej...

Płakała na dobre czepiając się ramienia stryjowskiego i twarz kryjąc mu na piersi. A on rzekł:

— Toż ja tego i przyjechałem. Ona spojrzała przez łzy.

— Zabrać mnie?

— A zabrać.

— A skądże stryjcio wiedział?

— Jak to skąd? Toż pisałyście o tych jakichś zaręczynach, więc my zaraz pomyśleliśmy: głupstwo zrobią. A jak przyszedł ten twój list do Ani, co ni to, ni owo, tak widzimy, że źle. Zabrałem się i przyjechałem. Jeśli ten jakiś hrabia będzie miał ochotę, to do Haliniszek wolna droga, niech przyjedzie, pokaże się, a zechcesz wtedy sama, no to zobaczymy. Ale tak, nie wiadomo ani kto, ani co, niedoczekanie jego! Niech przyjedzie... postara się...

— Nie, nie, ja nie chcę! — zawołała Zosia. — Nie chcę go widzieć nigdy, nigdy! Ja myślałam, że on uczciwy, porządny, a on jest okropny człowiek! Nie, nie chcę...

I znowu wspomnienie wczorajszej sceny stanęło przed nią i okryło twarz jej rumieńcem.

Pan Adam zdumiał się i zaniepokoił. W jego błękitnych oczach odbiło się przerażenie, otworzył usta i chciał o coś pytać, ale jakby zląkł się i zamilkł. A Zosia znowu się przytuliła do niego i zaczęła powtarzać:

— Ja chcę do domu, do babuni...

Ale on nie odpowiadał, przerażonym wzrokiem patrząc przed siebie. Jakieś okropne myśli snuły mu się po głowie. Zosia szarpnęła go za rękaw.

— Stryjcio mnie zabierze zaraz do domu? Stryjciu, proszę powiedzieć! On otrząsnął się i spojrzał na nią. Nie, to było niemożliwe! Ale wiedzieć musiał wszystko.

— Zosiu — rzekł sadzając ją przy sobie — trzeba wszystko mnie powiedzieć — co i jak? Od początku do końca — rozumiesz?

Ale ona znowu zaczerwieniła się i zwiesiła głowę.

— Kiedy ja, stryjciu, wszystkiego nie mogę powiedzieć — szepnęła.

— Co?

— Ja wszystkiego nie mogę powiedzieć...

— Jezus, Maria! Cóż ty zrobiła?! — krzyknął z rozpaczą.

— Ja, stryjciu? Ja nic nie zrobiłam. Oni zrobili bardzo źle.

— Kto — oni?

— Hrabia Paulin i... jedna pani. Zatrzymała się, cała czerwona.

— Więc jak to zobaczyłam — mówiła dalej po chwili — to ja im powiedziałam, że już nie chcę wyjść za niego. I nie pójdę, za nic w świecie! — dodała z gniewem. — Bo ja pierwiej jego nie kochałam, to prawda, ale myślałam, że on porządny i że mnie kocha, a przy tym mamie i Tereni był potrzebny i wszyscy mówili, nie potrzeba koniecznie miłości. Więc przyrzekłam. Ale teraz ja wiem, że on kocha nie mnie, a zupełnie kogo innego i że śmieje się ze wszystkiego i za nic w świecie nie pójdę za niego! I niech stryjcio mnie zabierze do domu.

— Zabiorę — rzekł pan Adam.

A przez zęby szepnął z oburzeniem:

— Ot, matka!... Boże odpuść...

Oburzenie to nie wylało się jednak na zewnątrz wobec pani Aliny, która nadeszła spłakana, zawstydzona, nieszczęśliwa, gotowa na wszelkie ustępstwa. Od razu zgodziła się na wyjazd Zosi, na jej powrót do Haliniszek.

— Ja widzę sama — mówiła do pana Adama — że moje starania nie udały się. Już nigdzie przyjemniej być nie mogło, jak tu, a jednak ciągle tęskniła do tych swoich Haliniszek. A co do tego mariażu, to doprawdy, byłam pewna jej szczęścia. On mi się wydawał taki zacny, dystyngowany, wykształcony, jest przecież szambelanem dworu papieskiego. I taki był Zosią zajęty! Doprawdy, nie rozumiem całej tej historii. Przyrzekłam monsignorowi, że Zosi o nic pytać nie będę, więc nie pytam. Ale nie rozumiem. Co, gdzie ona mogła zobaczyć? Tak mi się zdaje, że jej coś się przywidziało. Te panny, to nic nie rozumieją i każdą rzecz mogą sobie wytłumaczyć najgorzej. Ale jeśli ona go nie chce, to trudno, nastawać nie będę. Chociaż... Bóg jeden wie, jaka to dla nas krzywda. Ale cóż robić. Bóg opiekuje się wybranymi swymi — i nie da

zginąć swemu dziełu. A ona niech wraca do Haliniszek. Może jej tam będzie lepiej...

I jakby ta myśl wyjazdu Zosi była dla niej ulgą, nagliła i ułatwiała wszystko. Stało na tym, że wieczornym kurierem wyjadą.

— Ale może by stryjcio chciał kilka dni chociażby przebyć i Rzym obejrzeć? — zauważyła Zosia.

— Ja? — zawołał pan Adam i ramionami wzruszył.

A tymczasem, przebywszy całą przestrzeń z Wilna do Rzymu jednym tchem i mając przed sobą odwrotną drogę — poszedł do swego numeru wypocząć trochę.

Dzień zeszedł na przygotowaniach do drogi. Między Zosią a panią Aliną nie było już wzmianki o całej sprawie. Obie starały się okazywać sobie i wzajemnie serdeczność, ale obie czuły, że dla nich rozstanie to będzie wybawieniem. Zosia na myśl, że wkrótce będzie w domu, wśród swoich, odzyskiwała już wesołość. Po południu wszystko było już gotowe do wyjazdu — kufry zamknięte, skręt podręczny i worek w porządku — pokój cały ogołocoony, pusty.

Pani Alina rzekła do Zosi:

— Czy nie pożegnasz się z Therese Leonie? Zosia przeraziła się.

— Z Therese Leonie, mamó? Ach, Boże!... A ona nie przyjdzie?

— Nie, ona bardzo zajęta. Rozpoczynamy jutro rekolekcje. Wyjść nie może. Zresztą strasznie jest zasmucona. Może byś do niej pojechała?

Zosia spuściła głowę — nie miała ochoty widzieć siostry.

— Będzie jej przyjemnie — przecież ona tylko twego dobra pragnęła... — nalegała pani Alina.

Zosia zgodziła się.

— Dobrze — będę u niej — ale chyba ze stryjciem.

Pan Adam, który po kilkugodzinnym śnie i po spożyciu śniadania gotów był znowu na wszystko, przystał od razu.

Więc pojechali razem do domu Zgromadzenia — pożegnanie odbyło się zimno, ale na pozór serdecznie.

— Pewnie nieprędko się zobaczymy — rzekła Teresa Leonia, stojąc, u drzwi wejściowych — a może i nigdy już na tym świecie.

I nie było ani żalu, ani rozczulenia w jej głosie, gdy to mówiła. Owszem, coś jakby triumf bił z jej oczu. Zosi przeciwnie, łzy zaczęły się kręcić pod powiekami i chociaż nie kochała siostry, teraz czule ją uścisnęła — zapominając i przebacząc wszystko.

— Mamy jeszcze kilka godzin do obiadu — rzekł pan Adam, wsiadając do powozu — może byśmy się gdzie przejechali? Pokaż mi, co tam jest do widzenia w tym Rzymie — to za powrotem zaimponuję proboszczowi.

Więc ruszyli na Forum, wysiedli przed Koloseum, obeszlą Palatyn, potem podążyli do Św. Piotra i długą chwilę spędzili pod najpiękniejszą z kopuł. Zosia żegnała te dobrze znane kąty, myśląc:

— Może już nigdy tu nie wrócę!

I trochę łzawym wzrokiem obejmowała ten Rzym, w którym tyle doznała wrażeń nowych, w którym tyle myśli i uczuć w niej się zbudziło! Ale i przecierpiała niemało, więc myśl o cichej przystani w Haliniszkach napełniała ją radosnym oczekiwaniem.

— A teraz pojedziemy jeszcze do San Piętro in Montorio — rzekła schodząc ze schodów ku powozowi. — Stamtąd widać cały Rzym i okolice jak na dłoni. Stryjcowi wszystko pokażę.

Pojechali więc naprzód przez wąskie zaułki, ciasne i brudne. Minęli bramę San Spirito, potem wzdłuż szpitalnych gmachów długą, prostą ulicą skierowali się ku górze Janiculum, na której coraz gęściej zieleniły się ogrody. Konie powoli wspinały się pod górę, a Zosia tłumaczyła stryjowi wszystko.

— Ależ prawdziwa z ciebie rzymianka — śmiał się pan Adam.

Ona zaś czuła, że z każdą chwilą opada z niej obca, rzymska powłoka, a staje się bardziej podobna do dawnej Zosi, że wyzwała się i otrząsa ze wszystkich naleciałości i jest znowu prostą, wiejską, polską dziewczyną.

Wjechali na szczyt góry i stanęli przed kościółkiem. Kilka powozów stało na tarasie i grupy turystów z lornetkami rbedekerami kręciły się koło niskiego muru. Stąd rozciągał się widok na Rzym cały, na Kampanię i na dalekie góry.

Szafirowe niebo bez chmurki leżało nad Wiecznym Miastem, gorące i przezroczyste, tylko na zachodzie szafir głęboki przechodził w złotoseledynowy i gdzieś płynął po nim purpurowy obłoczek, jak listek róży rzucony w przestrzeń. Słońce skłaniało się z wolna za góry zielone, za Janiculum i Monte Mario, a u ich podnóża leżało miasto ogromne, rude, pocętkowane błyszczącymi plamkami okien i krzyżów, które się zapalały czerwono. Jak rdzawa struga rozlało się ono pod błękitnym sklepieniem, opasane górami, których grzbiety chropawe różowiły się teraz w blaskach zachodu i które stały z dala na widnokręgu, niewzruszone, wieczne.

Więc naprzód na lewo zębaty szczyt Soraktu przedzierał niebo twardym konturem, samotny szczyt wygasłego wulkanu, świecący jeszcze nagą skałą i zwałami kamieni. Za nim szły lekkie, faliste pagórki, spływające wdzięcznie ku dolinie. Tylko w dali, wysoko, jak niewyraźne widziadło senne majaczył okrągły grzbiet góry Leonessy, posiniały w przestrzeni. I znowu szły pagórki faliste, wznosząc się stopniowo aż ku potężnej bryle Monte Genaro, której ciemne linie znaczyły się surowo pośród różowych blasków. W przeczystym powietrzu widniały one porozrywane, strzępiaste, pełne załamań, szczelin i zakrętów, poważne i twarde. A potem stały góry skaliste, złote i różowe, sine, w blaskach całe, jak w szaty barwne przybrane, błyszczące gdzieś nagim, kamiennym ciałem. A linia ich na niebie była szlachetna i miękka i coraz to okrąglejsza, w miarę jak się zaczynały Góry Albańskie, błyskając rozsypanymi, jak klejnoty na błękitnym aksamicie, miasteczkami:

Colonna, Rocca Priore, Frascati, Rocca di Papa, Marino, Castel Gandolfo. Wreszcie, doszedłszy do najwyższego szczytu Monte Cavo, spływały one ku nizinom Kampanii i nikły. I na prawo leżała bezmierna płaszczyna, ku morzu się ciągnąca, niska, wilgotna, szara, pod lazurem nieba — i tylko przecinały ją porwane wstęgi akweduktów i bielejąca grobami via Appia. Była to ziemia bezpłodna już, starożytne Latium, co wydało Rzym potężny, a teraz leżało wycieńczone i ciche.

Zosia i pan Adam patrzyli, stojąc obok siebie, oparci o niski mur kamienny. Jasność i ciepło ogarniało ich, przejmowało uczuciem rozkosznego zadowolenia.

I Zosia zaczęła wskazywać po kolei. O tam, daleko na prawo, płynął Tyber szeroki, powolny, przecięty mostem kolejowym, i ginął w Kampanii. A ten wielki gmach biały to była bazylika Św. Pawła za murami, pyszna świątynia grecka, gdzie marmury i mozaiki lśniły i gdzie w podwórzu klasztornym, wśród arkad i kolumnienek, kwitły róże. Ten mur stary to było średniowieczne ogrodzenie Rzymu; ciągnął się daleko, aż tam, do tej bramy Św. Pawła, przy której rosły cyprysy na protestanckim cmentarzu i wznosił się dziwny zabytek grobowy, piramida Cestiusza. A tu bliżej rozpoczynał się starożytny pogański Rzym, rozsiadły na siedmiu pagórkach: Awentyn, zielony ze swymi trzema kościołami; Celius, gdzie w okrągłej świątyni Św. Stefana męczarnie świętych wyznawców z okropnym realizmem rozpościerały się po ścianach, gdzie olbrzymie ruiny sterczały nagie i rdzawe, gdzie szumiały pinie i pachniały bukszpany willi Mathei; Palatyn, wzgórze cesarów, krwawiące się z dala w słońcu osypaną cegłą swych pałaców, zarysowane na niebie łukami arkad dumnych i żalobną czernią cyprysów, a za nimi, w głębi, poważna bryła Koloseum, a niżej rozsypane kolumny Forum Romanum — widać je stąd było, bielejące, jak spróchniałe kości szkieletu; Kapitol, serce Rzymu, gdzie stare posągi stały jeszcze na straży dawnej sławy i Marek Aureliusz z konia dyktował prawa i do ludu przemawiał, i wilczyca karmiła swe małe, gdzie

błyszczała w słońcu dokończona fasada Aracoeli, gdzie w więzieniu Mamertyńskim unosiły się duchy chrześcijańskich męczenników i tryskało cudowne źródło, ręką Piotra wywołane, którym chrzczył nawróconych; poza tym w głębi, Eskwilin podnosił wysoko wieżyczkę bazyliki Santa Maria Maggiore; dalej szły ogrody zieloną strugą i na ich tle na Kwirynalskim wzgórzu stał pałac królewski, a przed nim na placu wspinały się w podskokach przepyszne konie, przypisywane przez fantazję narodową Fidiaszowi i Praksytelesowi; wreszcie Monte Pincio podnosił swą umajoną głowę i sam tonął w powodzi drzew.

A tu bliżej, ponad rzeszą domów, ulic, dachów zmieszanych razem, wznosiły się jedna za drugą kopuły kościołów. Zosia wszystkie je znała: i Santa Maria im Campitelli i Gesu, i San Carlo a Catinari, i Św. Ludwika Francuzów, i San Andrea delia Valle, i Trinita da Pelegrini — i płaską, ledwie widoczną kopułę Panteonu, gdzie spoczywały zwłoki boskiego Rafaela, i San Carlo al Corso, naprzeciw hotelu di Roma, i świętą Agnieszkę z placu Nerona, i Santa Maria del Popolo, i dwa małe obok kościółki. — I pałace też umiała wskazać: pałac Wenecji, pałac Farnese, budowany przez Michała Anioła, i tu bliżej pałac Corsini wśród pięknych ogrodów, i śliczną Farnesinę, i pałac Falconieri, i ledwie stąd dostrzegalny pałac Colonna. A tu, u samego podnóża tarasu, czerniała w cieniu wielka i ciężka świątynia Santa Maria in Transtevere, z filigranową wieżyczką, a wkoło niej kupiły się i cisnęły domki wysokie i wąskie, o dziwnych balkonikach, schodkach i przybudówkach, starością przyprószone, niewyraźnej barwy, ożywione tylko gdzieniegdzie jaskrawą białością suszącej się bielizny.

Nizej na lewo dźwigała swe ciężkie ciało forteca Św. Anioła.

I miasto całe, i dalekie góry, i ogrody, i ruiny, i kopuły, i wieże owiane były niebieskawą jasnością nieba gorącego i różowymi promieniami zachodu. I nie było w tym obrazie żadnych ostrych konturów ani plam ciemnych, ani gwałtownych kontrastów. Atmosfera przezrocza, jasne barwy, blaski, mgły



leciuchne i ciepłe powiewy otaczały miasto, rozciągnięte w dole — a nad nimi unosiły się chmurą złotą wspomnienia i legendy, duchy bohaterów, rycerzy, mędrców, wodzów, królów i poetów, świętych i zbrodniarzy, postacie posępne i szlachetne, wzniosłe i wytworne, wielkie i potężne. I zdawało się, że to kwiecie duchowe, co z tej ziemi wyrosło, chociaż już znikło, zostawiło po sobie barwy i wonie — wlało w miasto wieczną jakąś jasność, jakiś czar, jakieś upojenie — wyodrębniło je spośród wszystkich innych — i uczyniło je miastem na cały świat jedynym: Urbs orbis.

Zosia stała nieruchoma, wpatrzona w ten horyzont szeroki i barwny. Tak, i dla niej tu się otworzyły szerokie horyzonty — myśl jej wspięła się na wyżyny i poszybowała daleko — serce nauczyło się bić żywiej — wzrok sięgnął głębiej i cała jej istota rozkwitła, rozwinęła skrzydła, nabrała chęci do życia, powiększyła się niejako. Przybyła tu przed pół rokiem nieświadomym dziewczęciem. Dziś wyjeżdża — ale jakże inna! Jak o wiele bardziej oświecona, myśląca i rozumiejąca wielkie prądy, które świat poruszały! Jak o wiele wytworniejsza, wysubtelniona, czująca, estetyczna! Jak prędko dojrzała pod tym gorącym słońcem! Zraniona, zawiedziona przez ludzi i z kroplą goryczy w sercu — ale jakże już świadoma życia, jak pewna swojego celu!

Tak, Rzym był wielkim mistrzem. Ale mistrzem tak łagodnym i pociągającym, że chciało się, jak Maria u stóp Pana, siedzieć i słuchać — a nie zaś, jak Marta, troszczyć się i działać. I wyradzały się tu Marie zapatrzone i zasłuchane, które nie mogły oderwać ust od tego źródła rozkoszy, chociaż tam, daleko, czekała na nie troska i praca — i siedziały z założonymi rękami, ze słodkim w sercu wrażeniem, mówiąc do siebie, iż najlepszą część obrały. A tam — daleko? Tam Marty frasobliwe snuły grubą, szarą przędzę codziennego życia — i tkwały grube, szare płótno narodowego bytu.

Babunia stanęła Zosi w oczach. O, taką babunią być, która nie buduje klasztorów i nie staje jako filar przy papieskim tronie, ale walczy codziennie,

przez życie całe, i trwa. O, być przy niej, dopomagać, współdziałać i stawać się coraz bardziej do niej podobną!

A za postacią babuni zaczęły się przed oczami Zosi przesuwać obrazy dalekie tej krainy, gdzie rosną nad grobami piołuny, gdzie niebo twarz błękitną w szare kryje całuny. I obrazy te poczęły zasłaniać przed nią różany widok Rzymu i ruiny cesarów, i świątynie niezliczone, i ogrody kwitnące, i niebo to szafirowe.

Zwróciła się na lewo. Tam, nad pagórkami ciemniejącymi w mroku, wznosiła się na niebie zwycięska kopuła bazyliki Św. Piotra. Zachodzące słońce ozłociło jej powierzchnię i wielka kula pod krzyżem sypała iskry. I panowała nad miastem, nad światem, napowietrzna jak wizja, odosobniona w swej glorii, niewzruszona w swej królewskości.

A Zosi znowu stanął w oczach ten zachód słońca nad jeziorem w Białogórze i biały kościółek na wysokości z wieżyczką w niebo strzelającą i ów krzyż płonący krwawą łuną zachodu. Tam świecił w niebie znak ofiary i męczeństwa, tu kula ziemską, obraz potęgi... I usłyszała znów te dzwony, które na Anioł Pański wówczas biły... I wspomnienie to poczęło zasłaniać jej widok królewskiej kopuły.

Więc westchnęła głęboko — i rzekła do pana Adama:

— Rzym prześliczny i wspaniały i zawsze będzie dla mnie drogi. Ale jednak — ach, jak mi już tęskno do Haliniszek!

Gdy późno w nocy znalazła się w wagonie, w przyćmionym coupe, gdzie na jednej z kanap spał już na dobre pan Adam, wielkie westchnienie podniosło jej piersi.

— Dzięki Bogu, powracam!

I czuła, że poza sobą niczego nie żałuje, że żadne więzy jej nie łączą z tym, co opuszcza, że cała dusza jej rwie się naprzód, naprzód do swoich, do domu, do kraju! Naprzód, do obowiązków, do wypełnienia powołania, do pożytecznej działalności!

I nawet gorycz nagromadzona na dnie duszy roztapia się powoli i żal za doznaną krzywdę znika i wraca już dawna wesołość, chęć do dobrego i wiara w przyszłość i w szczęście.

Sen zaczął sklejać jej powieki, ale zerwała się jeszcze i wyprostowana poczęła odmawiać wieczorne pacierze. Szła modlitwa do Boga z głębi radosnego serca i składała Mu daninę wdzięcznej i uspokojonej duszy.

— Ach, jeszcze Zdrować Mario za Jerzego — przypomniała sobie. I sennie trochę zaczęła: — Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

A dusza jej poleciała poprzez obce kraje, przez góry i doliny ku śnieżnym stepom i nad samotną jego głową zawisała.

— Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami...? Za nami? Za nami dwojgiem..., za nim i za mną i wszystkimi naszymi ukochanymi, za nami, módl się, święta Mario, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

## CZĘŚĆ TRZECIA

### I

Gdy pociąg wjechał na oświetlony dworzec i Zosia ujrzała przez okno Żydów popychających się ku wagonom trzeciej klasy, żołnierzy śpieszących z tłumokami na piecach i tłum przed drzwiami restauracyjnej sali, i te wszystkie twarze prawie znajome, te głosy przeciągające i trochę śpiewne, te czapki, te kalosze, których od tak dawna nie widziała, gdy tragarz, biorący rzeczy, spytał pana Adama: — A ci pan każe na zwoszczyka — ogarnęła ją szalona radość i zaczęła potrząsać ramieniem stryja i krzyczeć mu do ucha:

— Stryjciu, co za szczęście! Co za szczęście!

Na dworcu był tłok, hałas, rwetes okrutny. Jednocześnie prawie kilka pociągów odchodziło w różne strony. Sale były przepełnione. I Zosia zdziwiła się zauważywszy, iż publiczność tutejsza była bez porównania ruchliwsza i głośniejsza od zagranicznej. Panie zwłaszcza biegały i ruszały się ciągle, niepokoily się i niecierpliwiły. W restauracyjnej sali, gdzie wypadło czekać na odbiór kufrów, huk i brzęk szkła i sztućców był nieustający.

I na ulicy, w okolicach dworca, huczno też było, dorożki i powozy snuły się w różnych kierunkach stukając po nierównym bruku. Tramwaje dzwoniły. Pomimo wieczornej pory wozy ładowne i skrzypiące sunęły ku kolei. Turkot zagłuszał rozmowę.

Ale nagle wyjechano pod sklepienie Ostrej Bramy, zadudniło, echo odbiło się od muru — i konie zwolniły kroku. Na wąskiej ulicy, która się ciągnęła za bramą, było cicho. Powozy, idące stępą, nie czyniły hałasu. Z obu strony piętrzyły się mury, a nad nimi było niebo czarne, usiane gwiazdami. Od dołu Jatarnia rzucała żółtą smugę. Zosia odwróciła się. Wysoko, w kaplicy, migotała lampa czuwająca wiecznie, mrugająca czerwonym płomykiem przed obrazem, płomykiem cichym i nieśmiałym, ale wiernym i nigdy nie gasnącym. A w dole, w mrokach kolumnady, majaczyły jakieś postacie, pochylone,

upadające do stóp Tej Świętej, która stamtąd, z głębi kaplicy, zsyłała łaski naokół, i w ciszy nocnej przemawiała do tych serc zbolałych i słuchała westchnień.

— Stryjciu, ja muszę wysiąść — szepnęła Zosia. — Ja tu muszę się pomodlić.

I gdy uklękła na zimnym kamieniu i głowę pochyliła na złożone dłonie, porwało ją wielkie rozrzewnienie. Witła się z ziemią rodzinną, zespałała się z nią, kolanami w nią wrastała i mówiła do niej: — Nigdy już, nigdy ciebie nie porzucę. — A z tej zimnej ziemi i z ciemnych murów i z nieba zasianego gwiazdami szła ku niej jakaś moc dziwna, a smutek łagodny i słodki rozlewał się w jej duszy. I wdzięczność ogromna rosła w niej, że oto po długim rozstaniu, po przebytych próbach, po groźących nieszczęściach, po tylu przejściach i zmianach jest tu znowu u stóp Tej Świętej, tak jak dawniej, i że wszystko, co groziło, przeszło już, przeminęło jak burza i ona tu jest znowu.

— To dlatego, abym się stała użyteczna tutaj — myślała. I naraz dawna przysięga, złożona wspólnie z Anią, i dawne plany i postanowienia, i Biały Dwór, i wszystko, co było w niej najlepszego, stanęło przed nią. I czuła, że to wszystko jest jej tak drogie, tak bliskie, że rada by za to krew przelać do ostatniej kropli i życie oddać do ostatniego tchu.

— Matko święta! Matko święta! — powtarzała, nie mogąc się zdobyć na więcej słów.

— No, dosyć już, dosyć — rzekł wreszcie pan Adam, który po odmówieniu na klęczkach trzech pacierzy stał za nią z czapką w rękach.

Powitanie w Haliniszkach było niezmiernie czułe. Marszałkowa miała łązy w oczach tuląc złotą głowę Zosi do piersi. Marszałek nie mógł się nacieszyć, że promyczek wrócił. Ania ścisnęła ją powtarzając: — Moja ty biedna, moja Dudusia! — Pan Szrott wypowiedział kilka komplementów ojej wyglądzie, a pan Huniewicz siarczyście szurgał nogami i pochrząkiwał z radości. A Zosia, po pierwszej chwili wzruszenia, śmiała się, plotła trzy po

trzy, całowała ręce babuni i wieszala się na szyi marszałkowi, odcinała się panu Adamowi i droczyła z panem Szrottem. A taka łuna szczęścia od niej biła, że stary dom ożywił się nowym życiem — i babunia, kładąc się do snu, mówiła do marszałka:

— Bogu dzięki, jaka była, taka i jest. Nie zepsuli jej, zdaje się, po tych zagranicach.

— Jasny promyk! I narzeczonego tego tam nie bardzo chyba żałuje, bo w doskonałym humorze.

— At, kochanie moje! Takiż to był i narzeczonego — przybłęda jakiś! Antoniowa dla swojej wygody złapała pierwszego, który się nadarzył.

— Nie Antoniowa, a Terenia. Już to ja, Anuleczko, znam się na kobietach. Ta Terenia to hic mulier — ona tam wszystkim rządzi. Zawsze powiadam, że jak kobieta ma takie blade, mgliste oczy, to skończona sprawa — składaj broń i wołaj: pardon.

— Szczęście jeszcze, że Zosia nie zakochała się. Bóg strzegł!

— Tak, tak! Bóg strzegł! Warta ona dobrego losu. Bo ja sobie czasem myślę, że ona jednak do ciebie, Anuleczko, z charakteru podobna. A z wiekiem będzie coraz to podobniejsza. Więc niechby jej Pan Bóg dał choć takiego, jak ja, męża. Nie mówię, pani moja — miałem ja grzeszki swoje — miałem. Ale kochałem ciebie i kocham całą duszą — i na klęczkach czciłem, jak świętą. Niech i ją, promyczka tego, kto tak samo..., co?

— Ja jej, kochanie moje, większego szczęścia z mężem nawet i nie życzę — rzekła marszałkowa przesuwając dłoń po głowie staruszka.

Tymczasem na górze w panińskim pokoiku długo paliło się światło i długo i szeroko Zosia opowiadała Ani swe dzieje. Przed nią nie było sekretu, więc opowiadała szczerze wszystko — wszystko.

A gdy skończyła, długą chwilę milczały obie. Wreszcie Ania westchnęła i rzekła:

— Dzięki Bogu, skończone twoje utrapienia — i teraz będziemy razem i nie odjedziesz już.

— O, nigdy, nigdy nie odjadę!

I Zosia przytuliła się do Ani, objęła ją i ścisnęła. Tak, teraz już ich nigdy nie opuści, dość ma tego świata i wrażeń nowych. Bezpieczniej siedzieć w domu, pod skrzydłem babuni.

— A jakże ciocia przyjęła tę wiadomość o twoim zerwaniu? — spytała Ania.

Więc jeszcze dokończyła Zosia opowiadania i wyraziła wdzięczność dla ukochanego monsignore'a Żurowskiego i radość swą na widok stryja, i rzekła wreszcie:

— Jednak to jest rzecz smutna. Mam matkę i siostrę, one są święte i dobre, i pobożne, i mają pełno cnót, i niby mnie kochają. A nikt tyle nie zrobił mi złego, co właśnie one. Ja wiem, że to nieumyślnie, że tego nie chciały — ale tak jest.

Pomilczały obie. Późno już było i cisza ogromna panowała dokoła. Wreszcie Ania rzekła:

— Jeszcze to szczęśliwie, żeś ty się w nim nie zakochała. Jakby to o wiele mogło być gorzej!... Cóż okropniejszego, jak potępiać tego, kogo się kocha.

Westchnęła cicho. A Zosia nachyliła się nad nią:

— Ty o sobie mówisz, Aniuś? — spytała.

— Po trosze i o sobie. To okropne — kochać nieszczęśliwie i czuć, że te skarby naszego serca rzucamy na marne — perły przed wieprze...

— Ach, to okropne! Ale..., cóż z nim teraz?

— Z nim — coraz gorzej. Hulał strasznie — narobił mnóstwo długów, więc go wziął Janek do siebie i próbuje zająć go tam czymkolwiek. Ale czy on zechce co robić? Wątpię — on pracy zawsze nie cierpiał.

— Tak, to jest zgubiony człowiek. Chyba, że Bóg się zmiłuje. Zosia przypomniała coś sobie.

— Ach, Aniu — mama dała mi całą paczkę rozmaitych papierów dla ciebie, nie wiem, co tam jest. Ale, czy nie reguła tego zakonu? Bo Teresa Leonia wspominała nieraz o tobie... One tam mówią, że ty chcesz do ich zakonu wstąpić. Czy to prawda?

Ania uśmiechnęła się.

— Jak one zaraz biorą za słowo! Nie, teraz nic nie mogę chcieć, bo babuni i tutejszym wszystkim jestem doprawdy potrzebna. Babunia tej zimy bardzo się posunęła, nie zauważyłaś? Często niezdrowa, kaszle. Ja musiałam nieraz w małych rzeczach dopomóc. Dawniej myślałam, ale teraz...

— Ale teraz już nie myślisz! — zawołała Zosia.

— Nie ciesz się jeszcze, Zosiu. Myślę i teraz, że może tam moja droga — ale tymczasem stąd odjechać byłoby nieuczciwie. Może kiedyś... kiedyś...

— Kiedyś — na święty nigdy — przerwała Zosia tak wesoło, że obie zaczęły się śmiać. A potem rzekła:

— Ach, jak dobrze być w domu!

— Tak — tu prędko zapomnisz o wszystkim.

— Czy wiesz, że ja już prawie zapomniałam? — zaśmiała się Zosia. — Jak o tym mówię, to jeszcze biorę sobie do serca — ale już coraz mniej. A tu, w tych kochanych Haliniszkach, to już mi się wydaje, że to był tylko sen.

I tak było w istocie. Nadzwyczaj prędko wróciła Zosia do równowagi. Po jakimś czasie Rzym, nowe pojęcia, nowe myśli, nowi ludzie, nowe wrażenia zaczęły zasnuwać się mgłą, zaczęły zapadać w dal i znikać. Panna światowa, elegantka, turystka, wielbicielka preraphaelitów i Danta zaczęła ustępować miejsca wiejskiej dziewczynie, prostej i niewykwintnej, wesołej jak skowronek, o gorącym sercu i bardzo określonych ideałach.

— A cóż, mamciu — mówił pan Adam do marszałkowej. — Zdaje się

— jakoś do naszej Zosi nie przystały zagraniczne fanaberie?



— Dzięki Bogu, kochanie moje — odpowiadała marszałkowa. — Jaka była, taka jest. Tylko że ja tam wszystkiego jeszcze rozebrać nie mogę

— dodała po chwili. — Jej pytać — niezręcznie. A ona sama mówić nie ma ochoty. I nie wiem, jak tam doszło do tego zerwania — i dlaczego zerwała?

— Ja tam także, moja mamciu, szczegółów nie znam. To wiem, że lepiej nie pytać.

Pan Adam ręką machnął i milczał. Ale marszałkowa nastawała:

— Kochanie moje, cóż tam takiego mogło być, żeby i pytać nie można było! A mnie wiedzieć trzeba wszystko.

— Kiedy to, widzi mamcia, tam jakaś brudna historia.

— Eh, Adasiu — co ty gadasz! Wy mężczyźni — to zawsze...

— Nie, mamciu. I Zosia sama napomykała — i ten Żurowski, ksiądz, któremu się zwierzyła — jak tylko dowiedział się, że przyjechałem, to przyszedł do mnie, do hotelu. Bardzo roztropny człowiek! Otóż i on mi opowiadał.

Pan Adam zbliżył się i mówił ciszej:

— Ona ich, moja mamciu, zastała — tego Baraniewskiego zjedną damą, ich znajomą — w zanadto wielkich czułościach. Okazało się, że on z nią romans miał od dawna i sobie dalej to prowadził pod bokiem narzeczonej.

Marszałkowa pokiwała głową.

— Niech Pan Bóg broni! Co tam za ludzie! Ale jakże, kochanie moje, Zosia mogła ich zastać? Gdzież ona mogła z taką spotkać się? To nie może być.

— Kiedyż bo, mamciu, ta dama z nimi się znała. To osoba z towarzystwa, mieszkała w tym samym hotelu i ciągle bywały u siebie. Ja nawet, moja mamciu, domyślam się, kto to taki, to Wika Rodwiczowa.

— Kochanie moje, kto wie, co gadasz! — oburzyła się marszałkowa. — Rodwiczowa? Toż ona ma męża, dom, sama z porządnej rodziny. Będzie ona

romansować po świecie! Et, przywidziało się wam i biedną kobietę krzywdzicie! Nigdy w to nie uwierzę.

Pan Adam zaśmiał się.

— Niech mamcia nie wierzy, a tak jest.

— To nie może być. Mężatka, najlepszego ma męża..., czegoż by jej? I gadać o tym nie warto.

— A pewnie, że nie warto. Co było, to było, dość że Zosia nie poszła za tego jakiegoś hrabiego i chwała Bogu.

— Chwała Bogu! Znajdzie ona sobie lepszego.

## II

Minęła wiosna, lato i jesień. Śniegi pokryły białą płachtą kraj cały, mrozy ścisnęły wody w rzekach i jeziorach. Świat był martwy, blady i cichy, jak twarz umarłego. Wsie leżały zdrętwiałe pod szarym niebem, z którego sypało na nie wciąż śniegiem. Ale po miastach budziło się życie, skupiano się, łączono wspólną zabawą. Młodzi potrzebowali wesołości i ruchu, więc ojcowie opróżniali kasy, a matki jechały z córkami na karnawał. I epuzerowie wyruszali także upatrując sobie żony i posagi.

W Wilnie karnawał był w całej pełni, zresztą pełność ta nie przekraczała bardzo skromnych granic: kilkanaście domów tworzących „towarzystwo” i nazywających się „arystokracją” dawało po kolei wieczory tańczące i po kolei, codziennie prawie, spotykali się ci sami ludzie, prowadzili te same rozmowy, zjadali takie same kolacje i wytańcowywali te same walce i mazury pod dyрекcją tegoż samego wodzireja. Nie było w ich rozrywkach różnorożności, ale za to w tym zamkniętym kółku stosunki zawiązywały się bliskie, jedni o drugich wiedzieli wszystko, niespodzianek nikt obawiać się nie mógł, panowała wzajemna życzliwość, nie wykluczająca jednak ploteczek i złośliwości, ale nadająca ogólny ton poczciwości i bezpieczeństwa. Był to też wygodny teren do starań matrymonialnych. Wszystkie te rodziny, będące prawie zawsze choć trochę ze sobą spokrewnione, wiedziały wzajemnie wszystko o sobie, a dzienne wizyty, ślizgawka, five'oclocki i bale dawały młodym nieustanną sposobność poznawania się.

— Trzeba jednak, aby i nasza Zosia trochę świata poznała — rzekła raz pani marszałkowa.

A marszałek i pan Adam pokiwali głowami i uznali, że rzeczywiście trzeba. Już panna na wydaniu, niech sama ludzi pozna, niech i ją poznają. A może...

Więc gdy po bardzo cicho spędzonym lecie nadeszła zima i wieści o kilku zapowiadających się w Wilnie zabawach, a pani Józefowa Halicka odezwała się z projektem przybycia na parę miesięcy do miasta z Lunią, rodzinny areopag haliniski postanowił Zosię jej powierzyć na czas jakiś. Parlamentowano dość długo, mnóstwo okazało się racji za i przeciw, aż wreszcie, w połowie stycznia, wyjechała Zosia do Wilna.

Zosia pisywała często i obszernie, a listy jej były wesołe. Bawiła się dobrze, doskonale, tańczyła dużo, miała ładne toalety, ślizgawki używała z przyjemnością, była na kilku koncertach, poznała mnóstwo młodzieży i umiała każdego swego tancerza opisać zabawnie i dowcipnie, z pannami była na ty, ze stryjenką i z Lunią w najserdeczniejszych stosunkach i nie miała słów dla wyrażenia im swej wdzięczności. Słowem, wszystko było w porządku.

Z pobytu we Włoszech została Zosi pewna dojrzałość, trochę nieufności do ludzi, trochę niedowierzania, dużo wykształcenia, krytyczny i własny sąd o wielu rzeczach, za poważne dotąd uznanych. Został też żal do matki i siostry.

Lato przeszło spokojnie i dziwnie miło dla obu dziewczyn. W słońcu i w zieloności, nad zwierciadłem wód, pod pogodnym niebem, wśród dusz bliskich i pokrewnych łączyły się one coraz bardziej ścisłym węzłem przyjaźni. Zosia, poważniejsza niż dawniej, z zapałem wracała do swych planów i postanowień. Ania przy rosnących stale obowiązkach coraz dalej odsuwała myśl o zakonie, coraz pewniejszym krokiem stąpała po ziemi. I rosła między nimi miłość ogromna i zupełna harmonia.

Haliniszki były bardzo ciche tego lata. Czasem zaledwie jakiś sąsiad zajrzał na krótką chwilę. Bijuciszki też były w tym roku prawie puste. Mela bawiła przez kilka miesięcy w Królestwie u krewnych, Edzio spędzał wakacje na praktyce gospodarskiej. Jerzego nie było, a Emil, prawdziwie roznamiętniony do medycyny, leczył na kilka mil wokoło, objeżdżał wsie, grzebał się w swoich książkach i dla nikogo, oprócz swoich chorych, nie miał nigdy chwili czasu. Jaś wprawdzie wpadał niekiedy do Haliniszek, ale zawsze

ze strzelbą na plecach, z torbą myśliwską, z rękami czarnymi od prochu i stanowczo nie mówił o niczym innym, jak o polowaniu.

Pani Antoniowa, pomimo obietnic, nie przyjechała. Z listów widać było, że sprawa zakonu zachwiała się znowu i że obecność fundatorek jest tam nieodzowna. Każdy list kończył się wylewem serdecznych uczuć i błagalną prośbą o pieniądze. Toteż pan Adam wydawał niecierpliwe westchnienia na sam widok rzymskiego stempla.

Późną jesienią wróciła Mela, zagadkowa, tajemnicza, z przelotnymi uśmiechami na twarzy, łagodniejsza jakaś i już nic złego nie mówiąca o instytucji małżeństwa. Przyparta do muru przez Zosię przyznała jej się pod sekretem, że jest zaręczona z panem Zawidowskim, że kocha go szalenie, a on ją również, że rodzice dali pozwolenie, tylko że jeszcze do wiosny, z powodu różnych jego majątkowych interesów, nic mówić o tym nie można. Wstydziła się zaś okropnie dawnych swych bredni, wypierała się wszystkiego, co kiedykolwiek mówiła o małżeństwie i mężczyznach, i biła się w piersi powtarzając:

— Głupia byłam! Głupia byłam, teraz namawiać będę wszystkich do miłości, bo to jest jedyne, największe szczęście na świecie.

Przybywszy na dni kilka do Haliniszek, szeroko się rozgadała o swych marzeniach o przyszłości, o doskonałości Sewerynka i o jego dla niej miłości. Zosia, zrazu niedowierzająca, zaczęła potem słuchać jej ze wzrastającym zainteresowaniem i toczyły się nieskończone spory i gawędy do późnej nocy w panieńskim pokoiku na górze.

A były też jakieś poufne zwierzenia między Melą a Zosią, do których Ani nie przypuszczono i które w Zosi oczach zapalały takie jakieś zagadkowe blaski i wywoływały wypieki na twarzy. I od tej właśnie pory zaczęła się w Zosi zmiana ta, niedostrzegalna dla innych, a dla kochających oczu Ani wyraźna, która ją tak niepokoiła. Jednak, pomimo dyplomatycznych zabiegów i pilnej

obserwacji, niczego domyślić się nie mogła i to właśnie, ta tajemnica, co po raz pierwszy stanęła między nimi, przerażała Anię.

I teraz w każdym liście, przychodzącym z Wilna, szukała między wierszami wytłumaczenia zagadki i nie znajdowała jej.

Marszałkowa, marszałek i pan Adam cieszyli się z tych kilku tygodni rozrywki dla Zosi.

— Gdyby tam zdarzył się jaki porządny chłopiec — mówił pan Adam — a taki, co by się znał na gospodarstwie, tobym rad był. Już mi ten ich Biały Dwór tu siedzi...

Ucieszył się więc szczerze, gdy pani Józefowa doniosła, że o Zosię stara się pan B. Ale babunia pokiwała głową i rzekła:

— Cóż, człowiek porządny! Jeśli sama go zechce, to niech idzie. A nie pójdzie, to mała bieda! Da Pan Bóg po własnej myśli doczekać.

Więc gdy Zosia sama napisała, że odmówiła panu B., bo go nie kocha, nie było najmniejszego żalu w Haliniszkach. Nawet stryj, po namyśle, rzekł:

— Cóż to, czy to ona jakaś pierwsza lepsza, żeby zaraz za pierwszego iść? Przebiera, bo ma prawo. Nie będzie ten, to będzie drugi, a na koszu nie osiadzie, to pewne.

— Ot, widać woli Boskiej nie czuje — zdecydowała babunia. I nie troszczono się o to więcej.

Zosia zaś ani chwili nie zawahała się. Dla niej jasne teraz było, że jeśli w ogóle kiedykolwiek stanie u ołtarza, to nie z zimnej rachuby, ale tylko z miłości, z woli Bożej, jak mówiła babunia. Dość już miała tej jednej przebytej próby. Wszelkie mariages de raison wydawały jej się wstrętne, ohydne, nieuczciwe. Ale i w ogóle małżeństwo nie nęciło jej bynajmniej. Przeciwnie, z rozkoszą powtarzała sobie, że jest wolna, że nie należy do nikogo, że nie potrzebuje silić się na takie lub inne uczucia. Epokę swego narzeczeństwa wspominała z obrzydzeniem, nie lubiła o niej myśleć i starała się na tę

przeszłość rzucić gęstą zasłonę zapomnienia. I wcale nie miała zamiaru wpręgać się na nowo w to jarzmo, które z taką rozkoszą zrzuciła niedawno.

Więc z lekkim sercem odmówiła panu B., pomimo przedstawień stryjenki Józefowej, która żałowała szczerze, iż nie o jej Lunie chodziło, bo ta miała rozum i nie pogardziłaby dobrą partią.

Był to wtorek zapustny, mroźny, suchy, słoneczny. Sanki z brzękadłami sunęły żwawo we wszystkich kierunkach, rozwoząc to elegantów światowych śpieszących z wizytami, to dzieci, którym w zapusty fundowano szlichtadę, to uczniów zabawiających się za otrzymane złotówki, to wreszcie Rosjan, jadących do jakiejś restauracji podmiejskiej na bliny z kawiozem. Nad końmi unosiły się kłęby pary.

Tramwaje z dzwonieniem posuwały się po wymiecionych szynach. Czasem kareta przejechała zgrzytając po śniegu. Z kominów szły prosto w górę kolumny dymu szarego i rozwiewały się gdzieś wysoko, a w powietrzu pływały drobniutki, brylantowe śnieżynki.

Zosia skręciła z ulicy Wilejskiej na Bonifraterską i zaczęła schodzić szybko w dół ku placowi. Była sama, ubrana ciemno i skromnie, a w rękę niosła sporą paczkę w papier owiniętą, na której niedyskretnie rysowały się gdzieś tam jakieś tłuste plamy. Spieszyła się widać bardzo. Przeszła obok kościółka przez plac i wpadła w wąską Skopówkę. Tam do jednej z bram wbiegła i już galopem puściła się po stromych, zewnętrznych schodach. Na drugim piętrze, zdyszana i zarumieniona, zatrzymała się i pociągnęła za dzwonek.

— Otwarte — odezwał się głos z wnętrza. Zosia uchyliła drzwi i weszła.

Z sionki, będącej zarazem i kuchenką, buchnął zapach roztopionego szmalcu. W głębi, pod płytą, palił się ogień, a przy nim, z patelnią w rękę, w chusteczce na głowie i w fartuchu, stała panna Paulina Narguttówna.

— Ach, to Zosia... kochana! Ot, wizyta! — zawołała i na jej twarzy odbiło się przez chwilę zakłopotanie. — Nie myślałam... a ja tak... po gospodarsku.

— Nie wizyta żadna, moja droga pani. I proszę, broń Boże, sobie nie przerywać! Ja tylko tak, na minutę, mam interes.

I prędko zdejmowała palto, zrzucała rękawiczki i czapeczkę.

— Co to pani robi, pewnie chrust dla chłopców? A co, zgadłam?

— A jakże... chrust. Kupić drogi, cztery złote funt. A dzisiaj przyrzekli przyjść wieczorem. Dużo ich będzie. Więc myślę sobie: w domu usmażę. Ale jakoś nie umiem. Ciasto to mi kucharka z dołu zrobiła, a jakże, taka grzeczna, ale smażyć nie ma czasu, więc ja sama... Ale usiądź, Zosieczko, tam w pokoju, a ja oto, to skończę i zaraz przyjdę.

— Nie, nie! Nigdzie nie usiądę, tylko pani pomogę. O, proszę mi pozwolić! Ja pysznie umiem robić chrust. Zobaczysz pani. Stryjcio bardzo lubi, więc nauczyłam się od Józefa i doskonale umiem.

Zosia zawinęła sobie rękawy po łokcie, gwałtem wzięwszy patelnię z rąk panny Pauliny, stanęła przy ogniu. W czerwonym blasku śliczna była, jasna i złota cała.

Panna Paulina protestowała.

— Jakże tak można! Zmęczysz się — osmalisz przy ogniu — nie można, a pewnie idziecie gdzie jeszcze na bal?

— A idziemy do Tańskich na five o'clock tańczący. Ale to nic nie szkodzi. Moja droga pani, ja tak lubię kucharzyć! Niechże mi pani nie zabrania.

Więc po kilku jeszcze próbach przekonania jej panna Paulina zgodziła się. Zosię przepasała swoim fartuchem, a sama usiadła i patrzyła. I wtedy widać było, że ogromnie się zmieniła ostatnimi czasy. Oczy, zawsze żywe i błyszczące, miały ciemne wokoło obwódki, powieki ociężałe, usta były sinawe, a policzki jakby z lekka nabrzmiałe i woskowej barwy. Włosy świeciły jej nad



żywą i dobrą twarzą jak srebrna korona. I oddech był dziwny, wyrywał się z piersi w krótkich, urywanych odstępach — jakby zdyszany. Ale humor miała zawsze jednakowy. Usiadła i odpocząwszy chwilę zaczęła mówić:

— Bo ja — wiesz, kochana — bardzo lubię zapusty. Jak był Jerzyk w domu, to zawsze na wtorek wieczór zapraszał kolegów, ot, takich, co tu nie mieli nikogo, a jakże, i zawsze bywało u nas wesoło tego dnia. Tańczyli nawet — grali na skrzypcach... Zeszłego roku to mnie tak jakoś smutno zrobiło się bez niego, że zamknęłam się i cały wieczór przesiedziałam sama. Ale potem myślę sobie: a za cóż ich krzywdzić? Cóż oni temu winni, że Jerzyk wyjechał? Więc ot, zaprosiłam, a jakże — i przyjdą. Tak, tak, przyjdą dziś. Niech zabawią się trochę biedacy. Mam dla nich dwa kółka kiełbas, chleb z masłem świeżutkim — no i chrust...

— A ja przyniosłam pani trochę rozmaitych przysmaków dla nich

— przerwała Zosia potrząsając patelnią, na której syczał roztopiony tłuszcz.

— Bo to, wie pani, wczoraj u stryjenki był bal prawdziwy, bardzo paradny, tańczyliśmy do piątej rano. I zostało mnóstwo rzeczy — i nikt tego zjeść nie może. O, tam w tej paczce.

— Ach, moja Zosieczko! Jakaś ty dobra! Ot, pocziwe serce! Pamiętała o moich biedakach.

I panna Paulina rozwijała z pośpiechem wielką paczkę i wykrzykiwała radośnie nad każdą rzeczą.

— Boże kochany, tyle pączków! Ot, będzie radość! Toż oni przepadają za pączkami, a jakże. I kanapki z serem, z kawiozem, jakie śliczne, zgrabniutki...

— Cały ranek wczoraj z Lunią pracowałyśmy nad nimi.

— I szynka świeża, pyszna szynka! Ach, moja Zosieczko, już nie wiem, jak dziękować! Będą mieli bal prawdziwy. Zaraz to wszystko rozłożę, poukładam, ot radość! Szkoda, że Jerzyka nie ma...

I na to imię westchnienie wyrwało się z piersi starej panny i schyliła się do szafki po talerze. A nad płytą, nad pływającymi w szmalcu ciastami, złota głowa Zosi zwiesiła się trochę smutno i z jej piersi także wyrwało się westchnienie.

— Szkoda, że Jerzyka nie ma! — powiedziała ciotka.

A jej w głębi duszy głos jakiś powtarzał to samo. Nie ma Jerzego! Gdzieś na końcu świata, samotny, wlecze marny żywot daleko od wszystkiego, co mu drogie. A myśl jego pewnie często wraca tu, do starych kątów, do swoich, do ciotki, do niej może... Tak, do niej. Czuła teraz i widziała wyraźnie to, co wtedy, w tę noc księżycową błysnęło tylko przelotnie przed jej myślą. Czuła to teraz i wiedziała na pewno — Jerzy ją kochał. Nie tylko słowa Meli poufnie jej do ucha szeptane utwierdziły ją w tej świadomości — nie, przyszła ta pewność sama przez się, bezwiednie — przeleciała przez góry i rzeki, narzuciła się jej. I to poczucie, że jest kochana cicho, czysto, beznadziejnie, bez słów, że tam gdzieś daleko płonie światełko przed jej obrazem, że jego myśl i pragnienie krążą koło niej i unoszą się nad nią jak motyle, bez szelestu, bez słów, to poczucie przejmowało ją rozkoszą.

— Aleja go nie kocham — powtarzała sobie. — Ja nikogo nie kocham i kochać nie chcę. Może kiedyś... za wiele lat. Ale teraz chcę być wolna i ani myślę się kochać...

A jednak myśli jej coraz częściej ku niemu leciały i obraz jego coraz częściej stawał przed nią. Nieraz, wśród wesołej rozmowy, ukazywała się jej nagle twarz jego, ciemne oczy, czoło uparte i dumne, łagodne usta pod czarnym wąsem. Milkła wtedy, zdjeta dziwną tęsknotą i trwogą. I goręcej niż dawniej odmawiała za niego wieczorne Zdrowaś Mario i czasem, z głową, w dłoniach ukrytą, myślała o nim długo, długo...

Panna Paulina powiedziała:

— Szkoda, że Jerzyka nie ma! — i westchnęła układając pączki na talerzu. Zamilkła i zamyśliła się. Wesołe jej oczy zaszły mgłą — bo była dziś

trochę rozstrojona tym dniem zapustnym, wesołym dla wszystkich, a dla niego tak samotnym. Ale gdzieżby płakać teraz miała, przy gościu — i wobec tylu jeszcze rzeczy do załatwienia.

Więc prędko sięgnęła do szafki po drugi talerz i poczęła na nim układać różowe płatki szynki — a czując, że trzeba coś przecie powiedzieć odchrząknęła i miała już zapytać o wczorajszy wieczór, ale Zosia ją uprzedziła. Wyrzuciła na półmisek śliczny, złotawy chrust i, nabrawszy nowych kilka kawałków na patelnię, znowu się pochyliła nad płytą i spytała:

— A pan Jerzy dawno pisał?

— Jerzyk? O, wczoraj miałam list! I wiesz, znowu przysłał dwieście rubli ] dla dzieci Pawłowej. Teraz już ma tylko tysiąc kilkaset rubli do spłacenia. Bo tam było około trzech tysięcy, a on już — z tymi dwustu — to prawie dwa tysiące spłacił — a jakże. Piszę, że ta myśl jemu wszystko osładza.

— Jakaż to Pawłowa? — spytała Zosia, która nic nie wiedziała.

— Ach, prawda, nie wiesz nic, kochana. A ja tak rozpowiadam, jakbyś wszystko wiedziała. Ale to nic, powiem tobie wszystko, bo tu nie ma nic złego — a jakże. A nawet niejeden na miejscu Jerzyka ani by dbał, powiedziałby: nie ja brałem, co mnie do tego! Ale Jerzyk nie. On taki dumny, taki drażliwy! Dziecko moje! Nie miał spokoju, póki nie spłacił. I panna Paulina usiadła znowu na stołku przy Zosi i zaczęła opowiadanie.

— Ojciec Jerzyka był dobrym człowiekiem, ale nie umiał się rządzić. Nic — ot, tak, wszystko jemu z rąk padało. A jak przyszły ciężkie czasy, to i z majątku zszedł i umierając, zostawił długi. Jerzyk wtedy był malutki. Potem matka umarła i on został sam na świecie — bez grosza. Gdzie tam! Jeszcze i matki rzeczy, jakie były, zabrał gospodarz za mieszkanie. Ale Pawłowa tu bliźniutko mieszkała, więc nieraz, jak ją bieda bywało przyciśnie, bo męża miała pijaka i dużo dzieci — to przyjdzie i skarży się, że pan Lipowski ją skrzywdził. A Jerzyk słucha i pięści zaciska, bo cóż on poradzi. Więc gdy ona umierała, to dowiedział się i sam poszedł do niej — miał już wtedy lat

siedemnaście — i przyrzekł, że jej dzieciom odda wszystko — a jakże. I jak tylko skończył nauki, to zaraz pojechał na Syberię. Tam ojciec jego kolegi, Mielina, ma ogromne majątki i lasy, więc wziął Jerzyka dla zaprowadzenia tam gospodarstwa leśnego. Przez ten czas spłaci ojcowskie długi i jeszcze mu coś zostanie na rozpoczęcie tu czegoś — pewnie weźmie dzierżawę jaką albo co przy lasach i już zamieszkamy razem i będzie dobrze. Byle tylko doczekać dał Pan Bóg! Już rok i trzy miesiące, jak on tam jest — da Bóg, prędko czas zbiegnie i będziemy znowu razem.

Panna Paulina opowiadała z twarzą opartą na rękę, zapatrzona w ogień, który buchał i huczał pod płytą i rzucał na twarz jej czerwony blask. Oczy jej błyszczały, takie żywe i młode w zwiędłej twarzy, a na ustach osiadał wyraz bezmiernej czułości.

W kuchence, oświetlonej jedną lampką, rozchodził się zapach tłuszczu, na patelni syczały i rumieniły się faworki. Rosły w coraz wyższą górę na stojącym obok półmisku. Zosia coraz zgrabniej uwijała się, czerwona od gorąca, z zakasanyimi rękawami, to rzucając w gorący płyn białe ciasto, to potrząsając patelnią, to delikatnie przewracając na niej złotawe i kruche kawałki. Ale myśl jej szła za słowami panny Pauliny i słuchała całą duszą.

— Jerzyk pisze — zaczęła po chwili przerwy stara panna — że dobrze mu tam. Ma mieszkanie w lesie, o sto pięćdziesiąt wiorst od najbliższej wsi, ale ciepłe i obszerne — a jakże. Ma co jeść i ma jakąś babę do gotowania. Ale towarzystwa żadnego! Jakiś Niemiec, maszynista, przyjeżdżał tam maszyny ustawiać, ale już wyjechał. Dobrze, że telegraf blisko, bo dla ten nowej kolei potrzebny. Czasem od inżynierów książki dostaje. Sam to tak oszczędza, że nie chciał nawet gazety trzymać. Ale już ja mu zaprenumerowałam i ma — a jakże. Dziecko drogie!

— A jak długo idą listy?

— Listy to idą dwanaście dni do miasteczka. Ale nie zawsze jest okazja, więc przeleżą czasem. Ale teraz on sam już posyła, raz na tydzień. O, latem

jemu będzie lepiej, bo ma przyjechać tam na kilka miesięcy młody Mielin, jego kolega. Ojciec chce mu zdać te majątki, więc żeby przywykł. Jerzyk rad.

— A może pan Jerzy będzie mógł latem przyjechać? spytała Zosia schylając nisko głowę. Czuła, jak jej się robiło gorąco, 'ale ogień był taki duży!

— E, nie, nie przyjedzie — odparła ciotka i westchnęła. — Może by i mógł uwolnić się, ale podróż drogo kosztuje, a jakże... tam, i na powrót. Nie, trzeba już doczekać końca tych trzech lat — wtedy powróci...

— A potem pan Jerzy ożeni się...— A może kiedyś i ożeni się. Daj Boże! Byle doczekać! Byle doczekać... I nagle te łzy, które pierwszej mroczyły oczy panny Pauliny i które ona odpędzała tak usilnie, rzuciły się raptownie, niespodziewanie spod zmęczonych powiek. Kąty ust zadrgały, jęk żałosny z nich się wyrwał i panna Paulina ukryła twarz w dłoniach.

— Pani, droga pani! — zawołała Zosia. — Niech pani nie płacze! Rzuciła się do niej i ukląkszy przed nią otoczyła drobną postacią ramieniem.

— Pani, niech pani nie płacze! Zobacz pani..., wszystko będzie dobrze. Jerzy powróci i z panią już będzie zawsze, i będzie szczęśliwy, i pani także...

Mówiła do niej pieszczotliwie i obejmowała coraz serdeczniej starą pannę, tuląc ją do siebie.

Ale ta sama uspokoiła się zaraz i ocierać poczęła oczy. Tylko lekkie łkanie podnosiło jeszcze jej pierś zwiędłą. I zaczęła przeproszać Zosię, że się przy niej rozbeczała tak niemądrze! Ale to były zapusty, więc jakoś smutno bez Jerzyką. I on tam sam jeden... w tych lasach... A przy tym... przy tym czuła, że... że się go nie doczeka...

— Co pani mówi! Jakże można... — oburzyła się Zosia.

Ale w tej chwili porzucone faworki zaskwierczały, zapiszczały na patelni, tłuszcz wykypiał i rozlał się z sykiem na płytę.

— Boże, mój chrust!

I Zosia się porwała i podskoczyła do kuchni.

A panna Paulina już zupełnie przysła do siebie. Wstała i zaczęła śmiać się cichutko.

— Ot, kochana, nie wiadomo, co o mnie pomyślisz! Stara, płacząca beksa, a jakże... I nie zechcesz już do mnie przychodzić. Ale bądź spokojna już tego więcej nie będzie, nie. Będę rozsądniejsza. Bo i prawda, co pomoże płakać i tęsknić, i przeczynać zło? Będzie, jak Pan Bóg da, a jakże... Ot i wszystko.

Gdy w pół godziny potem Zosia schodziła ze schodów, twarz miała poważniejszą i dziwnie wzruszoną.

— Nie pójdę dziś na bal — myślała. — Powiem stryjence, że jestem zmęczona. I nie będzie to kłamstwo, po tylu nocach. A dziś nie mogłabym tańczyć. O, za nic w świecie!

Miało się już ku wieczorowi.

Na dworze mróz trochę zelżał i niebo pokryło się leciuchnymi chmurkami, które się różowiły w słońcu i płynęły wolno jedne za drugimi.

Na Dworcowym placu śnieg leżał pod drzewami skweru, biały i twardy, a tylko środek ulicy znaczył się szarą, wyjeżdżoną pręgą. Drzewa bezlistne rysowały się jak czarna koronka na niebie. I cisza było wokoło, tylko dzwonki od sanek gdzieś daleko brzęczały.

Zosia szła powoli, zamyślona, zapatrzona przed siebie.

Coś z głębi jej duszy wstawało i chciało się na świat wyłonić, ale ona nie wiedziała, co to jest, i nie rozumiała siebie. Tylko zdawało się jej, że tam, u panny Pauliny, przebyła nie jedną krótką godzinę, ale długie, długie chwile, że od czasu, jak przechodziła tędy, wiele, wiele się zmieniło.

Kościółek bonifratrów był otwarty. Zosia weszła.

Dwie baby, okręcone w niewiadomego koloru gałgany, siedziały u drzwi na stołeczkach. Pod niskim sklepieniem kościółka mrok panował zupełny i tylko w głębi błyszczała lampka przed ołtarzem. Zapach wilgoci i kadzidła unosił się w powietrzu. I było tam cicho, ciepło i bezpiecznie. Szare

cienie spowijały duszę w spokój i w błogość, kładły na czole welon zamyślenia, zmysły zamierały. A z tych murów przesiąkłych modlitwą i westchnieniami szło ukojenie niezmierne. I w tych mrokach, i w tej ciszy przebywał On, Pan serc, Pocieszyciel i Zbawca. Czekał w ołtarzu cichy i wierny...

Gdzeniegdzie majaczyła jakaś zgięta postać, roztopiona w półcieniu, bezkształtna, bezcielesna, pogrążona w modlitwie. Czasem jakiś głośniejszy szept lub jęk stłumiony leciał ku ołtarzowi, a powietrze, kadzidłem wonne, ciężkie było od tych szeptów i od tych jęków, co się kładły chmurą pod Jego stopy. A On czekał w ołtarzu — Pan serc i Pocieszyciel...

Kłęcząc pod ścianą, Zosia czuła, że się coś w jej sercu roztopia, rozlewa potokiem żalości. Ból jakiś, dotąd nie zaznany, ją porwał, a przy tym słodycz ogromna. Czuła, jak jej dusza rozdziera się na dwoje i wchłania w siebie tę drugą bratnią, kochającą i smutną duszę Jerzego — i z nią jednoczy się i łączy, i na wskroś ją przenika. I zdało się jej, że on jest tu blisko przy niej i że potężny prąd od niego idący porywa ją i unosi z nim razem gdzieś daleko w przestrzeń — że zawiązuje się między nimi nic jakaś tajemna, co ich oboje razem splątuje i wiąże.

— Że on mnie kocha — to wiem — myślała — ale ja? Czyżbym go kochała?...

I próbowała bronić się jeszcze, zbuntowała się przeciw tej niewoli, która jej groziła.

— Nie, nie kocham go. Tylko... tylko mi go żal... Ach, żal ogromny!

— I żal ten, jak fala, serce jej zalał i utonął w nim świat cały i bliscy, i dalsi, i ludzie, i sprawy wszystkie, i ona sama utonęła i rozwiała się w tym smutku, w tym bólu, którzy szedł od niego ku niej, jak czarna chmura. — Żałuję go, bo on dobry, szlachetny, dzielny — a taki biedny, tam... samotny... Każdego bym żalowała. Wiedziała, że kłamie sama przed sobą. Powtórzyła jednak mocniej: każdego bym żalowała. Ale gdy to mówiła, brała ją chęć

pocieszyć go, ukoić, wejść w tajnie tego dumnego serca i przytulić go, ukołysać, tak jak się rozplakane dziecko do snu na piersiach kołysze.

— Boże! Czyżby to była miłość?!... I pochylona nad własną duszą, jak nad wzburzoną wodą jeziora, starała się wzrok zapuścić w jej głębiny i zmierzyć się oko w oko z tym potworem, czy też geniuszem, co tak zmacił jej powierzchnię i wypływał teraz nieznany, groźny, tajemniczy... Czyżby to była miłość?... Nie, nie chcę kochać, nie będę.

Zerwała się z klęczek. Usiadła na ławce i rozpoczęła pacierz. Jednak tylko usta modliły się, a myśli latały rozbite jak jesienne liście, które wiatr unosi. Ona chciała być wolna. Nie, kochać nie chce, nie chce. Wie już, co to jest miłość, jaki ona niesmak zostawia.

Ale potwór czy geniusz, co wyszedł z głębin jej duszy, w ciemnościach idzie teraz ku niej. Coraz bliżej, bliżej podchodzi, owija ją swym mglistym ciałem, bierze ją w ramiona, owiewa tchnieniem słodkim a drażniącym... Ona się broni jeszcze —jakaś dziewicza hardość w niej powstaje i woła: nie chcę, nie chcę kochać! Nie chcę tych kajdan, tych więzów, tej służby! Nie chcę być czyjaś..., chcę pozostać nietknięta, wolna!...

Ale potwór czy geniusz unosi ją, pochłania. Ona czuje, że ginie, ostatnim wysiłkiem podnosi wzrok na niego — zmierza się oko w oko. A oczy jego są oczami Jerzego.

— Boże, zmiłuj się! — westchnęła Zosia. I z rękami załamanymi szepnęła:

— Kocham.

Poddała się. Bez czucia pozostała na ławce, nieruchoma, skamieniała.

A z szarych cieniów, co ją okręgały, z mrocznych kątów kościółka, z powietrza pachnącego kadzidłem i wilgocią, ze ścian przesiąknięch westchnieniami i płaczem, z promienia lampki mrugającej przed ołtarzem, szła słodycz nieziemska, rozkosz i upojenie.



A z głębi ołtarza, ze świętego tabernakulum, gdzie przebywał On, Pan serc, szedł do niej głos mówiący:

— Oddaj się, idź za nim! I kochaj... kochaj!... kochaj...

### III

Karnawał się skończył. Pani Józefowa Halicka sama odwiozła Zosię do Haliniszek, zabawiła tam kilka dni i powróciła na Polesie.

Zosia z radością znalazła się w domu. Dość już miała Wilna, miejskiego życia i towarzyskich rozrywek. Zdawało się jej, że tylko w domowej ciszy znajdzie uspokojenie. Bo gdy ochłonęła po tym pierwszym spojrzeniu rzuconym w głąb duszy, zaczęła bronić się przeciwko tej nowej sile, której na razie uległa.

— Nie chcę kochać — powtarzała sobie i postanowiła w ciągłym zajęciu i w systematycznej pracy znaleźć ratunek przeciw ogarniającej ją miłości.

— Niech mi babunia wyznaczy jakie zajęcie — prosiła po powrocie do domu. I wzięła się gorliwie do wyznaczonej sobie pracy.

Ale spokój nie wracał. Jeszcze dni schodziły jako tako. Ale noce były najgorsze, zarazem pełne uroku i słodyczy. Gdy ciemność zrobiła się dokoła, świat realny gdzieś zniknął, a zaczynało się panowanie fantazji, wtedy malała przestrzeń dzieląca ich i byli razem, bliźniutko, złączeni uściskiem. Ona kładła głowę jego na swym sercu, mówiła mu słowa miłości i pociechy i czuła go tuż, tuż przy sobie. Czasem zmęczona całodziennym ruchem zasypiała mocno. Ale wnet budziły ją jakieś głosy na nią wołające — zrywała się, a dokoła panowała cisza i ciemność. Więc zasypiała znowu i znowu jakieś postacie pochylały się nad nią — i coś jej szeptały do ucha; to widziała we śnie ciemne oczy Jerzego, to słuchała jego słów i była z nim razem. A on zawsze był smutny, blady, chmurny. Więc starała się objąć go ramionami i załagodzić jego ból, a czasem czuła na sobie jego ramiona, odrywała się od ziemi i leciała z nim gdzieś razem... Ogarniała ją wtedy taka słodycz, powstawały z głębi jej istoty takie prądy niewypowiedzianej rozkoszy, o jakich na jawie nie miała pojęcia. Czuła, że to był tylko sen, lękała się przebudzenia — i powrotu do zimnej, nudnej rzeczywistości. Po takich nocach wstawała zmęczona, złamana, ze

świadomością ogromnej odległości, która ją dzieliła od Jerzego, zawstydzona sennymi widziadłami, zniechęcona i smutna.

Ania widziała to i domyślała się jakiejś miłosnej przyczyny. Ale pytać nie śmiała.

Bo i Ania miała swój ciężki smutek do noszenia. O tym nieszczęsnym Waciu coraz gorsze dochodziły wiadomości. Przez czas jakiś zdawało się, że się nieco uspokoił; pod kierunkiem Julka zajął się leśnymi fabrykami w Olanowiczach i łudzono się, że rozpocznie porządne życie. Ale oto nagle zerwał się stamtąd, zostawiwszy mnóstwo weksli i długów, i teraz był w Wilnie, pił, hulał, rozbijał się, a znajdował jeszcze takich, którzy nie wahali się dostarczać mu pieniędzy.

Wczesną wiosną przyjechała pani Alina.

Teresa Leonia została w Rzymie na czele zakonu. Zakon, pomimo usilnych starań, nie został jeszcze zatwierdzony przez papieża, ale była wszelka pewność, że lada dzień zatwierdzenie to będzie uzyskane. Wszelkie przeszkody usunięto, kolegium, od którego to zależało, wypowiedziało zdanie przychylnie i czekano na ostateczną decyzję. Tymczasem zakon wzrastał, liczył już sześć aspirantek, a kilka pań czekało tylko formalnego zatwierdzenia, aby przyjąć welon. Niestety, wszystkie te panie były niemajątkne, chociaż wykształcone i z najlepszych domów (jedna nawet była hrabianką), żadna nie posiadała funduszu, który by poprawił mocno zagrożone interesy zakonu. Z każdym dniem było trudniej. Dom nie mógł przynosić żadnego dochodu, a podatki, reperacje etc. pochłaniały corocznie poważne sumy. Utrzymanie sześciu aspirantek i służby, opłacenie kapelana, a przede wszystkim starania w Watykanie, to wszystko wymagało ciągłych wydatków. Dochody z Białego Dworu były kroplą w morzu. I pani Antoniowa przyjechała po ratunek, bo byt zakonu był zagrożony.

— At, niewielka byłaby szkoda! — mruzczał pan Adam.

Jednak i on chciał uregulowania interesów i przede wszystkim działu majątkowego, bo wobec tych wielkich zamiarów i działalności pań Halickich o fundusz Zosi była poważna obawa.

Więc stanęło obopólne postanowienie, że dział należy przeprowadzić co prędzej i staroświeckim obyczajem zwrócono się do sąsiadów.

Parę miesięcy zeszło na rozpatrywaniu się w kontraktach, w rachunkach; w lesie, na oglądaniu Białego Dworu, na obliczeniach i naradach. Jako zasadę przyjęto pozostawienie Zosi majątku, a spłacenie matki i siostry. Była to kombinacja dogadzająca wszystkim trzem stronom zainteresowanym. Ale tu powstała trudność: skąd wziąć dostateczny kapitał, aby panią Antoniową i Terenię spłacić?

A pani Alina, nie mająca pojęcia o interesach, mówiła dużo o swych macierzyńskich uczuciach dla Zosi, ale nie ustępowała ani na jotę ze swoich praw mieniąc je ciągle prawami Boskimi.

Pan Adam się zżymał.

— Zosię z torbami puszczać — mrucał ciągle. — Taka harhara, jak ten Biały Dwór, ani lasu, ani kapitału, same długi! Kto tu wydołać potrafi? Ja i sił już nie mam ani zdrowia... Za pięć lat bank nas będzie licytował!

Aż go pani marszałkowa musiała uspokajać i mitygować, i w długich z nim naradach obmyślać środki ratunku.

Zosi chodziło o jedno tylko, o utrzymanie Białego Dworu w swoim ręku. Zresztą ufała, że z długami sobie poradzi.

— Nic wydawać nie będę, składać będę każdy grosz, to się przecie spłaci kiedyś.

I oburzała się ogromnie, gdy ktoś zaproponował odsprzedanie części majątku.

— Nigdy, za nic w świecie! Ani piędzi ziemi się nie pozbędę — zawołała.

— Ale to by od razu zyskało się dość znaczny kapitał. I reszta zostałaby prawie czysta.

— Nie, nie! Jeśli Biały Dwór daje dziesięć tysięcy dochodu, a będzie długu osiemdziesiąt, to przecież można i procenty opłacić, i corocznie trochę kapitału spłacać.

— Ale żyć nie będzie już z czego — zaproponowano.

— Ja nie potrzebuję żyć, bo mnie babunia wszystko daje.

Zaśmieli się wszyscy i to przekonało ich. I stanął dział. Panie Halickie otrzymywały siedemdziesiąt tysięcy rubli w części natychmiast, w części ratami po pięć tysięcy rocznie przez lat siedem. Zosia brała Biały Dwór.

— Im za kilka lat nic nie zostanie z tego kapitału — mówił pan Adam — i nas zlicytują. To jak amen w pacierzu.

A marszałkowa zawołała Zosię do siebie.

— Czy ty, kochanie moje — zaczęła — dobrze zastanowiłaś się, co na siebie bierzesz? Dług święta rzecz. Czy to matce, czy siostrze, czy obcemu spłacić musisz akuratnie. I ani o swej wygodzie, ani o swej przyjemności nie masz prawa pomyśleć, zanim się długu nie pozbędziesz.

— Ja wiem, babuniu. Ale Białego Dworu przecie sprzedać nie można. Ja wolę oszczędzać przez całe życie, a mieć go. Strasznie lubię Biały Dwór.

— To dobrze, kochanie moje. Tylko trzeba, żebyś wiedziała, co robisz. Bogata już nie będziesz nigdy.

Zosia spojrzała przez okno w niebo błękitne i jasne — i pomyślała o Jerzym. Przecież i on nie był bogaty! Pracować musiał i oszczędzać. Czemuż by jej miało być lepiej? I owszem, niech nie będzie bogata, to może stanie mu się bliższą. Więc odparła spokojnie i stanowczo:

— Ja, babuniu, nie pragnę być bogata. Wiem, że i bez tego można być szczęśliwą. Nieprawdaż, babuniu?

Marszałkowa nie odpowiedziała, tylko pogładziła głowę dziewczyny. Czowała, że ona wie, co robi i że następstwa swoich czynności rozumie. Wychowała ją przecież nie na marzycielkę, ale na roztropną i realną kobietę, która, choć młoda, umiała poważnie patrzeć w przyszłość. I była o nią

spokojna. Nie, dla niej bogactwa nie były warunkiem koniecznym. Był średni, dużo pracy i dużo kochania — to było dla niej szczęście.

Pani Alina nie była jednak zadowolona z działu. Czuła, że ustąpić musi, ale uważała, że dostaną one z Therese Leonie bardzo mało. I to jeszcze nie od razu, ale po części ratami. To było bardzo niewygodne. Próbowowała namawiać do sprzedania części majątku, jak to proponował pan Suniżycki, ale Zosia stanęła przeciwko temu jak mur.

— Nie dam — rzekła — ani kawałeczka, nie dam. Mamie chodzi tylko o ten jakiś klasztor, a mnie chodzi o Biały Dwór. I nie pozwolę, nie, nie! Bez mojej woli działu nie będzie, a ja nie zgodzę się na sprzedaż.

Musiała pani Alina ulec. Czuła w Zosi tę samą zaciętość i silną wolę, którą w Therese Leonie tak podziwiała.

— Ale niestety, jakaż między nimi różnica! — mówiła do siebie. — Tamta, moja święta, idzie przez życie ze wzrokiem ku niebu zwróconym. A Zosia, cała oddana ziemskim sprawom. Tak, to natura pozioma. Była chwila w Rzymie, gdy zaczęła się zapalać do wznioślejszego życia — ale to była chwila tylko. Teraz wzięły zupełnie górę instynkta ordynarne. Ach, czemuż jej wcześniej nie wywiozłam stąd, czemu jej nie wychowałam tam, gdzie by duszę jej umiano wykształcić i podnieść.

Tymczasem jednak należało pogodzić się z losem. Dla formy czekano odpowiedzi Teresy Leonii. A pani Alina oddawała się arytmetycznym ćwiczeniom. Zamieniała ruble na franki, odejmowała, dodawała, dzieliła i zawsze dochodziła w końcu do smutnego wniosku, że z owych rubli nie da się postawić zakonu Sióstr Bolejących na stopie kwitnącej. Za ledwie jaka taka egzystencja była zapewniona. Ale cała nadzieja zwracała się wtedy ku przyszłości i ku tym zastępom aspirantek, które zawitać muszą w progi Zgromadzenia, a z których kilka przynajmniej będzie miało fundusz. Wreszcie przyszła odpowiedź z Rzymu. Teresa Leonia zgadzała się i na , jeśli inaczej

być nie mogło, pewna, że Bóg wybranych swoich nie opuści. Ale w oddzielnym liście do Zosi pisała:

„Nie myśl, kochana Zosiu, abym tego nie rozumiała, że tak mała spleta jest krzywdą dla nas; nie obwiniam ciebie, bo wiem, że masz fałszywe w tym względzie pojęcia i że jesteś pod wpływem tych, którzy cenią jedynie materialne i namacalne korzyści. Warn się zdaje, że utrzymanie kawałka ziemi jest większą zasługą nad założenie polskiego zakonu. A ja ci powiadam, że taki zakon ma pierwszorzędną wagę i że niczego żałować nie należy, aby go rozwinąć i dać mu środki do egzystencji. Ale wy tego nie rozumiecie. Czyż jednak, używając tam najspokojniej bogactw i dostatków, nigdy ci sumienie nie szepnie, że z twej racji matka twoja i siostra muszą sobie nieraz wszystkiego odmawiać i walczyć z ciężkimi trudnościami? Zresztą, nic więcej nie powiem. Zgadzam się na wszelkie wasze układy. Niech Bóg osądzi słuszność naszej sprawy”.

Zosię zaniepokoił ten list, ale tylko chwilowo. Nie, krzywdy niczyjej nie mogła mieć na sumieniu, biorąc majątek obciążony do ostatecznych granic. Sama bogactw nie zazna, ale przeciwnie, przez życie może całe liczyć się będzie musiała z każdym groszem i pracować, pracować. A one tu w kraju miałyby życie wygodne i dostatnie. Któż im każe zakony gdzieś w Rzymie fundować? Zresztą Biały Dwór będzie zawsze dla nich otwarty. Więc wszelkie skrupuły oddaliła od siebie i myśli zwróciła ku nowym obowiązkom, jakie na nią, jako na właścicielkę, czekały.

Pani Alina, chociaż zatrwożona widokami skromnej przyszłości, rada była, że interesy dobiegają do końca i że może już wracać do Rzymu. Razem z Zosią i panem Adamem pojechała do Wilna, gdzie dokonano prawnych formalności działu i z lekkim sercem wyruszyła w drogę. Pożegnanie z Zosią było serdeczne i smutne. Obie czuły, że przepaść, która je od dawna dzieliła, teraz staje się coraz głębsza i wiedziały, że lata całe minąć mogą, zanim się znowu zobaczą. Obie miały łzy w oczach, a jednak obie uczuły ulgę, gdy się już

rozstały. Lepiej im było w oddaleniu. Pani Aliny myśli pobiegły naprzód. Zosia, wyplakawszy się, poszła na pociechę do panny Pauliny i jak zawsze widok jej pokrzepił ją i ukoił, a opowiadania o Jerzyku wlały jej do serca ogromną słodycz.

Wkrótce zapomniała o swych troskach, bo myśli jej zwróciły się ku nadchodzącej uroczystości.

Ślub Meli zbliżał się i obie z Anią miały być na nim, po raz pierwszy wspólnie, jako druhny.

Wielki był ruch w Bijuciszkach. A chociaż wesele miało się odbyć w Wilnie, w hotelu, dla uniknięcia kłopotu i tylko w małym kółku i ani tańców, ani żadnej wesołości nie było w projekcie, panny cieszyły się.

Jakoż odbyło się wszystko uroczyście i poważnie. Panna młoda, świeża i różowa w swych białych tiulach, szła ochoczo do ołtarza, prowadzona przez wybrakowanych drużbów. Za nią pan Seweryn pokrywający wzruszenie miną znudzoną podawał ręce Zosi i Ani.

Zrazu, gdy weszli do kościoła, światła, kwiaty, ołtarz jaśniejący i strojny, gotowy na przyjęcie tych przysiąg, marmurowi święci wychylający się u góry z cieniów kolumn, aby wziąć udział w weselu, muzyka głośna, jasne toalety, tłum ciekawych za kratkami, białe komże i złociste kapy, śnieżne plastrony koszul męskich i lekkie tiule panny młodej, szmer rozmów i szelest jedwabiów, wszystko to zlewało się w akord wesela i radości, ale nie nasuwało myśli głębokich. Był to śliczny salon, trochę inny od zwykłych salonów, przygotowany na przyjęcie tego eleganckiego towarzystwa, które tu na chwilę wkroczyło dla wypełnienia jakiejś przyjemnej ceremonii. Był to zaczarowany ogród, pełen barw i światła, gdzie zaszli ci zakochani dla złożenia jakiejś ofiary dobrym bogom. I wszystko wokoło było poetyczne i pełne wesela i mówiło o szczęściu i o miłosnym upojeniu.

Ale wtem ozwał się głos pana młodego powtarzającego za księdzem przysięgę:



— ... a iż cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi, Panie Boże, dopomóż...

I głos Meli odpowiadał:

— ... a iż cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi, Panie Boże, dopomóż...

Aż do śmierci! I przez zaczarowany ogród przeleciało widmo zimne. Aż do śmierci pójdzie tych dwoje razem, skutych łańcuchem na złą i dobrą dolę. Aż do śmierci te dwie dłonie, związane teraz stulą, trzymać się muszą, złączone, nierozzerwalne. Aż do śmierci, aż do granicy ostatniej, aż nad zrab tej przepaści, której nie ma końca.

— Jak to straszno! — pomyślała Zosia. — Czyja się kiedy na to odważę! Przymknęła oczy i starała się wyobrazić sobie, że to ona stoi tam, na miejscu Meli, u ołtarza, w tej białej szacie i w tym welonie dziewiczym i że ona składa przysięgę. A przy niej kto? Hrabia Paulin? Wstrząsnęła się na jego wspomnienie. Pan B.? O, nie, nie, nigdy! Więc Jerzy? Tak, Jerzy. Jemu tylko, jemu jednemu na całym świecie mogłaby powiedzieć:

— ... a iż cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi, Panie Boże, dopomóż. Obiad weselny był nieliczny, ale przyjemny. Toasty ożywiły towarzystwo.

Wypito mnóstwo butelek szampana i z zadowoleniem udano się na spoczynek. Nazajutrz rano państwo młodzi wyjechali, odprowadzani przez całe weselne grono, a pani Suniżycka, zrozumiałwszy teraz dopiero, że Meli nie ma i nie będzie, zaczęła tonąć we łzach.

I mowy być nie mogło o tym, aby ją samą zostawić. Mąż musiał wracać co prędzej do Bijuciszek, a i synowie rwali się na wieś. W lipcu powietrze miejskie było nie do zniesienia. Ona zaś musiała przez kilka dni pozostawać w Wilnie. Były rachunki hotelowe do załatwienia, rzeczy do spakowania, nie dokończona wyprawa Meli do wysłania, mnóstwo zapomnianych drobiazgów, a wszystko to należało zrobić porządnie, z szykiem, comme il faut. Więc stanęło na tym, że Zosia z nią pozostanie, aby pocieszać w tęsknocie po Meli i dopomóc we wszystkim. Ania, zmęczona i wycieńczona tymi kilku dniami nieregularnego życia, wyruszyła z panem Adamem do domu.

I po fecie nastąpiła raptem cisza i nuda w mieszkaniu u Wigury, do którego się przeniosła pani Suniżycka z Zosią. Wszyscy się rozjechali, rozproszyli, nawet pani Suniżycka ze spuchniętymi od płaczu oczami poszła do krawcowych i modniarek kończyć rachunki i pilnować pakowania, a Zosia, pożegnawszy Anię i stryja, nie wiedziała, co z sobą począć.

— Pójdę do panny Pauliny — pomyślała. — Opowiem jej wszystko. Będzie ze mnie rada.

I wkrótce potem siedziały we dwie przy otwartym oknie, skąd ponad dachy widok się rozciągał na plac Katedralny, Górę Zamkową i zielone ogrody. Słońce za domami skłaniało się już ku zachodowi i powietrze było przyprószone różowym światłem. Gołębie fruwały na dachu katedry, całe śnieżne i jasne w wieczornej zorzy i spadały jak płatki śniegu na ziemię.

— Ach, kochana. I cóż, pięknie było? — pytała panna Paulina zaciekawiona i żądna szczegółów. — I jakże Mela, co? Płakała może? Nie, to i lepiej..., bo czegoż? Dobrze jej będzie, da Pan Bóg.

Zosia musiała opowiadać wszystko. Jakie były toalety, jakie potrawy i kto z kim siedział u stołu, i jakie były toasty, i kto jak wyglądał, i ile co kosztowało, wszystko.

— Czemuż pani nie była? — spytała wreszcie. — Ciocia tak prosiła.

— Nie, kochana. Już na ślubach, to ja nie mogę, tyle osób! Ot, jakoś nie mogę. Poszłam do kościoła, a jakże... i pomodliłam się za nich. Ale być tam, nie, nie, nie mogę. Już na ślubie Jerzyka to będę.

I panna Paulina zaczęła o nim mówić. Była w dobrym humorze, bo miała od niego wiadomość, iż teraz bawi z nim kolega jego, młody Mielin i jeszcze jeden student. Weselej mu więc w towarzystwie. Przy tym i wygodniej także, bo oni przywieźli z sobą kucharza i stół mają dobry. Chodzą też ciągle na polowanie, a do tego Jerzy strasznie zapalony. W ogóle ostatni list był swobodny i wesoły. Panna Paulina przeczytała go Zosi.

I śmiały się obie z jakiegoś dowcipu, gdy nagle stara panna chwyciła się za serce, twarz jej zbladła okropnie, oczy zrobiły się szkliste.

— Co pani? Co to? — krzyknęła Zosia zrywając się.

— Nic, nic. Ot, tak..., trochę boli..., nic. Ot, już zaraz przejdzie.

I rzeczywiście przechodził ból, twarz przybrała znowu zwykły uśmiechnięty i spokojny wyraz i panna Paulina zaczęła się śmiać.

— Przestraszyłaś się, kochana..., a jakże... Ale to nic, u mnie to często bywa. Ot, już i przeszło.

Odetchnęła i oparła się o fotel. Na jej czole perliły się krople potu.

— Czemu pani się nie poradzi — szepnęła Zosia.

— O, nie, nie! Co tam radzić się, leczyć mnie zechcą. A tak, poboli i przejdzie, a jakże. Ot, już i dobrze.

Zosia chciała coś dalej mówić, ale w tej chwili w przedpokoju odezwały się głosy i weszło trzech gimnazjalistów z zeszytami.

— Pani ma zajęcie — rzekła Zosia.

— A tak, tak. Wakacje, więc trochę czytamy razem. Komu nie udało się wyjechać na wieś, to choć tak pociesza się, a jakże... Cóż, kochani moi, zawsze tacy pilni, tacy akuratni.

Chłopcy pocałowali w rękę starą pannę, zaszurgali nogami przed Zosią i zasiedli w głębi, przy stole. A panie zaczęły się żegnać.

— Patrzaj — mówił wysoki młodzian półgłosem, stuknąwszy w bok towarzysza — ot, szykowna facetka. I skąd ją ciotka wykopała?

— Fiu, fiu! to mi pachnie granmondem. A jaka wytentegowana.

— Już to wy — rzekł trzeci — byle spódnice zobaczyli, zaraz i nosy nastawiają. Wstydzilibyście się... Ciekawość wielka. Ot, babiarze!

— Widzisz, obejrzała się... Jak Boga kocham, taka ładna, że ha!...

. — Dalibyście pokój, zupełnie jak instytucji. Zaczniście jeszcze rumienić się.

Gdy Zosia wróciła do Wigury, zastała ciotkę płaczącą. Z załamanymi rękami chodziła po pokoju i co chwila wrywały się z jej ust słowa bez związku:

— Boże, Boże, i po co ja się zgodziłam! Moje maleństwo... on ją tam zadręczy. Jeszcze się rozchoruje. Głupia byłam, należało zabronić, nie pozwolić! Co on tam z nią robi. Boże, Boże!

— Ależ, moja ciociu! — starała się uspokoić ją Zosia. — Czego się ciocia obawia? Pan Seweryn Melę tak kocha...

— Toteż to właśnie!... Kocha! Gdyby nie kochał, to by miał przynajmniej wzgląd jakiś..., a to... Ach, ci mężczyźni, egoiści, wszyscy co do jednego.

I znowu łamała ręce, chodziła po pokoju, płakała i rozpaczała nad córką i nad sobą.

— Ależ, moja ciociu! — mówiła Zosia. — I Mela go bardzo kocha.

— Ach, moja kochana, cóż z tego! Co ona biedna wiedzieć może? Niby to się naczytała wszystkiego, a naprawdę to niewinna jak nowo narodzone dziecko. Czy ona wie, co ją czeka! Kocha! Mój Boże, cóż z tego kochania? Może ona i kocha. Aleja to wiem, że go nie cierpię, nie cierpię, nie nawidzę. I nawet to muszę powiedzieć, że on brzydko sobie postąpił z nami. Mela wcale nie chciała iść za męża, ani trochę nie było jej pilno i gdyby on jej głowy nie przewrócił swoimi pięknymi słówkami, to by ani spojrzała na niego. Gdyby do niej nie robił czułych oczu, a nie plótl jej Bóg wie czego o miłości, to by jej ani na myśl nie przyszło. Naprawdę tak się nie robi w dobrym towarzystwie, to jest podejście! I ja słusznie, zupełnie słusznie mam żal do niego. I teraz..., Boże, Boże, co z nią teraz będzie!

— Co ma być, moja ciociu? Będzie najszczęśliwsza w świecie. Dlaczego nie ma być wszystko jak najlepiej?

— Ach, ty wiesz, ona taka wątła, nerwowa...

— Ależ i w domu była taka sama, a ciocia nie desperowała.

— Moja kochana, to zupełnie co innego — panna a mężatka. Ale ty tego nie rozumiesz i to nawet wcale nie comme il faut, aby panienka mówiła o takich rzeczach.

Nie, tego już Zosia nie zrozumiała. At, biednej ciotce ze zmęczenia i z tęsknoty za Melą pomieszało się w głowie.

Ale jednak i Zosia, gdy się nareszcie położyła do łóżka, długo zasnąć nie mogła. Z drugiego pokoju słyszała, jak pani Suniżycka przewracała się to na jeden, to na drugi bok, jak ucierała nosa i wzdychała ciężko.

I jej własne myśli leciały za nowożeńcami, krążyły koło nich.

Co oni robią we dwoje — sami nareszcie, połączeni i szczęśliwi? Pewnie całują się co chwila, bo już będąc narzeczonymi całowali się pod sekretem, więc cóż dopiero teraz! I rozmawiają, i są w doskonałych humorach. Mela taka zakochana, że wszystkie doskonałości widzi w nim, a i on także...

Byleby on był zawsze dobry dla niej i lubił ją zawsze tak samo. Bo przecie mówią, że mężczyźni bardzo często zdradzają swoje żony, że naprzód kochają się bardzo, a potem przestają i kto inny im się podoba... Jeśli tak, to może i Jerzy już się zmienił, może już tam kto inny go zajął i o niej, o swej Zosi, nie myśli już nawet.

Ale na to przypuszczenie straszny ból ją przejął. Gdyby tak było, toby w niej serce zamarło naprawdę, toby pękło, rozdarło się... A może to by było lepiej dla obojga? Nie, nie! Niech ta miłość przynosi same tylko kolce, niech rodzi samo tylko cierpienie, ale niech trwa, niech trwa, niech trwa wiecznie... I cierpieć przez niego to już jest szczęście. A jak wróci za półtora roku, to wtedy...

Cóż wtedy?

Było to pytanie, które sobie zadawała często, a odpowiedzi na nie jeszcze nie mogła znaleźć.

A tymczasem noc otulała ją swoim płaszczem, aksamitne cienie kładły się na jej głowę. Mury, ściany, granice wszelkie rozplływały się, przestrzeń

malą i w mrokach nocnych on był znowu przy niej. Dusza jej zrywała się jak ptak, któremu skrzydła rozwiążą i leciała do niego. I czuła go najwyraźniej, czuła przy sobie. A zasypiając wśród obrazów minionego dnia jego obraz najwidoczniej miała pod powiekami i jego imię na ustach.

#### IV

Był bardzo wczesny ranek, gdy zbudziło ją stukanie do drzwi.

— Co tam, kto? — zawołała Zosia, zrywając się. Gruba figura pani Wigurzyny wsunęła się do pokoju.

— A jej, moja panno Zofio kochanieńka, nieszczęście! — szeptała głośno.

— Co! Boże mój... Niechże pani mówi!

— Ot, nic więcej, tylko nieszczęście. Już ona, biednieńka, z tego nie wyjdzie.

— Kto, moja pani, kto?

— A któż? Panna Narguttówna. Toż przysłali stróżową, żeby panią obudzić i żeby przychodziła zaraz. Tak ja i sama nie wiem, co robić.

— Ale cóż jej jest?

I Zosia pośpiesznie wciągała pończochy i narzucała ubranie.

— Ot, nic więcej, tylko jej koniec nadszedł. Biednieńka ona! Dziś rano znaleźli przy łóżku, na podłodze jak martwą. Sparaliżowało, czy co?

— Mój Boże, ale żyje jeszcze?

— Żyje. Doktora sprowadzili. I stróżową tu po panią Suniżycką przybiegła, a tak, bliższego nie ma nikogo teraz w całym mieście. Boże mój jedyny! Trzebaż to tak..., pewnie na cugu stała, zawiąło...

W kwadrans potem dorożka zatrzymała się przed domem Pilichowicza na Skopówce. Pani Suniżycka, we łzach cała, zaczęła szukać drobnych w portmonetce. A Zosia już biegła po schodach na górę. W mieszkaniu panny Pauliny drzwi i okna były otwarte. W sionce, która była zarazem i kuchenką, kilka kobiet szeptało w kącie i gdy Zosia weszła, zwróciły się do niej z opowiadaniem. Ale ona nie słuchała, minęła je pośpiesznie, rzuciwszy kapelusz na jakieś krzesło i stanęła progu pokoju.

— Przepraszam, tu nie można — zatrzymał ją jakiś drewniany głos.

I ujrzała przed sobą osobę suchą, o zimnej, drewnianej twarzy, w której poznała sąsiadkę z przeciwka. A za nią, w głębi pokoju, za rozsuniętą firanką, leżała wśród poduszek panna Paulina z szeroko otwartymi oczami. Były w tych oczach trwoga i pytanie, i prośba o ratunek, i odbłask niezziemskiego już światła. Wyglądały one jak gdyby same przez się żyły, niezależnie od tego ciała, co leżało jak martwe, zdruzgotane, bezwładne.

Poznała widać Zosię i zdrową ręką zrobiła znak, oczami wołała ją do siebie i coś próbowała wymówić. Więc Zosia odsunęła od siebie czarną postać, która coś jeszcze protestować chciała i nie obdarzywszy jej nawet słowem, przy łóżku uklękła. Leciutki uśmiech rozsunał zsiniałe usta panny Pauliny i szepnęła:

— To dobrze..., kochana... — i zamknęła oczy.

Rozpoczęły się bolesne, długie dni i dłuższe jeszcze noce. W jasnym pokoju, o szeroko rozwartych na świat boży oknach, konało z wolna dzielne serce, gasła pochodnia, co się przez całe życie gorąco paliła, śmierć kładła tu dłoń swoją. Niebieskawe cienie podkręzały oczy żywe jeszcze, na twarzy przebijała popielata, ziemista barwa i usta obwisły czasem bezwładnie, a słowa z nich wychodziły urywane, dyszące. Czasem bywały chwile polepszenia — wówczas podkładano wysoko poduszki pod plecy panny Pauliny i ona, siedząc na łóżku, robiła projekty.

— Jak wróci Jerzyk, a ja wyzdrowieję — mówiła głosem złamanym, świszczącym — to kupimy sobie domek za miastem — ten, co pod lasem, z altanką — a jakże. Może wtedy i ta ręka będzie już zdrowa. A to, jak kłoda teraz — jak drewno. Z nogą już lepiej — ruszyć mogę — wkrótce chodzić zacznę — może jutro... Bo to, kochana — dodała do siedzącej przy niej — nic gorszego, jak rozleżeć się..., a jakże!

Wodziła oczami po niebie i zajmowały ją chmury ciągnące po błękitach, lot ptaków w przestrzeni, gołębie gruchające na dachu katedralnym, muszki wirujące w słońcu. Wdychała świeże powietrze, pieściła kwiaty, które jej



znoszono — i mówiła o wsi, o górach, o dawnych przechadzkach z Jerzykiem. Jego co chwila wspominała i nieraz długo wpatrywała się w jego fotografię. Nie wiedziała, iż dano mu znać o jej chorobie i nie chciała go niepokoić.

— Martwiłby się tylko — a nic nie pomoże — lepiej niech nie wie. Lubiała przyjmować odwiedziny, więc przychodził często ksiądz Łojski, stary jej przyjaciel, a czasem któryś z jej ukochanych chłopców.

Ale po owych chwilach lepszych, gdy trochę nadziei wstępowało w otoczenie, przychodziły straszne dni męki. Gorączka ją paliła, ból rozdzierał piersi, a serce — to biedne, chore serce — miotало się i rozbijało, i drżało w swej klatce jak ptak oszalały. Wtedy bezwładna ręka i noga także zaczynały boleć. Co chwila jej się zdawało, że gdyby inaczej leżała, to by jej ulgę przyniosło. Przewracano ją więc, poprawiano poduszki — a za kilka minut znowu było to samo.

— Jezu miłosierny! — wołała. — Niech to będzie ofiara za moje grzechy — i za Jerzyka — dodawała cichutko.

Sakramenty przyjęła z wielkim nabożeństwem i często prosiła, aby się przy niej modlono. I wtedy, pomimo cierpień, ukojenie ją ogarniało. Dziękowała obecnym za ich dobroć i przepraszała za utrudzenie.

— Już ja wam tego nie oddam, kochane — mówiła. — Pan Jezus odda za mnie — a jakże! Ja tylko — jak tam będę — to prosić go będę za wami.

W takich chwilach pogorszenia czuła, że śmierć jest nieodwołalna i starała się z tym pogodzić. Ale przychodziło to jej z trudnością.

— Tak bym chciała jeszcze pożyć choćby parę lat — wzdychała.

— Choćby do powrotu Jerzyka. — Ale dodawała zaraz: — Nie trzeba Panu Jezusowi się sprzeciwiać — zagniewa się jeszcze — do nieba nie wpuści.

Na wspomnienie o tamtym życiu strach ją ogarniał.

— Jak wy myślicie, kochane — pytała — czy ja dostanę się prędko do nieba? Tyle nagrzeszyłam, ach tyle!

A gdy ją uspokajano i grzechy jej traktowano z lekka, ona powtarzała strapiona:

— Bo wy nie wiecie. Ja kiedyś próżna byłam i wielka złośnica. Tyle, że Pan Bóg taki miłosierny.

Z dnia na dzień stawała się słabsza — i sama to rozumiała. Nawet w chwilach, gdy ją nic szczególnie nie bolało, czuła, jak siły uchodziły. Był to jakby powolny a nieustający upływ życia, jakby zanik samego źródła istnienia.

— Wczoraj jeszcze sięgałam po fotografię Jerzyka, a dziś już nie mogę — mówiła. — Niedawno mogłam sama trzymać talerz, a teraz za ciężko. Jakież ze mnie grat do niczego! A żyć jeszcze chcę. Oj, głupia byłam — głupia będę do końca.

Pani Suniżycka z Zosią nie odchodziły prawie od niej. Od pierwszego dnia przeniosły się z zajazdu Wigury do pokoiku Jerzego i tu już dni i noce spędzały, zmieniając się przy chorej. Panna Paulina bliskich krewnych nie miała wcale — a z osób z nią zaprzyjaźnionych prawie nikogo o tej porze roku nie było w Wilnie. Panna Leokadia, czarna sąsiadka, obrażona, iż nie dano jej tu pierwszorzędnej roli i nie pozwolono swego systemu zaprowadzić, pokazywała się tylko z rzadka. Do pomocy przychodziły kolejno dwie stare panny Geltenówny, które miały dla panny Pauliny wiele czci i przyjaźni.

Zosia na drugi dzień po katastrofie napisała do Halinisek tłumacząc, że wracać nie może. Na to otrzymała odpowiedź babuni:

„Dopóki tam będziesz potrzebna, to zostań, kochanie moje. My, dziękować Bogu, zdrowi wszyscy, więc obejdziemy się bez ciebie, a widać, że sam Pan Bóg tak chciał, aby się ten smutek i na tobie oparł. Wielka będzie szkoda tej najzacniejszej panny Pauliny”.

Na wysłaną depeszę Jerzy odpowiedział, że wyjeżdża. Więc po tygodniu zaczęto go wyglądać i różne czyniono wyliczenia i przypuszczenia. Ale nikt z obecnych nie wiedział dokładnie, jak długo i kędy mógł jechać. Że listy szły dwanaście dni, to jeszcze niczego nie dowodziło. Może spiesząc się

można było tę podróż odbyć w krótszym czasie. I wstępowała w serca ufność, iż chora przybycia jego doczeka. Lekarze jednak głowami kręcili i nie dawali żadnej nadziei.

Po bardzo męczącym dniu nieustających bólów i strasznej duszności nastąpiła chwila spokojniejsza. Panna Paulina skłoniła głowę na wysoko spiętrzone poduszki i usnęła.

Był wieczór cichy i ciepły. Okna były szeroko otwarte i przez nie widniało lipcowe, zielonawosrebrne niebo, bramowane na zachodzie różową wstęgą, która wciąż bladła. Gdzieś mrugała gwiazdka. Pomimo nocy powietrze było przesycone białością, jakby nalane zimnym, północnym światłem. Z ziemi podnosiła się wilgoć i chłód.

Postawiono w kąciku świecę i osłoniono ją od strony łóżka, rzucała ona ogromne, dziwne plamy czarne i jasne po ścianach. Z ginącego w cieniu kąta dochodził tylko zbolący oddech chorej. Tej nocy pani Suniżycka zgodziła się położyć do łóżka wcześniej, w pokoju Jerzego, aby wypocząć należycie, była już bowiem wyczerpana. Pani Orecka z Zosią miały czuwać, kolejno siedząc przy chorej, to drzemiąc na sofce w przedpokoju.

Zosia przysunęła się do świecy. Aby nie zasnąć, wzięła do rąk robotę. Słyszała, jak ciotka zamykała drzwi, potem jak się pani Orecka umieszczała na sofce i parę razy przewracała, szukając dogodnej pozycji. Potem na wieży katedralnej zegar wydzwonił jedenastą i uderzyły inne w mieście zegary. I zrobiło się cicho.

Czasem w dole, na placu, coś zaturkotało, odezwały się jakieś głosy, ale coraz rzadsze, coraz bardziej oddalone. Czasem wietrzyk powiał, wydymając firankę i trącając o liście w wazonach. Mucha sennie przeleciała przez pokój i obila się o klosz lampy. Zdawało się, że dokoła świat zamarł, że się całe życie skoncentrowało w tym jednym zaciemnionym pokoju, gdzie na łóżku dyszała umierająca kobieta.

Tylko gdzieś z daleka, z drugiego końca świata, pędziła lokomotywa przez kraje, pola, miasta i lasy, jakby na wypródkę ze zbliżającą się tu śmiercią i niosła „jego” do jej stóp. I zdawało się chwilami Zosi, że widzi tę gonitwę, że słyszy turkot i sapanie lokomotywy i jej bieg szalony, a tu czuje coraz wyraźniej, coraz dotykalciej, nadchodzącą śmierć. Ona szła cicho, milcząco, zdradziecko, skradała się po swą ofiarę i wyciągała po nią rękę, tuż blisko... A on, pomimo szalonego pędu, był jeszcze tak daleko!

Panna Paulina poruszyła się na łóżku. Zosia poskoczyła do niej. Nie spała już, oczy były otwarte i błyszczały wśród wychudłej twarzy, ale głowy nie miała już siły trzymać prosto i opadała jej wciąż na piersi, jak zwiędły kwiat opada na łodygę.

— Może pani czego się napije? — rzekła Zosia. — Jest herbata, mleko...

— Dobrze, kochana, napiję się.

A gdy parę łyżeczek przełknęła, odezwała się znowu:

— Teraz mi dobrze, nic nie boli. Chciałabym tobie coś powiedzieć. Czy nikogo więcej nie ma?

— Nie, nikogo. Pani Orecka śpi i ciocia Suniżycka także.

— To przyjdź tu, Zosieczko, usiądź tu, bliżutko, i daj mi rękę. Bo to widzisz, trudno powiedzieć...

Urwała i chwyciła otwartymi ustami powietrze.

— Bo to, kochana, o Jerzyka chodzi — zaczęła znowu cichutko. — Ja ciągle myślę... o nim, a jakże... Onże mój jedyny, moje dziecko drogie! Jak mnie nie stanie, jemu będzie smutno samemu na świecie. Młody, to pocieszy się potem, ale z początku smutno będzie... Więc żeby jemu powiedzieć, że ja zawsze, zawsze... i z tamtego świata będę przy nim..., będę czuwać... i prosić Boga .zawsze... Niech on się nie bardzo smuci...

Oczy jej zachodziły łzami i ręka drżała w dłoni Zosi. — Cóż, kochana, powiesz?

— Powiem.

— Sama? Bo to widzisz, Zosieczko, może to źle, że ja ci mówię, ale widzisz, od ciebie każde słowo będzie dla niego pociechą... Więc w pierwszych chwilach, póki on nie przywyknie..., nie zapomni... Więc sama powiesz?

— Powiem.

— Ot i dobrze, lżej jemu będzie... Bo ty tego nie wiesz...

— Owszem, wiem.

— Co, co wiesz, kochana? Co?

— Wiem, że on mnie kocha. I ja jego kocham.

Zosia wymówiła te słowa wolno i poważnie, jakby składała przysięgę.

Panna Paulina podniosła głowę i oczy jej zaświeciły.

— Co ty mówisz, kochana... — szepnęła po chwili. — To nie może być...

On, ja wiem, że ciebie kocha od dawna, a jakże... od dzieciństwa prawie. I dlatego od ciebie każde słowo będzie pociechą. Ale ty..., kochana, to źle. On biedny człowiek, nic nie ma, a strasznie dumny, drażliwy... To źle, to nie można...

— Kiedy i ja niebogata, więcej mam długów niż majątku. Więc to żadna racja. A zresztą, czy źle czy dobrze, tak jest. I sam Pan Bóg nie poradzi już na to. I ja dalej nie zaglądam w przyszłość, pani droga, i nie pytam, co będzie? Kocham go z całej duszy i wszystko zrobię, aby on był szczęśliwy.

Panna Paulina nie odrzekła nic. Znowu z jej błyszczących, czarnych oczu popłynęły dwie łzy i stoczyły się na zapadłe piersi. Ale jakaś słodycz zdawała się ją przenikać, jak gdyby wywołany przez tę bujną młodość duch miłości łagodził jej cierpienia i rozjaśniał jej troski. Trzymając wciąż rękę Zosi, usnęła spokojnym, pokrzepiającym snem.

— Tak, kocham go, chcę mu się oddać duszą i ciałem. Chcę samotność jego podzielić, pocieszyć go, dać mu szczęście. Tę dumną, hardą duszę przygarnąć i ukoić. Chcę, chcę! — powtórzyła Zosia. — Ja wiem, że we mnie on musi znaleźć szczęście, ja to czuję, ja to wiem, ja tego chcę.

I w piersi jej wzbierała jakaś fala gorąca i serce rozszerzało się i rosło miłością olbrzymią, a w ramiona wstępowała siła i moc nowa ku objęciu i dźwiganiu tego męskiego serca, które, choć tak dumne, nic mniej potrzebowało podpory i opieki.

Noc upływała cicho. Chora spała wciąż spokojnie. Godziny i kwadranse biły na wieży katedralnej, z jakiegoś podwórka kury zapały. Na niebo wyszła ostatnia kwadra miesiąca i osrebrzyła świat. Od wschodu rozszerzała się wciąż różowa jutrznia, a na jej tle ciemno się rysowała Zamkowa Góra i wieża. Biała noc lipcowa miała się ku końcowi. Chłodne oddechy poranku poruszyły firankami i Zosia wstała ostrożnie, aby okna zamknąć.

Ale po tej spokojnej, cichej nocy dzień rozpoczął się straszliwym bólem we wszystkich członkach i osłabieniem tak wielkim, że co chwila trzeba było chorą cucić, dawać jej do wążania eter, nacierać octami skronie. Mowa była utrudniona, pokarmów ani lekarstw przełykać nie mogła. Oczy nawet, te żywe dotąd, wyraziste, czarne oczy, stawały się coraz biedniejsze, nieruchome i powlekały się mgłą. Tylko zdrową ręką ruszała wciąż, jakby szukając czegoś po kołdrze; otwierała ją i zaciskała, gniotąc na sobie falbankę od kaftanika, uporczywym ruchem chcąc coś objąć. Czasem serce bić przestawało, głowa opadała w tył, otwarte usta szukały powietrza, a w oczach zjawiało się przerażenie, prosiły o ratunek, o pomoc. Po chwili, z rzęzieniem, zaczynała znowu oddychać i znowu biło serce, jakby chciało pierś jej rozsadzić.

— Dnia nic przeżyje — zawyrokował doktor ocierając łysinę. — Nie ma co męczyć lekarstwami. Zastryknąć eteru, więcej nic.

Wyszedł. A po pozostałych kobietach dreszcze zaczęły przechodzić. To był koniec nieodwołalny, stanowczy.

W południe przyszedł ksiądz Łojski. Chwilę u chorej zabawił — mówił do niej słowami pociechy i dodawał odwagi. Potem namaścił członki jej, czoło i piersi olejami świętymi na ostatnią podróż, w którą iść miała na tę drogę nieznaną i daleką. Uklękli wszyscy i szły za nią modlitwy do Boga, już nie

prośby o życie, ale o śmierć szczęśliwą i o sąd miłosierny. Ona, choć już mówić nie mogła, oczami łączyła się z tymi, których porzucała — dziękowała im jeszcze, żegnała się z nimi.

Dzień schodził w ciągłej męce. Pod wieczór przyjechali pan Adam z Edziem i były w przedpokoju długie szepty i narady. Oczekiwano Jerzego, obliczano, kiedy i jakim pociągiem mógł przyjechać. Ale jego nie było.

Zosia nie odchodziła od panny Pauliny. Pochylona nad nią wachlowała jej twarz podczas ataków duszności, ocierała zimne krople potu na czole, rozgrzewała stygnące nogi. I zdawało się, że wśród mroków, które ją ogarniają, bliskość tej złotej głowy, ku niej się skłaniającej, dodaje konającej odwagi. Bcż ile razy oczy jej podniosły się ku oczom młodej dziewczyny, mgła z nich schodziła, wracał błysk przytomności, a niekiedy na ustach pojawiał się uśmiech.

Pod wieczór zdawało się, że nadeszła ostatnia chwila. Serce zamarło, z ust otwartych żaden najlżejszy oddech nie wychodził, na twarzy osiadł gęsty i zimny pot. Ale wróciło jeszcze życie, słabe, gasnące, jak płomień wypalanej lampy. I znowu zapadła chora w stan obezwładnienia, znieczulenia zupełnego i leżała już bez ruchu, bez głosu, jak martwe ciało. Tylko rżenie w piersiach świadczyło o tej iskierce, co się tam jeszcze tliła.

Przez całą noc czuwali wszyscy wiedząc, iż noc ta musiała być ostatnia. Nawet panna Leokadia, czarna sąsiadka, przyszła, by dopilnować, iżby wszystko się odbyło wedle form uznanych przez nią za konieczne.

Na namowy ciotki, aby się położyła, Zosia odpowiedziała stanowczo:

— Za nic w świecie.

I dano jej spokój. Została przy łóżku panny Pauliny. Więc siedzieli tam wszyscy razem czekając wielkiej chwili, drżąc na spotkanie strasznego gościa, co miał wejść w te progi. I znowu godziny i kwadransy wybijały na wieżach kościelnych, znowu kury piałły po podwórkach, a wietrzyk szeleścił w firankach. Wielka wiązanka róż, przywieziona dziś z Bijuciszek przez Edzia,

pachniała w szklanym naczyniu. Znowu księżyc wszedł na blade, lipcowe niebo i sączył srebro w powietrze. I wreszcie zza Góry Zamkowej zaczął się rozlewać różowy brzask i wróble zbudziły się pod dachami.

Panna Paulina podniosła głowę.

— Już ranek? — szepnęła niewyraźnie.

A głos ledwie wychodził z jej piersi, bezdźwięczny i cichy. Poruszyły się Zosia i pani Suniżycka i pochyliły się nad nią. Na jej twarzy woskowobladej osiadły już dziwne cienie, ziemiste i sine. Oczy szkliste zdawały się nie widzieć. Rzekła jeszcze:

— Teraz będzie dobrze...

Skłoniła głowę na poduszkę i zamknęła oczy.

— To już koniec — szepnęła głośno panna Leokadia. — Trzeba jej dać gromnicę do ręki.

Jakiś ruch, pocieranie zapalek, szelest przewracanych kartek doleciał z drugiego kąta pokoju. Żółty płomyk zamigotał, a z nim razem przeciskała się przez otaczających łóżko czarna postać i powtarzała swym zimnym, drewnianym głosem:

— Do ręki dać, do ręki...

— Daj pani pokój — rzekł pan Adam odsuwając ją niechętnie.

Ona się oburzyła, szepnęła coś o pobożności i przypadła do łóżka. Do stygnącej dłoni wsunęła świecę i sama, klęcząc, rozpoczęła litanie za konających.

— Kyrie elejson! Chryste elejson! Kyrie elejson! Chryste usłysz nas! Chryste wysłuchaj nas!...

Ale Zosia tymczasem pochyliła się nad panną Paulina i wzrok wlepiła w jej stygnące rysy, jakby je na wieki chciała zapamiętać, wyryć sobie w myśli i przekazać jemu. I znowu oczy konającej otworzyły się i zatrzymały na niej — i mignęła w nich myśl żywa, przytomna. I rzekła cicho:

— Powiedz Jerzykowi..., niech mnie... pamięta...



Chciała jeszcze coś dodać, ale chwycił ją dreszcz i wstrząsnął całym jej ciałem. Wyprężyła się, jęk wyrwał się z jej piersi i zawołała:

— Boże, bądź miłości w! — I opadła na poduszki.

Raz jeszcze usta jej się poruszyły i ledwie dosłyszalnie szeptały słowa:

— Jezus Maria!... — i umilkły. I zrobiła się cisza.

A wtem ozwał się z daleka dzwonek kościelny, zwołujący na prymarię.

## V

Tegoż dnia wieczorem, gdy Zosia, po całodziennym pobycie w zajeździe Wigury, dokąd zabrał ją przemocą pan Adam, i po kilkugodzinnym śnie wróciła do mieszkanek na Skopówce, zastała wszystko uporządkowane i zmienione. Ten pokój, gdzie tyle wspomnień bolesnych i słodkich zarazem uczepliło się ścian, pokój ten był zamieniony na kaplicę grobową. Czarne opony zwieszały się zewsząd, paliły się żółtym blaskiem świece i wielki krzyż srebrny wyciągał ramiona przygarniające i opiekuńcze. Pod nimi, w blasku świec, obstawiona wysokimi roślinami leżała w trumnie panna Paulina. Jej białe włosy zlewały się z tiulami poduszki, oczy miała zamknięte i długie cienie rzęs kładły się na twarzy stężałej, skrzeplej, do kamiennej figury podobnej. Ale wyraz cierpienia i męki znikł zupełnie. I było w całym osunięciu się ciała, w spokoju rysów, w tych rękach skrzyżowanych, w tych spuszczonej powiekach wrażenie odpoczynku po walce, po trudach, po skończonej pracy. Była też i powaga rzeczy nieodwołalnych i wiecznych, surowość i majestat zza świata i oddalenie zupełne od wszystkiego, co tu niedawno było jej życiem. Odpoczywała leżąc wśród płomyków świec i kwiatów, którymi ją obrzucono, i już nic ziemskiego nie mogło jej wzruszyć. Skończyła swą pracę, wypełniła zadanie i legła ze złożonymi na piersiach rękami do snu długiego, długiego...

Przez otwarte drzwi wsuwały się co chwila jakieś nowe postacie. Klękały, szeptały półgłosem pacierz, robiły znaki krzyża, a potem wstawały i długo jeszcze ciekawymi oczami wpatrywały się w umarłą. Liczyły świece, wyciągały głowy ku kwiatom, oglądały złożenia trumny i znikwały ciężko stąpając grubymi trzewikami. A inne znowu się wyłaniały z cienia... Czasami jakieś westchnienia podnosiły się z ciemnych kątów pokoju. Ale jej, leżącej tam na wzniesieniu, było już wszystko obojętne. Nie cieszyły ją hołdy, nie rozczulał płacz...

Pan Adam pociągnął Zosię za rękaw. Wyszli do stacyjki Jerzego. Tam piętrzyły się, zwalone jedne na drugich, meble zsunięte z tamtego pokoju, a na jedynej wolnej sofce, nad szklanką herbaty, siedziała pani Suniżycka, upadająca ze zmęczenia.

— Ja kuzynkę zabiorę ze sobą do Wigury — rzekł pan Adam. — Trzeba się wyspać. Jutro cały dzień znowu... Tu modlić się będzie kilka bab, Edzio wstanie i ta czarna posiedzi do północy.

— I ja zostanę — rzekła Zosia. — Spałam cały dzień, teraz zostanę. Próbowano ją przekonać, ale nie ustąpiła i została. Edzio z początku też siedział z nią razem, mówili ze sobą trochę przyciszonym głosem, obliczali znowu, kiedy Jerzy może przyjechać. Ale Edzia prędko sen zmorzył, bo cały dzień był na nogach. Więc wyciągnął się na sofce i zasnął.

Panna Leokadia zatapiała się w czytaniu jakiejś grubej książki, ale i jej oczy się kleiły i co chwila głowa naprzód się pochylała.

W przedpokoju przy lampce parę kobiet czytało psalmy. Były długie w czytaniu przerwy, bo drzemały z głowami wspartymi na rękach. To zapadała cisza ponura, to nagle głos jakiś się odzywał:

„Z głębokości wołałem do Ciebie, Panie! Wysłuchaj głos mój! Niech będą uszy Twoje naklonione na głos modlitwy mojej. Jeżeli będziesz roztrząsał grzechy nasze, Panie, nikt się przed Tobą nie ostoi. Lecz Ty jesteś litościwy, Boże..."

Strofa kończyła się niewyraźnym mrużeniem i znowu zapadało milczenie. I te pokoje, pogrążone w półcieniu, to ruchome światło, rzucające dokoła niekształtne odblaski, te postacie senne, skłaniające się pod ciężarem jakiejś niewidzialnej mocy, i ta oświetlona figura, nieruchoma i martwa pośrodku, ten kamienny spokój w aureoli białych włosów i białych tiulów, zapachy woskowych świec, świerkowych gałązek i kwiatów, to wszystko razem tworzyło świat jakiś odrębny, nierealny, jakieś królestwo snu i śmierci — duchów i mar.

Tylko Zosia czuwała. Po kilkakrotnych namowach udało jej się pannę Leokadię wyprowadzić stąd do jej mieszkania. Sama wtedy usiadła naprzeciw trumny, w ciszy tej wielkiej, nieruchoma, skupiona, sam na sam ze zmarłą, patrzyła w to drogie oblicze przed sobą.

Przez dziesięć dni jej choroby tyle było przy niej zajęcia, myśli tak były pochłonięte i tak ciągle przechodziły od nadziei do zwątpienia, że nie było czasu na smutek prawdziwy. A teraz wszystko już się skończyło. Ona niczego już nie potrzebowała. Jutro opuści ten dom i wszystko będzie skończone. Więc te ostatnie chwile, gdy mogła być z nią sam na sam, postanowiła Zosia spędzić jak najbliżej tej, z którą łączył ją węzeł wspólnej, a silnej jak śmierć miłości dla Jerzego. On był obecny w chwili jej konania, on wypełniał jej serce, jej życie całe. I umierając, zdała to dziedzictwo Zosi, a ta wzięła je w dłoń i dźwigać już będzie aż do śmierci. Tu, wobec tej cichej i świętej duszy, która jeszcze może unosi się nad ciałem, na tę martwą, ukochaną głowę przysięga kochać Jerzego aż do ostatniego tchu i dać mu szczęście i spokój, i serce swe gorące. Jego los będzie odtąd jej najpierwszą troską, on będzie celem jej myśli, celem jej życia...

... Panie, wysłuchaj modlitwę moją — ozwał się nagle głos w przedpokoju, a dwa drugie odpowiedziały:

— „A wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie! — Nie odwracaj oblicza Twego ode mnie. Gdy zostaję w utrapieniu, skłoń ku mnie ucho Twoje...”

I dalej szedł głos jednostajny i miarowy, wychodzący z ciemności, grobowy i smutny.

Biedna ciotka! Nie doczekała jego przyjazdu. Nie mogła oczu pocieszyć jego widokiem ani ręki złożyć na tej kochanej głowie. Biedny Jerzy, nie posłyszysz już od niej słowa pożegnania i błogosławieństwa, które by mu było skarbem na całe życie. Pędzi gdzieś, co sił starczy, myśląc, że ją może jeszcze uściśnie — a tu... ot, co go czeka...

Ale w tejże chwili z uszpionego w dole miasta, od strony ulicy, doleciał do uszu Zosi szmer jakiś, powóz wjeżdżał w wąski zaułek i turkotał po kamieniach. Nagle stanął. Serce jej zaczęło bić gwałtownie.

— Przyjechał — pomyślała.

Aż usłyszała gwałtowne szarpnięcie dzwonka z bramy, niecierpliwa ręka z całej siły targała nim, a ostry jego dźwięk rozchodził się po podwórku. Jakies szelesty, jakies głosy — skrzyp otwieranej bramy doleciał, a potem wyraźne kroki po kamieniach i szybkie, gwałtowne rwanie się naprzód po stromych schodkach.

— Boże! Boże, zmiłuj się! — powtarzała drżącymi ustami. I ani poruszyć się, ani myśleć nie mogła i nie czuła nic prócz okropnej, bolesnej trwogi.

— Boże, Boże, zmiłuj się!...

I w progu stanął Jerzy. Chwilę stał oniemiały, nie rozumiejąc. Aż wyrwał mu się z piersi jęk załosny. I padł, jakby rażony gromem, do stóp zmarłej.

Była chwila ciszy. Tylko zdawało się, że ściany powtarzają echem ten jęk, że powietrze rozbrzmiewa bólem i drga łzami. I z tej młodej piersi nisko schylonej ku ziemi zaczęły się wydzierać łkania i wstrząsać nią, i miotać, i roznosił się ten płacz po grobowej komnacie, i dzwonił nad głową tej, która tam, obojętna i zimna, leżała, i wołał na nią, i skarżył się jej. A był to płacz jej dziecka.

— Boże! Boże, zmiłuj się!...

Nieruchoma, na swym miejscu, widziała Zosia tę postać klęczącą, tę głowę chylącą się nisko ku ziemi. Widziała, jak ciało jego kurczyło się i drżało w bólu, jak pierś rozrywało łkanie, a ręce ścisnęły czoło ruchem rozpaczliwym. Ten wielki, silny młodzieniec o barczystych plecach i potężnych ramionach złamany był, zmiażdżony, przybity nieszczęściem... I jak strzaskane przez

burzę młode drzewo upadł i powstać nie miał siły. I jak u dziecka łzy gradem sypały mu się z oczu, i wyrывała się z ust skarga:

— Ciotuś moja..., ciotuś!...

Długo łzy płynęły i płacz piersią wstrząsał, aż nastąpiło znużenie tak wielkie, że prawie zemdlenie. Cisza znowu się zrobiła uroczysta, a on podniósł głowę i, nie wstając, zaczął się wpatrywać w umarłą. Na jej kamiennej twarzy był spokój, a płomyki świec drgając rzucały na nią leciuchne cienie. I nie było na niej ani śladu cierpienia, tylko błogość jakaś, jakby rozradowanie.

Z jego oczu znowu powoli zaczęły się sączyć łzy i spadały na ciemne wąsy. I tyle bólu, taki bezbrzeżny smutek wyglądał z jego twarzy, że Zosia już nie mogła dłużej wytrzymać. Cichutko uklękła przy nim i objęła go ramieniem. W tej chwili nie myślała o właściwości swego postępku, czuła jedno: on był jej oddany, za jego smutek ona była odpowiedzialna. Więc coś z wewnątrz zmuszało ją do pocieszenia i kojenia. Zresztą nie mogła już dłużej patrzeć na tę jego rozpacz, jej kobieca dusza drżała współczuciem i ramiona bezwiednie otwierały się ruchem macierzyńskiej opieki.

Jerzy drgnął na jej dotknięcie i podniósł wzrok. A gdy ujrzał jej twarz przy jej twarzy, nagły błysk szczęścia rozświecił jego oczy i jakieś słowo nie wymówione zadrżało mu na ustach. Ale wnet ból zwyciężył i znowu pochylił głowę na załamane ręce. Ona zaś silniej go objęła, jakby na znak, że jest tuż blisko ktoś, kto z nim razem się smuci, jakby mu przypomnieć chciała, że nie jest jeden na świecie, że ma przy sobie serce kochające i wierne. Klęcząc razem milczeli. Ogarniało ich oboje rozczulenie, słodczyz jakaś tęskna i smętna. I od zmarłej szedł ku nim spokój i cisza, i otulał ich dwie dusze miękkim płaszczem melancholii i łączyły się te dwie dusze, zlewały się w jeden wspólny ból.

Nagle jakieś wspomnienie targnęło myślami Jerzego i znowu zaczęły płynąć łzy. Ale pod ciężarem tego ramienia, które go otaczało, i łzy te były mniej piekące. I zaczął się skarżyć, jak dziecko skrzywdzone:

— I co ja teraz bez niej zrobię..., co ja zrobię?... Ją tylko miałem na świecie..., ją jedną. A teraz... I taka dobra była..., i tak mnie kochała! A teraz już nikogo nie mam..., nikogo, nikogo na całym świecie! Jestem sam... I co ja teraz zrobię?...

— Masz mnie — szepnęła Zosia.

Ale on nie zrozumiał, czy nie dosłyszał, i mówił dalej:

— Tam, na Syberii, dni liczyłem do końca tych trzech lat, żyłem jak pies, pracowałem i zbierałem każdy grosz, aby długi spłacić i powrócić swobodny, i z nią zamieszkać i dać jej starość spokojną. A teraz ot, czego się doczekałem..., nawet jej pożegnać nie mogłem... I teraz jestem sam na świecie i już nikt się o mnie nie zatroszczy..., nikt...

Dwie łzy spłynęły mu po twarzy. Otarł je i rzekł:

— Może to dziwne, że ja płaczę, ale nie mogę..., ach, nie mogę!... Jadąc, miałem ciągle nadzieję. A teraz, wszystko skończone.

— Ona podczas choroby mówiła często o swoim Jerzyku — zaczęła Zosia. — I w chwili śmierci ciebie wspomniała. Fotografie twoją ciągle miała przy sobie.

— Ach, ciotko! Ciotko! — szepnął on z nowym wybuchem żalu.

I Zosia zamilkła, niepewna, czy mu nie przysparza męki. Tylko coraz mocniej otulała go ramieniem.

— Opowiedz wszystko — rzekł wreszcie.

Usiedli razem i trzymając się za ręce patrzyli w twarz zmarłej. A Zosia szeptem mówić zaczęła. On słuchał, nie odrywając oczu od kamiennych rysów. Czasem tylko dreszcz nim wstrząsał i ścisnął wtedy rękę Zosi.

— Ona kazała powiedzieć — mówiła Zosia — żebyś nie rozpaczał — żebyś nie smucił się zanadto, bo ona zawsze będzie i a tamtego świata patrzeć na ciebie i Boga prosić za tobą, i czuwać. I nie będziesz zupełnie samotny... I kazała mi przyrzec, że ja ci to wszystko powtórzę sama..., bo myślała, że ci milej będzie... posłyszec to... ode mnie... — dodała cicho.

Jerzy spojrział na nią. Siedziała ze spuszczoneymi oczami i z rumieńcem na twarzy. Ale wobec tego nieszczęścia, co w niego uderzyło, miłość jego tak na razie Zbladła i zmalala, że nie był w stanie odczuć jej, nie widział nic jeszcze, nie rozumiał. Czuł tylko, że obecność jej sprawia mu ulgę i że naprawdę nie jest zupełnie samotny.

Zosia rzekła po chwili:

— Bo mi ciebie tak żal, tak żal! Wszystko bym zrobiła, aby ci być pociechą... gdybyś tylko chciał...

Płacz zadrgał w jej głosie i urwała. A on zrozumiał na koniec. Przez łzy, którymi jeszcze zalane były jego oczy, błysnęła radość, porwał obie jej ręce.

— Ty!... — szepnął — Ty!... Więc ty... mnie?

— Tak — odrzekła.

On osunął się przed nią na ziemię i złożył głowę na jej kolanach.

I siedzieli tak razem, nieruchomi, milczący. Płomyki świec zaczęły blednąć i jakaś szarość przeniknęła powietrze, sącząc się przez czarne opony.

A w ich dusze sączyła się też powoli błogość nieziemska, czysta i święta. Bez słów wyznawali sobie swą miłość, zaręczali się w obliczu zmarłej, brali się wzajemnie na życie i śmierć. I śmierć, pod której skrzydła miłość ich się garnęła, dodawała powagi ich niemej przysiędze.



## VI

Zaraz po pogrzebie panny Narguttówny pan Adam zabrał Zosię do Haliniszek.

— Niepotrzebna już tu jesteś — zawyrokował — a nam bez ciebie źle. Jazda do domu!

Ona zrozumiała, że nie było racji zostawiania tu dłużej. Zresztą Jerzego od owej pierwszej nocy prawie nie widziała. Zajęty był, chmurny, milczący i zdawał się towarzystwa w ogóle, a jej w szczególności, unikać. Po pierwszym wybuchu żalu, którego jedynym świadkiem była ona, po wylaniu łez i wypowiedzeniu swej boleści, zamknął się w sobie. I jakby się wstydził tej chwili niemęskiego rozczulenia, stał się ponury, zimny, nieprzystępny i z surową na czole zmarszczką wypełniał swą rolę. Tylko w chwili, gdy spuszczano trumnę do dołu, Zosia dostrzegła z daleka, jak jego wysoka postać schyliła się nad grobem, a potem ręce podniosły się do twarzy ruchem rozpaczliwym. Zaraz zaś potem znikł i już go pożegnać nie mogła. Wyjeżdżając prosiła Edzia, aby go prędko przywiózł do Haliniszek.

Suniżycy mieli wracać do siebie nazajutrz i Jerzego zamierzali wziąć do Bijuciszek na czas jego urlopu. Stało się jednak inaczej, on im oświadczył, że jeszcze przez tydzień pozostanie w Wilnie i dopiero potem przyjedzie. Wielki stąd wynikł spór, ale on nie ustąpił i pozostał sam jeden w pustym mieszkaniu.

Potrzebował rzeczywiście tej samotności, aby się zorientować i rozejrzeć w swym nieszczęściu. Zdawało mu się, że wśród tych ścian ukochanych, przesiąkniętych jej duchem, łatwiej odnajdzie równowagę i potrafi przywdziać potem szczelniejszą maskę przed ludźmi. Czuł, że sama podstawa jego życia zachwiała się i runęła. Czuł, że życie to będzie musiał odbudowywać na nowo i na innym gruncie. Czuł się oderwany od pnia, który stanowił podporę i jedyną rację bytu, i uniesiony na wolę wiatrów, jak liść zielony jeszcze żyjący, a przez burzę miotany i skazany na zagładę. Nie miał pod

nogami gruntu, nie miał już przed sobą celu, ani nadziei żadnej, a życie leżało przed nim długie, wstrętne, bezbarwne i głupie, jak piaszczysta droga pod mglistym niebem. Serce miał porwane na strzępy, umysł zachwiany, wolę złamaną. Więc jak zraniony zwierz skrył się sprzed oczu ludzkich, zakopał się w tej kryjówce, gdzie mogły go odwiedzać tylko duchy, i zamknął się ze swą rozpaczą sam na sam.

A rozpacz ta była tym silniejsza, że wmieszała się do niej kropla słodyczy i wzburzyła uciszone przez czas i silną wolę uczucie. Miłość, która drzemała pod warstwą codziennych trosk, teraz wybuchła gwałtownie i wstrząsnęła całą jego istotą. Ta noc przyjazdu, noc niewypowiedzianej boleści i zarazem rozkoszy niebiańskiej, zrujnowała nie tylko jego najdroższe przywiązanie do ciotki, ale i w proch obróciła pracowity gmach jego dumnych postanowień. Ona miała nigdy nie wiedzieć o jego miłości. Dziś wiedziała, co gorsza, kochała także.

Na tę myśl znowu fala rozkoszy zalewała mu serce. Kochała go! Czuł to, wiedział, był tego pewny. Słyszał znowu jej urywane słowa, widział jej złotą głowę, skłaniającą się ku niemu, czuł na sobie ciepło jej ramienia. I wspomnienie tego, co wówczas, wobec nieszczęścia i śmierci, nie wywołało w nim żadnego zmysłowego wrażenia, dziś zapalało ognie na dnie jego istoty, szarpało jego nerwami i budziło szalone pożądanie.

W cichych ścianach mieszkanca, wśród pamiątek po tej świętej, przed jej pustym łóżkiem, przed fotelem, w którym siedziała zwykle, przy kwiatkach, które ona pielęgnowała, Jerzy wykolejony i złamany prowadził z sobą walkę. Rozsądek i duma mówiły mu: Uciekaj co prędzej. Tam, na Syberii, zagrzebiesz się, będziesz pracował, zdobędziesz sobie fundusz, spłacisz długi, a kiedyś może powrócisz — zgorzkniały, zmęczony, ale nikomu nic nie winien, niezależny, obcy wszystkim, ale bez cienia zobowiązania do wdzięczności. Będziesz wiecznie samotny, ale dla takich, jak ty, nie istnieje rodzina, nie istnieje własna kobieta. Takim klub i restauracja mają starczyć za dom

rodzinny, a kokota — za żonę. I śmieszny jest, wprost głupi człowiek, który wyciąga ręce do gwiazd na niebie zapalonych dla ludzi innego świata. Gwiazda nie zniży się do niego, a on tymczasem wpadnie do rowu.

Ale wtedy odzywał się inny głos, cichy i nieśmiały: Ona mnie kocha, czuję, wiem, że mnie kocha. Więc czemuż mam się dobrowolnie jej zrzekać i iść tam, sam jeden, na wieczną mękę? Jeśli mnie kocha, to takiego, jakim jestem. Więc czemu?

Rozsądek zaś powiadał znowu, że na to panięskie kochanie rachować nie można. Wzruszenie, współczucie, sugestia otoczenia to i dosyć, aby panna sobie wyobraziła, że już bez niego żyć nie może. Odjedzie, to i cała miłość się rozwieje i drugi przedmiot się znajdzie. Przecie nie tak dawno była z kim innym zaręczona. A nawet, gdyby na razie kochała go, to i co z tego? Rodzina nigdy by się nie zgodziła na podobny mezalians i ostatecznie miałyby rację. Bo i jakąż on partię stanowi?

— A jednak, gdyby ona naprawdę kochała!...

I widział ją znowu w tej żałobnej komnacie, w blasku gromnicznych świec — pochyloną nad nim, ze łzami w błękitnych oczach. I to zespolenie się w niej miłości ze śmiercią, grozy wieczności z tą słodyczą kochania dodawało jej jakiegoś mistycznego uroku, otaczało ją zaziemskim czarem. I dzwoniło mu w uszach stare przysłowie:

— Śmierć i żona od Boga przeznaczona.

Śmierć i żona, dziwne zestawienie! Jak się jednak teraz zdołało przyoblec w realną formę!

Zdawało mu się czasem, że ciotka, odchodząc, umyślnie tamtą tu zostawiła, aby jej miejsce zajęła w jego życiu. Umarli nie wstają, aby powitać przybyłych, ale umarłych zastępują żywi. Więc w obliczu zmarłej, leżącej wśród kwiatów, nieruchomej i obojętnej, ona powstała na jego przyjęcie, otworzyła mu ramiona i witała go dobrymi słowami i brała troskę o niego jakby w spuściźnie po tamtej. „Śmierć i żona od Boga przeznaczona”.

Ogarniała go szalona tęsknota za tą zmarłą, która mu była wszystkim na świecie. I w ciszy mieszkanka wspominał swe życie całe, jej obecnością opromienione, sieroctwo swoje, przez nią utulone, i łzy mu napływały do oczu, gdy myślał, że już teraz dla nikogo na świecie nie jest „dzieckiem”, „Jerzykiem”.

Szedł na grób jej, na Roszę, gdzie wędły rzucone kwiaty i bladły na słońcu ws, tęgi wieńców i długie tam spędzał godziny. A po powrocie do pustego mieszkania ogarniał go znowu smutek bez granic.

W umyśle jego rosło jednak z dniem każdym silniejsze przekonanie, że uciekać trzeba. Puścić w niepamięć tę noc, jakby jej nie było, zdusić w sobie szarpiące go siły, zagasić ogień i pożegnać się na długie lata.

Będzie to najlepsza, najgodniejsza droga...

Tydzień minął w tej samotności, gdy jednego dnia ukazał się we drzwiach Emil, przybyły wprost z domu z zamiarem zabrania Jerzego z sobą. Naprzód oburzył się na jego wygląd:

— Do czego ty jesteś podobny — istny trup! Wiesz co, chyba masz gorączkę, daj, zaraz zmierzę ci temperaturę...

I sięgnął do kieszeni po nieodłączny termometr. Ale Jerzy zawołał:

— Dajże mi pokój ze swą medycyną, nie potrzebuję niczyjej opieki. Jeśli nie masz nic lepszego do powiedzenia, to po coś przyjeżdżał?

— Przecie tydzień minął, więc przysłali po ciebie.

— Nie wiem, czy będę mógł wyjechać.

— A co, mówiłem, żeś chory, z twojego zachowania to widać. Tym bardziej muszę cię zabrać. Rekolekcje już odsiedziałeś. Nic nie pomoże trapić się i desperować nad tym, czego odrobić nie można. Póki żyła ciotka, kochałeś ją. Umarła — sprawiłeś pogrzeb paradny, przyszyłeś do klapy białą tasiemkę — no i już. Ani jej, ani sobie nie pomożesz, jak będziesz siedział i gnął tu latem w tym zapowietrzonym Wilnie. Siebie zresztą już doprowadziłeś do

nerwowego wyczerpania. A przy tym możesz jej równie dobrze żałować na wsi, jak w mieście.

— Emilu, przestań — rzekł Jerzy surowo. — Nie wiesz, czym ona była dla mnie?

— Owszem, wiem — najlepszą matką była. Ja sam jej okropnie żałuję. Póki był człowiek w gimnazjum, cała pociecha była przyjść do cioci Paulinki. Ale cóż stąd? Czyż dlatego zdrowie sobie psuć i wyrzec się obławy?

— Obławy?

— A to nie wiesz? Pan Adam urządza w niedzielę obławę na wilki w haliniskim lesie, od różańskiej granicy...

— E, co mi tam obława! — westchnął Jerzy. Ale Emil dalej mówił:

— Tyle tego napłodziło się tej wiosny, że tylko wycie słychać po lasach. Dziewięcioro owiec porwały onegdaj z zagrody, koni w nocy paść nie można. Więc nasz stary Fajka wytropił całe ich gniazdo, ale z haliniskiej strony, i dał im znać. A że akurat tejże nocy dwa wieprzki spod chaty porwały leśniczemu, więc już miara się przebrała. Pan Adam wziął się, że nie daruje i na niedzielę ogłoszona obława.

Jerzemu oczy się zaświeciły.

— A któż urządza?

— Naszego Fajkę prosili.

— O, to dobrze. To już będzie porządek.

— Leniewicz ma być także.

— I ten umie ustawić.

Rozmowa o obławie przeciągnęła się. Jerzy rozpytywał o szczegóły, zainteresował się i na chwilę zapomniał o swej męce. Przyrzekł nazajutrz zabrać się z Emilem do Bijuciszek. I tak przecież wypadało tam być — podziękować za wszystko i pożegnać się przed wyjazdem.

Ale gdy ułożył Emila do snu w swoim pokoju i pozostał sam — znowu wróciły smutne wątpliwości. Czy dobrze zrobi jadąc tam i narażając się na

spotkanie z nią? Jaką względem niej zachować postawę? Po tym, co było, co nigdy powtórzyć się nie powinno, czy nie najlepiej uciekać na kraj świata bez tłumaczeń, bez pożegnania? Ale jeśli ona go kocha... Oj, czy też nie za wiele wagi nadaje on temu przypuszczeniu? Czy nie bierze chwilowego roztkliwienia za miłość? Skąd by się tam miłość wzięła po tak długim niewidzeniu się, po jazdach i karnawałach, po flirtach z mnóstwem salonowych i świetnych młodzieńców, skądże by jej przyszło kochać jego, nudziarza, melancholika, dzikusa z lasów syberyjskich. Zapewne było w niej trochę przyjaźni, trochę życzliwości dla towarzysza dzieciństwa, ale upatrywać w tym miłość prawdziwą!... Czy niezbyt śmiałe złudzenie? A jednak...

I walka, którą od tygodnia toczył, wciąż pozostawała nie rozstrzygnięta.

Nazajutrz, pomimo źle spędzonej nocy, wstał Jerzy wcześniej i zdążył jeszcze wcześniej być na Rossie przed wyjazdem. Długo nie mógł się rozstać z tym grobem. Zdawało mu się, że wyjeżdżając popełnia czyn zły, że ciotkę opuszcza i pozostawia samotną. Ale gdy wreszcie znalazł się na bryczce i wyjechał na Snipiszki odetchnął powietrzem pól, czystym, wonnym powietrzem wsi, radość dawno nie zaznana porwała go i czuł, że serce mu rośnie, że pierś się rozszerza, że te ostatnie dwa lata ciężkiej troski i pracy spadają mu z karku i jakoś dziwnie lekko robi się na duszy. Czuł się nawet wesoły i przykro mu było, że tak w tydzień po stracie ukochanej ciotki może czuć co innego prócz bólu.

Ale powietrze było takie łagodne i ciepłe! A niebo tak cudnie szafirowe, z lekkimi płachtami chmur białych, jak puchy łabędzie. A owies i jęczmień kłaniały się to złotawą, to srebrną falą — a gryka dojrzała czerwieniła się rdzawo i od koniczyny leciały miodowe, zapachy. Na rzyskach pasły się krowy, pstre, ruchome plamy w przestrzeni pól. Brzozy rozpuszczały swe gałęzie nad drogą, wykrzywione, rozczochrane — grusze szeleściły nad dachami chat — i zza płotów wypadały szczekające psy kudłate. Wózki jednokonne jechały koleiną wioząc do miasta produkty na jutrzejszy rynek. A nad cichą okolicą

skapaną w słońcu, owianą niebieskawą barwą lipcowego światła, wznosiły się zewsząd pieśni i leciały w niebo — pieśni ptasząt po gruszach, pieśń skowronka nad polem i pieśni dziewcząt o lnianych włosach, schylonych nad miedzą. Po rowach świerszcze ćwierkały.

— Ach, jakże tu cudnie! — rzekł Jerzy przerywając długie milczenie.

— Co, ładniejsze od twojej Syberyjki, nieprawdaż? — odparł Emil. To wspomnienie znowu zasępiło czoło Jerzego. Boże, co on tam pocnie teraz, gdy powróci? Sam na świecie, nie związany z nikim, nie należący do nikogo, nikogo nie obchodzący — istota bez rodziny, bez ojczyzny, bez domu, bez celu? Dopóki żyła ciotka — ona mu była rodziną i domem, ojczyzną i celem — ale teraz... I co on teraz bez niej pocnie?

— Ot, i Uciany już — ozwał się Emil. — Chański jakoby jest w domu. A pamiętasz nasz piknik? Wesoło było wtedy...

— Cóż Mela? — spytał Jerzy. — Gdzież podziała swoje zasady? Miała przecie nigdy nie iść za męża?

— A poszła za pierwszego, który się nadarzył. A zakochana — Matko Boska! Jak kot! I wierzyć tu niewiastom.

— No, ale ten Zawidowski — cóż?

— A nic. Taki sobie dudek, jakich jest pełno na każdym kroku. Dobry facet — ale nic tam osobliwego. A ta — powiadam ci — przekonana, że on i Apollo, i Newton, i Dante, i księżę Józef Poniatowski w jednej osobie. Wprost zgłupiała z miłości...

— A on?

— On? Cóż, pozwala się kochać. I chyba też po swojemu zakochany, bo po cóż by ją brał? Wie, że Mela nie Rotschildówna.

— Już i Biały Dwór — zauważył Jerzy. — Ale cóż to? Nie ma wieżyczki?

— A nie ma. Groziła zawaleniem, więc ją rozebrali. Teraz, wiesz, Zosia jedna jest właścicielką Białego Dworu. Zrobiły one dział tej wiosny — i Zosia wzięła na siebie majątek, a tamte ma spłacić. Interes nieszczęśliwy, bo

strasznie obciążyli jej część, ale ona się uparła, żeby całość zachować. Nie wiem, jak ona tam z tego wybrnie...

— Przecież tam są jeszcze piękne lasy.

— Piękne, ale dla takiego, co by z nich umiał korzystać sam. A któż będzie się tym zajmował? Pan Adam zna się na roli, ale o lesie pojęcia nie ma. Pewnie Żydkom sprzedadzą i stracą.

— A matka i siostra — założyły jakiś klasztor?

— A założyły, czy też zakładają — nie wiem i wiedzieć nie chcę. Dla tego klasztoru one gotowe Zosię do ostatka zrujnować. Im ciągle potrzeba pieniędzy — a skąd wziąć, jak nie z Białego Dworu? To są chore indywidua — histeryczki — do Charcota odesłać. Dewotki obrzydliwe! O mało tam Zosi nie wydały za jakiegoś rzymskiego hrabiego. Na szczęście wykręciła się jakoś...

— Jak to wykręciła się? Czyżby ją zmuszali? Musiała sama chcieć...

— No, nie. Chcieć — to nie chciała. Ale namawiali, przekonywali, więc zrazu zgodziła się. Ale raptem wzięła na upór i zerwała.

Mijali właśnie białogórskie jezioro. Na tle wód i błękitnego nieba wznosił się wysoko kościół, strzelający wieżyczką w górę. Białe jego odbicie kładło się olbrzymie, wydłużone, migotliwe na fali jeziornej. Z dala na lewo już widniały topole bijuciskiego dworu. Na pagórkach, wśród gajów brzozowych, wśród pól pociętych w różnobarwne kraty rozsypane były niskie chatki o słomianych strzechach.

— Jaki tu śliczny kraj! — zachwycił się Jerzy.

W Bijuciszkach przyjęto Jerzego nadzwyczaj serdecznie. Pani Suniżycka rozpląkała się na jego ramieniu — nazwała go czwartym synem — kazała przerzec, że dom ich będzie za swój własny uważał, i otoczyła go wszelaką możliwą troskliwością. Zresztą jednak w całym domu mówiono tylko o jutrzejszej obławie. Jaś nie mógł ani jeść, ani spać od dwóch dni — czyścił strzelby, łapał psy, oglądał ładunki — zbroił się, jak na wojnę. Miewał nieskończone rozprawy ze starym Fajką, a teraz Jerzego wtajemniczył od razu



we wszystkie szczegóły jutrzejszej kampanii. Fajka dziś jeszcze obchodził legowisko. Były tam dwie wilczyce z małymi, jeden stary, ogromny wilk i kilka roczniaków.

— Będzie frajda — wygrzmocim całą familijkę — zawyrokował Jaś. Tego dnia kładąc się spać Jerzy czuł się rzeświejszy i szczęśliwszy niż przez te dwa ostatnie lata. Miał nad sobą niebo rodzinne, wokoło ludzi życzliwych i bliskich. Szumiały mu nad głową topole, zabrzączał komar nad uchem, w sadzawce ogrodowej rechotały żaby. Miła, urocza była ta muzyka.

## VII

Miejsce zebrania się myśliwych było naznaczone w Daugielach, zaścianku należącym do Haliniszek, na granicy lasu. I gdy Suniżyccy z Jerzym wjechali na małe podwórko, zastali już tam gwar niemały, ruch i tłum. Pod płotem stały bryczki sąsiedzkie z wyprężonymi końmi, kilkanaście mniejszych wózków, które przywiozły oficjalistów i leśniczych z okolicznych dworów. Był i faeton elegancki ze stangretem w wypchanym jarmiarku, który koło koni coś majstrował. Stary Fajka, z trąbką przewieszoną przez plecy, uwijał się Wśród gromady, rozkazywał, rękami machał i krzyczał. W sadzie, na zielonej murawie, ustawiono dwa długie stoły, kilka ławek i zydlów. Tam pan Adam ugaszczwał myśliwych śniadaniem. Obławnicy, huczki i psy już poszli, obchodząc z dala las cały i dopiero na dany trąbką znak mieli rozpocząć pochód swój z krzykami, wrzaskiem i ujadaniem.

Wtedy spłoszone wilki, uciekając przed nimi, wpadną na linię rozstawionych strzelców i zostaną wymordowane co do nogi. Prowadzeniem obławników zajął się Wiktons z Haliniszek, uznana w tym względzie powaga — rozstawiać myśliwych miał Fajka i pan Leniewicz. Tymczasem jednak, czekając hasła, spożywano śniadanie. Bigos buchał wonną parą z ogromnych, miedzianych kociołków, zawieszonych nad ogniskiem. Zimne mięsa i wędliny rozłożono na stołach. Krążył kieliszek ze starką. Na widok Suniżyckich pan Adam podszedł do nich.

— Wyobraźcie sobie — szeptał — marszałek graf Elster zaprosił się na obławę.

— A niechże go — przerwał pan Suniżycki.

— Co mówisz? — i pan Adam nadstawił ucha.

— Mówię, żeby go kaczki zdeptały.

— Aha..., pewnie... Ale bo widzisz — wypada jeszcze na obiad go zaprosić.

— Zbytńia poufałość! Na co ci ten kłopot?

— Potrzebny mi — do sprawy granicznej w Białym Dworze.

— A! — pan Suniżycki miał minę pełną uznania.

— Posłałem do domu, żeby był obiad paradny. Ale potem — on lubi karty — pikietę. Ani w szrubę, ani w preferansa nie gra — tylko w pikietę. Czy nie grasz ty czasem w pikietę?

— Jako żywo! Jestem wiernym adoratorem szruby.

— Czysta desperacja! Nikt nie umie tej pikiety. Pan Adam powiódł zafrasowanymi oczami dokoła.

— Jerzy gra w pikietę — odezwał się Jaś — i ja umiem.

— Ty smarkaczu jeden!... — rzucił się pan Suniżycki.

— Jerzy gra, powiadasz — rzekł pan Adam i zaczął wołać:

— Jerzy! Jerzy!

— A co, panie Adamie?

— Grasz w pikietę?

— Gram.

— I dobrze grasz?

— No, nieźle. Teraz na Syberii to z Mielinem grywaliśmy co dzień.

— Kochany! Ot, zacna dusza! Choć jeden znalazł się. Zabieram cię z polowania do Haliniszek i będziesz grał z marszałkiem.

— Ja? Dajże pan pokój! Jakże ja tak pojedę?

I Jerzy patrzył na swoje długie buty i myśliwską kurtkę.

— A jakże my wszyscy? Też nie we frakach. Zresztą, buty pożyczę. Co tam! Jedziesz i koniec. Chodź, przedstawię cię.

Nie słuchając dalej pociągnął go pan Adam do siedzącego w cieniu drzew grafa. Był to człowiek młody jeszcze, bardzo elegancki chrananier i przyjemnej powierzchowności, uprzejmy i łatwy w rozmowie. Miał tu niedaleko wieś, niedawno nabytą, w której spędzał letnie miesiące. A przed rokiem został mianowany marszałkiem powiatu. Ale z sąsiedztwem nie znał się wcale i po raz pierwszy był dzisiaj na zebraniu złożonym z miejscowych

obywateli i choć przez wszystkich traktowany z uprzedzającą grzecznością, posadzony na pierwszym miejscu i gorliwie zabawiany przez obecnych, czuł się tu obco zupełnie. Z Jerzym rozmowa poszła dość łatwo i wprędce wpadła na ciekawy temat przyszłości Syberii, jej bogactw, kolonizacji i budującej się kolei. Graf mówił dużo i roztropnie. Biadał nad niedołężnością rodową Słowian, przepowiadał upadek ich wobec rywalizacji z rasą germańską, idącą przebojem, nie znającą żadnych przeszkód, idealnej natury, nie wierzył w ekonomiczne zdobycze na Syberii.

Wtem z dala ozwała się trąbka. Przyskoczył pan Leniewicz, wielki, czerwony szlachcic z sumiastymi wąsami i zapominając o tytułach i honorach wrzasnął im nad uchem:

— Panowie, panowie, ruszajcie się. Za strzelby i do lasu!

Zrobił się ruch.

Wstawano. Każdy strzelbę swą lokował sobie na ramieniu i zdążano ku lasowi. Fajka szedł naprzód i co kilkadziesiąt kroków jednego z myśliwych stawiał pod drzewem. Posuwano się cicho, ostrożnie, bez rozmów i hałasów, brzegiem lasu. Linia myśliwych była rozległa.

Po wierzchołkach drzew przebiegał wietrzyk i nagiął ku sobie czerwone pnie sosen. Kołysały się one, uderzając czarnymi igłami i szumiąc poważnie. A niżej trzepotały się gdzieniegdzie listki brzoź, jak roje jasnych motyli, i leszczyna powiewała girlandami swymi. Las był cichy, pachnący żywicą w słońcu, pełen splątanych światła i cieni, migający złotymi promieniami, śpiewający głosami ptasimi. A wtem, z daleka, z ciemnej głębi, powstały odgłosy, wołania, niewyraźne zrazu, mętne, urywane, a w miarę zbliżania się coraz bardziej przeraźliwe, coraz donioślejsze. Zdawało się, że las czegoś się przeraził, uląkł, wydając z siebie okrzyk zgrozy i przerażenia.

Krzyki rosły niesione na liściach drzew. Można już było rozróżnić piskliwe głosy kobiet, ujadanie psów, grube okrzyki chłopów. A tu i ówdzie strzały zaczęły padać. Wtedy obławnicy zatrzymali się nie przestając

hałasować. I las cały wypełnił się głosami ludzkimi, wielkim akordem przerażenia i groźby. Wilki, spłoszone z legowiska, biegły przed siebie i wpadały wprost na myśliwych. Postrzelone, zawracały z drogi i znacząc krwią wrzosa i mchy leśne próbowały bokiem wydostać się na wolność. Ale zewsząd otoczone, ranione prawdziwą kanonadą strzałów, padały wreszcie w ostatnich drganiach. Psy gonili za uciekającymi szarpiąc je, ujadając za nimi. Las skowyczał, jęczał, wył, dzwonił krzykiem i wybuchał strzałami.

— No, chwała Bogu, udała się obława — rzekł pan Leniewicz do Jerzego przechodząc mimo jego posterunku. — Strzelałeś?

— Do starej wilczycy i do roczniaka — zaczął Jerzy. Ale już tamtego nie było.

— A cóż panicz — spytał stary Fajka — czy choć strzelał?

— Strzelałem. Wyszła na mnie stara wilczyca, tak ja...

— A ot, siedem sztuk ubili. A jeszcze od różańskiej granicy dwóch gonią. Ale najstarszy, sam wojewoda, taki uciekł. Chitry on! A mówiłem...

Wtem znowu ozwała się trąbka. Pan Leniewicz dawał znak, że polowanie ukończone. Zaczęli myśliwi schodzić ze swych posterunków i podążać na jej odgłos. Tam, nad stosem zabitych ciał wilczych, stało kilku ludzi uzbrojonych rozprawiając zawzięcie. A co chwila spośród gałęzi wysuwała się nowa figura, ze sterczącą nad głową lufą. Pan Adam częstował kolejno myśliwych kieliszkiem starki.

Wilki leżały wyciągnięte na mchu. Ciała ich podziurawione były kulami, krew sączyła się jeszcze gdzieś z ran i zastygała czarną plamą na ziemi, a zakrzepłe w konaniu pyski szeroko były otwarte i świeciły białymi kłami, jakby jeszcze gryźć chciały. Psy, skulone w gromadkę, wyły nad nimi żałośnie, mściwie.

Każdy przychodzący rozpoczynał opowiadanie na nowo, każdemu się zdarzyły rozmaite wypadki, każdy miał coś do zarzucenia, jakąś krytykę na ustach, jakąś do kogoś pretensję. Kto spudłował, napadał na innych; a kto

wilka nie widział, ten nie posiadał się z gniewu. Wszyscy zaś nie mogli się uspokoić, że stare wilczysko, protoplasta rodu, uszedł i wymknął się. Wszyscy zdawali się pałać ku niemu osobistą, śmiertelną nienawiścią.

Aż nagle z brzegu lasu ozwały się znowu strzały.

— Co to jest? Co znowu? — pytano i wielu biec zaczęło w kierunku strzałów.

On to był właśnie, stary wilk, który zdołał się ukryć przed oczami wrogów, a teraz, gdy się cokolwiek uciszyło, pomykał dalej zaroślami, skulony i cichy, kryjąc się pod leszczyną, ale dojrzały go bystre oczy Jasia. Porwał się za nim, a Fajka także. Padły dwa strzały. Wilk stanął, zawrócił na miejscu i skrył się znowu w lesie.

— Trafiony, trafiony! — krzyczał Jaś biegnąc za nim. A Fajka wołał:

— Paniczu, toż fuzja nie nabita. Czego lecisz?

Ale inni nadbiegli, Różyński, Jerzy, stary Bartłomiej, Leniewicz. Wilczysku przecięto drogę. Znowu zaczęła się kanonada.

Stary wilk, licznymi strzałami raniony, padł wreszcie na ziemię. Obława była skończona.

Tymczasem w Haliniszkach przygotowywano się do przyjęcia ceremonialnego gościa. Pani marszałkowa wezwała Józefa kucharza i rzekła:

— Ot, Józefie, mamy subiekcję. Kilku panów będzie na obiedzie i to kto! marszałek.

— At, sztuka wielka! — odparł Józef lekceważąco. — Tak i co, ważniejsze my goście widzieli... Damy obiad, że on takiego póki życia, nie jadł... Naradzim się z panią, i będzie.

Zaczęła się narada, po czym marszałkowa wzięła klucze i poszła wydać ze spiżarni i z lodowni. Po drodze spotkała Zosię.

— Kochanie moje — rzekła — będzie dziesięć czy więcej osób na obiedzie. Ważni goście. Pójdź do ogrodu i wybierz na dwa kłosze pięknych jagód — może truskawek jeszcze uzbierasz. Pomyśl, co można mieć, a potem

wydasz Grzegorzowi porcelanę z szafy i herbowe srebro. I żeby wszystko, kochanie moje, było porządnie.

Zosia zakrzętała się żwawo. Zrazu ucieszyła ją wiadomość o gościach. Od tak dawna nie było żadnej wesołości — tylko smutek i smutek! Ale radość niedługo trwała. Co jej z tych tam gości? Miała ona swoje troski, swoje zgryzoty — i ciężar na sercu wielki, ogromny, jak kamień młyński.

Od powrotu z Wilna była roztargniona, zdenerwowana, skłonna do łez, zamyślona. Tylko ciało jej przebywało w Haliniszkach — myśli błądziły daleko. Czuła, że nadeszła w jej życiu chwila stanowcza — że coś z nią stać się musi — że dotychczasowy stan zmieni się i inny jakiś — lepszy czy też gorszy — los ją pochwyci, z sobą uniesie. Wiedziała, że jutro będzie już inne od dzisiaj. Coś w niej samej się zmieniło, coś zamarło, coś powstało — coś ją pchało gdzieś naprzód, coś ją parło i gnało. I sama nie wiedziała, skąd szedł głos wołający na nią i dokąd ją wołał? Kochała się już od tak dawna, a dopiero teraz odczuła tę konieczność zmiany, ten fatalizm, co ją pchał naprzód na jakieś nowe drogi. Teraz dopiero odczuła na sobie niewidzialną jakąś rękę, co ją wiodła, jakąś wszechwładną siłę, co ją porywała za sobą.

A przy tym dręczył ją niepokój. Co myślał sobie Jerzy po tym pierwszym, bolesnym spotkaniu, gdy prawie bez słów wyznali sobie swą miłość, gdy oboje zatopili się w smutku, w ciszy i w kochaniu, gdy serca ich zabiły razem, a dusze złączyły się, milczące i rozmiłowane — po tej pierwszej nocy on się usunął, zamknął przed nią, wdział maskę zimną i już ani jednym słowem, ani wejrzeniem nie dał jej prawa zbliżyć się do niego. I sam wobec niej był zimny, ceremonialny, na oficjalnej stopie dalekiego znajomego. Co to miało znaczyć? — Czy żałował tej chwili szczerości? Czy wstydził się tych łez wylanych — tych dziecinnych łez, które ją tak wzruszyły i uczyniły go droższym jeszcze? Czy żałował tego, że serce swe przed nią odkrył i że ona w nim wyczytała głęboko wyryte imię swoje? Czy też wszystko to razem było złudzeniem, grą wyobraźni i naprawdę nie było tam między nimi nic? Nie,

temu nie wierzyła. Jerzy ją kochał. Tego była pewna — i nic w świecie nie mogło zmienić tej wiary.

Więc cóż?

Pytanie to, jak gwóźdź, tkwiło w jej mózgu. Więc co będzie dalej? Co się z nim stanie? Nie, on nie mógł, po tym, co zaszło, odjechać sobie — zerwać tę nić, co się między nimi zawiązała. — Więc jaka jest jej droga? Co powinna ona zrobić i czy w ogóle jest co do zrobienia? — Coś ją od wewnątrz popychało do jakiegoś czynu — ale do jakiego, nie wiedziała. I jak ślepa stała z wyciągniętymi rękami pytając siebie: Czy iść dalej? W którą stronę? Czy tam, pod stopami, czeka na mnie wygodna ścieżka, czy też przepaść głęboka? Mam się ruszyć, czy też stać i czekać?

Ania ze wzrastającym niepokojem śledziła rozstrój Zosi. Parę razy próbowała pytać, ale Zosia była jak kamień niema. Więc czekała także.

I teraz, gdy spełniwszy rozkazy babuni Zosia wróciła na górę i usiadła w milczeniu na kanapce, Ania spojrzała na nią ze smutkiem. Tak niedawno jeszcze każdy gość witany był przez nią radośnie, oczekiwany niecierpliwie, wszystko ją bawiło, pobudzało do śmiechu. Dziś tylu panów miało się zjechać, a ona siedziała zniechęcona, apatyczna, a oczy jej nie świeciły dawną wesołością.

— Co ci jest, Dudusiu? — spytała Ania nieśmiało. Zosia poruszyła się.

— Ach, wszystko mi obrzydło! Dość mam tego głupiego życia!

I lękając się, że za wiele powiedziała, zerwała się i wybiegła z pokoju.

Gdy wreszcie, po długim oczekiwaniu, goście, wyczyszczeni i o ile można wyelegantowani, zjawili się w salonie, Zosia o mało nie krzyknęła. Ponad głowami wchodzących dostrzegła ciemną głowę Jerzego. Nie spodziewała się go wcale. Pewna była, że bawi jeszcze w Wilnie, więc widok jego wybladłej twarzy i czarnych oczu, które bezwiednie jej szukały, wstrząsnął nią gwałtownie. Czowała, jak ognisty rumieniec ją oblewa, jak krew



bije jej do głowy i przez chwilę świat cały przed nią zasłania i czuła zarazem, jak ogromna radość wypełnia jej pierś. On był tu blisko. Byli razem, razem!

Nie widziała nic i nikogo, prócz tej czarnej, ukochanej głowy. Z roztargnieniem witała się z kilkoma znajomymi panami, którzy podchodzili do niej i nie zatrzymała nawet wzroku na kłaniającym się jej grafie. Widziała, jak Jerzy całował rękę babuni i ta coś do niego mówiła długo i drugą ręką pogładziła go po głowie. Kochana babunia! A musiała coś od rzeczy odpowiedzieć panu Różyńskiemu, bo on zaczął żartować:

— Nie myślałem, aby panna Zofia była tak wrażliwa na wielkości tego świata.

— Na jakie wielkości?

— No, przecież tu mamy tylko jedną, a pani już głowę straciła.

— Ale któż to taki?

— Tylko co był pani przedstawiony — marszałek, graf Elster.

— A cóż on mnie obchodzi!

— Może nie on, ale Biały Dwór i sprawa graniczna. Proszę więc być grzeczną dla niego, bo wiele od tego zależy.

Ale w tej chwili i Biały Dwór, i sprawa graniczna były jej zupełnie obojętne, bo czuła za sobą zbliżającego się Jerzego. Czuła, że za chwilę poda mu rękę i usłyszy jego głos. Starła się zachować spokój i patrzyła uparcie na pana Różyńskiego, broniąc się przed rosnącą w niej pokusą odwrócenia głowy i spojrzenia na Jerzego. Za sobą usłyszała, jak komuś odpowiadał:

— Od wczoraj zaledwie — dotąd byłem w Wilnie... — Potem doszły jej uszu oderwane słowa i znowu głos jego mówiący: — ...tam jest to wegetowanie z dnia na dzień — coś na kształt katorgi...

Nie wytrzymała. Urywając w pół słowa jakąś odpowiedź, którą dawała panu Różyńskiemu, odwróciła się i oczy jej spotkały się z jego wzrokiem. On też urwał w środku zdania, usta jego zadrżały, na dnie ciemnych źrenic

zamigotały iskierki, ale zapanował na sobą. Sztywny, zimny, zbliżył się do niej i złożył głęboki ukłon. Ręce ich spotkały się, ale nie przemówili do siebie nic.

A ona znowu poczuła, że ma coś do zrobienia, że coś na nią czeka, że jakiś głos ją wola. Ale co? Gdzie? Jak? — nie wiedziała.

Obiad był długi i nudny. Wszystkich krępowała obecność obcego. Pani marszałkowa z trudnością rozumiała jego mowę, ale że obowiązek pani domu nakazywał jej być uprzejmą dla rzadkiego gościa, więc posadziła go obok siebie i zabawiała, często jednak zwracając się do pana Leniewicza, siedzącego po drugiej stronie, który służyć musiał za tłumacza.

Marszałek nie pokazywał się wcale, nierad był z gościa.

— Potrzebnie Adaś tych Niemców ściąga do domu — mówił. — Przynajmniej pod własnym dachem daliby mi święty spokój.

I nie wychodził wcale ze swej kancelarii.

Podczas obiadu graf, chociaż nie mógł mówić inaczej, jak rodzinnym językiem, mówił dużo i przyjemnie. Chwalił ogromnie litewską kuchnię, a mianowicie litewskie wędliny i miody. Mówił, że lepszych od Polek żon i gospodyń nie widział nigdzie, gdyż umieją dotknąć wszystkiego, a nawet koniuszków palców sobie nie zwalać, że przy praktyczności nie są skąpe, przy pracowitości nie są zapracowane, przy zajęciach najbardziej prostych i prozaicznych nie przestają być damami i zawsze trochę poetkami. A wdzięk! Jakież to te panie Polki mają wdzięk nadzwyczajny! Co nie zrobią — wszystko czarująco. Byłe co włożą na siebie — szyk! Taka szwaczka warszawska wyjdzie na ulicę, prosto zadziwienie! Grafini — nie grafini. Gdzie do niej Niemce albo i Francuzce! Ot, jedne tylko paryżanki...

— A pan i Warszawę zna dobrze? — spytała marszałkowa.

— A jakże. Siedem lat był. I strasznie polubił. Ulice wesole, teatry rozkoszne, cywilizowana publika. Całkiem europejskie miasto!

Po obiedzie podano kawę na werandzie od strony jeziora. Drzewa ogrodu rzucały już długie cienie na trawniki, a przez nie przeświecało słońce,

skłaniające się ku zachodowi. Jezioro było spokojne, jak tafla srebrzysta, a po czystym niebie przemykały jaskółki i szczebiotały pod dachem. Na klombach kwitły niemodne, ale pachnące kwiaty: groszki, lewkonie, rezeda, balsaminy i petunie, a dalej stały w rabatach wysmukłe, sztywne i poetyczne malwy, a koło nich trzepotały się w słońcu białe motyle.

— Przejdźmy się trochę — rzekła nagle Zosia do Jerzego.

Zeszli ze stopni werandy i poszli ścieżyną wśród kwiatów. Szli obok siebie wysocy oboje, zdrowi i piękni — a patrzącym z ganku za nimi mimo woli przychodziła uwaga:

— Jaka śliczna para!

On ciemny, poważny, z chmurą zadumania i z upartą linią brwi czarnych na czole, o silnych barkach i żyłastej dłoni, stworzony do kierowania, do dźwigania, do pracy — mężczyzna już, nie młodzieniec. Ona cała biała i jasna w koronie złotych włosów, o wypukłej piersi i szerokich biodrach — dojrzała do miłości i do macierzyństwa — i jak kwiat, otwierająca się ku rosie niebieskiej i ku słońcu — sama jak słońce promienna. Jeszcze dziewicza i ciałem, i umysłem — a już kobieta instynktem i słodkim współczuciem, i miłością.

Chwilę szli w milczeniu. Kwiaty do nóg im się chyliły. Ona pierwsza spytała:

— A w Wilnie... cóż...? Jakże było?

Nie wiedziała, jak ma do niego mówić, czy „pan”, czy po imieniu. Więc zmieszała się i urwała.

Ale on rzekł zimno, chociaż serce mu się ścisnęło.

— Pani pyta, co robiłem w Wilnie? Nic. Smutno było...

— O, ja wiem — rzekło prędko i zamilkła.

I obojgu stanęła w myśli ta noc żałobna, gdy on ukrył głowę na jej kolanach i bez słów mówili sobie o swej miłości i składali sobie w obliczu

zmarłej niemą przysięgę. Po takiej nocy nie mogli już być obcy dla siebie. A jednak on postanowił...

— Czemu pan mówi do mnie „pani”? — spytała Zosia i podniosła na niego niezapominajki swych oczu.

Teraz on się zmieszał.

— Bo, zdaje się..., nie wypada... W każdym razie... — A w sercu myślał:  
— Lepiej szczerze tę kwestię postawić i rozciąć.

— Jak pan był smutny, to nie myślał pan, co wypada — szepnęła Zosia. Spuściła oczy i nachyliła się po gałązkę rezedy.

Lepiej raz z tym skończyć — pomyślał on znowu. I drząc zaczął. Głosem zdyszczanym rzekł:

— Była to chwila zapomnienia. Nie panowałem wtedy nad sobą, nieszczęście tak niespodziewane stanęło przede mną, że... straciłem władzę — i myśli moje, i... uczucia odkryły się... przed panią...

Głos jego słabł, gdy mówił te ostatnie słowa: linia brwi zsunęła się i zwarła nad oczami boleśnie, ale podniósł głowę znowu i rzekł dobitnie:

— Trzeba o tym zapomnieć.

Umilkli oboje i szli razem ścieżką. Zosia kręciła w palcach gałązkę.

— Więc to była chwila?... — szepnęła.

On przymknął oczy. Czuł, jak dusza w nim wyje i zgrzyta. I odrzekł:

— Tak.

— Jerzy! Jerzy! — zawołał pan Adam z ganku. — Chodź, czekamy!

— Idę.

Stanęli oboje i Zosia rzekła zimno:

— Życzę panu wesołej zabawy.

— Dziękuję.

Uklonił się i zawrócił ku werandzie, gdzie rozstawiano stoliki. A ona ścieżką wijącą się wśród kwiatowych rabatek poszła nad brzeg jeziora.

## VIII

Szła wprost przed siebie, aż doszła nad sam brzeg, wysoki, urwisty. Kilka wierzb pokręconych tu rosło, a w dole woda cicho oddychała, przezroczysta, niebieska, jak niebo, w wieńcu łąk i lasów, niekiedy musnięta skrzydłem jaskółki.

Oparła się o pień wierzby i patrzyła. Jak tu było spokojnie i słonecznie, aż się robiło cieplej koło serca. Te promienie złote, co tam w wodzie rozrzucały strugi brylantów, przenikały do wnętrza, grzały i świeciły.

— Tu spokojnie pomyślę, co mam robić — rzekła sobie Zosia i usiadła na trawie nad samym brzegiem jeziora. Zrazu to i owo mąciło jej myśli i rozpraszało je — tu rybka plusnęła i rozeszły się kręgi po wodzie — tam zawisała nad ajerem babka o zielonych skrzydełkach — to chmura muszek zamajaczyła w powietrzu.

— Co ja mam do zrobienia? — wracało uporczywe pytanie i tkwiło w mózgu. Powoli myśli zaczęły się rozwijać, jak przędza z kłębuszka, i rozmowa stoczona przed chwilą wracała.

...I myśli moje..., i uczucia... odkryły się... przed panią... Trzeba o tym zapomnieć. — Więc to była tylko chwila? Tak...

— On kłamie! — zawołała Zosia gwałtownie. — Kłamie! Kłamie! To nie była tylko chwila! Nie! Ja wiem, że on mnie kocha — kocha — kocha...

I twarz ukryła w obie dłonie.

Tak, wiedziała o tym, była tego pewna. W każdej cząsteczce swej duszy odczuwała wyraźnie, nieomylnie jego miłość — była nią na wskroś przeniknięta — widziała ją, dotykała jej niemal. Czuła prąd jakiś idący od niego, który ją obejmował. Nigdy wobec nikogo na świecie tej pewności nie doświadczała. Tu nie mogło być pomyłki. On kłamał! Kochał ją, a udawał obojętność i to już od dawna — od wielu lat. I trzeba było takiego ciosu, jak śmierć, aby ta skorupa lodowa, którą się otaczał, pękła i roztopiła się we łzach

— i wtedy jego myśli i uczucia odkryły się — i zobaczyła dno jego duszy — i imię swoje głęboko tam wyryte. Ale to była, jak mówił teraz

— chwila zapomnienia i tylko chwila. Bo zaraz odzyskał panowanie nad sobą i postawił granicę między nią a sobą. Na dnie jednak była miłość — i już teraz nic tej świadomości zatrzeć nie może.

A więc — jakież stąd wnioski? On mnie kocha — ja jego Kocham — szepnęła Zosia. — to fakt. A więc musimy..., musimy się pobrać. To było jasne jak dzień, jak to słońce, które teraz świeci na niebie. Inaczej być nie mogło. — Cała jej istota rwała się, leciała ku niemu. Już innego życia nie było dla niej.

Pobrać się? Ale na to trzeba było, aby on się oświadczył, poprosił o jej rękę, poszedł do babuni zapytać, czy się zgadza — no, a potem, aby ślub wziął i zabrał ją z sobą. Z sobą..., więc dokąd? On nie miał domu swego ani stałej siedziby. Dziś był na Syberii, pracował na chleb — ale żony brać tam ze sobą nie mógł. Może by mu nawet jej tam nie dali. — Więc i dlatego nie chciał się o nią oświadczyć, chociaż ją kochał. Nie był „partią”, nie miał funduszu — lękał się odmowy. Ależ, mój Boże! Biały Dwór do niej należał, więc mogliby tam mieszkać i gospodarować — i byłoby doskonale. Tak, ale to właśnie była największa między nimi zaporą. On był za dumny, aby sam będąc biednym starać się o pannę posażną. Chociaż na Białym Dworze było mnóstwo długów, była to zawsze niby fortuna. Więc on jej nie chciał. I kłamał, i udawał obojętność, i chciał odjechać znowu daleko, daleko — i już może nigdy nie wrócić!

— Żebym była biedną nauczycielką albo sierotą bez grosza — myślała Zosia ze łzami w oczach — toby z pewnością mnie wziął. Ale że mam ten nieznośny Biały Dwór i że jestem niby posażna i z dostatniego domu — więc nie chce.

I żal czuła do Białego Dworu, że stanął między nią a Jerzym.

Ale nagle zerwała się. Nie, to być nie może, aby dla takiej przyczyny wyrzekać się mieli szczęścia oboje! Byłaby to zbrodnia. Jeśli on jest zbyt

dumny, aby o nią prosić, to ona dumę złoży mu w ofierze i sama pierwsza prosić go będzie. Tak się nie robi na świecie — wie o tym — ale co ją obchodzić może świat, zwyczaj jego, opinia i zakazy! Tu chodzi o życie, o życie, o szczęście — o miłość. — Tak, dziś wieczorem albo jutro rano, gdy tylko znajdzie się odpowiednia chwila, weźmie Jerzego na stronę i powie mu wszystko. A wtedy — on już chyba będzie musiał ze swej dumy ustąpić...

Tak trzeba zrobić — i to zaraz, choćby dziś jeszcze — nie tracąc chwili.

I naraz uczuła uspokojenie wielkie. Oto, co miała do zrobienia — oto, co ją niepokoiło i nękało. Teraz wiedziała.

Tego wieczora gra w karty przeciągnęła się do późna — i była już noc, gdy się część gości rozjechała. Pozostali poszli do oficyny z panem Adamem, gdzie im pokoje przygotowano. Jerzy nocował także, gdyż dopiero nazajutrz miano po niego przysłać z Bijuciszek. Ulokowano go w jednym pokoju z panem Różyńskim, obok położył się pan Leniewicz i po krótkiej rozmowie dano sobie dobranoc i zgaszono świecę.

Ale Jerzy zasnąć nie mógł. Parzyła go kołdra, parzyły poduszki. Próbował leżeć spokojnie i wedle dawnej recepty ciotki liczyć do dziesięciu albo powtarzać w kółko jakąś strofę wiersza — na próżno. Sen nie przychodził, a rozdrażnienie wciąż rosło. Wreszcie nie mógł dłużej wytrzymać — ciemność i nieruchomość doprowadzały go do szaleństwa. Wstał, ubranie narzucił i cichutko wysunął się z pokoju. Drzwi od sieni były zaledwie na zamek zamknięte, więc otworzył je łatwo i znalazł się na dworze.

Noc była śliczna. Na zachodzie jeszcze pozostała czerwona pręga, a już od wschodu rumieniło się niebo bladoróżową i seledynową barwą, która wyżej przechodziła w ton aksamitnego szafiru, gdzieniegdzie przetykanego gwiazdkami. Ale gwiazdy świeciły blado, bo gasiło je inne, rozlane w powietrzu światło białe i zimne, a w nim wszystkie przedmioty miały nierealny, mistyczny pozór. Drzewa ciemne rozwieszały gałęzie na tle nieba — topole stały nieruchome i sztywne. W dołach tworzyły się głębie cieniste,

czarne przepaście, ciemne i jasne plamy, a wielka szyba jeziora leżała cicha odbijając szafir nieba i jutrzeńkę, i gwiazdy. Dwór haliniski stał biały i zimny w tym oświetleniu północnego nieba, w tych srebrnych blaskach lipcowej nocy. Wszystko spało dokoła — i żadne światełko znikąd nie mrugało. Jerzy spojrział w okna pokoiku na górze — ciemno tam było i spokojnie. Owionął go wietrzyk chłodny idący od jeziora — i zapachy kwiatów skąpanych w rosie. Rezeda i lewkonie rozsyłały dokoła odurzającą woń. Ale wietrzyk był pożądany, bo chłodził mu rozpalone czoło. Więc zdjął kapelusz i poszedł ścieżką wśród klombów oddychając z rozkoszą. Cicho było, tylko skrzypienie jego kroków po piasku odzywało się.

Wtem usłyszał lekkie stuknięcie. Okno jakieś otwierało się ostrożnie. Przez gałęzie drzew spojrział w stronę domu — i stanął, Zosia stała w oknie, na górze. Wysunęła głowę, spojrzała w obie strony — i oparła się. Twarz jej w tym zielonkawym świetle wydawała się blada, a oczy były smutne — ale koło ust miała jakieś zacięcie energiczne — jakiś wyraz dziwnie stanowczy. Ukryty za drzewami, nieruchomy, Jerzy na nią patrzył i myślał:

— I ona także nie śpi — i jej także coś dokucza, trapi, niepokoi. A to coś — to ja!

Uczucie niezmiernego szczęścia nim owładnęło. Był kochany! Kochany przez tę jasną dziewczynę, która tam w cichą noc letnią wzdychała do niego! Ona go kochała — jego, samotnika, biedaka, skazańca — jego, co teraz nie miał już nikogo na świecie całym — który nic nie posiadał, niczym nie był, do niczego nie miał prawa — jego, melancholika, nudziarza. — Ona go kochała! — I gdyby on mógł... gdyby chciał..., te ramiona otworzyłyby się i wyciągnęły ku niemu, to serce uderzyłoby silniej pod jego pocałunkami — te usta rozchyliłyby się w nie znanym dotąd upojeniu. Trzymałby ją w objęciu — byłaby jego — jego własna — ona, ta cudna, złota Zosia — to marzenie jego samotnych nocy, to ukochanie jego życia! I byłoby szczęście.



Spojrzał znów na nią. Z twarzą opartą na rękę stała w oknie nieruchoma i biała — i patrzyła na różowe pasmo jutrzeńki.

Gdyby on chciał..., gdyby mógł... Ale nie. I nie chce, i nie może — bo na to, żeby wziąć sobie żonę, i to pannę z dobrego domu, trzeba coś mieć — a on ma tylko ojcowskie długi i więcej nic. Dziś ona by może za nim poszła pomimo wszystko — ale co potem? — Więc nie. Jutro pożegna się i wyjedzie, i więcej nigdy jej nie zobaczy. Nigdy! Między nią a sobą rzuci przestrzeń niezmierną, położy pustynie, góry i lasy — postawi nieprzebyty mur milczenia. Te kochane oczy popłaczą może trochę — ale tak być musi — inaczej być nie może. Jutro się pożegna — spokojnie, zimno, jak należy między obcymi — i pojedzie sobie stąd na zawsze. Ale tymczasem, gdy nikt nie widzi, gdy ona ani się domyśla jego obecności, to przecież może nią się nacieszyć — upoić się jej widokiem i wyryć sobie w myśli obraz jej tak głęboko, aby cały szereg lat nie mógł go stamtąd wykreślić. Więc Jerzy patrzył, patrzył... Oczy jego przyłgnęły do tej twarzy tam w górze, wpiły się w nią, wżarły. A usta jego spieczone pożądaniem i miłosną tęsknicą przesuwały się w myśli po jej złotych włosach, po jej bladych policzkach — zatrzymywały się na jej ustach i kładły na nich pożegnalny pocałunek.

Ale wzrok jego zbyt zuchwale i zbyt ogniście rozdzierał przestrzeń. Serce jej odgadło jego obecność. Zosia naraz zaniepokoiła się, obejrzała się wokoło — trochę przestrachu odbiło się na jej twarzy, z zawstydzeniem nagłym spojrzała na swój nocny strój—i prędko, jakby onieśmielona, zamknęła okno — i znikła.

## IX

Nazajutrz przy śniadaniu panował ruch niezwykły. Panowie Leniewicz i Różyński wyjeżdżali razem, Jaś Suniżycki przybył kałamaszką po Jerzego i wczorajsze dzieje od początku Zosi opowiadał. Mówiono o grafie, o białodworskim interesie, w którym liczono na jego poparcie; oglądano jeszcze skóry wilków zabitych, już rozpięte na ścianach lamusa i wysychające w słońcu, przed którymi wyły gromady psów; słuchano rozmaitych dodatkowych szczegółów rozprowadzanych przez leśniczego Wiktonsa, powtarzano marszałkowi, który wczorajszy dzień spędził samotnie, wszelkie ciekawsze epizody. Ania miała migrenę i nie wstawiała wcale. Panią marszałkową wywoływano co chwila, to do baby, to do Żyda — pan Szrott rozpoczął nieskończone opowiadanie o własnych dawnych dziejach. — A wśród tego przyniesiono pocztę i panowie zaczęli przeglądać gazety. Śniadanie przeciągnęło się i marudzono z wyjazdem.

Wreszcie konie pana Leniewicza podeszły i on, i parł Różyński zaczęli się żegnać.

— A nasze? — spytał Jerzy Jasia. — Kazałeś podać?

— Nasze zaprzężone — stoją pod stajnią. Ale poczekaj jeszcze, muszę pobiec do Wiktonsa, on mi przyrzekł porobić ładunki. Zaraz wrócę...

— Tylko śpiesz się — szepnął Jerzy.

— Zaraz, zaraz!

Panowie wyjechali. Jaś poleciał na folwark, pan Adam gdzieś znikł i Jerzy został na ganku z marszałkiem. Świeże gazety leżały na stole i marszałek palił się, aby je prędzej wziąć do rąk. Ale zawsze grzeczny, nie chciał okazać gościowi swej niecierpliwości i zabawiał go rozmową. A rozmowa ta szła dziwnie ciężko, bo Jerzy kręcił się, nic mógł usiedzieć na miejscu, ledwie słyszał, co do niego mówiono, i odpowiadał nie do rzeczy.

Czasem recytował długi frazes głosem jednostajnym, jakby nie wiedział, co mówi — czasem wlepił oczy w jakiś przedmiot i patrzył nań

osłupiałym wzrokiem. To chodził wzdłuż i wszerz po ganku — to się zrywał i znowu chodził.

— Jaki on jest nieprzyjemny — myślał marszałek. — Te nowe maniery, to jakieś chyba syberyjskie, bo dawniej był przyzwoity chłopiec.

Ale pomimo zniecierpliwienia — pytał jednak:

— No, a cóż tam ta kolej?

— Kolej? O tak, kolej bardzo postępuje — odpowiadał Jerzy, nie przestając chodzić. — To jest przedsięwzięcie olbrzymie, które może być w skutkach swych doniosłe dla nas. Przemysł Królestwa, fabryki dzięki budowie tej kolei już się powiększyły, po jej ukończeniu Syberia stanie się stałym rynkiem zbytu dla wszelkich produktów.

— A masz tam jakie towarzystwo?

— Nie, to droga rządowa — mówił Jerzy nie rozumiejąc zapytania.

— Żadne towarzystwo nie mogłoby tak olbrzymiej i ryzykownej antrepryzy wziąć na siebie. Kosztować to będzie setki milionów — są tam przecie i rzeki, i góry, i lasy dziewicze prawie...

— Co jemu jest? — myślał marszałek. — Jaki on nieznośny — wydaje, jakby nauczona lekcję.

I pożądliwym okiem patrzył na paczkę gazet bielejących na stole. Ale spytał jeszcze:

— A czymże tam zajmujesz się?

— Ja? — odparł Jerzy i stanął.

Długą chwilę stał nieporuszony, jakby rozmyślając nad odpowiedzią

— wreszcie rzekł:

— Ja zajmuję się wyrębem lasu i dostawą materiałów leśnych do kolei. Postawiliśmy tartak — robimy deski, podkłady, belki, klepki, tarcice...

— Urwał i znowu zaczął chodzić.

— Nie, nie wytrzymam — rzekł do siebie marszałek. — Gdybyż on sobie prędzej pojechał! Gdzie one wszystkie pochowały się?!

Ale na szczęście dla staruszka Zosia ukazała się we drzwiach domu.

— A na koniec! — zawołał.

Zosia zbliżyła się. Miała zmarszczone brwi i usta zaciśnięte. Ciemne obwódki pod oczami mówiły o bezsennej nocy. Marszałek zauważył to i rzekł:

— Ale ty coś, promyczku, źle wyglądasz — czyś nie chora, broń Boże?

— Nie, dziaduniu, zdrowa jestem zupełnie. I teraz chcę pójść do ogrodu, pokazać panu Jerzemu, jakie mamy śliczne melony. Babunia kazała wybrać najpiękniejszy i posłać do Bijuciszek. Więc dziadunio poczyta tu sobie gazety, a my pójdziemy.

Uścisnęła staruszka i zwróciła się do Jerzego:

— Pójdźmy — rzekła. — Chcę z panem pomówić.

Głos jej był zmieniony, niepewny jakiś i głuchy i nie śmiała podnieść oczu na niego, tylko stała chwilę skubiąc wstążkę od warkocza. Aż się poruszyła żywo i powtórzyła:

— Pójdźmy.

Poszli. Ona naprzód, bez kapelusza, świecąc w słońcu złotym warkoczem i białością letniej sukienki. On za nią onieśmielony, trwożny, w przeczuciu jakiegoś nowego cierpienia — ale obezwładniony jej rozkazem.

Poszli ścieżką nad jeziorem, a potem brzegiem wody ku ławce ukrytej za wierzbami. Nie mówili do siebie nic — serca im zamierały w piersiach — myśli rozpierzchały się.

Zosia usiadła na ławce i złożyła ręce na kolanach. Patrzyła prosto przed siebie na wody jeziora, a brwi jej coraz bardziej się zsuwały i czoło się marszczyło, i usta się zaciskały, jakby przed wykonaniem ciężkiej i niemiłej czynności. On, z kapeluszem w ręku, stał przed nią blady.

Milczeli długo. Parę razy jej usta otworzyły się, jakby już... już... słowa z nich wyjść miały — ale znów się zaciskały i głos nie wychodził. Pasowała się ze sobą. Nagle zwróciła się cała ku niemu i spuszcżając oczy i czerwieniąc się gwałtownie prędko mówić zaczęła:

— Bo jeśli ja nie powiem pierwsza, to pan nigdy się nie zdecyduje. I ja wiem bardzo dobrze, że to nie uchodzi i że to nieprzyzwoicie — i że panna nigdy pierwsza... Ale mnie to wszystko jedno... Bo ja wiem, że pan chciałby, ale pan myśli, że ja jestem bardzo bogata. A to nieprawda, bo na Białym Dworze jest pełno długów — osiemdziesiąt kilka tysięcy — i ja wcale nie jestem bogata. Więc postanowiłam powiedzieć panu..., powiedzieć, że ja..., że ja pana kocham.

Wyrzuciła z siebie te słowa i twarz rozpaloną ukryła w dłoniach. Drżała od stóp do głów ze wzruszenia i ze wstydu, i z tego gwałtu, który sobie zadała, aby dumę swą dziewiczą złożyć ukochanemu w ofierze.

A on stał nieruchomy i coraz bledszy, z przymkniętymi oczami. Ból wściekły i radość niewymowna nim miotały. Wreszcie ukląkł przed nią i wziął jej ręce w swoje.

— Wiesz, że ja cię kocham — rzekł.

— Wiem — szepnęła.

Oczy ich się spotkały i powiedziały sobie stokroć więcej, niż by mogły powiedzieć słowa i przez chwilę patrzyli na siebie upojeni i szczęśliwi. Ale na jego twarz wstępowała z wolna chmura, usta zadrżały i rzekł cicho.

— A jednak to być nie może, musimy się rozstać... i zapomnieć... Zosia zerwała się.

— Rozstać się — my? Co ty mówisz — dlaczego? Oczy jej pełne były przerażenia.

— Mów! Czemu? — powtórzyła, gdy on milczał.

Stała teraz przed nim z głową podniesioną, gotowa bronić swego szczęścia, walczyć za nie i zdobyć przemocą.

On klęczał wciąż, oparty o ławkę, z głową nisko schyloną, złamany bólem i straszną walką, co się w nim toczyła. Tu było szczęście promienne, urocze, samo mu szło do rąk. Tam była męka samotna i blada. Co wybrać?

Wiło się w nim serce z bólu, omdlewała dusza, ale odparł po chwili nie podnosząc głowy:

— Wiesz, że cię kocham. Dałbym wszystko, co mam, aby teraz tutaj umrzeć u nóg twoich — i nie odjeżdżać, i nie porzucać cię więcej. Ale zrozum..., my do siebie nie możemy należeć... Kimże jestem dla ciebie? Ty masz prawo do wszystkiego, do bogactw, do pozycji w świecie i do wielkiego nazwiska i do wszelkich świetności. A ja, cóż? Jestem biedak, tułacz na świecie, nie mam nic, jestem skazany na wieczną pracę, na ciężki zarobek — dla kawałka chleba. Cóż ja ci dać mogę? Nie zabiorę cię do lasów syberyjskich... Ja nawet podnosić oczu na ciebie nie powinienem, bo między nami jest przepaść, bo my jesteśmy z dwóch odmiennych światów i nigdy nasze drogi zejść się nie mogą... Bo twoja rodzina wprost śmiałyby się mi w oczy, gdybym się odważył sięgnąć po ciebie. Nie, trzeba się rozstać i zapomnieć... Dla mnie ta chwila szczęścia musi starczyć na całe życie. Być przez ciebie kochanym, ani nie zamarzyłem. Dziękuję ci...

Ale Zosia wybuchnęła gwałtownie. Nie, tego się nie spodziewała! Marne jakieś pieniężne względy miałyby stanąć w poprzek ich szczęściu! Kochali się — to było dosyć. Ona nie potrzebowała ani bogactw, ani pozycji, ani żadnych świetności, gotowa była mieszkać na Syberii, wszędzie, choćby na końcu świata. A co do rodziny, to z pewnością nikt bronić nie będzie, bo wszyscy go lubią, cenią, nikt im nie będzie przeszkadzał.

— Tak ci się zdaje — odparł cicho Jerzy — ale z tego nic być nie może. Głowę schylił niżej jeszcze i oparł czoło o złożone na ławce dłonie. O, gdybyż w tej chwili zapadła się pod nim ziemia i pochłonęła go, i zasypała! Gdyby te fale jeziora zalały go, zabrały ze sobą! Gdyby z tego jasnego nieba spadł piorun i spalił go na proch, i starł to nieszczęsne, kołaczące się serce, rozdarte i umęczone! I była długa chwila ciszy. Fale z pluskiem obijały się o brzeg — drżały wysmukłe trzciny i brzęczały nad wodą komary. A gdzieś niedaleko w trawie odzywały się świerszcze.

Zosia stała z załamanymi rękami, jak gromem rażona. Nie, tego nie spodziewała się.

— Jerzy! Jerzy!

On zerwał się. Błady był i oczy mu świeciły jakimś gorączkowym płomieniem. Stanął przed nią, objął całą jej postać długim wejrzeniem, chciał coś powiedzieć, ale usta mu zadrżały i głos załamał się w gardle. Więc tylko obu rękami chwycił się za głowę i nie oglądając się bieć zaczął przed siebie.

Pędził, jakby go gnały furie o krwawych biczach, jakby się za nim rozszalały moce piekielne, jakby jedyne ocalenie było w ucieczce... W skroniach mu tętniło, w gardle dławiał płacz, krople potu spływały mu po czole, a on biegł naprzód nieprzytomny, oszalały. Byle dalej! Byle dalej!

X

— Stryjciu — rzekła Zosia tegoż dnia pod wieczór biorąc pana Adama za rękę. — Ja mam do stryjcia interes.

— No, patrzajcie państwo, cóż to takiego?

— Proszę przejść ze mną do ogrodu, bo nie trzeba, aby kto słyszał.

— Cóż to, sekret jaki, czy co?

— A sekret, stryjciu.

I Zosia, uczepiwszy się stryjowskiego ramienia, prowadziła go znowu do ławki nad jeziorem.

Teraz niebo było całe złote od zachodzącego słońca, a nad jeziorem paliła się zorza.

Usiedli.

Pan Adam zapalił papierosa, a Zosia rzekła wyraźnie:

— Stryjciu, ja kocham Jerzego.

— Masz tobie! A toż co nowego?

— I Jerzy mnie kocha.

— Kocha?

Pan Adam pokręcił głową.

— No, to pobierzcie się.

— Tak stryjciu, ale on nie chce.

— Nie chce? To osioł!...

— On mówi, że ja jestem bogata, a on nie jest bogaty, więc on nie może... I on chce pojechać na Syberię i nigdy nie wrócić... Bo on mówi, że moja rodzina nie zgodzi się... A ja bez niego... nie mogę...

Łzy zaczęły napływać do oczu Zosi i mrugała powiekami, aby je rozpędzić, ale usta jej drżały i krzywiły się mimo woli, jak u rozżalonego dziecka.

Pan Adam oburzył się.



— Osioł jest! Kochacie się, to dosyć! Bogactwo, niewielkie tam to twoje bogactwo. Zadłużyli Biały Dwór, kto wie, co tam zostanie! A on to nie ma bogactwa w swojej głowie? Wykształcony, rozumny, pracowity, oszczędny, zawsze sobie poradzi i zarobi na siebie i na żonę. Kiep jest, kto inaczej powie.

— Prawda, stryjciu? Ja to samo jemu mówiłam, ale on taki dumny...

— Nie dumny, a durny, z przeproszeniem. Filozof jaki! Będzie on tu imponował. Ja jemu pokażę!

Pan Adam zaperzał się coraz bardziej.

— Rodzina! Cóż to, on myśli, że ta rodzina to same półgłówki, że będzie tylko człowiekowi w ręce zaglądać, co ma. Cymbał jest, osioł, kiep, nie widzi, że nam żadne bogactwa nie zawrócą w głowie, że nam dla ciebie chodzi o człowieka, a nie o jego bogactwo...

— Prawda, stryjciu?

I Zosia, z uśmiechem na twarzy, który się przedzierał przez łzy, przytuliła się do stryja. On ją objął ramieniem i przycisnął do siebie. Przez chwilę milczeli. A potem on zaczął pytać:

— Kocha ciebie, powiadasz? Skądże wiesz o tym?

— Ja, stryjciu, już dawno wiem o tym, jeszcze przed wyjazdem do Rzymu zdawało mi się... Ale teraz, kiedy przyjechał do Wilna i zastał ciotkę w trumnie, a mnie przy niej, to w pierwszej chwili nie mógł pohamować się i jakoś to wyszło na jaw. Ale potem on oprzytomniał i zaczął znowu udawać, że niby nic. Więc ja zrozumiałam, że on sam tego nigdy nie powie...

— No i cóż?

— Więc ja pierwsza jemu powiedziałam.

— Co powiedziałaś? Że jego kochasz?

— Tak, stryjciu.

Na wspomnienie tej chwili znowu gwałtowny rumieniec oblał jej twarz, czoło i siedziała zawstydzona. A stryj dalej pytał:

— No, a on cóż na to?

— On wtedy przyznał się też, ale powiedział, że z tego nic nie będzie, bo moja rodzina nie pozwoli, bo ja bogata, a on nic nie ma i że odjedzie, że trzeba zapomnieć...

Znowu kilka łez potoczyło się po jej twarzy i spadło na jasny stanik.

— No, a potem?

— Potem Jaś zaczął wołać na niego, więc on zerwał się i uciekł. Chciał coś powiedzieć, ale widać, że nie mógł, bo nic nie powiedział i uciekł.

— A cóż ty?

— Ja? Nic, stryjcium, nie bardzo pamiętam. Siedziałam tu, a jak wróciłam do domu, to już go nie było. I teraz kto wie, może on już pojechał z Bijuciszek i może już go nigdy nie zobaczę.

I łzy coraz szybciej toczyły się jedna za drugą po zbladłej znowu twarzy i Zosia ukryła twarz w dłoniach i płakała. Pan Adam rozczulił się.

— No, nie płacz, nie płacz — mówił. — I nie wyjechał z Bijuciszek, i zobaczycie się jeszcze, i wszystko będzie dobrze. Oj, masz też nad kim oczy psuć! Cymbał ten! Szczęście samo lezie jemu do rąk, a on nie chce brać! Nie łez on twoich, a stu bizunów wart.

— A stryjcio tylko co mówił...

— Mówiłem i sto razy powtórzę, że porządny chłopiec. Daj Boże takich więcej! Był jak najlepszym synem dla panny Pauliny i nauki skończył, doskonale i widać zdolny, jeżeli dostał taką posadę poważną i sumienny, bo, choć nie zmuszony, spłaca ojcowskie długi, i dobrze wychowany, z zacnej rodziny, porządny chłopiec. Ale osioł, to osioł! No, dość tego. Jesteś zuch dziewczyna. Ale teraz nie płacz i zostaw mi całą sprawę, a może jakoś da się załatać.

— Ach, jaki stryjcio dobry!

— Ot, już i dobry! Oj, wy, zakochani!

Westchnął pan Adam, bo mu na myśl przyszły własne jego dzieje. Ale teraz trzeba było na tę biedę poradzić i tych dwoje postawić na dobrej drodze.

Jerzy gotów był naprawdę głupstwo zrobić i odjechać. Dumna, rogata dusza! Prosić i kłaniać się nie raczy. A wtedy, co będzie z Zosią? Wszystko lepiej, jak widzieć ją płaczącą i nieszczęśliwą! Chybaż by sprawiedliwości nie było na świecie, gdyby taki złoty promyk miał zgasnąć. Trzeba się rozgadać z tym pyszałkiem, szczerze, otwarcie rzecz mu przedstawić. Teraz on się wzdraga z obawy przez rodziną, ale gdy mu powie też właśnie rodzina: Dajemy ci ją, bo ufamy tobie, bierz ją i niech wam Pan Bóg błogosławi! to przecież ustąpi ze swej dumy. Bo jeśli mu zawadza Zosi fundusz, to Bóg widzi, że po takim dziale niewiele z niego zostało. Długi z nią weźmie, a nie fundusz. A nawet, materialnie, jakby się tam przydał młody, dzielny, pracowity gospodarz! Taki to by może co jeszcze uratował, może by wynalazł nowe źródła dochodu, może by z czasem postawił na nogi tę walącą się ruinę. Pewnie, bogaty nie jest, ale dobry człowiek i Zosia go wybrała. Więc czegoż chcieć więcej?

— Chodźmy do domu — rzekł pan Adam.

Wstali i poszli ku domowi przez ciemniejący ogród. Zosia, zmęczona wrażeniami, z malutką iskierką nadziei na dnie serca, poszła prosto na górę, do Ani, której migrena trochę się rozproszyła pod wieczór. Usiadła przy niej i w milczeniu wzięła jej rękę. W przyćmionym pokoju było cicho i szaro, jakaś tęsknota rozwieszała się w powietrzu.

— Zocho moja złota — szepnęła Ania. — Co ci jest? Takaś inna niż dawniej! Masz co na sercu?

Zosia zrazu nie odrzekła nic, aż nagle, jakby ją coś rozpierało, zawołała:

— Ach, Aniu, ja jego kocham — kocham! I żyć nie chcę bez niego...

— A...! — ozwała się Ania. I obie zamilkły.

Mrok zapadał coraz gęstszy, a one trzymały się wciąż za ręce, nieruchome, zamyślane. Dusza Zosi, drżąca pożądaniem i niepokojem, łączyła się z duszą Ani, już zrezygnowaną.

Tymczasem na dole pan Adam wszedł do pokoju marszałkowej i zastał ją siedzącą pod oknem, wypoczywającą po całodziennej pracy.

— A ja do mamci z interesem — rzekł opuszczając swą postać na niskie koło niej krzeselko. — Z ważnym interesem.

— A co, kochanie moje? Czy nie o koniczynę dla cieląt? Kazałam już...

— Nie, mamciu — przerwał. — To nie o takie rzeczy, to o Zosię chodzi.

— A cóż tam, kochanie moje, z Zosią? Zdaje się, Bogu dziękować, wszystko dobrze. Chyba że...

— Mamcia się niczego nie domyśla?

— Ot, kochanie moje, zdawało mi się, ale to może tak sobie, że tam coś jest... między nimi... Strasznie oni wczoraj byli nie w humorach. Już tam i w Wilnie coś musiało zajść.

Nachyliła się do ucha pana Adama i szepnęła:

— Czy nie na konto Jerzego, co? Pan Adam zaśmiał się.

— A tak, mamciu, właśnie, na konto Jerzego. Zakochani oboje. Marszałkowa zamyśliła się. Oczy oderwała od twarzy syna i podniosła wysoko ku niebu, na którym paliła się zorza, złota, purpurowa. I w oczach jej powoli zaczęły migotać łzy, i zmarszczki na jej czole zadrgały, a usta rozsunęły się w uśmiechu.

— Niech im Pan Bóg błogosławi — rzekła na koniec. — Dobrze wybrała. Sprawiedliwy, akuratny człowiek, a choć niebogaty, za to rozumny i pracowity. Czegóż więcej chcieć?

— Prawda, mamciu? Czego tu więcej chcieć? Więcej ona zazna z nim szczęścia, jak z niejednym bogatym i świetnym. Tu wiadomo przynajmniej kto, skąd, nie to, co jakiś rzymski hrabia czy szambelan.

— Kochanie moje, tu i porównania nie ma. A jeżeli, powiadasz, zakochani oboje, to i wszystko, co potrzeba. Ja sobie nieraz myślałam, że szczęśliwsza byłaby Zosia w miernym stanie, tu gdzieś blisko, jak w bogactwie i w paradzie. Taki już jej charakter.

— Więc mamcia nic nie ma przeciwko temu?

— Ja nic. Chyba, że Antoniowa...

Ale pan Adam oburzył się.

— Jak to, Antoniowa! Jakiż ona tu głos mieć może? Ona straciła wszelkie prawa do córki, wyrzekła się jej od dawna. Gdzie mogła, krzywdziła ją tylko, a nigdy jej nie dała ani serca, ani opieki. Nie, ona tu bez głosu.

— Zawsze to jednak matka, kochanie moje — odezwała się pani marszałkowa — ale nie myślę, aby zechciała się sprzeciwiać.

W pół godziny potem pan Adam wsiadał do bryczki i rzucał stangretowi rozkaz: do Bijuciszek!

Zosia przez okno widziała, jak wyjeżdżał i serce jej zatrzepotało się w piersiach, bo czuła, że o nią tu chodziło. Ale nie śmiała pytać ani domyślać się, ani snuć zbyt śmiałych nadziei. Wieczór zszedł cicho i dość nudno przy świetle wielkiej lampy, która dziś oświetlała frasobliwe i zamyślane twarze. Ania nie schodziła jeszcze na dół, pana Adama nie było, marszałkowa była milcząca i zamyślona, marszałek z panem Szrottem grali w szachy, a Zosia, gorączkowo śpiesząc, robiła jakąś robotę szydełkową i głowy znad niej nic podnosiła. O dziesiątej dano sobie dobranoc.

Tej nocy, pomimo swych trosk, Zosia spała kamiennym snem. Natura brała górę nad wzruszeniami. Nie darmo zeszlą noc prawie całą przesiedziała w oknie, myśląc i marząc, teraz spała jak zabita. Aż się Ania dziwiła.

Za to z rana zbudziła się wcześniej, wypoczęta, rześka i z dobrą otuchą. W jej ciele, młodym i zdrowym, nadszarpnięte nerwy prędko wracały do równowagi, krew krążyła ochoczo i świat wydawał się niewymownie piękny. Była godzina wczesna, ale już spać nie chciała. Świejące słońce wabiło ku sobie. Ubrała się więc prędko. — Obiegnę ogród, zobaczę, co robią dziewczęta wzięte do pielienia, obejrzę maliny i pójdę się wykąpać — myślała.

I po chwili w jasnej bluzie, z warkoczem na plecach biegła ścieżką wśród błyszczących od rosy trawników. Cudny był ranek, niebieski i złoty, pełen blasków, zapachów i ciepłych promieni słonecznych, pełen świergotu ptasząt i brzęczenia muszek, pełen róż kwitnących i perlistej rosy. Zosi

zdawało się, że w taki ranek nic złego stać się nie może i czując w sobie falę życia bijącą gwałtownie, z rozkoszą oddychała tą radością i pięknem, które ją otaczało. Obiegła ogród, zajrzała do inspektów na pielące kobiety, przeszła między rzędami malin, których jagody soczyste i pełne czerwieniły się wśród liści, i poszła do kąpieli. Zimna woda jeszcze bardziej ją podnieciła i, gdy z niej wyszła, była różowa, pachnąca zdrowiem, z błyszczącymi oczami. Tylko włosy jej zamokły i ciężkie były od wody. Więc rozplotła je, roztrzepała na słońcu i rozrzuciła na plecach, aby pręcej wyschły. I w tym królewskim płaszczu złotych splotów, z ręcznikiem przerzuconym przez ramię, jasna i świeża w swej perkalowej bluzie, szła powoli do domu. Przez gałęzie drzew słońce kładło na nią to ruchome plamy światła, to niebieskawe cienie.

— Boże, daj, aby wszystko dobrze się skończyło! — myślała idąc ze spuszczoną głową. — Daj mi jego, Boże, a będę mu wierną, oddaną, dobrą żoną — i kochać go będę przez całe życie — i on będzie ze mną szczęśliwy. Ach, jak ja jego kocham!... Jerzy, mój Jerzy — mój jedyny...

Czuła, jak wielki płomień miłości wystrzelał z niej, ogarniał tę ukochaną głowę, którą jak żywą widziała przed sobą. Czuła, że z jego serca bije ku niej takiż płomień gorący — i że te ich dwa serca, pomimo oddalenia, łączą się w uścisku.

Jerzy! Mój jedyny!... Nie, nie! Rozstać się z nim nie mogła — on był jej życiem, jej tchnieniem — krwią jej żył, myślą jej mózgu, biciem jej serca. Wydrzeć to z siebie? Cóż zostanie! — śmierć chyba. Nie. Ona żyć chciała z nim razem, w nim i dla niego. Każda cząstka jej istoty rwała się, tęskniła do niego. — Boże, Boże! Daj mi go!...

Ale szelest przed nią na ścieżce wyrwał ją z zamyślenia. Podniosła głowę.

Jerzy szedł ku niej. Błady był i oczy miał wilgotne i błyszczące — a usta rozsuwały mu się na białych zębach drżącym, wzruszonym uśmiechem.

Ona, zdziwiona jego widokiem, stanęła bez słowa, prawie przeleżała, i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Zbliżył się, wziął obie jej ręce — i położył je sobie na piersiach. I stali tak bez słów, skupieni, poważni, w poczuciu tej wielkiej, nieodwołalnej chwili. Ona czuła pod rękami swymi uderzenia jego serca, które biło dla niej — dla niej! Miała je tam, pod dłońmi swymi, korne, oddane i gorące — i brała je w posiadanie. I strwożona, przejęta, onieśmielona, spuszczała oczy. A serce to wciąż biło i szeptało do niej: miłości..., miłości..., miłości...

Słońce oblewało ich swymi promieniami — jego ciemną postać i jej złotą głowę — i byli razem jakby jedna istota o dwóch ciałach dopełniających się wzajemnie, istota pełna i doskonała, do której należała przyszłość.

— Więc mnie chcesz? — szepnął on wreszcie pochylając się nad nią.

— Chcę — odrzekła wyraźnie i podniosła na niego oczy.

On niżej jeszcze schylił się przed nią i ustami przylgnął do jej rąk. Niebo miał w duszy. Więc już nie był samotny na świecie, nie był wydziedziczonym, tułaczem, skazańcem — rzuconym na pastwę tęsknocie. Nie był przybłądą, bez ojczyzny ni ogniska, liściem oderwanym od rodzinnego pnia — obcym wszystkim i wszystkiemu. Nie! Miał serce kochające, oddane i czyste, które mógł swoim nazwać — miał kobietę własną, piękną i dobrą, która przychodziła do niego w królewskim płaszczu swych złotych włosów i niosła mu królewski dar dziewictwa i miłości — miał ognisko jasne i ciepłe, przy którym roztopić się będą musiały wszelkie lody i śniegi jego duszy — pochodnię płonąca, z którą pójdzie przez życie prostą, ukochaną drogą. Miał ją! Ją, tę wymarzoną, wyśnioną od lat młodzieńczych dziewczynę, to pożądanie swej krwi, ten ideał swych myśli — tę Zosię złotą. Jego była na wieki — z własnej woli, nieprzymuszonej i wolnej. Jemu się oddawała duszą i ciałem. Jego kochała...

Gdy wreszcie zawrócili ku domowi, ona spytała:

— A babunia wie?

— Wie. Byłem u niej i zgodziła się. Czeka na nas.

— Chodźmy.

Poszli w milczeniu, odurzeni jeszcze, nie dowierzający szczęściu. Aż Jerzy zawołał:

— Boże, Boże! I za co ja taki szczęśliwy, taki szczęśliwy!

W stołowym pokoju, przy samowarze, pani marszałkowa oczekiwała zakochanych. Wzruszona była i drżąca, ale nalewała, jak zwykle, herbatę, rozdzielała cukier porcjami i nie zapominała o nikim. Ale ręka jej trzęsła się i oczy zachodziły łzami, a usta co chwila bezwiednie szeptały: Daj im, Boże, szczęście!

Marszałek był uprzedzony. Trochę zrazu zdziwił się, bo rzecz była dla niego niespodziewana. Ale zgodził się i nawet był rad.

— Lipowscy nie karmazyni — mówił — ale zacna, szlachecka krew. Wstydu Halickim nie przyniosą. A Jerzy tęgi chłop! Byleby się wyleczył z syberyjskich manier! Kochają się, to i dobrze. Miłość, Anuleczko, to racja nie lada — nieprawdaż, pani moja, królowo? Niech się kochają, niech się kochają...

Więc gdy weszli, Jerzy z Zosią, przyjęto ich z otwartymi ramionami. Na głowy klęczących przed nią marszałkowa położyła ręce i oczy wznosząc do góry szeptała głosem niepewnym: Daj wam, Boże, szczęście!



## XI

Przed kościołem w Białogórze było czyściutko wymieciono i wysypane piaskiem, a od bramy do drzwi kościelnych ciągnęło się sukno czerwone. Przez otwarte drzwi widać było w głębi ołtarz tonący wśród palm, mirtów i rododendronów i główne przejście usłane wzorzystymi dywanami.

Chociaż to był dzień powszedni, w całej Białogórze panował niezwykle ruch. Na ulicy stały gromadki Żydów, małe Żydzieta przebiegały co chwila tu i ówdzie, do kościoła zaś ciągnęły po kilka razem wystrojone jak na festyn mieszczanki. Zgraja żebraków, z Kostuchą na czele, obsiadła bramę wjazdową.

A kwietniowe słońce zalewało świat złocistymi promieniami i kładło wszędzie barwy i blaski na ten dzień uroczysty.

Był to dzień ślubu Jerzego Lipowskiego z Zosią Halicką.

Więcej niż półtora roku minęło od dnia ich zaręczyn. Syberyjskie zobowiązania Jerzego, konieczne przeróbki w Białym Dworze, wreszcie ciągle mitręgi ze strony pani Antoniowej spowodowały, że się narzeczeństwo młodej pary tak długo przeciągnęło. I teraz nawet pani Antoniowa nie przyjechała. Kilkakrotnie z jej powodu zmieniano termin ślubu, a nigdy stawić się nań nie mogła. Wreszcie młodzi zbuntowali się i postanowili nie czekać dłużej jak do ostatnich dni kwietnia. Ale i teraz nieszczęście chciało, jak pisała, że właśnie w tym czasie zakon Sióstr Bolejących, już zatwierdzony przez papieża po odbyciu nowicjatu i ostatecznych święceniach, ma się przedstawić w Watykanie. Dzień oznaczony nie jest i być nie może zawczasu, bo zależy to od tysiąca okoliczności, a zwłaszcza od zdrowia Jego Świątobliwości, więc odjechać nie może w tak ważnej dla zakonu chwili. Obowiązek zatrzymuje ją w Rzymie, chociaż serce rwie się do najdroższego dziecka, które by z taką radością błogosławić chciała na tę nową drogę życia. Niech ta bolesna ofiara serca macierzyńskiego, złożona sercu Jezusowemu, ściągnie wszelkie łaski boskie na kochaną Zosieczkę. W dzień ten uroczysty na ich intencję

odprawione będą w siedmiu kościołach msze święte, a wszystkie Siostry Bolejące obiecały przyjąć sakramenty i modlić się o szczęście dla nich. Przed obrazem zaś Madonny w San Agostino palić się będzie przez cały dzień siedem świec woskowych. Bóg musi wysłuchać tylu gorących modłów. List był niezmiernie czuły. W końcu prosiła młodą parę, aby za cel poślubnej podróży obrała sobie Rzym, gdzie by mogła ich uściskać i nacieszyć się ich szczęściem. Zosi przykra była nieobecność matki w tak ważnym dniu. Ale babunia, prawdziwa jej matka i opiekunka, była przy niej. Zresztą opuszczona czuć się nie mogła wśród ogólnych objawów sympatii i serdeczności, jakie zewsząd ją otaczały. Na ślub jej, chociaż miał być cichy i skromny, zjechała się rodzina, stanęło całe sąsiedztwo — stryjostwo Józefowie, oboje Julkowie, Lunia z mężem, młodzi państwo Zawidowscy, Suniżyccy, cała rodzina Leniewiczów, państwo Różyńscy, Robiccy, pani Ławryniewiczowa z trzema córkami i pan Chański, i Grzałkowscy, i piękna pani Porażewska, i wreszcie cała paczka kolegów Jerzego. Mały kościółek zaroił się dobrze znanymi twarzami. Panie poprawiały suknie, obciągały na sobie pelerynki i stały sztywne w oczekiwaniu. Panowie rozmawiali półgłosem.

Pan młody, który z drużbami swymi przyjechał, stał na uboczu, nie widząc rzucanych na niego spojrzeń. Błady był bardzo, z oczami błyszczącymi, które nic nie widziały dokoła, zdenerwowany i rozstrojony strasznie. Chwilami wstrząsały nim dreszcze, w gardle go dusiło, coś jakby płacz w nim wzbierał — a nad wszelkimi innymi uczuciami zaczęło brać górę pragnienie, aby się ta ceremonia prędzej skończyła.

— Byle odbyć! Byle odbyć! — powtarzał w duchu. Aż usłyszano znowu turkot i wołania:

— Jedzie! Jedzie! Panna młoda jedzie!

I przed bramę zajechała wielka poczwórna karoca, z której powoli wysiadła pani marszałkowa, a za nią panna młoda i drużki. Na chórze zahuczało, zaskrzypiało i ozwał się marsz triumfalny. Drużbowie podali ręce

Zosi, družki uczepliły się ramion Jerzego, za nimi sformował się parami orszak weselny i ruszono ku ołtarzowi. Szła kwiecistą drogą panna młoda, dziewicza i śnieżna w obłoku tiulowym. A za nią pan młody, spokojny na pozór, ale wewnątrz drżący ze wzruszenia.

— Byle to odbyć! — powtarzał sobie. — Byle odbyć!

Ksiądz proboszcz wyszedł z mszą. Wszyscy zajęli miejsca na krzesłach ustawionych w półkole, a państwo młodzi uklękli na przygotowanych klęcznikach. Zrobiło się prawie cicho, bo grano na organach jakąś melodię leciuchną i sentymentalną, którą organista uważał za najwłaściwszą podczas ślubnego nabożeństwa.

Jerzy uczył naraz ogromną ulgę. Nerwy jego naprężone i zbolące uspokoiły się. Oparł głowę na rękę i patrzył na ołtarz umajony zielenią i błyszczący od świateł i na rześkiego staruszka, proboszcza, którego dobrodusznymi zwykle twarz miała teraz uroczysty wyraz. A myśli rozwijały się jak przedza w jego głowie i snuły się długim pasmem, łączącym przeszłość z chwilą obecną i dziecinne lata z dniem dzisiejszym, i co chwila wracało wśród tej przedzy jak węzeł złoty postanowienie:

— Wszystko zrobię, aby ona była szczęśliwa!

I spod spuszczonej rzes starał się dojrzeć jej twarz, ale nie mógł, bo twarz ta była w obie ręce schowana i nisko pochylona nad klęcznikiem. Książka do nabożeństwa, w kość słoniową oprawna, leżała zamknięta przed nią. I nawet ustnie nie modliła się Zosia zwykłymi modlitwami. Szło z jej duszy gorące, silne wołanie do Boga, wołanie o opiekę, o światło, o mądrość,

o łaskę, o szczęście i nie tyle dla siebie, ile dla tego jedyne, najdroższego, którego serce spoczywało w jej dłoni, którego losami ona miała kierować, który jej powierzył swój spokój, swoją cześć, najlepszą część swej duszy. O, być dla niego tym, czym czuje, że być powinna! Boże, daj! Boże, dopomóż!

Po skończonej mszy zwrócił się proboszcz do zgromadzonych i odchrząknawszy, przemówił:

— Pobożni chrześcijanie! Moje kochane dzieci! Nie pora was teraz uczyć, jakimi macie być małżonkami, bo jeżeli dotąd tego nie wiecie, to i moja mowa niewiele pomoże. Jesteście poczciwi, zacni, kochacie się, czekaliście na siebie przeszło półtora roku, więc wasza miłość nie jest ot, tak sobie, zabawką, z łaski na pociechę. No, więc i będzie wszystko dobrze. To tylko chcę wam przypomnieć jeszcze, że w każdym porządnym domu, u dobrych katolików, pierwszą osobą powinien być Pan Jezus. Nie mąż, nie żona, a Pan Jezus. Jak Jego w sercach waszych postawicie na pierwszym miejscu, to i wzajemnie kochać się będziecie lepiej i poczciwiej, tak jak On przykazał i potrafcie sobie, panie dobrodzieju, łatwiej przebaczać dla Jego miłości i spokojniej jedno drugie znosić. Ja wiem, moje dzieci, że wy teraz wyobrażacie sobie, że nic nie będzie do znoszenia, wszyscy zakochani tak myślą. A to nieprawda! Oj, będzie, będzie! I mój kochany Jerzy ma wady, ma, bo jest człowiek grzeszny, proch ziemski. I panna Zofia ma swoje przywary. Oj, daleko do doskonałości, nie ma co, panie dobrodzieju! Lepiej uderzyć się w piersi i przyznać się. Ale jak będziecie się kochać bardzo i będziecie Pana Jezusa często wzywać do pomocy, to i z wad poprawicie się i będzie wasz dom prawdziwie chrześcijańskim domem. A dom chrześcijański to... to jest fundament całego społeczeństwa... to jest, panie dobrodzieju, takie ognisko, z którego rozchodzi się ciepło i światło daleko, na wszystkie strony, to jest... takie źródło, z którego płynie czysta woda, bez szumu, bez huku, cichutko, ale stale, ciągle i daje naokoło świeżość roślinom i kwiatom, i człowiekowi strudzonemu pokrzepienie. Ot, co to jest rodzina chrześcijańska! I to jeszcze muszę powiedzieć, że w tej rodzinie najważniej zależy od żony. Tak, panno Zofio, ty, młoda oblubienico, panie dobrodzieju... Jak gdzie żona zła, kłótniwa, a strojami zajęta, a nie pilnująca domu, a wiecznie zasepiona, wiecznie niekontenta z tego, co ma, to tam, choćby mąż był dobry jak anioł i pracował

jak wół, to nic nie poradzisz. Będzie nieład, brud, kłótnia, plotki, marnowanie grosza i obraza boska. To trzeba sobie zapamiętać. Ale nie na to ja ciebie, panno Zofio, chrzcilem przed dwudziestu laty, a potem przygotowywałem do Sakramentów świętych i nie na to ciebie twoja czcigodna babunia hodowała w posłuszeństwie i w dobrym przykładzie, abyś miała być złą żoną. Niech Pan Bóg broni! Owszem, będziesz dobrą żoną, dobrą matką, dobrą panią i gospodynią, prawdziwą kobietą ewangeliczną. No, a teraz, moje dzieci, uklękniecie i wzywajcie Ducha Świętego, aby was oświecił i ugruntował w dobrych postanowieniach.

Proboszcz był wzruszony własną mową i parę razy łzy mu się zakręciły w poczciwych oczach. A gdy ukląkł i zaintonował pieśń do Ducha Świętego, głos mu się trząsł. Zagrzmiało Veni Creator na organach. Przyjdź, Duchu Stworzycielu, napełnij serca Twych wiernych i zapal je ogniem miłości Twojej! Przyjdź! Przyjdź!

Dusze Jerzego i Zosi napełniły się światłem, modlitwą i ciszą wielką. Na ich czołach osiadała coraz większa powaga.

Organy umilkły. Powstali wszyscy. Państwo młodzi podeszli do stopni ołtarza i stanęli obok siebie. Promienie słońca, wpadając przez okno, kładły jasność niezmierną na jej białe tiule i złociły jego ciemną głowę.

Ksiądz zwrócił się do Jerzego:

— Jerzy, masz dobrą a nieprzymuszoną wolę i postanowiony umysł tę Zofię, którą tu przed sobą widzisz, za małżonkę sobie pojąć?

— Mam.

— Nie ślubowałeś której innej wiary małżeńskiej?

— Nie ślubowałem.

— Także i ty, Zofio, masz też dobrą i nieprzymuszoną wolę i postanowiony umysł tego Jerzego, którego tu przed sobą widzisz, za małżonka sobie pojąć?

— Mam.

— Nie ślubowałeś komu innemu wiary małżeńskiej?

— Nie ślubowałam.

— *Augeat in vobis Deus gratiam suam, ut quad dictis ore, opere impleatis. Per Christum Dominum nostrum. Amen* — wyrzekł ksiądz. I wzięwszy z tacki obrączki złote, wyszeptał nad nimi łacińskie *Oremus* i powkładał im na palce mówiąc do każdego z osobna:

— *Accipe anulum fidei matrimonialis in nomine sanctissimae Trinitatis, ut illum portans, armeris virtute coelestis defensionis, et proficiat tibi in salutem aeternam.*

I złączywszy ich dwie prawice związał je stułą i zwrócony do nowożeńców podawał im słowa przysięgi:

— Ja, Jerzy, biorę ciebie, Zofię, za małżonkę i ślubuję ci miłość, wiarę i uczciwość małżeńską, a iż cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący w Trójcy jedyny i wszyscy święci.

— Ja, Zofia, biorę ciebie, Jerzego, za małżonka i ślubuję ci miłość, wiarę, uczciwość i posłuszeństwo małżeńskie, a iż cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący w Trójcy jedyny i wszyscy święci.

A zwracając się do otaczających podniesionym głosem rzekł proboszcz:

— Was, którzyście tu obecni, biorę na świadectwo, jeśliby tego kiedy była potrzeba, abyście świadczyli o niniejszym małżeństwie między osobami tymi prawnie zawartym i od Kościoła potwierdzonym.

I dodał:

— *Quos ergo Deus conjunxit, homo non separet. Et ideo matrimonium inter vos contractum, ego auctoritate Ecclesiae Catholicae confirmo et benedico. In nomine Patris, et Filii, et Spiritus sancti. Amen.*

Szerokim znakiem krzyża pobłogosławił chylące się głowy i ceremonia była skończona.

Co Bóg złączył, człowiek już nie rozłączy.

Organy zahuczały znowu triumfalnym marszem. Pary uszykowały się do odwrotu. Państwa młodych wsadzono do karety i zatrzaśnięto za nimi drzwiczki. Śliczna czwórka gniadoszów ruszyła.

Milczeli zrazu oboje, wzruszeni, z poczuciem czegoś nierealnego, bajecznego, co się z nimi stało. Aż gdy wyjechali z miasteczka i poczuli się sami wśród niezmiernych łąk i pól, zieleniejących wiosenną runią, pod olbrzymią kopułą błękitnego nieba w zalanej słońcem przestrzeni, serca ich wezbrały szczęściem i otworzyły się ramiona i pili rozkosz pocałunków swych czystych.

## XII

W Białym Dworze był ruch ogromny. Oczekiwano przybycia państwa młodych, których spotykać miano uroczyście. Cała ludność Białego Dworu brała udział w tym przyjęciu. Była to feta na całym obszarze majątku. Więc naprzód na granicy czekała deputacja konnych chłopaków przy skleconej z zielonej wierzbiny bramie i gdy powóz nadjechał, zaczęto palić z pistoletów i ze starych strzelb i obrzucać jadących ziarnami zboża. Zatrzymano konie i jeden z chłopców, piętnastoletni wyrostek o lnianej czuprynie, wygłosił bardzo prędko i niewyraźnie rymowane powinszowanie. Po czym deputacja otoczyła powóz i ruszono dalej. U wjazdu do alei paliły się dwie beczki smolne i znowu sklecona była triumfalna brama i znowu gromada starych gospodarzy, kątników i ludzi dworskich składała życzenia. Po raz trzeci, u bramy wjazdowej, zatrzymano się i dziewczęta wiejskie podały młodej pani ogromny bukiet wczesnych, wiosennych kwiatów polnych — i znowu jedna z nich, śpiesząc się bardzo, wygłosiła wiersz długi cichym, monotonnym głosem.

Wreszcie na panku stali oficjaliści. Pisarz w tuzurku, ekonomowie z folwarków, nadleśny, lokaj i ogrodnik, a na ich czele Bartłomiejowa wystrojona, w nowej sukni, i Bartłomiej, trzymający tacę oplecioną kwiatami z chlebem i solą, i z pękiem kluczy.

Po przywitaniu, wysłuchaniu oracji Bartłomieja i przyjęciu chleba i soli weszli oboje do domu, pod własny, wspólny dach. I stojąc na środku salonu, z którego widok rozciągał się na taras, na ogród, na rzekę, na łąki zielone i na widniejący z dala kościół białogórski, w milczeniu się uścisnęli.

Wszedł służący i coś przemówił do Jerzego.

— Zaraz. Powiedz, że zaraz przyjdziemy — rzekł Jerzy.

— Musimy pójść na folwark — dodał zwracając się do Zosi — bo tam czekają z rozpoczęciem tańców.

— A, dobrze — idźmy. Ale... w tej sukni...



— To nic — przyjemnie im będzie popatrzeć na ciebie.

Na podwórzu folwarcznym stały naokoło stoły i ławki, a w środku była pusta przestrzeń, czysto wymieciona, przeznaczona do tańca. Na małym wzniesieniu, w głębi, siedzieli muzykanci. Dokoła kołysały się na sznurach lampki, które zaczynało zapalać kilku chłopaków. Na stołach wznosiły się stosami nakrajane porcje chleba, pierogów, kromki sera, kawałki kielbas, obwarzanki i pierniki, a w olbrzymich naczyniach dymił rosół i pływały kawałki mięsa. Wódki nie miało być wcale na tej fecie, urządzonej z woli i z prywatnych funduszków Zosi, tylko piwo. Herbata zaś dla starszych, a dla młodszych woda z sokiem. Ale za to muzyka dobra, basetla, skrzypce, flet i bęben.

Gwar już panował ogromny. Tłum dziewcząt w jaskrawych, perkalowych sukniach i parobczaków, ubranych odświętnie, gromady starszych kobiet i gospodarzy w szarych, samodziiałowych kurtkach, nawet dzieci cisnęły się około stołów, pożerając oczami zastawioną dla nich wieszczkę. Ale jeszcze nie zabierano się do jedzenia, czekano państwa młodych.

Nadzór nad całą zabawą wziął na siebie Edzio, który na pięć mil dokoła znał każdego chłopca i miał wśród nich mir wielki. A teraz, przybywszy zaraz po ślubnym obiedzie, uwijał się jak mucha w ukropie, aby ład w zabawie utrzymać i wszystko zorganizować, bo Bartłomiej, chociaż krzyczał bardzo głośno i niejednego w plecy pięścią szturchnął, więcej wprowadzał zamęt jak porządku, a dbał bynajmniej nie o wesołą zabawę, a o pompatyczne przyjęcie państwa i o wysunięcie naprzód swej osoby. Toteż gdy na ścieżce od dworu zajaśniała suknia panny młodej obok wysokiej postaci nowego pana, rzucił się stary do beczek z piwem, do szklanek i kubków, aby móc pierwszy krzyknąć donośnym głosem:

— Zdrowie państwa młodych!

Olbrzymi okrzyk mu odpowiedział i wzleciał pod wieczorne niebo. Wyciągnęły się do góry ręce, czapki wyfrunęły, a gdzieś pod płotem, daleko, wystrzeliły fuzje, trzasnęły baty i muzyka ryknęła donośnie. I zaczęły krążyć szklanki, kubki i blaszanki i coraz to z innej strony wołano:

— Zdrowie jasnych państwa młodych!

I coraz to nowe gromady zbliżały się z ukłonami i z okrzykiem do młodej pary.

Oni stali ze szklankami w ręku i odpowiadali ukłonami i uśmiechem na życzenia i mówili do bliżej stojących:

— Dziękujemy, z serca dziękujemy! I wam najlepszego życzymy. Da nam Bóg żyć z sobą w zgodzie, po sąsiedzku.

— A panienkoż nasza kochana — mówiły starsze kobiety trochę podniecone — my także rade, że swoich panów doczekali. I nam teraz będzie lepiej —jakości porządniej.

— Teraz już zawsze będziemy z wami — mówiła Zosia.

I patrząc na ten tłum, co się wkoło niej tłoczył, na te twarze, co się zaczynały rozgrzewać, wiedziała, że mówi prawdę. Tak, teraz zawsze już będzie z nimi, z tymi ludźmi, z którymi czuła się związana wiarą, mową, tradycjami, krwią niemal, którzy byli jej narodem, jej ojczyzną, których czuła, że kocha prawdziwie i chce wedle sił uszczęśliwić. Teraz zawsze będzie z nimi, w każdej sprawie, w każdej biedzie, w dniach smutku, w chwilach walki. Będzie z nimi.

Spojrzała w twarz męża. On stał trochę onieśmielony, ale życzliwymi oczami wodził po otaczającym go tłumie i uśmiechał się. Był wzruszony i w uśmiechu usta mu trochę drżały, a że nie chciał tego pokazać, więc czoło marszczył silnie. Ale ona wiedziała dobrze, że ich myśli są wspólne, więc przycisnęła jego ramię i szepnęła:

— Lubisz ich, prawda?

— O, bardzo — odrzekł.

Bardzo ich lubił, tych ludzi, których znał od dzieciństwa, wśród których upłynęły mu najlepsze lata, bardzo. A tym bardziej, że niedawno jeszcze byli oni jakby straceni dla niego, że nie miał nadziei żyć wśród nich. Więc teraz, gdy do nich wrócił, z radością powtarzał za żoną:

— Teraz już zawsze będziemy z wami.

Ale muzyka zaczęła grać polkę i pary się zakręciły. Piwa już nie rozlewano, ale miski z rosółem i z barszczem ustawiano na stołach i koło nich skupili się ludzie. Każdy wyciągał własną łyżkę drewnianą i sięgał nią do miski, chleb trzymając w drugim ręku i powoli ogryzając.

Na niebie zaczęły się różowić chmurki, a słońce szło już ku lasom uciańskim i chyliło się ku nim na spoczynek. Długie, niebieskawe cienie zaczęły snuć się po ziemi. A lampki coraz gęściej migotały dokoła podwórza, kołysząc się z lekka jak girlandy złotych kwiatów.

Już zabawa rozpoczęła się na dobre. Muzyka grzmiała, nogi przytupywały, a głosy rosły w coraz potężniejszy huk, podobny do brzęczenia pszczoł i do huku burzy. Jerzy i Zosia stali jeszcze wśród tłumu, rozmawiając z bliższymi, ale w głowach zaczynało im się kręcić, w oczach mąciło się.

— Chodźmy już — szepnął Jerzy widząc, iż ona się robi coraz bledsza.

— Dobrze, chodźmy.

I korzystając z zapadającego zmroku wymknęli się i podążyli ku domowi.

Tam było cicho. Ledwie głośniejsze dźwięki przedzierały się przez gęstą ścianę drzew. Od dwóch lat znaczne tu zaszły zmiany. Ręka właścicielki zaznaczyła się wszędzie. Nie było jeszcze pięknych trawników ani klombów kwiecistych, ani szerokich dróg zwirowanych. Dom świecił tu i ówdzie opadłym tynkiem, a dach był mocno połatany. Ale ruiną już nie pachniało. Drzewa były podkrzesane, dzikie chwasty ścięte, a chmiel, duszący w swoich ramionach całą roślinność dokoła, starannie był wypleniony. Wieżyczka, która dawniej dawała pozór fałszywej elegancji skromnemu dworowi, teraz

znikła zupełnie. I stał dom obszerny, ale skromny, gościnny, ze swoim wygodnym podjazdem, zaciszny w wieńcu starych drzew. Wiele jeszcze pozostawało do zrobienia, ale już i wiele było zrobione i było to już gniazdo miłe, ciepłe i przytulne dla tej młodej pary, która tu osiadła.

A teraz luna zachodu pomalowała na różowo ściany domu i przeświecały one przez lekką zieloność rozwijających się drzew, jakby gazą obrzucone.

— Jak tu ładnie! — rzekł Jerzy.

— Prawda? — zawołała Zosia uradowana z jego pochwały. — Śliczny jest nasz Biały Dwór! Ale ja mam jeszcze różne projekty.

I zaczęła opowiadać o swoich planach, o zmianach, jakich tu w ogrodzie myśli dokonać, o praktycznych swych pomysłach.

— Zobaczysz, już w tym roku będzie mnóstwo jabłek, bo drzewa doskonale opatrzone, a tak ładnie kwitną.

I pociągnęła go pod owocowe drzewa, które teraz stały białe i różowe rzędami na murawie i wyciągały swe ukwiecone gałęzie, a przy każdym podmuchu sypały płatkami śnieżnymi. Silny, gorzki zapach jabłoni rozchodził się dokoła. A słońce zachodzące przesywało ogród cały purpurowymi strzałami, które się kładły na kwiatach i na trawie. Białe tam było, różowe, puszysto i pachnąco. A gdy stanęła Zosia w swych śnieżnych tiulach pod deszczem kwiatów, sama była do nich podobna.

Ale słońce chowało się już za lasy. Wielkie, ogniste, zasuwano się powoli za czarną koronkę sosen i przez nie przeświecało jeszcze, aż zgasło zupełnie. I tylko chmurki krwawe pływały jeszcze po niebie, dążąc po nim na spoczynek, płynąc jedna za drugą i układając się w spokojne, długie pasma, które coraz bardziej traciły barwę. A z przeciwnej strony, na niebie czystym i lazurowym, wstał księżyc blady i odbił się w biegnącej wodzie Białki.

Cisza była wokoło. Tylko chrząszcze tłukły się po jabłoniach, a zza rzeki ozwały się po kałużach żaby i kumkały żałośnie. Z folwarku dochodził czasem brzęk muzyki i głosy mieszane.

A ich oboje zaczął porywać ten czar wiosenny i wlewał się im w dusze i obezwładniał myśli, a żarem palił w żyłach. Coraz rzadziej mówili i tylko czasem rzucali obojętnym słowem, jakby dla pokrycia tego niepokoju, który ich oboje zaczynał ogarniać. I coraz bliżej przysuwacie do siebie, jakby siła jakaś wszechmocna popychała ich sobie wzajemnie w objęcia, jakby ich istoty pragnęły się połączyć, zlać w jedno, utonąć w sobie. Nad łąką zaczęły się unosić białe opary, a z ich serc rozkołysanych słodyczą wznosiła się pieśń bez słów, pieśń miłości i szczęścia.

Wietrzyk chłodny zawiął od rzeki. Poleciały płatki jabłoni na ich dwie głowy tulące się do siebie i otoczyły je śnieżną zawieruchą.

— Ładnie! — szepnęła Zosia.

— Ale chłodno już — on odparł. — Przeziębisz się, chodźmy do domu, do naszego domu...

Objął ją wpół, a ona oparła się o niego, prawie zwiśla na jego ramieniu czując ogromną rozkosz tej bliskości i tego dotknięcia. I szli ku białemu domowi, owiani chłodem łąki, zapachem kwiatów i niebieskawą gazą promieni księżyca.

W domu zapalone były wszystkie lampy, na stołach stały bukiety czeremchy i fioletowych kosaćców. Szumiał samowar w jadalnym pokoju i lśniła w świetle zastawa do herbaty. Ale służby nie było widać, gdzieś dyskretnie znikła po kątach. Byli sami.

— Chodź, obejrzymy wszystko.

Więc poszli razem przez pokoje oświetlone i wonne od kwiatów. A Zosia wciąż nowe wydawała okrzyki podziwu. Bo Jerzy sam zajął się urządzeniem wnętrza domu. Od powrotu zamieszkał w Białym Dworze, objął interesy i gospodarstwo i pracował nad wystrojeniem dla niej gniazda. Meble

były po większej części stare i zniszczone, ale przybyły nowe graty, trochę wschodnich dywanów, perskich tkanin, chińskich sprzętów i makat, które on skupował na obczyźnie, a teraz ustawił tak ślicznie i miło! Wiele i tu było jeszcze braków, kilka pokoiów pustych zupełnie, wiele rzeczy nadwerżonych, ale jej zakochane oczy tego nie widziały, a patrzyły z zachwytem na ten dom, który już miał być zawsze ich wspólnym domem.

— Jaki śliczny! — zawołała, wchodząc do małego pokoiku, który miał być jej własny i w którym on zgromadził wszystkie najpiękniejsze sprzęty.

— Ach, jak nam tu będzie dobrze! O, Jerzy! Jaki ty dobry dla mnie!

— Objęła go za szyję i przysunęła mu usta do twarzy, a jego porwała szalona radość, więc schwycił ją w ramiona, uniósł z ziemi i jak dziecko małe tulił do siebie i niósł przez cały szereg pokoi, aż do sypialni w głębi, gdzie paliła się u sufitu przyćmiona lampka.

— Ach, Jerzy, jaki ty silny! — szepnęła ona, ale nie bronila się, zwalczona tą męską siłą.

Wniósł i złożył ją na łóżku, i przytulony do niej wpatrywał się w nią. A ona, choć zamknęła oczy, czuła na sobie ten wzrok, co ją palił, co ją pożerał, pod którym ogarniało ją jakieś drzenie rozkoszne i dziwna omdlałość.

Trwali tak długo, rozmarzeni w tej ciszy sypialnej komnaty, gdzie pachniały czeremchy. Tuż blisko, za oknem, w krzaku rozkwitającego bzu słowik trele swe wywodził. A dalej na łące rechotały żaby. Przez koronkowe story księżyc zaglądał im w oczy...

Nagle na małym zegarze na konsoli zaczęła dzwonić godzina, cienkim, metalicznym dźwiękiem. Dwunasta!

Jerzy podniósł się bez słowa i wyszedł z pokoju.

Ona pozostała jeszcze chwilę bez ruchu — aż zerwała się szybko, zgasła świecę i po ciemku zrzuciła z siebie ubranie. Cichutko wsunęła się do łóżka, zawinęła się w kołdrę — i przymknęła oczy.

Cicho było. Tylko słyszała bicie własnego serca — a pod oknem, w krzakach, śpiew słowika. Księżyc haftował na firankach i na ścianach fantastyczne kwiaty, gałęzie i arabeski — lampka kładła dokoła półtony różowe.

— Co to będzie? Co to będzie? — myślała i dreszcz nią wstrząsał. — Ale babunia mówiła, że mężowi trzeba zupełnie zaufać. A jeszcze takiemu kochanemu mężowi! Najlepszeemu na całym świecie. A jednak są chwile, w których on jest jakiś dziwny..., jakiś inny..., obcy... Ale zawsze kochany, zawsze jej własny, jej mąż, jej jedyny.,.

Leciuchny szmer tuż obok doszedł ją. Otworzyła oczy. Coś wielkiego, białego, pochylało się nad nią. Jakieś ramię rozpalone otaczało jej ramiona i głos namiętny szeptał jej tuż przy twarzy:

— Ty złota! Ty szczęście moje..., ty... ty...

Ją porwała wielka fala miłości — zarzuciła mu obie ręce na szyję — i oddała mu się cała...

Księżyc posuwał się z wolna po granatowym sklepieniu, rozświecał coraz to nowe kąty w ogrodzie, osrebrzał gałązki, bielił trawniki, całował rozkwitłe jabłonie, odbijał się pasmami brylantów w wodzie Białki, błyszczał w kropelkach rosy, kładł dokoła wielkie, zielonawe smugi, kroczył po niebie przezroczystym jasnym okiem spoglądając na ziemię, gdzie w jego świetle tajemniczym drgały prądy miłości i rozkoszy. Bo w tę noc wiosenną ziemia nie spała — drzemała tylko przykryta błękitnym płaszczem nocy — ale co chwila drzenie jakieś ją przebiegało i szło od niej ciche westchnienie, jakby przez sen wymówiona pieśń. I w wielkiej ciszy zrywały się nagle głosy rozjękane — to jodły zaszumiały chwiejąc ciężkimi gałęziami — to brzozy zadzwoniły listkami — to jabłonie, szemrząc, sypały płatkami białymi. Krople rosy zsuwały się po liściach jak paciorki i na niższe gałązki spadały. Przepiórki gdzieś daleko nawoływały się po polach. Bąk samotny huczał poważnie. A gdy te głosy uciszały się, to wyraźnie zaczynał odzywać się w trawie świerszczyk i

czasami chrząszcz z brzękiem przeleciał. A słowik, nie zważając na żadne przerwy, wciąż trylował i lał ze swego gardziołka prześliczne nutki i wypowiadał czule zwrotki swej małżonce, siedzącej w głębi gniazdka...

Zosia ocknęła się z tego stanu półomdlenia, a pół świadomości, w który zapadła przez długą chwilę. Przy niej spał Jerzy mocnym, kamiennym snem. Jego czarna, krótko ostrzyżona głowa rysowała się wyraźnie na tle poduszki. Czoło uparte i dumne, przecięte linią zrosniętych brwi, wydawało się teraz gładziej i jakby wypoczęte. Wąsy roztrzepane osłaniały usta pełne, czerwone, soczyste jak owoc — te usta, które już tyle dały jej upojeń.

Oparła się na łokciu i patrzyła na niego. Cały rój myśli kłębił się jej pod czaszką — cały potok uczuć w niej się rozlewał...

Aż on się nagle poruszył. Oczy senne otworzył powoli i na nią spojrzał kochającym wzrokiem — a z ust wyrwał się szept:

— Moja ty, moja...

A w nią wstąpiło poczucie szczęścia bez granic. I znowu głowa jego opadła na poduszki, i zasnął.

O, jakże go kochała! I on był jej, i ona była jego — na życie całe, na wieczność. Serce w niej topniało i rozpływało się w rozkoszy tak słodkiej, że już chyba nic słodsze nie mogło być na świecie.

Słowik śpiewał pod oknem. Z dala dochodziło rechotanie żab. Blask księżycy zaczął blednąć na firankach i sączyć się zaczęła jakaś szarość — i rozświecała kąty pokoju. Czyżby to już był świt?

Jej ciążyła bezsenność — uleżeć nie mogła w łóżku.

— Zobaczę, czy to już świta — pomyślała i cichutko zarzuciła na siebie ranną bluzę i podeszła do okna. Wsunęła się za firankę.

Świtało na świecie. Powietrze zdawało się jakby nalane, przejęte białą farbą i na niebie księżyc bez blasku już zniknął powoli. A rosa świeciła biało jak szron na murawie, na listkach i dalej na łące. Tylko na wschodzie, tam za Białogórą, pręga różowa leżała na widnokręgu i wciąż nabierała żywszej



barwy. Obłoczki w górze były już złote — płynęły po niebie jak zwiastuny słońca. Słowik zamilkł po całej nocy miłosnych wynurzeń, ale w innych gniazdach budziło się życie, podnosiły się cienkie głosiki, skrzydełka strzepywały z siebie nocną rosę, tu i ówdzie ptaszek wyfrunął z pośpiechem. A w dali widać było na łące poważnego bociana, który już od dawna szukał pożywienia. Z rzeki zaczęły wstawać lekkie mgły i błędziły po świetle, coraz się podnosząc ku górze, rwały się na strzepy i rozwiewały się w powietrzu jak senne widziadła, które dzień rozprasza.

Zosia stała nieruchoma, zamyślona. Jaki ten świat był piękny! Nigdy jeszcze tak pięknym się jej nie wydawał jak teraz, gdy sama czuła się szczęśliwa, kochana. Nigdy te barwy na niebie nie były tak przezroczyste ani te obłoki tak lekkie, ani ta jutrzienka tak cudnie różowa i złota. Nigdy rosa nie szklila się tak kryształowo ani listki drzew nie były tak podobne do zielonej gazy, rzuconej na niebo jak balowa szata. I nigdy dotąd ta ziemia nie mówiła do niej tak wyraźnym, doniosłym głosem. Teraz głos ten słyszała zewsząd ku niej płynący — i z wysokich jodeł szumiących, i z drobnych trawek operlonych rosą, i z rozkwitłych jabłoni, i z fali rzecznej, i z tych pól szerokich, gdzie siedziały po miedzach grusze, i z tych chat o słomianych dachach, skąd dymy wzbijały się teraz w górę, i z tych piersi ludzkich, które czuła dokoła siebie, z tych piersi smętkiem przepełnionych, ale twardych jak kamień i odpornych jak opoka. A w głosie tym była skarga i żal — ale i ufność i nadzieja — i jakaś siła niczym nie zwalczona.

Różowa łuna na wschodzie robiła się coraz jaśniejsza, odbijała się w wodach białogórskiego jeziora, rozlanych na horyzoncie, z których, zdawało się, że słońce wyjść zamierza, jak z łoża kryształu i opałów. Kościół na wysokości przybierał barwę różaną.

I Zosia, oparta o okno, z oczami utkwionymi w to niebo przecudne, przeżywała powoli życie swe całe. Więc naprzód dzieciństwo „sielskie, anielskie” pod skrzydłem babuni, na łonie tej ukochanej ziemi rodzinnej. To

dzieciństwo, w którym i on — Jerzy — zajmował już w jej życiu ważną rolę. A potem młodzięcze lata, gdy wyrabiały się ideały, zapadały postanowienia, przyjaźń z Anią, budząca się miłość do wszystkiego, co wzniosłe, śmiałe, szlachetne. I ta chwila ulotna, gdy jego miłość zabłysła przed nią jak błyskawica — i zgasła w oddaleniu.

Ale przyszły z daleka inne prądy, obce wpływy, obca wiara, obcy ludzie i zrobiły zamęt wielki w jej głowie. Bo mówili pięknie i bardzo wzniosie, stawiali przed oczami wszechludzkie cele i mistyczne racje, i wyższe jakieś dobro. A codzienne, zwyczajne dobro i prosty obowiązek traktowali z pogardą. Ale choć na dnie ich serca była pycha i miłość siebie, tak mówili umiejętnie i tyle potrafili nagromadzić wpływów, że przekonania jej wahać się zaczęły. A na czele tych ludzi obcych — była matka i siostra. Więc zdawało się, że gmach jej własnych zasad, gmach zbudowany na fundamencie serca — runie. I była chwila, że się wyrzekła swych marzeń i nawet własnego szczęścia i była gotowa pójść przez życie przykuta do człowieka, który był dla niej niczym..., niczym..., aby zadowolić ich chęci, aby pracować dla ich celów — przeciwko własnemu sercu i zasadom.

— Boże! Boże! I mogłam zostać żoną tamtego. — Teraz rozumiała, jak dalece byłoby to potworne.

Spojrzała na męża. Spał ciągle, spokojny. O, temu dawała siebie z rozkoszą! Składała mu w dani duszę swą, myśli, parzenia — oddawała mu w darze ciało swe, wdzięki, młodość, wszystko..., wszystko... Bo kochała go, kochała bez miary!

— Bóg strzegł — myślała wracając do wspomnień. — Bóg strzegł, oświecił, wyprowadził z błędnej drogi, powrócił do ziemi rodzinnej i kazał tu żyć i umierać. I rozwiały się wszechludzkie cele i mistyczne racje.

I, jak gdyby czekała tylko na oczyszczenie jej serca z obcych naleciałości, miłość przyszła. Miłość poważna, głęboka, utkana z łez, ze współczucia i z tęsknoty, osnuta na wspólnocie ukochania i celu, a

zahartowana w długiej cierpliwości i w oddaleniu. Miłość nie na dziś i na jutro — ale na życie całe, na wieczność całą. I przeszkody zostały zwalczone, lata próby przebyte — i oto należą do siebie — i rozpoczyna się dla nich dzień życia, dzień pracy — dzień miłości.

A w tejże chwili z wód jeziora podnosiło ognistą głowę słońce. Wśród purpury wód, purpury nieba, samo rozpalone, gorące, wyłaniało się powoli, wkraczało na swą drogę i posuwało się coraz wyżej i wyżej, otoczone pożarem chmur. Ptaszki na gałęziach zaświergotały wszystkie razem. Rosa rozbłysła tysiącami brylantów. Mgły na łące rozłocły się i wionęły w górę.

Biaława barwa świtu zmieniła się na złoto roztopione, które przeniknęło powietrze i wlewało się w błękit nieba, w zieloność liści i w błądki róż kwiatów jabłoni.

— Oto moje życie nowe — szepnęła Zosia mrużąc oczy przed olśniewającym blaskiem. Tak i ona, jak to słońce, wyłoni się z chaosu pragnień i marzeń młodzięcych i pójdzie drogą niewzruszoną, coraz wyżej i wyżej! I ona będzie miała w sobie dość siły i blasku, aby, jak to słońce, oświecić ten kawałek ziemi, ogrzać go, rozjaśnić i krzepić. Będzie miała dość ciepła i miłości, aby życie Jerzego opromienić szczęściem, aby na tę drogą głowę zlać kojące pieszczoty, a to serce owinać w spokój i ciszę. Będzie słońcem jego — ożywym, radosnym. Będzie szła przed nim przyświecając w pracy, rozweselając w smutku, krzepiąc w chwilach słabości lub zwątpienia. Będzie jasnym promieniem nad jego głową, ciepłem i światłem jego życia. I nie tylko jego — ale wszystkich dokoła. Cały ten szmat ziemi rodzinnej i te niskie chaty, i te ciche zaścianki, i te tulące się do dworu czworaki — obejmie miłością, przygarnie sercem i świecić im będzie dobrotliwie, jasno, jak to słońce na niebie.

— Boże daj! Boże daj! — szepnęła. I spojrzała na śpiącego wciąż męża.

— Wszystko zrobię, aby mu było dobrze — rzekła do siebie i dodała z mocą:

— I będzie mu dobrze.

Wzniósła oczy do nieba i duszę całą zwróciła do Boga. A gdy znowu spojrziała na daleki widnokrąg, słońce już się wzniosło na niebie, chmurki bladły i przechodziły w liliowe tony, a jezioro było całe złote i różowe. Na wysokiej, w niebo strzelającej wieżycy kościoła krzyż się palił w słońcu. I ludziom nad rolą zgarbionym, cierpiącym, mówił krzyż ten o wyższej nad wszelkie ludzkie sile, o miłsierniejszym nad wszelkie ludzkie sercu i o sprawiedliwszym nad wszelkie ludzkie sądzie — mówił o nagrodzie za trudy, o nadziei i o zadośćuczynieniu.

Więc Zosia uklękła przy oknie i złożyła ręce do modlitwy i ze wzrokiem utkwionym w krzyż płomienny zaczęła Zdrowaś Mario...

Była to codzienna, przez te kilka lat, modlitwa za Jerzego — lecz dziś to wszystko, co ukochała, łączyło się w jej duszy z miłością dla niego w jedną nierozdzieloną całość.

...Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.